

Nina Bell

Dziedzictwo

Przełożyła Edyta Jaczewska

Dla Fiony Boucher

1.

Bramble Kelly spała przy rozsuniętych zasłonach. Przejęła ten zwyczaj od ojca, który lubił odczuwać zmiany pogody na własnej skórze, a zresztą do jej sypialni nie było jak zajrzeć z zewnątrz. Za oknem rozciągały się tylko bezkresne rzędy niskopiennych jabłoni, usianych teraz maleńkimi, szkarłatnymi plamkami owoców. Wiele z nich pospadało i walało się nieporządnie wokół drzew, z daleka przypominając kształtem nikomu niepotrzebne, staromodne halki z czerwonej flaneli. Ojciec Bramble, Edward Beaumont, sprzedał ziemię pięć lat wcześniej, ale nowy właściciel, jakaś firma z Ashford, nie zawracał sobie głowy zbiorami.

Tego ranka uwagę Bramble zwróciła snująca się tuż przy ziemi mgła. Jej opary skradały się przez sad wężowym ruchem, jakby szukały czegoś wśród drzew. Jakby wśród nich czaiło się zło...

Z trudem domknęła okno, bo wypaczona georgiańska framuga skrzypiała i zacinała się przy opuszczaniu, reagując tylko na umiejętne szarpnięcia. Bramble na chwilę

przymknęła oczy, tłumacząc sobie w duchu, że wczesno-jesienna mgła to rzecz normalna, zresztą gdy je ponownie otworzyła, nieprzyjemne wrażenie ustąpiło wraz z oparem. Przy bramie pastwiska rozpychały się konie; ich oddechy tworzyły w powietrzu pióropusze pary. Młodsze płały, gibkie, elegancko długonogie. Bramble zerknęła na Sailora, wybiegowego nicponia, ładnego gniadego wałacha o sierści miękkiej jak kaszmirowa wełna. Zdawał się niespokojny i czymś podenerwowany.

„W porze zbioru jeżyn konie robią się nieposłuszne”, mawiał zawsze ojciec. „Wiedzą, że wkrótce wszystko się zmieni”.

- Już prędzej czują, że czas na śniadanie - mruknęła pod nosem Bramble, wciągając dzinsy, i ruszyła na dół.

Przystanąła jeszcze na schodach, żeby wyjrzeć przez wielkie, zwieńczone łukiem okno nad frontowymi drzwiami. Lorenden, wiejski dom, w którym mieszkała od urodzenia, stał w tym samym miejscu, odkąd flota Elżbiety I pokonała i złupiła Wielką Armadę. Wzniósł go, jak głosiła legenda, członek załogi jednego ze zwycięskich angielskich okrętów, ale z tamtych czasów przetrwało zaledwie kilka ceglanych kominów, wokół których postawiono później dom w stylu jakobińskim.

Widniały na nim kolejne warstwy naniesione przez czas, ślady po wszystkich, którzy tu mieszkali. Na tyłach znajdował się stromy, kryty gontem, czterospadowy dach, od frontu zaś pewien zamożny farmer dodał pod koniec osiemnastego wieku modną klasycystyczną fasadę, z kolumnowym portykiem werandy. Bramble, jak wszyscy mieszkańcy Lorenden w ciągu setek lat przed

jej urodzeniem, spoglądając z okna u szczytu schodów, mogła obserwować łuk podjazdu przed domem i konie na pastwisku po drugiej stronie wąskiej drogi.

Dziś rano coś jej nie pasowało, więc przyjrzała się uważniej znajomej scenerii. Żwirowany podjazd kończył się pomalowaną na biało, drewnianą bramą, za którą pasły się konie, a wśród nich emerytowany wierzchowiec ojca, olimpijski medalista Ben, i Patch, podrośnięty źrebak po córce Bena. Nie działo się nic złego, nic konkretnego nie rzucało się w oczy. Zmęczenie sprawia, że człowiek wyobraża sobie katastrofy, które nigdy nie miały miejsca, westchnęła Bramble. Na szczęście, zbliża się już powoli koniec konkursowego sezonu i na horyzoncie rysuje się perspektywa długich, ciemnych, spokojnych zimowych wieczorów. Hałaśliwie zbiegła po szerokich, dębowych schodach, nasłuchując kroków ojca. Poprzedniego wieczoru pokłócili się - ostro - i gniew nie opuścił jej jeszcze na dobre.

Na dole, w kuchni Mop i Muddle, pełne werwy teriery, zaczęły się kręcić wokół stóp swojej pani, a Darcy, złoty, dystyngowany i leniwy lurcher, mieszaniec charta z owczarkiem szkockim, ziewnął i z uśmiechniętym pyskiem wygrzebał się z posłania. Darcy był psem kanapowym, jak zawsze żartował ojciec, wyhodowanym specjalnie do polowania na najlepsze miejsce na sofie. Znalaziono go jako szczeniaka, związanego kawałkiem kabła, ze skórą poranioną świerzbem i sterczącymi przez zmatowiałą sierść żebrami. To bezmyślne, prymitywne okrucieństwo tak poruszyło serce Bramble, że Darcy znalazł dom w przytulnym ciepłe Lorenden.

Jeśli coś byłoby nie tak, tłumaczyła sobie Bramble, one by to wyczuły. Z trudem wciągnęła wysokie buty - przydałaby się nowa para, ale rachunek za kowala miał pierwszeństwo - i otworzyła drzwi, pozwalając psom wybiec przodem. Wyszła za nimi na wilgotnawe, srebrzyste światło wrześniego świtu i ruszyła w stronę stajni, dumy wiktoriańskich Beaumontów.

Pradziadek Bramble - Cygan, Kornwalijczyk albo nieślubny syn jakiegoś księcia, zależnie od tego, której z rodzinnych legend dawało się wiarę - jako młody człowiek wygrał na wyścigach konnych sporą sumę pieniędzy i kupił Lorenden z zamiarem przerobienia farmy na stadninę. Ponieważ do domów prawdziwej szlachty nie miał wstępu, ożenił się z jedyną córką zamożnego miejscowego adwokata. Jego żona i teść pozostawili po sobie ślad, zakładając sady, które zapewniały rodzinie stały dochód, projektując ogrody i budując stajnie, skądinąd bardziej odpowiednie dla znacznie większej posiadłości. Żona jednego z Beaumontów z czasów edwardiańskich uparła się, że dom należy unowocześnić, i kazała dobudować wykuszowe okno w salonie oraz skrzydło z obszerną sienią, w którym na piętrze zainstalowano łazienkę. Tam na biało-czarnej posadzce stała wanna na wysokich lwich łapach; pomieszczenie po dziś dzień pachniało talkiem i linoleum. W latach sześćdziesiątych matka Bramble dodała kolejną łazienkę, całą w kolorze zieleni awokado, stanowiącą, podobnie jak reszta pomieszczeń w tym domu, kapsułę czasu epoki.

Stajnie mieściły się tuż obok domu, we wzniesionych z czerwonej cegły zabudowaniach w kształcie litery U.

Przechodziło się do nich drewnianą furtką w ogrodowym parkanie. Nad całością dominowała stodoła na siano, połączona z gołębnikiem obecnie przerobionym na mieszkanie dla stajennego. Jego dach wieńczył kurek w postaci figurki Mountain Rocket, wyścigowego konia, którego wygrana sfinansowała zakup Lorenden. W swoim czasie projekt stajni był całkiem nowoczesny: każdy koń stał swobodnie w osobnym, widnym boksie, wewnątrz zamontowano zaś żelazne żłoby i kamienne koryta na wodę i położono brukowaną posadzkę o lekkim spadku, aby ułatwiała odpływ nieczystości. Wysoki dach, kryty tradycyjną glinianą dachówką z Kentu, miał zapewniać możliwie najlepszą wentylację podczas gorących, letnich dni. Na zewnątrz ojciec Bramble dodał jeszcze wysypaną piaskiem ujeżdżalnię i sporą metalową karuzelę dla koni.

Bramble, jak co dnia, wzięła się do pracy - porcjowała paszę i przy okazji rzucała okiem na każdego wierzchowca albo przesuwała po nim ręką, żeby sprawdzić, czy nic mu się w nocy nie stało - spodziewając się w każdej chwili nadejścia ojca. Wkrótce się pojawi i zacznie narzekać, i pociągać nosem, jak zwykle z rana.

- Widziałaś Edwarda? - spytała Donnę, stajenną, która właśnie wyszła z mieszkania i wierzchem dłoni ścierała z zaspanych oczu resztki wczorajszego tuszu.

Donna gwałtownie zarzuciła spiętymi w kucyk, tlenionymi włosami, przecząco kręcąc głową.

- Dopiero co wstałam. Trochę wczoraj zabalowałam. Przepraszam.

Tak się kończyła większość wieczorów Donny. Dziewczyna nie oszczędzała się ani w pracy, ani przy zabawie.

Odmierzanie paszy szło zgodnie z programem. Specjalna mieszanka w niebieskim kubelku dla konia, który jeszcze w tym sezonie weźmie udział w zawodach, i nieco łagodniejsza, jęczmienna, w jasnozielonym, dla klaczy, która trzy razy w tym tygodniu zrzuciła właściciela. Inne wiadra: fioletowe, lila, różowe, pomarańczowe i żółte, przypisano każde do innego konia. Koni było w sumie dziewięć, nie licząc emerytów ani młodzieży na pastwisku, która nie została jeszcze przyuczona do chodzenia pod siodłem. Razem dawało to czternaście sztuk. Bramble w każdym boksie wieszała niewielką siatkę z sianem, żeby zająć czymś zwierzęta, podczas gdy Donna usuwała gnój, zrzucając go na parującą stertę na tyłach, i wymiatała całą stajnię, aż lśniła czystością.

Edwarda nie było w kuchni, Bramble poszła więc na górę, do jego pokoju. Ojciec zawsze wstawał najpóźniej około siódmej, a zwykle o wiele, wiele wcześniej. Zastukała do drzwi i pchnęła je ostrożnie, jednocześnie dobierając w myślach słowa. Łóżko stało rozgrzebane i puste.

- Tato? - odezwała się. Nikt nie odpowiedział.
- Savannah, widziałaś dziadka? - zawołała do córki.
- Co? - Savannah, z grzywą jasnobrunatnych kręconych włosów, potarganą od snu, wyszła nieśpiesznie od siebie.

Genetyczne cechy - jasne, szaroniebieskie oczy, gęste, nieposłuszne, poskręcane w niesforne loki ciemnoblonde włosy i budowa ciała przypominająca wyścigowego charta - prowadziły od Edwarda do Bramble i od Bramble

do Savannah, chociaż Savannah odziedziczyła po przodkach wyłącznie kolorystykę, nie posturę. Miała kościec po ojcu, Dominiku Kellym, i jego mocną, szeroką w ramionach sylwetkę. Wszyscy w Martyr's Forstal twierdzili, że Edward, jak na swój wiek, jest zdumiewająco atrakcyjnym mężczyzną, za to Bramble mogłaby o siebie bardziej zadbać. Ona jednak swoje loki ścinała krótko, na chłopaka, a ubierała się schludnie i stosownie, ale raczej mało kobieco. Figura Savannah natomiast składała się z samych krągłości i zanosilo się na to, że w przyszłości dziewczynka będzie musiała na nią uważać.

- Dość późno jak na wstawanie. Dochodzi ósma - odezwała się Bramble do córki z dezaprobatą. - A przy okazji... Nie wiesz, gdzie jest dziadek?

- To w stajni go nie ma? - odpowiedziała pytaniem Savannah.

- Nie. I w pokoju też nie.

- No, gdzieś musi być - odparła Savannah i zamknęła za sobą drzwi.

Bramble oparła czoło o ramę okna w holu i westchnęła, z przyzwyczajenia ponownie zerkając w stronę wybiegu i ogarniając wzrokiem ogrodzenie, drogę i pasące się konie. Obserwowała zachowanie swoich zwierząt od tak dawna, że nawet z odległości umiała odczytać wysyłane przez nie sygnały i po samym wyglądzie określić, czy nie są czasem przestraszone lub chore.

Na pastwisku zdecydowanie działo się coś niedobrego. Bramble przypomniała sobie spowijające sad kręte pasma mgły i lęk, który zniemacka ścisnął ją za gardło. Powietrze na zewnątrz zdawało się matowe. Zjawisko

trudno było nazwać oparem, ale na pewno zakłóciło ono przejrzystość powietrza.

Zmrużyła oczy i osłoniła je dłonią, usiłując przebić wzrokiem blade, rozwodnione słoneczne światło.

- Savannah! - zawołała. - Chodź, popatrz! Savannah wybiegła ze swojego pokoju w nieco przyciasnej piżamie, z której niedawno wyrosła.

- Dlaczego ty zawsze robisz wokół wszystkiego tyle zamieszania? - mruknęła.

Ben zachowywał się dziwnie. Nadstawiał czujnie uszu, unosił wysoko ogon i niespokojnie krążył dokoła czegoś leżącego na ziemi, regularnie szturchając to coś opuszczonym łbem.

- Nic tam nie ma - powiedziała Savannah. Spojrzały po sobie.

- Wiesz przecież, jaki jest Ben.

- Chyba lepiej tam zajrzę.

- To ja się ubiorę.

W milczeniu szły po chrzęszczącym żwirze podjazdu; Bramble na wpół pewna, że marnują czas.

- To dziwne - odezwała się Savannah, kiedy przechodziły przez drogę.

-Co?

- Tam na ziemi leży jakiś pakunek. Albo zwierzak. Może to martwy borsuk?

Również Bramble dostrzegła w wysokiej trawie niewyraźny kształt. Nie przerywając marszu przez pastwisko, wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer ojca. Już on będzie wiedział, co robić.

Spośród trawy rozległo się dzwonienie.

- Tata posiał telefon - stwierdziła.

Savannah pobiegła przodem i przykucnęła nad ciemną sylwetką.

Przez jedną, niekończącą się sekundę Bramble nie mogła pojąć, co widzi. Czas zwolnił, powietrze zamarło.

Edward Beaumont leżał w wilgotnej od rosy trawie, u nóg swojego starego przyjaciela, Bena. Nie poruszał się. Koń niespokojnie prychnął przez nos.

Bramble osunęła się na kolana tuż obok ciała.

- Co się stało? Co ci jest, tato? - zadawała pytania, choć czuła, że to bezcelowe.

Coś wymamrotał.

- Co? - Nachyliła się niżej. - Co mówisz?

Głos ojca był stłumiony i niewyraźny. Nic nie mogła zrozumieć.

- Dzwonię po lekarza. Natychmiast. - Bramble musiała się skupić, żeby prawidłowo wybrać numer. Trzy dziewiątki. - Z komórki jest taki sam?

Savannah wzruszyła ramionami. Przyklękła i wzięła dziadka za rękę.

Bramble z trudem łapała oddech, podając swoje nazwisko i adres.

-Lorenden - powiedziała, czując, jak uspokaja ją znajome brzmienie nazwy. - Za Canterbury trzeba zjechać z A2 i kierować się, zgodnie ze znakami, na Martyr's Forstal; one mówią, że stamtąd już tylko mila, ale raczej dwie i pół mili, za mostem kolejowym i suszarnią chmielu... - Nawet ci, którzy mieszkali tu od urodzenia, gubili się czasem w trójkącie bermudzkiem dróg, tworzących płataninę pośród odwiecznej mozaiki łąk, lasów i pól.

Głos w telefonie dopytywał się o kod pocztowy. Znane od lat cyfry i litery teraz mieszały jej się w głowie, ale dała radę. Czowała, że zasycha jej w ustach, a język zaczyna przeszkadzać przy mówieniu.

Czy pacjent oddycha?

- Tak.

Jest przytomny?

- Tak mi się wydaje. Próbuje nam coś powiedzieć. - Zniecierpliwiona Bramble podniosła głos. - Proszę przestać mnie wypytywać. Przyślijcie tu wreszcie jakąś pomoc!

- Musimy znać odpowiedź na te pytania - wyjaśnił głos. - One nie opóźnią akcji ratowniczej, pomoc jest już w drodze. Czy są jakieś ślady wskazujące na użycie przemocy?

- Przemocy? - Bramble ponownie pomyślała o mgle, a potem o własnych, pełnych gniewu słowach poprzedniego wieczoru. - Nie wydaje mi się... - Jej głos załamał się i przeszedł w szloch.

- Proszę zachować spokój. Nie zdołamy pomóc, jeśli zacznie pani panikować.

- Nie. - Bramble postarała się oddychać nieco wolniej, ale jej głos drżał nadal. - Może upadł? To wygląda na atak serca. Albo udar. Mam certyfikat pierwszej pomocy. Co mogę zrobić?

Kolejna runda pytań. Nie, nie było żadnego krwotoku. Pacjent jest w dobrej formie fizycznej, codziennie jeździ konno. Nie skarżył się na żadne bóle. Nie odwiedzał ostatnio lekarza; prawdę mówiąc, nie chodzi do lekarza prawie nigdy. Ma sześćdziesiąt dziewięć lat, ale nie

wygląda na tyle. Zdarza mu się pracować po czternaście godzin dziennie.

Zasypywanej lawiną pytań Bramble wilgotniały kolana na mokrej trawie. Przyciskała telefon brodą do ramienia i trzymała suchą jak papier dłoń ojca.

- Jest pani sama?

- Jest ze mną córka, Savannah - odparła.

- Byłoby dobrze - usłyszała - gdyby ktoś stanął przy bramie. Żeby karetka łatwiej trafiła pod dom.

- Znajdziecie nas. Będziemy machać od strony pastwiska. Za to trudno jest trafić na drogę do Lorenden - powiedziała Bramble, usiłując wyobrazić sobie znajomą trasę oczami kogoś obcego. Pub Pod Białym Koniem mniej więcej pół mili od domu, wąska droga wijąca się wśród kilku ostatnich poletek chmielu, schowane wśród kępy buków przyczepy kempingowe, w których mieszkali studenci zatrudnieni na sąsiedniej farmie, od czasu do czasu jakieś gospodarstwo czy dom z różnokolorowego kamienia typowego dla North Downs - północnej części wapiennych wzgórz hrabstwa Kent. Co skromniejsze zabudowania wtapiały się w krajobraz, zrastając się z nim w naturalny sposób. W pobliżu znajdowały się domki, w których kiedyś mieszkali robotnicy rolni zatrudniani przez ojca. Niedawno zostały sprzedane: dwa wykupiły osoby mające domy w Londynie (teraz ich na pewno nie ma, bo dziś środa), jeden należał do upartej młodej kobiety, która gotowa była codziennie dojeżdżać dwie godziny do londyńskiego City pociągiem o szóstej rano. Była też stodoła, właśnie przebudowywana przez znanego architekta, wyglądająca jak pozbawiona dachu

ruina. - Dom od frontu, od strony ogrodu, jest ogrodzony cisowym żywopłotem. Takim nierówno przyszyżonym i krzywym - dodała. - Jest tam stara, biała brama. Będzie otwarta. Za nią można zobaczyć Lorenden, za krótkim, żwirowym podjazdem. Dom ma klasycystyczną fasadę i biały tynk. Przed budynkiem rośnie wielki cedr... Pastwisko jest dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie drogi.

Głos w telefonie nie ustawał w idiotycznie szczegółowych dociekaniach.

Wreszcie lista pytań została wyczerpana; karetką, we[^] dług głosu, znajdowała się zaledwie o jakieś dwanaście minut drogi.

Edward Beaumont cicho jęknął i poruszył się, a jego córka zerknęła na zegarek. Proszę, przyjeźdź!, błagała w duchu karetkę, zdejmując sweter i ostrożnie układając zwinięty pod głową ojca. Proszę, przyjeźdźcie jak najszybciej!

Edward uniósł głowę i wyciągnął dłoń.

- Felicity...

- Nie, to Savannah, tato. - Próbowała go uspokoić. -1
Bramble.

- Felicity... - szepnął. - Powiedzcie Felicity... - Reszta była niedosłyszalna. Słowa dobiegały jak z wnętrza szeleszczącej, papierowej torby. - Ja...

Savannah uklękła i znów wzięła dziadka za rękę.

- Co mówisz? Powtórz. - Nachyliła się w jego stronę. -
Powiedz mi, dziadku.

Złapał Savannah za ramię z zadziwiającą siłą.

- Felicity... - wymamrotał ponownie. I dodał słowo,

którego nie rozumiały. Spojrzały po sobie i pokręciły głowami. Potem znów szeptały i wreszcie, dość wyraźnie, jeszcze raz to samo imię. - Felicity... Powiedzcie jej... Bramble zobaczyła, że z oczu ojca znika światło.

- Oddycha. - Savannah wskazała ledwie zauważalnie unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Spoglądając w nieobecne oczy i trzymając go za bezwładną, suchą dłoń, obserwowały nieregularne poruszenia ust Edwarda Beaumonta, szorstki szelest jego oddechu, a potem stopniowe zamieranie wszelkiego ruchu.

Bramble nagle przypomniała sobie całe szkolenie z zakresu pierwszej pomocy i zaczęła reanimację, zawzięcie uciskając klatkę piersiową ojca, a w przerwach pompując mu powietrze do płuc metodą usta-usta. Przestraszona Savannah kręciła się obok. Z wysiłku Bramble zaczęły boleć płuca. Próbowwała oddychać za dwoje, ale za każdym razem, kiedy zaczynała masaż serca, miała coraz silniejsze wrażenie, że usiłuje uciskać bezwładny kawał mięsa.

Nie, nie poddam się. Jeśli będę próbować wystarczająco długo, może się uda, myślała. Nie wolno rezygnować. Ucisk, ucisk. Wdech, wydech. Ucisk, ucisk. Wdech, wydech... Nie ustawała, chociaż resztki rozsądku podpowiadały jej, że nie zdoła ojca sprowadzić z powrotem.

Kobieta z zespołu karetki, ubrana w ciężki, chrzęszczący, wodoodporny kombinezon, łagodnym gestem ujęła ją za ramię i odsunęła na bok.

- Już po nim, kochana. - Bramble usłyszała nad sobą słowa wypowiedziane z akcentem rdzennej mieszkanki Kentu. - Już po nim. Teraz my się nim zajmujemy.

Bramble miewała już do czynienia ze śmiercią; w końcu nie od dziś uczestniczyła w zawodach jeździeckich. Siedem lat wcześniej Dominik, jej mąż, pewnego słonecznego dnia stanął w szranki crossu, lecz go nie ukończył. Zabił go koszmar każdego zawodowego jeźdźcy - klasyczny upadek z obrotem. Jego koń wziął naskok nieco zbyt szybko i zbyt wcześnie, zahaczył przednimi nogami o drążek i przekoziółkował nad przeszkodą, przygniatając Dorna podczas upadku. Bramble, która czekała na swój przejazd tą samą crossową trasą, pamiętała, jak czas zwolnił do serii pojedynczych uderzeń serca. Pamiętała tamten moment, kiedy dotarło do niej, że stało się coś złego, pamiętała twarze otaczających ją ludzi i wrażenie, że nikt nie wie dokładnie, co się wydarzyło. Minuty najpierw wlokły się, a potem przyśpieszyły, aż do nagłego zderzenia z rzeczywistością. Dostrzegła schodzących z trasy widzów, powracających do samochodów w milczeniu, z minami równie posępными jak jej odrętwiałe serce. Jak z oddali słyszała wówczas głosy ludzi oferujących pomoc i pociechę, ale kręciła przecząco głową, wiedząc, że ma dość siły, aby przetrwać.

Patrzyła teraz w nieruchomą twarz ojca, jego na wpół otwarte usta i wpatrzone w przestrzeń oczy, i zastanawiała się, czy apatia sprzed siedmiu lat kiedykolwiek ją opuściła...

Ratownicy - mężczyzna i kobieta - przykucnęli przy ciele Edwarda, ale wkrótce się wyprostowali, a mężczyzna zerknął na zegarek.

- Zgon: ósma trzydzieści sześć - odezwał się rzeczowo.

- Będziemy musieli wezwać policję, kochana - powiedziała kobieta, a Bramble skinęła głową. - Śmierć nastąpiła dość niespodziewanie.

Przez następne pół godziny do Lorenden zjeżdżały kolejne samochody, a dokoła toczyły się prowadzone przyciszonymi, pełnymi szacunku głosami rozmowy. Bramble zdawało się, że pamięta przyjazd oznakowanego radiowozu z dwoma młodymi, umundurowanymi funkcjonariuszami, a potem jeszcze zwyczajnego auta, i mężczyznę w garniturze, który zadawał najwięcej pytań. Obie z córką trzymały się dotąd za ręce, ale poczuły nagłe skrępowanie, więc Savannah zawróciła do domu, aby powiedzieć Donnie, co zaszło. Bramble zaś proponowała herbatę, za którą wszyscy dziękowali i grzecznie odmawiali. Wreszcie mężczyzna w garniturze, który chyba przedstawił się wcześniej jako śledczy z departamentu policji kryminalnej, spytał Bramble, czy dobrze się czuje. Skinęła głową. Oczywiście, dobrze się czuła.

- Tylko trochę mi słabo - dodała. - Ale to przejdzie. Śledczy zamienił parę słów z mężczyzną z karetki, a ten pokiwał głową.

- Ambulans zabierze pani ojca do... szpitalnej kostnicy - powiedział detektyw łagodnie, a Bramble ponownie skinęła głową. Milczała. - Trzeba będzie przeprowadzić dochodzenie w sprawie przyczyny zgonu, ale nie sądzę, żeby wchodziła w grę inna niż naturalna. Przedstawiciele domu pogrzebowego powiedzą pani, co potem. A to moja wizytówka.

Bramble schowała do kieszeni malutki kartonik. Nic nie miało sensu. Dochodzenie, policja, karetka... Przecież to miał być normalny ranek.

- Czy ma pani kogoś, kto się panią zaopiekuje? - spytał policjant. - Jest pani w szoku. Trzeba na siebie uważać.

Bramble spojrzała na niego jak na wariata.

- Muszę zająć się końmi - powiedziała. - Do pomocy mam córkę i stajenną. Damy sobie radę. Ale... Jaki mógł być powód?

- Nie chciała się przyznawać do wieczornej zażartej kłótni. - Czy to mógł być, hm... Stres?

Ratownik ponownie spojrzał w woskowożółtą twarz zmarłego.

- Będzie sekcja. Proszę się tym nie przejmować. Edward Beaumont... - Pokręcił głową. - Strasznie mi przykro. Naprawdę.

Dopiero wtedy do Bramble dotarło, że ona go przecież zna. Mike Tubbs. Oczywiście, syn Briana Tubbsa. Brian dorywczo pracował w Lorenden, kiedy potrzebny był dekarz. Stara wieś, gdzie wszyscy znali wszystkich, zaczynała się zmieniać w wieś współczesną, scentralizowaną, a karetka czy wóz straży pożarnej mogły przybywać z miejsc odległych nawet o trzydzieści mil. Kobieta z ambulansu, z którą pracował Mike, była kompletnie Bramble nieznajoma. Silna, życzliwa z wyglądu osoba, do której ratownik zwracał się po imieniu.

- Tu u nas był znaną postacią, naprawdę - powiedział teraz do Glendy. - Tyle kiedyś robił dla nas, dzieciaków. Sam jeździłem w Klubie Kucyka. Wszyscy chcieliśmy być tacy jak on.

Bramble mocno objęła się ramionami.

- Tak, ojciec sporo pracuje w Klubie Kucyka. - Z trudem przełknęła ślinę. - Chciałam powiedzieć: pracował. - Po raz pierwszy użyła czasu przeszłego.

Glenda i Mike przełożyli ciało jej ojca na nosze z taką wprawą, że prawie niepotrzebne im było wypowiedziane na głos: „Raz, dwa, trzy”.

- Po śmierci jest mnóstwo papierkowej roboty. Ma pani kogoś do pomocy?

- Dziękuję. Mogę zadzwonić po siostrę - odparła Bramble. - Helena... - Głos uwiązał jej w gardle, a ostra trawa u stóp rozmazała się przed oczami. - Siostra mieszka w Londynie - dodała nieco bez sensu. - Przyjedzie tutaj, jak tylko będzie mogła.

Nie miała odwagi się rozplakać. Bała się, że jeśli zacznie, nigdy nie przestanie.

Mike ruszył karetką spod domu i kątem oka dostrzegł poruszającą się po lewej stronie sylwetkę.

- O jasna cholera! - odezwał się do Glendy. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałem...

Ben, stareńki koń, biegł obok pojazdu, wzdłuż ogrodzenia, szybkim, choć nieco nierównym kłusem. Kiedy ambulans przyśpieszył, zwierzę przeszło w niepewny, dawno nieużywany galop. Zatrzymało się w rogu, chlastając ogonem po bokach, i stało tam, nieruchomo jak skała, na baczność, podczas gdy jego pan opuszczał dom po raz ostatni.

Obserwowało karetkę, dopóki nie znikła za skłębionymi zaroślami jeżyn i malin.

- Myślisz, że zrozumiał? - spytała Glenda.

- On wie. Zwierzęta zawsze wiedzą.

Glenda otworzyła schowek na rękawiczki, wzięła sobie landrynkę i podsunęła torebkę Mike'owi.

- To jest zawsze strasznie smutne, prawda?

Mężczyźnie udało się wyjąć lepki cukierek bez przerywania jazdy. Wsunął landrynkę do ust.

- Nawet więcej niż smutne. Edward Beaumont trzymał to miejsce w kupie. Nie wiem, jak sobie bez niego poradzą. Wiesz, był wielkim człowiekiem, ale łatwego charakteru raczej nie miał. Tak przynajmniej słyszałem.

- W jakim sensie? - zacięła się Glenda.

- Trudno powiedzieć. Byłem trochę za młody, żeby się połapać we wszystkim, co się tu wtedy działo, a ludzie nie plotkowali kiedyś tak jak teraz. Byli bardziej lojalni.

Glenda pomyślała, że niewiele się pod tym względem zmieniło, ale postanowiła nie mówić tego na głos.

- No cóż, każdemu zdarzają się błędy - odezwała się pocieszająco. - Ale i tak śmierć w rodzinie potrafi nieźle namieszać.

- Wszystko wywraca do góry nogami - zgodził się Mike, a potem krzyknął i zahamował gwałtownie.

Niespodziewanie znikąd pojawiła się mgła, kłębiąc się nad drogą gęstym, białym całunem. Przy widoczności ograniczonej do kilkunastu centymetrów, karetka wlokła się w żółwym tempie wzdłuż ocierającej się o okna gęstwiny jeżyn.

- Szlag by to! - mruknął. - Jak ta mgła się nie uspokoi, to nie skończy się na jednym zgonie w okolicy...

2.

Helena Harris o szóstej rano wyrwał ze snu koszmar. Leżała w łóżku złana potem i usiłowała opanować panikę. Postanowiła wstać, bo i tak czekało ją mnóstwo zajęć. Zastanawiała się często, jak wiele czasu i zachodu mogliby sobie oszczędzić ludzie, gdyby jadalі śniadania wieczorem zamiast rano, kiedy dzieje się tyle innych rzeczy.

O wpół do dziesiątej spodziewała się przyjazdu fotografa i dziennikarki pracującej dla „Fabulous Homes”. Miesięcznik chciał zamieścić artykuł o jej domu. Helena, kusząc dziennikarkę ostatnimi przeróbkami - czarne posadzki, pomalowana na czarno stolarka i całkowicie współczesne wykorzystanie historycznie tradycyjnych odcieni ściennych farb - liczyła wprowadzić na artykuł w „House & Garden”, ale dziewczyna wróciła ze zleceniem dla mniej prestiżowego magazynu. Helena była rozczarowana. Cóż, dobre i to, w końcu każda prasowa wzmianka podtrzymywała zainteresowanie świata nazwiskiem Heleny Harris, a zawsze istniała możliwość,

że kiedy skończą się szanse w aktorstwie... Nie chciała o tym myśleć, ale nawet popularna aktorka musi mieć wyjście awaryjne. A ona mogłaby kiedyś wyrobić sobie markę jako dekoratorka wnętrz.

Niemal godzinę zajęło jej skompletowanie modnego, choć niekrepującego stroju. Sprawdzała, jak się prezentuje z tyłu, i dobierała buty. Później posprzątała, wszystkie ślady kosmetyków z toaletki i dopiero wtedy wzięła się za rodzinną łazienkę. Przygotowanie domu do artykułu w prasie branżowej kosztowało tyle pracy, że Helena czasem się zastanawiała, czy warto zwracać sobie głowę.

Oczywiście, że warto, powiedziała do lustra, podciągając ramiączka jedwabnej, jasnoniebieskiej koszulki i poprawiając sposób ułożenia fałd kaszmirowego sweterka w podobnym odcieniu. Niebieski to kolor uduchowienia. A poza tym, pasuje do jej jasnowłosej urody typowej angielskiej róży i do leciutko opalonej, nieco piegowanej cery. Czy jednak nie będzie jej nieco zbyt chłodno? Sprawdziła pogodę za oknem. Wokół domu osiadała gęsta, ciężka mgła i Helena nagle poczuła osamotnienie i irracjonalny strach. Może powinna już podciąć włosy? Starannie przystrzyżona, półdługa geometryczna fryzurka stała się wprawdzie jej znakiem rozpoznawczym, jak u Mary Quant czy Anny Wintour, ale jej połyskliwy kontur trzeba było regularnie odświeżać. Zerknęła na zegarek. Na razie nic więcej nie da się zrobić.

Olliemu też jest do twarzy w niebieskim. Ma taką cudownie spraną koszulę w kolorze barwinka, której obszerny fason przydaje mu wyglądu awanturnika; Helenie

bardzo się w niej podobał. Podkreślała jego piwne oczy i ciemne, długie, kręcone włosy.

- Twoja piracka koszula! - zawołała, wrzucając ją do przyległej łazienki. - Musisz wyleżeć wreszcie z wanny, bo ta... Jak jej tam? Będzie tu za chwilę. A łazienkę też chcemy sfotografować.

- Na litość boską... - Oliver Cooper wcale nie był zadowolony, że mu przeszkadzają. Najlepiej myślało mu się w wannie. Helenie jednak nie sposób było wytłumaczyć, że on nie jest w stanie pisać, jeśli nie może rozpocząć dnia w całkowitym spokoju, bez zakłóceń, za zamkniętymi drzwiami łazienki. Mając przynajmniej pół godziny dla siebie.

Ubrał się szybko i otworzył drzwi do sypialni, sprawdzając, gdzie podziewa się żona, a potem szybko zbiegł po schodach i sięgnął po pocztę. Zerknął na górę - w razie gdyby Helena spoglądała ze szczytu schodów - przejrzał listy i dwa z nich schował do kieszeni. Resztę z powrotem rzucił na wycieraczkę, jakby dopiero co zostały dostarczone.

Helena, zbyt zaabsorbowana, żeby coś zauważyć, zastanowiła się przelotnie, co robią dzieci. Eddie uprzedzał, że ma dzień nauki w domu, a bliźniaki najwyżej spóźnią się do szkoły. Mają zaledwie pięć lat, więc nie ominie ich nic ważnego.

- Ania! - zawołała Helena w stronę dziecięcego pokoju. - Zadbaj, proszę, żeby dzieci miały na sobie odcienie niebieskiego, bieli i kremowego! Kiedy każdy wkłada inne kolory, robi się okropna pstrokaczna.

U szczytu schodów pojawiła się opiekunka.

- Słucham?

- Ruby i Roly. Możesz dopilnować, żeby włożyli coś ładnego i niebieskiego? Albo niebiesko-białego. Bez przesady z elegancją, ale też nie za swobodnie. Te małe bawełniane sweterki są słodkie. - Nie była pewna, ile Ania zrozumiała z jej przemowy. Może lepiej iść na górę i wszystkiego dopilnować?

- Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione porządnie, najlepiej zwróć się o pomoc do zabieganej kobiety - mruknęła pod nosem, nie kierując tej uwagi do nikogo konkretnego.

- Eddie, wstałeś już? - Weszła piętro wyżej, usiłując nie zwracać uwagi na klucie w kolanie, z którym miała małeńki problem. Te wysokie londyńskie domy potrafiły utrzymać człowieka w dobrej kondycji! Zastukała do drzwi starszego syna i weszła do środka.

Eddie, cudowny Eddie, którego kochała najbardziej ze wszystkich na całym *świecie*, uniósł się na łokciach, potrząsnął rozczochranymi lokami i zamrugął oczami w nagle zalany światłem pokoju. Ludzie brali go czasem za syna Olliego, więc Helena musiała przyznać, że najwyraźniej ma upodobanie do określonego męskiego typu. Brązowoocy, opaleni piraci i Cyganie. Żli chłopcy. Nie żeby Tim Harris zaliczał się do naprawdę złych chłopców. Po prostu był zbyt ambitny, żeby długo wytrwać przy Helenie i synku. Ollie z kolei też nie był niedobry, a przynajmniej nie do końca. Miał w sobie wystarczająco dużo zادیorności, by żyło się z nim ciekawie.

Eddie miał smutne, brązowe oczy w oprawie wyraźnie zarysowanych, ciemnych brwi i długich rzęs. Nieraz

myślała, że z takimi oczami powinien być dziewczyną, ale potem zawsze przychodziło jej do głowy, że gdyby nią był, ona nie miałaby swojego ukochanego Eddiego.

- Mamo, mam dzień nauki w domu. Nie idę do szkoły, przecież wiesz. - Eddie nie lubił okłamywać matki, ale czasem nie miał innego wyjścia.

- Przychodzi fotograf.

Eddie jęknął, ponownie nurkując w fałdy nieświeżej pościeli.

- Po co to robisz, mamo? Dlaczego ciągle muszą nam robić te zdjęcia?

- Wcale nie ciągle, tylko od czasu do czasu. A poza tym, to część moich obowiązków. Muszę robić takie rzeczy, żeby nie dać o sobie zapomnieć. Chciałbyś może wrócić do Earls Court i znów klepać biedę?

- A czemu nie? - mruknął. - Mnie tam było dobrze.

Jej też, chociaż wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy. Ciąga troska o pieniądze, o to, czy zdąży się jeszcze załapać na dobrą rolę, czy jej kariera wreszcie nabierze rozpędu - wszystko to przypominało rwący prąd, który groził, że ją porwie i wciągnie pod wodę. Gdy jednak sięgała myślami wstecz, pamiętała o tamtym słodko-gorzkim szczęściu. Tylko ona i Eddie, i mieszkanie w suterenie. I Tim Harris, taki przystojny, taki popularny i fajny, który nie poradził sobie z niespodziewanym ojcostwem i równoczesnym wypadnięciem z obsady znanego telewizyjnego serialu. Wyjechał do Hollywood. Do Heleny i Eddiego docierało od niego niewiele informacji i nie docierały żadne pieniądze. Żyli z zasiłku i podrzucanych nieregularnie przez Edwarda Beaumonta pięćdziesięciu funtów.

Ona i Eddie stanowili dla siebie nawzajem cały świat. Kiedy chodziła na przesłuchania, Katinka, mieszkająca piętro wyżej Rosjanka, zwykle zgadzała się popilnować dziecka za parę funtów, ale już na imprezy Helena zawsze zabierała Eddiego na tylnym zderzaku swojego roweru. W tamtych dniach dzieci nie były dobrem powszechnym, więc przez krótką chwilę wszyscy szczebiotali nad jej synkiem, który zaraz potem zasypiał na stosie płaszczy albo oglądał nieodpowiednie filmy na wideo w towarzystwie upalonych producentów i aktorów. Od czasu do czasu jeździł na trochę do dziadka, po którym odziedziczył imię.

- Ma w sobie zadatki na niezłego małego jeźdźca - wyrokował kiedyś Edward, a Helena mocno przytuliła synka do siebie. Nigdy się nie przyznała, nawet przed siostrami, że uważa konie za stworzenia przerażające i niebezpieczne, i nie chciała, żeby i Eddiego pochłoniął ten koński świat. Wypadek Dominika Kelly'ego potwierdził tylko, że miała rację.

Przez kilka lat zanosilo się na to, że Dom i Bramble powtórzą jeździeckie sukcesy Edwarda. Domowi udało się raz wygrać Burghley, a Bramble tego samego dnia zajęła tam dziesiąte miejsce i w efekcie oboje trafili na okładkę pisma „Horse & Hound”: Dom trzy razy, a Bramble raz. Nazywano ich „czarodziejskim małżeństwem dwojga partnerów”. Zaczynali przyciągać uwagę poważnych sponsorów, a dwa z ich koni uważano za wierzchowce z ogromnym potencjałem. Otwarta natura Dorna - był energicznym mężczyzną, nie potrafił usiedzieć w miejscu, lubił się śmiać - sprawiała, że prawie z każdym

poznany człowiekiem umiał nawiązać bezpośredni, niemal serdeczny kontakt. Jeździł tak, jakby ścigały go demony piekieł. Czasami ludzie przebąkiwali, że jeździ za szybko, a ktoś kiedyś powiedział, że Dom powinien się zacząć bać.

A potem zginął. W wypadku, który nie powinien się wydarzyć. Dzień był piękny, słoneczny, a grunt pod końskimi kopytami - pewny. Nic nie rozpraszało uwagi jeźdźców; żaden dumny widz nie błyskał fleszem aparatu ani nie wymachiwał jaskrawym kapeluszem, żaden pies ani królik nie zabiegły drogi. Trasa crossu, choć ambitna, jak najbardziej mieściła się w zakresie umiejętności Doma, a późniejsze dochodzenie w kwestii bezpieczeństwa nie doprowadziło do żadnych wniosków co do możliwości zapobiegania podobnym wypadkom w przyszłości. Świat jeździeckich zawodów uznał, że był to tragiczny przypadek, coś, co może spotkać każdego. Wszyscy wiedzieli, że któregoś pięknego dnia, niemal zupełnie bez powodu, komuś z nich też może się przydarzyć podobny.

Po tym zdarzeniu kariera Bramble zaczęła szybko chylić się ku upadkowi. Nigdy już nie pojechała na takim samym poziomie, a ludzie zaczęli przebąkiwać, że z ich pary to Dom obdarzony był talentem i wolą odniesienia sukcesu. Bez Doma jego żona zaczęła spadać w rankingach.

Edward powiedział córce, że powinna odpuścić sobie wszelkie myśli o zwycięstwach.

- Jesteś dobrym, rozważnym jeźdźcem - tłumaczył jej spokojnie. - I konie ci ufają. Wspaniale je mobilizujesz

i wydobywasz z nich to, co najlepsze, ale nie jedziesz po to, żeby wygrać. Twój rozsądek bierze górę. Za dużo myślisz.

Helena patrzyła na smutną minę siostry, ale wiedziała, że ojciec ma rację. I postanowiła nie pozwolić, żeby Eddie narażał się na tego typu niebezpieczeństwa. Jeśli w efekcie będzie musiała tak układać własne życie, żeby, jej syn nie spędzał w Lorenden zbyt wiele czasu - cóż, zrobi, co trzeba. Eddie jest najważniejszy.

Tak więc wyszła za mąż za miłego, mocno od niej starszego mężczyznę, zamożnego i pobłażliwego, przyjemnego w roli kochanka, tolerancyjnego i łagodnego w roli ojczyma. I wpływowego z punktu widzenia jej kariery - bankiera, pełniącego funkcję nieetatowego dyrektora w zarządach kilku zespołów teatralnych. Mężczyzna był rozsądnym wyborem. Zaoferował Helenie czas na rozwinięcie jej kariery, a Eddiemu zapewnił bezpieczne dzieciństwo. To była właściwa decyzja. Ale zatrzymała nazwisko Tima Harrisa. „Helena Harris” brzmiało bardzo dobrze.

Osiem lat później, gdy była już sławna, a Eddie przebywał w szkole z internatem, wyrozumiały, wpływowy, podtatusiały lowelas Heleny zamienił się w zrzędlivego starca, którego interesowały wyłącznie golf i brydż, i który nie lubił jadać zbyt późnych kolacji.

Helena poznała wtedy na basenie Olliego Coopera; przepływał pięćdziesiąt długości dziennie. Jego najnowszy scenariusz zdobył właśnie nominację do Oscara. Był synem Normana Coopera, aktora. Ollie rozumiał życie Heleny, Helena zaś pozbyła się z domu na Primrose Hill posiwiałego męża i pozwoliła się wprowadzić Olliemu.

- *Jestem* jak Zsa Zsa Gabor - emocjonowała się na przyjęciach.
- Świetna ze mnie pani domu. Mężów zmieniam, ale zawsze zatrzymuję dom.

Po półtora roku Ollie oświadczył jej się w hotelu Gritti Pałace w Wenecji.

- Za pierwszym razem wychodzisz za mąż powodowana młodzieńczą namiętnością - powiedziała Helena do Bramble w dzień swojego ślubu. - Za drugim razem, żeby zadbać o dzieci... - Z satysfakcją sprawdziła, jak wygląda w kremowym, jedwabnym kostiumie.

- A za trzecim... No cóż, to już jest księżę z bajki. Ten jedyny.

- W każdym razie - odezwała się Helena w domu na Primrose Hill, gdzie troje dzieci i niechętny mąż powinni się już szykować do sesji fotograficznej - teraz nie byłoby nas stać na Earls Court. Gdybyśmy stracili wszystkie pieniądze, musielibyśmy się wynieść do...

- Przeszła przez pokój, żeby rozsunąć zamaszystym gestem zasłony, i zaczęła zbierać z podłogi nadające się do prania ciuchy, cały czas usiłując przypomnieć sobie jakąś tanią londyńską dzielnicę. - .. musielibyśmy przenieść się do... Catford. Tak, do Catford. Poza tym wiesz, że pozwoliliśmy ci chodzić do szkoły w Londynie po egzaminach GCSE*, bo obiecałeś przykładać się do dalszej nauki. Więc wstawaj, ubieraj się i bierz się do roboty. I bądź dla wszystkich miły.

*** Odpowiednik polskich egzaminów przeprowadzanych po zakończeniu nauki w gimnazjum (przyp. tłum.).**

- W Catford byłoby czadowo - stwierdził Eddie. - A ja mogę albo się uczyć, albo być miły. Nie naraz. To się zwyczajnie nie uda.

Helena nie mogła powstrzymać uśmiechu. Kochała go naprawdę bardzo, bardzo mocno.

Odezwał się dzwonek. Przed drzwiami stali fotograf Paul, jego asystent Tang, ze stosem toreb i statywów, oraz Fi, dziennikarka. Przysadzista i ubrana na czarno.

- Jaki ładny sweter - zwróciła się Helena do Fi. - Czy to kaszmir? No, dobrze... Kto ma ochotę na kawę, a kto na herbatę? Ziołową? Bezkofeinową? Zieloną?

- Herbata budowlanica - odparł Paul, budząc w Helenie niejasny niepokój. Ostatnio już po raz drugi ktoś ją prosił o „zwykłą, mocną herbatę budowlanica” i przez chwilę wydawało się jej, że chodzi o jakiś nowy, modny gatunek. Czyżby w napojach zaczynała się moda retro?

Fi zeszła za gospodynią do kuchni w suterenie.

Helena opowiadała jej o trudach rozstrzygnięć: czy zdecydować się na stal i lakierowane na niebiesko drzwiczki szafek oraz wielką amerykańską lodówkę, czy też wybrać stylizację nieco bardziej dyskretną i przypominającą zwykły kuchenny wystrój. Oczywiście, styl rustykalny nie wchodził w grę. Za nic nie chciała, żeby cokolwiek przypominało jej zagracony edwardiański kredens i AGE, staroświecką kuchenkę z Lorenden. Helenę naprawdę irytowało, że ojciec i Bramble mieszkali w wiejskim domu, który mógł być ozdobą okolicy, i absolutnie nic z nim nie robili.

- Pani kuchnia jest niesamowita! - zachwyciła się

Fi. - Naprawdę, właśnie dlatego chcieliśmy opisać ten dom! To taki inteligentny chwyt, to nowoczesne wnętrze! I w niczym nieprzypominające kuchennego pomieszczenia...

- Zależało nam, aby cała rodzina mogła się czuć na luzie - wyjaśniła Helena. - Człowiek nie zawsze ma ochotę patrzeć na stertę naczyń do zmywania, prawda? Ale chcieliśmy też mieć kuchnię godną mistrza, oczywiście. Bo oboje jesteśmy ogromnie łakomi i uwielbiamy jeść.

- Uwielbiamy jeść... - zapisała Fi. - A kto gotuje? Pani czy Ollie?

- Ollie jest niezwykle utalentowanym szefem kuchni - odparła Helena.

Fi nabazgrała parę słów o tym, że Helena Harris jest ogromnie skromna, mimo swojej sławy.

- Ale jak to w sumie działa? Ta kuchnia?

- No tak... Cóż, nie chcieliśmy, rzecz jasna, żadnych szafek ściennych, więc zdecydowaliśmy się stworzyć na środku pomieszczenia tę graniastą, rzeźbiarską bryłę. Proszę tylko spojrzeć... - Helena nacisnęła przycisk. - Te panele z nierdzewnej stali kryją zlew i płytę grzejną. Po wysunięciu tworzą blat śniadaniowy, ale kiedy są zasunięte, niczego nie widać. Ciemne drewno blatu jest, oczywiście, wytrzymałym, twardym materiałem. Mam tu gdzieś notatkę na jego temat...

- Czy to droga impreza? - spytała Fi. - Nasi czytelnicy będą chcieli wiedzieć takie rzeczy.

- Och... Dam pani broszurę projektanta, na pewno udostępni szczegóły. Nasz projekt był w pewnym

sensie robiony na miarę. - Dostali też zniżkę, ze względu na nazwisko Heleny i obietnicę reklamy, chociaż nie tak wysoką, na jaką liczyła. Firmy zajmujące się wystrojem wnętrz nigdy nie są tak szczodre jak domy mody... Helena zawsze lubiła pożyczać na większe wyjścia suknie markowych projektantów.

Oprawadzała Fi po domu, dowodząc, że posiadanie, dzieci nie musi automatycznie oznaczać, że nie mieszka się modnie.

- To tylko kwestia odpowiedniego podejścia i rzeczywiście dobrze zaplanowanej przestrzeni do przechowywania. Ruby i Roly bardzo lubią zbierać swoje rzeczy i odkładać je na miejsce, bo szafki zaprojektowane są tak, że dzieci mają zabawę.

Dzwonił telefon, ale Helena uparcie go ignorowała. Do czasu. To była Bramble.

- Mogę do ciebie oddzwonić? - rzuciła szybko Helena. - Powiedzmy, za jakąś godzinę? - Zerknęła na Fi, która pokiwała głową. - Jestem w środku sesji zdjęciowej.

W hrabstwie Kent Savannah wlokła się na górę po schodach, a jej śladem dreptał Darcy. Córka Bramble zamknęła drzwi do sypialni nieco głośniejsze, niż zamierzała, i rzuciła się na łóżko. Zaskrzypiały sprężyny. Darcy zerknął na swoją młodą panią, rozważnie ocenił swoje szanse, a potem wdrapał się na łóżko obok niej, przysiadając najpierw chwiejnie na tylnych łapach, aż wreszcie ułożył się z westchnieniem.

Savannah pogłaskała go po łbie i przytuliła mocno.

Ziewnął jej psim oddechem prosto w twarz i zwinął się w kłębek, z miejsca zasypiając. Przez chwilę Savannah spoglądała na zwierzę z miłością, a potem sięgnęła po komórkę.

„Dziadek umarł. Zadzwoń. Buźka. S.". Zawahała się, zanim nacisnęła „wyślij". Esmes był trochę obcesowy, ale dziewczynka nie była pewna, czy chce wymawiać te słowa na głos.

„Wiadomość wysłana".

Savannah wyciągnęła się na łóżku i zapatrzyła w sufit. Zwykle do wyboru miała odrabianie lekcji albo konie, ale teraz ani jedno, ani drugie zajęcie nie wydawało się właściwe. Rozciągała się przed nią perspektywa niczym niewypełnionych godzin poranka. Poprzedniego wieczoru słyszała, jak dziadek i matka wrzeszczą na siebie po powrocie do domu, a kiedy zeszła na dół, dowiedzieć się, o co chodzi, mama wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Bramble rzadko traciła nad sobą panowanie. Savannah popatrzyła na dziadka, ale on westchnął tylko i pokręcił głową. Wydawał się taki stary i znużony. A teraz już nie żył.

Telefon zawibrował.

-Tak?

- Jak się masz? - Lottie była wyraźnie zszokowana. - Katia przywiozła mnie do dentysty, ale chyba lepiej wyjdę na zewnątrz, bo tu w poczekalni wisi wywieszka, żeby nie korzystać z komórek.

- W miarę nieźle. - Savannah nie była pewna, jak się czuje, ale miło jej było, że ktoś o to pyta.

- Co się stało?

- Upadł na pastwisku. Chyba poszedł tam zerknąć na Bena czy coś. Oczy zrobiły mu się takie dziwne... Jednego nie odrywał ode mnie, a drugie tak jakoś odpływało w stronę nieba... A potem zupełnie znieruchomiał i zrobił się żółty. To było straszne. Wziął mnie za moją ciotkę, Felicity. Chciał jej coś powiedzieć.

- Nie wiedziałam, że masz jakąś ciotkę Felicity.

- W sumie to nie mam. Znaczący, ona jest siostrą matki i tak dalej, ale wyjechała z domu wiele lat temu i nie utrzymuje z nami kontaktów. No wiesz, najwyżej kartka na Boże Narodzenie czy coś. Zwykle wysyła mi dwadzieścia funtów. Jest więc chyba w miarę w porządku. Widujemy ją wyłącznie w telewizji. Robi reportaże wojenne.

Umilkły, bo żadnej z nich zanadto nie zajmowały ani Felicity, ani wojny.

- Mogę do was przyjechać? Wieczorem, jak już oporzędzimy konie na noc. - Savannah nagle zatęskniła za jasnym, widnym, uładowym domem Lottie.

- Jasne. Tylko zapytam.

W tle zabrzmiały niewyraźne odgłosy rozmowy, a potem na linii pojawiła się opiekunka Lottie.

- Savannah! To straszne! Chcesz, żebym przyjechała? A twoja matka? Czy ona cię potrzebuje?

- Raczej mnie nie potrzebuje. - Savannah już schodziła na dół po schodach. - Mamo! Mogę jechać do Lottie? Mogą mnie odebrać po wieczornej stajni.

Bramble, strapiona i potargana, przestała grzebać w papierach na kuchennym stole.

-Co?

- Lottie. Czy mogę jechać do niej do domu?

- Och... Hm, no cóż... Boże, nie mogę zebrać myśli. Konie. Lekcje. - Twarz Bramble była poszarzała ze zmartwienia i Savannah poczuła lekkie ukłucie poczucia winy. Ale przypomniała sobie szybko, że jej matka niemal zawsze była zbyt zajęta, aby odpowiadać na pytania jak należy.

- Okej. Dobra. Jak chcesz. - Bramble ścisnęła dłońmi głowę, a potem wzięła się za otwieranie listów.

- Super, mogę jechać. - Savannah poinformowała koleżankę, ale rozłączyła się dopiero po niepotrzebnie długiej rozmowie o tym, czy Lottie może najpierw przyjechać i pomóc jej szykować konie na noc, o ile matka Lottie się o tym nie dowie, oczywiście. Cecily obsesyjnie pilnowała przygotowań córki do egzaminów GCSE i zmuszała ją do codziennych dwugodzinnych powtórek, chociaż do sprawdzianu wiedzy zostało jeszcze bite osiem miesięcy.

- Helena ma sesję zdjęciową - zwróciła się Bramble do córki, kiedy ta wreszcie skończyła. - Nie mogłam jej powiedzieć o tacie.

- Kto ją fotografuje? - Savannah przeniosła stos książek i papierów w inne miejsce, żeby móc przycupnąć na jednym z kuchennych krzeseł, marząc jednocześnie o luźniejszych spodniach. Nie powinna była poprzedniego wieczoru jeść tych wszystkich herbatników!

Bramble nie odpowiedziała.

- Jesteś trochę blada - zauważyła.

Savannah popatrzyła zdziwiona. Bramble nie zwykła się nad nią użalać, a kilka koleżanek ze szkoły przyznawało

nawet otwarcie, że zazdrozczą jej wyluzowanego stosunku mamy do rodzicielstwa.

- Przynajmniej daje ci trochę niezależności - mawiały zwykle tonem skargi. - Ja codziennie muszę się rozliczać z każdej minuty.

Ale Savannah czasami się zastanawiała, czy matka interesuje się nią choć trochę, czy też może obchodzi ją wyłącznie konie. Czasem zdawało się, że Bramble patrzy na córkę przez mgłę znużenia, jakby zachodziła w głowę, kim Savannah jest i skąd się tu w ogóle wzięła.

Bramble przyjrzała się córce.

- Weź sobie śniadanie. Musisz coś zjeść. Savannah zajrzała do pojemnika na chleb. Leżał tam

czerstwy bochenek, poznaczony plamkami niebieskiej pleśni. Opuściła wieczko, bo ogarnęły ją lekkie mdłości.

- Kto fotografuje Helenę? „Vogue”?

- Nie powiedziała. Może chcesz tosta? Z Marmite? - Bramble wyjęła chleb, najwyraźniej nie dostrzegając, że z bochenkiem jest coś nie tak.

- Nie jestem głodna. - Savannah zaczęła skubać skórki przy paznokciu i wyjrzała przez okno. Od życia powiało niepokojem i chłodem.

Przez Helenę, która wykladała jej szczegółowo swoją filozofię dekorowania wnętrza, Fi zaczynała odczuwać w prawym nadgarstku zespół przewlekłego przeciążenia. I kłucie.

- Uwielbiam pokoje całkowicie pozbawione ozdób, z jednym czy dwoma zwracającymi uwagę elementami. I nie umiem się oprzeć pokusie myszkowania po pchlich

targach i antykwariatach. Te lampy w stylu art deco znalazłam, na przykład, w takim małym śmiesznym sklepiku w lewobrzeżnym Paryżu...

Nie umiała też powstrzymać się przed szperaniem wśród rozmaitych rupieci w Lorenden. Był tam między innymi wspaniały odlew konia w brązie, który wyglądałby pięknie, gdyby tylko o niego odpowiednio zadbać i wyeksponować go w jakimś prostym - a przez to olśniewającym - otoczeniu. Autor rzeźby ostatnio na powrót stawał się modny i Helena spytała ojca, czy mogłaby wypożyczyć figurę. W jej rodzinnym domu stała ona po prostu w kuchni, całkowicie zarzucona rozetkami nagród i okolicznościowymi szarfami, otoczona domowym nieładem.

- Będziesz sobie ją mogła zabrać po mojej śmierci, panienko - uciał ojciec, rzucając jej surowe spojrzenie.

Helena ujęła go pod rękę.

- Och, tato, po co mówić takie ponure rzeczy? Ja myślałam wyłącznie o wypożyczeniu...

- To lepiej nie myśl - parsknął. - Zwłaszcza jeśli to myślenie prowadzi do czegoś takiego. - Ale uszczypnął ją w policzek czułym gestem.

Wkradła się ponownie w jego łaski, wypytując o konie. Niektórzy mężczyźni woleliby pewnie porozmawiać o własnych wnukach, pomyślała. Ale nie Edward Beaumont.

- Jak rozumiem, najpierw mamy zrobić zdjęcie rodzinne. - Do środka wszedł Paul, a za nim Tang z aparatami. - Pani mąż mówi, że musi iść do pracy.

Helena zobaczyła, że Ollie daje jej jakieś znaki.

- Kwiatowe wzory są teraz najmodniejsze - powiedziała, unosząc poduszkę. - O ile doбира się je starannie. Najważniejszy jest umiar - dodała nieco głośniejszym głosem. - Zawsze to powtarzam. Zapisała pani?

Fi zapisała w swoim notatniku: „Najważniejszy jest umiar”, cały czas zachodząc w głowę, jakie jeszcze zajęcia mogłyby być odpowiednie dla nie najmłodszej, nieco leniwej dziennikarki. Jak ona. Helena obdarzona była tym szczególnym rodzajem kruchej, błękitnookiej urody, która naprawdę działała Fi na nerwy, a w dodatku prawiała komplementy w sposób budzący nieklamany lęk. Jeśli zaś Fi pozwalała sobie na odpowiedź, gospodyni spoglądała ze zdziwieniem, jakby taki ktoś w ogóle nie powinien otwierać ust. Chyba żeby zadać pytanie. Czy pod tym wszystkim kryła się prawdziwa kobieta? Skup się na kwiatowych wzorach, skarciła się w myślach Fi i przewróciła stronę w notesie, podczas gdy Helena ustawiała rodzinę do zdjęcia.

- Wygląda świetnie - stwierdził Paul, zamrażając obraz na wyświetlaczu i gestem zapraszając Helenę, by podeszła i sprawdziła osobiście. Musiała przyznać, że zdjęcie udało się znakomicie. Ollie, szczupły i muskularny, z tymi niesamowitymi oczami i włosami do ramion, razem z Rolyem, swoją idealną miniaturową kopią. Cudowny Eddie, no i, oczywiście, Ruby, o takiej samej prostej, geometrycznej fryzurze z jasnych włosów co matka i o jej jasnej cerze. Dopełnienie stanowił Oscar, ich prześliczny miniaturowy shih-tzu, wyglądający niczym maleńki szmaciany dywanik.

Właśnie tego chciała od zawsze. Być sercem szczęśliwej, pięknej rodziny mieszkającej w uroczym domu.

3.

Savannah bawiła się jedwabistymi uszami Darcy'ego i czekała na przyjazd Lottie. Przez cały dzień wprost nie mogła uwierzyć, że gdzieś tam, na zewnątrz, istnieje jakiś świat, że trzeba objeżdżać konie, udzielać lekcji uczniom i że ludzie zajmują się tym, co do nich należy, nie zdając sobie sprawy, że zmieniło się wszystko. Tutaj, w ciepłej kuchni, gdzie całą wolną powierzchnię zajmowały kubki po kawie, domowy kalendarz, jakieś walające się ogłowie, mydło do czyszczenia siodeł, puszka herbaty, kilka opłukanych butelek po mleku, wczorajsze gazety, na wpół opróżnione i zatkane stoperami butelki bordoskiego wina, buty dziadka do konnej jazdy przy kuchennym piecu i jego tweedowa czapka na kuchennym stole, wszystko wydawało się takie normalne. Ale normalne nie było.

Przez stajnię, jak zwykle, przewijali się ludzie, wydając okrzyki zaskoczenia i zarzucając Bramble ofertami pomocy. Donna co chwilę wybuchała płaczem, co w Savannah z kolei wzbudzało poczucie winy. Uważała, że sama też powinna płakać, ale jakoś nie mogła. Jakby

w jej życiu objawiła się pustka, ukryta dotąd za cienką przesłoną, która nagle zaczęła się rozwiewać, odsłaniając absolutnie przerażającą otchłań. Dziewczynka nieczęsto myślała o ojcu - była jeszcze mała, kiedy zginął - ale, czy gdyby był tutaj teraz, na pewno by się nią zajął? A Bramble? Jej kompetentna, wiecznie zajęta matka, która zawsze знаła odpowiedzi na wszystkie pytania, snuła się po domu jak duch. Savannah odnosiła nieodparte wrażenie, że musi wziąć się w garść, bo jest zdana tylko na siebie.

Od czasu do czasu dzwonił telefon. Kiedy Savannah wchodziła do gabinetu, żeby odebrać połączenie, wydawało się jej, że wyczuwa tam obecność dziadka, otaczający go nikły zapach mydła i cytryny, starego człowieka i konia... Zupełnie jakby sam miał wejść do pokoju i podnieść słuchawkę. Jego biurko zarzucone było listami i dokumentami. Na blacie leżał otwarty kalendarz, do telefonu przyklepiono karteczkę: „Zadzwoń do Nicky”, a na gzymsie kominka stały w potrójnym rzędzie zaproszenia.

- Kto to? - Bramble weszła do środka i wyciągnęła rękę po słuchawkę gestem, jakby rzeczą najmniej prawdopodobną pod słońcem był telefon do córki. Wyobraź sobie, że do mnie też czasem dzwonią przyjaciele, miała Savannah na końcu języka, ale zdecydowała, że to nie jest najlepszy moment na takie uwagi.

Dzwonili z Barratt's, od sprzedawcy karmy, żeby potwierdzić zamówienie. Czy mogą je dostarczyć około piątej trzydzieści?

- Tak, może być - odparła cicho Bramble. Westchnęła.

- Chyba lepiej odwołam spotkania taty. Wiem, że je planował po swojemu, ale nigdy się w tym systemie nie połąpałam. - Przystanęła pośrodku pokoju zagubiona.

- Może dziwnie to zabrzmie, ale nie mam zielonego pojęcia, jak szukać Felicity. Czy ona pracuje dla CNN? A może dla BBC? Jakoś tak głupio bez niej organizować pogrzeb, prawda?

Savannah nie widziała przeciwwskazań. To znaczy, rozumiała matkę, ale skoro Felicity sama uznała, że nie będzie sobie zawracać głowy utrzymywaniem kontaktów z rodziną? Nie mogła wymagać, żeby ze wszystkim na nią czekano.

- Jak sądzisz, co dziadek chciał jej powiedzieć? - spytała.

Bramble pokręciła głową.

- Nie wiem. Strasznie dawno z nią nie rozmawiałam.

- Nie była u nas, odkąd skończyłam St Mary's - powiedziała Savannah. - Ostatnio chyba na ślubie Heleny z Olliem...? Pamiętasz? Przyleciała helikopterem dopiero na samo wesele, a potem odleciała z powrotem, kiedy tylko pokrojono tort?

Bramble uśmiechnęła się z roztargnieniem.

- Och, pamiętam. Zdaje się, że namówiła jakiegoś wojskowego pilota, żeby zmienił trasę lotu i lądował awaryjnie. Jeden wielki skandal. Ciekawe, czy miał później przykrości? Tak czy tak - wymusiła na nim podwózkę śmigłowcem. Helena była wściekła; w taki sposób usunąć w cień pannę młodą!

Savannah wyszła do holu i zerknęła do posrebrzanego lustra nad kominkiem.

- Czy dziadek pomylił mnie z Felicity? Przecież ja wcale nie jestem do niej podobna, prawda? A może ona tak wyglądała, kiedy była w moim wieku? - Czekając na odpowiedź, wstrzymała oddech, bo potwierdzenie ucieszyłoby ją nadzwyczajnie. Felicity była smukłą, miała duże, ciemne oczy i kasztanowe włosy, które zwiјаła w kok podtrzymywany ołówkiem, eksponując długą, elegancką szyję. Jej twarz okalało kilka niesfornych loczków, które wyglądały tak, jakby wymknęły się z koka specjalnie po to, żeby dodać ich właścicielce wdzięku. Nawet podmuch śmigła helikoptera nie mógł zepsuć jej charakterystycznego cygańskiego wyglądu, tych licznych naszyjników, mocnych kolorów i wirujących spódnic, które na każdej innej kobiecie wyglądałyby śmiesznie. Felicity umiała je nosić i taki artystyczny styl zdawał się dla niej stworzony. Felicity-buntowniczka. Albo Felicity-samolub.

Savannah, jak i cała reszta Beaumontówien, dorastała, mając we krwi znajomość rodzinnych ról, przypisanych raz na zawsze każdej z dziewcząt kilka lat po narodzinach. Felicity była zbuntowana i skoncentrowana na sobie, ale też błyskotliwa, chociaż marnowała talenty, nie umiejąc się do niczego przyłożyć. Pięknej i ambitnej Helenie czasami przyczepiano etykietkę bezwzględnej. Bramble okazała się spokojnym, łatwym dzieckiem, osobą, która troszczyła się o wszystko. Zawsze pozytywnie nastawiona do otoczenia, choć spierająca się zażarcie, kiedy rzecz dotyczyła opieki nad jej końmi.

Savannah sądziła, że łątkę samolubnej przypięto Felicity zapewne tylko dlatego, że przedkładała ona własne

marzenia nad rodzinne cele. Chciałaby tak samo nie liczyć się z opinią publiczną jak jej przypominająca rajskiego ptaka ciotka. Tymczasem wydawała się samej sobie gamoniowata, ustępliwa i przysadzista. Nienawidziła sposobu, w jaki jej bluzki ciągnęły się przy trzecim guziku od góry.

Co do włosów, Savannah po matce odziedziczyła zwartą plątaninę loków, której Bramble zawdzięczała rodzinne przezwisko.

- Wyglądasz, jakby ktoś cię przeciągnął tam i z powrotem przez żywopłot! - narzekała podobno matka Bramble, a ojciec dodawał: -1 to żaden porządny żywopłot. Już raczej przez *bramble*, gęsty, jeżynowy chruśniak.

Po krótkim okresie, kiedy wołano na nią: „Ty, Jeżynowy Chruśniak!” (przede wszystkim upodobała sobie to określenie piętnastoletnia wtedy Felicity), czteroletnia Helena, nie potrafiąc wymówić poprawnie pełnego imienia siostry - Lavinia - zaczęła mówić na nią krótko: Bramble, i tak już zostało. Savannah pomyślała, że to szczęście w nieszczęściu. Wystarczyło wyobrazić sobie, że ludzie zdrabniają Lavinia do Lav*...

Tak czy owak, od tamtej pory Bramble starała się strzyc włosy bardzo krótko.

Teraz wyszła do holu.

- Nie pamiętam, jak Felicity wyglądała, kiedy miała Piętnaście lat. Chyba w zasadzie tak samo jak teraz. Kiedyś nosiła niesamowite ciuchy, takie króciutkie szorty

lav (skrót od ang. *lavatory*) -toaleta, WC (przyp. tłum.).

i buty na okropnie wysokich platformach. I sztuczne rzęsy, jak olbrzymie pająki.

Savannah przygarbiła plecy. Żaden genetyczny łut szczęścia nie uratuje jej w ostatniej chwili przed losem, który sprawił, że ona i Bramble *nie* należą do delikatnych, kruchych istot, takich jak Helena i Felicity. Co z tego, że Edward mawiał o córce i wnuczce „prawdziwe kobiety”, a kowal powiedział raz do Savannah, że jest „dziewuchą jak rzepa”.

Och, dlaczego nie mogę przypominać Heleny?, pomyślała. Ciotka jest na tyle wysoka, żeby wyglądać olśniewająco, ale nie aż tak, żeby górować nad aktorami grającymi główne role. I jeszcze ta jej zgrabna, dokładnie taka, jak trzeba, sylwetka - pięknie ukształtowane dłonie i stopy, twarz w kształcie serca, biodra w rozmiarze sześć i ogólne wrażenie chwytającej za serce bezradności. Mimo to Helena lubiła - może nieco zbyt ostentacyjnie - narzekać, że wszystko, co kupuje, trzeba zwięzać. Bramble zaś mawiała, że pielęgnacja jasnych, w wystudiowany sposób naturalnych włosów jej siostry kosztuje tyle, ile utrzymanie najwyższej klasy wyścigowego konia.

- Dlaczego nie spróbujesz mejlem? - podpowiedziała Savannah.

Bramble zrobiła niewyraźną minę.

- Och. Wiesz, ja nie za bardzo... Savannah westchnęła.

- Zajmę się tym. W komputerze dziadka na pewno znajdę jakiś kontakt.

Robiąc nieco miejsca w bałaganie na biurku, zabrała się do sprawdzania poczty Edwarda, w większości

dotyczącej spraw stajni, a potem, z niekłamaną satysfakcją, wysłała wiadomość do Felicity.

- Napisałam jej - powiedziała.

- Co? - jęknęła Bramble. - Przecież nie można informować kogoś mejlem o śmierci ojca! Powinnaś jej była po prostu przekazać, że ma do mnie zadzwonić!

- Zrobiłam, co mogłam. Trzeba mnie było uprzedzić. - Matka czasami doprowadzała Savannah do szału. Bywała irytująca, nie mówiąc już o tym, że niemądra. - Jedzie jakiś samochód. - Podbiegła do okna. - Jest Lottie!

Bramble, Savannah, Donna i Lottie wspólnie zajęły się nakarmieniem koni, uprzątnęły ze stajni gnój i narzuciły na zwierzęta derki. Potem wyniosły jeszcze kilka derek koniom pozostałym na pastwisku, przez ramiona przewieszając sobie siatki z sianem. Wysokie buty ślizgały się po błocie, w gardłach zaczynał drapać pierwszy ostry, jesienny chłód.

Wysypawszy zawartość siatek z sianem na ziemię w kilka zgrabnych kopczyków, poczekały w przedwieczornym cieniu, aż konie skończą obiad, despotycznemu Sailorowi zdarzało się bowiem odganiać kłacze i pochłaniać jedzenie samemu. Na niebie liczne szpaki pikowały w dół zwartymi formacjami, niczym wiecznie zmienny strumień wody, a potem chroniły się na noc w mrocznej gęstwinie drzew.

- Myśli pani, że Sailor powinien jeszcze spędzać noce na zewnątrz? - Niepokoila się Lottie, słuchając rytmicznego odgłosu, z jakim końskie zęby z zadowoleniem przeżuwały siano ze sterty. - Nie jest już trochę za zimno?

- Lottie, nic mu nie będzie - uspokoiła ją Savannah.

- Konie są stworzone do życia na świeżym powietrzu.

Kiedy Sailor dołączył do ich stajni, zaledwie dwa lata wcześniej, Lottie błagała, żeby mogła jak najczęściej się nim zajmować, więc Cecily Marsh-Robertson, choć z wielką niechęcią, wyraziła zgodę. Od tamtej pory Lottie nieustannie zarzucała Edwarda, Bramble, Savannah i Donnę pytaniami. „Dlaczego konie, które są na pastwisku, dostają śniadanie? Dlaczego nie mogą po prostu żywić się trawą?”. Bramble przerywała na moment zajęcia i odpowiadała cierpliwie: „Większość kuców aa porządnym pastwisku miałyby się świetnie, ale koń wierzchowy potrzebuje nawet do czterech dodatkowych posiłków dziennie. Plus siana. Zwłaszcza jeśli bierze udział w zawodach”.

Poza tym Lottie rozpaczliwie pragnęła robić wszystko dokładnie tak, jak należy, i trzeba jej było stale dodawać otuchy, zwłaszcza gdy zdarzało jej się popełnić błąd. Jak wtedy, kiedy w pewien letni wieczór nakryła Sailora zbyt ciepłą derką.

- Latem potrzeba mu tylko bardzo leciutkiego kocyka

- tłumaczyła Bramble cierpliwie. - A jeśli wieczór jest bardzo ciepły, to może się w ogóle bez niego obejść. Przykrywamy go derką dopiero we wrześniu, kiedy robi się chłodno, żeby spowolnić porastanie zimową sierścią. Nie musimy jej wtedy zbyt wcześnie przycinać.

Savannah miała nieodparte wrażenie, że jej matka nie do końca rozumie, dlaczego robi różne rzeczy; wie jedynie, że w stajni Beaumontów tak się robiło od zawsze i koniec. Dostrzegając, że niekończące się pytania Lottie

chwilami irytują Bramble albo sprawiają, że mama czuje się tak, jakby musiała się z czegoś tłumaczyć.

- Pewnie ma pani rację. - Lottie objęła Sailora rękami za szyję, a on na krótką chwilę uniósł łeb i spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „No i czego znowu?”. Potem opuścił go i z powrotem zajął się sprawą ważniejszą, czyli malejącą stertą siana. Ale spojrzenie miał łagodne. Na całym świecie najbardziej ukochał sobie Lottie i jej jedynej pozwalał odwrócić swoją uwagę, choćby na moment, od karmy. - On jest taki cudowny! Proszę dotknąć tej sierści. Taka miękka! Aż trudno mi uwierzyć, że on jest mój.

Savannah oparła się o ogrodzenie.

- Była u was dziś rano mgła?

Lottie, nie przestając gładzić Sailora po szyi, zastanowiła się przez moment.

- Nie, chyba nie. Dlaczego?

- Bo dziś z rana pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłyśmy przez okno, była obrzydliwa mgła. Zupełnie jakby coś przyszło po dziadka. Coś wrednego.

Lottie zmarszczyła brwi.

- Na pewno wam się wydawało... - W jej głosie brakowało przekonania, ale z drugiej strony Lottie rzadko bywała czegokolwiek pewna. Chyba że siedziała w siodle.

- Pewnie tak. Skończyły już. Jedziemy do ciebie.

Dziewczynki pozbierały puste siatki, a kiedy z powrotem znalazły się w domu, Savannah pobiegła na górę, żeby wrzucić do plecaka szczoteczkę do zębów. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wyrwie się z Lorenden i ciężkiej atmosfery żałoby i nieszczęścia. Oby na jak najdłużej!

Wróciwszy na dół, rzuciła okiem na matkę. Może jednak, mimo wszystko, powinna z nią zostać? Może mama jej potrzebuje? Savannah dopadła nagła chęć, by rzucić się w szorstkie, znajome objęcia, ale nie mogła tego zrobić przy Lottie.

Bramble pożegnała Savannah machaniem ręki.

- Do jutra. Tylko nie siedźcie za długo!

Bramble sobie poradzi. Zawsze sobie radziła. Potrafiła uporać się ze wszystkim. To oczywiste, że nie potrzebowała Savannah...

Cherry Orchards było wielkie, nieskazitelnie czyste i wiktoriańskie; do jego wystroju przyłożył rękę architekt wnętrz. Lottie zainstalowano w posiadłości w towarzystwie całego tabunu opiekunek. Jej matka dzieliła czas między dom i mieszkanie w Londynie, gdzie spędzała dwa czy trzy dni w tygodniu, prowadząc firmę To Die For Bags. Ojciec Lottie, od dawna żonaty z kimś innym, mieszkał w Hongkongu i na życie córki miał raczej niewielki wpływ. Przyjaciółka kojarzyła się Savannah z bogatą sierotą.

- Kiedy zdarza się coś takiego, moja matka zawsze mówi, że potrzebuje solidnego drinka - odezwała się Lottie z wahaniem, kiedy Katia, opiekunka, zostawiła je same w kuchni przy sałacie i porcji quiche. - W saloniku jest trochę wódki.

- Możemy spróbować - odparła Savannah. - Dziwnie się czuję. Bardzo dziwnie. Może to coś pomoże?

- To szok - stwierdziła Lottie. - Dobrze ci robi brandy. - Znalazła butelkę najlepszej brandy Cecily i obie popróbowowały. Palący w język alkohol wykrzywił im usta.

- Może wódka będzie smaczniejsza? Jak dodamy trochę świeżego soku z pomarańczy?

Była smaczniejsza. O wiele. Zrobiły sobie więc po drugim drinku. A potem po trzecim.

W Lorenden dom pod nieobecność Savannah wydawał się pusty i zimny. W ciszy rodziło się niepokojące wspomnienie tamtego lata, kiedy zginął Dom. Jego twarz już dawno wyblakła we wspomnieniach, ale Bramble wciąż rozpoznawała znajomy posmak smutku niczym unoszący się w powietrzu delikatny zapach perfum. Zupełnie jakby Dom powrócił, żeby wziąć Edwarda za rękę i poprowadzić go w ostatnią podróż.

Trzeba odnaleźć Felicity. Bramble zaczęła grzebać w papierach na biurku w poszukiwaniu numeru do siostry. Zajrzała do ojcowskiego kalendarza. Ktoś zadzwonił, więc przekazała mu nowinę, działając automatycznie, zbyt znużona i zmordowana, żeby choć zorientować się, z kim rozmawia.

- Był wspaniałym człowiekiem - zaskrzeczała słuchawka. - Byłam niedzielnym jeźdźcem, ale dzięki Edwardowi uwierzyłam, że mogę się postarać i konkurować z wielkimi nazwiskami. Pamiętam, jak raz mi powiedział, że jeździectwo to sport, w którym zmagają się ze sobą amatorzy i zawodowcy, kobiety i mężczyźni, młodzi i starzy. Wszyscy razem na tym samym czworoboku. Wywrócił do góry nogami moje myślenie o sobie samej. Był niesamowitym nauczycielem.

- Tak, to prawda.

- I charyzmatycznym człowiekiem! On... On wypełzał sobą każde pomieszczenie.

-Tak.

- Wydawał się zupełnie zdrowy, kiedy z nim rozmawiałam w zeszłym tygodniu...

- Tak - powtórzyła Bramble, której umysł bardzo powoli - ach, jak powoli! - przyjmował do wiadomości konsekwencje nagłej śmierci Edwarda. Trzeba poinformować ludzi, których uczył jeździć, i odwołać lekcje. Ojciec udzielał ich zaledwie raz czy dwa razy w miesiącu, ale jako uznany trener nieźle sobie liczył za takie całodniowe szkolenie. Czasami zdarzało mu się wchodzić do domu, pomrukując: „Cholerny koniowóz potrzebuje solidnych napraw! Trzeba wpisać kolejną lekcję do rejestru”. - Tak czy inaczej, pracowałam z nim ręką w rękę już od dziesięciu lat - zapewniła dzwoniącą. - Więc wszystko będzie się toczyć po staremu.

Po odłożeniu słuchawki zdała sobie sprawę, że trzeba się skontaktować z prawnikiem ojca. Czy w ogóle wiadomo, z czyich usług korzystał Edward Beaumont? Znała nazwisko jego księgowej. Nicky Dawson. Kobieta siedziała u siebie w biurze i odebrała telefon.

Bramble cierpliwie przeczekwała kondolencje.

- Informował cię na bieżąco o sprawach finansowych? - spytała Nicky.

- Nie bardzo. Mówił, że to jego pieniądze i jego firma, i że jeszcze nie zgrzybiał do końca. - Bramble spróbowała kiedyś raz czy drugi poruszyć z ojcem ten temat, lecz została zbyta. Przy okazji wzbudziła w nim taki gniew, że potem nie ośmieliła się już próbować, chociaż uporządkowanie wzajemnych relacji zajmowało bardzo wysokie miejsce na jej liście spraw do załatwienia.

- Tego się właśnie obawiałam. Wiem, że to może nie najważniejszy moment na tę rozmowę, ale... - Nicky, mimo to, mówiła dalej. - Radziłam mu, żeby zadbał, aby chociaż jedna osoba z rodziny miała świadomość, co się dzieje, ale mówił, że na wszystko jest jeszcze mnóstwo czasu. Jednak zakładam, że z grubsza się orientujesz?

- Z grubsza? Tak, naturalnie. - Bramble zdawała sobie sprawę, że słowa Nicky rozbudzają niepokój, który ona dusiła w sobie od jakiegoś czasu. Pieniądze. Chyba nie powinno się myśleć o pieniądzach w dniu czyjejś śmierci? - Nie wydaje mi się... - zaczęła.

- Przepraszam - przerwała jej Nicky. - Nie chciałabym wywierać na ciebie presji, ale naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Dobrze, że choć zostawił ostatnią wolę...

- Naprawdę? - Bramble nigdy nie myślała o testamencie. Zawsze wydawało jej się, że to bardzo odległa konieczność, a nie temat, który porusza się w rozmowie z własnym ojcem.

- O, tak. Wiem o tym, bo go o to spytałam. „Jasne, że spisałem ten cholerny testament, za kogo ty mnie masz? Za kompletnego durnia?”, usłyszałam w odpowiedzi. Pomyślałam, że lepiej tej sprawy nie drążyć, więc nie mam pojęcia, co w nim jest. Ani gdzie Edward go trzyma.

Bramble pokiwała głową, usiłując powstrzymać napływające łzy. Nicky idealnie oddała w słowach popędliwy charakter jej ojca!

- Najgorszą rzeczą - powiedziała Nicky - jest to, że śmierć nie zostawia ci ani chwili czasu na żałobę. Mylisz, że oto wydarzyło się coś wielkiego - i tak faktycznie

jest - ale natychmiast oplątuje cię istna sieć niekończących się drobiazgów, takich jak akt zgonu, likwidacja paszportu i sortowanie stosów papierzysk. Dopadają cię i po *chwili* ledwie dajesz radę funkcjonować. A przynajmniej u nas tak było, kiedy nagle zmarł mój wuj... I przykro mi - dodała łagodniej - ale musisz w miarę szybko znaleźć ten testament. Trzeba się dowiedzieć, co się stanie ze stajnią i co masz zaplanować w związku z końmi. W przeciwnym razie może się okazać, że pod koniec miesiąca nie będziesz w stanie zapłacić rachunków.

Bramble nie mogła się zdobyć na odpowiedź, choć właśnie zrozumiała, że człowiek, któremu wydaje się, że został całkowicie pozbawiony energii, musi ją z siebie wykrzesać. Jeszcze więcej. Musi dobrnąć do końca długiej podróży i tam natknąć na kolejne wyzwanie, a zaraz potem na następne. I ona, i Edward zawsze oczekiwali tego od swoich koni. I od siebie samych.

- Wiem - powiedziała. - Nie martw się. Poradzę sobie. - Przełknęła ślinę. - Porozmawiamy później, kiedy przejrzę już papiery taty, sprawdzę, co z tym testamentem i tak dalej. Podzwonię po okolicznych adwokatach. Daleko pewnie nie szukał?

- Nie musisz tego robić natychmiast - powiedziała Nicky łagodnie, ale Bramble wyczuła, że rzecz jest pilna. Może nie w tej chwili, ale jutro. Nie później. Właśnie to miała na myśli Nicky. - Przyjedź do mnie i porozmawiamy, kiedy już będziesz w stanie stawić czoła temu wszystkiemu. Nie ma pośpiechu. Tylko jedno słówko ostrzeżenia - dodała. - Jeśli rachunki bankowe są

wyłącznie na jego nazwisko, zostaną zablokowane. A ty, bez upoważnień, nie będziesz miała dostępu do pieniędzy, dopóki testament nie zostanie potwierdzony urzędowo. A to może potrwać całe miesiące. Nawet do roku. Możesz wypisywać czeki z firmowego konta?

Bramble pomyślała o kowalu i rachunkach od weterynarza, dających pod koniec każdego miesiąca zdumiewająco wysokie kwoty.

- Nie. - Poczula ukłucie czystej paniki. Żołądek podjechał jej do gardła. - Nie mogę wypisywać czeków - powiedziała do Nicky. - Wszystkim zajmował się tata. Podał mi swój numer PIN, więc mogłam wypłacać gotówkę, ale to wszystko.

- Nie powinnam ci tego mówić, ale wybierz z konta tyle gotówki, ile tylko możesz. I to jak najszybciej! I jeszcze jedno. Nie śpiesz się z zawiadaniem banku o śmierci Edwarda. Daj sobie kilka dni, zanim się do tego zabierzesz, żeby już wystawione czeki zostały zrealizowane. Aha, kiedy w tym miesiącu ludzie będą ci płacić za trzymanie koni w stajniach, niech wpłacają pieniądze na twoje konto, a ty tylko zatrzymaj potwierdzenia. Rozliczysz je z firmą później. W przeciwnym razie możesz mieć spore problemy z płynnością...

- Chyba lepiej będzie porozmawiać na ten temat w przyszłym tygodniu.

- Przyjedź do mnie pogadać, kiedy tylko zechcesz. Poprzesuwam spotkania, jeśli będę musiała - powiedziała Nicky. - I nie martw się za bardzo. Jeśli mogę ci^w czymkolwiek pomóc.

- Nie trzeba, radzę sobie.

Przerzucając papiery na zabałaganionym biurku, Bramble znalazła pod egzemplarzem „Racing Post” książeczkę czekową. Przez jedną krótką chwilę zastanowiła się, czy nie sfalszować podpisu ojca, żeby uregulować najpilniejsze rachunki.

Nie była w stanie podejmować teraz takich decyzji. Nie dzisiaj, nie sama. Edward uważał, że dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, i zawsze na nią burczał, kiedy próbowała poruszać takie tematy.

Do gabinetu ostrożnie wślizgnął się Darcy i ziewnął przeciągle, pełnym wdzięku gestem stawiając obie przednie łapy równiutko obok siebie, tuż przed Bramble, i przeciągając swoje długie ciało w zapraszającym geście. Przekrzywił łeb. Miło byłoby pójść na spacer, mówiły błyszczące psie oczy. Nie żebym chciał ci przeszkadzać, ale...

Ten pies miał znakomite manierey.

- Chyba nie, Darcy. - Bramble pogłaskała go, a on pomachał długim, frędzlowatym ogonem. - Przepraszam.

Pies niespokojnie okrążył gabinet i pisnął cichutko, a potem ułożył się na ziemi tak blisko fotela, że groziło to zmiążdżeniem łap, gdyby Bramble nieostrożnie odsunęła się od biurka.

Czy zabiła ojca ich ostatnią kłótnią? Czy jego serce nie wytrzymało wysiłku, z jakim powiedział jej, że nigdy nie będzie dość dobra, aby na Teddym zajmować pierwsze miejsca? Tylko czy na pewno miał rację?

Później, tego samego wieczoru, siedziała w kuchni, czyszcząc uprząż, zbyt odrętwiała, żeby myśleć.

Na zewnątrz mroczniało niebo. Bramble zanurzała metalowe części każdego strzemienia w wodzie z mydlinami! a potem czyściła je dobrze znajomymi ruchami, tak automatycznymi, że zmieniały codzienną czynność w rodzaj medytacji. Gąbką nanosiła mydło do siodeł, na wodze, przesuwając wąskie niczym wstążki paski skóry między palcami, czując kojący, nostalgiczny zapach środka do zmiękczenia skóry. Polerowała je, dopóki pod dotykiem jej dłoni nie stawały się miękkie i błyszczące. Dopiero kiedy wszystko zostało zrobione, kiedy każde lśniące siodło porządnie spoczywało na swoim stojaku, Bramble mogła odpocząć. W Lorenden była kiedyś w stajni osobna siodlarnia, ale ubezpieczyciel domagał się lepszego zabezpieczenia dobytku, który wcale łatwo można było z niej ukraść. Teraz przechowywano więc sprzęt w szerokim holu na tyłach domu; woń skóry łączyła się tu z aromatem gotowanego jedzenia w ciepły, powitalny zapach. Widok tego cichego ładu nieodmiennie uspokajał Bramble.

Stale wracała myślami do słów ojca. Od śmierci Dorna walczyła o sukces, który jednak ciągle się wymykał; kiedy była już blisko, za każdym razem coś szło na opak.

Żeby zwyciężyć, jeździec potrzebuje odwagi, ciężkiej pracy, talentu i wsparcia bliskich. Ale przede wszystkim - dobrego konia, a o te nie jest łatwo. Jeden z ich najlepszych wierzchowców zaliczył kontuzję na parkuje i na zawsze zakończył karierę skoczka, a za innego Edwardowi zaproponowano znaczną sumę pieniędzy. Z finansami akurat było bardzo krucho. Ojciec rozważył Potencjał zwierzęcia i ryzyko, że coś się nie powiedzie,

zanim ten potencjał uda się wykorzystać, a z drugiej strony wziął pod lupę spływające rachunki. Sprzedał konia. Kolejnego, którego Bramble trenowała dla bardzo sympatycznej i bardzo ambitnej pary mieszkającej w pobliżu, pozbyto się, kiedy mąż miłej pani stracił pracę. Pozostałe wierzchowce - cały ich korowód - po prostu nie stawały na wysokości zadania albo były w nieco gorszej formie akurat wtedy, kiedy to się liczyło.

A może sedno rzeczy tkwiło w umiejętnościach Bramble? Może ojciec miał rację?

- Nie jeździsz, żeby wygrywać - powiedział. - Za dużo myślisz. Zżerają cię nerwy.

- Jeździec, który nie jest przerażony z rana w dzień crossu, to albo idiota, albo kłamca - odparła. - Jasne, że się denerwuję. Wszyscy się denerwują.

- Ale ty nie wkładasz serca w zawody - powiedział.

- Czasem muszę wstawać o wpół do piątej, a nie kładę się przed północą! - krzyknęła. - Każdą chwilę, każdą myśl na jawie, wszystko, bez żadnych wyjątków, poświęcam koniom! Daję z siebie, ile mogę. Wszystko, co mam. Nikt nie mógłby zrobić więcej!

Ojciec potrząsnął głową.

- Odkąd Dom zginął, nie sposób do ciebie dotrzeć...

- Jesteś niesprawiedliwy i doskonale to wiesz - syknęła.

- Jesteś matką - odparł. - A to ci wszystko utrudnia.

- Nie! To nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie do końca pamiętała, o czym mówili potem. A teraz ojciec nie żył.

Było już prawie zupełnie ciemno. Kończył się wyczerpujący dzień i Bramble odczuwała zmęczenie. Panująca

w domu cisza przytłaczała jej ramiona niczym ciężki płaszcz. Tato, pomyślała. Tato.

Nigdy wcześniej nie była w Lorenden sama. Zawsze ktoś się tu kręcił - mieszkający na stałe uczniowie, Savannah, Edward. Nawet Helena, przed małżeństwem z Olliem, ściskająca Eddiego za rączkę opiekuńczym gestem... Ten dom był stworzony, żeby wypełniały go harmider i krzątania.

Widok za oknem, gdzie wśród zielonych liści pojawiały się delikatne ślady jesiennej miedzi, rozmazał się ponownie. Bramble otarła oczy. Nie mogę teraz płakać, pomyślała. Mam jeszcze do wykonania parę telefonów.

4.

Za zadającą tysiące pytań Fi wreszcie zamknęły się drzwi, kiedy na Primrose Hill zapadał wieczór i nadchodziła pora kolacji. Cały ranek zajęło ekipie fotografowanie kuchni, a potem, przez większą część popołudnia, Paul i Tang wydziwiali w łazience, usiłując znaleźć taki kąt ustawienia sprzętu, pod którym aparat nie odbijałby się we wszechobecnych wielkich lustrach.

- Ale się uwinęli! - sarknął Ollie.

- To zawsze tyle trwa - wyjaśniła Helena ze znużeniem. - O Boże, a ja muszę jeszcze oddzwonić do Bram- , ble! Zrobisz mi drinka, kochanie? Bardzo cię proszę. j

Helena wysłuchiwała informacji o śmierci Edwarda z obojętnością, która zaskoczyła ją i zbiła z tropu. Nie czuła niczego. Będzie musiała udawać. Przecież aktorki stale to robią, pocieszyła się w duchu.

Ollie postawił przed nią duży kieliszek zimnego białego wina, a ona chwyciła szkło zachłannym gestem. Nie mogła pozwolić, by Bramble zorientowała się w jej

uczuciach. A czuła się pusta i obojętna. Właściwie to oburzające, że Bramble pozwoliła jej kontynuować sesję fotograficzną, jakby nic się nie stało. Właśnie taka była. Zawsze uznawała, że wie wszystko lepiej. A przez to Helena wyszła teraz na osobę bezduszną.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? - spytała ostro. - Jak mogłaś pozwolić mi ciągnąć tę sesję?

- Nic byś nie poradziła.

- Mogłaś przynajmniej pozwolić mi zdecydować. I dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że tata źle się czuje? Przyjechalibyśmy do was. - Helena próbowała skoncentrować się, mówić to, co należało, i zmusić własną głowę do przyjęcia niemożliwej do ogarnięcia wiadomości o śmierci ojca. - Byłaś przy tacie cały czas, musiałaś zauważyć coś niepokojącego - dodała, usiłując zrzucić na kogoś innego choć trochę poczucia winy za to, że jej tam nie było.

- Nic mu na pozór nie dolegało. Kompletnie nic. Takie rzeczy mogą się zdarzyć w każdej chwili. Zwłaszcza kiedy ludzie się starzeją. Miał już prawie siedemdziesiąt lat, nawet jeśli na to nie wyglądał.

Helena wstrząsnął szloch.

- Sześćdziesiąt dziewięć to nic w dzisiejszych czasach. Beaumontowie zawsze dożywali dziewięćdziesiątki. Och, Bramble, ja sobie z tym nie dam rady! Tobie to dobrze! Ty tak wszystkiego nie przeżywasz...

Po drugiej stronie Bramble poczuła, że odzywa się w niej znajome oburzenie. Na właściwą odpowiedź na Przytyki Heleny zawsze wpadała jakieś trzy godziny. Po rozmowie, a potem przez kolejne trzy dni gryzła się tym wewnątrz.

- Heleno, to zwyczajnie nieprawda - odezwała się, czując, że rozmowa wymyka jej się spod kontroli. Jej słowa nie brzmiały przekonująco nawet dla niej samej.

Helena doprowadziła się wreszcie do płaczu, po części nawet prawdziwego.

- Nikt w tej rodzinie nigdy nie pomyśli, jak ja się mogę czuć! Zawsze tylko te konie i konie!

- Heleno, naprawdę nie jest mi obojętne, co czujesz. Przysięgam.

- Och, nieważne już... Co tam ja! - pociągnęła nosem Helena.
- Przepraszam. Nie chciałam. Tylko że to taki grom z jasnego nieba. Mnie jest trudniej, bo przecież mnie tam nie było... Ty mogłaś się z nim chociaż pożegnać.

- No cóż... W sumie nie tak to wyszło. Helena nie słuchała.

- Czy bardzo cierpiał? Opowiedz mi to wszystko ze szczegółami. Muszę wiedzieć!

Po kilku zdaniach przerwała jednak siostrze, mówiąc, że nie może się skupić - szok jest zbyt dotkliwy - i że jutro z samego rana wsiada do samochodu.

- Czuję ten niesłychany instynkt powrotu do gniazda. Lorenden mnie nawołuje - stwierdziła. - W takich chwilach człowieka ogarnia potrzeba znalezienia się w domu, nieprawdaż?

Bramble wyjrzała za okno, ale zobaczyła tylko głęboki, gęsty mrok i własne odbicie w szybie. Noce zapadały teraz tak szybko. Zadrzała. Może już czas włączyć centralne ogrzewanie? Ojciec nigdy nie pozwalał go

uruchamiać przed końcem października. Zupełnie jakby doświadczała serii wstrząsów wtórnych po trzęsieniu ziemi, Bramble ponownie tąpnęła myśl, że Edwarda już nie ma i nie ma się z kim o to wyklócać.

- Bramble? - spytała Helena ostro. - Jesteś tam jeszcze? Słyszałaś, co powiedziałam? Przyjadę do was jutro. Chcę tam być przy tobie. Do zobaczenia rano.

Bramble otrząsnęła się z zamyślenia.

- Nie, zaczekaj chwilę. Znaczy tak, bardzo chciałabym się z tobą zobaczyć, ale musisz mi jeszcze coś powiedzieć. Czy masz numer do Felicity?

- O Boże! Felicity. - W głosie Heleny zabrzmiała irytacja. - Ona jest beznadziejna! Nigdy nie życzy mi powodzenia w premierowy wieczór i nie ma zielonego pojęcia, kiedy wypadają urodziny dzieci. To znaczy przysyła nam kartkę na Boże Narodzenie i koniec. Nigdy nawet nie pomyśli o kimś poza sobą. Czy ona czasem nie dostała jakiejś niesamowitej nowej pracy? W Hongkongu czy gdzieś?

- Mnie się wydawało, że w Kuala Lumpur.

- W każdym razie gdzieś za granicą. Najlepiej sprawdzić w taty notesie z adresami. Tak mi się wydaje.

- Tylko trzeba jeszcze go znaleźć... -

Bramble odłożyła słuchawkę i o mało nie parsknęła śmiechem. Rozmowy z Heleną bywały potwornie irytujące i kończyły się psychicznymi siniakami, które często długo nie chciały zblednąć, ale nie sposób było nie dostrzec ich zabawnej strony. Zresztą, biorąc je wyłącznie na serio, można było przez Helenę dostać szału.

Dom poskrzypywał. Na zewnątrz było już ciemno, tą kompletną czernią pól i sadów, która zalegała wokół, odcinając Bramble od wszelkiego kontaktu z ludźmi.

Podniosła się. Sprawdziła zamki u okien i okiennic w całym domu, a potem, po raz ostatni tego dnia, zajrzała do stajni. Zmusiła się do przejścia przez opustoszały dziedziniec bez oglądania się za siebie, prawie nie zdając sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Psy podreptały jej śladem. Darcy uniósł łapę przy ziołach, które rosły obok kuchennych drzwi, teriery węszyły wokół za szczurami.

Na odgłos kroków zaciekawione konie *wystawiły* łby nad drzwiami, a potem znów zajęły się siatkami z sianem. Reagująca na ruch lampa zalała światłem pojedyncze boksy. W rogach dziedzińca ukazały się donice z przywiedłymi kwiatami, w centralnie ustawionym korycie zaśniła woda, a na zamykającym czworobok zabudowań drewnianym ogrodzeniu ujawnił się wiatrowskaz z sylwetką wyścigowego konia. Światła w mieszkanku Donny były pogaszone; pewnie dziewczyna siedziała teraz w pubie Pod Białym Koniem, zabawiając zebranych wydarzeniami dnia. Bramble sprawdziła końskie derki, dopełniła wiadra wodą, dorzuciła siana do większości siatek i usunęła trochę gnoju z boksu Teddy'ego.

Musiła nad sobą zapanować, żeby nie wrócić biegiem do przytulnego domu i nie zaryglować za sobą drzwi.

- Chodźcie, pieski - odezwała się głośno. To było do niej niepodobne. Zawsze czuła się w Lorenden absolutnie bezpieczna. Nic się przecież nie zmieniło. Śmierć Edwarda była może niespodziewana, ale nastąpiła z przyczyn zdecydowanie naturalnych.

Próbowała głośno słuchać telewizji, ale nie umiała ignorować odzywających się od czasu do czasu na zewnątrz lisich pisków, nie dostrzegać przelatującej płomykówki, nie słyszeć cichych westchnień wiatru wśród drzew...

Aż podskoczyła, kiedy zaklekotało okno. Jakby ktoś do niego zastukał! Bramble zebrała się w sobie, wyjrzała na zewnątrz i stwierdziła, że to tylko wiatr. Chłostał szyby łodygami przerośniętej wisterii.

- Weźże się w garść - upomniała siebie na głos. - Bo się zrobisz neurotyczna jak Helena.

Obeszła dom i raz jeszcze sprawdziła zamki. Wiatr przybierał na sile. W okolicy często zdarzały się gwałtowne burze, a zerwane dachówki i powalone drzewa nie były rzadkością.

- Te wiatry wieją aż znad Rosji - mawiał kiedyś Edward. - Między nami a tamtymi stepami nie ma nic.

Bramble zawsze się wydawało, że po drodze leżą Niemcy i jeszcze przynajmniej Dania, nie wspominając o mniej znanych zakątkach Europy Wschodniej, ale z geografii była słaba, a Edward twardo obstawał przy swoim. „Uwaga na dziki wiatr ze wschodu”, powtarzał zawsze. „Wieje najmocniej, kiedy się człowiek najmniej spodziewa”.

Przeskakiwała z kanału na kanał, usiłując się czymś zająć, kiedy nagle rozległ się trzask, a telewizor i światła zgasły. Bramble aż podskoczyła, zaczęło jej walić serce. Opierając się pokusie, która kazała jej zakopać się głębiej^w Podniszczoną sofę i nakryć głowę poduszką, powiedziała sobie, że dość już tego dziwaczenia, i zaczęła po

omacku szukać drogi przez pokój. Na półce nad kominkiem stały świece i pewnie leżały też jakieś zapalki. Psy popiskiwały i przyciskały swoje ciepłe, kojące ciała do jej nóg. Sytuacja nie podobała im się w takim samym stopniu jak ich pani. Bramble słyszała ciche powarkiwanie Mopa.

- Cii, Mop - powiedziała. - To nic takiego. Zwykły piorun. - Pies zaskamlał cicho, ale Bramble poczuła lekkie merdanie ogonem. Muddle wciąż drżał, przywierając do jej łydki.

Wydało jej się, że z zewnątrz dobiega jakiś bliżej nieokreślony odgłos, wywołany raczej przez człowieka niż zwykle towarzyszący burzy. Rzadko szczekającemu Darcy'emu nagle wyrwał się głośny warkot, a zaraz potem rozjazgotały się oba teriery. Hałas nie ułatwiał Bramble zorientowania się, co się dzieje poza domem.

Wciąż poruszając się po omacku, sprawdziła lampy na stole. Nie działały. A więc to nie bezpiecznik. Całkowity brak zasilania, pewnie w całej okolicy. Serce zabiło jej mocniej. Czowała, jak tłucze się w gardle, tętniąc szybciej niż zwykle, ale starała się zapanować nad lękiem. To się zdarza, tłumaczyła sobie. Zwłaszcza podczas burz. Przytrafiało się to co najmniej dwa razy do roku. Zakład energetyczny Martyr's Forstal słynął z awarii. Właśnie na takie okazje trzymano w kuchni w Lorenden mocną latarkę i kilka świec.

Bramble ostrożnie przeszła korytarzem, znalazła latarkę i drżącymi rękami pozapalała świece. Ich płomyki zamigotały w kuchni w jakiejś groteskowej imitacji rozjaśnionych świecznikami, radosnych wieczorów, które

spędzano tu, pijąc i śmiejąc się z przyjaciółmi zgromadzonymi wokół wielkiego, dębowego stołu. Gdyby tylko zamrugała oczami, przywołałaby ich z powrotem - Dorna i Edwarda, i wszystkich tych ludzi, którzy zaglądali tu dniem i nocą, czy zima, czy lato, żeby napić się herbaty, wina albo piwa i zagryźć ciastem domowego wypieku lub kawałkiem wiejskiego cheddara i świeżym chlebem. Kuchnia pełna była cieni.

Rozległo się mocne stukanie do kuchennych drzwi. Z frontowych nikt nigdy nie korzystał - zacięły się na dobre przynajmniej ze dwadzieścia lat temu. Bramble odgarnęła włosy z twarzy. To na pewno znowu wiatr albo echo grzmotu w oddali. Pioruny potrafią wyczyniać dziwne rzeczy... Czekała, ściskając latarkę, ledwie odważając się oddychać.

Stała tak, niemal przekonana, że za drzwiami nikogo nie ma, kiedy ponownie rozległo się pukanie. Wyraźne i natarczywe. Bramble wzięła do ręki nóż do chleba i wsunęła go do kieszeni, a potem ustawiła latarkę na pełną moc. Trzymając ją przed sobą, otworzyła tylne drzwi. Bardzo, bardzo powoli.

Blask światła wydobył z mroku mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widziała. Szeroki w ramionach, o zwinnej sylwetce, wydatnych kościach policzkowych i lodowato szarych oczach, które przywodziły na myśl zimowe niebo.

- Przepraszam, że tak późno - powiedział. Patrzyła na niego bez słowa.

- Nazywam się Jezzar Morgan. Jestem nowym objeżdżaczem - dodał. - A tak nawiasem mówiąc, to mało

bezpieczne... Takie trzymanie noża w kieszeni ostrzem do góry.

- Nie zamierzamy zatrudniać objeżdźacza - odparła Bramble.
- Przykro mi, ale trafił pan pod niewłaściwy adres.

Jezzar pogrzebał w kieszeni podniszczonej nieprzemakalnej kurtki i wyciągnął z niej list. Wręczył Bramble kartkę, opatrzoną na dole charakterystycznym podpisem jej ojca.

- To stajnia Edwarda Beaumonta?

Helena odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach.

- Co jest? - Ollie zajął do pokoju, w poszukiwaniu torebki żony. Dyskretnie. Zamierzał wyskoczyć do monopolowego, zanim zamkną, bo to była ich ostatnia butelka, a on akurat nie dysponował gotówką. Helena zwykle nie zauważała brakującej dwudziestofuntówki.

A ona właśnie usiłowała przybrać minę osoby, którą spotkała wielka tragedia, choć nadal nie czuła niczego.

- Przepraszam cię, kochanie, ale obawiam się, że tata umarł...

Nagle zaczęło brakować jej tchu. Ollie wyprostował się i przerwał ukradkowe poszukiwania.

- Nie! Boże, tak mi przykro. To... Ale co? Znaczy, jak do tego doszło? - Przez chwilę w jego oczach pojawił się błysk. Czy to było współczucie? Dawno przeżyty ból? Zaskoczenie? Miłość? Kalkulacja?

Rozłożył ramiona i przygarnął żonę do siebie.

- Uważają, że to atak serca. Nie dowiemy się, dopóki nie zrobią autopsji. Zupełnie niespodziewanie

- chlipnęła Helena. - Ale zmarł na pastwisku, tuż obok swojego starego konia, Bena. Dokładnie tak, jak chciałby odejść. - Pozwoliła się objąć. W ramionach Olliego czuła się cudownie, ciepło i bezpiecznie. Przez moment chciała tak trwać, udając, że nic się nie zmieniło...

Eddie z łomotem minął salon, a potem, po dwa stopnie naraz zbiegł po schodach do sutereny, w której mieścił się pokój dzienny.

- Jutro jadę do Lorenden - powiedziała Helena, kiedy umilkł odgłos kroków syna.

Ollie odsunął się i spojrzał jej w oczy, a ona natychmiast zrozumiała jego myśli. Właśnie to było gwarancją udanego związku - myśleli jednocześnie o tym samym.

Helena wydmuchała nos.

- Wiesz, wszystko przejdzie na Bramble. Przez te przekłete konie.

Ollie zacisnął dłonie na ramionach żony.

- To nie w porządku. Ze względu na ciebie. Absolutnie nie w porządku.

Helena znów oparła głowę o pierś męża.

- Nie, nie w porządku - powiedziała niewyraźnie.

- To nie w porządku i ja tego tak nie zostawię.

- Zaczekaj - powiedział cicho, wprost do jej ucha. Czuła jego usta na swoich włosach. - Czeka, dopóki nie dowiesz się dokładnie, jak wygląda sytuacja.

Pokiwała głową. Czasem Ollie miewał sporo racji.

- Ale pojedę tam jak najszybciej, jak myślisz? Przecież - odsunęła się od niego i ostrożnie dotknęła miejsc Pod oczami, żeby usunąć ewentualne ślady rozmazanego tuszu - Bramble mnie potrzebuje.

- Chcesz, żebym cię tam zawiózł? Zawahała się.

Pomyślała o związanej z tym kolejnej dawce organizacyjnych problemów, o kolejnej porcji instrukcji dla Ani. Nie miała siły użerać się z tym wszystkim. Musiała po prostu jak najszybciej dostać się do Lorenden.

- Nie trzeba. Może powinnam pobyć z Bramble sama? Byłam wobec niej trochę opryskliwa przez telefon, a wcale nie zamierzałam. To chyba szok. W głowie mi się nie mieści, że *nie* dostrzegła niczego złego, ale... - Pocałowała męża lekko w policzek. - Wolałabym, żebyś dopilnował gospodarstwa, dobrze?

W jego oczach znów pojawiło się to coś. Na jedną króciutką chwilę.

Wzruszył ramionami.

- Jasne. Staram się tylko o ciebie zadbać. Przecież wiesz.

Helena popatrzyła Oliemu w oczy i poczuła głęboką łączącą ich więź. Było tak od pierwszej chwili, kiedy się poznali. Wszyscy inni stapiali się w niewyraźny tłum. Takie chwile zdarzały się im teraz rzadziej, ale jednak.

Telefon zadzwonił ponownie. To była Angelina Woody. Supermodelka. Żona dawnej gwiazdy rocka, Chrisa Woody'ego. Wśród takich właśnie ludzi Helena czuła się na swoim miejscu. To dlatego tak starannie wybrała szkołę dla Ruby i Roly'ego. Angelina Woody była bardzo smaczną mamuszką, z pomalowanymi paznokciami u nóg i z grzywą jasnoblond włosów, a Chris ze swoją zmierzwioną, siwiejącą czupryną, nieogoloną twarzą i wyraźnym lekceważeniem dla milionów, od których

pękało mu konto bankowe, był tak odświeżająco odmienny od typowego zestawu prawników i lekarzy, rojących się w szkole Eddiego podczas uroczystości rozdania świadectw. Helena postarała się wziąć się w garść.

- Och, Angelino, tamto przyjęcie w zeszłą niedzielę było po prostu wspaniałe! Roly i Ruby mówią o nim bez przerwy. I jak pomysłowo zorganizowałaś salon piękności dla dziewczynek! Znakomicie się bawiły. Pewnie jesteś kompletnie wykończona?

- No tak... W poniedziałek musiałam lecieć do Mediolanu, więc owszem, trochę dostałam w kość - przyznała Angelina. - Ale cieszę się, że ci się podobało. Twoja mała Ruby to rozkoszny brzdąc. Wiesz, że próbowała malować wszystkim usta lakierem do paznokci?

Było powszechnie wiadome, że w ostatnich czasach nie liczą się te imprezy, na które człowiek sam jest zapraszany, ale te, na które chodzą jego dzieci. Przyjęcie u Tangerine Woody było nie do przecenienia, zwłaszcza że dzieci były jeszcze na tyle małe, iż musieli im towarzyszyć ojcowie i matki. A tym państwo Woody proponowali szampana.

Ollie brylował, objając się leniwie po ich pełnej szklą i stali kuchni. Był bez wątpienia najatrakcyjniejszym wśród obecnych mężczyzn. Niektórzy inni ojcowie już zaczęli wyglądać na ludzi w średnim wieku, ale Ollie był smuklejszy niż kiedykolwiek. I jeszcze te jego Wspaniałe, brązowe, lekko podkrążone oczy! Wyglądał jak znużony anioł, jeszcze bardziej rozpustny niż sam Chris Woody. Kiedy sięgał po kolejną butelkę albo prostował się, żeby złapać rzuconą piłkę, pod jego znoszoną

koszulką rysowały się smukłe, ładnie zarysowane mięśnie, sylwetka gospodarza zaś była efektem wielogodzinnych ćwiczeń na siłowni. Większość pozostałych ojców błyskała tylko czasami skrawkiem miękkiego jak żelowa pianka *dala*. Helena dostrzegała ich zawistne spojrzenia i sposób, w jaki niemal bez udziału świadomości próbowali wciągać brzuchy.

-Ruby to naprawdę cukiereczek - powiedziała do słuchawki Angelina. *Czasami celowo* posługiwała się mieszanym, brytyjsko-amerykańskim akcentem. - Zadzwoiłam, bo chyba zostawiła u nas torebkę od Gucciego.

- Hm... Nie, to nie nasza. - Helenie nagle coraz trudniej było skupić się na słowach Angeliny. - To znaczy: nie wydaje mi się.

- Wszystko u ciebie w porządku? - Po drugiej stronie zabrzmiała niekłamana troska.

Helena nie była gotowa na zwierzenia. Trywializowanie śmierci własnego ojca wydawało jej się nie na miejscu. Nie można przecież tak, ni stąd, ni zowąd, wspominać o tym przez telefon, jak o jakimś drobiazgu. Przeważała nuta życzliwości w głosie Angeliny.

- No cóż... - Z przerażeniem poczuła nieudawane, niemożliwe do opanowania łzy. Nie mogła jednak płakać w telefon kobiecie, którą ledwie знаła. - Niestety, przed chwilą się dowiedziałam, że mój ojciec nie żyje. - Słowa skryzalizowały się w fakt. Helena zdała sobie sprawę, że nigdy już nie poczuje przy pocałunku szorstkiego muśnięcia policzka Edwarda ani nie usłyszy już nigdy głosu, jakim nawoływał psy.

- Bardzo mi przykro - powiedziała szczerze Angelina. _ To straszne. Mój własny ojciec opuścił nas zaledwie pół roku temu, więc wiem, przez co przechodzisz. Czy twoja matka żyje?

- Nie. - Helena wydmuchała nos, jak zawsze zdziwiona, kiedy ktoś wspominał o jej matce. - Umarła już dawno temu. Byłam jeszcze bardzo mała. Słabo ją pamiętam. - To nie była do końca prawda.

- Tak mi przykro - powtórzyła Angelina. - Wiem, że to banalne pytanie, ale czy mogę ci w czymś pomóc przy bliźniętach? Jeśli trzeba, żeby ktoś się nimi zajął na czas pogrzebu czy coś takiego, dzwoń do mnie w pierwszej kolejności. Obiecujesz?

Helena zawstydziała się, bo przez moment odczuła coś w rodzaju zadowolenia. Mogłaby mówić, że na czas pogrzebu pozostawiła Ruby i Roly'ego u Woodych... Przecież Chris był praktycznie jak Mick Jagger! Podziękowała jednak Angelinie, odłożyła słuchawkę i podparła głowę rękami. Pewnego dnia, Heleno Harris, zapowiedziała sobie, staniesz się lepszym człowiekiem. Mniej snobistycznym i naprawdę życzliwym ludziom. Ale na razie musisz po prostu utrzymać głowę nad powierzchnią wody. Dla Eddiego. Dla Ruby. I dla Roly'ego.

- Dzwoniła Angelina Woody - odezwała się, odkładając telefon i podnosząc Oscara, żeby go przytulić.

- Naprawdę? - W głosie męża pobrzmiwało znużenie- Helena przypomniała sobie, że w trakcie przyjęcia flirtował z Angeliną. No cóż, nic w tym złego, pomyślała. Ufała Olliemu. Najlepiej będzie, jeśli zaproszą do siebie

Woodych na lunch którejś niedzieli. Przecież Ruby i Tangerine bardzo się zaprzyjaźniły.

Ale z drugiej strony... Może jednak powinna była przystać na propozycję Olliego zawiezienia jej do Lorenden? Jeszcze nigdy mu nie odmawiała. W żadnej sprawie.

Wypiła kolejny łyk białego wina, chcąc się jakoś uspokoić, i postanowiła, że nie będzie zamartwiać się Olliem. Z tym poradzi sobie później.

5.

Nad Lorenden otworzyło się niebo i runął z niego potop, zalewając tę stronę domu i spływając strumykami po wysokich butach Jezzara. Bramble szybko cofnęła się przed deszczem.

- Niech pan wejdzie do środka. Obawiam się, że nie mamy światła. Czasem bywają tu problemy z prądem.

Żeby wejść, lekko pochylił głowę. W jakobińskich czasach ludzie najwyraźniej bywali niżsi.

- Nie wiem, co ojciec panu powiedział - odezwała się. - Ale...

- Z trudem przełknęła ślinę i odwróciła głowę, wskazując latarką w stronę kuchennych drzwi, tuż za rzędem świeżo wypolerowanych uprząży.

Ruszyła przodem, starając się, aby mężczyzna nie usłyszał drżenia w jej głosie.

- Ale - powtórzyła - mój ojciec zmarł dziś rano, niestety. Zupełnie niespodziewanie. I nigdy nie poruszał ze mną tematu objeżdżacza. - Obok płonącego w duszy Bramble poczucia winy zatliła się iskierka gniewu. - Prowadzę stajnię ojca - powiedziała, biorąc drżącą ręką dwie

kolejne świece. - Miewamy czasami pracujących u nas uczniów, ale, jak sądzę, nie o czymś takim rozmawiamy? Mówiąc „objeżdżacz”, ma pan zapewne na myśli kogoś, kto wie o koniach wszystko?

Serce zabiło jej szybciej. Ona zajmowała się stajnią, ojciec stroną organizacyjną interesu. Zastanowiła się, ile i co przed nią ukrywał.

Jeżzar zignorował ostatnie pytanie i przystanął na środku. Ciemne, mokre włosy lepiły mu się do czoła.

- Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Pani ojciec był wielkim człowiekiem i bardzo niezwykłą osobowością. Mam nadzieję, że nie wystraszyłem pani, pojawiając się o tak późnej porze? - W jego głosie pobrzmiwał arystokratyczny akcent oficera armii, z nalotem jakiejś jeszcze intonacji, której Bramble nie umiała określić. - Bardzo przepraszam za to wtargnięcie. Pojadę już. Znajdę sobie jakiś nocleg...

- Nie, proszę poczekać. - Bramble czytała list w świetle latarki. - Tu stoi, że ma pan mieszkać na strychu. I jeździć w konkursach na Teddym i innych koniach. - Odłożyła kartkę. Zrobiło jej się zimno ze strachu. Jej ojciec zatrudnił innego jeźdźca! Zapewne to właśnie chciał jej powiedzieć wczoraj wieczorem. A ona mu na to nie pozwoliła, wychodząc z pokoju i zatraskując za sobą drzwi.

- Teddy to koń dla mężczyzny - powiedział wtedy.

- Jeżdżę na Teddym, odkąd skończył pięć lat. To ja zrobiłam z niego konia, którym jest dzisiaj.

- Jest silny, byle co go płoszy i trudno go utrzymać.

Na razie jakoś ci się udawało - ledwie, ledwie - i jakimś cudem zakwalifikowałaś go do czterogwiazdkowych konkursów. Ale w przyszłym sezonie będzie musiał pójść o krok dalej. Potrzebuje na grzbiecie silnego mężczyzny.

Bramble znów poczuła w gardle smak lęku. Zdawało się, że w ostatnich dniach czaił się wszędzie, ale zdecydowanie nie zamierzała mu się poddać.

- Kobiety są tak samo dobre jak mężczyźni - odpowiedziała ojcu. - Nie ma żadnej różnicy.

- Są równie dobre - odparł. - Ale różnica istnieje.

- Nie ma jej! - krzyknęła i wtedy właśnie wyszła.

- Wygląda na to, że jest pan naszym nowym jeźdźcem. - Bramble z trudem zdobyła się na spokojny ton. - **1** ten adres, na który ojciec pisał... To gdzieś niedaleko Newcastle. Kawał drogi.

Jeżzar stał i milczał.

- Więc jeśli chce pan wyjechać... - ciągnęła Bramble odruchowo. - Czy ma pan dokąd?

- Poradzę sobie.

- Nonsens. - Spojrzała na zegarek. - Jest prawie północ, a tu nie ma pan co marzyć o noclegu. Nigdzie pana nie przyjmą o tej porze. Nawet nie odbiorą telefonu, a co dopiero mówić o otwieraniu drzwi. Lepiej będzie, jeśli dzisiaj zostanie pan tutaj.

Zawahał się.

- Bardzo pani uprzejma - stwierdził oficjalnym tonem. - Przykro mi, że w taki sposób się narzucam. Nie miałem pojęcia...

- To żaden kłopot, nie ma o czym mówić. - Bramble

znów się znalazła na znajomym terytorium. Furię zdusiła głęboko. - Łóżko w pokoju gościnnym czeka.

Wydało jej się, że w jego oczach dostrzega współczucie, ale w migotliwym świetle świec trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

- Pokażę panu drogę - zaproponowała.

- Wystarczy mi jakaś kanapa. Cokolwiek. Bramble zaprowadziła go na górę.

- Mamy sześć sypialni. W każdej stoi porządne łóżko. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby nocował pan na sofie.

To niesprawiedliwe, tato, pomyślała. Tak strasznie niesprawiedliwe! Dlaczego nie omówiłeś ze mną tego tak jak trzeba?

„Próbowałem”, usłyszała w głowie znajomy głos. „Nie chciałaś słuchać”.

Szeroko otworzyła drzwi od gościnnego pokoju i wskazała Jezzarowi starą łazienkę po przeciwnej stronie korytarza. Tę, w której stała wanna na lwich łapach, pachnącą pudrowym, stęchłym zapachem dzieciństwa i linoleum.

Potem, robiąc na szybko jajecznicę dla nich obojga, zerknęła jeszcze raz na list. Sprawa była całkiem jasna. Został zaadresowany do majora Jezzara Morgana, który miał trenować konie i jeździć na nich w zawodach. W zamian za niewielką pensję i dach nad głową.

Eddie Harris wyczuwał nastroje matki. Wiedział, że inni ludzie - kolejne opiekunki do dzieci albo matki jego przyjaciół z wczesnego dzieciństwa - narzekali

na Helenę za jej plecami, ale pierwszych parę lat życia, kiedy był jedynakiem zanurzonym w świecie dorosłych, nauczyły go słuchać, nie rzucając się w oczy. Matka bywała trudna, przyznawał to, ale uwielbiała rodzinę i bardzo ciężko pracowała na jej utrzymanie. Otoczenie rzadko rozumiało, jak trudną pracą jest aktorstwo ani dlaczego Helena nie ma czasu na przygotowywanie kostiumów do szkolnych przedstawień czy pieczenie ciastek na letni festyn, ale on wiedział, ile mama dla niego robi. No cóż, teraz już dla nich wszystkich... Nie wiedział tylko zbyt dokładnie, w jaki sposób, o ile w ogóle, dokłada się do tego Ollie. Eddiemu wystarczało jednak, żeby Ollie uszczęśliwiał jego matkę. Od czasu do czasu jednak mama przez niego cierpiała; jak choćby w ostatnich dniach. Eddie postanowił więc dowiedzieć się, co się dzieje. Zdawał sobie sprawę, że Helena pod wszystkimi pozorami wyrafinowania jest szalenie bezbronna. A teraz najwyraźniej coś jej dolegało.

- Co ci jest, mamó? - Objął ją ramieniem.

Helena wydmuchała nos i wsparła się na piersi syna.

- W głowie mi się nie mieści, że tak wyrosłeś! - Znajomy refren, który kiedyś sprawiał Eddiemu przyjemność, teraz zaczynał działać mu mocno na nerwy. Czekał. Helena nigdy nie umiała niczego długo przed nim ukrywać.

- Przykro mi, ale dziadek zmarł.

Eddie zdumiał się głuchym łomotem we własnej piersi. Jakby ktoś go uderzył z całej siły.

- Dziadek? Ale jak to? - Miał nadzieję, że coś źle zrozumiał.

- W Lorenden, dziś rano. Wszyscy sądzą, że to atak

serca. Pewnie nie przejmiesz się za bardzo, bo dość słabo go znałeś, ale ja... No cóż, to był mój ojciec. Eddie odsunął się od matki.

- Przecież go znałem! I chciałem poznać lepiej, ale ty nie chciałaś mi pozwolić! A teraz odszedł!

- Eddie, Eddie... - Helena wyciągnęła do niego rękę. Eddie był takim kochanym chłopcem. Nigdy się nie awanturował, jak ci nieokrzesani synowie znajomych. - Nie denerwuj mnie w taki sposób. To nie do pojęcia, że mówisz tak okrutne rzeczy... Przecież to mnie umarł ojciec.

- Przepraszam, mamó. - Uściskał ją machinalnie, pogrążony we własnych myślach. Zawsze planował, że po końcowych egzaminach, po A levels*, pojedzie do dziadka i zamieszka u niego jako pracujący uczeń. Edward, syn Heleny, był jedyną osobą na świecie, która mogła wymóc na matce zgodę na podobne przedsięwzięcie.

Nie mógł uwierzyć, że jego dziadek już nie przechadza się po Lorenden długim krokiem, ze zmrużonymi oczami, którymi oceniał konia albo jeźdźca. „Eddie, kiedy skaczesz”, mawiał, „pamiętaj, że koń to potencjalny łup dla drapieżnika. Widzi świetnie wokół siebie, bo musi wiedzieć, czy nic go nie ściga. Ale tuż przed sobą ma ślepy punkt. Więc to ty musisz patrzeć w dal. Musisz robić to za niego. Musisz stawiać mu wymagania. Jesteście partnerami, ale to ty siedzisz w fotelu kierowcy”.

Eddie dostrzegał, jak oczy Edwarda rozświeślały się na jego widok, i bardzo lubił przesiadywać ze starszym

*** Odpowiednik polskiej matury (przyp. tłum.).**

panem, który pokazywał mu, jak czyścić siodło, i gawędził z nim o trasie zawodów, skarżył się na wewnętrzne tarcia w Klubie Kucyka („Matka chłopca z Klubu Kucyka to najbardziej nastawiona na rywalizację istota na świecie”, pomrukiwał) i udzielał wskazówek: „Nie bierz za dużo oleju, bo szwy przegniją”. Wspomnienie przywołało cień zapachu mydła do siodeł, koni i wilgotnej szmatki. Chłopak zdusił jęk żalu.

Spokojnie wyplątał się z objęć matki i poszedł na górę, do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Włączył U2 tak głośno, jak tylko się odważył, a potem rzucił na łóżko, schował twarz w dłoniach i zapłakał suchym, chrapliwym, męskim szlochem, od którego pękało mu serce. Nigdy jeszcze nie doznał takiej straty. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że ból może być aż tak okropny. Edward Beaumont stanowił część jego życia, tak samo jak Słońce czy Księżyc - odległy, ale wieczny i całkowicie, bezwzględnie potrzebny, jeśli świat miał się nadal obracać.

Leżał tak przez resztę wieczoru, aż wreszcie ze znużenia zapadł w sen, wyciągnięty w poprzek wąskiego, pojedynczego łóżka, nadal w ubraniu. Helena zastanawiała się, czy nie powinna zajrzeć na górę i sprawdzić, co się dzieje, ale trochę nie śmiała. W ostatnim czasie jej syn zachowywał się całkiem jak mężczyzna; z jednej strony imponowało jej to, a z drugiej kazało postępować nieco ostrożniej.

Teraz jednak prezentował typowe zachowania nastolatka. No cóż, nawet jej ukochany Eddie musiał od czasu do czasu zrobić jakąś scenę. To przez te hormony.

Bramble ugięła się pod brzemieniem zmęczenia i żalu, ale tłumaczyła sobie, że major Jezzar Morgan nie ponosi za to najmniejszej winy. Wypadało go przyjąć, jak należy.

Kiedy wrócił do kuchni, prąd właśnie został włączony i oboje załało jasne światło. Mężczyzna był nieogolony, a ciemny, mocny zarost nadawał mu wilczy wygląd. Wilk z jakichś mroźnych okolic; zwłaszcza te jego szaroniebieskie oczy, pomyślała. Wreszcie skojarzyła.

- Ja wiem, kim pan jest! - zawołała. - Oczywiście! Ależ mi głupio, że od razu nie poznałam!

Uklonił się.

- Raczej nie jestem sławny.

- Jak to nie? Oczywiście, że tak - odparła, wyłączając część lamp. W świetle świec kuchnia robiła się bardziej przytulna. - Pan jest w połowie Rosjaninem, czy jakoś tak...

- W połowie Tatarem - odparł. - Moja matka była Tatarką, nie Rosjanką. Kiedyś to my rządaliśmy Rosją. Przez całe wieki.

Jego przypominające kształtem migdał oczy (o barwie nieba w miejscu, w którym spotyka się ono z morzem w mroźny poranek) i sposób trzymania się silnej, smukłej postaci znamionowały dumę.

- Jasne - powiedziała Bramble, kiwając głową. - Czytałam wywiad. Czy to czasem nie „Horse & Hound” nazwało pana Skaczącym Jeżem? Na okładce? Wtedy, kiedy wygrał pan...

- Kiedy wygrałem Thirlestane.

- Może jajecznicę?

- Wspaniale!

-Wobec tego... Tylko szczerze. Skąd się pan tutaj wziął? Myślałam, że jeździ pan dla Penny Luckham. Ona ma o wiele lepszą stajnię niż my.

- Jeździłem. Ale mnie wylała. Dość niespodziewanie.

- Dlaczego? Zawahał się.

- Bo... Hm... Miałem romans z cudzą żoną.

- To trochę staroświeckie, nieprawdaż? I raczej bez wpływu na pańską jazdę?

- Penny się to nie podobało.

Bramble grzebała w zapamiętanych plotkach. Czy Jezzar nie mieszkał czasem z tą całą Penny?

- Och... - odezwała się. - Pan i Penny?

Skinął głową, wsuwając jajecznicę tak, jakby umierał z głodu.

- Rozumiem - powiedziała. - A mojego ojca poznał pan...? - Usiłowała jakoś stłumić tłący się w głębi duszy gniew. Jak Edward śmiał? Czy ona, Bramble, w ogóle się dla niego nie liczyła?

- Zawsze powtarzał, że jeśli kiedyś będę chciał przenieść się na południe, mogę się z nim skontaktować - odparł Jez lekko.

Bramble odczuła to wyznanie jak cios w żołądek. A więc to nie był żaden nagły impuls ze strony ojca! On to sobie zaplanował! Jajecznica zamieniała się w jej ustach w suche wióry, więc musiała wziąć duży łyk wina, żeby ją przełknąć.

- Nigdy o tym nie wspominał. Czy w ogóle kiedykolwiek o mnie wspominał?

Jezzar był zdziwiony.

- O pani?

- O mnie. Co mówił?

- Hm... No cóż, to co zwykle mówią wszyscy.

- To znaczy? - Bramble przygotowała się na tekst o talencie, który nigdy nie został do końca wykorzystany. I o spadku w rankingach po tragicznej śmierci męża.

Jezzar chyba nie wiedział, jak to ująć.

- Ludzie mówią... Że jest pani... - Rozejrzał się po kuchni, jakby szukał natchnienia. - Że jest pani kompetentna.

- Kompetentna? - podniosła głos Bramble. - Kompetentna?!

- No wie pani. Praktyczna. Silna. - Zaczynał się plątać. - Sama pani spytała...

- Już to widzę na nagrobku. „Tu spoczywa Bramble Kelly. Była bardzo kompetentna”. Super. To wszystko?

Nikt, pomyślała, nikt nie określiłby nigdy Felicity słowem „kompetentna”. Ani Heleny. I nie dlatego, że którejś z nich kompetencji brakowało, ale dlatego, że można im było przypisać ciekawsze atrybuty. Z czasów gdy była jeszcze mała, pamiętała ludzkie opinie o Felicity. „Uwodzicielka”, stwierdził ktoś, a ktoś inny się roześmiał: „Raczej modliszka”. A potem zaczęto szeptać coś o maluchach, które czujnie nadstawiają uszu i że *pas devant les enfants*, i rozmowa powróciła do tematu jednego wielkiego bałaganu w rolnictwie. Kompetentna! Świata się czymś takim nie podbije.

Jezzar z rozbawioną miną wziął sobie jeszcze jeden kawałek tosta.

- No i ludzie zastanawiają się jeszcze, dlaczego nie wyszła pani ponownie za mąż.

Bramble, zbита z tropu, przez chwilę nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- No cóż, nie uważam za wskazane, by z jednego związku przeskakiwać natychmiast do następnego - powiedziała wreszcie. - **1** mam córkę, której niepotrzebna jest do życia kolekcja wujków. To przecież dopiero... - urwała.

Jeżzar spojrzął jej w oczy.

- ..siedem lat - dokończył. - To już siedem lat, odkąd zginął Dominik Kelly. W tym samym roku, w którym odszedłem z armii. Pamiętam, czytałem o tym wypadku. Przykra sprawa. - Bardzo lekko, ze współczuciem, dotknął jej ramienia. Czowała, jak dotyk pali ją przez sweter.

- Niemożliwe, że to już tyle czasu... - powiedziała Bramble, chociaż datę miała wyrytą w sercu. Odsunęła rękę Jeza i zaczęła zbierać talerze, tylko po to, aby móc się do niego odwrócić plecami. Narobiła przy tym mnóstwo niepotrzebnego hałasu, zgarniając resztki jajecznicy z talerza do śmieci, a potem ze szczękiem wkładając naczynia do zmywarki. Miała wrażenie, że mężczyzna obserwuje każdy jej ruch.

- Owoce?

Wybrał jabłko i przechylił głowę. Jego oczy zdawały się podświetlone od środka, pod tymi ciemnymi brwiami, w mocno pociemniałej ze zmęczenia twarzy.

On dostrzega różne rzeczy, pomyślała nagle Bramble. Wzięła głęboki oddech.

- Widzisz, to wyłącznie moja sprawa. To, dlaczego

nie wyszłam za mąż po raz drugi - uściśliła, zawzięcie ogryzając odstającą skórkę przy paznokciu kciuka. Dolała sobie wina do kieliszka i upomniała w myślach, że powinna zachowywać się uprzejmiej. Tyle że wszystko tak bolało! Cała jej dusza była bólem. Edward odszedł, nie było Dorna... Pustka, jaką zostawili po sobie, jej poczucie winy i ten gniew - zdawały się nie mieć dna.

- Oczywiście, że tak - przytaknęła spokojnie, nie spuszczać z niej wzroku. Bramble zaczęła odczuwać skrepowanie.

- Co? - spytała. - Pobrudziłam się na twarzy, czy co? Roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie. Myślałem tylko, że jesteś bardzo silna...

- Najwyraźniej nie dosyć - odparła cierpko. - Skoro mój ojciec postanowił przyjąć dodatkowego jeźdźca.

- O której zaczynasz rano pracę? - zapytał. Spojrzała na niego ostro.

- Chciałbym pomóc - dodał tonem wyjaśnienia. - Odwdzięczyć się za gościnę i nocleg. Pewnie brakuje ci rąk do pracy.

- Zaczynam o wpół do siódmej - odparła. Bardziej otwarcie nie mogła przyznać, że Jez ma rację.

Następnego ranka Savannah zbudziła się u Lottie. Głowa bolała ją tak, jakby za moment miała eksplodować. Dziewczynka miała za sobą niespokojną noc, kręciła się na łóżku i przewracała z boku na bok. Pokój wirował. Kilka razy udało jej się zwlec i podreptać do kibelka. Dwukrotnie ją zemdliło; zresztą sądząc po odgłosach, Lottie też. Była sobota, więc przynajmniej nie musiały

jechać do szkoły. Katia biegła po schodach z góry na dół, mrużąc coś współczująco.

Świergotliwa, wschodnioeuropejska intonacja opiekunki przeszła głowę Savannah bólem. Jak salwa tysiąca strzał.

- To chyba grypa żołądkowa, często się teraz zdarza. Jest chora. Brzuch ją boli. - Katia rozmawiała z kimś przez telefon. Chyba z Bramble. - Nie, nic mi nie jest. Nie jestem chora. Ja jestem z Bułgarii. Ale Savannah nic nie je, a zawsze jadła mnóstwo.

Savannah zdecydowanie nie spodobało się, że ktoś ją opisuje jako osobę, która „zawsze je mnóstwo”.

- Chwila w ustach, całe życie w biodrach - mruknęła, przesuując dłońmi po miękkiej skórze brzucha.

Był zdecydowanie bardziej płaski; dawało się nawet wyczuć kości miednicy. I to po zaledwie jednym dniu niejedzenia! Przez pulsowanie w skroniach do Savannah dotarła myśl, że odchudzanie może być jednak łatwiejsze, niż sądziła.

Nakryła głowę poduszką. Gdyby mamie na niej zależało, przyjechałaby po nią i zabrała ją stąd.

Z drugiej strony jednak, raczej nie nadawała się w tej chwili do jazdy samochodem...

Katia weszła na palcach do pokoju.

- Zostawię wam przy łóżkach po misce, dobrze? I ten mały dzwonek, żebyście dzwoniły, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

Savannah zdołała tylko pokiwać głową i znów zaczęła wymiotować.

Kiedy dziewczynki obudziły się ponownie, na zegarze była już druga po południu.

- Lepiej ci? - Lottie miała zachrypnięty głos. Savannah spróbowała poruszyć głowę. Bolała nadal,

ale już nie groziło jej odpadnięcie od tułowia. - Chyba tak.

- Myślisz, że złapałyśmy tego wirusa? - Lottie udało się zachichotać.

- To możliwe. - Żołądek Savannah nie przestawał się buntować.

- A może to kaca? Katie Browne ciągle ma kaca.

Katie Browne, należąca do ich oddziału Klubu Kucyka, wielce wyrafinowana, seksowna, z opinią puszczałskiej!, Savannah skrzywiła usta. Nie miała ochoty upodabniać się do Katie, chociaż nie obraziłaby się za odrobinę atrakcyjności.

Przymknęła oczy i jeszcze szybciej je otworzyła, bo przypomniała sobie poprzedni dzień. Ostatni obraz dziadka - żółta, wpatrzona w przestrzeń twarz - straszyl ją we śnie, ale nie wywoływał smutku. Nie do końca. Savannah wcale nie była pewna, czy on ją lubił, o kochaniu nie wspominając. Trudno jej było odwzajemniać uczucia, których jedynie się domyślała.

I to właśnie dowodzi, Savannah Kelly, powiedziała do siebie w myślach, że jesteś strasznie płytka. Gruba, płytka i w dodatku niespecjalnie bystra. Z westchnieniem i poczuciem porażki opadła na poduszki.

O wpół do siódmej rano Jez stał na dziedzińcu, z dłońmi na biodrach, ubrany wyłącznie w koszulkę i džinsy, na których zapiął skórzane ochraniacze. Bramble miała za sobą niespokojną noc. Obudził ją czyjś szloch. Nie,

nie czyjś - jej. Poza tym czuła dokuczliwy ból głowy po wczorajszym winie.

- Nie jest ci zimno? - spytała Jeza. Stał tutaj, taki pełen życia, tak oburzająco - wręcz bezczelnie - tryskający energią, silny i pewny siebie. Taki po prostu był, no cóż - męski. Wypowiedziała więc pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy.

Popatrzył na nią z lekkim zdziwieniem. Nie odpowiedział.

Donna, potargana, pojawiła się na dziedzińcu, trąc zaspane oczy, i stanęła jak wryta.

- Donna, to Jezzar. Przyjechał... Trochę nam tu pomóc.

- Wszyscy mówią do mnie Jez. - Wyciągnął rękę, a Donna ją uścisnęła. Gapiała się jak wół na malowane wrota.

- Cześć. Przepraszam... O czymś zapomniałam. Wróciła ponownie dwadzieścia pięć minut później,

w pełnym makijażu, ale wtedy Jez szybkimi, energicznymi ruchami przerzucał już gnój i słomę widłami na taczki i nie podniósł oczu.

- Wszystkie konie, które u nas stoją, z rana pół godziny chodzą na karuzeli - powiedziała.

- Dlaczego nie wypuszczasz ich od razu na pastwisko?

- Mogą sobie coś zrobić, jeśli zostaną wypuszczone bez rozgrzewki.

- To niech dłużej przebywają na zewnątrz.

- Posłuchaj. - Zmęczony i zszokowany umysł Bramble ledwie funkcjonował i nie chciał, żeby ktoś się mu sprzeciwił. - Mamy tu grafik kolejności, w jakiej są

wypuszczane konie. Każdy ma własny skrawek pastwiska, ogrodzony przenośnym elektrycznym pastuchem, więc wszystkie widzą się nawzajem. Przebywają na zewnątrz mniej więcej godzinę. Mają trochę ruchu, a my unikamy wypadków.

- Konie to zwierzęta stadne - odparł. - Powinny spędzać na pastwisku większość dnia. W grupie. Jeśli im na to pozwolisz, dojdą między sobą do porozumienia.

- Mogą zacząć walczyć. Pokopać się. Zacząć się płoszyć i o coś się poranić... - Pomyślała, że Jez chyba zwariował. Zbyt wiele zainwestowali w, na przykład, Teddy'ego, żeby pozwolić mu hasać po pastwisku jak byle kucowi.

- Konie muszą żyć jak konie - powtórzył, a Bramble przełknęła cisnącą się na usta odpowiedź.

Codziennie poranne obowiązki zajęły im zaledwie połowę czasu, który zwykle zabierały Bramble i ojcu. Przeszli do domu na śniadanie. Bramble zaparzyła świeżą kawę i zrobiła kilka kanapek z bekonem, wciąż wytracona z równowagi opinią Edwarda na swój temat. Ojciec wyraźnie wątpił w jej szanse dostania się na szczyt. Czy mógł mieć rację? Nie. Wykluczone. Ale rzecz nie dawała jej spokoju. Już od tak dawna nie zwyciężyła w żadnym większym konkursie... Zaczynała tracić wiarę.

- No i? - odezwał się Jez. - Dostałem pracę?

- Co? - Zastanawiała się, czy mógłby ją podać do sądu za zerwanie umowy czy coś podobnego, gdyby mu odmówiła, i poczuła ukłucie paniki. - Naturalnie, dotrzymam zobowiązań ojca. To znaczy, o ile nadal chcesz tu zostać.

- Chciałbym przyjąć tę posiadłość - powiedział. - Jeśli nie masz nic przeciwko.

To była ostatnia rzecz, jaką ona sama by zrobiła, ale nie miała wyboru. Jez słusznie zwrócił uwagę, że w stajniach brakowało dodatkowej pary rąk, a ojciec zobowiązał ją prawnie. Przynajmniej na jakiś czas. Od chwili kiedy zobaczyła Jeza w kuchennych drzwiach, Bramble miała wrażenie, że traci kontrolę nad wydarzeniami w Lorenden.

- Okej - powiedziała. Zmusiła się jakoś do wypowiedzenia tych dwóch sylab i natychmiast poderwała się, żeby pozmywać naczynia i nie musieć patrzeć na reakcję mężczyzny.

Przyglądała się potem, jak pracuje z Sailorem na wysypanej piaskiem ujeżdżalni, i widziała, jak płynnie reaguje pod nim koń.

- No, jeździć to ty umiesz - przyznała.

Przyjął komplement bez śladu fałszywej skromności.

- Pewnie, że umiem. Jestem Tatarem. A Tatarzy są jeźdźcami Azji. Od setek lat zajmowaliśmy się w Rosji hodowlą koni.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż jesteś zaledwie pół-Tatarem - odparła. Nie zamierzała pozwolić, żeby cała ta gadanina o etnicznym podłożu jego umiejętności nabrała przesadnego znaczenia.

Jez wyszczerzył zęby w uśmiechu i jednym szybkim, płynnym ruchem wskoczył na siodło następnego konia.

Bramble uznała, że może zostawić objeżdżanie na jego głowie, i zabrała psy na spacer, czerpiąc pociechę ze znajomego śpiewu ptaków i zapachu opadłych, wilgotnych

liści. Rześkie powietrze niosło obietnicę jesieni, a Darcy i teriery strzygły uszami, wypatrując królików. Szła przez opustoszałe sady. Chociaż ojciec je sprzedał, nadal korzystali ze starych ścieżek i przejść wśród równych rzędów drzew. Słońce ukośnie przeświecało przez gałęzie, a od czasu do czasu dobiegał ją cichy stukot opadających jabłek. Zebrała kilka sztuk dla koni, wsuwając je do kieszeni, a w jedno sama wbiła zęby, z przyjemnością smakując jego jędrną, cierpką słodycz.

Mop i Muddle uparcie węszyły i przepychały się wokół korzeni w nieustępliwych, bezskutecznych poszukiwaniach, a Darcy sadił susami wzdłuż rzędów drzew, raz po raz opuszczając łeb, żeby obwąchać grunt. Króliki jednak dostrzegły nadejście psów i dawno zdążyły się schować.

Bramble kochała ten zakątek z całego serca. Czyżby miała go teraz utracić? Nie, przecież tata na pewno zostawił jej Lorenden i konie, żeby mogła kontynuować ich wspólną pracę. Nawet jeśli wszystko inne zapisał Helenie.

Kontynuować pracę ojca... A co z nią i jej zajęciami?, odezwał się w głowie Bramble jakiś cichy głos. Przecież ona na tym właśnie polega, odpowiedziała w duchu, z lekkim zdziwieniem zdając sobie sprawę, że w pewnym sensie właśnie spiera się z Jezem. Było w nim coś, że człowiek zaczynał się ze wszystkiego tłumaczyć.

Próbowała się otrząsnąć z refleksyjnego nastroju, ale szemrzący wśród drzew wiatr podszeptował kolejne pytania. Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla ciebie, Bramble? Kim jesteś? Ściślej opatuliła się kurtką, postawiła

kołnier, chroniąc uszy przed silniejszymi podmuchami, i przywołała do siebie psy. Poczowała się pewniej.

Jestem przecież Bramble Kelly. Żona Dorna Kelly'ego, córka Edwarda Beaumonta. Matka Savannah Kelly.

Ale Dom i Edward nie żyją, a Savannah jest już prawie dorosła... Teriery przywarły do jej nóg i unosiły pyski w górę, jakby powtarzając pytania podsuwane przez wiatr. Nie wygłupiaj się, skarciła się Bramble w duchu. Przed siebie i do dzieła! Krok po kroku. Nie oglądaj się wstecz. Och, na pewno przypomnisz sobie jeszcze parę wyświechtanych frazesów, pasujących do tej sytuacji, pomyślała na koniec z nutą rozbawienia. Gwizdaniem wezwała Darcy'ego, który znów węszył wokół króliczej nory, i wszyscy zawrócili na drogę.

Ben nadal stał w rogu pastwiska. Jego porośnięty szczeciniastym włosiem pysk musnął jabłko, które podała mu Bramble, ale nie przyjął poczęstunku. Za to pochwycił je Patch i jeszcze spróbował pomyszkować po kieszeniach kurtki po więcej; odepchnęła go łagodnie. Patch był łakomym kucem, któremu przy jednej z prób przeszukania kieszeni Bramble udało się schrupać jej telefon komórkowy.

Ruszając z powrotem w stronę domu, obejrzała się jeszcze raz na Bena. Nie mógł, oczywiście, rozumieć sytuacji... Na pewno nie! A mimo to stary, ociężały koń wydawał się pogrążony w smutku.

Kiedy szła podjazdem, za jej plecami pojawiła się taksówka na londyńskich numerach.

Bramble przystanęła. Prawie zapomniała o przyjeździe Heleny. Na tle sadów, pól i jeżynowych zarośli,

o dobre pięćdziesiąt mil od Piccadilly Circus, wielki, czarny pojazd wyglądał niestosownie.

Drzwi otworzyły się szeroko i ze środka wysiadła szczupła kobieta z masą toreb z zakupami z drogich sklepów. Zupełnie jakby w okolicy wylądował ufoludek z Bond Street.

- Helena! - zawołała Bramble, niespodziewanie ucieszona przyjazdem siostry.

Helena wcisnęła taksówkarzowi plik dwudziestofuntówek i zaczęła ścisnąć Bramble z okrzykami: „To nie do pojęcia! To po prostu zbyt straszne!”. W porównaniu z silną sylwetką Bramble jej figura sprawiała wrażenie tak miękkiej i kruchej, że siostra mogłaby ją zmiażdżyć, gdyby zbyt mocno oddała uścisk. Obojczyki Heleny przypominały teraz wieszak na ubrania. Cera, zwykle promienna, świadcząca o zamożności i życiowym powodzeniu, teraz robiła wrażenie delikatnej jak papierowa chusteczka.

- Heleno! - zawołała Bramble. - Przecież ty jesteś za lekko ubrana!

- Zapomniałam wziąć kurtkę. Złodowaciałam. - Zadygotała i na moment na jej szyi zarysowały się ścięgna.

- I jesteś za chuda!

- Żartujesz sobie. Ja bez przerwy podjadam. Boże, jak tu zimno! Zdążyłam już zapomnieć.

- Chodź do środka. - Znajomy balast nieustających potrzeb siostry zaciążył na barkach Bramble jak płaszcz z podszewką z ołowiu.

Kiedy Helena przy kuchence witała się Mopem i Muddle'em, pozwalając psom bawić się jej palcami,

Bramble poszła na górę poszukać dla niej czegoś czystego i ciepłego do włożenia. Jej siostra nosiła wyłącznie kaszmiry w pastelowych, delikatnych kolorach, ona zaś sama wolała praktyczne granatowe albo czarne polary, które pod koniec dnia można było bez ceregieli wrzucić do pralki. Zawahała się nad swoim ulubionym swetrem, zanim zdecydowała się dać go Helenie. To czarne polo zawsze świetnie na mnie leżało, pomyślała.

- Bardzo proszę.

Helena przyjrzała się uważnie, ale włożyła sweter bez komentarza.

- Wszystko w porządku? - spytała siostrę.

Bramble skinęła głową.

- A u ciebie? - Włączyła czajnik.

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć. I mam ochotę na drinka. - Helena *wstała* i *otworzyła* drzwi do spiżarni, odganiając teriery. To była duża i staroświecka spiżarnia - osobne pomieszczenie, wychodzące na północ, z kamienną posadzką i półkami z marmuru. Mop i Muddle deptały jej po piętach i usiłowały szczypać zębami za kostki nóg. - Najlepsze bordo taty? Wódka? Czy wolno po czyjejs śmierci pić szampana?

- Jeśli chodzi o mnie, pij, na co tylko masz ochotę. Chociaż jest dopiero wpół do dwunastej...

- A tobie co dać?

- Wezmę to samo co ty.

- Dobra. - Helena złapała za butelkę szampana stojącą na podłodze od ostatniego Bożego Narodzenia. Za jej plecami do spiżarni cicho wślizgnął się Darcy. Doskonale wiedział, gdzie ludzie trzymają pojemnik z serami.

- Uważaj, Heleno - ostrzegła Bramble.

Helena złapała Darcy'ego za obrożę w samą porę, żeby uratować cheddar.

- No nie! Czy ty nie możesz lepiej go wychować?

- Lurchery nie dają się tresować. Nie jeśli chodzi o jedzenie.

- Znalazłaś numer do Felicity? Bramble pokręciła głową.

- W gabinecie ojca jest przeokropny nieład. Uważam, że priorytetem jest testament. Miałam wczoraj trudną rozmowę z Nic. Wygląda na to, że tata mógł mieć kłopoty finansowe...

- Naprawdę? - Głos Heleny zabrzmiał ostro. - Mam nadzieję, że nie narobił długów? Rzeczywiście, koniecznie trzeba znaleźć ten testament. Ale najpierw musimy namierzyć Felicity. - Ponownie napełniła swój kieliszek i wyciągnęła butelkę w stronę Bramble. Niepotrzebnie. Szampan siostry był ledwie tknięty.

- Pamiętasz, dla kogo ona pracuje w tej chwili?

- Chyba dla jakiejś amerykańskiej informacyjnej stacji telewizyjnej. Ale nie dla Reutersa.

- Nie wiem, jak Felicity sobie radzi... - Helena upiła kolejny szybki łyk i zaczęła buszować po kuchni, zaglądając do szuflad i szafek, wyjmując różne rzeczy, jakby czegoś szukała. - Myślisz, że z reportaży wojennych jest duża kasa?

Bramble wzruszyła ramionami, zastanawiając się, do czego Helena zmierza.

- Czego szukasz, Heleno? Mogę ci pomóc?

- O, cholera! - Helena uniosła w górę rękaw. - Bardzo

przepraszam, Bramble. Twój sweter... Zaczepiłam o jakiś gwóźdź. - Pokazała rozdarcie, a Bramble wydawało się, że dostrzega w jej oczach złośliwy błysk.

- Heleno! Ty... - Opanowała się z trudem. Tak właśnie wyglądało całe jej dzieciństwo. Ilekroć dostawała coś ładnego, nową bluzeczkę albo naszyjnik, Helenie zawsze udawało się to zniszczyć.

- Taka jestem ciapa! - jęczała Helena, zupełnie jak wtedy, kiedy były dziećmi. - To moja wina. Ale nie byłaś chyba do niego specjalnie przywiązana?

Aby ukryć irytację, Bramble szybkim ruchem podniosła się z miejsca. Helena dążyła do sprzeczki; wyraźnie szukała pretekstu. Ale ona nie miała najmniejszego zamiaru dać się sprowokować.

- Chodź, Heleno, przejdźmy do gabinetu - powiedziała, chociaż tak naprawdę miała ochotę uderzyć siostrę. Sądząc po przesadnie niewinnym spojrzeniu siostrzanych oczu, Helena myślała podobnie. - Musimy znaleźć testament taty - dodała sztucznie spokojnym głosem. - Obdzwoniłam okoliczne kancelarie, ale nie ma go w żadnej z nich, więc musi leżeć gdzieś tutaj. O ile tata spisał testament... Nicky mówi, że jej o nim wspominał.

Oczy Heleny nagle zrobiły się bardzo niebieskie.

- Och, testament, oczywiście - rzuciła lekko. - Pewnie, że trzeba go poszukać. Chociaż nie wypada myśleć o takich rzeczach natychmiast po czyjejś śmierci...

- Musimy o tym pomyśleć - skarciła ją Bramble. - Musimy wiedzieć, na czym stoimy. Ze względu na konie.

- Och - odparła Helena i tym razem nie zdołała ukryć ostrego tonu w głosie. - Konie. Naturalnie.

- Możemy zacząć od szafek na akta - zażartowała Bramble. - Pod T jak testament. Nigdy nic nie wiadomo. Może był aż tak poukładany?

Helena rozchmurzyła się i zaśmiała.

- Daremne marzenia. Równie dobrze mogłabyś zaproponować, żebyśmy pod F poszukały Felicity. A tak w sumie to myślę, że powinnyśmy wziąć jakieś duże worki na śmieci i zabrać się do poszukiwań metodycznie, zaczynając od blatu biurka i podłogi. I przejrzeć wszystko, aż zrobimy tu porządek. Potem możemy przeszukać szafki na akta.

- Trzymaj. - Bramble wyjęła rolkę czarnych worków i podała jeden Helenie. Uśmiechnęły się do siebie, zaskoczone nagłym poczuciem koleżeństwa. - Weźmy się za to razem. Powinnyśmy obie obejrzeć każdą rzecz, zanim zdecydujemy się ją wywalić.

Pracowały bez wytchnienia. Część bałaganu nie stanowiła kłopotu - stare gazety i czasopisma, kubki z zimną kawą, zszywacze i pisaki, rozdarte, puste koperty i kartki wydarte z biurkowego kalendarza. Na żadnej nie znalazły nagryzmołonych w pośpiechu, nieznanymi numerów telefonów. Poukładały wszystko w osobne stosy na biurku. Rachunki, korespondencja, „do wywalenia, ale później”, zgłoszenia do udziału w zawodach jeździeckich, osobiste, różne...

Telefon rozdzwonił się przeraźliwie, więc Bramble odebrała.

- O, dzień dobry pani. Jak się pani.
- Twój ojciec tam jest? - spytała ostro Cecily Marsh-Robertson.
- Eee, no cóż... - Bramble osłupiała. Czy Cecily nigdy nie rozmawia z własną córką?
- Nieważne. - Cecily zignorowała jej wahanie. - Ty mi wystarczysz. Możesz mu przekazać wiadomość. Nie za bardzo jestem zadowolona z niedzieli. Wiesz, Lottie odpadła.
- No tak...
- Moim zdaniem, naprawdę już czas, żeby dostała jakiegoś poważnego konia. Na Sailorze absolutnie do niczego nie dojdzie.
- Ale Sailor jest idealnym wierzchowcem na potrzeby Klubu Kucyka! Jest taki poczciwy i...
- Dokładnie - sarknęła Cecily. - Idealny do Klubu Kucyka! Ale Lottie jeździ już kilka lat i potrzebuje nowego wyzwania.
- Ależ, proszę pani! - zawołała Bramble. - Nie umiem dość dobitnie podkreślić, jakie to ważne, żeby Lottie nie wypychać zbyt wysoko zbyt wcześnie. Ona ma zaledwie szesnaście lat! Sailor jest dokładnie takim koniem, jakiego jej obecnie trzeba. Wciąż drzemie w nim ogromny potencjał, a poza tym...
- Mimo to... - Cecily chciała jej przerwać, ale Bramble z premedytacją nie dopuściła jej do głosu.
- ...moim zdaniem Lottie potrzebny jest jeszcze co najmniej jeden rok na Sailorze. Dopiero później możemy wspólnie podjąć jakąś rozsądną decyzję. Następny krok trzeba przemyśleć bardzo starannie.

- Jeśli pozwolisz mi wtrącić słówko, uważam, że sama mogę być sędzią w sprawie mojej córki. - W głosie Cecily Marsh-Robertson zabrzmiała stalowa nuta.

- Ojciec zawsze powtarzał, że należy zaczynać łagodnie i nie zawsze trzeba od razu sięgać po następną rozetkę. Czasami współzawodnictwo może...

- ...być czymś pozytywnym? Oczywiście, że trzeba sięgać po kolejne rozetki. A poza tym czas już, żeby Lottie się na czymś skupiła. Wytyczyła sobie cel.

- Lottie chce w przyszłości jeździć w zawodach - powiedziała Bramble. -1 robi w tej chwili dokładnie to, co trzeba.

- Tak, wiem. Lottie mi mówiła. Ale zanim zdecyduję się zainwestować w jej zachciankę całkiem spore pieniądze, najpierw sama muszę się dokładnie dowiedzieć, na czym polega udział w konkursach konia wierzchowego.

Bramble spróbowała sobie przypomnieć, w jaki sposób jej ojciec opowiadał o tym sporcie ludziom, którzy nie mieli pojęcia, o czym właściwie mówi.

- Jeszcze w dziewiętnastym wieku oficerowie kawalerii mieli w zwyczaju przechwalać się, który z nich ma najlepszego konia, co nierzadko prowadziło do bójek. Zaczęto więc organizować próby dla koni, sprawdzające cechy, jakich potrzebuje dobry kawaleryjski wierzchowiec. W konkursie konia wierzchowego znajdziemy zarówno ujeżdżenie, czyli wszystko, co jest związane z panowaniem nad zwierzęciem i precyzją ruchu w konnej paradzie, jak i bieg crossowy, który przypomina szarżę na polu bitwy. Wreszcie, ponieważ oficer i jego koń

musieli się popisać tym, że potrafią dać z siebie nawet więcej, dołożono na koniec konkurs skoków, w którym wyłaniany jest ostateczny zwycięzca. Uważa się, że nie istnieje lepszy sprawdzian partnerstwa między koniem a jeźdźcem...

- Jednym słowem *gymkhana*, tyle że dla dorosłych

- podsumowała Cecily cierpkim tonem. - Jak już mówiłam, nie chcę, żeby Lottie obijała się bez sensu. To strata jej czasu i moich pieniędzy. A teraz posłuchaj: chcę, żeby twój ojciec poszukał dla niej jakiegoś pierwszej klasy konia. Ojciec jest pod ręką? Muszę z nim porozmawiać.

- Nie, ojciec nie żyje - rzuciła Bramble. - Zmarł wczoraj. Dostyc niespodziewanie.

- Coś podobnego! - Zapadło milczenie. W trakcie tej krótkiej chwili Bramble poczuła, że zdaniem Cecily informacja o śmierci Edwarda jest tylko sprytną próbą wygrania sprzeczki. - Coś podobnego! - powtórzyła Cecily.

- To straszne. Nie rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mi od razu.

- Savannah jest w tej chwili u Lottie. Myślałam, że pani wie.

- Oczywiście, że nie. Niby skąd? Jestem w drodze z Berlina do domu. A co teraz będzie ze stajnią? Działacie normalnie?

- Jak najbardziej - powiedziała z naciskiem Bramble.

- Do zespołu dołączył Jezzar Morgan, świetny jeździec, więc nie będziemy mieli żadnych przerw. I spodziewamy się coraz większych sukcesów.

- No cóż, to chyba wszystko w porządku - ustąpiła Cecily. - Ale będzie nam brakowało twojego ojca. On

naprawdę był wyjątkowym nauczycielem. Nie wiem, co Lottie zrobi teraz bez niego... -1 Cecily Marsh-Robertson rzuciła słuchawkę, a Bramble spojrzała w oczy Helenie.

- O co ci chodziło? Ze niby świetny jeździec dołącza do zespołu? - spytała Helena. - To raczej mało właściwy moment, żeby kogoś zatrudniać.

- Powiedz to duchowi taty. Przepraszam. Nie zamierzałam wspominać o tym Cecily, ale ona tak mnie wkurza! - Bramble potarła twarz dłońmi. - Lottie Marsh-Robertson po prostu uwielbia Sailora. Moim zdaniem, ten koń daje jej jedyną bezwarunkową miłość, z jaką miała w życiu do czynienia, a ta kobieta chce go sprzedać za plecami córki. To jej złamie serce, naprawdę! A potem jeszcze Lottie będzie musiała zmierzyć się z jakąś brutalną bestią, z którą przy swoich umiejętnościach nijak sobie nie poradzi, i pewnie straci cały zapal.

- Jakie to przykre - powiedziała Helena. - Tak czy inaczej, Jezzar Morgan... Jezzar Morgan... To nietypowe imię. Nie było o nim ostatnio w gazetach?

- Wygrał kilka konkursów, zwyciężył w...

- Nie w końskich gazetach. W tych normalnych. W kolumnach plotkarskich. Był jakiś skandal w związku z kobietą, z którą mieszkał. Która ma na północy jakiś majątek po przodkach.

- Penny Luckham. Zdradzał ją z jakąś mężatką. Wszystko mi opowiedział. Dla mnie liczy się to, jak on jeździ.

- Moim zdaniem tam chodziło o coś więcej. Tylko co to było...? Och, nieważne. Wygoogluję go sobie, jak wrócę. A w ogóle, to gdzie on jest?

- Jeździ z Donną. Wróci na lunch. Wtedy będziesz mogła mu się przyjrzeć.

- Ja i tak nadal uważam, że nie powinnaś zatrudniać ludzi, póki nie będziemy wiedziały, jak to wszystko wygląda. Tata mógł przecież cały ten pasztet zostawić Fundacji dla Kontuzjowanych Dżokejów.

- Mam zamiar działać jak zwykle - powtórzyła Bramble z uporem. - Tego chciałby tata. To on tak zarządził. To on zatrudnił Jeza, nie ja.

- Dobrze, w takim razie mamy go chwilowo na karku. Jak ci się widzi?

- W porządku - powiedziała rozdrażniona Bramble, nie przerywając upychania starych gazet do czarnego worka na śmieci. Duma nie pozwalała jej wspomnieć Helenie o sprzeczce z ojcem tuż przed jego śmiercią, a poza tym miała wyrzuty sumienia. Być może Helena oskarży ją o zabicie Edwarda?

- Sądząc z tonu twojego głosu, średnio w porządku.

- Facet jest jak najbardziej na miejscu. Tyle że nie prosiłam się o jego przyjazd. Ale skoro już tu jest.... Jak ty byś się z tym czuła?

- Jak zawsze - powiedziała Helena, przysiadając nagle tam, gdzie stała. Po jej policzku, wzdłuż nosa, spłynęła łza. - Ze taty nie obchodzi, co czuję, że nie ceni tego, co robię, i że w ogóle nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Przepraszam - chlipnęła i wyciągnęła z torby chusteczkę higieniczną. Siedziała zgarbiona na podłodze, wstrząsana szlochem.

Bramble z wahaniem dotknęła ramienia siostry.

- Och, nie zwracaj na mnie uwagi - pociągnęła nosem

Helena po paru dłużących się minutach. - To tylko szok. Sama popatrz! - Głośno wydmuchwała nos. - Widzisz? Poczciwa, stara Helena znów jest sobą. - Przyjrzała się Bramble zaczerwienionymi oczami. - Wiesz, nie powinnaś tak wszystkiego w sobie dusić. Mój homeopata twierdzi, że jeśli człowiek tak robi, to emocje zawsze wracają w postaci symptomów fizycznych.

- Ale ja nie mam żadnych objawów - zaprotestowała Bramble.
-1 absolutnie nic mi nie dolega.

Helena rzuciła jej karcące spojrzenie.

- Bramble, ty jesteś trudnym przypadkiem. Bardzo trudnym. W jakimś momencie, kiedyś, będziesz po prostu musiała kogoś dopuścić do tego, co masz w środku.

Bramble się roześmiała.

- A z ciebie, Heleno, jest niezła wariatka. Chodź. Koniec przerwy, bierzemy się do roboty!

- Ja mówię serio - odezwała się Helena ponuro, podnosząc z ziemi kolejną stertę śmieci. - Któregoś dnia pożałujesz. Och, dlaczego tata nigdy niczego nie wyrzucał? Kto to jest? - Pokazała Bramble fotografię ojca stojącego obok jakiejś kobiety z koniem. Uśmiechali się.

Bramble zerknęła. Zdjęcia wyglądają inaczej, kiedy się wie, że ktoś już nie żyje, stwierdziła. Wydają się mniej rzeczywiste.

- A, to Pauline i Teddy. Na początku tego roku. Kiedy Teddy zakwalifikował się do Badmintonu. Tata tak się ucieszył!

Wzięła zdjęcie do ręki. Pauline miała wydatne kości policzkowe, wyraziste oczy i niezłe nogi. Trzy cechy, którym nie jest w stanie zaszkodzić czas. Z ociąganiem odłożyła fotografię na bok. Zaczątek nowego stosu. Zegnaj,

tato, szepnęła w myślach, palcem przyciskając zdjęcie do blatu biurka.

Uniosła oczy i pochwyciła uważny wzrok siostry.

- Powtarzam sobie, że pomyślę o tym wszystkim jutro - stwierdziła Helena. - Uporam się z tym - przełknęła łzy - jakoś później. Ale na razie napijmy się jeszcze.

Tym razem Bramble nie protestowała przeciwko dolewce.

- Potrzebny nam jeszcze jeden szampan. - Helena wlała resztkę do swojego kieliszka, potrząsając butelką, żeby wydobyć z niej ostatnie krople. Wyszła z gabinetu do kuchni i wróciła parę minut później, dźwigając konia z brązu. - Bramble, tata mówił, że powinnam to zatrzymać po jego śmierci... Nie pogniewasz się, jeśli go teraz zabiorę, prawda? Rozumiesz, tobie przypomina o nim wszystko wokół, a ja chciałabym mieć chociaż tę jedną rzecz. - Jej oczy napęłniły się łzami.

Bramble była zdumiona. Ojciec nigdy nie wspominał, żeby któraś z jego córek miała odziedziczyć po nim konkretne przedmioty. Poza tym ona nigdy nie odważyłaby się poruszać z nim tego tematu.

- No cóż... Po prostu... Ja nie...

- W moim domu nie ma po nim żadnych pamiątek. Proszę cię... Ty masz przecież to wszystko.

Bramble znów spojrzała na figurkę z brązu. To była bardzo piękna rzeźba.

- Warto byłoby też schować parę obrazów - powiedziała Helena. - I inne cenne rzeczy. W razie gdyby miał je zobaczyć rzeczoznawca przed oszacowaniem podatku spadkowego.

- A tu jest coś na tyle wartościowego? - spytała Bramble.

- Och, w sumie to nie - odparła Helena lekkim tonem. - Ale wolałabym, żeby podatek spadkowy był jak najniższy. Chcesz, żebym się tu rozejrzała i sprawdziła, co trzeba uchronić przed sokolim wzrokiem urzędu skarbowego?

- Nie trzeba. - Bramble była jak odrętwiała. - Za wcześnie na takie rzeczy. Nie możemy zacząć niczego dzielić, dopóki... Dopóki nie znajdziemy Felicity. I uważam, że nie powinniśmy robić nic niezgodnego z prawem. Jeśli musimy zapłacić podatek, to musimy. I tyle.

- Czasem jesteś taka sztywna. - Helena przyciskała konia do piersi i patrzyła na siostrę gniewnie. - Może się zdarzyć, że będziemy musiały oddać kilkadziesiąt tysięcy funtów.

Bramble wzruszyła ramionami.

- No to tak trzeba będzie zrobić. - Usłyszała, że jej głos zabrzmiał szorstko.

- Och, Bramble, bardzo cię przepraszam! Nie chciałam sprawić ci przykrości. - Helena przysiadła obok siostry na podłodze i znów się rozplakała. - Proszę, nie gniewaj się na mnie. Jestem potworem bez uczuć. Podłym człowiekiem. Ciągle sobie postanawiam, że stanę się lepsza, i jakoś nigdy nie mam na to czasu.

Bramble nie cierpiała tych scen. Zwykle zaczynały się od drobiazgów i zamieniały w potężne przedstawienia.

- Słuchaj - odezwała się, żeby mieć już to wszystko z głowy. - Weź sobie tego konia, tak na razie. Dopóki wszystkie nie podejmiemy wspólnej decyzji.

- Naprawdę? Och, Bramble! - Helena wydmuchała nos. - Jesteś taka kochana! Serio. Nic dziwnego, że wszyscy na tobie polegamy.

Bramble przewróciła oczami.

- Zajmijmy się szukaniem numeru do Felicity i testamentu, dobra?

- Masz ci los! - odezwała się Bramble godzinę później, kiedy w gabinecie Edwarda panował nienaturalny porządek, a papiery leżały ułożone w równe stosy. Znalazły testament, ale nie adres Felicity. - W obecnych czasach i okolicznościach, kiedy dysponujemy tyłoma różnymi środkami łączności... Nie rozumiem, jak można zgubić siostrę.

- Och, znajdziemy ją, nie martw się - odparła Helena. - A teraz rzućmy okiem na ten testament.

6.

Bagna i pustynie zawsze przypominały Felicity Beaumont o domu. Płaski szmat ziemi i łagodne wzgórza pod wielką kopułą nieba dawały gościnę istnemu kalejdoskopowi subtelnych różnic kolorów i światła, zmieniających się z każdą porą roku, z każdą godziną mijającego dnia - a nawet z minuty na minutę. Od obrzeżonych różem chmur po oślepiający kobalt nieba, od całego spektrum zieleni po setki odcieni szarości, od złotych rano jak słoma traw po jaskrawy pomarańcz łodyg po południu, aż do wieczornych lamówek z ciemnej sepii. Żałowała, że nie może uchwycić na zdjęciach tych subtelnych zmian barwnych akcentów, ale gradacja światła i koloru zawsze się wymykała. Pustka okazywała się zbyt ogromna, a zdjęcia płaskie i ciężkie. Trzeba tu było spędzić bardzo, bardzo dużo czasu... Żeby zrozumieć.

Felicity była o tysiące mil od pól Kentu ze wspomnień swojego dzieciństwa, ale czuła się jak w domu, widząc, jak małe i przypadkowe zdają się drzewa Luizjany na tle przepastnego nieba tego miejsca, jak wzburzone wody,

które wzniosły się ponad wysokość jej głowy i zmyły z ziemi kolory, pozostawiły po sobie wyłącznie szary osad, zbrunatniałe pastwiska i płataninę martwych roślin wzdłuż śladu wylewu. Przez niczym nieograniczony krajobraz biegła pojedyncza płaska droga, zupełnie jakby została tam rzucona przypadkiem. W ciężkim upale wisiała cisza katastrofy.

Przesunęła dłonią po włosach. Miała wrażenie, że są brudne i mokre od potu; w tej wilgoci bawełniana koszulka lepiła się do jej pleców. Felicity usiłowała utrzymać równowagę na desce unoszącej się na powierzchni rzadkiego błota, jednocześnie starając się uspokoić na wpół zamorzonego konia, który tkwił w tym mule po szyję. Strażacy i ratownicy usiłowali przełożyć pasy asekuracyjne pod jego brzuchem.

Felicity przywykła do roli obserwatora, do patrzenia na cierpienie bez zaangażowania. Była w tym dobra. Ale kiedy pomagała zespołowi podstawić wóz strażacki i samochód do przewozu koni jak najbliższej mulistego rowu, przez ułamek sekundy poczuła błysk porozumienia łączącego ją z tym umazanym błotem koniem w kolorze łupka. Zwierzęciu zaczynało brakować sił do walki, a Felicity dostrzegła w jego oczach przerażenie.

- Nie uda nam się, jeśli on nie ustoi spokojnie - powiedział któryś strażak, zmęczony wysiłkiem.

Felicity ściągnęła z siebie koszulkę i owinęła nią łagodnie końską głowę, zasłaniając mu oczy.

- Bywało, że mój ojciec także ratował konie - wyjaśniła. - Kiedy nic nie widzą, z reguły przestają panikować. - Pod dłońmi wyczuwała siłę zwierzęcia. Mogło

z łatwością zrzucić ją z deski w błoto, a jednak się uspokoiło.
- Znajdźcie coś, co da się wykorzystać jak wielką igłę - powiedziała Felicity. - I użyjcie tego, żeby przewlec opaskę przez błoto pod jego brzuchem. Wystarczy zwykły drąg. Nie możemy go wyciągać za łeb; nawet jeśli nie złamiemy mu karku, to nieodwracalnie uszkodzimy kręgosłup.

Mężczyźni zakrzętnęli się energicznie, podczas gdy ona nie przerywała uspokajającej przemowy do ciemnego końskiego ucha.

Kiedy założono już pasy, zaczęto wpompowywać w błoto wodę ze strażackiego wozu, żeby je rozrzedzić. Powoli i ostrożnie wycofywano wielki pojazd. Felicity z trudem utrzymywała równowagę na desce, a potem zeskoczyła na drogę, nadal trzymając w ręku kantar.

Błocko trzymało mocno, a koń ledwie drgnął. Felicity wyczuwała, że zwierzę traci ducha.

- No chodź - szepnęła. - Już prawie się udało...

- Więcej wody - rzucił dowódca strażaków.

Znienacka błoto z bulgotem wypuściło swą niedoszlą zdobycz. Koń na chwiejnych nogach wydostał się na drogę, a tam padł na ziemię, nadal obwiązany pasami.

- Za późno - powiedział Harry, szef zespołu weterynaryjnego, klękając obok i badając leżące na brzuchu zwierzę. - Koniec cierpień. - Spojrzał przelotnie na klęczącą obok końskiej głowy Felicity i zdjął z siebie kraciatą koszulę. - Masz - powiedział łagodnie. - Włóż to.

Felicity aż coś ścisnęło w gardle na ten przejaw życzliwości. Zakryła ubłocony stanik.

- Może jeszcze dojdzie do siebie? - powiedziała. - Dajmy mu odrobinę czasu.

Choć koń miał boki całe oblepione błotem, to i tak widać było po nim szlachetność rasy. Mięśnie mu zanikły z braku paszy i wody, ale z takim zadem musiał być z niego niezły skoczek, myślała.

Harry pokręcił głową.

- On już prawie zdechł. Moim zdaniem nie możemy nic zrobić.

- Już to kiedyś widziałam - powiedziała Felicity, usiłując grać na zwłokę. - W domu. Kiedy jeden z koni mojego ojca... - Znow pogrzebała we wspomnieniach, bolesnych i niemal zatartych. - Konie czasami tak się wyłączają. Dajmy mu trochę czasu. To takie okropne... Marnotrawienie istnienia.

Harry położył dłoń na jej ramieniu.

- Wszystko jest okropnym marnotrawieniem istnień. Właśnie borykamy się z kataklizmem, a z nim jest naprawdę bardzo źle. Znasz prawa wojny. Nie marnuje się pomocy na tych, którzy nie zdołają z niej skorzystać.

Felicity znała; widziała już zbyt wiele wojen.

- Proszę. - Patrzyła Harry'emu w oczy, po raz pierwszy odkąd dołączyła do zespołu, domagając się czegoś dla siebie. Przyjechała tu przecież po to, żeby być niewidoczna.

Oddał spojrzenie, a Felicity zmusiła się, żeby nie odwrócić wzroku.

- Proszę - powtórzyła. - Jeśli to coś da, mogę błagać.

- Nie, kochana. - Spojrzał w bok. - Nie pozwolę ci na

to. Jesteś szaloną kobietą, a szalonym kobietom błagać nie wolno. Ile chcesz czekać?

- Dwadzieścia minut - powiedziała. - Najwyżej pół godziny. Jeśli do tej pory nie wstanie...

Strażacy odeszli, a Harry usiadł w cieniu koniowozu i czekał, nasunawszy kapelusz na oczy z nadzieją na krótką, regenerującą drzemkę.

- Chyba oszalałem - mruknął pod nosem. - Nie mamy tej pół godziny.

Wszyscy poszaleliśmy, pomyślała Felicity, kucając obok konia i obmywając gąbką długi, szlachetny pysk, na którym ukazała się wąska biała strzałka. Potem zanurzyła wypłukaną gąbkę w czystej wodzie, wsunęła ją między końskie wargi i wycisnęła z niej strumyczek cennej wilgoci. Wszyscy poszaleliśmy, decydując się -przyjechać do tego piekła.

Jakiś czas przedtem Felicity siedziała skulona na sofie i oglądała wiadomości, panoramiczny obraz unoszących się na wodzie samochodów i domów, zgniecionych jak stopy zapalek. Reporterka, wychylając się z helikoptera, wskazała ręką na konia na jakimś dachu. Musiał tam dopłynąć, kiedy woda znalazła się w najwyższym punkcie, a teraz, kiedy opadała, stał przerażony, bez jedzenia i wody. Jeśli zwierzę spanikuje, dach go nie utrzyma, pomyślała Felicity.

- Już Katrina stanowiła wystarczający dopust boży - powiedział prezenter wiadomości. - Ludzie mieli nadzieję, że nigdy nie zobaczą ponownie takich zniszczeń. Ale Samantha okazała się dziesięć razy gorsza.

Felicity pomyślała o innych zwierzętach, pozostawionych samym sobie podczas ewakuacji albo pozabieranych od zaginionych właścicieli czy ze zniszczonych domów. Kiedy ludzkie życie znajduje się w niebezpieczeństwie, co dzieje się ze zwierzętami domowymi i hodowlanymi? Felicity nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała, ale teraz sięgnęła po laptopa i wpisała do wyszukiwarki: „zwierzęta + ratownictwo + huragan”.

„Proszę nie wysyłać do nas mejli z pytaniami”, informowała strona internetowa, „bo nie mamy czasu ani możliwości reagować na pojedyncze zgłoszenia dotyczące zwierząt w potrzebie. Proszę przejść do zakładki FAQ. Jeśli chcą państwo zorganizować zbiórkę pieniędzy, będziemy wdzięczni. Potrzebujemy klatek dla zwierząt. Proszę nam nie przywozić jedzenia bez wcześniejszego uzgodnienia ze schroniskiem. Jeśli mają państwo profesjonalne kwalifikacje i chcą nam pomóc ochotniczo, proszę wypełnić i odesłać formularz. Prosimy nie przyjeżdżać do nas bez konkretnej prośby ze strony zespołu schroniska”.

Felicity wypełniła formularz, zastanawiając się, co może wskazać jako profesjonalne przygotowanie. W nagłym przyływie inspiracji wpisała egzaminy Brytyjskiego Związku Jeździeckiego. Na moment stare nadzieje i wspomnienia wzbłyły się niczym stado lecących tuż nad wodą dzikich gęsi i Felicity wstrzymała oddech, czekając, aż przeszłość znów się oddali i ucichnie. Tak czy inaczej, chociaż praktyka w zakresie pierwszej pomocy dla zwierząt mogła okazać się przydatna, Amerykanie pewnie nawet nie wiedzą, co to jest Brytyjski Związek

Jeździecki. Prawdę mówiąc, Felicity ani przez chwilę i nie sądziła, że oni mogą chcieć jej pomocy.

W ogóle już nie wierzyła, że może być jeszcze komuś pomocna. Zrobiła sobie wolne od własnego życia, kupiła bilet na samolot i wynajęła na miesiąc dom w posezonowych cenach - tuż obok jeziora, w Wirginii. Co rano zasiadała tam z kawą na końcu długiego pomostu i wpatrywała się w taflę wody. Patrzyła, jak wielkie drzewa zaczynają z zielonych robić się złote, a potem czerwone, i słuchała ciszy.

Im uważniej się wsłuchiwała, tym okolica stawała się mniej rzeczywista. A kiedy wreszcie z drzew zaczęły opadać liście, wyłoniły się domy. Wiele z nich postawiono w pewnych swej wartości latach pięćdziesiątych, a potem zburzono je albo przebudowano w ostatniej dekadzie wieku. Teraz pozamieniały się w podmiejskie pałace. Pod każdym, na ocienionym drzewami podejździe, parkowało kilka SUV-ów, z dachów sterczały talerze anten satelitarnych. Spokój jeziora zakłócały motorówki. Od czasu do czasu na niewielkim skrawku wychuchanego trawnika siadał jakiś śmigłowiec i wypluwał z siebie eleganckich, zamożnych ludzi. Nawoływali się wysokimi głosami, a nocą pijacki śmiech często zagłuszał pohukiwanie sów. Ale u krańca pomostu człowiek nadal mógł udawać, że jest sam.

Wnętrze domu było przytulne, jakby mieszkająca tu rodzina wyjechała na parę dni, a jednocześnie wyglądało jak z bajki, w której zła czarownica machnięciem różdżki zamieniła każdy przedmiot w jego karykaturę.

Na tekowym stoliku do kawy stała miska z owocami, które przy bliższej inspekcji okazały się takim samym sztucznym wytworem ludzkich rąk jak pojemnik. Z półki nad kominkiem kaskadami opadał sztuczny doniczkowy bluszcz. Wiszące rzędem na ścianie kuchni miedziane rondle miały od spodu naklejki: „Nie do użytku kuchennego”, a udająca rattan komoda z szufladami wyściełanymi gazetowym papierem została zrobiona z jakiejś syntetycznej żywicy. W gablotce na ścianie wyeksponowano rybę, niby to złowioną w jeziorze, a naprawdę wyprodukowaną na Tajwanie, w kuchni zaś gumowe linoleum usiłowało uchodzić za terakotę. Wieczorami Felicity wychodziła do Grandma Betty's Waffle Parlor albo do Dick's Diner. Pomimo słoja z napisem: „Herbatniki Babci Betty” i tablicy: „Dick poleca danie dnia”, ani babcia Betty, ani żaden Dick nigdy nie istnieli. W lokalach jedzenie serwowano z wielkich, anonimowo wyglądających pojemników, a jego składniki mieszały ponure, źle opłacane ręce. Felicity nie wierzyła, że jakakolwiek podawana tu rzecz kiedykolwiek rośla w ziemi. Nic nie było prawdziwe.

Kiedy zaczęły się pojawiać pierwsze informacje o zniszczeniach, Felicity miała wrażenie, że to sama zagniewana natura zbuntowała się wreszcie, pragnąc zaznaczyć swoje istnienie. To my, prawdziwe wiatry i drzewa!, zdawała się wołać. Możecie nas pozamieniać w imitację kamienia, plastik i syntetyczne żywice, wy-mrozić z nas całą życiową siłę, ale my i tak któregoś dnia uwolnimy się i odpłacimy wam z nawiązką!

Następnego dnia Felicity dostała telefon ze schroniska.

- Od kiedy mogłaby pani zacząć?

Zawsze trzymała paszport w torebce, a na podorędziu spakowany plecak z podstawowymi rzeczami. Ileż to razy dostawała telefon, taki jak ten, i po pięciu minutach zamykała drzwi swojego niewielkiego mieszkanca? Tym razem było jednak inaczej. Nie szykowała się do stawienia czoła człowiekowi, chroniona kamizelką kuloodporną i wielkim napisem „Prasa” na plecach. Miała się zmierzyć z naturą.

- Nie wiem - odparła Felicity. - A kiedy mnie potrzebujecie?

- Jak tylko zdoła pani tu dotrzeć - brzmiała odpowiedź. - Trzeba się zgłosić na jednodniowy kurs; dopiero po nim będziemy mogli panią wykorzystać. Nasze ubezpieczenie nie obejmuje nikogo, kto nie przeszedł podstawowego przeszkolenia. Ochotnicy pracują zwykle około tygodnia, ale w tej chwili brakuje nam ludzi.

- Ja mogę zostać dłużej - odparła Felicity.

- A ma pani namiot? - zapytała koordynatorka ze schroniska. - Obiecali nam porządne wyposażenie dla wolontariuszy, ale jeszcze nie dojechało.

- A, tak. Jasne.

Zatrzymała się po drodze w sklepie z wyposażeniem turystycznym i kupiła mały namiocik, a poza tym śpiwór i - po uważnym zastanowieniu się - trochę wysokoenergetycznych batoników, parę butelek wody, prymus, środek odstraszający komary i zestaw pierwszej pomocy. Wydała kilkaset dolarów, ale po suficie załadowała samochód rzeczami, które mogły się ewentualnie przydać.

Nie kontaktowała się z nikim i nie informowała, dokąd się wybiera. To była wyłącznie jej sprawa.

Po przyjeździe na miejsce odbyła jednodniowe szkolenie, a potem przydzielono ją do czteroosobowego zespołu opiekującego się przywożonymi do schroniska zwierzętami. Pierwszym zadaniem Felicity było umycie stosów misek na jedzenie, przyciągających przy tej parnej pogodzie roje roznoszących choroby much. Potem zajęła się niekończącą się turą karmienia, pojenia, sprzątania i wyprowadzania. Pozostali ochotnicy narzekali na harówkę, ale Felicity, wraz z pierwszą nieśmiałą poprawą nastroju, zrozumiała, że jej to odpowiada. Zajęcie było monotonne, brudne, na dodatek w upale, ale robiła coś przydatnego. A w tym była dobra. Plecy ją bolały, stopy puchły, dłonie miała poobcierane, mimo gumowych rękawiczek, a jednak pierwszy raz od jakiegoś czasu czuła, że jej robota ma sens. A niektóre z tych kotów i psów były śliczne i spragnione uczucia! Inne przeżyły taki uraz, że nie dawały się do siebie zbliżać. Te trzeba było trzymać na długich drągach, a nie na smyczy.

Wieczorem obolała do szpiku kości Felicity, na widok kolacji złożonej z fasoli i kiełbasek, poczuła, że ulotne wrażenie celowości działania znów zaczyna ją opuszczać. Z czego mogły być zrobione te kiełbaski? Zmęczony żołądek zaprotestował na samą myśl, więc zadowolili się dwoma batonami energetycznymi, a potem z trudem rozłożyła namiot. Grunt był twardy i kamienisty. W dziale zaopatrzenia wyprosiła puste pudło i rozdarła je na części, niemal płacząc z wysiłku, żeby wsunąć karton pod podłogę namiotu i trochę złagodzić krawędzie

leżących pod spodem kamieni. Rano tak bolały ją mięśnie, że ledwie mogła stanąć prosto.

Harry odszukał ją, kiedy stała w kolejce po śniadanie, próbując znaleźć w menu coś zdrowego.

- Hej, ty - powiedział. - Konie. Zgadza się?

- Ale co? - Felicity zdążyła już zapomnieć, co wpisała do formularza.

- Masz kwalifikacje do pracy z końmi. Jesteś nam potrzebna. Dostaliśmy kilka zgłoszeń w sprawie bezpieczeństwa koni, które utkwily gdzieś na północ stąd. Potrzebuję więcej ludzi, którzy wiedzą, jak się z nimi obchodzić.

Konie stanowiły część jej dawnego życia. Samo myślenie o nich sprawiało, że żołądek Felicity się zaciskał, a serce zamierało z napięcia. Dla niej ten zapach siana i mydła do siodła, zaprawiony kwaśną nutką obornika, był zapachem dawno pogrzebanej zdrady.

Harry oparł dłonie na biodrach.

- Pomożesz nam czy nie?

Słowo „pomoc” podziałało. Jeśli ktoś prosi o pomoc, trzeba jej udzielić. Przez następne dwa tygodnie Felicity pracowała z Harrym i Kieferem, młodym studentem weterynarii. Dzień w dzień jeep Harry'ego wyjeżdżał z centrum i kierował się w górę zdradliwie błotnistych dróg. Próbowali nie zwracać uwagi na rozkładające się, zjadane przez muchy zwłoki bydła, koni, a raz też starszego, leżącego przy drodze człowieka.

- Możemy się tylko za niego modlić - powiedział Harry, dotykając jej ramienia. - Nic innego nie zdołamy zrobić,

Felicity przycisnęła twarz do szyby jeepa. Widywała to wszystko już przedtem, ale nigdy w Ameryce. Ameryka, Anglia - Zachód - powinny być przecież bezpieczne. A może nigdzie nie było bezpiecznie?, pomyślała z nieoczekiwaną łagodnością.

Poświęcali rozdzierające serce godziny na włamywanie się do domów i otwieranie siłą drzwi do stodół, żeby znajdować tam martwe, wygłodzone albo ogłupiałe ze strachu koty, psy i chowające się konie, zakleszczone w najbardziej niemożliwych miejscach i zbyt przerażone, żeby dać się z nich wywabić. Znaleźli nawet martwego ogiera i zwłoki jego klaczy spiętrzone w jednym rogu pola, skąd zwierzęta nie miały jak uciec. One musiały próbować rozpaczliwej ucieczki, myślała Felicity, a potem potopiły się w ciągle wznoszącej się wodzie. Grunt pastwiska był podmokły i oleisty; nie widziała tam świeżej trawy ani wody.

Potem, któregoś dnia, kiedy więcej zwierząt zaczęło nareszcie opuszczać schronisko, niż do niego przyjeżdżać, a w zatłoczonych rzędach boksów i klatek pojawiły się przerwy, dostali telefon od ekipy strażaków i ratowników. W przydrożnym rowie, w pobliżu terenów bagiennych, zauważono jakiegoś konia; nie mógł się uwolnić z błota. Harry'ego poproszono, żeby pojechał tam koniowozem, a on do towarzystwa wziął ze sobą Felicity, na wypadek problemów zabierając też środek usypiający i strzelbę do humanitarnego uboju.

Czekając w rozpalonym południowym słońcu obok nieruchomego konia, Felicity przyglądała się zwierzęciu,

szukając charakterystycznych oznaczeń. Niektórzy zapisywali swoje numery telefonów na sierści koni smarem albo wygalali na niej jakiś napis - o ile mieli na to czas. Niczego takiego nie zauważyła. Oczywiście, koń mógł mieć wszczepiony mikroczip.

Harry otrząsnął się z drzemki i spojrzął na zegarek.

- Pół godziny minęło, kochana. On i tak nie powinien dłużej tak leżeć. - Zaczął szykować strzelbę, a Felicity wiedziała, że mężczyzna ma rację. Szanse konia już się wyczerpały. Mrużąc oczy, spojrzała w niebo i zobaczyła tam sępa. Potem drugiego. Zaczął krążyć i trzeci.

- Nie! - krzyknęła, zrywając się z ziemi. - Poszły stąd! - Jej słowa rozplynęły się w pustce nieba, bezradne i nic nieznaczące.

Nagły hałas i ruch musiały zaniepokoić zwierzę, bo Felicity, obejrzawszy się za siebie, zobaczyła, że koń z wahaniem podnosi się na nogi. Chwiejnie, bo chwiejnie, ale stał o własnych siłach.

- Miałaś rację - przyznał Harry, zdumiony, i schował broń do pochwy.

- Już to kiedyś widziałam - powtórzyła Felicity, bo wspomnienia znów ukłuły ją nieprzyjemnie. Jak powracające w zdrętwiałej kończynie krążenie.

Ujęła kantar i poprowadziła konia w stronę rampy koniowozu, ale zwierzę każdym ciałem swego ciała dawało do zrozumienia, że nigdzie się nie wybiera. Nie było tak jak w kinie. Kiedy rany powstają w realu, nie przestają od razu boleć. Koń przewrócił oczami i pochylił łeb.

- Chodź, chłopaku. Ja ci tylko próbuję pomóc. Chodź, kochany... - Słowa były nieważne. Starła się dać

zwierzęciu czułości, których nie wypowiadała od dawna, miłość, jaką miała do zaoferowania, otwartość i uczciwość, którą zwierzęta potrafią wyczuwać... Już dawno nie zbliżyła się w taki sposób do żadnej żywej istoty. - Proszę cię... - tłumaczyła. - Teraz nie wolno ci się poddać, nie po tym wszystkim. Proszę cię tylko o ten jeden, jedyny wysiłek. - Koń wyciągnął się na całą długość pomiędzy spoczywającą na ogłowie dłońią Felicity a własnymi tylnymi nogami, które twardo stały poza ciężarówką.

- Dajcie mi wodę - odezwała się, a Harry wsunął jej kubek do ręki.

Podsunęła wiadro pod koński pysk, ale kiedy tylko zwierzę zaczęło pić, cofnęła się po rampie. Trzymała kubek w jednej ręce, drugą ciągnąc kantar do siebie. Znów rozboleły ją plecy; za uchem brzęczał komar, rozpraszając uwagę.

A potem koń wskoczył na rampę, a koniowóz zachybotał z boku na bok. Równie dobrze mogę ci zaufać, zdawały się mówić brązowe oczy, a zmęczone boki unosiły się i opadały. Felicity usłyszała cichy okrzyk ulgi. To Harry. Odetchnęła znajomym końskim zapachem, przesunęła dłońią po śliskiej, spoconej sierści i wyczuła w potężnym kiedyś zadzie spowodowane odwodnieniem zakłęśnięcia.

- Biedny staruszek - mruknęła. - Przeszedłeś trudne chwile. - Nie przestając mówić, przywiązała go i wysiadła drzwiami dla dżokeja. Do końca nie ufała, że zwierzę już nie wpadnie w panikę.

- Masz świetną rękę - pochwalił ją Harry, sprawdzając,

czy koń został przywiązany jak trzeba. Zwierzę podziękowało mu za to położonymi na płask uszami i obnażyło zęby. Harry wycofał się szybko. - Chyba jest w lepszym stanie, niż wygląda. Jego charakterek w niczym nie ucierpiał.

- Czasem dochodzą do siebie zadziwiająco szybko.

- Felicity wskoczyła do szoferki.

To doświadczenie zbratało ją z resztą zespołu. Pozostali członkowie zaczęli opowiadać o tym, skąd się tu wzięli. Tego samego wieczoru w obozie, przy fasoli i kiełbaskach z puszki, nieprzytomna ze zmęczenia i marząca o prysznicu, który byłby czymś więcej niż kubłem z wodą umocowanym nad głową, Felicity odkryła, że większość ludzi skłonnych w jednej chwili rzucić wszystko, ma za sobą coś, co uniemożliwia im dopasowanie się do reszty.

- Nie przyznajemy, że jesteśmy nieudacznikami

- stwierdził Harry, nalewając sobie sporą whisky. - Sami nazywamy siebie „dzikimi kartami”. Dżokerami w talii.

Felicity wstała.

- Pójdę tylko sprawdzić, co z naszymi podopiecznymi. Zobaczę, jak sobie radzi tamten wałach.

Nazwała go Merlinem; nadawali zwierzętom imiona w kolejności alfabetycznej i doszli właśnie do M. Poproszonej o wybór Felicity umaszczenie konia skojarzyło się z ciemnoszarą sylwetką szybującą wysoko po szerokim niebie nad bagnami Kentu. Zresztą był kiedyś jeszcze inny Merlin, wobec którego miała do spłacenia dług... Odepchnęła od siebie tamto wspomnienie.

- No to za tego twojego czarodzieja! - powiedział jeden z ochotników.

Felicity pokręciła głową.

- Nie, to nie tak. Jest u nas taki gatunek sokoła... Drzemlik. Inaczej: merlin. Jego skrzydła mają ten sam ciemnoszary kolor. To rzadki ptak. Szczególny.

- Szczególny - zaczął przedrzeźniać Harry. - Uwielbiam te angielskie określenia. I co teraz, wracasz do domu?

Felicity zastanowiła się przez moment.

- Nie jestem pewna - powiedziała. - Wcale nie planowałam powrotu.

- Każdy tak mówi, kochana - odparł jeden z pozostałych wolontariuszy. - Nic się nie przejmuj, my tu wszyscy przed czymś uciekamy. Jesteś wśród swoich.

7.

Savannah siedziała onieśmielona przy jasnym, jesionowym stole w domu Marsh-Robertsonów i żałowała, że Cecily zdecydowała się spędzić trochę, jak to nazwała, „rodzinnego” czasu z Lottie. Zanosił się, że nie pozwoli córce tego dnia pojechać na konie.

- I jak się czujecie, dziewczęta? - spytała dziarsko Cecily. - Weźcie sobie po kuleczke mozzarelli. - Podsunęła w ich stronę talerz z czymś, co wyglądało jak gumowe piłki do golfa. - To mozzarella z bawolego mleka, dość niezwykła.

- Eee, nie, dziękuję. - Savannah nie była do końca pewna, czy odważy się już coś zjeść.

- Dostałam dzisiaj list w sprawie wyboru przedmiotów do A levels - rzuciła Cecily, nakładając sobie na talerz małą porcyjkę karbowanej sałaty i kulkę sera.

Lottie zbladła, ale nic nie powiedziała, przesuwając jedzenie po talerzu i od czasu do czasu biorąc niepewnie kęs.

- Pomyślałam o angielskim, historii, mandaryńskim i hiszpańskim - oświadczyła Cecily. - Moim zdaniem potrzebne ci są języki nowożytne, a gospodarka Chin nabrała przyśpieszenia. Szkoda, że jesteś taka słaba z matematyki. A jakie A levels ty będziesz robić, Savannah?

Savannah mruknęła, że nie zostanie w szkole po egzaminach GCSE.

- Nie będziesz zdawała A levels?! - Cecily nie byłaby bardziej zaszokowana, gdyby Savannah oświadczyła, że planuje karierę dilerka narkotyków. - No ale przecież chyba chcesz iść na uniwersytet? I musisz zdobyć jakieś porządne kwalifikacje. Po prostu musisz.

- Ja nie jestem tak bystra jak Lottie - odparła Savannah, próbując mozzarelli. Natychmiast tego pożałowała. Kiedy przełykała ser, żołądek podszedł jej do gardła.

- Lottie wcale nie jest bystra - powiedziała Cecily kwaśno. - To tylko kwestia wytrwałej pracy, prawda, Lottie?

Lottie pokiwała głową.

- Będę zawodowym jeźdźcem - wyjaśniła Savannah. - Nie ma sensu, żebym zdawała A levels. Muszę się dostać do drużyny juniorów, a potem brać udział przynajmniej w czterdziestu konkursach konia wierzchowego rocznie. Nie miałabym czasu. Zresztą mam już szkoły powyżej uszu.

- A co na to twoja matka? Na pewno nie pozwoli ci zakończyć nauki w wieku szesnastu lat?!

- Sama tak zrobiła. Helena też. Chociaż ona poszła Potem do szkoły aktorskiej. Tylko moja ciocia Felicity zdawała A levels i planowała iść na studia, ale potem...

Nie wiem dokładnie, co się potem stało. W ogóle jej nie widzimy.

- Przecież wszystkim potrzebne są A levels - odparła Cecily. - To coś, na czym w przyszłości będziesz mogła się oprzeć.

- Ale ja nie chcę się na niczym opierać - zaprotestowała Savannah. - Chcę wygrywać zawody.

Cecily spiorunowała ją wzrokiem.

- A twój dziadek? Na pewno tego nie popiera.

- Popiera - powiedziała Savannah. - To znaczy: popierał. Kilka miesięcy wcześniej pokłóciła się z Bramble, czy

wolno jej będzie wrócić późno z jakiejś imprezy, i zaczęły na siebie krzyczeć. Savannah uciekła biegiem do stajni, a dziadek poszedł tam za nią.

Gestem wskazał, żeby usiadła obok niego na wąskiej drewnianej ławeczce w składziku z paszą. Savannah wbiła paznokcie w szorstką powierzchnię drewna, postanawiając, że stawi mu czoła.

Tyle że on wcale się na nią nie gniewał. Rozmawiał bardzo spokojnie i bardzo łagodnie. Wyjaśnił, że wszystko w jej rękach. Bramble sobie jakoś radziła, ale nie udało jej się dotrzeć na sam szczyt, więc teraz przyszłość Lorenden zależy od Savannah. Mają kilka dobrych młodych koni i to jej wyniki zadecydują, czy zakwalifikuje się, razem z tymi końmi, do Badmintonu i Burghley. A kiedy skończy dwadzieścia lat, na olimpiadę.

- Jesteś nowym pokoleniem - powiedział. - Ale musisz poświęcić temu naprawdę wszystkie siły. Tylko prawdziwie zdeterminowani dochodzą do czegoś. Chciałbym jedynie wiedzieć, czy ty naprawdę chcesz

zostać zawodowym jeźdźcem? Tak w głębi serca? Bo jeśli nie, to pora się do tego przyznać. - ¹

Savannah wystraszyło pytanie dziadka.

- Jasne, że chcę.

- Dobrze. Uważałem, że powinienem zapytać. Czasem dostrzegam w tobie odrobinę podobieństwa do Felicity, a ona... No, nieważne. - Umilkł na chwilę, a zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się w długie bruzdy. Spoglądał na drugi kraniec dziedzińca, jakby coś tam widział.

- Co poszło nie tak z Felicity? - Savannah zastanawiała się, czy wreszcie ktoś raczy jej konkretnie wyjaśnić, dlaczego, ilekroć wspominało się jej ciotkę, w powietrzu wisiała dezaprobata.

Edward, budząc się z zamyślenia, klepnął się dłońmi po kolanach i wstał.

- To bardzo utalentowana dziewczyna. No cóż, teraz już kobieta, oczywiście. Mogła być jednym z najlepszych jeźdźców swojej epoki. Ale ona ucieka przed każdą trudnością... A w taki sposób nie osiąga się sukcesu.

- Odniosła sukces jako reporterka - stwierdziła Savannah. Oglądała ciotkę w telewizji, na jednym z mniejszych kanałów informacyjnych, i zdawało jej się, że trudno określić osobnikiem samolubnym czy leniwym kogoś gotowego stawić czoła strachowi i trudom wojny.

- To na pewno nie jest łatwe.

- Chciałbym uwierzyć, że wreszcie dorosła - przyznał Edward. - Może ludzie faktycznie się zmieniają? Chyba lepiej późno niż wcale - dodał bez przekonania.

- W każdym razie Felicity się nie liczy. Chcę porozmawiać o tobie. Po pierwsze... - skupił uwagę na wnuczce.

- Twoja matka się tobą przejmuje, dlatego na ciebie krzyczy. A oboje - i ona, i ja - wiemy, że nie wolno ci szaleć tak jak inne dzieciaki, jeśli naprawdę chcesz odnieść sukces. Musisz się skupić, skupić i jeszcze raz skupić. W przeciwnym razie, no cóż... Możesz stracić wszystko.

Savannah pamiętała światło słońca sączące się przez drobny słomiany kurz i zapach siemienia lnianego i siana.

- Wszystko? - powtórzyła. - Jak to?

Wskazał ręką na dom i dziedziniec stajni. Na Lorenden, które istniało od zawsze, samo centrum jej świata. Podobnie jak konie.

- Wszystko - potwierdził. - Nie mamy wielkiego majątku, jak niektórzy inni ludzie. Musimy pracować na utrzymanie tego, co zdobyliśmy. Jeśli chcesz nadal tu mieszkać i brać udział w zawodach, musisz być najlepsza. W tym sporcie nie ma dziś miejsca dla tych, którzy stoją w drugim szeregu.

- A jak mi się nie uda? Czy stracimy konie, jeśli nie będę zwyciężać? Co się z nimi stanie?

- To zależy od ciebie - powiedział dziadek. - Dopóki ja tu jestem, utrzymamy Lorenden, ale kiedy mnie zabraknie, wszystko spadnie na ciebie. Próbuję ci wyjaśnić, że nie możesz niczego w życiu przyjmować za pewnik. Musisz walczyć o swoje.

A teraz dziadek nie żył.

Savannah wbiła wzrok w sałatkę. Liście układały się na talerzu w coś, co przypominało wir. Znów zrobiło jej się niedobrze.

- Przepraszam - mruknęła i szybko wstała od stołu. Pobiegnęła do toalety na parterze. Ledwie zdążyła

oszczędzić kwieciste zasłonki otulające wiktoriańską umywalkę Cecily.

- Chyba jednak mamy gripę żołądkową - powiedziała Lottie, kiedy znów leżały w łóżkach.

- Jeśli tak wygląda kac, to już nigdy w życiu niczego nie wypiję. - Savannah myślała, że umrze. Gdybyż tylko mogła się znaleźć w domu, we własnym wysokim żelaznym łóżku, z jego spłowiałą patchworkową kapą i z ciepłym Darcym ukradkiem wylegującym się przy jej boku! Tęskniła za nim. I brakowało jej dziedzińca Lorenden, otoczonego stajniami z czerwonej cegły. Myślała o synogarlicach, które przysiadają na dachu stajni, i o koniku wyścigowym, który kręcił się, wskazując kierunek wiatru. Brakowało jej tego wszystkiego, nawet apodyktycznego głosu Edwarda dudniącego poleceniami ponad stukotem i chrzęstem kopyt na kamieniach i żwirze.

Helena i Bramble zdecydowały, że odczytają testament w salonie. Prawie nieużywany, był jednym z dwóch dużych pomieszczeń usytuowanych po obu stronach frontowych drzwi i stanowił część pretensji do dostojności farmera z czasów króla Jerzego. Salon miał sięgające podłogi okna, obrzeżone wyblakłymi kotarami, przykurzone i porośnięte pajęczyną. We wnętrzu dominował marmurowy kominek i potężne, niezwykle ozdobne lustro nad jego półką, a stara edwardiańska tapeta, z wypukłym granatowo-złotym wzorem, odchodziła od ścian. Nieużywany pokój pachniał wilgocią.

- Serio - odezwała się Helena. - Mieszkając w tym

miejscu, musisz się czuć jak Śpiąca Królowna. Czekasz, aż pojawi się twój książę i cię obudzi. - Nerwowo chodziła z kąta w kąt, biorąc różne przedmioty do ręki. Teraz, kiedy zostały same, nie miały żadnego powodu odkładać odczytania testamentu na później. A Helena spodziewała się, że ojciec wszystko zapisał Bramble. I nie mogła tej myśli znieść. Bramble zawsze była jego ulubienicą. Zastępowała mu syna, którego ich ojciec nigdy się nie doczekał. To było niesprawiedliwe. To było niesprawiedliwe od zawsze.

- A to jest całkiem niezłe, wiesz? - Odstawiła niewielkiego porcelanowego pudła z powrotem na kominek, zachodząc w głowę, czy odważy się otworzyć kopertę, i co zrobi, jeśli testament jest zgodny z jej oczekiwaniami. Dzięki Bogu, że wzięła tę rzeźbę! Jest warta parę groszy. Oczywiście Heleny przemykały po reszcie pokoju. Obecnie nikogo nie interesowały ciężkie, ciemnoczerwone, olejne portrety przodków, i bardzo niewiele edwardiańskich czy wiktoriańskich mebli miało teraz jakąś wartość. Chociaż ten olej w stylu Stubbsa, przedstawiający Mountain Rocket, konia wyścigowego, od którego wszystko się zaczęło, mógł przynieść trochę kasy... - Srebra też są całkiem przyjemne - powiedziała z roztargnieniem. - Chociaż w tej chwili nikt ich nie kupuje. Czasem sprzedaje się jakiś nietypowy okaz, ale ludzie w większości wolą kupować sztuce w sklepach Habitat. - W głosie Heleny pobrzmiwało napięcie.

Niespokojnie obracała w palcach cienką, brązową kopertę, patrząc na skreślone mocnym charakterem pisma Edwarda Beaumonta słowo: „Testament”, kiedy otworzyły się drzwi i do środka wszedł Jez.

Helena odruchowo uniosła dłoń, żeby przyglądać jasne, geometrycznie ostrzyżone włosy.

- Ojej! - powiedziała zdradzającym zdenerwowanie głosem. - Tutaj zawsze kręci się tak wiele osób. Nie sposób się połapać... - I zadzwoniła tym, co Bramble od zawsze nazywała w skrytości ducha „śmiechem gwiazdy”. Lekkim, szemrzącym potokiem dźwięku, niemal całkowicie pozbawionym radości. - Nazywam się Helena Harris - obniżyła głos o oktawę. - Siostra Bramble. A pan to zapewne...

Zdawało się, że jej nie poznaje.

- Miło mi - odezwał się uprzejmie, przechodząc przez pokój pewnym krokiem jeźdźca, i wyciągnął rękę na przywitanie. - Jestem Jez Morgan. - Nie dodał żadnego wyjaśnienia.

Helena lekko potrząsnęła głową i rzuciła mu spod oka kokieteryjne spojrzenie.

Heleno, daruj sobie, pomyślała Bramble odruchowo. Po prostu sobie daruj.

- Eee, może wypijesz z nami filiżankę herbaty, zanim wyjdiesz, Jez - powiedziała Bramble, rozpaczliwie bojąc się zostać sam na sam z siostrą i kopertą. - Właśnie zamierzałyśmy...

- Albo kieliszek szampana - podsunęła Helena. - Na planie zawsze mówimy, że najlepszy sposób na uporanie się z każdym problemem to napić się szampana. Jestem aktorką - dodała, zdecydowana zmusić Jeza, żeby ją zauważył.

Jez zignorował obie propozycje.

- Ludzie zaczynają wypytywać o stajnię. O to, co będzie dalej. Co mam im mówić?

- No cóż... Że wszystko działa jak zwykle - powiedziała Bramble, czując trzepot lęku i starając się go opanować.

- Niekoniecznie - odparła Helena. - Nie wiemy przecież, co będzie, prawda? Nie przeczytałyśmy testamentu, nie wiemy, gdzie jest Felicity...

- Tak czy inaczej - powiedział Jez stanowczo - jeśli ktoś zapyta, będę mówił, że działamy normalnie. To da wam czas na decyzje.

Między brwiami Heleny pojawiła się zmarszczka niezadowolenia.

- Co mam teraz robić? - spytał Jez lakonicznie.

- Och, Cecily Marsh-Robertson mówiła, że Lottie nie może dziś objeździć Sailora, bo jest chora. Mamy więc kolejnego konia, któremu potrzeba trochę ruchu.

Helena była niespokojna. Nie cierpiała, że w tym domu wszystkie rozmowy toczą się wokół koni. Edward nie żył, na litość boską, a wyglądało na to, że Bramble i Jeza obchodzi wyłącznie jakiś kuc i rozpieszczony bachor, który na nim jeździ. A one powinny się zająć odczytaniem testamentu! Wstrzymała oddech. Bardzo się bała jego zawartości.

Przeciągnęła się, udając, że ziewa, i z satysfakcją zauważyła, że Jez zerknął na jej biust. Ale tylko przez moment i bez większego zainteresowania. Może, jak to się mówi, gra do tej samej bramki? Wielu jeźdźców płci męskiej tak ma.

- A, i jeszcze Sailor ma niewielki chroniczny katar, który powinien był przejść po ostatniej dawce antybiotyków, ale wciąż mu dokucza. Zerknij i powiedz, czy twoim zdaniem trzeba wezwać weterynarza, dobrze?

- Spróbuję akupresurą - powiedział Jez. - Wymasuję wrażliwe punkty bez igieł, więc to żaden problem.

Bramble już otwierała usta, żeby mu powiedzieć, co myśli o takich wygłupach, ale postanowiła przemilczeć sprawę.

- Jest jeszcze taki stary sposób... Zawiesza się w stajni sznur cebuli - ciągnął Jez. - Nieraz przekonywałem się, że pomaga koniom zachować czyste i drożne drogi oddechowe.

- W tej chwili Sailor nie stoi w stajni - rzuciła ostro Bramble. - Chyba że chciałbyś zawiesić cebule nad bramką pastwiska?

A potem zrobiło jej się głupio, że okazała zniecierpliwienie. Ale Jez już poszedł. Z wyłożonego kamiennymi płytami holu dobiegał stukot jego butów.

- Mówiłam ci - wtrąciła się Helena. - To się nigdy nie sprawdzi. Jestem pewna, że znajdziesz jakiś legalny sposób wyplątania się z tej umowy.

Bramble nie była pewna, czy mocniej ją wkurzał Jez, czy Helena. W tej chwili miała odrobinę bardziej dosyć własnej siostry.

- Nie chcę się z niej wyplątywać - powiedziała z rozdrażnieniem. - A w każdym razie, jeszcze nie teraz. Nie mam czasu i potrzebuję pomocy. A tak się składa, że ostatnio sama próbowałam przekonać tatę, żebyśmy przez jakiś czas spróbowali alternatywnych metod leczenia.

Helena spojrzała na nią ze zdumieniem.

- On ci się podoba! - zatriumfowała. - Wiedziałam, że tak będzie! W przeciwnym razie w życiu byś

nie pozwoliła jakiemuś facetowi mówić, co masz robić z końmi.

Bramble się wkurzyła.

- Heleno, to jakaś kompletna bzdura. Sądziś ludzi według swoich własnych, nieciekawych standardów. Tobie najwyraźniej wszystko kojarzy się z seksem, a tu nie chodzi o sprawy damsko-męskie! Raczej o właściwe postępowanie.

- Wszystko zawsze dotyczy spraw damsko-męskich. Tata nie żyje, a ty zaraz ulegasz obcemu facetowi.

- Ja Jezowi nie ulegam - syknęła Bramble. - W moim świecie mężczyźni i kobiety są równi. W teatrze i w telewizji, być może, faceci nadal dzierżą władzę, a kobiety takie jak ty muszą się im podlizywać, ale tutaj jest inaczej. Jak sama dobrze wiesz. A jeśli chodzi o mnie, Jez nie jest mężczyzną. Jest współpracownikiem.

- Jest twoim podwładnym - ucięła Helena. - Jeśli o tym zapomnisz, będziesz miała kłopot. I daruj sobie te protekcyjne wstawki o równości. Mężczyźni i kobiety nigdy nie będą sobie równi. Po prostu nie, i naiwnością jest myśleć inaczej.

- Heleno. - Bramble wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia siostry. - Nie kłóćmy się o to. Musimy pomyśleć o ważniejszych sprawach. - Spojrzała na kopertę.

- Tak czy inaczej - pociągnęła nosem Helena - Jez może się wydawać całkiem atrakcyjny... O ile lubisz taką muskularną, ogorzałą urodę w stylu „Kochanka lady Chatterley”... Ale mnie się wydaje, że on jest gejem. Te śliczne skórzane buty są nieco zbyt dokładnie wypolerowane, nie sądzisz?

- Nic mnie nie obchodzi, kim jest, póki nie straszy

mi koni - powiedziała Bramble. - Wy tłumacz mi tylko, bo nie bardzo rozumiem... Skoro on właśnie skończył dwa związki z dwiema różnymi kobietami... Jak zdołaliby w ten dość napięty grafik wcisnąć jeszcze mężczyzn?

Helena nachmurzyła się i zerknęła na swoje odbicie w wielkim lustrze. Chyba nie zaczynała tracić podejścia do mężczyzn? Spojrzała na nią kobieta o licznych zmarszczkach, więc Helena z lękiem odwróciła wzrok.

- Testament. Myślę, że powinniśmy się wreszcie do tego zabrać - powiedziała Bramble, czując, że z napięcia zasycha jej w ustach.

- O, tak, naturalnie, że tak. Odczytam go, dobrze? Bramble skinęła głową i zaczęła ogryzać paznokcie.

Stary nawyk, jeszcze z czasów dzieciństwa.

- „Ja, Edward...” i tak dalej, „będąc zdrowy na umyśle” i tak dalej, i tym podobnie... Czeka, moment... - Helena przebiegła wzrokiem pojedynczą kartkę papieru, w milczeniu poruszając wargami.

Bramble odwróciła się, czując ucisk w żołądku. Spojrzała na jesienny trawnik. Wczorajsza nocna burza odarła drzewa z pożółkłych liści, które teraz zalegały na trawie w nasiąkniętych wodą stertach. Ja nie chcę stąd wyjeżdżać!, pomyślała, nagle zdając sobie sprawę, co może dla niej oznaczać ostatnia wola ojca. Nie chcę opuszczać tego domu. Nigdy.

Wydawało się, że zanim Helena doszła do końca dokumentu, minęły wieki. Do tej pory musiała go już przeczytać z sześć razy, pomyślała Bramble.

- ...zostawiam wszystko w równych częściach moim trzem córkom" - Helena znów włączyła swój aktorski ton

- „Felicity Jane Beaumont, Helenie Mary Harris, znanej też jako Helena Cooper, i Lavinii Rose Kelly, znanej jako Bramble”. Wspaniale. Wspaniale dla nas wszystkich, nie sądzisz? - Helenie wyraźnie ulżyło. - Naprawdę cudownie! Nie mamy się o co sprzeczać i nie zapisał majątku Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Opieki nad Końmi, co zawsze trzeba było brać pod uwagę.

- Tak - powiedziała Bramble, nie odwracając twarzy od widoku na ogród, żeby Helena nie mogła zobaczyć jej szoku. Zakładała, że ojciec zapisze jej konie. I że w jakiś sposób wszystko będzie mogło funkcjonować jak do tej pory. Helena przecież i tak była bardzo zamożna, a Felicity od tak dawna nie odwiedzała domu... Do tej pory sądziła, że ojciec chciałby, aby kontynuowała jego dzieło.

Ale najwyraźniej tak nie było. Gdyby ufał, że Bramble sobie poradzi, nigdy by nie zatrudnił Jeza.

W oczach Heleny pojawiły się zawstydzenie i triumf. Zdjęła z siebie czarny sweterek polo.

- Przykro mi za to rozdarcie. Naprawdę. - Oddała go Bramble, zerkając najpierw na metkę. - Kupię ci drugi.

- To zeszłoroczny model - powiedziała Bramble, odbierając sweter od siostry, ogarnięta nieprzyjemnym, zimnym i złym przeczuciem. - Nie będą go już mieli.

- Tak się cieszę, że tata zachował się sprawiedliwie!

- wypaliła Helena. - To okropne, kiedy rodzina zniża się do kłótni o spadek, nie sądzisz? Uczciwiej nie mógł postąpić, prawda?

Wrodzone Bramble poczucie sprawiedliwości zareagowało na słowo „uczciwość”.

- Tak - zgodziła się, przechodząc do porządku dziennego

nad wrażeniem, że ojciec po raz kolejny zostawił ją na lodzie. - Nie mógł postąpić uczciwiej. Musimy tylko odnaleźć Felicity. - Wyszły z salonu. Helena niemal promieniała ulgą. - Tylko nic nie mów! - syknęła Bramble. - Nikt nie powinien wiedzieć, dopóki nie znajdziemy Felicity.

Helena już otwierała usta, żeby wyrazić sprzeciw, ale na razie zdecydowała się unikać konfliktu. Bramble i tak już czekają kłopoty; będzie musiała sprzedać Lorenden i się wyprowadzić. Nijak nie było jej stać na spłacenie Heleny i Felicity.

Ale kiedy włączała czajnik i przysuwała sobie krzesło do wyszorowanego kuchennego stołu, przyszło jej do głowy, że być może wszystko jednak skończy się dobrze. Bramble zawsze była rozsądna. Ubierała się wprawdzie schludnie i, oczywiście, była bardzo ładnie opalona i wysportowana, ale przy tym wszystkim... No cóż, zdecydowanie mało kobieca. Tylko tak można to było określić. Porządne życiowe przemeblowanie mogło jej wyjść tylko na dobre. Od śmierci Dorna żyła, jakby czas się dla niej zatrzymał, a naprawdę miała mnóstwo niewykorzystanych atutów. I lepiej, żeby wykorzystała je teraz, bo kiedy już skończy czterdzieści czy pięćdziesiąt lat... No cóż.

Bramble, z boleśnie walącym sercem, poruszała się jak we śnie.

- Lunch, Heleno? Pytałam już Donnę i Jeza, czyby czegoś nie przegryźli.

Postawiła na stole ser i słodkie jesienne jabłka z sadu, a potem dodała łubiankę jeżyn, które zebrała w trakcie jednego ze spacerów z psami, i świeży chleb z chrupiącą skórką. Jedli w niemal kompletnym milczeniu. Bramble

w pewnej chwili podniosła wzrok i zaskoczona napotkała spojrzenie Jeza. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

- Chyba jakiś anioł przeleciał nad domem - zaświergotała Donna. - Tak się mówi, kiedy wszyscy milczą.

Zgodnie popatrzyli na nią jak na wariatkę.

Helena zastanawiała się, co może zrobić ze swoją częścią Lorenden. Ona i Ollie zawsze rozmawiali o tym, że przydałby im się drugi dom. Może gdzieś w Toskanii albo w Dordogne? Miała nadzieję, że ten cały Jez nie będzie im rzucał kłód pod nogi. Wprawdzie nie bardzo wiedziała, jak i po co miały to robić, ale widziała jego swobodny, stanowczy sposób bycia, kiedy tak siedział rozwalony przy stole, balansując na tylnych nogach krzesła, i rozmawiał z Donną. Było w nim coś, co jej się nie podobało.

- A twoja żona? - spytała Donna.

- Nie jestem żonaty.

- A dziewczynę masz? - Uniosła jedną brew.

- A to akurat jest - odparł spokojnie i bardzo grzecznie - wyłącznie moja sprawa. - Spojrzał na zegarek. - Przepraszam.

Zupełnie niezrażona Donna również zerknęła na wiszący na kuchennej ścianie zegar.

- O cholera! - powiedziała, zrywając się z miejsca i idąc za Jeżem. - To już tak późno?

- Moim zdaniem, były oficer powinien mieć lepsze maniery - powiedziała Helena, kiedy za wychodzącymi zamknęły się drzwi. - I moim zdaniem, nie powinnaś mu ufać.

- Och, na litość boską! Jakie to wszystko ma znaczenie? - Bramble miała ochotę krzyczeć. - Skoro już wiem, że tata w gruncie rzeczy mnie nie cenił?

Helena naląła sobie jeszcze jeden kieliszek wina. Jej twarz stwardniała.

- Tata nigdy nie zauważał niczego, co robiłam, nigdy mnie nie pochwalił, nigdy nie był ze mnie dumny. Nic z tego, co robiłam, nie było dla niego wystarczająco dobre. Nigdy mnie nie zauważał. Więc nie oczekuj ode mnie współczucia.

- To nieprawda! - zawołała Bramble. - Tata był z ciebie bardzo dumny. Zawsze oglądał „Drogę Simona”. Nie zliczę, ile razy słyszałam, jak mówi: „Moja córka, aktorka, bardzo znana, wicie państwo, ta, która gra Mattie w »Drodze Simona«”.

- Do mnie nigdy niczego takiego nie powiedział. - Serce Heleny, złaknione aprobaty ojca w dzieciństwie, łapczywie uczepiło się tego okruchu pocieszenia. - Och, Bramble, przepraszam cię, nie zamierzałam na ciebie warczeć. To wszystko jest dla mnie takie trudne. Ty tego nie rozumiesz.

Bramble zaczęła wkładać talerze do zmywarki.

- Heleno, nie zaczynaj...

- Przynajmniej łączyły cię z nim konie - marudziła Helena. - Nigdy nie pogodził się z tym, że mnie one nie interesują. Próbował nawet odbić to sobie na mnie przez Eddiego. Wiesz, że po cichu dawał mu lekcje? Pozwalał mu skakać na długo przedtem, zanim mały był do tego gotowy. Wsadzał go na Bena i kazał mu wyobrażać sobie, że jest na olimpiadzie. To było okropnie niebezpieczne i nieodpowiedzialne. Musiałam położyć temu kres.

- Tata nigdy nie robił niczego nieodpowiedzialnego, kiedy w grę wchodziły konie - zaprotestowała Bramble gorąco. - Jeśli wsadzał Eddiego na Bena, to dlatego, że twój syn...

Helena wyciągnęła przed siebie rękę.

- Bramble, nie kłóćmy się. Nie teraz. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Tata odszedł, a Felicity wciąż tu nie ma. Teraz już tylko ty mi zostałaś. Bądźmy dla siebie miłe.

- Wiem - powiedziała Bramble. - Masz rację, nie powinniśmy się kłócić. - Spróbowała się uśmiechnąć i rzucić jakąś lżejszą uwagę, żeby nieco złagodzić wydźwięk rozmowy.

8.

Bramble wreszcie ucałowała Helenę na pożegnanie i wpakowała ją do taksówki razem z koniem z brązu owiniętym w stary koc. Gniew i strach toczyły w niej walkę ze słusznym poczuciem sprawiedliwości.

Rzeczy materialne nie są ważne, powtarzała sobie, machając za oddalającą się podjazdem taksówką. Podział wszystkiego na równe części był czymś sprawiedliwym i należnym, a liczy się przede wszystkim rodzina. Liczą się siostry, nie rzeczy.

Ale kiedy wróciła do kuchni, brak rzeźby tylko podkreślił pustkę, jaka zapanowała w domu bez Edwarda.

Donna, która właśnie wróciła z pubu, zaplotła ramiona na piersi.

- No i na czym stanęło z tym Jezem, co? Dasz mu moją posadę?

Króciutka koszulka Donny obnażała wytatuowany wokół pępka napis: „Benny 4ever”. Benny był jej kucykiem, jeszcze z klubowych czasów, potraconym na wąskiej drodze przez rozpędzony samochód i wybawionym

z męczarni przez weterynarza czterdzieści minut później. Donna spędziła trzy miesiące na szpitalnym wyciągu i kolejne sześć na fizykoterapii, po których zafundowała sobie ćwieki w nosie i języku, tatuaż i to, co jej matka określiła jako „charakterek”.

- Nie, Donna - odparła Bramble ze znużeniem. - Jez nikomu nie zabierze pracy. Brak nam rąk do roboty i po prostu go potrzebujemy.

- Nie mówię, że nie. A może jakaś podwyżka? Z tytułu moich zranionych uczuć? - Donna w wojowniczej pozie nadal trzymała ramiona splecione na piersi.

Bramble podniosła się z krzesła.

- Donna, są pewne granice. Jeśli natychmiast się nie opanujesz, dowiesz się znacznie więcej na temat zranionych uczuć, niż to sobie możesz wyobrazić.

Patrzyły jedna na drugą, tkwiąc w impasie, aż wreszcie Donna uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Tylko tak pytałam, szefowo - powiedziała. - Tylko pytałam. Bramble westchnęła.

- Wszyscy chcą coś ugrać dla siebie - odparła. - A to nie jest najważniejszy moment...

Kiedy Donna wreszcie zamknęła za sobą drzwi, Bramble zaczęła się zastanawiać, czy powinna jej była powiedzieć o testamencie. W końcu dziewczyna ma prawo wiedzieć o sprawach, od których zależy jej przyszłość.

Tak samo jak my wszyscy, stwierdziła w duchu. Tak samo jak my wszyscy. Usiadła ciężko przy kuchennym stole, opierając głowę na rękach. Żałowała, że nie może się rozplakać, ale była zbyt rozgniewana.

Eddiego informacja o dziadku zbyt wytrąciła z równowagi, żeby, wracając ze szkoły, pamiętał o podjęciu zwykłych środków ostrożności. Właśnie zapadał zmierzch i wychodzący z pracy ludzie dreptali ulicami we wszystkie strony niczym mrówki. Zbyt późno zauważył, że wpadł prosto na gang.

Była to grupa nastoletnich chłopaków różnych ras, mniej więcej w jego wieku, którzy szydzili zeń i gwizdali, ilekroć ich mijał. Czasami mruczeli jakieś obelgi, nazywali go „białaskiem” albo „bogatym chłoptasiem”. Widać było, że nie chodzą (i możliwe, że nigdy nie chodzili) do żadnej szkoły. Eddie zwykle starał się zmieniać trasę powrotu, ale liczba ulic pomiędzy jego domem a stacją metra była ograniczona. Czasami zdarzało mu się zapominać o tej groźnej małej bandzie, innym razem, kiedy pociąg metra zbliżał się do jego stacji, żołądek ścisnęło mu mdłości.

Tym razem banda czekała za rogiem.

- Hej, gogusiu! - odezwał się ich przywódca, mocno zbudowany nastolatek, w połowie Chińczyk, w połowie Afrykanin z Karaibów. - Dawaj telefon!

-Eee... Nie mam telefonu. - Serce Eddiego zabiło niedobrym przeczuciem i spróbował wyminąć chłopaków.

Otoczyli go.

- Coś mi się widzi, że białasek łże - rzucił któryś.

- No, no, nieładnie tak kłamać. Nie uczą was tego w szkole dla bogatych chłopczyków?

Eddie był już mocno wystraszony.

-Ja... Eee... Mam trochę pieniędzy. - Drżącymi

rękami wyjął dwie dwudziestofuntówki, które dziś rano wziął z bankomatu.

Przywódca gangu schował je do kieszeni ze złym uśmiechem.

- Go jeszcze tam chowasz?

- Nic. - Usłyszał we własnym głosie wyraźny strach. Oni też to usłyszeli.

Zaczęli się śmiać.

I wtedy zadzwoniła komórka. Czyjaś brudna ręka zanurkowała do jego kieszeni, a potem pomachała mu przed twarzą jego własnym telefonem.

- Popatrz, Ty...

- Zapomniałem o niej.

- Ładny telefonik. - Jeden z chłopaków podrzucił go w powietrze i Eddie odruchowo wyciągnął rękę. Telefon porwał z powietrza Ty, przywódca gangu. - Nie wydaje mi się, aby był twój - ostrzegł. - No to popatrzmy, co jeszcze ma bogaty białasek, tylko nam o tym nie mówi.

- Nic, przysięgam. - Eddie czuł, że do oczu napływają mu łzy wstydu, i zastanawiał się, dlaczego przechodnie nie reagują. Pewnie dostrzegali tylko grupkę nastolatków i nie chcieli się wtrącać.

- Uklęknij - rozkazał Ty.

Eddie rozpaczliwie rozejrzał się dokoła.

- Nikt cię nie uratuje - dodał Ty. - Są tak samo spietrani jak ty, białasie. -1 ciszej: - Mam nóż.

Eddie z trudem przełknął ślinę i powoli osunął się na kolana.

- Zabierać mu buty! - przykazał Ty i dwóch chłopaków ściągnęło Eddiemu adidas. -1 wziąć klucze.

Eddie pomyślał o matce i bliźniakach, niewinnych i bezpiecznych w domu, i po twarzy zaczęły mu spływać łzy. Czyjeś ręce szperały po jego kieszeniach; czuł ostry zapach niemytych ciał i zatechłego, słodkiego dymu w oddechach. Z ulgą uświadomił sobie, że zapomniał kluczy.

- Nie ma ich, Ty.

- Następnym razem - zapowiedział przywódca bandy. - A teraz spadaj.

Eddie pobiegł ulicą, goniony przez kpiący śmiech. W zimnych kałużach przemoczył skarpetki do cna i czuł, że co chwila ostre kamienie boleśnie ranią mu stopy.

- Tylko nie zapominaj! - zawołał za nim Ty. - Wiemy, gdzie mieszkasz!

Eddie napał na dzwonek przy drzwiach, a Ania otworzyła mu po czasie, który wydawał się wiecznością.

- Eddie? Dlaczego nie nosisz kluczy?

- Zapomniałem - mruknął, wślizgując się do środka i ruszając na górę, zanim ktoś zauważy jego stopy. Usiadł na łóżku, ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się gorącymi łzami upokorzenia i gniewu. Pożałował, że nie ma broni, z której mógłby ich powystrzelać, ani że nie było okazji nauczyć się judo.

No i co? Nawet wtedy nie udałooby mu się wygrać z nimi ośmioma w pojedynkę.

Co więc mógł zrobić? Mgliście rozważał telefon na policję, ale jedyną styczność z prawem miał w życiu przy tych paru okazjach, kiedy matce albo Oliemu wypisywano mandat za przekroczenie prędkości. Co mogła zrobić policja? Nie będzie go chronić podczas powrotu ze szkoły, a gang na pewno się na nim zemści.

Znalazł starą parę adidasów, za małą, bo stopy znowu mu ostatnio urosły, i zszedł na dół na kolację. Na pięcie miał małe skaleczenie, bo nastąpił na kawałek szkła. W przyciasnym bucie piekło go i pobolevało.

Kilka dni później powiedział wreszcie Helenie, że zgubił komórkę.

Jej oczy zabłyły gniewem.

- Eddie, jak możesz być taki nieuważny? Nie śpimy na pieniądzach, wiesz.

Eddie przestąpił z nogi na nogę.

- Uhm... I adidasów też jakoś nie mogę znaleźć.

- Co się z tobą dzieje? No dobrze. Będziesz musiał to wszystko pokryć ze swojej tygodniówki.

O tym, że tygodniówka też przepadła, nawet się nie zająknął.

Na dziedzińcu stajni Lorenden Bramble, Donna i Jez oporządzali konie na wieczór. Bramble działała automatycznie. Kiedy szła przez wilgotną trawę w gasnącym świetle dnia, z przewieszonymi przez ramię kantarami dla koni, które w nocy stały w stajni, odruchowo przyglądała się pastwisku. Wiatr niczego nie naniósł, łobuzy nie narozrabiały, więc uspokojona odprowadziła konie do boksów i zajęła się z Jezem wydzielaniem paszy.

Na ścianie składziku wisiała tablica z nierówno nakreślonymi kredą liniami i listą wszystkich koni i ich diet.

- W sumie mamy cztery kategorie - wyjaśniła. - Tu są konie konkursowe. Sześć, włącznie z Teddym. Potem idzie młodzież, która przebywa na pastwisku; zwykle nie daje się jej dodatkowej paszy. Potem Patch i Ben,

które są już na emeryturze i wieczorem dostają niewielki suplement. No i wreszcie rezydenci - Sailor i dwa inne konie, których właścicielom dzierżawimy miejsce w stajni. Zimą na nich polują, a latem startują w zawodach.

- A więc, razem biorąc, czternaście sztuk. I tylko dziewiątka uczestnicząca w konkursach? A Teddy to wasz jedyny koń najwyższej klasy?

Bramble wydało się, że wyczuwa w jego głosie krytykę.

- No cóż, na pewno wiedziałeś, że nie jesteśmy wielką stajnią, kiedy zgadzałeś się tu przyjechać. Wiem, że te wiodące mają o wiele więcej koni, ale to nie nasz poziom.

- Mogę to zmienić - powiedział jak gdyby nigdy nic. - Po to tu jestem.

- Och, świetnie. - Bramble próbowała opanować sarkazm. - Tak czy inaczej, mamy w tym roku już tylko jeden konkurs, i to na szczeblu lokalnym. Zabierzemy tam Sailora i być może dwa z rezydentów, o ile ich właściciele będą chcieli startować. Może też i któregoś z młodszych koni, żeby nabierał doświadczenia. Do koniowozu wchodzi pięć sztuk, i maksymalnie tyle chciałabym wystawiać w każdym zawodach. W sumie mieliśmy niezły rok...

- Hm... - Jez pochylił się nad różnymi gatunkami karmy. Bramble usiłowała nie dać się zepchnąć na pozycje obronne.

- W gabinecie trzymamy kalendarz wieloletni - usłyszała własne słowa. Zaczynała pleść bez ładu i składu pod jego uważnym spojrzeniem. - Staramy się sprawdzać, co kiedyś dostawały i na czym czuły się najlepiej,

ale w zasadzie ograniczamy do minimum twardą karmę i dajemy im dużo błonnika. W dni, kiedy nie pracują, konie dostają mesz z otrębów z dodatkiem melasy, dla smaku.

- Mesz z otrębów? - powtórzył Jez. - Naprawdę jeszcze to stosujecie? Konie mają w jelitach potężną kadź fermentacyjną z pożytecznymi bakteriami, a mesz z otrębów kompletnie je wyjaławia! Dopiero po trzech czy czterech dniach odbudowują florę.

- Ojciec wysoko zaszedł, a zawsze im dawał mesz z otrębów. - Bramble usiłowała mówić pewnym siebie tonem, chociaż wiedziała, że Edward tu akurat postępował staroświecko. - I przecież nie dodajemy melasy do niczego innego - dorzuciła.

- Melasa to nie problem. Dawaj im ją codziennie, jeśli chcesz. Trawa ma bardzo wysoki poziom naturalnych cukrów i organizm konia świetnie je trawi. Ta cała antymelasowa brygada myli konie z ludźmi i uważa, że zęby im się popsują albo że będą się zanadto ekscytowały, ale to wszystko bzdury. - Zaplótł ramiona na piersi. - Mesz z otrębami... - Roześmiał się. - Spodziewałbym się czegoś takiego po tej ekipie od samych skoków, ale ludzie zajmujący się wszechstronnym konkursem konia wierzchowego zwykle są dosyć bystrzy.

Bramble postanowiła puścić mimo uszu tę niegrzeczną uwagę, ale dokuczało jej dość paskudne wrażenie, że Jez może mieć rację. Jej ojciec zawsze lekceważył nowe produkty żywieniowe i teorie, „bo to zwykły marketingowy szajs”. Nie zmieniali końskiej diety od dekad. Chyba już czas przyjrzeć się możliwym usprawnieniom?

Bramble wołałaby jednak robić to bez Jeza, apodyktycznie wtykającego nos we wszystkie sprawy.

Wreszcie skończyli karmienie i stajnię spowiła wieczorna atmosfera spokoju: odgłosy koni, które żuły z zadowoleniem i od czasu do czasu parskały przez nos, spiralna nuta kołysanki drozda śpiewaka usadowionego na szczycie wiatrowskazu i szuranie miotły, którą Donna wymiatała dziedziniec do czysta z ostatnich źdźbeł siana.

Helena dojechała na Primrose Hill około siódmej wieczorem. Wyciągnęła z portfela plik banknotów i zapłaciła taksówkarzowi. Koń z brązu był zadziwiająco ciężki, więc napięła z całej siły mięśnie brzucha, kiedy odbierała go z rąk kierowcy. Skrzywiła się. W żaden sposób nie mogła sobie pozwolić na nadwężenie kręgosłupa. Po prostu nie mogła.

Weszła po frontowych schodkach, jak zawsze z przyjemnością spoglądając na wysoki, smukły, szeregowy dom. Wygląda, pomyślała, jak dziecięcy rysunek domu nocą, z oknami rozjarzonymi światłem i ciepłem. Wyciągnąwszy szyję, dostrzegła w suterenie stopy Olliego.

Taksówkarz kręcił się przy niej.

- Da pani radę? - zapytał. - Udźwignie to pani?

- Proszę się nie martwić. - Przełknęła niespodziewanie zdradliwe łzy i ramieniem nacisnęła dzwonek u drzwi.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Gdzie się wszyscy podzieli? Znów napała na dzwonek, wciskając go dłużej, i drzwi otworzył jej Ollie, mrugający oczami ze zdziwienia.

- Och! Myślałem, że zanocujesz w Kencie...
- Nie mówiłam chyba, że będę nocowała, prawda?
- Helena podała mu rzeźbę, a Ollie aż się ugiął pod jej ciężarem.
- Cóż, założyłem tylko... Co to jest?!
- Zanieś go do salonu. - Było tam idealne miejsce, pośrodku niskiego stolika do kawy. W otoczeniu prostoty niczym nieozdobionych, białych ścian salonu Heleny koń nagle ożył; kopyta młóciły powietrze w cudownej symfonii równowagi i siły. Było w tej rzeźbie coś zapierającego dech w piersiach. Jakby w każdej chwili zwierzę zrywało się do biegu.
- To ma tutaj zostać? - Ollie położył dłonie na biodrach. Helena milczała przez chwilę.
- Ollie, co się stało? Jakoś nie ucieszyłeś się na mój widok.
- O co ci chodzi, do kurwy nędzy? - wypalił ostro. Zawsze robił się agresywny, jeśli ktoś mu nastąpił na odcisk. Od czasu do czasu, kiedy tak się zachowywał, Helena znajdowała w koszu na śmieci zadziwiającą liczbę pustych butelek po winie.
- Zapomniałeś o: „Cześć, kochanie, jak się masz?”. Właśnie wróciłam z rodzinnego domu po śmierci ojca, wiesz.
- Oczywiście, że wiem. A poza tym, jak się masz?
- Ollie niespokojnie zamrugał oczami.
- Skoro już pytasz... Jestem kompletnie wykończona. Czy coś się stało?
- Stało? - spytał Ollie. - A dlaczego miało się stać?

Helena nie zamierzała się przyznawać, nigdy i za nic, że nie była tak do końca pewna swojej władzy nad Olliem. Małżeństwo wcale nie była prostą sprawą. Jej drugi mąż, podtatusiały lowelas, uwielbiał ją, więc nigdy nie musiała się specjalnie przejmować jego opiniami. Oczywiście, ona i Ollie też uwielbiali się wzajemnie, ale ten związek miał bardziej równoprawny charakter. I tak powinno być. Ollie potrafił jednak w jednej chwili zmienić się z ciepłego, seksownego i kochającego faceta w zimnego i rozgniewanego drania, a to Helenę wytrącało z równowagi. Wiedziała, że to jej wina: zbyt wiele od niego wymagała i jak większość aktorek, stawiała własną karierę na pierwszym miejscu. Odkąd zdała sobie z tego sprawę, lepiej sobie z tym radziła, ale nie zawsze wszystko jej się udawało.

- Chodź, potrzebuję drinka. - Zeszła na dół i zobaczyła otwartą butelkę. - Po tym całym dniu, jaki mam za sobą...

- Jak poszło? - spytał Ollie, nalewając kieliszek dla żony i opróżniając w ten sposób butelkę. Wyjął kolejną, ze stojaka ukrytego w jednej z kuchennych szafek.

Helena napiła się wina i przyjrzała mężowi. Czasami nie do końca odczytywała wysyłane przez niego sygnały. Czy on był na nią z jakiegoś powodu zły?

- Na pewno musisz otwierać kolejną? - spytała, zerkając na butelkę. - Oboje jutro pracujemy.

- Od kiedy to stałaś się wzorem trzeźwości? Helena objęła się ramionami i nagle zrobiło się jej bardzo smutno.

- Tata zostawił wszystko nam trzem. W jednakowych częściach.

Ollie aż zagwizdał.

- No, to już wygląda nieco lepiej. Rękę bym dał sobie uciąć, że zapisze całość Bramble. Jak sądzisz, ile to jest warte? Milion? Dwa? Może nawet trzy?

- Aż tyle to chyba nie. Dom jest strasznie zaniedbany. - Lata zajmowania się wystrojem wewnątrz nauczyły Helenę całkiem sporo o tym, co jest potrzebne, aby utrzymać w dobrym stanie dom o wartości historycznej. Od zawsze niepokoiło ją niefrasobliwe podejście ojca do zarządzeń budowlanych i wytycznych konserwatora zabytków.

- Dom jest w rękach rodziny już ponad sto lat - parskął. - Nie będzie mi tu żaden niunius w okularkach babuni dyktował, jakie orynnowanie wolno mi stosować, a jakiego nie.

- Tak, tato, ale... - tłumaczyła. - Nie można montować plastikowych rynien przy budynkach uznanych za zabytki! Zresztą one często nie pasują do linii dachu. I przepuszczają wodę. - Edward tylko odchrząknął, a następnym razem, kiedy przyjechała z wizytą, zauważyła plastikowe rynny, a nawet - o zgrozo! - dwa przeszklone świetliki w dachu na tyłach. Teraz nawet nie próbowała sobie wyobrazić całej tej prawnej bieraniny, która mogła się okazać potrzebna, zanim uda się podpisać umowę sprzedaży domu. Tak czy inaczej, było jeszcze do tego daleko.

Helena z lekkim niepokojem odwróciła się w stronę zlewu, żeby Ollie nie widział, jak bierze valium, które trzymała w torebce na okoliczność podbramkowych sytuacji. Na przykład bezsennych nocy, skutkujących podkrążonymi oczami. Popiła tabletkę resztką wina.

Potrwa chwilę, zanim lek zadziała, ale ona nie chciała leżeć w łóżku i rozmyślać.

- Nie sądzę zresztą, żeby chodziło o sporą gotówkę - dodała. - Może nawet są długi. Bramble i ja w przyszłym tygodniu wybieramy się do księgowej, żeby dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda sytuacja. Szykuję się na najgorsze.

- Mimo wszystko, dom jest fantastyczny - odezwał się Ollie. - A przynajmniej mógłby być. We właściwych rękach. Nie za duży. Idealny dla tych bonzów z City. No, może takich podzielonych przez trzy... Zakładając, że Bramble go sprzeda, oczywiście. Trochę mi się nie podoba, że ona tam tak cały czas mieszka, wiesz?

- Och, Bramble zawsze postępuje właściwie.

- Hm... - Ollie spojrzał Helenie w oczy. - Niepokoi mnie właśnie jej definicja tego, co właściwe.

Helena wpadła na pomysł. Po cichu zadba, aby wszyscy się dowiedzieli, że Lorenden jest na sprzedaż. Zanim jeszcze odnajdą Felicity. Ludzie będą się zgłaszać, a Helena będzie im musiała udzielać jakichś informacji. Bramble powoli oswoi się z myślą, że dom znalazł się na rynku. Helena podejrzewała, że siostra nie do końca zdaje sobie z tego sprawę i że jeśli sprawy szybko nie ruszą z miejsca, zacznie stawiać opór. Szybka sprzedaż pozwoliłaby jej zacząć wszystko od nowa, a dokładnie coś takiego było jej potrzebne. Szansa na nowy start.

Wino dodało Helenie energii, tak samo jak myśl o wprowadzeniu Lorenden na rynek nieruchomości bez oglądania się na Bramble. Zaczęła sprzątać, biorąc do ręki stosik poczty.

- To przyszło dzisiaj?
Ollie wzruszył ramionami.

- Tak mi się wydaje.

Koperta na górze wyglądała na bankową, ale list został złożony w taki sposób, że nazwisko nie zmieściło się w okienku adresowym. To pewnie moje, pomyślała Helena, i zajrzała, nie chcąc, żeby Ollie otworzył list i dowiedział się, ile tak naprawdę wydaje jego żona.

Z początku nie mogła zrozumieć, o co chodzi. To było jakieś ostateczne wezwanie do zapłaty, z groźbami podjęcia czynności prawnych. Niespokojnie zmarszczyła brwi. Ollie zawsze powtarzał, że ona ma burżuazyjne skrupuły w kwestii pieniędzy: „Musisz patrzeć na to z nieco szerszej perspektywy. Pieniądze powinny tkwić na naszym koncie i zarabiać dla nas odsetki. Zawsze zostawiaj rachunki na ostatnią chwilę, bo wypisywanie czeków wcześniej to czysta strata”.

- To twoje? - Podała mu kopertę. - Otworzyłam przypadkiem.

- Pieprzyć to. - Pchnął rachunek z powrotem przez stół w jej stronę. - Zapłaciłem już parę tygodni temu.

- A potem wyciągnął rękę i wziął jednak ponaglenie.

- Nie przejmuj się, musiało zajść jakaś pomyłka. Sprawdzę, o co chodzi.

Helena zapomniała o kopercie, bo powoli zaczynała czuć zbliżającą się ciemność, która za chwilę mogła pochłonąć ją całą.

- Nie chodzi o pieniądze - powiedziała nielogicznie. - Chodzi o to, że w ogóle nie zdążyłam się pożegnać. - I po tych słowach przysiadła na skraju jednego

z zimnych foteli od Philippe'a Starcka i zaczęła płakać tym okropnym, rozdzierającym szlochem nie do opanowania, który rozrywał jej serce. Zupełnie jakby już nigdy nie miała być szczęśliwa.

- Przepraszam - powiedział Ollie cicho. - Wiem, że to dla ciebie trudne. - Podszedł i nalał jej kolejny kieliszek wina, a potem pocałował żonę w czoło. - Biedna, mała Helenka.

Później rozebrał ją delikatnie, wsunął jej przez głowę nocną koszulę, zaproponował ostatni łyk wina, zaniósł do łóżka i otulił. Kiedy zapadała w niebyt, poczuła, że on też wślizguje się obok i zamyka ją w ramionach. Zasnęła bezpieczna, łagodnie kołysana w objęciach, z ciepłym oddechem Olliego na karku.

- Biedna dziecinka - szeptał. - Cii. Biedna, mała dziecinka. Jestem tu i zajmę się tobą. Nigdy, nigdy cię nie opuszczę.

Felicity przepracowała w schronisku kolejne dwa tygodnie, cały swój wolny czas spędzając z Merlinem. Kiedy już oczyściła z błota jego wychudzoną sylwetkę, na skórze ukazała się sieć drobnych skaleczeń - zupełnie jakby przedzierał się przez kolczaste zarośla - i dawniejsze, ale wciąż niezagojone ślady po szpicrucie. Niektóre z tych ran były zainfekowane i nie obyło się bez antybiotyków.

Początkowo Merlin był zbyt skupiony na własnym bólu, żeby zwracać uwagę na opiekunkę, chociaż pozwalał się sobą zajmować i nie sprawiał większych kłopotów. Stał bez ruchu w boksie, z opuszczonym łbem

i zmętniałymi oczami, ale gdy już antybiotyki zaczęły działać, ożywił się, a jednocześnie stał się bardziej czujny. Powoli zaczynały go kusić kubły z paszą i wpychał do środka swój długi nos niemal natychmiast, kiedy Felicity je przed nim stawiała. Odsuwał się wprawdzie od jej wyciągniętej ręki, ale wyraźnie nie znosił obecności innych ludzi.

- Nie ma sensu się do niego przywiązywać - powiedział Harry tego dnia, kiedy udało jej się pocałować Merlina w nos. - Właściciele będą chcieli, żeby do nich wrócił. Ma wszczepiony mikroczip, więc to tylko kwestia czasu.

- Ktoś się nad nim znęcał - odparła Felicity. - Jeszcze przed huraganem. Nie ufa ludziom. Uważam, że zanim pozwolimy mu gdziekolwiek wrócić, należy zadać kilka pytań.

- Za bardzo go bolą skaleczenia, żeby mógł komuś zaufać. - Henry już odszedł do innych zwierząt, które wymagały jego troski.

Merlin zaczął wyczekiwać odwiedzin Felicity. Kiedy szła przejściem pomiędzy rzędami boksów, wystawiał łeb na odgłos jej kroków, parskał cicho na powitanie i strzygł ładnymi uszami w jej stronę. Stopniowo zaakceptował dotyk dłoni, głaszczących jego ciemną, poplamioną potem i kurzem sierść. Kilka dni później zaczęła go delikatnie wyczesywać, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Przemawiała cicho, przesuwając dłońmi po wychudzonych mięśniach i wystających kościach, czyszcząc go do połysku, jakim niegdyś musiała lśnić jego sierść.

- Tyle przeszedłeś - szeptała. - Ale teraz już nic ci nie grozi.

Zrelaksowany, opuszczał głowę i wspominał, być może, lepsze czasy. Na odgłos przyspieszającego gdzieś w oddali samochodu znów czujnie podrywał łeb.

- Cii, malutki - uspokajała Felicity. - Cii.

Merlin ponownie pochylał szyję, a wkrótce opadała mu też dolna warga; pierwsza oznaka ufności. Felicity zaś wciągała w nozdrza zapach konia, perfumy tyłu utraconych marzeń.

Po trzech tygodniach w centrum ratowniczym Felicity podjechała do miasta w poszukiwaniu kafejki internetowej. Jej laptop wciąż leżał w domku przy jeziorze, bo nie miała ochoty z nikim się kontaktować, ale zewnętrzny świat zaczynał się domagać jej uwagi. Któregoś dnia obudziła się z instynktownym przeczuciem, że musi sprawdzić, czy ktoś czegoś od niej nie chce.

Kafejkę prowadził młody człowiek z kozią bródką; plakietka informowała, że ma na imię Sam. Kiedy długonoga Felicity weszła do środka swobodnym krokiem, w zszarganych bojówkach i krótkiej koszulce na ramiączkach, wziął ją za młodą kobietę.

Ale kiedy płaciła za duże cappuccino, pobrzękując kólkami bransoletek na wiotkim nadgarstku, zobaczył, że jej ziemista dłoń jest poznaczona plamami. Wydając resztę, dostrzegł nieco obwisłą skórę na policzkach i pajęczą sieć drobnych zmarszczek wokół podkrążonych, wyrazistych oczu.

Mimo to, kiedy odchodziła od kontuaru, zrozumiał, że ta kobieta z włosami koloru wypolerowanej skóry, zwiniętymi w luźny kok podtrzymywany ołówkiem, ma klasę. I że bez względu na jej wiek on nie ma u niej szans. Odprowadził ją spojrzeniem do stolika, podobnie jak wszyscy inni mężczyźni w kafejce.

Felicity przebijała się kolejno przez mejle. Było tam trochę ofert pracy, na które szybko odpowiadała grzecznym: „Dziękuję, nie skorzystam”, starając się nie zatrząskiwac za sobą drzwi. Było też kilka wiadomości od znajomych. Nad tymi zatrzymywała się nieco dłużej.

Felicity miała przyjaciół rozsianych po całym świecie. W Café Les Deux Magots w Paryżu, na wystawie błyszczącej porcelany na Kurfürstendamm w Berlinie, w kolejce na lotnisku w Hongkongu albo przedzierając się przez tłum na torze wyścigowym w Deauville, mogła z nienacka usłyszeć okrzyk: „Felicity! Ma *chère*. *Mi amiga*. O kurka wodna, a co ty tu robisz?”. Mogła być pewna, że trafi na jakiś kontakt w najbardziej nawet oddalonych miejscach, na mocne objęcia czyichś ramion w obozie dla uchodźców w Darfurze, ciepły uścisk dłoni w trybunale sądu wojennego w Sierra Leone czy pocałunek w oba policzki w Sarajewie. Siadała z przyjaciółmi wokół oświetlonych świecami stołów przy butelce taniego czerwonego wina albo przy małym kieliszku zabójczej miejscowej wódki, dowolnie przerzucając się z języka na język. A ludzie przyjmowali do wiadomości, skąd pochodzisz, nie oceniając cię z tego powodu. W przeciwieństwie do angielskiej wsi, gdzie sieć starych rodzinnych przyjaźni i wzajemnych powiązań była utkana

równie ściśle co splot antycznego tureckiego kobierca, a wzór stale się powtarzał, w miarę jak jedno stulecie przechodziło w następne... Na hałaśliwych paryskich bulwarach, na rojących się od komarów moczarach Luizjany czy wśród sporadycznego ta-ra-ta-ta helikopterów i pojedynczych strzałów snajpera w Palestynie ludzie okazywali sobie zaufanie.

Ale w głębi serca Felicity, podobnie jak Merlin, nie ufała nikomu, natomiast jeśli miała na to ochotę, z łatwością nawiązywała kontakt. Lubiła umieszczać swoje znajomości w osobnych przegródkach poczty - koledzy-dziennikarze, przydatne kontakty, starzy przyjaciele, mężczyźni, z którymi być może będzie miała ochotę pójść do łóżka. Rodzina mieściła się w najdalszej szufladce - tej, której Felicity nie otwierała, o ile nie było to bezwzględnie konieczne.

Hej, przecież w obecnych czasach rolę rodziny zastąpiły przyjaźnie. Co takiego powiedział do niej jakiś pijany dziennikarz, kiedy bomby wybuchwały im nad głowami w Iraku? No tak, że rodzina to model społeczny, który zdecydowanie się przeżył. Właśnie. Co komu po przeżytkach?

Tego roku ojciec zaprosił ją do Lorenden na Boże Narodzenie, a ona to zbyła, zaskoczona, jak bardzo zaproszenie wytrąciło ją z równowagi. Zaczęła nawet miewać złe sny. Skąd nagle przyszło mu do głowy, żeby ją zapraszać? Felicity trzymała się ściśle polityki „wyłącznie śluby i pogrzeby”, pojawiając się w ostatniej chwili, uśmiechając do wszystkich, prowadząc uprzejme rozmowy, a potem znikając przy pierwszej możliwej okazji. System działał przez tyle lat, więc po co go teraz zmieniać?

Kusiło ją, żeby usunąć najnowszą wiadomość ze skrzynki Edwarda bez czytania, ale w tytule stało: „Bramble prosi o telefon”.

Felicity nie lubiła myśleć o tym, jak mała była Bramble, kiedy ona odeszła z domu. Nie miała żadnych związków z tą kobietą o chłopięcej urodzie, na jaką wyrosła jej siostra, zawsze zaabsorbowaną niekończącym się strumieniem ludzi i koni przewijających się przez Lorenden. Bramble wiodła życie, które kiedyś Felicity wymarzyła dla siebie - ciepła, zagracona kuchnia, zawsze pełna płotek, ruch w stajni i ten zapach siana, oleju lnianego i świeżego nawozu w zasnute mgłą poranki... Nie, nie da się w to wciągnąć ponownie! Wystarczyła kartka z kondolencjami i krótkie pojawienie się na pogrzebie Dorna. Żadnego znaczącego kontaktu!

Najmłodsza siostra nie przejmowała się nieobecnością Felicity w rodzinie, i trudno ją było o to winić; ledwie się zresztą znały. I tak było to lepsze niż wieczna roszczeniowość Heleny, jej chwalenie się ostatnimi nagrodami na przyjęciach, na które bywała zapraszana. I jeszcze ten wzrok! „Popatrz, jak dobrze sobie bez ciebie poradziłam! Spójrz na mnie!”. A kiedy Felicity zaczęła występować w telewizji, Helena spróbowała ją zawłaszczyć; najwyraźniej miała ochotę przedstawiać na imprezach „swoją siostrę, reporterkę telewizyjną”. Felicity spławiła ją bez wyrzutów sumienia.

Otworzyła jednak mejla i przeczytała, w pierwszej chwili nie wierząc własnym oczom.

- Ty bydlaku! - krzyknęła i rąbnęła pięścią w stolik. Kawa strugą wystrzeliła w powietrze. - Ty bydlaku!

Nigdy nie chciałeś mnie wysłuchać! I nigdy nie wysłuchałeś!
Wybiegła z kafejki, roztrącając stoliki i krzesła, oślepiona łzami, uciekająca przed bólem.

Sam, który akurat czyścił blaty stolików, pochwycił w przelocie wyraz jej oczu; przypominały ślepiec zapędzonego w pułapkę zwierzęcia. Podeszedł szybko do komputera, żeby wytrzeć rozlaną kawę. Poplamiła wprawdzie podłogę, ale z ulgą dostrzegł, że nie zalała klawiatury. Na ekranie widniała otwarta wiadomość, pozostawiona bez odpowiedzi.

„Dziadek zmarł nagle, dziś rano”, przeczytał. „Proszę, wróć do domu. Savannah”. No cóż, może to i nie dziwne, że ta kobieta tak się przejęła?

W kafejce zapadła cisza, a klienci gapili się na drzwi, jakby Felicity miała znów wpaść do środka. Sam wyłączył komputer, z powietrza znikło napięcie i wszyscy powrócili do swoich spraw.

9.

Kiedy Felicity dotarła do schroniska, boks Merlina ział pustką. Jakaś żująca gumę dziewczyna wyjaśniła jej, że ktoś się po konia zgłosił.

- Kto? Dokąd pojechali?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Przyczepa odjechała dziesięć minut temu. Może w niej był.

Felicity udało się dogonić koniowóz przed upływem kwadransa, ale przekonanie kierowcy, żeby się zatrzymał, okazało się niełatwe. Jadące w szoferce dwie kobiety najwyraźniej uznały, że Felicity chce ukraść auto, a ona nie zdziwiłaby się zanadto, gdyby zaczęły do niej mierzyć z broni. Ale też była kobietą i jechała sama, co chyba zadziało na jej korzyść. Zatrzymały się w końcu i nieco uchyliły jedno okno.

Felicity wykrzyczała im swoją historię.

- Przykro mi - powiedziała jedna z kobiet. - Wieziemy kasztanowatą klacz. Nazywa się Lovely Lila. Tu są jej papiery.

Felicity zerknęła.

-Lovely Lila... Śliczne imię. Bardzo się cieszę, że panie ją odnalazły, to słodkie stworzenie. Dziękuję, że się zatrzymałyście. - Biegiem zawróciła do samochodu.

- Mam nadzieję, że się pani uda! - zawołała kobieta za kierownicą. - Ubezpieczyciele chcą teraz odzyskać pieniądze i na pewno zabiorą konia od razu na aukcję. Może pójść na mięso. Ostatnio Europa daje lepsze ceny.

Przerażona Felicity, wracając do schroniska, przekroczyła limit prędkości. Wdarła się do prowizorycznego biura.

- Potrzebne mi są dane ludzi, którzy zabrali Merlina, i wszystko, co wiecie o tym, dokąd go zabierają.

Mężczyzna za biurkiem spojrzał na nią krzywo.

- To poufne dane.

- Co pan mi tu pieprzy o poufności! Ja uratowałam temu koniowi życie!

- Co się dzieje? - Za jej plecami stanął Harry, zaplatając ramiona na piersi.

- Harry, błagam cię, pomóż mi! Usiłuję przekonać tego dupka, że muszę wiedzieć, dokąd zabrano Merlina. Natychmiast.

- Po co od razu obrażać ludzi? Przepraszasz tego młodego człowieka, a potem pogadamy na zewnątrz.

-Ale...

Harry spiorunował ją wzrokiem.

- Przepraszam - wykrztusiła Felicity, chociaż słowa wzięły jej w gardle. - Ale... To znaczy, tak, przepraszam bardzo. - Wyszła z pomieszczenia i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po prawie pustej stodole. Ze zdenerwowania chciało jej się krzyknąć.

Kilka minut później z biura wyszedł Harry z kartką w ręku.

- Więcej much łapie się na cukier niż na ocet - powiedział, wręczając jej papier. - Lepiej to sobie na przyszłość zapamiętaj.

- Och, Harry, dzięki! Dzięki wielkie. Jesteś kochany. I bardzo cię przepraszam, że nazwałam go dupkiem. - Przeczytała kserokopię dokumentu. - Muszę już jechać, dobrze?

Uśmiechnął się szeroko.

- Jasne. Daj mi znać, jak poszło.

Felicity zadzwoniła pod widniejący na kartce numer i połączyła się ze znużonym agentem ubezpieczeniowym, który właśnie wybierał się na lunch. Zmuszając się do zachowania grzeczności, zdołała wyciągnąć informację, że Merlina zabrano na najbliższy targ. Ze schroniska jechało się tam mniej więcej półtorej godziny, a w dokumencie stało jak byk, że Merlin wyjechał o dziewiętej dwadzieścia rano. Teraz, nieco po dwunastej, mógł już być na miejscu. Agent odmówił podania numerów komórek pracowników firmy transportowej.

Zadzwoniła na targ, ale przerwa na lunch okazała się rzeczą świętą. No cóż, przynajmniej w tej chwili nie sprzedają żadnych koni, pomyślała. Ruszyła w drogę, powtarzając sobie w duchu, że teraz zatrzymanie za przekroczenie prędkości oznaczałoby katastrofę, i zmusiła się do prowadzenia z prędkością dokładnych, statecznych pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Do niewielkiego miasteczka, gdzie odbywały się aukcje, dojechała bez przeszkód.

W hrabstwie Kent Bramble, po wieczornej pracy w stajni, przysiadła na beli siana w składziku z paszą i rozmyślała nad wyjściem z kłopotliwego położenia. Jeza nie było, a Donna znów wybrała się do pubu, więc Bramble została sam na sam z zapachem siana i przebijającym przezeń chłodnym powietrzem jesiennego wieczoru, w którym dawało się wyczuć nutkę gnijących liści i palonych ognisk. Położyła się na plecach i powolutku zapadała w drzemkę. W świat cienia, w którym ojciec usiłował jej coś powiedzieć.

Znienacka zrobiło się jasno. Zaciekawione konie zaczęły się wiercić niespokojnie.

To pewnie lis znów włączył lampę z czujnikiem ruchu, pomyślała Bramble, zbyt zmęczona, żeby się podnieść. Po chwili usłyszała jednak odgłos otwieranej i zamykanej furtki, a potem czyjeś kroki na dziedzińcu. Przystanęły i znów ruszyły.

- Halo? - zawołała. - Jez, to ty?

Mężczyzna na pewno nie był Jeżem, ale w mroku rozświetlonym jedynie alarmową lampą Bramble nie była w stanie dostrzec jego twarzy. Tylko sylwetkę - wysoką i dość mocno zbudowaną.

- Przepraszam? - powtórzyła. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Bramble! - Podszedł bliżej i wtedy zobaczyła twarz. Toby Fitzroy. Mężczyzna, którego jej ojciec zdecydowanie nie lubił.

- Toby? Co ty tutaj robisz?

Zapanowało niezręczne milczenie. Nie byli z Tobym w takiej komitywie, żeby witać się cmoknięciem

w policzek, a uścisk dłoni wydawał się obojgu czymś zbyt formalnym.

- Przyjechałem złożyć moje, eee, kondolencje. Bramble się zdziwiła; nie słyszała zbliżającego się

samochodu. Stosunki zaś między Beaumontami a Fitzroyami były tak chłodne, że spodziewałaby się co najwyżej kartki czy grzecznościowego pojawienia się na cmentarzu.

- Dziękuję, Toby - powiedziała spokojnym głosem.

- Był naprawdę wielkim człowiekiem. Znaczy, w końskim świecie.

Bramble czekała na dalsze wyjaśnienia, przyglądając się gościowi uważnie w przyćmionym świetle. Toby był postawny - mierzył sporo ponad sześć stóp - i miał potężne ciało, które ledwie udawało mu się powstrzymać przed przeobrażeniem się w górę tłuszczu. Szopa jasnych włosów, które odziedziczył po szwedzkiej matce, Beatrice, wydawała się równie gęsta jak zawsze, chociaż zaczynała już siwieć. Jego oczy, też szwedzkie dziedzictwo, płonęły jaskrawym błękitem w opalonej, pozna-
czonej zmarszczkami twarzy; Bramble podejrzewała, że podkreślał ich barwę szklanymi kontaktowymi. Ale nawet wrogowie Toby'ego - a miał ich paru - przyznawali, że to wciąż atrakcyjny mężczyzna, który w młodości był wyjątkowo przystojny. A on doskonale o tym wiedział. Kobiety zawsze wpadały w jego zachłanne ręce jak lecące z drzewa dojrzałe śliwki.

Założyła ramiona na piersi i oparła się o futrynę drzwi do składziku z paszą, nie przestając się dziwić, i - No cóż, chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi

przykro. I sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy. Na pewno bardzo brakuje ci rąk do pracy.

- To ogromnie miłe z twojej strony, ale tak się składa, że zatrudniliśmy Jezzara Morgana. Jako objeżdżacza koni i instruktora - powiedziała Bramble, z zadowoleniem obserwując zaskoczenie na jego twarzy.

- Naprawdę? Jezzar Morgan, tak? To dość nagła decyzja. Bramble się uśmiechnęła.

- Zapadła jeszcze przed śmiercią ojca. - Nikt się nigdy nie dowie, postanowiła, jak się o to wściekła. Od tej pory, dla całego świata, Jezzar został zatrudniony przez nią. Uniosła brodę wyżej.

- Jasne. Okej. No, to jest... Eee... bardzo dobra wiadomość. W tych smutnych okolicznościach, naturalnie.

Bramble niemal zrobiło się żal Toby'ego.

- W każdym razie... Jak mówiłem, daj mi znać, jeśli będę mógł w czymś pomóc.

- To bardzo miłe z twojej strony, Toby - powtórzyła.

- A jeśli będziesz myślała o sprzedaży...

- Nie myślę.

- To spora posiadłość. I wysokie koszty utrzymania. A po śmierci ojca...

- Ja przejmuję interes.

Toby nachylił się tak, że jego usta znalazły się blisko ucha Bramble.

- Kiedy już przyjrzesz się liczbom, przekonasz się, że dobrze byłoby, gdybyś przestawiła się na nieco mniejszą stajnię. Bez nazwiska ojca jesteście zaledwie niezbyt dużą jeździecką szkółką, która od czasu do czasu sprzedaje konia czy dwa.

- Mam własne nazwisko. Jest wystarczająco dobrze znane.
- Do pewnego pułapu. Nigdy nie udało ci się wygrać najważniejszych zawodów, nieprawdaż? A w obecnych czasach nie da się prowadzić tego biznesu, podpierając się odległym miejscem w rankingu.

- No cóż, sam to rozumiesz najlepiej, Toby. Trafiła w czuły punkt i zobaczyła w jego oczach błysk gniewu.

- Wiem więcej o sukcesach, niż ty się kiedykolwiek dowiesz. - Objął gestem spokojny dziedziniec. - Nie zanosi się, aby coś się w tej materii zmieniło.

Bramble przełknęła ślinę.

- Myślę, że przekonasz się o tym dopiero pod koniec przyszłego sezonu. Na razie *zaczynamy*.

- Naprawdę? - spytał. - Bo mnie to bardziej wygląda na końcówkę. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy będziesz zainteresowana ofertami. Na któregoś z koni.

- Ale po co miałbyś je kupować? - Bramble próbowała opanować wzbierający w niej gniew.

- Och - powiedział, zwracając do furtki. - Wiesz, przez pamięć starych czasów... - Obejrzał się za siebie i potraktował ją tym swoim przypominającym błysk flesza uśmiechem. Tym włączanym na eleganckich przyjęciach specjalnie dla fotografów.

Bramble zapanowała nad odruchem wymiotnym.

- Na razie, Toby! - zawołała. - I dzięki! Ale my tu działamy jak zwykle.

Znów poczuła w gardle gorzki smak żółci. Zatrzymała się przy kanale odpływowym któregoś boksu i zwróciła

zawartość żołądka, targana nerwami, znużeniem i szokiem. Obmyła twarz i wypłukała usta lodowatą wodą z kranu, a potem napełniła nią kubek, żeby po sobie sprzątnąć. Ostatni raz zrobiło jej się niedobrze ze zdenerwowania na pół godziny przed crossem w Badmintonie. Osiem lat temu.

Tyle że w Badmintonie gonitwa miała się skończyć, wygrana czy przegrana, w ciągu dwunastu i pół minuty, a ta sprawa mogła się ciągnąć latami. Albo i przez wieczność. Bramble otarła twarz rękawem i zaczęła głęboko oddychać. Będzie brała każdą przeszkodę po kolei i może w jakiś sposób uda jej się zachować Lorenden dla Savannah.

Nad drzwiami boksu ukazał się długi pysk Teddy'ego. Koń przyglądał się jej wielkim, czujnym okiem.

Teddy!, pomyślała. A raczej: właścicielka Teddy'ego, Pauline. Lady Rudd. Była kimś więcej niż zwykłą właścicielką konia, była niemal partnerką ojca w interesach. Współpracowali przez ponad czterdzieści lat, dłużej, niż trwa większość małżeństw. A poza tym, Ruddowie byli bogaci. Bramble zastanowiła się, czy udałoby się przekonać Pauline do sponsoringu. Lady Rudd uwielbiała bowiem kupować konie, sprzedawać je i patrzeć, jak wygrywają.

Wybierze się więc w odwiedziny do Pauline! Postanowione. Już sama myśl o tym podziałała na Bramble uspokajająco. Ponieważ matka Bramble umarła, kiedy mała miała zaledwie pięć lat, pozostawiając obie młodsze córki pod opieką nieustająco zmieniających się nian, Pauline była dla Bramble jak rodzona ciotka. Na pewno

usłyszę od niej jakąś mądrą radę, pomyślała. Tak, Pauline na pewno podpowie mi, co robić.

Felicity zgubiła się, szukając hali aukcyjnej, i musiała dwukrotnie zawracać na sześciopasmowej autostradzie. Wreszcie dotarła do grupy stodół, zaparkowała samochód i ruszyła biegiem na teren przetargu, kierując się znakami prowadzącymi do biura. Wreszcie dostrzegła szyld z napisem: „Informacja”. Mężczyzna za biurkiem załatwiał innego interesanta, a Felicity przestępowała z nogi na nogę, dopóki nie skończył.

- Muszę znaleźć konia. - Pokazała mu kserokopię dokumentów Merlina. - To pilne.

Z bolesną powolnością facet zaczął sprawdzać coś w komputerze.

- Został sprzedany dziś rano. Jedna z ostatnich partii przed lunchem.

- Wie pan komu? Skinął głową.

- Walt Bird. Tam stoi, proszę pani.

Walt Bird okazał się zwalistym mężczyzną o licznych podbródkach i brzuchu składającym się z kilku osobnych fałd.

- Przepraszam - zagaiła Felicity. - Czy kupił pan dzisiaj tego konia? Facet zerknął na dokument.

- 1 co z tego?

- Chciałabym go od pana odkupić. , Pokręcił głową.

- Nie da rady.

- Zapłacę więcej. O wiele więcej.

- To nie moja kasa.

- A czyja w takim razie?

Walt westchnął, aż zadygotały podbródki.

- Paniusiu, to działa tak. Nabywam konie do uboju. Skupuję całą ciężarówkę, a kiedy jest pełna, wiozę je do rzeźni. Jeśli ciężarówka nie jest pełna, muszę jechać gdzie indziej i dokupywać towar. Co oznacza, że pierwszą partię muszę trzymać w zagrodzie, dopóki nie zdobędę reszty. A to niehumanitarne.

Nie wyglądał na człowieka, który przejmuje się ludzkimi odruchami.

Felicity naczytała się o tym, co się dzieje w niektórych rzeźniach. Konie poraża się paralizatorem, żeby je ogłuszyć, a potem podrzyna się im gardła i wykrwawia je na śmierć. Ale paralizator nie zawsze działa, a konie wiedzą, co je czeka. Są przerażone. Nikt nie podaje im środków uspokajających, bo lek tylko zanieczyściłby mięso.

- No dobrze. Jeśli zapłacę panu więcej, niż ten koń jest wart, będzie pan mógł kupić innego. Nawet po wyższej cenie. A ja doliczę coś górką za fatygę. Powiedzmy... z tysiąc dolarów?

Gwałtownie uniósł brwi i spojrzał na zegarek.

- Gotówka - powiedział. -1 to zanim skończą aukcję. Żebym mógł dokupić innego i dopełnić transport.

- Gdzie jest najbliższy bank?

Najbliższy bank znajdował się w odległości dwudziestu minut drogi samochodem, ale kiedy Felicity powiedziała, że chce wziąć z konta trzy tysiące dolarów,

kazano jej czekać na sprawdzenie danych. A zegar tykał; aukcja kończyła się o wpół do piątej, teraz dochodziło dwadzieścia po drugiej. Wreszcie z pieniędzmi w dłoni Felicity wróciła na targ, ale musiała jeszcze dwa razy objechać parking, żeby znaleźć miejsce. Proszę, wznosiła oczy do nieba, daj mi szansę! Tę jedną szansę!

Jakiś samochód wycofał się z parkingu, a ona czym prędzej wmanewrowała na wolne miejsce na wstecznym.

Walt przeliczył banknoty.

- Proszę zaczekać - powiedział. - Upewnię się, czy znajdę innego konia na jego miejsce.

Felicity miała za sobą już cały dzień czekania i robiło jej się niedobrze. Ten grubas nie przepuści chyba okazji zarobienia tysiąca dolarów? Młotek aukcyjny stuknął ponownie, kończąc kolejną transakcję, i transport Walta był gotowy.

- Proszę za mną. - Pośrednik kaczym chodem ruszył w stronę zagród dla zwierząt, zatrzymując się przy jednej z nich, pełnej stłoczonych, nieuwiązanych koni, które rozpychały się w półmroku. Niektóre były stare, inne chore, inne rozzłoszczone, a jeszcze inne zwyczajnie wystraszone.

- Poznaje go pani?

Felicity przyjrzała się stojącym bok w bok zwierzętom; kilka z nich miało zady mokre od wywołanego strachem rozwolnienia. Tłoczyły się i podgryzały wzajemnie. W rogu kulila się stara klacz, której z nosa kapła krew.

- Nie znają się wzajemnie - powiedział Walt. - Walczą o przywództwo. Ciągłe tak jest.

Felicity aż krzyknęła cicho.

- Co to takiego? - Wskazała na ciemno umaszczonego konia z wypłyniętym okiem.

Walt zaklął.

- Właśnie do tego dochodzi, jak się zwleka, paniusiu. Im szybciej ta partia trafi do rzeźni, tym lepiej. Nowe przepisy bardzo utrudniają pracę takim ludziom jak ja. A teraz niech pani szybciej zabiera sobie tego swojego pupilka.

Felicity nie mogła dostrzec Merlina.

- Jest ciemnoszary. Prawie czarny. Z cienką białą strzałką. f

Walt obojętnie dębał w zębach. ;

- Tam! - zawołała. - W środku! To ten! -1 kto tam niby po niego wejdzie?

Felicity popatrzyła na stłoczone końskie ciała.

- Ja pójdę - powiedziała.

- Równie dobry sposób jak każdy inny, żeby sobie złamać nogę. - Walt wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jeśli nie gorzej.

Felicity wyprostowała się, najmocniej, jak potrafiła, i weszła do zagrody. Konie odsuwały się, cofając się przed intruzem w ludzkiej skórze.

- Merlin! - zawołała cicho. - Merlin?

Poruszając się ostrożnie, cały czas świadoma wielkich, rozpychających się cielsk, dostrzegła w jarzących się w półmroku oczach nieznacny błysk rozpoznania. Głowa obróciła się w jej stronę, a uszy zastrzygły.

- Grzeczny chłopiec! - szeptała, zapinając kantar. - Grzeczny chłopiec.

Kiedy prowadziła go do wyjścia, czuła, jak napierają na nią inne konie, w nadziei że i im się uda wymknąć.

Serce Felicity zabiło szybciej; przestraszone kopyta tańczyły zaledwie o cal od jej własnych stóp. Jeszcze chwila, a skończy przygnięciona ciężkimi ciałami spanikowanych zwierząt! Kątem oka zauważyła, że Walt świetnie się bawi i zapewne bawiłby się jeszcze lepiej, gdyby stało się jej coś złego. Błysk w jego oczach tylko upewnił Felicity, że ma do czynienia z sadystą.

- Ponad tysiąc dolarów za konia, który nadaje się tylko do uboju - powiedział. - Niektórzy mają więcej kasy niż rozumu. - A potem roześmiał się z własnego, mało oryginalnego dowcipu.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie zwierzętom, których nie mogła uratować, Felicity wyrwała mu z ręki papiery.

- My, mieszkańcy tego kraju, nie jadamy końskiego mięsa - powiedział, odczytując jej myśli. - To w razie gdyby uważała się pani za kogoś lepszego...

- Taa, jasne - powiedziała. I wyprowadziła Merlina na świeże powietrze. Z dała od woni strachu przed śmiercią.

Stojąc tam, na otwartym placu, pomiędzy rzędami ciężarówek dla koni, nagle zdała sobie sprawę, że do tej pory, w całym swoim dorosłym życiu, nigdy jeszcze nie wzięła na siebie odpowiedzialności za inną żywą istotę. Choćby za akwariową rybkę. A teraz miała konia. Nie dom, nie pracę, nie partnera. Konia.

Bramble ruszyła przez poła, nawołując psy. Darcy, który węszył przy żywopłocie za królikami, wyskoczył z zarośli, przepraszając wymachując z boku na bok ogonem, z łbem opuszczonym w psim uśmiechu. Wśród

szorstkich traw poruszał się ostrożnie. Za nim przydreptały teriery.

Westchnęła. Ona, Bramble Kelly, była częścią tej ziemi. Każdego jej cala, od ciemnej, wilgotnej gliny, która lepiała się do stóp, aż po buki i dęby nad głową. Uwielbiała tę tajemną sieć ścieżek, znanych tylko miejscowym, przecinającą poła wzdłuż i wszerz, te jeżyny i dzikie róże pnące się wokół żywopłotów jesienią, i maki, które latem okalały brzegi pól.

Szła niemal niewidoczną ścieżką wzdłuż jednej z krawędzi sadu. Psy biegły przodem, nasłuchując cichego szmeru układającej się powoli do snu natury. Spomiędzy zarośli wystrzelił bażant, trzepocząc skrzydłami jak nakręcana zabawka. Bramble przywołała zwierzęta, a one posłuchały niechętnie, pozbawione rozrywki.

Alan i Pauline należeli do najstarszych przyjaciół Edwarda. Ona, wysoka, szczupła i elegancka, miała w sobie godność wielkiej damy, on był niegdyś asem przemysłu i nadal zasiadał w paru radach nadzorczych jako dyrektor, choć już nie zarządzał. Żyli oboje zaczarowanym życiem, takim, w którym jest dość pieniędzy i wystarczająco ciekawej pracy, w miarę dobre zdrowie i kondycja fizyczna, przyjęcia, przyjemności i troje odpowiedzialnych, dorosłych dzieci, z których każde daje sobie radę w świecie. Mieli mieszkanie w Londynie, a na wsi - georgiańskie probostwo.

Drzwi otworzyła Pauline, nieskazitelna w beżach i piaskowej bieli, z zawiązaną pod szyją apaszką, spiętą z jednej strony dużą, wysadzaną klejnotami broszką.

- Bramble, moja droga! - powiedziała. - Wejdz i napij się czegoś. Z Teddym wszystko w porządku?

Na widok radosnej Pauline Bramble ścisnęło się serce. Najwyraźniej nic nie słyszeli! Ściągnęła wysokie buty, unikając wzroku gospodyni, i zamknęła psom przed nosem drzwi. One dobrze znały ten dom i wiedziały, że muszą pozostać na zewnątrz, bo Pauline chroniła sofy przed ich zabłoconymi łapami.

- Teddy ma się dobrze - mruknęła w stronę podłogi. Pauline zerknęła pytająco.

-Alan! Kochanie! Bramble przyszła! - zawołała do męża.

Bramble przysiadła na skraju sofy i na tle jej nieskazitelnej bieli poczuła się wyjątkowo brudna.

- Bramble! Jak miło cię widzieć! - Alan wkuśtykał do środka.

- Przepraszam cię za moją cholerną nogę. Sztywnieje przy tej pogodzie. Cudem udało ci się nas złapać. Nie było nas przez parę dni. Wenecja, rozumiesz. Bardzo piękna o tej porze roku.

- Wiedeń, kochanie - poprawiła Pauline surowo. - Byliśmy w Wiedniu.

- Tak, tak. Wiedeń, chciałem powiedzieć. - Mrugnął do Bramble. - Wszystkie te nazwy brzmią tak samo.

Bramble nie odrywała wzroku od posadzki.

- Więc nie słyszeliście? Pauline uniosła dłoń do ust.

- Co mieliśmy...?

- Tata nie żyje, niestety. Sądzymy, że to atak serca. Wczoraj rano. - Bramble usłyszała, jak Pauline bierze gwałtowny wdech. Kiedy podniosła oczy, zobaczyła, że i Alan poszarzał na twarzy.

- Co się dokładnie stało? - Jego głos w ciągu zaledwie

paru chwil zdążył stać się głosem bardzo starego, bardzo kruchej człowieka.

Twarz Pauline poszarzała, a Alan chwiejnie podniósł się z fotela i powoli przysiadł obok niej na drugiej sofie, nakrywając jej dłonie swoimi.

- Opowiedz nam.

To właśnie jest miłość, pomyślała Bramble. Być z kimś przez prawie pięćdziesiąt lat i nadal się o tego kogoś troszczyć. Opowiedziała im całą historię, obserwując, jak oboje kurczą się w tych swoich schludnie wyprasowanych ubraniach. Pauline wyjęła koronkową chusteczkę i otarła oczy.

- Był bardzo dobrym przyjacielem - stwierdził Alan. - Nas obojga.

- Biedactwo... - dodała Pauline. - Na pewno strasznie to przeżywasz, kochanie.

- Nic mi nie jest - odparła Bramble. Niepokoił ją kolor twarzy Pauline. Śmierć przyjaciela to naprawdę nie najlepszy temat do rozmowy. Prawdopodobnie Pauline i Alanowi umarło do tej pory już kilku, a za każdym razem, kiedy ktoś odchodził, ich świat robił się nieco mniejszy.

- Musisz nam dać znać, moja droga, jeśli będziemy mogli w czymkolwiek pomóc - szepnęła Pauline drżącym głosem.

- Dziękuję - odparła Bramble - ale radzę sobie.

Zrozumiała już, że nie znajdzie tutaj pociechy. Pauline i Alan w ciągu paru krótkich chwil postarzelali się niewymownie i byli o wiele bardziej bezradni od niej. W tej chwili pragnęła wyłącznie znaleźć się z powrotem

w Lorenden i otulić się domową atmosferą. Chciała znaleźć się we własnym łóżku i spojrzeć na sady, na które patrzyła przez całe swoje życie.

- Jest jeszcze jedna sprawa... Tak się składa, że do objeżdżania Teddy'ego tata zatrudnił Jezzara Morgana.

Na dźwięk nazwiska Pauline błysnęły oczy, ale przesłoniła je chusteczką.

- To znakomicie, moja kochana. Bardzo się cieszę, że będziesz miała kogoś do pomocy. W tych okolicznościach to chyba szczęśliwe zrządzenie losu?

- No cóż. - Bramble odzyskała równowagę. - Między Bogiem a prawdą, tata nie uprzedził mnie, co zamierza. On i ja trochę się posprzeczailiśmy, czy powinnam nadal jeździć na Teddym.

- Teddy to koń dla mężczyzny - stwierdziła Pauline, która traktowała płęć przeciwną z czymś, co zakrawało na niekłamana rewerencję. - Wiem, że Edward tak uważał. Jesteś wspaniałym jeźdźcem, kochanie, ale Teddy wymaga nieco więcej siły.

- Ja nie... - Bramble urwała. Pauline wydawała się bliska załamania nerwowego. To nie pora na dyskusję. - Powiedział ci o Jezie?

Pauline słabo skinęła głową.

- Twój ojciec zawsze podejmował takie mądre decyzje! Mam do nich całkowite zaufanie.

A więc Pauline była wprowadzona we wszystko! Najwyraźniej żadne z nich nie wierzyło, że Bramble kiedyś zacznie wygrywać. Jeśli więc i ona chciała, żeby Jez jeździł na Teddym, to Bramble nic na to nie mogła poradzić. Przełknęła tę zdradę i pocałowała Pauline na pożegnanie.

Do wyjścia odprowadził ją Alan.

- To się bardzo mocno odbije na Pauline - powiedział, kiedy już wyszli z pokoju. - Tyle miała radości z twoim ojcem! I z jeżdżenia z Teddym na zawody jako jego właścicielka.

- Działamy jak zwykle - powiedziała Bramble. - Naprawdę, poradzę sobie.

- Oczywiście - odparł Alan.

Pocałowała go na pożegnanie i znów, z ukłuciem bólu, powrócił dotyk zarośniętego ojcowskiego policzka i ten czysty zapach cytryny...

Wiedziała już, pokonując znajomą, wyboistą ścieżkę do domu, że może liczyć tylko na siebie.

Tydzień później Helena pojechała do Lorenden wczesnym rankiem. Miały z Bramble umówione spotkanie z księgową, Nicky Dawson. Wzdłuż drogi do domu zeschnięte łądygi letnich polnych kwiatów obwieszane były pajęczynami. Na delikatnych pajęczych niciach skrzyły się krople rosy niczym tysiące udrapowanych na nagich ramionach diamentowych naszyjników.

Naprawdę, najwyższy czas, żebym sprawiła sobie jakąś porządną biżuterię, pomyślała Helena. Przecież to śmieszne, żeby ktoś z moją pozycją miał tylko sztuczną! Wszystko jednak zależało od tego, jak mocno zadłużony był Edward. Wzdrygnęła się, zdjęta nagłą obawą. Całkiem możliwe, że jedna trzecia Lorenden będzie się równała okrągłemu, wielkiemu nic.

Bramble ze zmarszczonymi brwiami stała na podwórzu przy stajni. Ze śmiercią wiązało się tyle ganianiny! Spotkania z prawnikami, z przedsiębiorcami pogrzebowymi, księgowymi i urzędnikami stanu cywilnego. I tak bez końca. W stajni było wystarczająco wiele zajęć,

a poza tym Bramble nie chciała zbyt często zostawiać wszystkiego na głowie Jeza, który przecież dołączył dopiero niedawno. Był wprawdzie jak najbardziej kompetentny, oczywiście, że tak, ale... Ale. Ale.

Jez wyprowadził ze stajni Teddy'ego, dającego każdym roztańczonym krokiem do zrozumienia, że świetnie wie, iż jest czempionem. Donna już siedziała w siodle Tegan. Jez dosiadł konia jednym płynnym ruchem i ze skupieniem zaczął skracać puśliska strzemion.

- Teddy'emu ograniczamy jazdy do mniej więcej godziny dziennie. - Bramble obserwowała każdy ruch Jeza. - Nie więcej. Tylko tyle, żeby mieć pewność, że nie będzie wariował po wyjściu ze stajni.

- Może powinien mieć więcej ruchu? - zasugerował Jez, siedząc na niemogącym ustać w bezruchu koniu tak swobodnie, jakby rozpierał się na starym fotelu. - Wtedy nie musiałabyś się martwić, że będzie niespokojny podczas zawodów.

Przez chwilę Bramble zobaczyła padok z perspektywy Jeza, niemal oczami wierzchowca, czując powiew wiatru, chrzęst słodkiej, zielonej trawy pod nogami i przebijający spod niej zapach ziemi i wolności. Potrząsnęła głową z irytacją.

- Jest zbyt cenny. Musimy bardzo uważać.

- Zaufaj mu - odparł Jez cicho. Teddy tanecznym krokiem wyszedł z dziedzińca, z siedzącym jak przy-murowany objeżdżaczem na grzbiecie. Donna na Tegan ruszyła za nimi ze stukotem kopyt.

Bramble stała, patrząc ich śladem, i starała się nie wrzeszczeć.

- On nie jest w stanie, po prostu nie jest w stanie, przyjąć ode mnie żadnego polecenia! - powiedziała bez wstępów, cmokając Helenę na powitanie. - Nie wiem, jak ta Penny Jakjejtam dawała sobie z nim radę. Teddy to nasz najcenniejszy koń! Wszystko zależy od tego, czy dobrze wypadnie w przyszłym sezonie. Wszystko.

Firma Dawson Daly Accountants mieściła się pośród wąskiej, nierównej miejskiej zabudowy w Canterbury. Bramble pożałowała, że nie gdzie indziej, i pomyślała o Jezie, jadącym teraz konno wzdłuż sadów, a potem opodal starych śliw, żeby za chwilę ruszyć na otwartą przestrzeń ściernisk i poczuć na twarzy jesienne słońce...

Na spotkanie sióstr wyszła sekretarka Nicky i powiedziała, że szefowa przyjmie je od razu. Helena i Bramble usiadły na stojących naprzeciwko biurka krzesłach.

- Nawet nie umiem wam powiedzieć, jak bardzo mi przykro ze względu na waszego ojca - odezwała się Nicky. - Będzie nam go bardzo brakowało.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Dziękuję - mruknęła Helena. Nicky przyjrzała się ich twarzom.

- No dobrze. Pomyślmy. Ile wiecie o prowadzeniu interesu? Bramble, byłaś partnerką ojca.

Bramble, uspokojona brzmieniem tego słowa, skinęła głową, ale Helena położyła na ramieniu siostry miękką dłoń.

- Ja w ogóle nie byłam w to zaangażowana. A poza tym, ojciec był dość skryty, jeśli szło o finanse... Może

najlepiej będzie, gdy założysz, że obie nie wiemy nic, i zaczniesz od samego początku.

- Dobrze - zgodziła się Nicky, ale minę miała niewyraźną. - A więc tak. Po pierwsze, mamy posiadłość Lorenden, która obejmuje dom, stajnie i tę małą stodołę, plus ogrody i pięć pastwisk. Wasz ojciec, jak wiecie, kilka lat temu sprzedał teren farmy, razem z domkami i większą, starą stodołą.

Helena i Bramble pokiwały głowami.

- Niestety, nie sprzedał ich w najlepszym momencie. Z pewnością nie miał pojęcia, ile mogłyby być warte w chwili obecnej albo gdyby poczekał choć ze dwa lata... - Na widok ich min Nicky dodała: - Oczywiście, trudno mówić o tym, co by było gdyby. Uznałam po prostu, że muszę wam wyjaśnić, dlaczego sfinalizowana sprzedaż nie przyniosła tyle pieniędzy, ile mogłybyście oczekiwać.

Wzięła głęboki oddech.

- Stajnie od lat generują straty. Nie wiem zbyt wiele o tej branży, ale o ile rozumiem, bardzo trudno jest na niej zarobić.

- Zdecydowanie - zgodziła się Helena.

- Wystarczy spojrzeć na rachunki... No cóż - westchnęła księżowa. - Bramble, czy mam rację, twierdząc, że w gruncie rzeczy to zbyt małe przedsiębiorstwo, żeby przetrwać na współczesnym rynku?

Bramble niechętnie skinęła głową. Od lat próbowała namawiać ojca do inwestowania i rozwoju firmy, bo ciągnięcie zysków z wynajmu miejsca w stajni i z garstki wierzchowców aktywnie biorących udział w zawodach niebezpiecznie przypominało hazard.

- W przeszłości nie bez znaczenia były też i inne czynniki, oczywiście - ciągnęła Nicky. - Ale jasno widać, że od końca lat siedemdziesiątych dochody z farmerstwa stale spadały. Z ekonomicznego punktu widzenia małe farmy po prostu przestały być rentowne.

Helena pokiwała głową.

- Ojciec powinien był przejść na produkcję organiczną albo coś w tym stylu.

- To by wymagało czasu i nakładów, którymi nie dysponował - stwierdziła Bramble, poirytowana uwagą siostry. Helena o rolnictwie nie miała bladego pojęcia.

- Tak czy inaczej... - stwierdziła Helena. - Mów dalej. Czy w ogóle coś zostało?

- Została pewna suma pieniędzy, przede wszystkim na koncie oszczędnościowej kasy mieszkaniowej - odparła Nicky, podsuwając w ich stronę kartkę papieru z wynotowaną kolumną cyfr. - Obawiam się jednak, że każdy grosz z tej kwoty będzie wam potrzebny na opłacenie podatku spadkowego, bo dopiero po jego opłaceniu uzyskacie zatwierdzenie testamentu. Nic nie zostanie. Z kryzysem gotówki w stajni będziecie musiały sobie dać radę na własną rękę.

- A jakieś długi na Lorenden? - spytała Helena. - Hipoteka, kredyty, tego typu rzeczy?

Nicky pokręciła głową.

- W sprawach pieniężnych wasz ojciec był szalenie staroświecki i nie cierpiał robić długów. Lorenden ma czystą hipotekę.

- No proszę! - Helena z ulgą opadła na oparcie krzesła. - A więc wszystko w porządku. Prawda? To znaczy:

żadna z nas nie jest chciwa. Po prostu sprzedamy Lorenden i podzielimy się wpływami. Nic prostszego.

- No cóż, to nie jest do końca takie proste. Moim zdaniem, musicie najpierw zdecydować, czy sprzedawać Lorenden jako firmę, czy też może Bramble najpierw przeniesie stajnie gdzie indziej, a Lorenden zostanie sprzedane wyłącznie jako nieruchomość o określonej wartości. Mogłybyście też zatrudnić jakiegoś dewelopera, co z kolei może się wiązać z dość długim oczekiwaniem na zezwolenia budowlane... Nawet i kilka lat, jeśli w grę będzie wchodziła znacząca albo kontrowersyjna przebudowa. Można też nadal prowadzić firmę i odłożyć sprzedaż na później, co z punktu widzenia podatków mogłoby się okazać rozwiązaniem korzystnym. Zresztą żadna z tych opcji nie zadziała natychmiast. Nie możecie sprzedać Lorenden, dopóki nie zatwierdzicie testamentu, a to może wam zająć bity rok.

- Rok? - powtórzyła Helena. - Chcesz powiedzieć, że minie przynajmniej rok, zanim zobaczymy jakieś pieniądze? To bardzo utrudni Bramble życie. Rozumiesz, mnie niczego nie brakuje, a i Felicity, jak zakładam, nie jest w jakiejś szczególnie pilnej potrzebie, ale tu chodzi o byt naszej siostry. - Znów dotknęła ramienia Bramble, muśnięciem lekkim jak piórko. - Nie martw się, kochana, jakoś się z tym uporamy. Nie pozwolimy ci przecież głodować!

- Moim zdaniem, przez jakiś czas mogą występować problemy z przepływem gotówki - powiedziała Nicky. - Ale zawsze da się wymyślić jakieś rozwiązanie.

- Ja chcę nadal prowadzić działalność - powiedziała Bramble.
- Zamierzam kontynuować pracę ojca. Dla Savannah.

Nicky wyraźnie się zafrasowała.

- Posłuchaj, Bramble, bądź rozsądna - powiedziała Helena. - Ze swoim udziałem w Lorenden możesz zacząć od nowa. Możesz kupić jakąś niewielką stajnię z ujeżdżalnią, dawać lekcje. Masz świetną reputację. I byłoby to o wiele mniej obciążające, niż gdybyś...

- Jeżdżę w zawodach - przerwała jej Bramble. - Savannah też. Tym się właśnie zajmujemy.

- Trudno jednak powiedzieć, żebyś wygrała Badminton, prawda? - sarknęła Helena. - Nawet się nie zbliżyłaś do wygranej od śmierci Dorna. Znasz przecież ten świątek. Na szczycie jest z pół tuzina jeźdźców, którzy robią na tym pieniądze, a cała reszta walczy o przetrwanie, albo przynajmniej jest bogata. A żeby dostać się na ten poziom... No cóż, kiedyś byłaś blisko, ale teraz... Przecież to niemal niemożliwe. Nie, źle powiedziałam. To jest niemożliwe.

- Nie sprzedam moich koni - zapowiedziała Bramble.

- To są n a s z e konie - odparowała Helena. - Teraz są już wspólne. - Urwała i zmieniła ton na pojednawczy. - Bramble, kochanie, bardzo cię przepraszam. Nie chciałam być niedelikatna. Musisz jednak przyznać, że nie dasz rady się z tego utrzymać.

Nicky odchrząknęła.

- Być może tę rozmowę lepiej odłożyć na później. Wróćmy na razie do dochodów. Macie w tej chwili czternaście koni, dziesięć własnych i czterech rezydentów, zgadza się? - Popatrzyła na Bramble, która pokiwała głową, ledwie rozumiejąc to, co się działo.

- Jak wiadomo, oprócz lekcji dawanych przez waszego

ojca i wynajmu powierzchni w stajniach rezydentom, głównym źródłem dochodu w ostatnich latach było kupowanie koni i trenowanie ich z myślą o odsprzedaży - monotennie brzęczała Nicky. - Dość często rozmawiałam o tym z Edwardem. I muszę stwierdzić, że zdarzały się konie, które ledwie pokrywały związane z nimi wydatki, nie wspominając o paru, które okazały się w zasadzie nie do sprzedania, bo odpadały w badaniach weterynaryjnych.

- To się może zdarzyć każdemu - powiedziała Bramble. - Bardzo często tak bywa.

- Owszem - zgodziła się Nicky. - Próbowałam to uświadomić twojemu ojcu. Kilukrotnie.

- Z drugiej strony, udało nam się kupić ładnych parę młodych, obiecujących koni za kilka tysięcy i sprzedać je dwukrotnie albo i trzykrotnie drożej.

- Tak, to prawda - przyznała Nicky, jak się wydało Bramble, z lekkim ociąganiem.

Helena wierciła się na krześle, pragnąc włączyć się do *rozmowy*.

- Wygląda na to, że tatusiowi nie zostali już prawie żadni właściciele. Tylko Pauline i ci jacyś ludzie, do których należy młodzież. Spójrz prawdzie w oczy, Bramble, to się wszystko chyli ku upadkowi. - Odwróciła się w stronę Nicky. - Jedna rzecz, której nigdy w jeździectwie nie rozumiałam, to instytucja właściciela. Człowieka, który kupuje konia, a potem płaci innym ludziom, żeby go trenowali, objeżdżali i zajmowali się nim za niego. I tyle tylko z tego ma, że sobie popatrzy, jak zwierzak bierze udział w zawodach na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi wietrznym wzgórzu.

- Na tym to polega - zaprotestowała Bramble. - Właściciele płacą za miejsce i opiekę w stajni, za trenerów, dżokejów i tak dalej. Tak to właśnie wszystko działa. Nie ma w tym nic dziwnego, Ludzie się tym ekscytują, Heleno, przecież sama wiesz.

-Ekscytują? - powtórzyła Helena z szyderczym uśmiechem.
- Niedaleko stąd do ryzyka. I nieodpowiedzialności. Poza tym, w takich wyścigach na torze są przynajmniej jakieś pieniądze, które mogą wszystko wynagrodzić, a konie przechodzą z rąk do rąk za wielkie kwoty, więc w grę wchodzi inwestycje. - Nie umiała ukryć urazy. - Cross natomiast kosztuje fortunę i przynosi niewielkie zyski. Lepszy jest już konkurs skoków, gdzie czekają przyzwoite nagrody, więc ludziom wydaje się przynajmniej, że na takiego konia warto z rana wsiadać...

- Na koniach wyścigowych i na skoczkach ludzie też tracą fortuny... - Bramble czuła, że zaczynają palić ją policzki.

- No cóż, owszem - przerwała Nicky, szeleszcząc papierami. - W każdym razie, ustaliłyśmy, że majątek składa się z Lorenden, stajni i koni.

- Stałe pieniądze są z ujeżdżania koni i trenowania jeźdźców, trochę daje sponsoring, a duża kasa, jeśli chce się ją zarabiać, kryje się w sprzedaży koni naprawdę najwyższej klasy - powiedziała Bramble.

Helena utkwiała spojrzenie w twarzy Nicky.

- Jak uważasz, ile w obecnym stanie warte jest Lorenden?
Nicky splotła palce.

- Oszacowanie tego leży całkowicie poza zakresem moich zawodowych kompetencji. Musicie porozmawiać z agentem nieruchomości. No i, oczywiście, nie możecie sprzedać niczego przed uzyskaniem zatwierdzenia testamentu. A bez Felicity nawet i tego nie załatwicie.

Tego ranka wreszcie uznano, że Savannah doszła do siebie po grypie żołądkowej, i pozwolono jej wrócić do domu. Cecily Marsh-Robertson zawiozła ją i Lottie z powrotem do Lorenden.

Savannah nie miała ze sobą rzeczy na zmianę i ostatnich sześć dni spędziła w piżamie Lottie, więc przyjaciółka zaproponowała, że teraz pożyczy jej dzinsy. Zaparły się na biodrach.

- Nie przejmuj się, mam tu jakiś dres - powiedziała Lottie, wyjmując parę granatowych spodni ze streczu. -1 T-shirt.

Koszulka okazała się żenująco ciasna i zmieniła górną połowę ciała Savannah w festiwal wałeczków. Na ten widok brwi Cecily uniosły się bardzo wysoko.

Potem pani Marsh-Robertson odbyła długą, imponująco głośną rozmowę po włosku z facetem, który prowadził jej zakład w Mediolanie. Savannah nie mogła się doczekać powrotu do domu. Och, dlaczego ta kobieta tak się grzebie?! Była sobota. Savannah nade wszystko chciała poczuć jedwabisty łeb Darcy'ego pod dłonią, znaleźć się w ciepłych, silnych objęciach matki i zobaczyć, jak konie kiwają do niej głowami znad drzwi boksów. Tęskniła za pohukiwaniem grzywaczy, za niesamowitym pokrzykiwaniem bażantów wśród zarośli i za ostrym

poszczekiwaniami Mopa i Muddle'a. Gwałtownie zatęskniła za dziadkiem; przerażała ją myśl o życiu bez niego.

Kiedy Cecily wjechała na dziedziniec, Darcy leżał skulony przed stajnią Teddy'ego. Zahamowała pośrodku, wyskoczyła z samochodu i zaczęła się miotać, nawołując Bramble, podczas gdy Savannah w przykłęku witała się z psem. Radość była wielka; psisko merdało ogonem, aż je skręcało. W tym domu jedna Savannah pozwalała mu spać na swoim łóżku.

W jej polu widzenia pojawiła się para pięknie wypastowanych wysokich butów. Idąc wzrokiem za ich linią, dziewczyna podniosła oczy i ujrzała czyjąś opaloną twarz o wyrazistych kościach policzkowych i lekko skośnych, szaroniebieskich oczach, które uważnie spoglądały na jej skuloną postać.

- Cześć - odezwał się mężczyzna. - Savannah, prawda?

Wyciągnął rękę i pomógł jej się podnieść. Przytrzymała jego dłoń, a potem zawstydzila się, że nadal ją ściska, chociaż oboje już stoją. Dłoń była ciepła i silna, i jej dotyk przez krótki moment sprawił, że poczuła się bezpiecznie.

Ale poczuła też, jak zwykle, napływającą do twarzy krew. Nie cierpiała swoich rumieńców; wyrwała rękę. Natomiast Darcy oparł się całym ciałem o nogę mężczyzny i znów zaczął machać puszystym ogonem.

- No cóż, odwiozłam naszą rekonwalescentkę! - Cecily często mówiła wykrzyknikami. - Wciąż jest jednak nie w sosie, jak widać. Dzień dobry. Nazywam się Cecily Marsh-Robertson. Właścicielka Sailora.

Jez uścisnął rękę Cecily.

- Jestem Jez. Zarządzam teraz stajnią.

Savannah nie miała pojęcia, co powiedzieć. Bramble wprawdzie wyjaśniła jej pokrótce obecność nowego jeźdźca, a razem z Lottie, jak masa innych nastolatek, przestudiowały wywiad z Jezem w „Horse & Hound”, ale wciąż była mocno zdziwiona tą sytuacją.

- Och, tak bardzo się cieszę! - wykrzyknęła Cecily. - Nie mam pojęcia, jak Bramble sobie z tym radzi, zajmuje się wszystkim i dba, żeby... - Urwała, bo nie była do końca pewna, czym konkretnie Bramble się zajmuje. - W każdym razie, przywiozłam Savannah, nieco, obawiam się, szczuplejszą, chociaż to akurat wcale jej nie zaszkodzi, zgodzi się pan? Savannah to taka śliczna dziewczyna pod tym całym... Hm... Pod tą masą włosów.

Savannah doskonale rozumiała, dlaczego Lottie twierdzi, że Cecily to najbardziej żenująca matka pod słońcem.

Jez uważnie spojrział na Savannah, jakby dopiero ją zobaczył.

- To po prostu bardzo ładna dziewczyna i tyle - odparł łagodnie.

Savannah poczuła, że oblewa ją jeszcze głębsza purpura, i zamarzyła, aby rozwarła się ziemia i pochłonęła Cecily razem z tym jej wozem z napędem na cztery koła.

- Gdzie mama?

- W Canterbury, razem z Heleną. Donna robi herbatę. Masz jakiś bagaż? - Sięgnął do samochodu, żeby jej pomóc, a Lottie przesunęła się ze środka siedzenia bliżej ku drzwiom.

- Dzień dobry, jestem Lottie. A poza tym nie. Savannah nie miała bagażu.

- O, witam. - Przystanął grzecznie. - Nie zauważyłem cię w środku. Ty też chorowałaś?

Ale, jak potem stwierdziła Lottie, przy grypie żołądkowej rozmowa utyka w miejscu (to zdecydowanie mało seksowny temat). Raczej trudno im było tłumaczyć, wobec kręcącej się w pobliżu Cecily, że początkowo wzięły chorobę za objawy kaca.

- Wróć - zapowiedziała Cecily i zabrzmiało to niczym groźba. - Koło piątej.

Z uczuciem niewysłowionej ulgi Savannah i Lottie patrzyły, jak pani Marsh-Robertson z rykiem silnika rusza z dziedzińca na podjazd, a potem biegiem rzuciły się do kuchni, gdzie odnalazły Donnę. Już ona na pewno wie, co się tu działo.

Znajomy nieład otoczył Savannah niczym uścisk ciepłych ramion. Dom. Czasem irytował ją do nieprzytomności, ale za każdym razem, kiedy stąd wyjeżdżała, marzyła o powrocie. Ogromnie kochała to miejsce.

- Heja - odezwała się Donna, palcami wyciągając torebkę z herbatą z kubka i wrzucając ją do zlewu. - Jak widzicie, domowe sprawy właśnie przybrały nowy, całkiem interesujący obrót.

- No, wszystko poszło gładko, nie uważasz? - odezwała się Helena, kiedy wsiadały do samochodu. - Strasznie się bałam, że tatuś zadłużył Lorenden po dach i że wdał się w machinacje z szemranymi pożyczkodawcami, którzy strzelają człowiekowi w kolana, kiedy nie zwraca długu.

- Naprawdę? - Bramble była wytrącona z równowagi.

- Posłuchaj, Heleno. Chcę spłacić ciebie i Felicity. Nie wiem, ile to będzie kosztowało ani jak zbiorę pieniądze, ale jeśli dasz mi trochę czasu, na pewno mi się uda.

Komórka zaszemrała skoczną szkocką melodyjką i Helena sięgnęła do przepastnego koszyka. Pogrzebała w nim chwilę i wyłowiła telefon.

- Halo? - zawołała. - Och, wszystko dobrze. A u ciebie? Świetnie. Załatwiałam parę spraw z księgową ojca, rozumiesz.

- Roześmiała się. Bramble pomyślała, że śmiech siostry jest piskliwy i nieco wymuszony. - Jakby nie było dość spraw do załatwienia... - Helena wsunęła się nieco głębiej w siedzenie pasażera, bardzo nieznacznie odwracając się od Bramble.

Bramble skoncentrowała się na rondach drogi wyjazdowej z Canterbury.

- Jasne. I co powiedzieli? - zawołała Helena. Dość długo milczała.

- Och, dobrze. Nie ma sprawy. Ale naprawdę to tylko taki... Kolejna chwila milczenia.

- Tak, ale czy wiesz, kto...? Dobrze. Dobrze. A więc w tym kierunku chcą pójść... Żeż do nędzy jednej, to było dzień po śmierci mojego ojca! I nie jestem pewna, kiedy znajdę czas, żeby... Jasne. Okej. No to w takim razie wtedy się zobaczymy, ale...

Ostatnia pauza była najdłuższa ze wszystkich.

- Ty też - powiedziała wreszcie Helena. - *Ty też.* Ściskam cię mocno. - Rozłączyła się i wrzuciła telefon do koszyka. - To tylko moja agentka, Caroline.

- Złe wiadomości? - Wzgórza przed samochodem

rozstąpiły się, ukazując najbardziej ulubiony pejzaż Bramble. Dom.

- Taka jedna rola, której nie dostałam. Nie żeby mi na niej jakoś zależało, oczywiście. A Caroline chce ze mną pogadać o przyszłości. Wiesz, zastanawiam się nad rezygnacją z Mattie. Oczywiście, ekipa jest z tego powodu upiornie wściekła i domaga się rozmów ze mną na ten temat. Wszystkim nam dano scenariusze zakończenia tego sezonu. Mają zamiar nakręcić scenę śmierci i pogrzebu każdej z czterech głównych postaci. Żeby nikt z nas, w teorii, nie dowiedział się, kto ma umrzeć. Ale można się tego całkiem łatwo domyślić. Od razu widać, kto wspomina o wstępnych rozmowach na temat kolejnego sezonu...

- A co z tobą? - spytała Bramble.

- Och, wiesz, ja chyba mam już dosyć. Naprawdę dosyć. Po śmierci taty zero *czasu* dla siebie. No cóż, na planie powiedzieli, że poprzestawiają harmonogram, żebym mogła pojechać na pogrzeb, ale to wszystko. I to po tym wszystkim, co zrobiłam dla serialu! Otwierałam supermarkety i centra rekreacyjne, chodziłam do programów, do urzygania udzielałam wywiadów kobiecej prasie... Przecież moje życie praktycznie przestało należeć do mnie. Jeśli chcę przypomnieć sobie, co jadłam na wczorajszy obiad, muszę tylko zerknąć do kolumny plotkarskiej.

- Hm... - mruknęła Bramble, która zdążyła zauważyć, że ostatnio w prasie pojawia się mniej informacji o Helenie niż kiedyś. - A nie płacą ci przy okazji za te supermarkety i centra rekreacji?

Helena parsknęła.

- Marne parę tysięcy. Zaledwie parę tysięcy, chciałabym podkreślić. Prawie nie warto nakładać sobie z tej okazji makijażu. Nie, ja to robię dla „Drogi Simona”, żeby była w centrum uwagi. Melissa ma o wiele za mało doświadczenia, ale w tej chwili znajduje się w fazie kariery, kiedy robi się wszystko dla zbudowania własnego profilu. Kiedy udziela wywiadów, ledwie wspomina o serialu.

- Ale jest niezła - stwierdziła Bramble bez zastanowienia.

- Och tak... Jeśli akurat kręci cię taka uroda. Moim zdaniem, publiczność bardzo prędko kompletnie się nią znudzi.

Bramble widziała, że Helena zaczyna się czerwienić, i postanowiła jakoś odwrócić uwagę siostry.

- Nigdy nie zgadniesz, kto do nas zajrzał wczoraj wieczorem.

- No kto?

I Bramble opowiedziała Helenie o wizycie Toby'ego Fitzroya.

W kuchni w Lorenden Donna rozwinęła listek gumy do żucia. Savannah zdziwiła się szczerze. Miała wrażenie, że w połączeniu z herbatą to dość dziwna kombinacja.

- Rzuciłam. Palenie rzuciłam.

- Znowu?

- Sama wiesz, jak jest. A Jez powiedział, że on rzucił, kiedy zasapał się w połowie trasy crossu. Zdał sobie

sprawę, że to nie koń był nie w formie, ale on sam. I od tamtej pory nie sięgnął po papierosa. Mówi, że powinniśmy wszyscy pamiętać o naszej kondycji. Ze też jesteśmy sportowcami.

Savannah była pod wrażeniem. Edward niezliczoną ilość razy groził Donnie, że ją wywali na zbity pysk, jeśli złapie ją na paleniu, a ona reagowała w jedyny możliwy sposób. Wynajdywała coraz to nowe, pomysłowe kryjówki.

- No i co się tu działo? - spytała, czując lekki niepokój. Donna nachyliła się w jej stronę, żując energicznie.

- No cóż, twoja mama uważa, że zarządza stajnią. A Jez uważa, że to on tu rządzi. I w niczym się nie zgadzają.

- A twoim zdaniem, kto pociąga za sznurki? - spytała Savannah. Zdawało jej się, że to rozsądza sprawę.

- Twoja mama przejęła wiele poglądów staruszka i uczepliła się ich trochę bez sensu, jakby nie przychodziło jej do głowy, że można zrobić coś inaczej. I jest we wszystkim naprawdę, ale to naprawdę ostrożna. W sumie to nawet zaleta. A Jez? No cóż, moim zdaniem, on ma w sobie coś z zaklinacza koni. Ale to stajnia twojej mamy, to ona jest jej właścicielką, więc chyba... - Nie zabrzmiało to zbyt pewnie.

Savannah zauważyła, że Lottie obgryza paznokcie z niepewną miną. Lorenden było dla niej drugim domem, zwłaszcza że ten pierwszy był tak nieciekawym. Chyba martwiła się zmianami.

- Pauline dzwoniła. Przepraszam! Chciałam powiedzieć, lady Rudd, naturalnie. - Donna poprawiła się

złośliwie. Nie cierpiała, gdy ją zmuszano do używania tytułu Pauline. - Strasznie się egzaltowała, sama wiesz, jaka jest. Powiedziała, że bardzo się cieszy, iż Teddy'ego będzie objeżdżał taki zdolny waśniak.

- Nie przyjechała tu, żeby go poznać? - spytała Savannah. - Zwykle zagląda niemal codziennie.

Donna pokręciła głową.

- Ani razu nie wpadła.

- To dziwne, nie wydaje ci się? A pozostali właściciele?

- Bardzo ożywieni. Ciągłe się tu pchają.

- No i tak powinno być - stwierdziła Savannah. - Ale, na litość boską, dlaczego ktoś taki jak Jez tu przyjechał? Przecież mógł przebierać w stajniach. Zwłaszcza tuż po tak udanym sezonie?

- Zastanawiałam się nad tym. - Oczy Donny rozbłysły. - I pogadałam z dziewczynami. - Donna miała kontakt z siecią stajennych, jak Anglia długa i szeroka, i bardzo niewiele spraw umykało jej uwadze. - Teddy ma kwalifikację do Badmintonu, więc możliwe, że Jez przyjechał tu ze względu na niego.

- Ale przecież zapewne masa ludzi proponowała mu konie kwalifikowane do Badmintonu? - odezwała się Lottie.

Donna energicznie pokręciła głową.

- Nic podobnego. Badminton to czterogwiazdkowa impreza, a taka olimpiada ma tylko trzy gwiazdki. I wcale nie ma aż tylu koni, które mogłyby tam pojechać. Kiedy ma się już zespół, i konia, i jeźdźca, który uzyskał kwalifikację, nie chce się tego zmieniać. Więc jeśli jesteś

jeźdźcem i nagle tracisz właścicieli i ich konie, może potrwać całe lata, zanim ponownie trafisz na swojego wierzchowca. Nieważne, że jesteś dobry, to najwyraźniej nie wszystko. Kiedy Penny Luckham skończyła z Jeżem, zabrała go stamtąd policja.

- Nie! - sapnęły jednocześnie Savannah i Lottie.

- Ale o co mogło pójść? - zapytała Lottie. Donna pokręciła głową.

- Tego nie wie nikt.

- Dopalacze? - podsunęła Lottie. Savannah uniosła brew.

- U kogoś, kto nawet nie pali? Donna wzruszyła ramionami.

- To nie znaczy, że nie używa dopalaczy. Ale on mi się jakoś z nimi nie kojarzy, to nie ten typ. Może chodzić o coś zupełnie bez znaczenia. Na przykład o niezapłacone mandaty za złe parkowanie.

- Czy matce ktoś nie powinien o tym powiedzieć? - spytała Savannah.

Donna rozwinęła kolejny listek gumy i dodała go do poprzedniego.

- A tam. Pomyśl tylko. Dowiaduje się. Zagaduje go o to. Kłóć się, aż wióry lecą. On wyjeżdża. I z czym wtedy wszystkie zostajemy?

Savannah i Lottie potaknęły w milczeniu. Donna zerknęła na zegarek.

- Cholera, to już tak późno? Tak czy inaczej, czy mówić twojej mamie? Ja uważam, że lepiej zostawić tę sprawę. W ogóle jej nie tykać.

Kiedy Helena skręciła na podjazd, spojrzała na Lorenden nowymi oczami, dostrzegając popękany, nierówny biały tynk fasady, wisterię, którą należało przyciąć, żeby wpuścić światło przez wysokie okna wychodzące na trawnik, zatrzaśnięte na głucho, aż krzyczące o odnowienie frontowe drzwi, a na końcu - kiedy już obeszły dom i weszły do środka tylnym wejściem - cztery głębokie, ostre, pełne plam spadki dachu na tyłach. Kto to kupi?

- Dlaczego Toby tu zajrzał, jak sądzisz? Chyba nie interesuje go Lorenden?

- Nie wydaje mi się - odparła Bramble. - Jest niewiele większe niż dom zarządcy jego farmy. Poza tym nas nie cierpi. Nie chciałby mieć z Lorenden nic wspólnego.

- Dlaczego? - Oczy Heleny notowały kolejne szczegóły, o których już zdążyła zapomnieć: piękne stare klamki u drzwi i kamienne płyty na podłodze. Ludzie marzyli, żeby trafić na taki dom jak ten.

- Nie mam pojęcia - przyznała Bramble. - Myślałam, że ty będziesz coś wiedziała. Jesteś ode mnie starsza.

Helena opanowała ukłucie paniki. Starsza. Właśnie ten epitet powtarzali wszyscy. Stara. A przecież ma zaledwie trzydzieści osiem lat! I troszkę. Praktycznie rzecz biorąc. A przynajmniej do tyłu się przyznawała.

- Skąd miałabym wiedzieć? - odezwała się do Bramble ostro, czując, że zaczyna ją zżerać od środka lęk, tak częsty towarzysz w ostatnich czasach.

- Może po prostu pamiętasz coś więcej.

- Nie - odparła Helena, zauważając, jak zniszczona jest stara kuchnia, i zastanawiając się, czy odstraszyłaby

nabywców, czy wręcz odwrotnie, stanowiłaby dodatkową atrakcję. - Nie, nic mi nie przychodzi na myśl. Pamiętam, że tata pierwszy raz powiedział coś na temat Toby'ego niedługo po wyjeździe Felicity, ale ja raczej niewiele rozumiałam, co się wtedy działo.

- Heleno - odezwała się nagle Bramble. - Heleno, proszę cię, pozwól mi spróbować to zrobić. Ja cię proszę tylko o trochę czasu. Albo zbiorę dość pieniędzy, żeby cię spłacić, albo zrobię, co chcesz, i sprzedam Lorenden. Ale potrzebuję na to przynajmniej dwóch lat. Chcę dowieść, że mogę trenować tu jeźdźców i konie, tak jak robił to tata. W przeciwnym razie musiałabym sprzedać stajnię już teraz i wszystko rozwalić, a wtedy przepadniemy z Savannah. Potrzebna nam jest renoma Lorenden, przynajmniej przez jakiś czas. Savannah musi zdać egzaminy GCSE i jakoś stanąć na własnych nogach. Proszę cię. Przecież nie potrzebujesz pieniędzy natychmiast, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. A co, jeśli ci się nie uda? Jeśli zaczniesz tylko tracić? Wtedy będziesz traciła moje pieniądze, a ja muszę myśleć o Eddiem i bliźniętach...

- Coś wymyślimy - błagała Bramble. - Jakoś ci to wynagrodzę. Jeśli stracę pieniądze, to wezmę mniej przy ostatecznym podziale.

- O ile nie stracisz wszystkiego, oczywiście - odparła Helena.
- Tak czy inaczej, niczego nie możemy ustalić, dopóki nie pojawi się Felicity. Tak mówiła Nicky, Musimy poczekać na naszą siostrę. A tymczasem powinnyśmy jednak skonsultować się z agentami nieruchomości. Choćby zrobić wycenę.

- Mam za dużo zajęć - rzuciła szybko Bramble. ;
- Nic się nie przejmuj - powiedziała Helena, napełniając głos dokładnie odmierzoną, właściwą dawką współczucia. - Ja mogę się tym zająć.

Ta partia dla mnie, pomyślała. Bramble sama się o to prosiła. Savannah wiedziała, że Bramble i Helena pojechały porozmawiać z Nicky o finansach. Dowiedziała się tego od Donny. Niemal wszystkie informacje uzyskiwała teraz tą drogą, albo podsłuchując, bo Bramble była jednocześnie roztargniona i skryta.

- Mamo?

Bramble nawet nie podniosła wzroku znad siekanej cebuli.

- Halo? Mamo? Jestem tu, wiesz. Istnieję. Bramble spojrzała na nią, zaskoczona.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Na jaki temat? -Słucham?

- Pytałam, o czym myślisz.

- Och, nic takiego. Naprawdę nieważne. Ale, skoro musisz wiedzieć, zastanawiałam się, gdzie poszukać nowego kowala. Teraz, kiedy Martin przeszedł na emeryturę.

Poprawka. Bramble była nie tylko roztargniona i skryta. Łgała w żywe oczy przy każdej nadarzającej się okazji. Savannah usiadła.

- Chciałabym, żebyś powiedziała mi prawdę, mamo. Bramble zrobiła wielkie oczy.

- Co? O co ci chodzi?

- Sprzedajemy Lorenden i konie?

-Nie! - zaprzeczyła Bramble odrobinę za głośno. - Nie sprzedajemy. Nie powinnaś się martwić takimi sprawami. Wszystko będzie dobrze. Jest tylko trochę... tymczasowych kłopotów związanych ze śmiercią dziadka. Nie wolno ci się tym w ogóle przejmować.

Żołądek Savannah ścisnął lęk. Była pewna, że Bramble nie mówi jej prawdy - a przynajmniej niecałą prawdę - ale sama też nie czuła dość odwagi, żeby matkę silniej przyprzeć do muru. Mogło być gorzej, niż sobie wyobrażała.

- Czy Felicity wróci na pogrzeb dziadka w piątek?

- Zostawiałyśmy dla niej wiadomości wszędzie, gdzie się tylko dało. Jestem pewna, że jeśli tylko będzie mogła, przyjedzie. - Bramble nie robiła wrażenia osoby mówiącej z przekonaniem. - A tak poza tym - dodała - zrobiłaś już lekcje?

Ponieważ Bramble pytała ją o to już wcześniej - i to dwukrotnie - i za każdym razem Savannah tłumaczyła jej, że nic nie ma zadane, teraz tylko westchnęła i od-maszerowała. Po co mówić coś ludziom, skoro w ogóle tego nie słuchają?

W tych dniach, kiedy wracała ze szkoły, było już prawie ciemno. Jez był w stajni i rozdzielał wieczorną karmę, Sailor wyglądał znad drzwi boksu, kombinując, co by tu spsocić, a łagodny, inteligentny łeb Teddy'ego wychylał się na pierwszy odgłos jej kroków. Teraz koń cicho zarżał i na powitanie prychnął jej w twarz ciepłym oddechem.

Wieczorem, w przeddzień pogrzebu, Helena weszła do domu w Lorenden, uginając się pod koszem wyładowanym smakołykami.

- Trzeba stanąć na wysokości zadania - powiedziała do Olliego tuż przed wyjazdem. - Eddie. - Odwróciła się w stronę tylnego siedzenia. - Ty też nie zapomnij, że masz się zachowywać, dobra? Zaproponuj, że pomożesz w zmywaniu czy coś. Tam będzie kompletny chaos, bo Bramble za nic nie chciała szarpnąć się na fachową pomoc. - Westchnęła. - Ona jest czasami beznadziejna. Wiesz, że nie życzyła sobie, żebyśmy chociaż postawili namiot? Po pogrzebie przyjedzie do Lorenden połowa hrabstwa Kent, a tam po prostu nie ma dość miejsca dla wszystkich. Ale Bramble ma absolutnego bzik na punkcie oszczędzania. Kocham ją, oczywiście, że ją kocham, ale czasami moja siostra zwyczajnie nie zdaje sobie sprawy, że są w życiu ważniejsze rzeczy niż zastanawianie się, co ile kosztuje. Mówiłam, że zapłacimy, przecież to żaden problem, prawda? Musimy jej pomagać, jeśli tylko możemy.

- Jakiś postęp ze sprzedażą? - mruknął Ollie.

- Zamówiłam Smalwood's. To chyba najlepsza miejscowa agencja. No i jest jeszcze taka spora, ogólnokrajowa, Trott & Tanqueray. Przyjadą zrobić wycenę następnego dnia po pogrzebie. Uznałam, że potrzebujemy kogoś, kto zna miejscowy rynek, i kogoś, kto ma wizję i lepsze kontakty z londyńską klientelą. Wszystkie te coroczne premie w City... Oczywiście, nie zdołam zrobić nic konkretnego, zanim nie znajdziemy Felicity. Zostawiałyśmy wiadomości wszędzie, ona na pewno już

wie. Jeśli jest rozrywaną reporterką, powinna mieć sztab ludzi, którzy cały czas pozostają z nią w kontakcie. Tak czy inaczej, do nas pretensji mieć nie może; zrobiłyśmy, co się dało. Reszta zależy od niej. Spodziewam się, że do tej pory odezwała się już do Bramble. W tych czasach ludzie nie znikają. Przecież telefony komórkowe działają wszędzie.

Ale Bramble nie miała żadnych wiadomości od Felicity i martwiła się, czy pogrzeb powinien się odbyć bez jej udziału.

- No cóż, odwołać już nie możemy - powiedziała Helena. Wypakowała rozmaite sery z delikatesów na Marylebone High Street, organiczne krakersy, sok z dzikiego bzu, oliwki, ananasa i spore pudełko czekoladek Godiva.

- Tata by chciał, żebyśmy robiły swoje. Żebyśmy zafundowały mu pożegnanie, na jakie zasługuje. A przy okazji... Przywiozłam trochę mydeł do łazienek i jakieś świece zapachowe. - Rzuciła je na stół. - Ludzie zawsze zapominają o podstawach, kiedy organizują przyjęcia.

- To nie przyjęcie - powiedział Ollie. - To stypa. Helena spojrzała na niego groźnie.

- Wiesz, co miałam na myśli. I mamy za mały zapas papieru toaletowego. Ludzie nie przestają...

- Tak, jasne, chwytam twoją myśl w lot. - Zatargał kilka skrzynek szampana do spiżarni i wyszedł z niej z butelką bordoskiego wina. - Nadaje się nieźle na dzisiejszy wieczór. Mam otworzyć, Bramble?

Bramble, krojąc kielbaski na następny dzień, skinęła głową.

- Aha, czy zadbałaś, żeby było dość przekąsek i dla

wegetarian, i dla ludzi na diecie beznabiałowej albo niskowęglowodanowej?

- Pieprzyć wegetarian - odparła Bramble. - Zresztą mamy mnóstwo sera. Kupiłam w supermarkecie zestaw w promocji.

Helena zacmokała.

- Och, teraz się je wyłącznie nabiał produkowany organicznie. Sery z supermarketów są pełne hormonów i ludzie na pewno dostają od nich raka. Serio, Bramble. Czy ty w ogóle nie czytasz gazet? Eddie, dokąd się wybierasz? - Gwałtownie odwróciła się w stronę wymykającego się za drzwi syna.

- Idę z Savannah do stajni, mamo.

Na nastrzykniętym botoksem czole Heleny, pomiędzy brwiami, usiłowały pojawić się dwie zmarszczki niepokoju, ale średnia z sióstr Beaumontówien zdecydowała się jednak zająć układaniem kwiatów. Na szczęście wpadła na pomysł, żeby trochę ich ze sobą przywieźć; Bramble

0 takich rzeczach nigdy nie udawało się pomyśleć na czas.

- W takim razie możemy powtórzyć moje wystąpienie, Ollie, prawda? Zajmiemy główną gościnną sypialnię, dobrze? Skoro Felicity jeszcze się nie pokazała...

Bez ojca dom jakoś poszarzał. Helena ponownie zauważyła, jaki jest zapuszczony i ile w nim nieładu.

- Sprzątanie będzie koszmarem - powiedziała wieczorem do Olliego. Leżał wygodnie na łóżku z kolumienkami. Na nocnej szafce towarzyszył mu dzbanek najlepszego bordo Edwarda.

Zamiast odpowiedzi podniósł wzrok znad książki i uniósł kieliszek w stronę żony.

- Chciałabym, żeby Felicity wreszcie się, cholera, odezwała - mruknęła Helena, zamaszyście wcierając krem w skórę twarzy przed posrebrzonym lustrem toaletki. Starła nadmiar chusteczką. - To bystra kobieta, zrozumie, że trzeba zmusić Bramble do działania. Ona od śmierci Dorna tkwi w ciągłej rutynie i nasza w tym głowa, żeby ją z niej wyrwać, nie sądzisz?

Nie czekając na reakcję Olliego, podeszła do łóżka i zsunęła z ramion jedwabny szlafrok. Zauważyła, że mąż przesunął wzrokiem po jej piersiach, później w dół, na biodra (nadal ładne i szczupłe, stwierdziła, szybko się obracając, żeby zerknąć w tremo stojące po jej stronie łóżka). Ollie podążył za tym spojrzeniem, a ona zbyt późno dostrzegła, że jej pupa idealnie odbija się w lustrzanej tafli. Szlag!, pomyślała. Trzeba było zabrać nocną koszulę! Wsunęła się jednak do łóżka i odwrócona plecami do Olliego nadal z nim gawędziła, zupełnie jakby nie dostrzegła tamtego spojrzenia.

- Musimy jej pomóc, Ollie. Będzie się trzymała domu kurczowo i jak najdłużej. Jeśli tego nie zrobimy, ona utknie tu jak w pułapce. Popatrz tylko, jak się ubiera! Same ciemne polary i jakieś praktyczne kurtki. Naprawdę ciężko stwierdzić, czy pod tym wszystkim w ogóle kryje się kobieta.

Helena podciągnęła kołdrę pod brodę i sięgnęła po leżącą na nocnym stoliku książkę. Jakaś stara powieść, w miękkich okładkach, ze zniszczonym grzbietem. Coś

o polowaniach. Westchnęła, odłożyła ją z powrotem i ułożyła się na łyżeczkę.

- Przygniata ją ta rupieciarnia - paplała dalej, odsuwając

od siebie konieczność reakcji na ciepłą dłoń, która sunęła w jej stronę przez pościel. - Ten dom jest o wiele za duży, żeby miała się nim zajmować jedna kobieta. Im wcześniej ona i Savannah znajdą się w jakimś mniejszym, pogodniejszym i łatwiejszym do utrzymania miejscu, tym lepiej, moim zdaniem. - Wreszcie zabrakło jej tchu. Czuła, że jej głos się wznosi i niemal przechodzi w pisk.

- Cóż, to była dość długa rozprawka. Wygadałaś się już? Zrzuciłaś z piersi cały ciężar? A skoro mowa o piersiach... - Dłoń Olliego powoli zsunęła w dół patch workową kape, obnażając biust Heleny. Sięgnął do sutka i uszczypnął go lekko. - Czy myśmy to kiedyś robili w łóżku z baldachimem?

- Tak. Kiedy pojechaliśmy do tamtego hotelu, pamiętasz?

- Mhm... - Dłoń Olliego kontynuowała podróż w dół. - Może powinnaś mi przypomnieć?

Odsunęła tę rękę.

- Nie dzisiaj, Ollie. Ze wszystkich wieczorów - nie dziś. Jutro jest pogrzeb mojego ojca.

Pomyślała, że go tym rozgniewa, ale on tylko pocałował jej przygarbione plecy.

- Przepraszam, mała. Śpij dobrze. Nie będzie ci przeszkadzało, jak trochę sobie poczytam?

Z głową otumanioną proszkami nasennymi, Helena mruknęła, że może powinni niedługo wybrać się razem w jakieś przyjemne miejsce i wypróbować łóżko z baldachimem, w którego kotarach nie kryje się wieloletni kurz. A potem, zanim zapadła w ciemność, tak usłużnie podsuwaną przez valium, pomyślała, że Ollie zachował

się bardzo, ale to naprawdę bardzo ładnie. Jego własny ojciec umarł zaledwie kilka lat wcześniej, więc pewnie ją rozumiał, ale tak czy inaczej...

Następnego dnia, w porze lunchu, całe Martyr's Borstal szumiało oczekiwaniem. Przyjaciele Edwarda wbijali się w czarne garnitury i sukienki, poprawiali rzadko zakładane, uwierające pod szyją krawaty i ze szczególną uwagą szczotkowali włosy. Zapowiadało się jasne, pogodne popołudnie. W żywopłotach z dzikiego bzu tańczyły róże, podkreślone miejscami szkarłatnymi owocami głogu. W kilku ukrytych zakątkach tarniny spływały plataniną zieleni, miedzi i brązu.

Pauline przygotowała mężowi lekki lunch, marząc na jawie, że oto zmarł Alan, a nie Edward.

- Nie udało im się jeszcze skontaktować z Felicity, prawda? - spytała, wyłącznie po to, żeby coś powiedzieć. Było raczej mało prawdopodobne, że do Alana doszły plotki, o których nie słyszała ona sama.

- Hm? - Jej mąż miał niepewną minę.

- Felicity? - powtórzyła głośniejszym głosem Pauline. - No wiesz. Najstarsza. - Uniosła brwi, patrząc na niego znacząco.

- Hm... Naturalnie, Felicity. Nie sposób zapomnieć. Pauline przeszyła go wzrokiem. Alan ostatnio o wszystkim zapominał; męczące to było okropnie.

- No cóż, oczywiście, po tamtym... Zdziwiłabym się szczerze, gdyby chciało się jej pokazywać w okolicy. Wiem, że twoim zdaniem Edward był dla niej trochę za surowy...

Alan spoglądał za okno.

- Alan! Czy ty mnie słuchasz? '

- Tak? Oczywiście! Edward potraktował ją bardzo surowo. Był bardzo surowy wobec wszystkich swoich dziewczyn, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Czasami Alan naprawdę zaskakiwał Pauline.

- Co konkretnie masz na myśli? Spojrzał na nią oczami bez wyrazu.

- Zawsze ignorował tę ładniutką. Nic dziwnego, że została...

- Aktorką? - podsunęła dość ostro Pauline. Alan z irytacją pomachał dłonią.

- Aktorką, aktorką. Przecież właśnie o tym mówię!

Pauline była zaintrygowana. Ostatnio rzadko zdarzało jej się odbywać z Alanem coś, co można by nazwać rozmową.

- Ale przecież Helenie wyszło to na dobre. Odnosi spore sukcesy.

- Hm... A Bramble zmienił w chłopaka. Zrobił z niej syna, którego nigdy się nie doczekał.

- To prawda. Ona słabo wykorzystuje swoje atuty - przyznała cicho Pauline.

- Co? - Na domiar wszystkiego Alan głuchł. - Pamiętaj jednak, że to przystojna kobieta.

Pauline westchnęła. Jej mąż naprawdę plótlł ostatnio od rzeczy. Nie to co Edward. Ten miał umysł ostry jak brzytwa. Ostrożnie osuszyła oczy rąbkiem kuchennego ręcznika. Nie może pozwolić, żeby rozpląnął się jej tusz.

Alan szeleścił pocztą i gazetami.

- Nic nie tanieje - westchnął. - Nigdy nic nie tanieje. - Rozdarł jakąś kopertę. - A to co? Co to? Kapelusz?

Moim zdaniem, to bardzo dużo za kapelusz. - Pomachał w stronę żony kartką papieru.

Pauline nie uważała, żeby dokuczały im problemy finansowe, ale postanowiła nie zaostrezzać sprawy.

- Musiałam kupić coś wyjątkowego na pożegnanie Edwarda - zaczęła słodzić. - Nie sądzisz?

- Ile razy kupujesz nowy kapelusz, wiem, że coś knujesz - stwierdził Alan, zerkając na nią z *namysłem* spod krzaczastych, siwych brwi. - A im większy kapelusz, tym większe kłopoty. Mnie nie nabierzesz, pamiętaj.

- Nie opowiadaj głupstw! - krzyknęła, żeby ją dosłyszał, zbyt poirytowana, żeby się powtarzać. Z głową pochyloną nad deską do krojenia chleba nie dostrzegła wyrazu jego twarzy.

Chociaż był to dzień pogrzebu Edwarda, ustalony porządek dnia nie uległ zakłóceniu.

Bramble, Donna, Savannah i Jez - i na dodatek Eddie, zachwycony przyjęciem do zespołu - byli na nogach już przed wpół do siódmej, wydzielając paszę i objeżdżając konie. Panowała duszna atmosfera. Wszyscy, nawet Savannah, uczestniczyli w zbyt wielu pogrzebach - w całej Anglii, we Francji, a nawet w Niemczech i w Holandii, na krańcach świata - w sumie wszędzie tam, gdzie jakiś jeździec ginął podczas crossu. Żyli ze świadomością, że są następni w kolejce, że taki upadek może przytrafić się właśnie im, niezależnie od umiejętności.

Edward przynajmniej umarł w domu, i to w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat. Dom, kiedy zginął, miał ich zaledwie trzydzieści jeden. Bramble przysiadła

na beli siana, podparła opuszczoną głowę rękami i westchnęła.

Na podłogę padł cień.

- Jeśli zostało ci jeszcze coś do zrobienia, mogę się tym zająć - zaproponował Jez, stając w drzwiach.

- Daję radę - powiedziała znużona, podnosząc się z trudem na nogi i łapiąc się za kilka kubelków naraz. - Tak czy inaczej, już prawie skończone.

Odchrząknął. ..

- Ja... Eee... To znaczy...

Bramble wolałaby, żeby zszedł jej z drogi. Nie mogła przecież przepychać się z nim w przejściu, a już była spóźniona. Trzeba było przygotować kanapki i jeszcze wyjaśnić miejscowej dziewczynie, którą zaangażowała do pomocy, jak obsługiwać bufetowy termos.

- Ja... No cóż...

Nie знаła Jeza zbyt dobrze, ale takie skrępowanie było do niego niepodobne. Na moment przystanęło jej serce. A jeśli on chce ją zawiadomić, że odchodzi?

- O co chodzi? - Niepokój sprawił, że odezwała się ostrzej, niż chciała.

- Mógłbym pomagać więcej - powiedział, przyglądając się jej tymi swoimi uważnymi oczami. - Gdybyś tylko mi pozwoliła.

Bramble odruchowo chciała go zbyć. Pomoc równała się uciążliwości. Wiązała się z wdzięcznością, zobowiązaniami, możliwością, że chciałby później czegoś w zamian. Pomoc oznaczała poufałość.

- Nie trzeba - powtórzyła po raz dwudziesty tego dnia. Przecież to ona, Bramble Kelly, opiekowała się

wszystkimi innymi. I nie chciała, żeby inni opiekowali się nią. Cecily Marsh-Robertson miała firmę, którą musiała się zajmować - torby z To Die For Bags zaczynały zyskiwać sobie status kultowych we wszystkich właściwych kręgach - ale pogrzeb Edwarda Beaumonta był sprawą ważną. Miała się na nim pojawić większość liczących się ludzi w hrabstwie Kent, a ona chciała dyskretnie wypytać o pewną hurtownię tuż przy trasie A2, którą miała na oku. No i jak by to wyglądało, gdyby do Lorenden nie pojechała Lottie? Cecily odebrała córkę ze szkoły w trakcie lekcji, wściekła z powodu jej wyglądu. Dlaczego to dziecko było takie rozmemłane? Przecież Lottie stawiała ją jako matkę w bardzo złym świetle.

- To drogi szkolny mundur i świetna szkoła. Dlaczego nie schowałaś bluzki w spódnicę? Masz ślady tuszu na rękach i poszło ci oczko w rajstopach. Jak mogłaś? Przecież wiedziałaś, że pojedziemy prosto na pogrzeb Edwarda,

Lottie zarumieniła się i zaczęła się plątać w wyjaśnieniach, że właśnie przed chwilą zaczęła nogą o wystający gwóźdź, biegnąc do samochodu zniecierpliwionej matki.

- Mogę położyć dzinsy na tylnym siedzeniu? Potem mogłabym pomóc przy Sailorze...

- Nie - syknęła Cecily, zirytowana wlokącym się przed nimi traktorem. - Nie próbuj dzisiaj nawet wspominać przy mnie o tej przeklętej chabecie!

Lottie skuliła się na siedzeniu pasażera. Śmierć Edwarda bardzo ją zmartwiła, bo wiedziała, że matka

darzyła go respektem, i zawsze czuła, że Sailor pod jego opieką jest bezpieczny. Cecily już zaczynała przebąkiwać, że jej zdaniem Bramble nie bardzo się nadaje do zarządzania interesem i że może trzeba by się rozejrzeć za czymś lepszym.

- Porozmawiam dzisiaj z Tobym Fitzroyem, o ile tam będzie - powiedziała Cecily. - No, to jest człowiek, który zna się na koniach!

Bramble miała nadzieję, że po pogrzebie zacznie wreszcie spać. Nigdy przedtem nie dokuczała jej bezsenność, ale teraz wszystkie jej zmartwienia rosły kilkakrotnie każdej nocy, a ona obserwowała, jak księżyc wschodzi nad drzewami, i nasłuchiwała cichych pohukiwań sowy płomykówki polującej na polne *mysz*y. Po raz pierwszy w życiu upiorne szelesty mrocznych, wiejskich nocy przyprawiały ją o gęsią skórę.

Po pierwsze, była kwestia finansów. Stanowiły dokuczliwy problem już od jakiegoś czasu, ale po spotkaniu z Nicky urósł on do tak wielkich rozmiarów, że Bramble ledwie się ważyła nad nim zastanawiać. Poza tym Savannah i jej opryskliwa kruchość, i Jez, którego w skrytości ducha nieco się bała. No i jeszcze Helena. Siostra buszowała po całym domu, biorąc różne rzeczy do ręki i obracając je w dłoniach. Jakby wszystko szacowała. Wydawało się, że żaden pojedynczy incydent nie jest wart zamieszania, chociaż Bramble od czasu do czasu próbowała ją zniechęcać. Mimo to wciąż, jak gdyby nigdy nic, Helena powtarzała swoje pozornie niewinne Pytanka i przywłaszczała sobie różne drobiazgi.

Był już czas szykować się do pogrzebu. Bramble spróbowała zatuszować ciemne kręgi pod oczami za pomocą starego, od miesięcy nieużywanego podkładu, ale dozownik stanowczo odmówił jej choćby kropli. Potrząsnęła buteleczką i energicznie nacisnęła pompkę. Spora grudka podkładu z mlaśnięciem wytrysnęła prosto na żakiet.

- Szlag by to! - Bramble zaczęła wściekle ścierać plamę ręcznikiem. Helena, przechodząc obok, zastukała do drzwi sypialni i stanęła za jej plecami.

- Tak przy okazji... Mogłabym to sobie wziąć? Oczywiście jest całkiem bez wartości, ale mnie się wydaje słodki. - Pokazała Bramble mały, srebrny dzbanuszek.

Bramble nigdy go nie używała.

- Tak, tak. Jak chcesz. Mogłabyś mi pożyczyć podkład? Ostatnią kroplę mojego mam właśnie na żakiecie.

Helenie zabłyśły oczy.

- Chodź ze mną. Wyszukuję cię.

Pchnięciem zmusiła Bramble, żeby usiadła na łóżku, wyjęła wielki pojemnik na narzędzia pełen kosmetyków i zabrała się do pracy.

- Nie, serio, Heleno... Ja potrzebuję wyłącznie odrobiny podkładu. Muszę...

- To potrwa tylko chwilę. A teraz zamknij oczy. v Bramble poczuła na twarzy gąbeczkę.

- Przez ciebie będę wyglądać jak jakiś klaun.

- Sprawię, że będziesz wyglądać naturalnie. Tylko ładniej.

Bramble miała wrażenie, że trwało to całą wieczność, zanim Helena odsunęła się od niej.

- No proszę! Naprawdę wyglądasz świetnie, wiesz?

Gdybyś jeszcze pozwoliła włosom odrosnąć na tyle, aby złagodziły nieco *rysy twarzy*...

- Ale one są takie gęste! - narzekała Bramble. - Przeszkadzają mi.

- Nie zamierzam ci współczuć. Większość kobiet zabiłaby za gęste włosy. - Helena z satysfakcją pozbierała swoje kosmetyczne przyrządy, a Bramble pozwoliła sobie na przelotne zerknięcie w lustro.

Wszystkie oznaki zmęczenia znikły, a w jej oczach pojawił się błysk. Wyglądała jak dawna Bramble. Ta Bramble, która wyszła za Dorna i zmierzała prosto na szczyt. Bramble, która umiała się śmiać.

Helena położyła dłoń na ramieniu siostry i spojrzała w oczy jej lustrzanego odbicia.

- Chciałabym, żebyś wreszcie uwierzyła, że możesz wyglądać wspaniale. To tylko kwestia odrobiny wysiłku.

Zaskoczona Bramble w kącikach oczu siostry dostrzegła łzy i poczuła, że jej samej też zbiera się na płacz. Spróbowała się opanować.

- Dzięki. Patrz, są już samochody.

Przed drzwiami domu zaparkowały dwie długie, czarne limuzyny. Jedna dla Olliego, Heleny i Eddiego, a druga dla Bramble, Savannah, Donny i Jeza.

Savannah do tej pory widywała Jeza wyłącznie w dżinsach albo bryczesach i teraz pomyślała, że wygląda świetnie. Uważnie obejrzała każdy fragment jego stroju, żeby niczego nie zapomnieć: czarna koszulka polo (o wiele ładniejsza niż zwykła koszula z krawatem), szara marynarka w jodełkę (urocza! Dlaczego do tej pory nie

zdawała sobie sprawy, jak dobrze mężczyznom w tweedzie?) i grafitowe spodnie. Na ciemno i z powagą, ale bez przesadnej formalności, pomyślała. Raczej jak człowiek wolny i wyluzowany. Żadna tam ofiara korporacji. W porównaniu z nim pozostali mężczyźni wyglądali, jakby wbili się w gorsety.

Lubiła Jeza, bo zadawał sobie odrobinę trudu, żeby traktować ją miło. Wiecznie łapała się na toczeniu z nim rozmów. W myślach, naturalnie. W jego obecności często nie umiała wykrztusić z siebie słowa. Martwiło ją tylko, że nie wspomniała matce o incydencie z policją, ale też nie mógł być przecież zamieszany w nic poważnego. Była tego pewna.

Przed kościołem nie udało jej się powstrzymać mimowolnego westchnienia na widok trumny. Wydawało się, że to niemożliwe, że w środku nie leży dziadek. To nie miejsce dla niego. Jego miejsce było na świeżym powietrzu, w słońcu. Z nimi wszystkimi.

Jez ścisnął lekko jej ramię, a ją od tego dotyku przeszedł dreszcz.

Bramble nie zdawała sobie sprawy, że pojawi się aż tylu ludzi - zjechali z całego kraju, a nawet z zagranicy. Dzieci z Klubu Kucyka, przedstawiciel Korony w hrabstwie, sędzia okręgowy i burmistrz, miejscowy poseł do parlamentu i większość dygnitarzy z miasteczka, właściciele wszystkich koni stojących w Lorenden, a nawet sama Cecily Marsh-Robertson, elegancka w czarnych spodniach i krótkim żakiecie, z nieodłączną komórką przy uchu. Przyjaciele, uczniowie, rywale - tak wielu

ludzi, na których życie Edward miał wpływ. Drużyna jeździecka z Eton, gdzie niegdyś raz miał kontrakt trenerski, stawiała się w komplecie. Bramble dostrzegła nawet Glendę, kobietę z karetki, która przyjechała na wezwanie do ojca, i oczy zasły jej łzami wzruszenia. Oto ktoś, czyj związek z Edwardem był tak mało znaczący, szanował go na tyle, żeby zrezygnować z wolnego popołudnia i przyjechać na pogrzeb.

Zdała sobie sprawę, że tuż za nią przystanął Jez, i ukradkiem pociągając nosem, zdusiła łzy. Nie chciała, żeby zobaczył jej płacz. Za nimi Toby Fitzroy wylewnie witał się z każdym, kto stał w pobliżu.

- Szybko - szepnęła Bramble. - Udawaj, że rozmawiasz ze mną o czymś bardzo ważnym. Chcę uniknąć Toby'ego.

Jez zdziwił się przez chwilę, ale zaraz potem złapał ją pod ramię i poprowadził kościelną nawą, pochylając głowę w jej stronę.

- Masz rację - powiedział. - To okropny człowiek.

- Nie wiedziałam, że go znasz.

Jez obejrzał się przez ramię w stronę Toby'ego, który uparcie zmierzał w ich kierunku.

- Raz mu sprzedałem konia - wyjaśnił. - Nigdy więcej.

Bramble nie mogła powściągnąć uśmiechu. W fakcie, że Jez nie cierpiał Toby'ego w takim samym stopniu jak ona, było coś dziwnie pocieszającego.

- Zrób to jeszcze raz - powiedział.

- Co takiego?

- Uśmiechnij się. Masz bardzo ładny uśmiech. Pewnie

mnóstwo osób już ci to mówiło. - Bramble nie lubiła komplementów i miała ochotę się odsunąć, ale Toby nadal przepychał się w ich stronę, więc postanowiła udawać głuchą.

- Popatrz - odezwał się Jez, wskazując na rzeźbioną płytę z nazwiskami trzech Beaumontów. - To twoi krewni?

Pokiwała głową.

- Tata zawsze powtarzał, że chce, aby jego prochy rozsypać na torze crossu w Badmintonie, obok przeszkody Vicarage Vee. Nie życzył sobie żadnych nagrobków ani tablic.

- Widać, że byłeś z ojcem bardzo blisko...

- No cóż, nie na tyle blisko, żeby uznał za stosowne uzgodnić ze mną sprawę twojego zatrudnienia. - Nie zamierzała robić teraz aluzji do tej historii, ale uraza była jeszcze zbyt świeża. Palnęła, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że jej słowa zabrzmiały gderliwie i małostkowo. - Przepraszam. Nie chciałam tego ująć w taki sposób.

Jez przyjrzał się jej uważnie.

- Przepraszam, to przecież nie twoja wina. - Poczowała się niezręcznie. - Naprawdę nie chciałam być niegrzeczna. Żartowałam tylko.

Znów to intensywne spojrzenie.

- Toby właśnie usiadł. Lepiej pójdę - dodała. - Dzięki, że pomogłeś mi przed nim uciec.

Ludzie tłoczyli się już w bocznych nawach i z tyłu kościoła. Szeroko otwarte, ciężkie drzwi umożliwiały tym na zewnątrz wysłuchanie nabożeństwa.

Bramble nie mogła przestać rozglądać się za Felicity. Przecież ona na pewno się pojawi! Zaprezentuje jedno

z tych swoich dramatycznych wejść - być może sfrunie z nieba na spadochronie albo zajedzie rolls-royce'em z kierowcą. Przecież to niemożliwe, żeby przeoczyła wszystkie z istnej lawiny wysłanych do niej wiadomości!

- Tylu tutaj ludzi - szepnęła Savannah, jakby wystraszonym głosem, i Bramble w geście pociechy ścisnęła rękę córki. Poszły główną nawą za trumną.

Nabożeństwo ciągnęło się jak kronika filmowa opisująca życie obcego człowieka. Świadomość Bramble ograniczała się wyłącznie do ciepła w dłoni, mocno ściskającej dłoń Savannah.

Helena lekkim krokiem podeszła do mównicy.

- Mój ojciec, Edward Beaumont - zaczęła - urodził się w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku. Czas jego dzieciństwa przypadł na wielki kryzys i drugą wojnę światową. Nauczył nas, że nawet jeśli przegra się bitwę, można wygrać wojnę, że człowiek nigdy nie powinien się poddawać i że każdy z nas może przekuć swoje marzenia w rzeczywistość.

Wiedział, jak mobilizować młodzież - zarówno dzieci, jak i konie - a moje siostry i ja zawsze wiedziałyśmy dzięki niemu, że możemy osiągnąć sam szczyt. Nie wierzył, że wychowa dzieci, dając im, co chcą, raczej pomagał im w zrozumieniu, że jeśli się czegoś pragnie, można to osiągnąć samodzielnie.

Oczekiwano po nim, jak po większości młodych chłopców z tego środowiska i pokolenia, że podąży tradycyjną drogą - przez Eton, Cambridge, potem Królewską Gwardię Konną, a w końcu przejmie rodzinną farmę. Tymczasem

on uciekł ze szkoły w wieku piętnastu lat, żeby pracować w irlandzkiej stajni wyścigowej, gdzie pozostał, jako dżokej i trener, dopóki jego ojciec nie podupadł na zdrowiu.

Naprawdę?, pomyślała Bramble zaskoczona. Nigdy tego nie wiedziałam. A może i wiedziałam? Poczucie dotkliwej straty przeszło bólem jej serce. Zagapiła się w przestrzeń przed sobą, wysiłkiem woli skupiając uwagę na tym, w jaki sposób jesienne słońce przeświecało przez witraż kościelnego okna.

- Powrócił do domu i nadal budował swoją jeździecką karierę, prowadząc jednocześnie farmę i zdobywając złoty medal olimpijski w dość późnym, jak się obecnie wydaje, wieku czterdziestu sześciu lat, długo po tym, gdy większość sportowców - nawet jeźdźców - rezygnuje ze swoich nadziei i marzeń. Od tamtej pory skupił się na hodowli najlepszych i najinteligentniejszych koni do konkursów konia wierzchowego oraz na szkoleniu kolejnego pokolenia najwyższej klasy sportowców, spośród których widzę tutaj wielu...

Helena urwała nagle, bo z zewnątrz dobiegły szepty, odgłos zatraskiwanych drzwiczek samochodu i czyjś okrzyk zdziwienia. Do kościoła weszła kobieta; wysokie obcasy zastukały o kamień posadzki.

Cała rodzina obejrzała się, zaciekawiona, ale pod słońce widać było tylko sylwetkę nowo przybyłej. Jej twarz okalał kapelusz z szerokim rondem.

Ollie szturchnął łokciem Bramble.

- Czy to ta, o której myślę?

Teraz już odwrócili się wszyscy. Sylwetka się zgadzała - przypominała wycięte z żurnala zdjęcie modnej

i pewnej siebie modelki. Dwuwymiarowe. Felicity, którą znali, zawsze pozwalała sobie na wielkie wejścia, nigdy się nie śpieszyła i regularnie bywała odrobinę spóźniona. A o jej kapeluszach krążyły legendy.

Bramble obejrzała się jak reszta, raczej wyczuwając, niż słysząc szmer zainteresowania w tylnych ławkach. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć, a jej serce zabiło szybciej. Kobieta, której twarzy nadal nie dawało się dostrzec, szukała kogoś wzrokiem. Bramble uniosła dłoń i zobaczyła, że przybyła się waha, a potem rusza nawą w ich stronę. Stukot jej obcasów wtórował jak echo uderzeniom serca Bramble.

- Savannah - szepnęła. - To na pewno Felicity.

Słońce właśnie schowało się za chmurą i przygasł strumień jasnożółtego, oślepiającego światła. Znikły smugi roztańczonego kurzu, pozostał tylko półmrok starego kościoła w październikowe popołudnie. Twarz kobiety na moment wyłoniła się z cienia.

Bramble wyciągnęła szyję. Jeśli to była Felicity, dlaczego nie przeszła od razu na sam przód? Zobaczyła błysk opalonej skóry i czubek nosa. Felicity? Możliwe. To nadal było możliwe.

Wreszcie, najwyraźniej znajdując osobę, której szukała, kobieta wsunęła się do ławki kilka rzędów za Bramble. Ktoś ją przywitał pocałunkiem, a siedzący obok mężczyzna uciszył powitanie syknięciem. Kiedy brała do ręki hymn, Bramble zobaczyła wyraźnie jej twarz. Nie rozpoznała jej. To nie był nikt szczególny. Wiercący się ludzie znów usiedli spokojnie, a Bramble, Savannah i Eddie przygarbili się nieco, rozczarowani.

Helena wzięła głośny wdech i mówiła dalej. Tylko nieznaczne drżenie jej głosu zdradzało, że jest wytrącona z równowagi.

- Przede wszystkim - ciągnęła - mój ojciec nauczył nas wyciągać rękę po sukces. Nauczył nas też, że nikt nie jest w stanie wygrać samotnie, że wszyscy potrzebujemy wsparcia...

Urwała, myśląc o ciastkach i drinkach, które kupowała dla pracowników produkcji, o tym, jak usilnie starała się pamiętać o wszystkich urodzinach. A i tak przecież na planie „Drogi Simona” szeptało się rzeczy o niej nieprzychylne. Była tego pewna.

Zgromadzeni patrzyli na nią wyczekująco. Pozbierała się.

- Nauczył nas, że nie można tak po prostu kupić sobie sukcesu razem z najdroższym koniem - trzeba nań zapracować. I, wreszcie, tego, że nawet jeśli wydaje nam się, że nasz najważniejszy plan bezpowrotnie legł w gruzach, zawsze możemy wziąć się w garść i krok po kroku wprowadzić go w życie.

Dla większego efektu zrobiła pauzę, a potem skrupulatnie wymieniła z imienia wszystkie wnuki Edwarda i opisała ich rolę w życiu dziadka. Z pełną wdzięku gestykulacją dorzuciła zabawną anegdotę z czasów, kiedy bywał mistrzem ceremonii na miejscowych polowaniach. Wspomniała, jak to przy jakiejś okazji jego psy gończe wpadły do sklepu rzeźnika i uciekły pośród wrzasków klienteli, porywając sznur kiełbasek i zostawiając chaos na ladzie.

- Wszystkim nam będzie go ogromnie brakowało - zakończyła.

Kiedy trumnę Edwarda wynoszono z kościoła, ludzie nie kryli łez. Miała zostać dyskretnie przetransportowana do krematorium, w asyście jedynie Bramble i Heleny; pozostała część rodziny i żałobnicy ruszyli do Lorenden. Rodzina powoli wychodziła na rzeńskie, przejmujące powietrze. Bramble zimno zaszczypało w koniuszki palców i nos. Usłyszała cichutki płacz Savannah i odprowadziła córkę na bok, żeby ją uściskać.

- To takie okropne, mamó. - Głos Savannah brzmiał całkiem po dziecięcemu. - To straszne, że teraz go nie ma. Wszystko się zmieniło i mnie się to wcale nie podoba. Co się z nami stanie?

- Nic, kochanie. Obiecuję. - By ją pocieszyć, Bramble zdjęłaby dla córki gwiazdkę z nieba. Ta ciepła, miękka figurka w uścisku jej ramion, pachnąca lekko szamponem do włosów i jaśminowym mydłem Heleny, te łopatki drżące pod dłońmi Bramble od targającego nimi płaczu... Ta niewielka, krucha istota była wszystkim, co się liczyło. - To bardzo smutne, że dziadek zmarł, ale możemy zachować o nim żywą pamięć. Za każdym razem, kiedy będziemy objeżdżać konia albo iść na spacer przez pola, będzie tak, jakby on nadal tu był. Naprawdę.

Savannah pokiwała głową.

- Obiecujesz, że wszystko będzie dobrze? Obiecujesz?

- Obiecuję. - I dotrzymam tej obietnicy, pomyślała. - Już nie płacz. - Wytarła spod oczu córki niewielkie smugi tuszu do rzęs.

Savannah poszła porozmawiać z Eddiem, a Bramble poczuła, że jej oczy znów napełniają się łzami.

Zastanawiała się, czy nie wytrzeć nosa w rękaw, zanim zacznie jej z niego kapać na dobre.

- Proszę - odezwał się jakiś głos. - Weź moją chusteczkę.

Podniosła wzrok na szczerą, uśmiechniętą, usianą piegami twarz i spojrzała w zmrużone od słońca piwne oczy.

- Nat - powiedział. - Nat Croft. Nowy kowal.

- Och, jasne. - Bramble wydmuchała nos najdyskretniej, jak się dało. - Oczywiście.

- W każdej powieści, jaką czytałem, wyraźnie stało, że mężczyzna zawsze powinien nosić przy sobie czystą chustkę, bo w jakimś momencie jego życia pojawi się ładna kobieta, która będzie jej potrzebować - powiedział. Miał potargane, niesforne włosy szalonego naukowca, dziwnie dobrze prezentujące się przy krępej, masywnej sylwetce. - A zatem, prawdziwym bohaterem zostaje się, posiadając chusteczkę.

Bramble nie mogła się nie roześmiać.

- A gdzie zjazd na linie po ścianie budynku i wielkie pudło czekoladek? Albo ubijanie smoków? Albo ocalenie świata w trzy kwadransy?

- Obawiam się, że naczytałaś się bardzo kiepskiej literatury. Musisz się zgodzić, żebym ci pożyczył kilka porządnych książek. - Nat gawędził swobodnie, a Bramble poczuła znajome mrowienie. Jakby jej skóra ożywała i budziło się ciało... To był atrakcyjny mężczyzna i... chyba nią zainteresowany.

Jak możesz myśleć o takich rzeczach na pogrzebie własnego ojca?, upomniała się w duchu, ponownie

wydmuchując nos i myśląc, że powinna przywitać się z innymi gośćmi.

Ale jakoś nie mogła się na to zdobyć.

Eddie popadł w mroczne odrętwienie, ale jednocześnie miał ochotę zerwać się na nogi i wrzeszczeć na dziadka. Dlaczego mnie teraz zostawiłeś?! Ceremonia wydawała mu się zaledwie bezsensownym pretekstem, aby matka kupiła sobie coś nowego, co ładnie podkreślało jej szczupłą figurę, i żeby Ollie mógł wygrzebać piersiówkę brandy, tę samą, którą zabierał na mecze krykieta czy rugby.

Podczas żałobnej przemowy matki uspokajał go jej głos, chociaż na myśl o wszystkich rzeczach, których o Edwardzie nie wiedział, ogarniały go świeże fale żalu.

- Módlmy się! - zaintonował pastor.

Eddie modlił się o wybawienie od ulicznego gangu. Z dziadkiem mógłby o tym porozmawiać... Helena dostałaby hysterii; całkiem możliwe, że sama spróbowałaby się im postawić i zarobiłaby za swoje wysiłki pchnięcie nożem. Ollie tylko by się roześmiał i nie kiwnął nawet palcem.

Modlił się też, żeby wolno mu było zostać jeźdźcem. Żeby mógł co rano otwierać drzwi, wiedząc, że tuż za nimi są stajnie i że stoją w nich konie, które trzeba objeździć, wytrenować i zaprezentować w konkursach. Ale pojawił się ten jakiś Jezzar Morgan... Wcześniej Eddie liczył, że uda mu się podsunąć rodzinie myśl, iż mógłby zmienić szkołę i przyjechać do Martyr's Forstal jako pomocnik, za dziadka, ale najwyraźniej nie miało to sensu.

W chłopaku płonęło pragnienie, żeby zostać tutaj i robić to, do czego bez wątpienia się urodził. Był wygłodniały, tak bardzo wygłodniały koni, które taka Savannah miała na co dzień jako coś zupełnie oczywistego.

Akurat matka mu na to pozwoli! Ale jeszcze pożałuje, jeśli zabije go gang! Eddiem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz, kiedy pomyślał, że to wcale nie jest wykluczone; oni naprawdę mogliby to zrobić. W końcu codziennie czyta się o takich rzeczach w prasie.

Helena wyszła ze względnie ciepłego kościoła na zimne powietrze na zewnątrz, Ollie zaś natychmiast znalazł się przy niej, opiekuńczo kładąc lekkim gestem dłoń na jej plecach i prowadząc ją obok zbyt jasnych kwiatów w stronę gustownego rzędu wiecznie zielonego żywopłotu. Tam przystanęli, a Helena przyjmowała od wszystkich kondolencje i wyrazy uznania za mowę. Wreszcie podeszli Pauline i Alan.

- Heleno, kochana moja - odezwała się Pauline. - To wspaniałe pożegnanie twojego ojca! Gdyby cię słyszał, byłby dumny. Wyglądasz nadzwyczaj elegancko... Widzisz, my tutaj, na wsi, rzadko mamy okazję oglądać taką wykwintną modę. Nie wydaje ci się, że Bramble też prezentuje się dzisiaj wyjątkowo korzystnie?

Helenie zrobiło się miło.

- Pozwoliła mi się umalować. Udało mi się ją przekonać, żeby trochę o sobie zadbała.

- Zawsze ją przyćmiewałaś. Moim zdaniem, ona kompletnie nie zdaje sobie sprawy, ile ma do zaoferowania...

Zbita z tropu Helena już otwierała usta w proteście.

- ...a poza tym, tak bardzo się o wszystko troszczy - dodała Pauline.

- Jak my wszystkie - powiedziała Helena. - My, matki. Jeśli tylko starcza sił.

- No cóż, nie sędzę, żeby Bramble zbyt często ci na to pozwalała - uśmiechnęła się Pauline. - Przywykła, że musi zadbać o bliskich.

Uwaga została wygłoszona z taką słodyczą, że Helena wyczuła ukryte w niej parzące żądełko dopiero kilka minut później, kiedy już zdążyły wymienić z Pauline kolejne uprzejmości i rozejść się, każda w swoją stronę.

Najbardziej przygnębiający punkt dnia stanowiła jazda do krematorium. Kiedy zasunięto zasłonę za trumną ich ojca, Helena, z twarzą koloru kredy, obróciła się do Bramble i uściskała siostrę. Bramble mocno oddała uścisk, czując, że ciałem Heleny wstrząsa szloch. Jej samej zwilgotniały oczy, a po policzkach ponownie pociekły łzy.

- Dobrze, że jesteśmy tu same - powiedziała Helena, odsuwając się i szukając chusteczki. - Myślisz, że on ma już wieczny spokój?

Bramble potrząsnęła głową.

- Ta mgła go dopadła - rzuciła nagle bez związku, niemal nie zdając sobie sprawy, co mówi. Helena na pewno zrozumie, pomyślała, ona zawsze mówi, że nic się nie dzieje bez powodu.

- Co takiego?

Bramble nigdy nie płakała przy nikim z rodziny - w ogóle nie płakała przy ludziach, jeśli mogła tego uniknąć - więc teraz też walczyła ze sobą, usiłując opanować dławiący ją w gardle żal.

- Bo tam była mgła - wyszeptała wreszcie, ledwie panując nad drżeniem mięśni wokół ust. - Tego ranka, kiedy umarł, w sadzie była taka... zła mgła - wykrztusiła. - Zupełnie jakby go szukała, a potem dopadła. I nie wiem, jak go przed nią ratować.

- Cii. Cicho. Ponosi cię wyobraźnia. Po prostu była taka pogoda. Nie umiemy nie myśleć, że takie zjawiska nie wpływają na to, co nam się przydarza. To naturalne. Ale to nic nie znaczy. - Helena objęła siostrę.

Bramble na moment odprężyła się w uścisku, czując, że płacze swobodnie, ale potem odsunęła się i otarła oczy dłonią.

- Masz rację. Głupstwa opowiadam. - Przełknęła łzy. - Ale Felicity powinna być tu z nami...

W domu pełne szacunku szepty żałobnego przyjęcia szybko zamieniły się w głośne rozmowy. Ludzie tłoczyli się pod namiotem, a niektórzy nawet dygotali z zimna na trawniku. Darcy w towarzystwie terierów węszył dokoła z niesłabnącą nadzieją. Psy lubiły takie przyjęcia, przyjęcia oznaczały sposobności. Upuszczone kiełbaski, talerze, których nikt nie pilnuje, goście, którzy lubią zwierzęta na tyle, żeby podsunąć im jakiś kąsek...

Savannah krążyła wśród gości, trzymając w każdej ręce po butelce szampana, chociaż napełnianie kieliszków szło jej dość wolno, bo ciągle ktoś ją zagadywał - nierzadko opryskując ją przy tym okruszkami quiche - że bardzo wyrosła i jest jak skóra zdarta z matki, kiedy ta była w jej wieku. Czasem przyciszonym głosem pytano, czy spodziewają się Felicity.

Zobaczyła stojącego samotnie Alana i połała mu szczodrze. Pauline zawsze starała się ograniczać spożycie alkoholu przez męża.

- Bardzo dziękuję, bardzo - mruknął. - Nieodrodna córka swojej matki! - Poklepał ją po ramieniu. Savannah próbowała się wywinąć, ale złapał ją za nadgarstek szponiastą ręką. - Znam cię od urodzenia - dodał. - Zawsze uważałem, że ze wszystkich trzech jesteś najporządniej-sza.

Zaniepokojona Savannah zrozumiała, że Alan bierze ją za młodą Bramble. Uśmiechnęła się cierpliwie, postanawiając nie mieszać staruszkowi w głowie zbędnymi wyjaśnieniami. Przysunął się bliżej.

- Jedno słówko - szepnął. - Pauline... Przykro mi, że spowodowała tyle kłopotów. Ona lubi kłopoty, wiesz? Kłopoty jej służą. Nie powinienem tak mówić, oczywiście, ale chciałem cię uprzedzić... - Popatrzył na swój kieliszek, a Savannah znów mu go napelniła. - Dziękuję, moja droga, dziękuję. No ale, co to ja chciałem? A, tak. Kiedy Pauline się zdenerwuje, potrafi wywołać grubszą aferę - powtórzył, kompletnie już zapętlony. Savannah ukradkiem zerknęła na zegarek.

Alan pociągnął kolejny spory łyk szampana i nachylił się jeszcze bliżej jej ucha.

- Mała rada: wyjdź za mąż z miłości, nieważne, co powiedzą inni. Nie daj się zaprowadzić przed ołtarz z myślą: „To porządny facet”. Idź tam, dopiero kiedy będziesz czuła, że zrobisz dla niego wszystko. Bo będziesz musiała. Kochałem Pauline tego dnia, kiedy się z nią ożeniłem, i kocham ją nadal. Ale ona bywa

niebezpieczna, zwłaszcza kiedy wbije sobie coś do głowy. „Zawczasu ostrzeżony, na czas uzbrojony”, zawsze tak mówię. - Znacząco postukał się w nos, ale spojrzenie miał dziwnie odległe. - Grzeczna dziewczynka - powiedział, puszcżając dłoń Savannah. - Cieszę się, że mogłem zamienić słówko.

Helena brylowała z kieliszkiem szampana w dłoni, rozdając pocałunki w policzki i składając dzieciakom autografy na serwetkach. Ollie stał u jej boku w pozie księcia małżonka, dumny i nieco zdystansowany, od czasu do czasu podstawiając kieliszek, kiedy w pobliżu przechodził ktoś z butelką w ręce. Bramble kątem oka pochwyciła w przelocie własne odbicie. Twarz miała zaczerwienioną, a włosy sterczały jej na głowie jak niesfornemu lurcherowi. W miarę jak popołudnie dobiegało końca, cała ta karuzela talerzy, kanapek i pełnych współczucia twarzy nabierała rozpędu. Ciągłe zerkając jednym okiem w stronę wejścia - i wmawiając sobie, że wcale nie czeka na Felicity, tylko sprawdza dla porządku - Bramble krążyła z butelkami wśród tłumu, energicznie rzucając przez ramię odpowiedzi na kondolencje.

- Miło mi, że państwo przyjechali - powtarzała. - Proszę się poczęstować kanapką z serem. Bardzo dziękuję... Ma pan pełny kieliszek? - Za każdym razem, kiedy ktoś zaczynał chodzić z talerzem czy butelką w ręku i częstować gości, Bramble odbierała mu je i uspokajała delikwenta. - Nie trzeba. Ja się tym zajmę. A czy pamięta pani...? - Nagle zauważyła Darcy'ego, wymykającego

się z namiotu z całym quiche w pysku; aluminiowa foremka sterczała mu z pyska niczym afrykańska ozdoba dolnej wargi. Siał po drodze sporymi kawałkami ciasta, ku wielkiej radości Mopa i Muddle'a. Bramble nie miała teraz głowy do takich spraw.

Jakaś ręka wyjęła jej z dłoni butelkę.

- Teraz kolej na mnie, dobrze?

Bramble odwróciła się i zobaczyła uśmiech. Nat Croft.

- Och, witam ponownie. - Jego twarz swoją zwyczajnością wywierała uspokajające wrażenie. Siła i stałość.

- A tak przy okazji, chciałem ci powiedzieć, że przeprowadziłem się do domu tuż obok was. Kawałek dalej drogą - powiedział. - Musisz kiedyś do mnie zajrzeć.

- Aha - odparła. - No tak, dzięki.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jestem w pobliżu. Na wypadek, jeśli będziesz mnie potrzebować - dodał. - Wiem, że to niełatwe, takie samotne wychowywanie dziecka i radzenie sobie ze wszystkim. - Uśmiechnął się z żalem. - Coś o tym wiem. Mam koszulkę z odpowiednim komentarzem. Właściwie mógłbym wcale jej nie zdejmować... No dobrze, jak sądzisz, który kąt namiotu jest najbardziej spragniony?

- Wszyscy się zachowują jak na Saharze. Uśmiechnął się - swobodnym, tworzącym drobne zmarszczki uśmiechem - a potem uniósł butelkę w jej stronę w geście salut.

- To ja ruszam na pustynię. Jeśli nie wrócę, powiedz wszystkim, że poległem na posterunku.

Bramble, ogrzana ciepłem jego uśmiechu, patrzyła, jak szerokie plecy znikają wśród tłumu. Wiedziała, że

w przyszłości będzie częściej widywać Mata Crofta. I podobał jej się ten pomysł.

Savannah właśnie szła do kuchni po więcej butelek, kiedy tuż przed jej twarzą pojawiła się szeroka dłoń, blokując jej przejście i przyciskając ją do ściany.

- No proszę - odezwał się niski głos. - A więc to jest najmłodsza z okolicznych Beaumontówien.

Savannah drgnęła. Toby Fitzroy, mocno pijany. Odwróciła twarz od oparów wina i smrodu papierosów.

- Przepraszam. - Usiłowała zanurkować pod jego ramieniem, ale złapał ją za rękę.

- A ty dokąd się wybierasz?

- Eee... Dolać gościom szampana.

- Doprawdy? - W jego głosie brzmiała kpina. - A ja myślałem, że może uciekasz ode mnie. Wy, Beaumontówny, macie to w zwyczaju.

Savannah spojrzała mu w twarz, rozplaszczając się na ścianie i przyglądając z bliska jego twardej i szorstkiej skórze.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Jasne, że nie wiesz. - Roześmiał się. - A wiesz może, dlaczego nie ma tu dzisiaj cioci Felicity? Dlaczego nie przybyła, żeby pożegnać twojego szacownego zmarłego dziadka?

- Jest za granicą. - Savannah była zła, że jej głos brzmi jak głos małej dziewczynki.

Toby przysunął twarz bardzo blisko jej twarzy.

- Nie chciała się tu pokazywać, ot co. Nie ośmieliła się. No cóż, i tak będzie musiała wrócić. Po spadek. Powtórz jej, że ma u mnie dług wdzięczności. Dobra?

- A może sam jej pan to powie? - Savannah próbowała odsunąć jego ramię, starając się opanować lęk.

Toby zaśmiał się tylko i odszedł.

Kiedy Nat chodził po namiocie, napełniając kieliszki szampanem i czarując starsze panie, kątem oka dostrzegł znajomą twarz. Proszę, proszę, major Jezza Morgan!

Skąd on się tu wziął? I, co ważniejsze, co kombinował?

Nat Croft postanowił mieć go na oku. Warto byłoby może uprzedzić Bramble, z kim ma do czynienia?

Chociaż, z drugiej strony, i on był w tej okolicy nowy. Lepiej od razu się nie stawiać.

Ostatni goście porozchodzili się około piątej po południu, cicho składając propozycje pomocy i nieco niewyraźnie mamrocząc słowa pożegnania.

Bramble bolały nogi; nie przywykła do noszenia butów na wysokim obcasie przez tyle godzin. Razem z Heleną, każda z nareczem talerzy, ruszyły z namiotu do kuchni.

- Eddie! - odezwała się Helena szorstko. -1 wy, Ollie i Savannah. Pomóżcie nam sprzątać. Nie możecie zostawić wszystkiego na naszych głowach.

- Felicity nie przyjechała - odezwała się do niej Bramble ze smutkiem.

- Nie. Ma to wszystko gdzieś.

- Miałam bardzo dziwną rozmowę z Alanem - wtrąciła Savannah. - Jakoś mnie tak dziwnie zagadywał...

- Alan jest trochę jak komórka, która co chwila traci

zasięg - stwierdziła Bramble. - Wydaje ci się, że prowadzisz z nim zupełnie sensowną rozmowę, a potem nagle słyszysz tylko biały szum. Moim zdaniem, Pauline ma z nim masę kłopotu.

Od strony drogi dobiegł jakiś hałas, a potem odgłos żwiru trzeszczącego pod kołami sporego samochodu. Helena westchnęła z rozpaczą.

- Na litość boską, co znowu? Na podjeździe jest jakiś cholerny koniowóz! Ludzie mogliby zachowywać się trochę bardziej przyzwoicie, nie sądzisz?

Bramble zmrużyła oczy. Słońce zachodziło szybko, pogrążając wszystko w nieco mglistym zmierzchu, zatapiając okolicę w zmiennych szarościach, brązach i fioletowych cieniach; zaczął pohukiwać leśny gołąb, zazgrzytały hamulce koniowozu. Zwalniał.

- Idiotyczna pora na przyjazd - powiedziała Helena. - Wątpię, czy to ktoś w związku z pogrzebem. Pozbądź się go, Ollie, dobrze? Nie czas teraz na interesy. Bramble jest wykończona.

- Nie - zaprotestowała Bramble, kładąc dłoń na ramieniu Olliego. - Zobaczę, o co chodzi.

Za plecami usłyszała parsknięcie Heleny.

- Dzisiaj wieczorem powinniśmy zostać sami - zaczęło się narzekanie. - Niepotrzebni nam tu żadni obcy. Wiesz, że kiedy ta wasza zgraja zaczyna gadać o szczotkach pęciny i wytokach, czy jak to się tam nazywa, końca nie widać. A reszta musi siedzieć i słuchać godzinami.

Koniowóz zaparkował obok stajni.

- Kto to? - zapytała Savannah.

Bramble z trudem przełknęła ślinę.

- W tym świetle nie widzę dokładnie. - Stłumiła ukłucie niepokoju, szybko wychodząc przed dom.

- To jakiś wynajęty koniowóz - zauważył Eddie.

- Wynajęty czy nie - odpaliła Helena - nic mnie to nie obchodzi! - Wspięła się na palce i wyjrzała w półmrok. - Trzeba ich poprosić, żeby sobie pojechali. - Jej głos zadrżał.

Ze składziku z paszą wyszedł Jez. Przez parę chwil patrzył na pojazd, a potem ruszył w stronę Bramble. Jego kroki zachrzęściły na żwirze w nagłej ciszy; w oddali rozszczękał się pies. Jez położył dłoń na ramieniu Bramble i nachylił się do jej ucha.

- W środku jest tylko kierowca - powiedział dyskretnie. - Może potrzebować pomocy. - Poczowała na policzku ciepło jego oddechu.

- Co on powiedział? - spytała ostro Helena, szybko idąc w ich stronę, potykając się co chwila na wysokich obcasach. - A to kto?

Bramble dostrzegła skuloną za kierownicą postać w modlitewnej pozie. Jakby zbierała siły przed ostatecznym wysiłkiem. Wreszcie kierowca wyprostował się i wyskoczył z szoferki.

Bramble przekonała się, że ma przed sobą zmęczoną kobietę koło pięćdziesiątki, w cienkim czarnym T-shircie, zamaszystej czarnej spódnicy, czarnych kowbojkach i czarnym kowbojskim kapeluszu. Przybyła na jednym nadgarstku nosiła całą kolekcję srebrnych i turkusowych bransoletek. Bramble spojrzała jej w oczy i przez moment miała wrażenie, że dostrzega w nich piekło.

Zamrugnęła powiekami, niezdolna wykrztusić słowa. Wyraz oczu kobiety znikł, zastąpiony przez czujność i znużenie.

- O cholera! - odezwała się Felicity. - Spóźniłam się, tak?

- Tak. - Bramble zaplotła ramiona na piersi. - Rzeczywiście.

- A specjalnie ubrałam się na czarno! Dobrze... Kto to zwykł mawiać: „Nigdy nie przepraszać, nigdy się nie tłumaczyć”?

- Ty sama, najwyraźniej - zjadliwie odparła Helena.

- No cóż, pierwszy powiedział to Disraeli - odezwał się Ollie.

- Chociaż tak naprawdę użył wtedy słów: „Nigdy nie narzekaj i nigdy się nie tłumacz”. Potem John Wayne. „Nigdy nie przepraszać, nigdy się nie tłumacz, bo to oznaka słabości”. W „Nosila żółtą wstążkę”. Taki film.

Dziękujemy ci, Ollie, za erudycyjny popis - syknęła Helena. - Bardzo przydatne informacje.

- Za kogo się przebrałaś? - spytał Ollie z niekłamana ciekawością, a Bramble powstrzymała uśmiech. Felicity przez całe życie lubiła przebieranki. Bywała elegancką damą, która kiedyś pojawiła się u nich astone martinem swojego kochanka, i reporterką, która sześć lat temu wyskakiwała z wnętrza śmigłowca. Wcześniej stylizowała się na lalunię w spodniach trzy czwarte i ciemnych okularach, a w latach osiemdziesiątych zaliczyła nawet krótki epizod z jaskrawymi biznesowymi garsonkami i zapiętymi pod samą szyję bluzkami z kokardą. To było wtedy, gdy usiłowała założyć w Nowym Jorku wydawnictwo. Teraz, w tych czarnych szmatkach, Felicity zdawała się wyblakła, jakby poprzednie jej wersje stanowiły

kolorowe fotografie, a obecna - czarno-białą kliszę. Twarz miała pozbawioną rumieńców, jej usta zlewały się z kolorytem cery. Nadal prezentowała wojowniczą i pełną wdzięku postawę, ale jej oczy kryły w sobie mroczne cienie.

- Uratowałam konia po huraganie - wyjaśniła.

- Transport zajął mi więcej czasu, niż sądziłam, a nie mogłam zostawić go samego.

- Myślałam, że już nie jeździsz.

- Bo nie jeżdżę - odpowiedziała Felicity. - Ale kupiłam go, bo gdybym tego nie zrobiła, to nie wiem, co by się z nim stało. Mógł skończyć w puszcze z psim żarciem. Kiedyś biegał na wyścigach - dodała i jej twarz zaczęła odzyskiwać kolory. Bramble już otwierała usta, żeby spytać o kwarantannę i zezwolenia, ale zrezygnowała. Jeśli ktoś umiałby obejść przepisy, to tylko Felicity.

- Istnieje coś takiego jak telefony komórkowe - zagderła Helena, też próbując jakoś się przyzwyczaić do nowej Felicity.

- Albo chociaż mejle. Nie wspominając o staroświeckiej poczcie.

- Jacy my jesteśmy angielscy, nieprawdaż? - odezwał się Ollie. - A może by tak: „Cześć, Felicity, jak się masz?”. Albo: „Witamy!”. Albo coś. No cóż, sam się tym zajmę.

- Podszedł bliżej i objął szwagierkę nieco pijackim uściskiem.

- Felicity! Ogromnie się cieszymy, że jesteś. Lepiej późno niż wcale, jak powiedziała pewna aktorka do biskupa. Chodź do środka i nalej sobie solidnego drinka!

Felicity ostrożnie wyplątała z jego objęć fragmenty swojej anatomii.

- Cześć, Ollie.

- No tak, racja. - Helena szybko rzuciła się przed siebie z powitalnymi okrzykami. - Felicity, kochanie, czy to była trudna podróż? Rzeczywiście, wydajesz się troszkę zmęczona. - Cmoknęła powietrze po obu stronach policzków siostry. - A gdzie bagaż? Eddie zanieś twoje rzeczy do pokoju.

- Rzućmy okiem na konia. - Bramble pomogła Felicity opuścić rampę i wszyscy zebrali się dokoła.

Rozległ się dudniący hałas i elegancki, stalowoszary koń o długich, inteligentnych uszach i rozdętych nozdrzach rozejrzał się po podjeździe, obrzucając zebranych oburzonym wzrokiem. „Co znowu?“, zdawał się mówić. „I w ogóle, jak śmiecie?“.

- Wow! - westchnęła Savannah. Helena i Ollie cofnęli się ostrożnie, wystraszeni kolejnym łomotem.

- To Merlin - powiedziała Felicity. - Nie martwcie się. Wbrew pozorom jest naprawdę słodki.

Zwierzę, które z łomotem kopyt zbiegło po rampie, parskając i rzucając głową, nie wyglądało na wcielenie łagodności. Felicity przez cały czas przemawiała do niego monotonnym, uspokajającym głosem, ale i tak znienacka wspięło się na zadnie nogi, zaczęło się cofać i szarpać za uwiąż. Koń opadł z powrotem na cztery kopyta pomiędzy kremowym mercedesem Heleny a starym sportowym wozem Jeza.

- Mój samochód! - skrzeknęła Helena. - Bramble, zrób coś!

- Tylko spokojnie - powiedziała Felicity. - On nigdzie nie ucieknie. Nie denerwuj się. Twojemu samochodowi nic nie grozi. Ważne, żeby nie spanikował.

Ostrożnie podeszła do konia, ale on się wycofał.

-Uważaj! - ostrzegła Bramble. - Może próbować przepchnąć się obok ciebie. Może cię przewrócić.

Merlin jakby ją zrozumiał i Felicity głośno jęknęła z bólu, lądując na ziemi. Helena narobiła krzyku.

Jez wysunął się naprzód i spokojnie ujął linkę, a potem zaczął cichą przemowę do konia. Odprowadził go do najbliższego boksu i zamknął.

Na powrót Jeza czekano w milczeniu.

- Widzicie? - Pierwsza odezwała się Felicity. Przez zaciśnięte zęby. - On w ogóle nie sprawia kłopotów. Jest łagodny jak baranek. - Dźwignęła się na nogi, opierając o samochód Heleny.

- A gdzie zamierzasz go trzymać? - spytała Bramble, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że brązowe tęczówki Felicity mają dokładnie ten sam odcień co oczy ich ojca. Kolor ziemi. Ciemnogniady.

- No, pomyślałam, że może mógłby zostać tutaj - odparła Felicity, a jej twarz rozjaśniła się cierpkim, ale czarującym uśmiechem Edwarda.

Bramble przez krótką chwilę wydawało się, że spoza rozmaitości masek, za którymi jej siostra chroni się przez całe życie, wychynęła prawdziwa Felicity.

- Oczywiście! Oboje możecie zostać. To twój dom. Felicity przymknęła oczy i oparła się mocniej, plecami.

A potem, niemal zupełnie bezgłośnie, osunęła na ziemię.

Otoczyli ją kołem, przerażeni. Jez oprzytomniał pierwszy. Podszedł z jakimś kocem, otulił nim bezwładną postać, a potem wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

- To była długa podróż - odezwał się, niemal jak do dziecka. - Ale teraz już jesteś bezpieczna...

11.

Felicity otworzyła oczy i stwierdziła, że sen trwa. Leżała w domu, na starej skórzanej sofie w gabinecie. Jej ojciec, znów młody, chodził po pokoju. Czowała zapach wypastowanych wysokich butów i słyszała jego pewny, stanowczy krok. Za oknem, w zapadającym zmroku, rozpościerał swoje szerokie gałęzie stary kasztanowiec, a jego zielone, kolczaste owoce dopiero zaczynały opadać na ziemię.

Może ja umarłam?, pomyślała i spróbowała usiąść. Przez mgłę mdłości dostrzegła znajome stosy papierów piętrzące się w całym wnętrzu, korkową tablicę zapchaną poprzypinanymi do niej rozetkami, a nad kominkiem olejny obraz matki - w bladoniebieskiej balowej sukni bez pleców.

Pulsujący ból w nodze dał jej znać, że jednak żyje i że coś jej się stało. Zdusiła jęk i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nic ci nie jest? - Wszyscy - Helena, Bramble, Savannah, Eddie i Ollie - wpakowali się naraz do środka.

- Nic. - Skrzywiła się. - Ale Merlin chyba nastąpił mi na nogę...

- Trzeba ją koniecznie zawieźć do szpitala. - To Helena. Zabawne, pomyślała Felicity, że kiedy tylko zachorujesz albo się zranisz, wszyscy zaczynają o tobie mówić w trzeciej osobie.

- Ja wypiąłam o wiele za dużo, żeby prowadzić - dodała Helena.

- Wy zresztą też. Lepiej będzie wezwać karetkę.

- Nie potrzebuję szpitala. Karetka, co za absurd! - powiedziała Felicity. - To zwykły siniak. - Rząd twarzy zdawał się odległy, jakby znalazła się w głębi studni, a oni patrzyli na nią z góry.

- Uważam, że powinnaś jednak dać się obejrzeć lekarzowi - powiedziała Bramble z niepokojem.

Felicity spróbowała się uśmiechnąć.

- Znasz nas, zawodowych jeźdźców. Na słowo „lekarz” uciekamy na milę.

- Ty w tej chwili raczej nigdzie nie uciekniesz.

- Wystarczy, że porządnie prześpię noc. - Felicity znów przymknęła oczy. - Po prostu mam za sobą długą podróż. To wszystko.

Mężczyzna, który wniósł ją do środka, ten, którego wzięła za ojca, pochylił się nad nią, przysuwając twarz do jej twarzy niemal tak blisko jak kochanek.

- Co cię boli?

Głos miał niski, niemal chrapliwy, jakby nieczęsto się odzywał. Teraz, kiedy widziała go wyraźnie, w niczym nie przypominał Edwarda Beaumonta. Ciemne, ostrzyżone krótko włosy właśnie mu odrastały i zaczynały się wić i stroszyć wokół głowy; wyglądał przez to jak diabeł. Przydałoby mu się golenie. Felicity znów zaczęło się robić słabo.

- Tylko stopa. Nic mi nie dolega. Kim pan jest?

- Jezzar Morgan - przedstawił się. - Nowy objeżdżacz. Przez chwilę miała wrażenie, że rozpoznaje w nim

bratnią duszę poszukiwacza przygód, kogoś, kto jak ona nigdzie nie umie znaleźć sobie miejsca. A potem pomyślała, że chyba dopadły ją majaki.

To nie w porządku, przyszło jej do głowy. Tata nigdy by nie zatrudnił objeżdżacza. Tata. Gdzie jest tata?

Och, pamiętam. Nie żyje. To dlatego tu jestem. Z trudem usiłowała zebrać myśli.

- Obawiam się, że twój pokój to teraz trochę taki składzik rupieci - powiedziała Bramble. - Ale przygotuję ci łóżko.

Felicity przebiegł dreszcz. „Twój pokój”. Zdążyła już zapomnieć, że kiedykolwiek go miała. Zakładała - o ile w ogóle zdarzało jej się o tym myśleć - że ta mała izdebka, wciśnięta pomiędzy dwie spore sypialnie, w której sypiała od swego narodzenia po dzień, kiedy w wieku dziewiętnastu lat opuściła dom, już dawno została przerobiona na dodatkową łazienkę albo garderobę z osobnym wejściem. Albo może na pokój dla jednego z mieszkających u Edwarda uczniów?

Ale kiedy na wpół pokuśtykała, a na wpół dała się zanieść na górę, krzywiąc się przy tym z bólu, przekonała się, że pokój prawie się nie zmienił. To samo pomalowane na biało, stare, żelazne łóżko z zagłówkiem, ze staroświeckim materacem na półtorej osoby, wciąż było przykryte wyblakłą, srebrzystą, aksamitną narzutą. Tapeta w stulistne róże, którą uwielbiała w wieku ośmiu lat, a znienawidziła w wieku lat osiemnastu,

tylko w niektórych miejscach nieco odchodziła od ścian. Na półce po jednej stronie łóżka stały wyblakłe, podniszczone książki w miękkich okładkach: „Mój przyjaciel Flicka”, „Thunderhead, syn Flicki”, „Wielka nagroda”, kolekcjonowane w dzieciństwie porcelanowe figurki koni i jej nadjedzony przez mole pluszowy miś. Siedział zwrócony w stronę drzwi, jakby na nią czekał.

- Misiaku - powiedziała, próbując się roześmiać, a nie rozplakać. - Powinni cię byli wywalić już wiele lat temu!

Ktoś wstawił tutaj starego, łaciatego konia na biegunach, teraz z wyliniałym ogonem, kiedyś urzędującego w dziecinnym, maszynę do szycia i parę walizek, które ewidentnie komuś zawadzały. Ale poza dusznym zapachem przykurzonego materiału pokój sprawiał wrażenie, jakby Felicity opuściła go zaledwie wczoraj.

- Przepraszam za nieład. Nie wiedzieliśmy, czy przyjedziesz. - Bramble zaciągnęła zasłonę, kiedyś z kwiecistego perkalu z połyskiem, pasującego do tapet, teraz całą w paski, bo miejscami wyblakłą od słońca. Po paru szarpnięciach zasłona ustąpiła, a w powietrze wzbił się obłoczek kurzu. Za plecami Bramble zakasłała ostentacyjnie Helena.

- Na miłość boską, przecież Felicity nie będzie tu chyba spać? Felicity, nic się nie martw. Możesz się zamienić na pokoje z Eddiem. Tam będzie ci o wiele lepiej.

Felicity rzuciła się na łóżko, zsunęła na stojącą obok małą komódkę z wiśniowego drzewa bransoletki i z trudem ściągnęła but z napuchniętej stopy.

- Tam spać nie chcę - powiedziała stanowczo. - Tu mi całkiem dobrze. Serio. - Marzyła, żeby już sobie poszli,

żeby skończyło się to zamieszanie. Chciała pootwierać szafki i szuflady, chociaż bała się tego, co może w nich znaleźć.

Samą siebie. Tę dawną Felicity, od której uciekała przez całe dorosłe życie. Położyła się na plecach.

- Proszę, idźcie już - szepnęła. - Przepraszam. Rano będę się bardziej nadawać do ludzi.

Wyszli z ociąganiem, wśród obietnic szklanek z wodą i propozycji paracetamolu i czegoś do jedzenia. Felicity w milczeniu pokręciła głową i całkowicie ubrana wślizgnęła się pod kołdrę, szukając zapomnienia.

Zanim zasnęła, wydało jej się, że czuje zapach konwalii. .. Kiedy była młodsza, używała Diorissimo - matka uważała, że te perfumy są odpowiednio niewinne i młodzieńcze - ale nawet jeśli pozostał tu jakiś stary flakonik, zapach z pewnością ulotnił się już lata temu.

Helena zaciągnęła Olliego do sypialni.

- Czyś ty to słyszał? - syknęła. - „My, zawodowi jeźdźcy”. Wychodzi jej prawdziwa natura!

Ollie niósł w ręku butelkę wina. Otworzył ją teraz i nalał trochę do kieliszka. W pokoju walały się trzy kubki po kawie i liczne zabazgrane albo zgniecione w kulkę kartki papieru. Pobjowisko po pisaniu mowy pożegnalnej.

- Ma wstrząs mózgu - powiedział. - Przecież to widać. Słyszałem trzask, musiała uderzyć głową, kiedy przewrócił ją ten cholerny koń. Plotła coś bez sensu.

- Mnie jednak bardzo niepokoi, że plotąc bez sensu,

roi sobie, że oto znów startuje w konkursach jeździeckich
- odparła Helena. - Wszystko przez tego konia! Ściągnęła tu tego... tego... Merlina. To znaczy, że wróciła na dobre.

- Jezu. - Przewrócił oczami. - Chociaż może jednak... Ale naprawdę niekoniecznie.

Ollie i Helena popatrzyli po sobie. Jak zwykle, każde wiedziało, co myśli drugie.

- Nie wróciła ani helikopterem, ani limuzyną z kierowcą, fakt. Jakby była sama. Wykończona. Ona wygląda mi na kogoś, komu skończyły się opcje - dodał.

- Masz zbyt bujną wyobraźnię. Jak zawsze - sarknęła Helena. Na moment umilkła. - Ale masz rację, nie ma śladu faceta...

- Pamiętaj, że posunęła się w latach. O faceta już nie tak łatwo.

- Felicity zawsze mogła zdobyć każdego mężczyznę.

- Helenie nie spodobała się uwaga o wieku. - I zawsze tu z jakimś przyjeżdża, jakby chciała pokazać, że nas nie potrzebuje. Ale jeśli Bramble i Felicity zamieszkają tu razem, obie samotne, o wiele trudniej będzie je przekonać do sprzedaży domu.

- Może ten koń to tylko jeden z jej kaprysów? Jak ten, kiedy wybrała się żeglować po Karaibach jakimś starym rybackim kutrem i pływała z wyspy na wyspę, zajmując się drobnym handlem. - Ollie dopił wino i niemal natychmiast nalał sobie następny kieliszek. - Znasz Felicity, jak tylko poczuje się lepiej, ruszy w drogę. Założę się, że będzie chciała dostać gotówkę do ręki i wiać.

Helena miała tak rozstrojone nerwy, że zapomniała skarcić go za dolewkę.

- Mam taką nadzieję. Ale, potencjalnie, sprawy mogą się skomplikować.

- Jeśli masz rację, możemy nigdy nie dostać swoich pieniędzy. Kurwa! - zaklął Ollie i cisnął kieliszkiem w kominek. Szkło rozprysło się, uderzając o marmur, a ciemna strużka czerwonego wina zaplamiła zakurzone palenisko.

- Do cholery, właśnie, że dostaniemy! - powiedziała Helena i przyklęła, podpierając się na dłoniach. Pozbierała uważnie kawałki szkła i zawinęła je w jakąś gazetę. - Nikomu nie pozwolę odebrać sobie spadku, który mi się należy. Przysięgam!

Następnego ranka po pogrzebie Savannah z najwyższym trudem zwlokła się z łóżka i z każdą kolejną chwilą coraz dotkliwsze znużenie ciągnęło ją z powrotem w stronę pościeli.

Wciągnęła jakieś stare bryczesy - zauważyła przy tym, że zamek zasunął się łatwiej niż kiedyś - i zeszła na dół do stajni, by pomóc w porannych zajęciach. Wokół dziedzińca, w donicach chwiały się ostatnie, marne pelargonie, a jaskółki śmigwały i nurkowały niczym maleńkie czarno-białe odrzutowce, gotowe do odlotu na zimę.

Savannah nie czuła się najlepiej. Jakoś nic nie układało się tak, jak powinno. W jednej chwili było jej zimno, a zaraz potem ściągała sweter, zlane potem. Westchnęła, wdychając ostry, amoniakalny zapach stajni. Bramble akurat robiła listę jazd na bieżący dzień.

- Ty, Donna, Eddie i Jez - powiedziała. - Śmigacie dziś rano na Tegan, Errolu, Chancerze i Teddym. Czy

Lottie dzisiaj przyjeżdża? Chcę, żeby po południu Sailor popracował trochę na ujeżdżalni. Jeśli nie przyjedzie, będziesz musiała wziąć to na siebie, Donna.

Savannah pozwoliła, żeby wszystko wokół niej toczyło się własnym trybem, i wykonywała swoją część obowiązków z poczuciem, że zamiast zwykłych ma na stopach betonowe buty. Tegan wyraźnie miała ochotę na krycie, kładła uszy po sobie i zerknęła na Savannah złym okiem, dziewczynka była jednak zbyt zmęczona i roztargniona, żeby zwracać na klacz większą uwagę. Myślała, jak dobrze by było, gdyby mogła trochę schudnąć - tylko tyle, żeby ciuchy zrobiły się nieco luźniejsze. Miło byłoby też nabrać więcej pewności siebie i nie musieć znosić pełnych dezaprobaty spojrzeń Heleny. Wczoraj łatwo było jeść mniej, ale dzisiaj jedzenie będzie ją kusiło. Lecz jeśli to wszystko wcześniej zaplanuje, powinno się udać. Przytargała siodło do miejsca, gdzie stała przywiązana Tegan. Klacz odwróciła się do niej zadem.

- Nie lubię niegrzecznych koni.

Wierzchówka uniosła wysoko łeb i gniewnie machnęła ogonem. A ja nie lubię być ignorowana, zdawała się mówić.

Wyjechali z dziedzińca kolejno, szeregiem: Jez, Donna, Eddie i na końcu Savannah. Tegan nie cierpiała iść ostatnia i ciągle usiłowała wyszarpywać wodze z rąk jeźdźca, pchając się ku przodowi. Trzeba jej było pokazywać, kto tu jest szefem.

- Ty mnie w ogóle nie słuchasz - mruknęła Savannah. Tegan w odpowiedzi dała do zrozumienia, że Savannah na posłuch nie zasłużyła.

Skęcili z alejki na wąską ścieżkę, gdzie jesienne owoce - czarnosine tarniny i śliwki damascenki, różowawe dzikie jabłka i lubaszki przypominające kiście granatowych, szklanych kulek - ocierały się o nogi jeźdźców i boki koni. Kiedyś to była część sadu, ale nieprzystosowana do zbioru maszynowego zmieniła się w zdziczałe, porastające każdy kąt zarośla i gęste krzaki.

A potem znaleźli się na obrzeżonej żywopłotem z buczyny otwartej przestrzeni, z rzadka porośniętej topolami, i po zatoczeniu kilku kręgów ruszyli na znak Jeza krótkim galopem wzdłuż skraju ścierniska, plecami do wstającego słońca. Tegan uparła się na wyścigi, ciągnęła więc i szarpała za wodze. Zanim Savannah zdążyła porządnie zapanować nad klaczą, drogę przebiegł im zakosami królik i czmychnął susem w żywopłot.

Tegan rzuciła się w bok. Złośliwa małpa, wcale się nie wystraszyła, pomyślała Savannah, spadając przez bark klaczy prosto w jeżynowy chruśniak.

Mgliście zarejestrowała, że Jez zeskoczył z Teddy'ego, schwytał Tegan i przekazał wodze Donnie i Eddiemu. Potem podbiegł i przyklęknął.

- Savannah? - Łagodnym ruchem dotknął jej ramienia. - Savannah?

Usiadła, jeszcze roztrzęsiona, a on pomógł jej wygrzebać się z kolczastej kępy zarośli.

- Nic mi nie jest. Serio.
- Gdzie cię boli? - Jego twarz była tak blisko!
- Nic mi się nie stało. - Savannah próbowała się nie rozplakać.
- Pomóż mi lepiej wsiąść. Ona chciała, żebym

poleciała prosto w ten krzak, naprawdę tego chciała. Przymierzyła dokładnie.

Jez uważnie poruszył w górę i w dół jej prawym nadgarstkiem, a potem lewym.

- Niczego sobie nie połamalam. - Pokazała mu pokryte zadrapaniami obie dłonie.

- Auć! - Skrzywił się. - To pewnie boli. Dlaczego nie włożyłaś rękawiczek?

- Zapomniałam - mruknęła Savannah. Tak naprawdę zostawiła je w kuchni i nie miała już siły zawracać.

Łagodnie dotknął jej twarzy.

- I jeszcze buzia. Paskudne zadrapanie.

- Nic mi nie będzie.

- Ile palców widzisz? - spytał Jez, unosząc w górę dłoń.

- Cztery - odparła Savannah. - **1** wiem, że dziś sobota. I nie pytaj mnie, jak się nazywa minister skarbu ani ile jest siedem razy osiem, bo przed upadkiem też bym ci nie powiedziała.

Jez uśmiechnął się lekko.

- No dobrze. To co jadłaś na śniadanie?

Przez chwilę Savannah miała w głowie kompletną pustkę. Może faktycznie jednak mam wstrząs mózgu?, pomyślała. Potarła twarz dłońmi i przypomniała sobie, że nie jadła niczego.

- Eee... Jeszcze nie jadłam śniadania.

- Hm... - odezwał się Jez. - To nie najlepszy pomysł, taka jazda z pustym żołądkiem. Nie miałaś dość siły, żeby poradzić sobie z Tegan. Ani dość koncentracji.

- To przez tego królika. Zobaczysz, wsiądę i się przekonasz.

- Uważam, że trzeba wrócić do domu - powiedział.

- Obserwowałem cię. Moim zdaniem nie doszłaś jeszcze do siebie po grypie żołądkowej i nie powinnaś jeździć, dopóki zupełnie nie wydobrzejesz.

- Ale naprawdę nic mi nie jest! Tylko przez chwilę zrobiło mi się słabo. Pomóż mi wsiąść.

Przyjrzał się uważnie.

- Ty i Felicity. Obie jesteście ulepione z jednej gliny. Nie warto ci nic tłumaczyć, prawda?

- Prawda.

Znów siedziała na Tegan, ale kiedy serce przestało walić jak oszalałe, poczuła napływającą do rąk krew i piekące zadrapania. Głupio zrobiła z tymi rękawiczkami, ale troska Jeza dodała jej otuchy, a dotyk jego dłoni okazał się bardziej niesamowity niż wszystko, czego doznała w życiu. Do tej pory Savannah obojętnie słuchała, jak inne dziewczyny chichoczą w szkole na temat nowych chłopaków. Zawsze wydawało się jej, że kiedyś znajdzie sobie chłopaka, ale niekoniecznie chciała tego tak zaraz. Była świadoma, że nie nadąza za koleżankami

- pomijając jedyną Lottie - i czasem martwiła się, że może jest z nią coś nie w porządku.

Twarz Jeza, tuż obok jej własnej twarzy, zmieniła wszystko. Zapragnęła, żeby ją zauważył, żeby za nią tęsknił... Kiedy ponownie, krzywiąc się, wspięła się na siodło i spojrzała w jego pełne troski oczy, przeleciała między nimi iskierka wzajemnego zrozumienia. Zajrzał wprost w moją duszę, pomyślała. Wiem, że tak.

Zanim jeszcze zdążyli wrócić, a ona zabrać Tegan na pastwisko, adrenalina po upadku przestała działać.

Savannah zaczynała odczuwać skutki upadku: siniaka na łydce, ból tyłka, pieczenie zadrapań, stłuczony łokieć, jakieś klucie w karku... Odwiesiła siodło Tegan z powrotem na stojak, bardziej zmęczona niż kiedykolwiek, ale wciąż rozjaśniona wewnętrznym wspomnieniem spojrzenia Jeza.

Siodło wisiało obok rzędu kołków, na których od zawsze piętrzył się stos kurtek; mieszanina różnych faktur i zgaszonych, stłumionych kolorów. Musnęła ręką starą tweedową marynarkę dziadka, szorstką i przesiąkniętą jego zapachem, i po raz pierwszy rzeczywistość dotarła do niej z pełną mocą. On już nie wróci. Nigdy.

Poczuła, że jej ramienia łagodnie dotyka czyjaś dłoń.

- Kiedy człowiek ma szesnaście lat - odezwał się cicho - mrok wydaje się naprawdę czarny. Ale nie zawsze tak będzie, uwierz.

Odwróciła się, a Jez przytulił ją mocno. Jak dziecko.

- Ty nie rozumiesz - pociągnęła nosem. - Ja tak naprawdę dziadka nie kochałam... A teraz go już nie ma i nie będę miała drugiej szansy.

Odsunął się i otarł jej łzy kciukiem.

- Popatrz na mnie - powiedział cicho. - Człowiek tak nie płacze, jeśli kogoś nie kochał. I on o tym wiedział.

- Tak myślisz?

- Jestem pewien. - Delikatnie pogłaskał ją po włosach. Odbierała uścisk Jeza zupełnie inaczej niż miękkie ramiona matki czy kościsty, powitalny uścisk Lottie. On był taki dzielny i ciepły! A ona czuła się przy nim bezpieczna. Chciałaby zostać tak już na zawsze, bo wtedy nikt ani nic nie mogłoby jej skrzywdzić. Rozplakała się

nad sobą, nad Bramble, nad dziadkiem. Płakała z lęku, że straci Lorenden, i konie, i Jeza, ze strachu przed przerażająco niepewną przyszłością, która czekała ich wszystkich.

- Postanowiliśmy dać ci pospać. - Helena weszła do pokoju Felicity i rozsunęła wyblakłe kwieciste zasłony. Pełne kurzu powietrze przeniknęło światło słońca.

Felicity uniosła się na łóżku. Czuła się jak odurzona lekami.

- Która godzina?

- Prawie dziesiąta. - Głos Heleny brzmiał zwycięsko. - Spałaś od wczesnego wieczora.

Felicity usiłowała otrząsnąć się z sennego otępienia, a Helena podeszła do niej z tacą.

- Nie wiem, co lubisz - powiedziała. - Ale świeży sok z pomarańczy, tost i domowej roboty truskawkowy dżem zwykle dają się przełknąć. Chyba że nie tolerujesz glutenu, oczywiście. A może masz cukrzycę? - Popatrzyła na Felicity. - Albo jesteś na diecie Haya? Na Atkinsie?

- Nie, tost i dżem truskawkowy jak najbardziej mogą być. - Felicity pomyślała o puszkach z wojskowymi racjami, którymi pożywiała się w ostatnich latach, o kanapkach łapanych w przelocie, o fast foodach i porządnym posiłku zaledwie od czasu do czasu, smakującym właśnie dlatego, że był rzadkością.

- I kawa - dodała Helena, stawiając tacę na kolanach siostry i poprawiając poduszki za jej plecami. Sama przysiadła u stóp łóżka. - Sobie też przyniosłam filiżankę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. - Słońce raziło Felicity w oczy. Helena dostrzegła to, zerwała się z łóżka, poprawiła zasłony i rozkasłała się, wymachując dłonią tuż przed twarzą.

- Dobrze - powiedziała, gdy znów usiadła spokojnie. - Miło cię tu wreszcie zobaczyć.

Felicity miała usta pełne tosta i nie mogła odpowiedzieć.

- Mhm - mruknęła, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Bo o coś na pewno. Widziała wyraźnie, że Helena wyznaczyła sobie bojowe zadanie.

- Naprawdę cieszymy się, że udało ci się dotrzeć. Bo widzisz, jesteś jedną z egzekuterek ostatniej woli taty i bez ciebie nic nie możemy zdziałać. Oczywiście, nie musisz się podejmować tej roli, ale trzeba najpierw pozalać jakieś prawne szczegóły.

Felicity była zbyt zdumiona, żeby odpowiedzieć. Odłożyła tosta na talerzyk i przyjrzała się siostrze uważnie.

- No i oczywiście - ciągnęła Helena - jedna trzecia tego, co prawnicy nazywają masą spadkową, należy do ciebie. To, co zostało z majątku. Mamy już tylko Lorenden i konie, obawiam się. Tata umarł tuż przed kompletną rozsypką.

- Do mnie? - powtórzyła Felicity, kompletnie nie rozumiejąc.

- Jak to: do mnie?

- Tata zostawił wszystko nam trzem, po równo. Naturalnie, dokładnie tak należało zrobić. - Helena pokazała zęby w nieprzekonującym uśmiechu. - Znaczący, jesteśmy przecież siostrami, a w rodzinie równość jest bardzo ważna. No więc, rozumiesz. Musisz podpisać papiery i tak dalej. Zanim ruszymy ze sprzedażą.

- Ze sprzedażą? - odezwała się Felicity.

- Sprzedażą - powtórzyła stanowczo Helena. - Nie ma innej możliwości, żeby to wszystko rozsądnie podzielić. Bramble będzie pewnie chciała ciągnąć ten jeździecki biznes gdzie indziej, naturalnie, ale ulży jej, kiedy nie będzie musiała zarządzać czymś o rozmiarach Lorenden. Zmiana postawi ją na nogi, naprawdę. No i przecież... Ty też chyba nigdy nie miałaś zamiaru tu mieszkać, prawda?

- Tak - odparła Felicity, zbita z tropu.

- No widzisz. Im wcześniej to sprzedamy, tym lepiej. Zwłaszcza Bramble zdecydowanie powinna urządzić się w miejscu, które będzie mogła naprawdę nazwać swoim własnym, chociaż, oczywiście, jest o wiele bardziej emocjonalnie związana z tym domem niż ty czy ja. Naturalnie... - Tym razem uśmiech Heleny zrobił się konspiracyjny - ...rozumiesz, jej się wydaje, że tak naprawdę jest niewiele warta i że ludzie przyjeżdżają tu tylko i wyłącznie z powodu nazwiska i renomy taty. Im szybciej stanie na własnych nogach i zacznie sobie wyrabiać markę, tym szybciej zrozumie, że w gruncie rzeczy jako człowiek jest wartością sama w sobie.

Felicity, wciąż zdumiona przemową siostry, nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Więc chciałam cię spytać - ciągnęła Helena - czy zgodzisz się pomóc mi przeprowadzić Bramble możliwie gładko i spokojnie przez postępowanie spadkowe? Pomóż mi jej pomóc, o ile rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Tak ciężko przeżyła śmierć Dorna i jako jeździec nigdy nie spełniła pokładanych w niej nadziei... I jeszcze musiała sama zająć się wychowaniem Savannah.

Chciałabym, żeby mogła poczuć, że naprawdę ją wspieramy.

- Dobrze - powiedziała Felicity spokojnie. - Nie widzę problemu, - Ale w głębi ducha czuła, że zaczyna jej się przepalać jakiś bezpiecznik. Bramble, która zawsze miała wszystko; otoczona uwagą i miłością ojca, nie musiała w wieku dziewiętnastu lat wyjeżdżać z domu i sama sobie radzić w świecie. A teraz proszono Felicity, żeby jeszcze coś jej ułatwiała. Ona nie wiedziała, co to ułatwienia. Nigdy.

- Świetnie - powiedziała Helena. - Chciałam po prostu najpierw zamienić o tym słówko z tobą. Upewnić się, że rozumiesz. Ona jest bardzo uparta, wiesz? Jak tata.

- Ja bym się nie zdziwiła... - odezwała się Felicity, popijając drobnymi łykami kawę, z nadzieją, że nieco rozjaśni jej w głowie. - Ja bym się wcale nie zdziwiła, gdyby on to wszystko zapisał Bramble. Żeby nadal mogła prowadzić stajnię. Wydawało mi się, że tego właśnie chciał.

- No cóż, najwyraźniej jednak nie... - Helena urwała. - On w zasadzie powiedział mi, że jego zdaniem Bramble nigdy nie zostanie... No wiesz. Najwyższej klasy jeźdźcem. I że on wie, że czekają go pewne trudne decyzje. To znaczy, gdyby uważał, że Bramble sobie poradzi, że w ogóle ma po temu potencjał, to przecież nie zatrudniałby tego... tego...

- No właśnie! Kto to jest?

- Nazywa się Jezzar Morgan. Major Jezzar Morgan. Były oficer kawalerii, który próbuje teraz wyrobić sobie pozycję w konkursach konia wierzchowego. Podobno

w połowie Rosjanin czy Tatar, jak sam o sobie mówi. A że nie ma grosza przy duszy - tak się przynajmniej wydaje - trafił tutaj. Przede wszystkim ma chyba objeżdżać Teddy'ego dla Pauline. Nie pozostali już żadni inni liczący się właściciele.

- A kto na nim jeździł do tej pory? Helena wzruszyła ramionami.

- Bramble. Popatrzyły po sobie.

- Sama widzisz - dodała cicho Helena. - Tata wreszcie zdał sobie sprawę, że ona nigdy nie zacznie zwyciężać. Ale Teddy jak najbardziej... Więc musiał ściągnąć tu kogoś innego.

Felicity milczała. Czuła się, jakby była zupełnie pozbawiona sił.

-No więc... - Helena wstała, ale nie przestawała uważnie przyglądać się siostrze. - Jak tam ostatnio u ciebie? Nadal zajmujesz się reportażami z wojen?

- W pewnym sensie. No wiesz... - Felicity znów oparła się o poduszki i przymknęła oczy, broniąc się przed bezmyślnymi pytaniami. Ktoś, kto mówi o „zajmowaniu się reportażami z wojen” takim tonem, jakby chodziło o wydawanie przyjęć, nie zasługuje na sensowną odpowiedź.

- Uważam, że trzeba ci sprowadzić lekarza.

- Nie - powiedziała Felicity. - Żadnych lekarzy.

- Nadal boli cię głowa?

- Nie. Mam tylko sińce, ile razy mam to powtarzać? - Felicity postanowiła nie wspominać, że kiedy w środku nocy wstała, by skorzystać z łazienki, w ogóle nie mogła

obciążać stopy, i wstając z sedesu, musiała z całej siły oprzeć się o umywalkę.

- No dobrze - powiedziała Helena. - To po prostu wołaj, jakbyś czegoś potrzebowała. Kręcę się w pobliżu.

Felicity pokiwała głową, a kiedy Helena wyszła, odstawiła tacę z na wpół zjedzonym tostem na podłogę.

Nie mogła tego wszystkiego zrozumieć. Przecież Beaumontowie mieszkali w Lorenden od ponad stu lat, a raptem jej własny ojciec postanowił machnąć ręką na wszystko, pozostawiając jedną trzecią majątku komuś, kto przysiągł, że nigdy tu nie wróci? Felicity, podpierając się, wstała z łóżka i zerknęła w zakurzone lustro. Nadal nie cierpiała twarzy, która teraz na nią patrzyła. Niczego nie zmieniła nawet informacja, że ojciec uwzględnił ją w swojej ostatniej woli.

Opadła z powrotem na łóżko i leżała tam przez kolejne pół godziny, patrząc, jak wiatr na zewnątrz porusza drzewami, jak przefruwają za oknem liście... Zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu dostrzega prawdziwe możliwości. To mogła być jej szansa, żeby zacząć wszystko od nowa...

Nat Croft pojawił się na dziedzińcu właśnie wtedy, kiedy Bramble nareszcie mogła odetchnąć. Po raz pierwszy w życiu pożałowała, że się nie maluje.

- O, cześć - powiedziała, zastanawiając się, czy zwróciłby uwagę, gdyby na moment wymknęła się na górę. - Właśnie zamierzałam napić się kawy. Chcesz trochę?

- No pewnie. - Kiedy się uśmiecha, w kącikach oczu robią mu się zmarszczki, zauważyła. Szopa włosów

w stylu szalonego naukowca powiewała na wietrze. - Wczoraj zostawiłem gdzieś tutaj marynarkę.

Bramble ruchem głowy wskazała mu namiot, zwijany właśnie przez firmę, z której go wypożyczono.

- Mam nadzieję, że nie tam.

- Nie, gdzieś u was w holu chyba.

Bramble skoczyła na moment na piętro, podkradła jeden z kaszmirowych, rozpinanych sweterków Heleny ze *stosu czystego* prania, przeczesła włosy i dyskretnie pociągnęła usta szminką.

Na dole napełniła czajnik wodą i uprzątnęła nieład na jakimś krześle, żeby Nat miał na czym przysiąść.

- No i? - odezwał się przyjaźnie. - Co tam u was słychać? Jak leci?

Opowiedziała mu o przyjeździe Felicity z Merlinem. I o tym, że Sailor właśnie zgubił podkowę, i że rachunki bankowe, dopóki nie zatwierdzą testamentu, zostały zamrożone. Słuchał jej uważnie, a ona złapała się na tym, że mówi mu więcej, niż zamierzała.

- No a Helena cały czas powtarza, że powinniśmy obdzwonić agentów nieruchomości i oszacować wartość Lorenden. Rzecz w tym - obracała w dłoniach kubek po kawie - że my, to znaczy tata i ja, nigdy tak naprawdę nie zastanawialiśmy się, co się stanie po jego śmierci. Nie spodziewaliśmy się, że to nastąpi tak szybko. Zostawił nam trzem wszystko do równego podziału, co oznacza, że będę musiała sprzedać dom i przenieść się gdzie indziej. I to właśnie teraz, kiedy Savannah ma zdawać egzaminy GCSE, kiedy Teddy ma szansę liczyć się w zawodach i...

Nakrył jej dłoń swoją dużą, silną dłonią.

- Wszystko się jakoś ułoży. Zawsze jest tak, że w końcu wszystko samo się rozwiązuje. Kiedyś pracowałem w banku, na eksponowanym stanowisku. Sama rozumiesz, władcy wszechświata i takie tam. Czeki z coroczną premią, która przypomina długością numery telefoniczne. Ale pewnego dnia zrozumiałem, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia. I rzuciłem pracę.

- Kiedy to było?

- Jakies sześć czy siedem lat temu.

- Nie wyglądasz na bankowca.

- Na kowala też chyba nie. Bramble się uśmiechnęła.

-Nie. Wyglądasz raczej jak... Sama nie wiem. Jak filozof. Czy jak dramatopisarz, z tych, co to mieszkają w Hampstead i tworzą w szopie na tyłach ogrodu.

- Filozof! - Roześmiał się. - No, może trochę. Nawet wdrażam w życie tę moją filozofię. „Jeśli zaczyna się od rzeczy, z którymi można sobie poradzić, to reszta stopniowo też przestaje się wydawać zupełnie niemożliwa”. Mam narzędzia w samochodzie i godzinę czasu do zabicia przed umówioną wizytą gdzie indziej. Może założę podkowę Sailorowi i rozwiążę przynajmniej jeden z twoich problemów? Nazwij to prezentacją moich umiejętności.

Bramble poczuła znajomy opór, jak zwykle, kiedy ktoś proponował jej pomoc. Przywykła do wymiany usług - dzięki temu wciąż jeszcze trwał jej cierpiący na niedobory gotówki jeździecki świątek - ale nie chciała niczego za darmo. Nie chciała zobowiązań. Popatrzyła w szczerą, otwartą twarz Nata i zniechęcała zmieniła zdanie.

- Dobrze ci w tym kolorze - powiedział, łagodnym gestem dużej, sprawnej dłoni dotykając rękawa sweterka, żeby podkreślić własne słowa.

- Dziękuję - odparła i pozwoliła tej dłoni tam pozostać, zanim odsunęła się i zaprowadziła Nata na dziedziniec.

- Sailor to koń pod każdym względem idealny, poza tym, że z jakiegoś powodu nie cierpi podkuwania, więc bywa przy tym trudny. Może próbować na tobie przysiąść.

Nat skinął głową i zabrał narzędzia z tyłu furgonetki. Kiedy już owinął się grubym, skórzanym, kowalskim fartuchem, nabrał typowego, krępego i solidnego wyglądu rzemieślnika, a Bramble poczuła przypływ zaufania.

Znów pokiwał głową i odczekał chwilę. Miał zastanawiającą umiejętność pozostawiania w bezruchu.

Sailor, pomyślała Bramble, zaraz sprawdzi, czy to dobry kowal, czy nie.

-Hm... - Pogładził konia. - Śliczny chłopak. No i dlaczego nie lubisz podkuwania? - Przesunął łagodnie dłonią po pysku i uszach Sailora, lekko mu dmuchnął w nozdrza, cały czas mówiąc do niego cicho, szepcząc jakieś miłe słówka. Ten parsknął i zaczął skubać wargami rękaw jego kurtki.

Nat pracował szybko i sprawnie, a Bramble złapała się na tym, że obserwuje jego ręce, zauważając ich siłę, łagodność, pewność... Potrząsnęła głową. Powinna się wyspać. Boże, jak strasznie chciało jej się spać! Sailor stał w kompletnym bezruchu, a po paru minutach przymknął oczy i oparł łeb o Nata.

- Masz magiczne ręce - stwierdziła Bramble z ulgą, choć w głębi duszy miała nadzieję, że dobrze mu pójdzie.

- No wiesz - powiedział. - Tacy właśnie są kowale. To magowie. A przynajmniej tak uważali starożytni. Święty Dunstan ułożył nawet modlitwę przeciwko „zaklęciom kobiet, czarownic i kowali”. Chociaż skończył jako patron kowalstwa.

- Co, wszystkich kobiet?

- Wszystkich kobiet - potwierdził Nat, zwracając się do kopyta Sailora. - W czasach pogańskich uważano je za niebezpieczne stworzenia.

- Co sprawiło, że postanowiłeś zostać kowalem? - Wciąż wydawał się nieodpowiedni w tej roli.

- Chciałem mieć w ręku jakiś porządny fach. Robić coś, co jest przydatne. Coś darzonego szacunkiem. Najpierw pracowałem w kuźni. No już! Podkowa gotowa. Czy ty wiesz - spojrzał jej prosto w oczy - jak wiele angielskich powiedzonek ma związki z kowalstwem? Kuć żelazo póki gorące, wykuwać lepszą przyszłość, być kowalem własnego losu... Przecież to wszystko rodem prosto z kuźni.

- Tak jak zakuty łeb? - podsunęła usłudźnie Bramble. Uśmiechnął się od ucha do ucha, szybko i sprawnie pakując swoje rzeczy.

- No, a czy ty sama nie jesteś jak iskra?

- Jak rozumiem, nie zmieniłeś zawodu z powodu paru utartych zwrotów?

- Nie. Po krótkiej praktyce w kuźni, gdzie robiłem meble z kutego żelaza i rzeźby, zrozumiałem, że wolałbym pracować z koźmi. Wydawało mi się, że to bardziej

praktyczne zajęcie. Komu tak naprawdę potrzebna jest do życia żelazna rzeźba?

- Nie wiem, jak to jest z potrzebami innych - powiedziała Bramble. - Ale zastanawialiśmy się nad upamiętnieniem ojca. Właśnie jakąś rzeźbą.

Pokiwał głową.

- Takie rzeczy są ważne, zgadzam się. Ale ja chciałem mieć zwyczajny fach. I teraz jestem tutaj. Na razie. A rzeźbą zajmuję się wyłącznie w wolnych chwilach.

Wyprostował się i podał Sailorowi miętówkę.

- Już po wszystkim, mój piękny. On wcale nie jest trudny!

Wyciągnęła rękę, chcąc poklepać Sailora po szyi, ale Nat przechwycił jej dłoń.

- Nadal nosisz obrączkę. Słyszałem o twoim mężu, bardzo mi przykro.

Bramble zrobiło się głupio.

- To już tyle czasu... Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby ją zdjąć. Wydawało mi się, że to coś... Tak jakby...

- Ze to prawdziwe pożegnanie? - Nat poszukał oczami jej oczu.

- Chyba tak. Teraz już się nad tym nie zastanawiam.

- Nadal ci go brakuje? Odwróciła głowę.

- Jego już nie ma. Całkowicie i kompletnie. Przez długi czas miałam wrażenie, że gdzieś się tu kręci, dosłownie za rogiem czy w pokoju obok, ale teraz... - Potrząsnęła głową.

Właśnie podjechał stary, sportowy wóz Jeza i zaparkował obok furgonetki Nata.

Bramble poczuła, że zmienia się atmosfera. Nat pochylił się, żeby zasunąć suwak torby, nie spoglądając w stronę przybysza.

A Jez wyskoczył z samochodu i popatrzył na kowala. Nat się wyprostował; przez chwilę mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Cześć, Jez - powiedział beznamiętnie Nat, odwracając się, żeby wrzucić torbę do bagażnika furgonetki. Zatrzasnął drzwiczki.

Jez miał taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zawrócił na pięcie i wszedł do domu.

- Przepraszam - powiedziała Bramble. - Jez bywa czasem nieco oschły.

- Wiem - odparł Nat. - Poznałem go wcześniej. Znaczy, zanim się tu przeniósł.

- O, a gdzie?

Nat wziął głęboki oddech.

- Posłuchaj, to nie moja sprawa. A plotek nie lubię. - Zaskoczył Bramble, na moment kładąc dłoń na jej policzku. -1 pamiętaj, proszę, skup się na załatwieniu tych spraw, które da się załatwić. I po prostu nie trać wiary.

Bramble pozwoliła sobie na tę odrobinę pociechy.

- Zadzwoń do mnie - dodał. - Kiedy tylko będziesz potrzebowała przyjaciela. - A potem wskoczył do furgonetki i odjechał.

Helena zerknęła przez okno i wściekła się, widząc, że Bramble stoi przed wejściem do domu w momencie, kiedy na podjazd podjechał jeszcze jeden samochód.

Wysiadł z niego główny rzeczoznawca z firmy Trott & Tanqueray. Helena szybko wybiegła przed dom.

- Bramble, nie zwracaj sobie głowy, ja się zajmę panem...?

- Edwardsem. - Wyciągnął do niej rękę.

Bramble zawahała się, ale na szczęście w tym momencie pojawiła się Donna. Przybiegła ze stajni, prosząc, żeby zerknąć na Chancera, u którego podejrzewała zapalenie ścięgna. Bramble szybko się ulotniła.

Pan Edwards złożył Helenie kondolencje, a potem porozmawiali chwilę o pogodzie i ogólnej sytuacji na rynku nieruchomości.

- Oprowadzę pana, dobrze? - zaproponowała. - A może ma pan ochotę na kawę?

Przy kuchennym stole Helena wyjaśniła, że są trzy egzekutorki testamentu.

- Ale wszystkie dobrze się rozumiemy, więc nie grożą nam żadne rodzinne sprzeczki, z jakimi na pewno niejednokrotnie mają państwo do czynienia.

Zgodnie z zapowiedzią oprowadziła agenta po całej posiadłości, szybko mijając zabudowania stajni, żeby Bramble nie miała okazji powiedzieć mu, że jeszcze nie podjęły decyzji co do wypuszczenia domu na rynek. Na ujeżdżalni zobaczyła Eddiego na Errolu i stwardniało jej serce. Trzeba koniecznie pozbyć się tego domu, zanim jej syn zdąży wbić sobie na dobre do głowy, że zostanie następnym jeźdźcem w rodzinie Beaumontów.

- I jak pan widzi możliwości przebudowy? - zapytała.

Pauline ubrała się starannie. Z przyzwyczajenia. Nie miało to teraz większego sensu, ale nigdy nie ruszała się z domu bez makijażu i nie zamierzała zapaść się i teraz. Nie tak jak Alan, który siedział właśnie w bawialni w swoim ulubionym fotelu. Chrapał w środku dnia, z otwartymi ustami i ubraniem w nieładzie.

- Może pani zerknąć na sir Alana? - zawołała do pani Dawkins. - Ja tylko na chwilę skoczę do stajni.

- Jasna sprawa, lady R. - odparła pogodnie pani Dawkins. - Proszę się o nic nie martwić.

Pani Dawkins była jedyną osobą, która miała pojęcie, jak nieobecny robił się ostatnio Alan, i pod pewnymi względami również jedyną, której Pauline naprawdę ufała, że nikomu tego nie rozpowie. Nie chciała, żeby ludzie o tym gadali ani żeby zaczęli wykreślać ich nazwisko z list zaproszonych gości.

Podjechała do Lorenden swoim małym, białym autkiem, zapragnęła bowiem dotknąć czegoś, co należało do Edwarda. Otrzeć się mimochodem o jego wiszącą w holu kurtkę albo niepostrzeżenie wziąć do ręki tweedową czapkę. Zastanawiała się, czy nie uda się jej wsunąć tej czapki do torby i zatrzymać. Żeby mieć nad czym płakać w tajemnicy.

A tak się świetnie razem bawili! Zdawało się, że zaledwie wczoraj podróżowała z nim do Aachen w Niemczech i do Holandii. I Francji. Przeprawiali się przez kanał promem, jak kierowcy ciężarówek, i jedli w kantynach dla transportowców, razem z dziesiątkami innych jeźdźców i stajennych, zmierzających w tym samym kierunku co oni.

- On mi zazdrości - powiedział Edward o jakimś tęgim, wojowniczym kierowcy tira, który zerkał na nich gniewnie znad swoich jajek z bekonem i egzemplarza „Su”. - Nie może pojąć, czemu otacza mnie tyle pięknych kobiet.

- Ale kiedy to mówił, patrzył wprost na Pauline, a ona wiedziała, że te słowa są przeznaczone wyłącznie dla niej. Wśród jeźdźców i stajennych były inne kobiety, zgrabniejsze, młodsze i ładniej od niej opalone, ale stanowiły wyłącznie stadko motyli. Ona i Edward, jako właścicielka konia i jeździec, a potem jako właścicielka konia i trener, byli ze sobą dłużej niż niejedno małżeństwo.

Zupełnie jakby to było w zeszłym miesiącu. A teraz wszystko się skończyło. Idąc przez hol w Lorenden, Pauline zdołała wsunąć do torebki jego ulubiony szalik

- poplamiony, kraciasty pas wełny. Nigdy w życiu niczego wcześniej nie ukradła.

- Bramble, kochanie, wszystko wczoraj poszło wspaniale! - zawołała z przejęciem, mającym ukryć zażenowanie. - Twojemu ojcu bardzo by się podobało. Jesteś naprawdę zmyślną dziewczyną.

- Och, prawie wszystko zorganizowała Helena - powiedziała Bramble, podnosząc się do powitalnego cmoknięcia w policzek. - Słuchaj, Pauline, chciałybyśmy, żebyś miała jakąś pamiątkę po ojcu. Może wybierzesz stąd coś dla siebie?

Twarz Pauline oblała się rumieńcem. Nie mogła się przyznać do szalika, to było zbyt zawstydzające.

- Och - westchnęła, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu inspiracji. - Ten mały zegar na półce nad drzwiami - powiedziała. - Pamiętam, że Edward nakręcał go

każdego niedzielnego wieczoru na znak, że pora kończyć imprezę i rozjeżdżać się do domów. - A kiedy Bramble zdejmowała z półki zegar - to naprawdę bardzo ładny bibelot, pomyślała Pauline - dodała, że miewali kiedyś sporo okazji do celebrowania.

- Właśnie to mi się kojarzy z twoim ojcem - powiedziała. - Świętowanie. Może ostatnio jakby nieco mniej...

Serce Pauline boleśnie uderzyło o żebra w przyspieszonym rytmie, bo zobaczyła, że do kuchni wchodzi ktoś jeszcze. Spróbowała wziąć głęboki oddech, unosząc dłoń do gardła, żeby się jakoś uspokoić, ale i tak miała wrażenie, że się dusi.

- Cześć, Pauline - odezwała się Felicity, i starając się nie obciążać nogi, przysiadła przy stole.

Pauline jakoś się pozbierała. Matka nauczyła ją, że nigdy nie należy okazywać swoich uczuć publicznie.

- Dobry wieczór, Felicity - powiedziała. - Nie widziałam cię wczoraj na pogrzebie.

- Nie. Przykra sprawa, ale nie zdążyłam.

- No cóż. - Pauline odzyskała oddech. - *Plus ça change*, jak mówią. Bramble, kochanie, nie mogę zostać dłużej, przepraszam. Chciałam tylko wpaść, by pomówić z Jeżem o przyszłym sezonie.

- Z Jeżem? - szybko spytała Bramble. - O przyszłym sezonie możesz pogadać ze mną.

- Jasne, jasne. Tyle że ty jesteś taka zabiegana... - Pauline wycofała się pośpiesznie. - Nie przejmuj się, pogadamy o tym bliżej początku.

I prawie wybiegła z tej kuchni, ledwie docierając do samochodu, gdzie wreszcie ugięły się pod nią nogi.

Możliwe, że właśnie dostała ataku serca, ale nawet jeśli, było jej wszystko jedno. Może właśnie tak umierał Edward: walące serce i płuca walczące o haust powietrza.

Jednak zanim dojechała do domu, poczuła się lepiej. Szybkim, zdecydowanym krokiem wmaszerowała do bawialni.

- Felicity wróciła! - zawołała. - A Bramble dała mi ten zegar na pamiątkę po Edwardzie!

Na ten nagły hałas Alan drgnął, a kiedy otwierał oczy, zatrzęsała mu się głowa. -Co?

- Felicity wróciła - powtórzyła Pauline już normalniejszym tonem.

- Edward się ucieszy - wychrypiał Alan.

- Edward nie żyje - syknęła. - Wczoraj byliśmy na pogrzebie.

- Naprawdę? - odezwał się Alan. - Szkoda. Wielka szkoda. Co robić? Bardzo przykro mi to słyszeć.

Pauline ledwie się powstrzymała, aby nie wybiec z pokoju. Jak ja go czasem nienawidzę!, pomyślała, ustawiając zegar na półce nad kominkiem i wspominając wszystkie szczęśliwe chwile, które odmierzał. Naprawdę nienawidziła Alana. I wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że on to robi specjalnie. Wyjęła z torby szalik i powąchała go, z trudem znosząc ból.

Tego dnia w Lorenden telefon dzwonił chyba już po raz setny.

- Halo? - powiedziała Bramble. - - O, cześć. Nat z tej strony.

Przez telefon jego głos wydawał się chropawy, przesiąknięty papierosami i zabarwiony jakąś nieznaną nutą. Tajemniczy. Celtycki.

- Hej, Nat - powiedziała, zastanawiając się, czy znów coś u nich zostawił. - Witaj.

- Ja... - odchrząknął. - Ja zastanawiałem się, czy nie miałabyś ochoty przyjechać i rzucić okiem na moją rzeźbę. Wystawiają ją w Emma's Gallery w Faversham, na West Street.

- Kiedy? - spytała Bramble, zaskoczona.

- W czwartek. O siódmej.

- Będzie mi bardzo miło.

- To jesteśmy umówieni. - Rozłączył się.

- O co chodziło? - spytała Savannah.

- Sama nie wiem - zastanowiła się Bramble, nadal gapiąc się w słuchawkę, jakby ta mogła jej wyjaśnić, czy istnieje chociaż minimalna szansa, że właśnie została zaproszona na randkę. Nie, na pewno nie. To zwykły wernisaż. Na pewno pozapraszał mnóstwo ludzi. A

- To dlaczego się uśmiechasz?

- Wcale nie.

Savannah zmarszczyła brwi.

- Chciałabym, żebyś przestała mnie traktować, jakbym miała trzy latka.

Bramble uznała, że nie ma ochoty na kolejną kłótnię.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam.

- Owszem, chciałaś - odparła zajadle Savannah. - Jakbyś nie chciała, tobyś tak nie robiła.

12.

Wzburzona Savannah wybiegła z kuchni. Helena poszła do gabinetu, żeby wykonać parę telefonów, i zostawiła Bramble z Felicity, spoglądające na siebie ponad stołem.

- Cześć - odezwała się Felicity, zapalając papierosa.

Starsza siostra, z jej wszystkimi egzotycznymi, ekstrawaganckimi pozami, które Bramble widywała przelotnie przez te wszystkie lata, zmieniła się teraz w siedzącą przy kuchennym stole, znużoną, z wyglądu całkiem zwyczajną kobietę.

- No cóż, tak. Hej. - Bramble czuła się niezręcznie. - Jak twoja stopa?

- Mam złamany paluch. - Felicity uniosła nogę i umieściła ją na drugim krześle, obracając się bokiem, chcąc choć na chwilę zmienić pozycję. - A przynajmniej jestem tego prawie pewna.

- Więc jednak szpital? - Bramble machnięciem ręki odpędziła od twarzy dym z papierosa Felicity.

- Może i szpital. Chociaż niewiele da się zrobić z takim złamaniem.

Spojrzały po sobie uważnie.

To jest ta siostra, co żyje życiem, które miało być moje, pomyślała Felicity.

To ta osoba, która zostawiła nas, kiedy jej potrzebowaliśmy, dumiała Bramble. Ta duża siostra, o której zawsze tyle słyszałam. Taka utalentowana. Taka paskudna.

- Staramy się w kuchni nie palić - powiedziała, znów machając dłonią przed twarzą. - Savannah miała skłonności do astmy, kiedy była malutka i...

- Zaczęłam palić tuż po twoich narodzinach - burknęła Felicity. Zgasiła niedopałek w kubku po kawie. Obrzydliwy zapaszek zawirował po wnętrzu, zatruwając powietrze.

- Naprawdę? Jak sądzisz, dlaczego? - Bramble podniosła się i zaczęła opróżniać zmywarkę.

- Nie wiem. Dom pełen dziecięcych fatałaszków, gdzieś w pobliżu mała istotka. Wszyscy się nad tobą trzęśli. Chyba pomyślałam sobie, że powinnam dość szybko wydorosnąć. W każdym razie, papierosy były też dobrym sposobem, aby pozbyć się Heleny, która w tamtym czasie zrobiła się mocno przyklepna.

Nie próbuj mi wmawiać, że to moja wina, pomyślała Bramble, tłukąc się po kuchni i odstawiając naczynia na miejsce. Wreszcie skończyła i zatrzasnęła drzwi od zmywarki.

- Chcesz zobaczyć Merlina? Łomocze w drzwi boksu i trochę hałasuje. Ale poza tym nic mu nie dolega. Jeśli chcesz go odwiedzić, mam na górze jakieś kule, mogę ci pożyczyć. To z czasów, kiedy złamałam nogę.

Bramble przyniosła kule, a Felicity wsparła się na nich i wyszła na zewnątrz.

- Nie wiedziałam, że miałaś złamaną nogę. Kiedy to było? - spytała, przystając dla złapania oddechu. - Tu wszystko nawet pachnie tak samo. - I aż boli, dotarło do niej. Boli, że tu wszystko nadal jest, jak było, a ją stąd wygnano! Z daleka od patchworku pól i rozproszonych kęp ciężkich od owoców zarośli.

Na dźwięk jej głosu Merlin wystawił zgrabny, ciemny łeb nad drzwiami boksu. Zarżał do Felicity i z ciekawością zerknął na Bramble.

- Merlin - szepnęła Felicity, głaszcząc go po czole. - Jak się masz, moje maleństwo?

- Twoje maleństwo - odezwała się Donna, przerywając na moment sprzątanie kupki nawozu i paru zabłąkanych źdźbeł siana - ma ciężki charakterek.

- Taa, no cóż - odparła Felicity. - Najlepsi bywają humorzaści.

- Co planujesz z nim zrobić? - spytała Bramble, przyglądając się siostrze kątem oka. Nawet w wytartych dzinsach i wsparta na kulach, Felicity miała w sobie magiczną aurę. Stała we władczej pozie, z pałającymi oczami i wyraźnie robiła na wszystkich wrażenie. Nawet ignorowane Mop i Muddle kręciły się u jej stóp i dopraszały się o pieszczoty.

-Planujesz... - powtórzyła Felicity. - Planujesz? Nie mogę powiedzieć, żebym doszła aż do tego etapu. Na razie usiłowałam tylko ratować mu życie. A potem dostałam mejla z wiadomością, że zmarł tata, nie miałam gdzie zostawić konia. Próbowałam dzwonić parę razy, tak przy okazji, ale zanim udało mi się odgrzebać numer... A potem nikt nie odbierał, a ja wolałam nie nagrywać się na sekretarkę. Wiesz, jak to bywa.

- Piękny jest - zadumała się Bramble, bo łatwiej jej było rozmawiać o Merlinie, niż wypytywać Felicity, gdzie się, do diabła, podziewała przez prawie całe jej życie. -1 całkiem młody.

- Ma cztery lata. Na wyścigach to starość. W Stanach jest tak samo jak tutaj - jeśli koń nie nadaje się do rozrodu, ludzie szybko się go pozbywają, kiedy przestaje się liczyć na torze - ciągnęła Felicity, z czułością gładząc Merlina. - Wyglądał beznadziejnie, kiedy go uratowaliśmy, po prostu jak zamorzona szkapa. Nie wiemy, jak długo biegał luzem, ale tak czy inaczej, opiekował się nim przede mną ktoś, kto nie miał zielonego pojęcia, jak karmić folbluta. Wydaje mi się, że po prostu puszczano go luzem na pastwisko i myślano, że to załatwi sprawę. - Westchnęła i popatrzyła na brunatnego, starego konia, przywiązanego parę bokсів dalej, który czekał cierpliwie, aż Donna skończy go czyścić. - To chyba nie Ben? Ukochany koń taty? To on nadal żyje?!

- Ma trzydzieści cztery lata - powiedziała Bramble z dumą. - Niewiele osiąga taki wiek.

Felicity pokuśtykała po bruku; kule rozjeżdżały jej się nieco na wyslizganych, gładkich kamieniach.

- Myślisz, że mnie pamięta? - Poglaskała Bena po grzywie. - Kiedyś pojechałam z tatą i Pauline, żeby go kupić.

- Pauline? - spytała Bramble. - To on kiedyś należał do niej?

- Nie, tata po prostu zawsze zabierał Pauline, kiedy jechał wybierać konie. Mówił, że ona ma do tego oko. - Felicity pocałowała Bena w pysk. - Biedny staruszek. Taki smutny.

- To było po śmierci mamy? - Bramble nie wiedziała, czemu ta informacja wzbudziła w niej nagle aż takie poczucie zagrożenia. Raczej trudno było nazwać ją nowiną. - Felicity, tak się zastanawiam... Kiedy tata i Pauline byli młodszy, myślisz, że oni...?

Felicity przystanęła.

- Bramble, zostaw tę sprawę. To się działo wieki temu, a oni już wszyscy nie żyją. Poza Pauline, oczywiście. Niech po śmierci mają spokój.

- Ale oni wcale nie mają spokoju - powiedziała Bramble. - Tata nie ma. - Wzięła głęboki oddech. - Tego ranka, kiedy umarł, widziałam skradającą się przez sad mgłę. Zupełnie jakby czegoś szukała. Nigdy się tak niczego nie wystraszyłam. To było, jeszcze zanim się zorientowałam, że on umiera. Nie wiem, jak wygląda zło, ale jeśli ono istnieje, to moim zdaniem właśnie tak jak tamta mgła...

- Wierz mi, zło nie przypomina mgły - powiedziała Felicity. - Widziałam je nieraz i mogę cię o tym zapewnić. Kiedy stąd wyjechałam, przekonałam się, że wszystko w Lorenden toczy się na maleńką skalę. To nic w porównaniu z horrorem wojny. Widywałam dzieci, którym poobcinano dłonie, z czystej nienawiści, i...

Bramble się zirytowała. Ze też Felicity zawsze musiała przyćmiewać innych.

- Tak, ja wiem, że mgły, która się skrada po naszym sadzie, nie da się porównywać z mężczyznami, którzy obcinają komuś ręce, ani z niewolnictwem, ani z bombardowaniami...

- Bo naprawdę się nie da.

- Ale ta mgła w jakiś sposób dopadła ojca po śmierci,

a ja mam poczucie, że musimy go odzyskać. Że on nie może zaznać spokoju.

Felicity roześmiała się krótkim, gorzkim śmiechem.

- No to go nie zazna. To jego problem, nie nasz.

- Wiesz, że próbował coś do ciebie powiedzieć, zanim zmarł?

- Nic mnie to nie obchodzi. - Głos Felicity brzmiał obojętnie. -

Miał całe trzydzieści lat, żeby mi powiedzieć, co tylko chciał. -

Felicity pomyślała o ich ojcu, człowieku nieustępliwym, kontrolującym się, pozbawionym empatii. - Daj spokój, Bramble. Jesteś jeszcze w szoku i wyobrażasz sobie różne rzeczy.

- To był dobry człowiek.

- Ja go pamiętam po prostu jako człowieka, który nie pozwalał, żeby cokolwiek sprzeciwiło się jego woli.

- Felicity. - Bramble nie była dłużej w stanie dusić w sobie zmartwienia. - Czy Helena ci powiedziała? Tata zostawił nam trzem wszystko po równo i wszystkie jesteśmy wykonawczyniami testamentu.

- Boże, ja nie dbam o pieniądze - ziewnęła Felicity. Zaczęła z powrotem kuśtykać w stronę domu. - Po prostu podzielcie to jakoś, jak chcecie, i dajcie mi to, co moje.

- To nie jest do końca takie proste. Helena chce jak najszybciej wszystko sprzedać. A ja nie - powiedziała Bramble, decydując się nie owijać niczego w bawełnę. - Potrzebuję czasu, żeby Savannah mogła skończyć szkołę. Muszę wyrobić sobie markę i skończyć z wizerunkiem pomocnicy ojca. Jeśli teraz zamkniemy działalność, będzie i mnie, i Savannah o wiele trudniej poradzić sobie

samodzielnie. To mój dom. Nie chcę natychmiast stąd wyjeżdżać.

- A ja mam decydujący głos? - Felicity przystanęła przy boksie Merlina i znów pogłaskała konia, a Bramble miała wrażenie, że twarz siostry chowa się za zatrząskiwanymi okiennicami. Przez kilka chwil Felicity wydawała się otwartą osobą, ale pytana o kwestie osobiste, wycofywała się natychmiast.

- No proszę - powiedziała Felicity. - Mamy niezły odlot. Tata naprawdę wiedział, jak między nami zamieszać, nie sądzisz?

- Moim zdaniem starał się postąpić sprawiedliwie

- zaprotestowała Bramble.

Felicity roześmiała się szorstko.

- Och, doprawdy? Ja tego nie kupuję. Obawiam się, że on się starał w ten sposób ściągnąć mnie z powrotem na łono rodziny. Manipuluje nami wszystkimi *zza* grobu, tak bym to określiła. Zawsze manipulował, kiedy jeszcze żył.

- Dlaczego ty jesteś na niego taka zła? Co on ci zrobił? Felicity przesunęła dłonią po włosach, a Bramble

nie zauważyła wczorajszego schludnego koka. Zupełnie jakby wracając do Lorenden, Felicity kompletnie się rozsypała.

- Nic nie zrobił. I to właśnie była część problemu.

- Trudno mi cię zrozumieć, kiedy mówisz zagadkami.

- Bramble usiłowała opanować irytację w głosie. - Powiedz mi, proszę. Co poszło nie tak?

Felicity westchnęła. - To było całe wieki temu. „Przeszłość to kubeł

popiołu", jak mówią. Carl Sandburg, taki amerykański pisarz - dorzuciła widząc, że Bramble marszczy brwi. - Noga mnie boli. Wracajmy do kuchni.

Bramble zastanawiała się, czy Felicity zawsze chowa się za cytaty, kiedy człowiek za bardzo się do niej zbliży.

- Zabiorę cię do szpitala, chcesz? - zaproponowała, kiedy Felicity kuśtykała do tylnych drzwi.

- Nie zawracaj sobie głowy. - Helena wystawiła głowę z okna gabinetu. Musiała je obserwować. - Mogę się tym zająć. Ty masz tyle roboty!

Helena i Felicity niemal cały dzień spędziły poza Lorenden. Helena zadzwoniła z wiadomością, że Felicity miała rację - paluch u nogi był złamany, a w szpitalu stwierdzono poza tym ogólne odwodnienie i wyczerpanie.

- Chcą ją zatrzymać na noc, ale ona się sprzeciwia, więc zabieram ją do domu - relacjonowała Bramble przez telefon. - Wrócimy pewnie na kolację.

Wieczorną stajnię obrobili wszyscy razem - Bramble, Jez, Donna, Eddie i Savannah, z pomocą Lottie.

- Macie ochotę na drinka? - spytała Donna, kiedy już odstawili miotły i oparli taczki rączkami o ścianę. Wśród zapadającego wieczoru w boksach rozległo się ciche, zadowolone żucie.

- Muszę zrobić kolację - powiedziała Bramble. - Ale dzięki.

Po Lottie Cecily Marsh-Robertson wysłała szofera. Savannah zawróciła do domu, wciąż rozpaczliwie

zmęczona. Bolało ją całe ciało i miała lekkie dreszcze po nagłym zastrzyku adrenaliny przy upadku, a potem jej powolnym odpływie. Na którymś z zatłoczonych kołków w holu znalazła jeszcze jeden sweter. Powinna była zająć się odrabianiem lekcji, ale miała zadane głównie rzeczy do przeczytania. Jeśli skuli się na którymś z foteli, skończy z tym szybko i niewykluczone, że większość uda się jej przypomnieć sobie w szkole.

Jej ulubiony fotel stanowił obity wyblakłym zielonym welwetem mebel, jeden z pary zwróconych w stronę wykuszowego okna. Tam miała swój kącik. Od małości zwijała się na nim w kłębek, żeby czytać i patrzeć latem na śmigające i zataczające koła nad trawnikiem jaskółki, zimą na deszcz, a na konie w oddali o każdej porze roku. Jedną z ciężkich, aksamitnych zasłon zaciągała za oparcie fotela, zamieniając go w swoją prywatną fortecę. To było zawsze świetne miejsce na kryjówkę. Umościła się tam teraz z opowiadaniem „Stary człowiek i morze”, najmniej podobającym jej się tekstem z listy lektur z angielskiego, i zapadła w drzemkę, z której wybudziły ją słowa Bramble, pytającej Helenę i Felicity, gdzie się podziała jej córka. Zanim zdążyła się odezwać, Helena odparła, że jej zdaniem, Savannah poszła na górę.

- O, to dobrze - powiedziała Bramble. - Bo nie chcę przy niej omawiać tych spraw. To bardzo ważne, żeby nie straciła poczucia bezpieczeństwa, zwłaszcza w roku egzaminów.

- Dzieci są twarde - odparła Helena. - Radzą sobie o wiele lepiej, niż jesteśmy gotowi przyznać.

- Nieważne - powiedziała Bramble. - To jej dom i nie chcę, żeby się martwiła.

- Musimy podjąć parę trudnych decyzji, Bramble - powiedziała Helena. - A one nie dotyczą wyłącznie Savannah. W każdym razie, powinniśmy zacząć. Uważam, że wszystkie jesteśmy zgodne co do tego, że trzeba podjąć wyważone, sensowne, długoterminowe postanowienia. Ze względu na nas wszystkie. - Savannah usłyszała szelest papierów i odgłos wygodnego sadowienia się przez trzy kobiety na parze wielkich kanap przy kominku.

- Rozpalimy, Bramble? - spytała Helena. Savannah usłyszała, jak matka wyraża zgodę, a potem zabrzmiały szmery towarzyszące rozpalaniu ognia.

- No dobrze - powiedziała Helena. - Sytuacja wygląda tak: przejrzałam nasze papiery, porozmawiałam z różnymi ludźmi i widzę parę możliwości. Po pierwsze, najwyższą cenę uzyskamy prawdopodobnie, sprzedając Lorenden deweloperom.

- Deweloperom? - spytała Bramble z niepokojem.

- Deweloperom, oczywiście. - W głosie Heleny zabrzmiała niekłamana satysfakcja. - Zysk znacząco wzrośnie.

- Bramble, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Po prostu posłuchaj - skarciła młodszą siostrę Felicity.

- Niemal na pewno uda nam się dostać zezwolenia budowlane na przebudowę stajni na, powiedzmy, cztery trzypokojowe domki. Starą powozownię też może dałoby się przerobić na mieszkanie. Jest parę drzew, które trzeba by ściąć, żeby ułożyć odpowiedni dojazd...

- Niektóre z tych drzew są pomnikami przyrody - powiedziała Bramble.

Helena wzruszyła ramionami.

- Szczerze mówiąc, czy ktoś się połapie, gdy je zetniemy? A nawet jeśli, to czymże jest niewielka grzywna w porównaniu z pieniędzmi, które możemy dostać za dom? Zwłaszcza że istnieje możliwość - acz niewielka

- że i to duże pastwisko po drugiej stronie drogi dałoby się wykupić i przeznaczyć pod zabudowę. Są, najwyraźniej, jakieś stare plany, na których widać, że kiedyś stały tam jakieś domki, zabudowania gospodarskie. Jeśli tak jest faktycznie, to za całość mogłybyśmy dostać ze dwa miliony funtów.

Bramble coś ścisnęło za serce.

- A co jeśli ani my, ani ktoś, kto to kupi, nie otrzymamy zezwolenia na dodatkową zabudowę mieszkalną?

- W jej głosie pojawiła się nutka szyderstwa. - Ile wtedy będzie warte Lorenden?

- No cóż, mówią, że ciut poniżej miliona. Ale Lorenden jest miejscem niezwykłym - miękko mruzczała Helena. - To bardzo ważne, żebyśmy doceniały wartość naszej schedy. Ludzie zapłacą każde pieniądze za tak niepowtarzalny zakątek.

- Ludzie zapłacą tyle, ile jest wart - wtrąciła szorstko Felicity. - Tak to zwykle bywa. I nie próbuj się łudzić w tej sprawie. Istnieje cena za stopę kwadratową, za akr kwadratowy, obowiązująca w tej części świata i, z którejkolwiek strony patrzeć, właśnie tyle przyniesie Lorenden.

- No cóż, trzeba przyznać, że jako posiadłość dla kogoś zamożnego, komu marzy się ucieczka z miasta,

Lorenden ma parę niewielkich wad - ciągnęła Helena. - Domki przy farmie, suszarnia chmielu i ta wielka stodoła już zostały sprzedane, a potencjalni nabywcy, ci z naprawdę dużymi pieniędzmi, nie lubią mieć sąsiadów w takiej bliskości. Na obecnym rynku najwyższe ceny osiągają posiadłości stanowiące zamkniętą całość, oferujące prywatność i zakwaterowanie dla personelu i tak dalej. - Westchnęła teatralnie. - Tata czasami bywał krótkowzroczny... Poza tym, Lorenden potrzebuje dość gruntownego remontu. Choć jak najbardziej nadaje się do życia, jest jednym z tych domów, w których jedna rozpoczęta przeróbka ujawni z miejsca całą masę niedociągnięć. To wymarzone miejsce dla wielu ludzi, ale z takim remontem realnie może się uporać tylko ściśle określony typ nabywców. Aha, i naturalnie można sprzedawać całość jako biznes jeździecki, ale dom jest chyba zbyt wiele wart. Ludzie, którzy chcą inwestować w stajnie, woleliby wyłożyć pieniądze na konie, nie na miejsce do mieszkania. Chociaż warto, oczywiście, wypuścić go próbnie na rynek jako posiadłość ze stajniami.

- Ale... - odezwała się Bramble. - Otrzymanie zezwoleń budowlanych, które pozwoliłyby sprzedać dom deweloperom, może i tak potrwać do dwóch lat. Tyle czasu musiał czekać tata, żeby przerobić na mieszkania tamte stodoły.

- Nie, na pewno nie tak długo - powiedziała Helena ostro.

Savannah usłyszała głęboki wdech, który oznaczał, że Felicity właśnie zapaliła papierosa i zaciągała się dymem.

- Jeśli chodzi o moje zdanie... - powiedziała, wypuszczając jednocześnie obłoczek dymu z ust. - Uważam, że to zbyt poważna decyzja, żeby ja podejmować w pośpiechu.

- Ale ja jestem przekonana, że to ważne, aby Bramble i Savannah polepszyły swój byt - pisnęła desperacko Helena. - Moim zdaniem, rozkwitną, kiedy wyzwolą się spod cienia ojca.

- Ale jeśli wyprowadzimy się teraz i zaczniemy wszystko gdzie indziej, zaprzepaścimy całą reputację Lorenden. A i część naszych właścicieli może się przenieść do innych stajni. - Bramble wzięła głęboki oddech. - Cały nasz dochód, taty i mój, pochodził głównie z udzielania lekcji i sprzedaży koni. Rezydenci utrzymują interes w ruchu, ale niewiele z tego zostaje dla nas. Za tym wszystkim stało nazwisko taty. Ja zawsze byłam traktowana co najwyżej jako jego asystentka. Teraz, kiedy go zabrakło, nikt nie będzie mnie cenił dla mnie samej, jeśli natychmiast zamkniemy biznes i otworzymy stajnię w innym miejscu. Savannah i ja po prostu znikniemy. Nie uda nam się przetrwać. Potrzebuję szansy, Savannah też jej potrzebuje. To nasz dom i nasza praca. Nie możemy tak po prostu się wynieść. Przecież nie musisz mieć pieniędzy natychmiast, prawda, Heleno? Ja zamienię Lorenden w rentowne przedsięwzięcie i, koniec końców, jego wartość *wzrośnie*. Wszystkie możemy być partnerkami.

- To miły pomysł - przeciągała słowa Felicity, zupełnie jakby utrzymywanie obu sióstr w napięciu sprawiało jej przyjemność. - **1** zgadzam się, że nie można cię stąd wyrzucić z dnia na dzień. Ale nie ma też absolutnie żadnego powodu, żebyś ty, Savannah czy któraś z nas

marnowała kolejnych kilka lat i zadłużała majątek. Ja nigdy żadnych pieniędzy nie miałam i radziłam sobie od jednego zlecenia czy czeku z wypłatą do drugiego, przez całe życie. Jak to wolny strzelec. Dla mnie to też wielka okazja, sama rozumiesz.

- Właśnie dlatego to takie ważne, żebyśmy nie podejmowały decyzji w pośpiechu - błagała Bramble. - Nie możemy, ot tak, wydać instrukcji agentom od nieruchomości i zwinąć interesu w jednej chwili.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Helena. - Jeśli powiadomimy agentów, doczekamy się oferty - a może nawet dwóch lub trzech - i znajdziemy się w sytuacji, która ułatwi nam podjęcie decyzji. Opartej na twardych faktach. Nie możemy siedzieć i czekać nie wiadomo na co. - Jej głos się zaostrzył. - A moim zdaniem, jeśli rzeczywiście chcesz prowadzić własny interes, im wcześniej to zrobisz, tym lepiej. Zresztą łatwiej ci będzie, kiedy zamieszkaż w domu prostszym w utrzymaniu. Jakiś niewielki wiejski domek czy nowoczesny bungalow dałby tobie i Savannah możliwość poświęcenia całego czasu koniom, bez martwienia się o stan rynien.

- Ja się nie martwię o rynny.

- To nawet widać - powiedziała Helena. - A tymczasem woda zalewa pomieszczenia i robi masę szkód.

- Na razie takie rynny, jakie są, wystarczą - powiedziała Bramble.

- Och, nie bierz wszystkiego dosłownie! Wiesz, o co mi chodzi. Dachówki, okna, zawilgocenia i inne takie. Lorenden potencjalnie wymaga rozlicznych napraw, a ty nie masz ani czasu, ani pieniędzy, żeby się tym zająć.

- Dom jest w porządku - upierała się Bramble. - Nie ma żadnego bezpośredniego zagrożenia. Oczywiście, trzeba go nieco odmalować i...

- To nie jest żadne „nieco odmalować”, to...

- Heleno! - wtrąciła się stanowczo Felicity. - Bramble. Proszę. Obie was proszę. Odchodzimy od tematu.

- To właśnie jest temat - powiedziała Helena.

- Pozwólcie mi coś powiedzieć - dodała Bramble. - Felicity przywiozła tu Merlina i nie ma pojęcia, co z nim zrobić. Daj mi dwa lata, Felicity, a wyszkolę tego konia.

- Dwa lata! - jęknęła Helena. - Przez tyle czasu wszystko się może zdarzyć, Bramble! Możesz stracić nawet więcej pieniędzy niż tata. Przecież, skoro jemu nie udawało się prowadzić stajni rentownie - a był jednym z najlepszych jeźdźców swoich czasów - to jakie ty masz na to szanse?

- Mam szansę - powiedziała Bramble. - Jestem bardziej praktyczna niż on. A jeśli Felicity chce, żeby Merlin miał jakąś przyszłość... No cóż, to może trochę potrwać. Konie wyścigowe muszą się nauczyć myśleć inaczej. Poza tym, nie wiemy, co się z nim działo, odkąd zszedł z toru.

Savannah nadstawiła uszu, czekając na odpowiedź Felicity. Ciotka na pewno miała zdanie o tym, co Merlin powinien robić w przyszłości.

- Przykro mi - odezwała się Felicity po chwili milczenia - ale mnie to wszystko nieco za bardzo przytłacza. Uważam, że na trochę powinnyśmy wyluzować. - Jej głos jednak wcale nie brzmiał tak, jakby było jej przykro,

i Savannah zastanowiła się, czy ciotka faktycznie nie jest taką wredną suką, za jaką wszyscy ją uważali.

- No cóż, wygląda na to, że zostałam przegłosowana. - Helena niemal krztusiła się gniewem. - Przynajmniej jeśli chodzi o jakieś realne działania. - Savannah chyba nigdy nie słyszała w jej głosie takiej złości. - Jeśli pozwolimy sprawom dryfować, stracimy pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Zwłaszcza jeśli trafimy na spadek cen.

- Jest wielka różnica między podejmowaniem pochopnych decyzji a toceniem się spraw - odparła Felicity z nutką irytacji w głosie. - Powiedziałam już, co myślę. Więcej nie mam nic do dodania.

Ale przecież nic nie powiedziałaś, prawda?, pomyślała Savannah. Niczego konkretnego. Rzuciłaś parę przebrzmiałych, hippisowskich frazesów.

- Jeszcze komuś kawy? - spytała Bramble, a Savannah pomyślała, że w głosie matki słychać napięcie. Niebezpiecznie bliskie łzy.

- Bardzo chętnie - mruknęły Felicity i Helena zgodnie, choć w głosie obu siostr słychać było zdenerwowanie. Zabrzęczały filiżanki i rozległ się odgłos nalewania.

- A skoro już jesteśmy przy Savannah - powiedziała Helena. - Bardzo ładnie teraz wygląda, kiedy zrzuciła nieco wagi. Powinnaś na to uważać, Bramble - wypluła z siebie zjadliwym tonem - i zadbać, żeby znów nie przytyła. Tusza to najgorsze, co może przytrafić się nastoletniej dziewczynie. Omija ją wtedy wszystko. Chłopcy, imprezy, zabawa...

Savannah ze strachu zrobiło się zimno i ledwie dosłyszała słowa matki, która wybąkała obronnym tonem,

że waga Savannah jest dokładnie taka, jak trzeba. Fakt, Bramble zawsze się za nią wstawiała i gotowa była opowiadać byle co, żeby tylko załagodzić sprawę; Savannah wiedziała o tym doskonale. Co z tego, kiedy trzy baby głądziły teraz tuż za jej plecami, a ona miała w głowie tylko jedno słowo: tłuszcz. Helena powiedziała, że jest tłusta! Savannah oczyma duszy zobaczyła swoją sylwetkę z okrągłym, białym, mięsistym brzuchem, dołeczkami na udach, pulchnymi łydkami, w bluzkach, które ledwie dawały się dopiąć w biuście, i z podwójnym podbródkiem. Grubas. To jasne, że łez - ani nikt inny - nigdy nawet na nią nie spojrzy!

- O Boże, ten dokument musi być poświadczony naszymi podpisami - powiedziała Felicity. - Jest tu gdzieś Jez?

I wszystkie trzy wyszły, a Savannah, ze wstydu ledwie zdolna unieść głowę, wyslizgnęła się z pokoju i poszła na górę. Położyła się na swoim łóżku i wbiła wzrok w sufit. Gruba.

Dziadek przecież powiedział, że teraz wszystko zależy od niej samej. Musi zacząć wygrywać w zawodach, żeby można było utrzymać konie i żeby matka nie musiała rezygnować z biznesu. A ona musi się dowiedzieć czegoś więcej o dietach. Opuściła parę posiłków i nieco straciła na wadze, ale zdarzało jej się nadrabiać zaległości; pochłaniała z wilczym apetytem wielkie kawały chleba grubo posmarowane masłem i dżemem albo wsuwała całe pudełko herbatników, po dwie sztuki naraz. Raz poczuła taki głód, że zaczęła jeść mrożony groszek - jedyne, co udało jej się znaleźć - bez rozmrażania, zupełnie jakby

to były lody. Tak, ona, Savannah Kelly, musi dokładnie dowiedzieć się, jak zacząć porządnie chudnąć! Przeczyta wszystko na ten temat i zostanie najlepszą dietetyczką pod słońcem.

Zza drzwi dobiegło ją stłumione szczeknięcie. Darcy chciał, żeby go wpuścić, ale był zbyt dobrze wychowany, żeby rozszczekać się w głos. Kiedy mu otworzyła drzwi, wśliznął się do środka z uśmiechniętym pyskiem, wymachując ogonem z boku na bok. Savannah pogładziła czubek jedwabistej psiej głowy. Jego nie obchodziło, czy jest gruba, czy nie.

- Uda nam się - szepnęła do psa. - Uda.

Następnego ranka Helena zajrzała do kuchni.

- Gdzie jest ten mały zegar, który kiedyś stał na półce nad drzwiami? - spytała dobitnie.

- Dałam go Pauline - odparła Bramble.

- Co takiego? - krzyknęła Helena. - To jedna z niewielu rzeczy w tym domu, które naprawdę miały jakąś wartość. - Złapała się za głowę. - Idiotka! Kompletna, totalna idiotka! Przecież on był wart mniej więcej trzydzieści tysięcy funtów! Musisz go natychmiast odebrać. Powiesz, że się pomyliłaś, albo że kiedyś należał do ciotecznej babci Edny. Cokolwiek!

Bramble zbladła.

- Zaproponowałam Pauline, żeby wzięła sobie coś na pamiątkę po tacie, a ona wybrała ten zegar. Przykro mi, że był taki cenny, ale nic nie mogę na to poradzić.

- Możesz. Możesz pojechać i poprosić o jego zwrot. Pauline się nie obrazi, jest niesłychanie zamożna.

- Nie zrobię tego.

- Och, rozumiem. Pauline to najważniejsza z właścicielek koni w twojej stajni i nie możesz jej obrazić. Dlatego Felicity i ja musimy stracić po dziesięć tysięcy funtów każda? I jeszcze może zapłacić od tego podatek spadkowy?!

- Pauline to wieloletnia przyjaciółka...

- No cóż, jeśli ty nie pojedziesz i go nie odbierzesz, sama to zrobię - oświadczyła Helena.

- Nie! Zabraniam ci! Felicity, chyba się ze mną zgodzisz?

Felicity siedziała przy kawie.

- Nie mieszajcie mnie do tego. Nie wróciłam tu, żeby rozsądzać wasze kłótnie.

Dwie pary oczu patrzyły na nią w milczeniu.

- Nie bawię się w żadną starszą siostrę, co to przyjeżdża i wszystkimi się opiekuje, zapomnieliście już? Nie robiłam tego po śmierci mamy i teraz też nie zacznę. Oficjalnie nie nadaję się do niczego, jestem całkowicie nieodpowiedzialna i zepsuta do szpiku kości.

- Nie wygłupiaj się. Sprawa też dotyczy ciebie - powiedziała Helena. - To w jednej trzeciej twój zegar.

Felicity zrobiła zdziwioną minę.

- To zegar taty.

- Taak - potwierdziła przeciągle Helena, jakby zwracała się do dziecka. - Ale tata teraz nie żyje, więc zegar był nasz. A Bramble oddała go komuś bez naszej zgody.

Bramble zauważyła, że Felicity zaczyna panikować jak koń, któremu wydaje się, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, i zaraz zacznie wierzgać, sprowadzając tym na siebie znacznie większe niebezpieczeństwo.

- Felicity - odezwała się. - Naprawdę nie ma sprawy. Nie musisz odgrywać wobec nas starszej siostry ani się nami opiekować, ale to po części rzeczywiście twój zegar, więc masz prawo wypowiedzieć się, czy wolno mi było oddawać go Pauline, czy nie. A jeśli nie, to co powinnyśmy z tym wszystkim zrobić.

W oczach Felicity znów zatrzęsnęły się okiennice.

- Posłuchaj... Do was obu jakoś nie może dotrzeć, że mnie nic nie obchodzi, co się tutaj dzieje! - Ostatnie słowa wykrzyknęła tak głośno, że Bramble pomyślała, iż ją obchodzi wszystko. I to chyba bardzo.

- Felicity... - zaczęła uspokajającym tonem, jakim mogłaby się zwracać do Sailora, kiedy ten boi się głośno szeleszczącej papierowej torby. - Felicity, nic się nie stało. Rób, jak uważasz. - Słowa nie miały znaczenia, liczył się wyłącznie ton głosu. Bramble nie spuszczała wzroku z siostry, aż ta wreszcie wstała. Razem ze swoją kawą.

- Och, pieprzyć to wszystko. Heleno, zegar zostaje u Pauline - powiedziała. A potem wyszła i zatrzęsnęła za sobą drzwi.

- Dlaczego nikogo w tej rodzinie nie mogę przekonać do rozsądku w kwestiach finansowych? - Helena była tak rozgniewana, że ledwie mogła mówić, choć bardzo starała się ukryć emocje. Nie miała zamiaru godzić się na to wszystko. Wykluczone. Postanowiła przemyśleć to sobie dokładnie i coś zrobić, zanim okaże się, że te jej siostrzyczki ograbią ją z jej dziedzictwa. Udział w stajni, która nigdy nie przyniesie żadnych zysków, był do pominięcia.

Felicity niczego jej nie ułatwiała, zresztą nigdy nie można było na nią liczyć. Helena zapamiętała ją jako boginię, która czasami dopuszczała ją do konfidencji, pokazując nowe ciuchy, które sobie kupiła, a innym razem zatrzaskiwała jej przed nosem drzwi swojego pokoju. Kiedy urodziła się Bramble, Helena poczuła się odepchnięta. Była już spora i dostrzegła intymny związek matki z maleństwem i to, że matka popatrywała na nią z irytacją, ilekroć próbowała się do niej tulić w poszukiwaniu czułości. Biegła wtedy do Felicity, ale ta znikwała w odległym, niedosięglym świecie, który miał coś wspólnego z chłopakami, imprezami i paleniem papierosów. Helena została wtedy wykluczona całkowicie - i z pokoju dziecinnego, i z zabawy. Teraz miała to samo wrażenie; ostatnio zresztą towarzyszyło jej ono permanentnie w drodze na plan „Drogi Simona”. Zaczynała ją dusić panika.

Naprawdę, za dużo wszystkiego! Kiedy umierają rodzice, większość ludzi po prostu sprzedaje, co zostało, i dzieli kasę. To zupełnie proste. I to właśnie powinno zdarzyć się tutaj.

Ona miała na głowie zdjęcia do serialu, Ollie powinien wracać do pisania, Eddie zaś - który wyraźnie zaczynał nawiązywać bardzo niepożądaną przyjaźń z tą kokietką Donna - nie powinien opuszczać więcej szkoły. Muszą stąd wyjechać. Już. W tej minucie.

- O wiele lepiej ruszyć, zanim drogi zdążą się pozatykać - powiedziała rozdrażniona, usiłując zmobilizować swoich mężczyzn. - Eddie! - Ponagliła go przy stajni, ale on nie zamierzał się śpieszyć

- Mamo. - Dotknął jej ramienia. <- Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Nie teraz, Eddie, nie teraz.

- Tu chodzi o szkołę. Jednak przystanęła.

- Zadzwoiłem w parę miejsc. Mógłbym chodzić do tej samej szkoły co Savannah. Już od przyszłego tygodnia. I mógłbym tu zostać. Jestem pewien, że Bramble się zgodzi. Musiałbym nadrobić tylko parę tygodni zajęć z tego semestru i mógłbym im tutaj pomóc. To najlepsze rozwiązanie. Skoncentrowałbym się i pouczył bez tego całego londyńskiego zamieszania i...

- Czyś ty oszalał? Kompletnie oszalał?

- Nie, mamo, ja naprawdę chciałbym tu zostać i...

- Czy ty w ogóle masz pojęcie - ziała gniewem Helena

- ile wyrzeczeń kosztowała mnie twoja edukacja? I teraz chcesz to wszystko zaprzepaścić dla jakichś koni?!

- Uniosła dłoń. - Nie! Nie przerywaj mi. Ja wiem, że mówimy o koniach i o tym twoim wariackim marzeniu o jeździectwie. Czy to pomysł Bramble? Może ona nie ceni sobie wykształcenia, ale to jeszcze nie powód, żeby ciągnęła ciebie w dół! Za sobą!

- Nie, to mój pomysł. Zadzwoiłem do szkoły Savannah i...

- Szkoła Savannah to szkoła państwowa. Ty chodzisz do jednej z najlepszych londyńskich szkół prywatnych. Nie ma czego porównywać.

- Uniwersytety chętnie przyjmują studentów po państwowych szkołach - zaprotestował Eddie, trochę już dochodząc do siebie po początkowej tyradzie Heleny.

- Nie próbuj mi pyskować, młody człowieku! Wsiadaj do samochodu, ale już! Nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa więcej.

Ollie złośliwie szturchnął Eddiego w ramię.

- Chłopcze, wyczucie czasu to podstawa. Zapamiętaj tę ważną życiową lekcję.

- Ale mammo...

Helena spiorunowała go wzrokiem tak wściekłym, że ucichł. Obejrzała się na męża.

- Ollie, możesz prowadzić, czy ja mam jechać? Byłeś w pubie?

Ollie wzruszył ramionami.

- Trochę się rozglądałem po okolicy. Trafiłem na wspaniałego staruszka, niesamowitą kopalnię informacji. Mógłbym całymi dniami siedzieć w Muzeum Wojny i nigdy bym nie zgromadził takiego fantastycznego materiału! A wszystko za parę szklaneczek brandy...

Oczy Heleny stwardniały jak landrynki.

- Brandy. No pięknie. Ja prowadzę. - Westchnęła. - Czasem mi się wydaje, że wszystko jest na mojej głowie.

- Bo nie rozumiesz - powiedział Ollie - na czym polega praca pisarza. Musimy chwycić kontakt z ludźmi, z ich uczuciami i wspomnieniami... Nie da się tego zrobić w pięć minut przy filiżance herbaty. Trzeba inwestować w ludzi swój czas.

- Dziwię się, że po tych twoich paru drinkach mają jeszcze jakieś wspomnienia - odpaliła Helena. - Bramble, kochanie, bardzo ci dziękuję za wszystko. I do usłyszenia. Niedługo. - Gestem pokazała, że odezwie się telefonicznie.

Ollie zerknął na Bramble i przewrócił oczami, kiedy silnik zawył, bo zirytowana Helena zwiększyła obroty.

- Jaśnie pani kiepsko powozi, nieprawdaż? - Pomachał ręką. - Cześć, kochana. Było uroczo.

Samochód ruszył ostro. Sądząc po kącie nachylenia głów i gwałtownych, ostrych gestach dłoni, widać było, że pasażerowie nadal się sprzeczą. Bramble pomachała im, kiedy znikali już za zakrętem. Nie знаła pary, która lepiej uosabiałaby powiedzenie: „Życ bez siebie nie mogą, a ze sobą nie umieją”. W przypadku każdego niemal innego stadła najmniejsza z tych kłótni doprowadziłaby do rozwodu. Kiedy jednak zanosilo się na to, że jedno z nich zeżli się na dobre i odejdzie, Helenie i Olliemu wystarczyło porozumiewawcze spojrzenie i za moment byli jak dwójka nowożeńców. Bramble spodziewała się, chociaż może nie do końca, że siostra z mężem będą tak trwali wiecznie, wrzeszcząc na siebie wzajemnie do dziewięćdziesiątki.

Tyle dobrego, że Felicity znów była na łonie rodziny... Teraz Bramble musiała ją tu tylko zatrzymać. Słowa: „Nie bawię się w żadną starszą siostrę”, przywołały niejasne wspomnienie o jakiejś kobiecie mówiącej: „Skoro Rose nie żyje, Felicity zapewne powróci teraz do domu, Edwardzie, żeby pomóc ci opiekować się Heleną i Bramble?”. I twarz ojca, zastygła i mocno pobladła, kiedy odpowiadał, że raczej się tego po najstarszej córce nie spodziewa, bo to zupełnie nie w jej stylu.

- Życie to twardy orzech do zgryzienia, ale trzeba pozwolić młodym ludziom radzić sobie z nim samodzielnie.

Wie pani? - A potem udało mu się lekko roześmiać i zmienić temat.

Gdyby Felicity została, mogłyby wspólnie spłacić Helenę.

Na rozciągniętych pomiędzy stajniami a domem przewodach siadały rzędami jaskółki, szykując się do odlotu na zimę, rozpychając się i wzlatując w powietrze, a potem znów przysiadając w innym miejscu. Czekala je długa i niebezpieczna podróż, a niektóre z nich miały jej nie przeżyć.

Bramble zadrzała i czym prędzej weszła do środka. Może któregoś dnia uda jej się przyjąć do wiadomości, że i ona będzie musiała opuścić swój dom. Ale jeszcze nie teraz.

13.

O siódmej rano w sobotni poranek spóźniona Bramble szarpnięciem otworzyła boczne drzwi koniowozu i zaczęła wyciągać różne pudła w poszukiwaniu haceli. To były ostatnie zawody sezonu, niewielka lokalna impreza w majątku Fordham Castle, na którą zabierała Savannah, Lottie, Donnę i cztery konie.

Koniowóz był jej domem od marca - jak każdego lata - i chociaż bardzo starała się w schludnie poustawianych skrzynkach utrzymać względny porządek, panował w nich już posezonowy chaos, unoszący się nad nimi niczym niemiły zapaszek. Hacele, wkręcane w podkowy koni, żeby zapobiec ślizganiu, powinna była znaleźć w małym plastikowym pudełku w skrzynce oznaczonej literą H, ale tam ich nie było. Po wewnętrznej stronie drzwi Bramble przykleiła wydrukowaną listę, która zaczynała już od nich odłazić, wyraźnie oznaczającą, co powinno trafiać do każdego pojemnika. W skrzynce H trzymała różne typy haceli razem z kluczem, który służył do ich wkręcania, zestaw do szycia był pod S, derki

pod D, popręgi pod P, gąbki pod G, skrobaki też pod S... Wszystko trafiało do pudła z odpowiednią literą.

Jak widać, nie zawsze. Wdrapała się do szoferki i otworzyła schowek na rękawiczki, gdzie znalazła tylko na wpół zjedzony batonik Crunchie i parę zabazgranych kartek papieru. Przejrzała je z nadzieją (płonną), że ojciec mógł tam zanotować coś istotnego. Znalazła kilka jedwabnych wstążek w kolorach Beaumontów - liliowy i zielony - powciskanych pod materace albo zwiniętych pod poduszkami, i pozbierała je razem, żeby je uprać i wyprasować na czas, gdy ktoś z ich stajni znów będzie uczestniczył w crossie. Poszukała w mieszkalnej części koniowozu, otwierając szuflady w maleńkiej kuchence, odsunęła głęboką komorę pod kanapą, która po rozłożeniu stawała się spaniem Edwarda, i znalazła trochę różnych rupieci, z których część nadawała się do wyrzucenia, ale żadnego pudełka z hacelami. Nad kabiną kierowcy znajdował się wielki podwójny materac, na tyle duży, że mogły spać na nim obie z Savannah. Nie wiedzieć czemu, w jego okolice trafiały przeróżne drobiazgi. Zajrzawszy do pośłania, Bramble wyciągnęła stamtąd jeszcze kilka kłopotów. Westchnęła. Jakiś kantar, na litość boską! I halsztuk Savannah. Ten rodzaj białej chusty, wiązanej na zawody, miał zwyczaj znikać pod poduszkami i na dnie toreb, i Savannah często jęczała z rozpaczą, kiedy znajdował się, pognieciony i niechlujny, sekundy przed jej pojawieniem się na padoku, gdzie prezentowano konie. Bramble westchnęła ponownie.

Sprawdziła jeszcze ciasną kabinę prysznicową i pomieszczenie toalety, wyrzucając prawie pustą butelkę po

szamponie i zeschniętą, poznaczoną czarnymi żyłkami resztkę mydła. Nigdzie żadnego pudełka z hacelami. Przydałoby się tu porządne sprzątanie przed zimą, ale nie miała na nie czasu.

Czas. Czas. Czas ani na chwilę nie dawał jej spokoju. Czasem Bramble śniło się, że jedzie wiele mil na zawody tylko po to, żeby na miejscu przekonać się, że coś niezbędnego zostawiła w domu. W tych snach pakowała się i przepakowywała, ale nigdy nie udawało jej się z tym uporać. Chwilami wybudzała się, docierało do niej, że to sen, a potem znów zapadała się w ten niekończący się wyścig z czasem. Z natury nie należała do osób drobiazgowych, ale konieczność zmusiła ją do wyrobienia w sobie skrupulatności, do wielokrotnego sprawdzania całego sprzętu przed i po każdej imprezie, do naprawiania i wymieniania każdego elementu wyposażenia, kiedy tylko zaczynał się tego domagać. Uziemiała ją ta ciągła precyzja, ta świadomość, że jeśli nie zrobi czegoś porządnie - jeżeli zabierze niewłaściwe rękawiczki i wodze będą się ślizgać w dłoniach jeźdźca w ulewnym deszczu - konsekwencje mogą być nieobliczalne. A nawet jeśli nie będą straszne w skutkach, to mogą oznaczać różnicę pomiędzy zajęciem punktowanego miejsca a totalną przegraną. A jeśli zbyt często się nie wygrywa.

Donna jeszcze nie przyswoiła tej lekcji.

- Donna! - krzyknęła Bramble. - Donna, masz gdzieś hacelę?

Donna pochylała się właśnie nad nogą jednego z koni, mocując bandaż.

- Chyba włożyłam pudełko do swojej torby.

- No to nie rób tego! - rzuciła ostro Bramble. - Odkładaj rzeczy na miejsce. - Zatrzasnęła boczne drzwi i weszła po rampie, sprawdzając, czy siodła, ogłowia, siatki na siano i derki ułożone są jak trzeba w schowku za częścią mieszkalną. Nie mogła zdać się na Donnę, bo skończyłoby się na tym, że nie wzięłyby czegoś naprawdę ważnego, na przykład któregoś siodła.

- Wszystko sprawdziłem - powiedział Jez. - Ładować konie? Bramble przystanęła. Czy on ją krytykuje? A może uważa, że to ona krytykuje jego poczynania? Czyżby głupiała ze zmęczenia i nadmiaru obowiązków? Popatrzyła na niego, bo nie przychodziło jej do głowy nic do powiedzenia.

- Tak - wykrztusiła wreszcie. - Już. Czas nas goni. -1
zawróciła do kuchni, gdzie Felicity marszczyła brwi, patrząc w swój kubek z kawą.

- Na pewno nie chcesz z nami jechać?

- Z tym czymś? - Felicity wskazała kule. - Nie ma mowy.

Bramble westchnęła. Felicity zdawała się zła na cały świat. Mogła przecież przynajmniej postarać się być miła.

Stojące na dziedzińcu konie, z elegancko zaplecionymi grzywami, wiedziały, co się święci. Parskały niecierpliwie. Tegan aż wspięła się na tylne nogi, kiedy Savannah chciała zaprowadzić ją w stronę wozu. Lottie oprowadzała w kółku niespokojnego Sailora, a Donna szybko zaplatała od nowa grzywę zbyt rozbrykanego Chancera

Kiedy wreszcie Tegan, prowadzona przez Savannah, pędem wbiegła po rampie, stukając kopytami, a za nią Lottie z Sailorem, koniowóz zatrząsł się na boki. Siatki z sianem zostały podwieszane, Donna i Jez wprowadzili do środka dwa pozostałe wierzchowce i dziewczynki wskoczyły na podniszczoną skórzaną tapicerkę siedzeń w szoferce, obie blade z podniecenia. Mop i Muddle, które nie cierpiały, kiedy coś je omijało, z typowym dla terierów entuzjazmem wpakowały się Savannah i Lottie na kolana tuż przed zatrzaśnięciem drzwiczek, opierając łapy na desce rozdzielczej, i z zapalem wystawiając szurpate pyski w dal, oczekiwały podróży. Wszyscy - psy, konie, dziewczęta - wiedzieli, że jadą na zawody. Wszystkich przebiegały nerwowe dreszcze.

Ruszając powoli, Bramble zobaczyła na pastwisku Bena, który smutno spoglądał w ślad za oddalającym się koniowozem. Kiedyś całe to zamieszanie i przygotowania skupiały się właśnie na nim... Kościste konisko z przygnębieniem zwiesiło łeb.

- Mufinkę? - spytała Savannah, puszczając torbę w kółeczko. Bramble wzięła sobie jedną, ale Lottie tylko uśmiechnęła się bladym, spiętym uśmiechem.

- Nie, dziękuję.

- Denerwujesz się? - spytała Bramble. Dziewczynka pokiwała głową.

- Troszeczkę. Nie chcę zawieść Sailora.

- Nie martw się o niego. To gwiazdor. Obojgu wam nic nie brakuje!

- Mama przyjeżdża - wyznała Lottie. - Z moim ojcem

chrzestnym i jego dziewczyną. I ze swoim nowym przyjacielem. Zrobią sobie piknik.

No, nic dziwnego, że Lottie jest taka spięta. Cecily nigdy przedtem nie przyjeżdżała popatrzeć, jak córka startuje w konkursie.

- Mówi, że chce zobaczyć, jak wygrywam. Bramble miała ochotę powiedzieć Cecily, że jeśli chce

ogłądać zwycięstwa córki, powinna jeździć na każde jej zawody. Wprawdzie Lottie i Sailor dobrze sobie razem radzili, ale nigdy nie należeli do żelaznych faworytów. Wóz albo przewóz, wszystko się mogło zdarzyć.

- No cóż, to miłe, prawda? - zasugerowała. Bielutka buzia Lottie wskazywała, że raczej wprost przeciwnie.

Niewiele ponad pół godziny później wjechały na otwarte pastwisko i zaparkowały na końcu nierównego rzędu koniowozów i samochodów z przyczepami dla koni. Były różne, od zgrabnych, błyszczących naczep na sześć zwierząt, po stare, domowym sposobem przerobione ciężarówki do przewozu bydła i brudne przyczepki. Trudno było trafić na dwa identyczne pojazdy, więc łatwo było odszukać przyjaciół. I wrogów.

- Co tu robi Toby Fitzroy? - Bramble nachmurzyła się na widok potężnej bladoniebieskiej ciężarówki z napisem: „Toby Fitzroy Zawody Jeździeckie”, wymalowanym wielkimi literami na obu burtach. - Zwykle nie interesują go zawody dla młodych jeźdźców. To dziwne, że zawraca sobie głowę taką imprezą.

- Może będzie jechać któryś z pracujących u niego uczniów albo jakiś stajenny - podsunęła Savannah.

Wokół Fordham Castle rozciągał się falisty patchwork zieleni i brązów wzgórz; nad ożywioną okolicą coraz wyżej wzbijał się jakiś skowronek. Matki zawodników wbiegały szybko do koniowozów i jeszcze szybciej z nich wracały, poprawiały hacele w podkowach, prostowały splecione grzywy. Udzielały ostatnich wskazówek. Jedna oprowadzała na lonży w koło jakiegoś trudnego kuca, a inna, przykucnąwszy ze stoperem w rękę, przeprowadzała ostatnią próbę ujeżdżenia. Jakiś koń zarżał na powitanie przyjaciela, zagłuszając warkot silnika kolejnego koniowozu. Mop i Muddle, przywiązane na smyczach przy samochodzie, szarpały się niecierpliwie. Ich życiowe motto brzmiało: „Tak wiele psów, tak mało czasu”. Było tu tyle terierów do obszczekania, retrieverów, które należało starannie obwąchać, lurcherów, nad którymi można się było poznać...! Przez tylną szybę jakiegoś kombi wyglądała nawet smętna para seterów.

Podjechał Jez. Przystanął tuż przed maską koniowozu i wysiadła z niego rozgadana Donna. Lottie w milczeniu wyprowadziła Sailora i zajęła się koniem bez słowa, sprawnie nakładając mu ogłowie i siodłając go, podczas gdy Donnie udało się znów posiać gdzieś hacele, a Savannah dostała ataku paniki przy wiązaniu halsztuka. Bramble, która przywykła do dzielenia swojej uwagi pomiędzy szykowanie koni i uspokajanie dziewczyn, uświadomiła sobie, że Jez we wszystkim wyprzedza ją o krok. Gdy skończyła wkręcać hacele w podkowy Tegan, zorientowała się, że Jez zdążył w tym czasie

zając się obydwoma pozostałymi końmi i w zaledwie parę sekund zawiązał halsztuk pod zaróżowioną buzią Savannah.

Lottie miała właśnie zacząć rozgrzewać Sailora przed dresażem, kiedy pojawiła się Cecily Marsh-Robertson w srebrzystym porsche o przyciemnianych szybach. Zaparkowała tuż za koniowozem.

- Musimy tędy wprowadzać i wyprowadzać konie - sprzeciwiła się Bramble. - Nie, z boku też nie, bo tam je przywiązujemy.

- Mogłabym przestawić samochód Jeza, a oni zaparkowaliby z przodu - zaproponowała Donna. - To znaczy, o ile Jez się zgodzi, oczywiście.

Cecily rzuciła mu olśniewający uśmiech.

- Bardzo pan uprzejmy, doprawdy. Bramble nie była przekonana, czy ma ochotę, żeby Cecily kręciła jej się pod nosem, zwłaszcza kiedy zobaczyła łysiejącego mężczyznę w wojowniczo modnych okularach przeciwsłonecznych, który wyciągnął z bagażnika ciężki kosz piknikowy i zabrał się do rozstawiania składanych krzesełek, idealnie blokując dostęp do koniowozu.

- Musimy tędy przeprowadzać konie - powiedziała Bramble z naciskiem.

Między brwiami Cecily pojawiła się głęboka zmarszczka. - No to gdzie, twoim zdaniem, możemy usiąść?

Kiedy Bramble poustawiała już ich krzesła, Cecily wymruczała parę słów prezentacji, machając dłonią w jej stronę. Bramble wiedziała, że Cecily uważa ją za kogoś w rodzaju służby, której płaci się za to, żeby robiła, co się jej każe, i nie mówiła za dużo. Mężczyzna, Matthew,

skinął jej nieuważnie głową i ledwie na nią spojrzął, wbijając wzrok w zamek Fordham.

- Piękna okolica - mruknął.

- Mhm - powiedziała Cecily. - Popatrz tylko, Bramble naprawdę mieszka w tym koniowozie, kiedy podróżuje na konkursy jeździeckie, mam rację? Spójrz, Matt, wyobrażasz to sobie? Jej ojciec sypiał w tym koniowozie jeszcze w latach sześćdziesiątych!

Ku wściekłości Bramble oboje wpakowali się do mieszkalnej części.

- O Chryste! - usłyszała głos Matthew. - Trochę tu ciasnawo? Dlaczego nie zatrzymują się w hotelach?

Zdawało jej się, że słyszy, jak Cecily szepcze coś o kłopotach z kasą, więc kiedy wygramolili się ze środka po wąskich, wyciąganych schodkach, nie mogła nie zacząć się bronić.

- Po prostu wolimy zostawać w koniowozach. Człowiek jest wtedy u siebie, wszyscy przyjaciele są w pobliżu, więc wspieramy się wzajemnie. A poza tym, jesteśmy blisko koni i miejsca, gdzie odbywają się zawody.

Oboje spojrzeli na nią, przelotnie, jak na osobę szaloną i nie zwrócili na jej słowa najmniejszej uwagi.

- Weź sobie kuleczkę melona - powiedziała Cecily, podnosząc pojemnik Tupperware. Matt się poczęstował. - W takich miejscach człowiek potrzebuje czegoś lekkiego i odświeżającego - zaćwierkała. - Wszędzie roi się od fast foodów. Ty też się poczęstuj, proszę. - Podsunęła pojemnik Jezowi, który właśnie w tej chwili zajęty był poprawianiem popręgu Tegan. Klacz gniewnie wymachiwała ogonom.

-Proszę się nie wygłupiać - odpowiedział, ani na chwilę nie odrywając się od pracy.

Cecily zacisnęła wargi i zatrzasnęła wieczko pudełka Tupperware.

Jeszcze tylko tego brakowało, żeby Jez zaczął obrażać klientów!

Zaszemrała komórka Cecily.

- Kochanie? Gdzie jesteś? Dobrze. Bardzo tu uroczo, nie sądzisz? Lottie chyba będzie odbywała za chwilę...

- Podniosła oczy na Bramble. - Jakieś ujeżdżenie czy coś takiego. Ujeżdżenie! To taka seria ćwiczeń. No wiesz, stęp, kłus i galop po kółku. Tak, straszna nuda, ale oni muszą to robić. Gdzie zaparkowaliście? Gdzie?! A tak, wiem, o które miejsce ci chodzi. Wyślę tam do was Lottie, to ci pokaże, gdzie wszyscy jesteśmy.

Bramble zdusiła cisnącą jej się na usta uwagę, że ujeżdżenie stanowi podstawę porządnego jeździectwa i że każdy, kto potrafi z sukcesem przeprowadzić konia przez te „nudne” kółka, ma wszelkie szanse na sukces, zarówno w konkursie skoków, jak i w biegu przełajowym. Tyle że na dalszym zrażaniu do siebie Cecily nic nie zyska. Matka Lottie i tak by jej nie słuchała. Cecily nie cierpiała, kiedy ktoś ją pouczał.

Sailor zarzucił łbem, wyraźnie zaniepokojony zamaszystą gestykulacją Cecily.

- Mamusiu, ja chyba powinnam pojechać się rozgrzać

- powiedziała Lottie. - Startuję za dwadzieścia minut.

- Tak, ona naprawdę musi... - dodała Bramble.

- Nonsens. Na dobre maniery zawsze jest czas. Zsiadaj mi tu zaraz z tego konia i leć po Colina i Harriet. Są

w czarnym mercedesie gdzieś przy bramie! - zawołała Cecily.
- Naprawdę, te dzisiejsze dzieci nie mają pojęcia, jak się zachować!

Sailor wyraźnie nie miał nastroju do paradowania w kółko w jakimś śmiesznym dresażu, tylko strzygł uszami w stronę przeszkód crossu. Dajcie mi tam poskakać!, zdawał się sygnalizować językiem ciała, usiłując jednocześnie odsunąć się od Cecily i tych jej kulek z melona. Lottie wróciła biegiem, zdyszana.

- Już tu jadą - powiedziała do matki. Cecily zacmokała.

- Powinnaś była na nich zaczekać.

Bramble ponownie pomogła Lottie dosiąść konia. Dziewczynka ruszyła, a Bramble i Jez pobiegli za nią truchtem, w dół wzgórza, gdzie za pomocą białych, wbitych w trawę i oznaczonych literami tyczek wyznaczono czworoboki do konkursu ujeżdżenia.

- Prawie nie ma czasu na rozgrzewkę! - jęknęła Lottie, zupełnie wytrącona z równowagi i bliska łez.

- Zrób, co się da - powiedziała Bramble. -1 ufaj Sailorowi. Jesteście świetnym zespołem.

- Rób głębokie wdechy - doradził Jez. - Ludzie czasem zapominają o oddychaniu, kiedy jadą w dresażu.

Lottie rzuciła mu niepewny uśmiech i posłuchała.

Bramble i Jez uważnie obserwowali parkur, kiedy sędzina ujeżdżenia nacisnęła klakson swojego samochodu, dając znać, że Lottie powinna zacząć przejazd. Sailor ruszył powoli i uważnie stępa wzdłuż centralnej linii, ale nie było żadnych wątpliwości, że matce Lottie udało się kompletnie pozbawić dziewczynkę wiary w siebie.

Koń, oburzony roztargnieniem jeźdźca, walił ogonem po bokach i ze złością potrząsał łbem.

- Zwykle wypadają o wiele lepiej - powiedziała Bramble.

Jez zaplótł ramiona na piersi i nadal bacznie obserwował Lottie.

Za ich plecami panowało zamieszanie, bo właśnie przybyła Cecily z Mattem.

- Nadal nie do końca rozumiem, jak działa system ocen - odezwała się ostro Cecily.

- Za każdą część próby otrzymuje się osobną ocenę w skali do dziesięciu punktów, a potem ocenę łączną. Też do dziesięciu. Już na sam koniec, za kroki konia, postawę jeźdźca i tak dalej - tłumaczyła Bramble. - Gdyby był to wyłącznie konkurs ujeżdżenia, wygrywałaby osoba z najwyższą liczbą punktów, ale ponieważ tutaj Lottie musi pojechać później skoki i cross, gdzie przyznawane są punkty karne, sytuacja ulega odwróceniu. Im niższy wynik z ujeżdżenia, tym lepiej.

- A jak jej idzie? Bramble pokręciła głową.

- Ciężko powiedzieć. Wszystko zależy od wrażenia wywartego na sędzi.

Lottie i Sailor opuścili czworobok z przygnębionymi minami. Bramble podeszła pocieszyć dziewczynkę.

- Nie było tak źle.

- Gorzej jeszcze nigdy nie jechałam. Czy mamusia już wie? Bramble poklepała Sailora po szyi.

- Mamusia nie ma zielonego pojęcia, o co w tym

wszystkim chodzi, więc się nią nie przejmuj. A poza tym masz jeszcze przed sobą skoki i tor przełajowy.

Wszyscy patrzyli na świetne ujeżdżenie Savannah. Zaledwie parę minut później pojechała Donna, też całkiem nieźle.

- No proszę. - Cecily zwróciła się do Matta, Colina i Harriet. - Dla mnie wszyscy wyglądają tak samo, ale jestem pewna, że to Lottie była najlepsza. Może się trochę rozejrzymy po terenie, Matt?

Harriet zadygotała.

- Zimno mi.

Kilka minut potem Cecily namierzyła największy koniowóz ze wszystkich: ten należący do Toby'ego Fitzroya.

- Popatrzcie - powiedziała do Matta i pozostałych. - Toby był dyrektorem zarządzającym banku, który początkowo wspierał finansowo To Die For Bags. Siedem lat temu. Toby! Kochanie! Jak cudownie móc cię tutaj spotkać! - Natarła na niego, nadstawiając policzek do pocałunku.

Toby obrzucił ją doświadczonego spojrzeniem uwodziciela z wieloletnim stażem.

- Cecily. - Cmoknął nadstawiony policzek. - Co ty tu robisz?

Przedstawiła wszystkich i wyjaśniła, że jej córka, Lottie, jest niezwykle utalentowaną amazonką i startuje w zawodach.

- Wszyscy mówią, że może odnosić wielkie sukcesy. No i ma za sobą tak udany sezon, że uznałam, iż warto na nią popatrzeć. Ale skąd ty się tutaj wzięłaś?

- O, to tylko przysługa dla kilkorga znajomych, naprawdę... Pożyczyłem im koniowóz, bo ich akurat się zepsuł. Sam też biorę udział w zawodach, ale, oczywiście, na wyższym poziomie. Dasz się może skusić na kieliszek szampana?

Wprowadzenie całego towarzystwa do środka i rozsadzenie w części mieszkalnej trochę potrwało, ale Cecily natychmiast stwierdziła, że marnuje życiowe szanse córki, pozwalając, aby Sailor trzymany był w stajni u kogoś takiego jak Bramble. To tutaj było miejsce Lottie. Koniowóz Bramble przypominał przyczepę kempingową, z tymi słodkimi zasłonkami w biało-czerwoną kratkę, mikrofalówką i dwupalnikową kuchenką, ale to wewnątrz, z przyćmionym oświetleniem i kanapami krytymi beżowym zamszem, kojarzyło się z nocnym klubem. Toby nacisnął jakiś guzik i powoli wysunęło się boczne siedzisko.

- Miło mieć nieco więcej miejsca do dyspozycji - zachichotał.
- Veuve clicquot. Co wy na to? - Z niewielkiej lodówki wyjął butelkę szampana.

- Jak rozumiem, jesteś jednym z najlepszych zawodowych jeźdźców w kraju - powiedziała Cecily, po raz pierwszy w życiu z własnej woli poruszając temat koni. Nie zaszkodzi nawet grubo przesadzić, mężczyźni to lubią, pomyślała.

- Och, no cóż. - Napełnił jej kieliszek. - Człowiek się stara. - W jego oczach błysnęło zainteresowanie, kiedy zerknął na niewielki, ale smacznie podkreślony push-upem dekolt Cecily. I spytał ją, jaki poziom zdołała osiągnąć jej córka.

- Startuje już w JRN?

Cecily nie miała zielonego pojęcia i upomniała się w myślach, żeby wysłać do swojej asystentki esemesa o treści: „JRN: sprawdź, co to jest”.

- Wiesz - odparowała - byłabym ci ogromnie wdzięczna za poradę. Po prostu zupełnie nie mam pojęcia, w jakim kierunku powinna pójść Lottie. To znaczy, czy twoim zdaniem ona marnuje swój czas w takich niewielkich zawodach, jak te tutaj? Chciałabym dopilnować, żeby obracała się w odpowiednim środowisku. O ile rozumiesz, co mam na myśli.

Oczy Toby'ego zajaśniały zrozumieniem.

- No tak, konkurs konia wierzchowego to rzeczywiście elegancka część jeździeckiego światka. Kiedy rozmawiam z bankiem o odnowieniu kontraktu sponsorskiego, zawsze im przypominam, że znajdą tu więcej liczących się nazwisk niż w jakimkolwiek innym sporcie.

- Nie żebym była jakąś snobką, oczywiście - zastrzegła się Cecily. - Ja tylko chcę, żeby Lottie czuła się na swoim miejscu. A same skoki przez przeszkody?

- Och, w tej konkurencji też są spore pieniądze - powiedział Toby. - Ale pełno w niej też, rozumiesz, ludzi, eee...

- Nowobogackich? - podsunęła Cecily z odrobiną niepokoju.

- No cóż, trafia się trochę nieciekawych typów. Jest taki żart, że na zawodach wszechstronnego konkursu konia wierzchowego możesz zostawić drzwi otwarte i torebkę na przednim siedzeniu. - Pochylił się i przyjrzał własnemu kieliszкови. - Ale jeśli wybierasz się na

konkurs skoków, to powinnaś najpierw wszystko poprzybijać gwoździami. Cecily zachichotała.

- Chociaż, oczywiście - przeciągał słowa Toby - ci, którzy jeżdżą w konkursach skoków, o nas wyrażają się równie nieładnie. Twierdzą, że jesteśmy tylko bandą zepsutych bogatych smarkaczy.

- Znasz Bramble Kelly?

Wyraz twarzy Toby'ego zmienił się natychmiast.

- Lepiej znałem jej ojca. Bydlak z niego był. A Bramble jedzie na jego reputacji. Moim zdaniem, ta stajnia nie doczeka się wielu sukcesów. Zwłaszcza teraz, kiedy starego zabrakło.

- Naprawdę? - Cecily była zdumiona tą opinią. Przecież wszyscy wyrażali się o Edwardzie Beaumoncie z nabożnym szacunkiem. Zawahała się. Nie miała ochoty, żeby ktoś ją przyłapał na oplotkowywaniu Bramble, ale wyczulony w kontaktach towarzyskich instynkt podpowiadał jej, że Toby Fitzroy ma wielką ochotę powiedzieć

0 właścicielce stajni coś złego.

- Trzymamy u niej konia i to ona trenuje moją córkę. Do tej pory było świetnie, ale Lottie potrzebuje czegoś więcej. Już dawno wyszła poza poziom Klubu Kucyka, ale Bramble się z tym nie zgadza. Chce ją hamować w rozwoju.

- Straciła odwagę - powiedział Toby. - Kobietom się to zdarza.

- No cóż, o tym nic nie wiem. - Cecily nigdy jeszcze nie miała do czynienia z urokiem Fitzroya z tak bliska i trochę trudno było jej złapać oddech. - Ale to nie powód, żeby wstrzymywać Lottie.

- Ile mała ma lat?

- Właśnie skończyła szesnaście. Ale jest bardzo wysoka i ma spore doświadczenie.

- Hm. No cóż, częścią problemu jest to, że Bramble własną córkę zawsze będzie stawiać na pierwszym miejscu. Jeśli trafi na konia, który będzie miał szansę, będzie go chciała zatrzymać dla Savannah.

- O mój Boże! O tym nawet nie pomyślałam! - Cecily popijała zimnego, pysznego szampana. Bramble zawsze proponowała jej wyłącznie herbatę albo rozpuszczalną kawę. W kubku. - Widzisz, ja jestem zbyt ufna. To moja największa wada. Zawsze dostrzegam w ludziach przede wszystkim dobro.

Po dwóch i pół kieliszka szampana na głowę Cecily i jej znajomi wyszli z koniowozu Fitzroya godzinę później, wyraźnie rozweseleni, i zaczęli obserwować wydarzenia świeżym okiem. Sądząc z tego, co mówił Toby, w świecie wszechstronnego konkursu konia wierzchowego obracało się wielu zamożnych i wpływowych ludzi. Przyjaciółki Toby'ego, Sally i Gemma, wyglądały romantycznie i świeżo w mocno obcisłych kremowych bryczesach, świetnie skrojonych czarnych zakieczkach, z włosami upiętymi w eleganckie koki. Ignorowały Cecily, kręcąc się po koniowozie, naradzając z Tobym i pomagając stajennym szykować swoje konie.

Cecily nie przywykła pozostawać w cieniu. Być może, myślała, nie do końca zdawałam sobie sprawę, jaki potencjał drzemie w tym końskim świecie. Wszystko zawsze wydawało mi się takie powściągliwe, jeśli nie wręcz zaniedbane. A tymczasem to sama arystokracja,

stare pieniądze i wielkie interesy. To wśród nich właśnie powinnam sprzedawać swoje torby, a tymczasem pozwalałam własnej córce tuc się w jakiejś starej, obskurnej przyczepie i przestawać z parą pozbawionych perspektyw nazwisk.

Toby odprowadził ich wszystkich do otwartego namiotu, gdzie na tablicy wypisano wyniki ujeżdżenia. Cecily przesunęła palcem w dół, do nazwiska Lottie.

- Czterdzieści pięć - powiedziała. - To dobrze?

- Zależy, ile mają inni - powiedział Toby. - Patrz, tu jest wynik Savannah. Dwadzieścia dziewięć. Pamiętaj, tu im mniej punktów, tym lepiej. No cóż, sama widzisz. Savannah ma lepszego konia, dlatego dostaje lepsze oceny w dresażu. - Szybko coś przeliczył. - Lottie jest w tej chwili dziewiąta.

Cecily była potwornie zażenowana.

- No tak - powiedziała. - Oczywiście, robimy to wyłącznie dla rozrywki. - Wewnętrznie gotowała się ze złości.

- Czasem kupuję i sprzedaję konie - rzucił Toby.

- Zadzwoń do mnie. - Podał jej wizytówkę i mrugnął.

- Odezwij się jakoś niedługo. Być może będę miał dla Lottie idealnego wierzchowca.

Moje życie się skończyło, pomyślała Pauline, kiedy jej mały samochodek zjeżdżał ze wzgórza, a potem podskakiwał po trawie w stronę przeszkody numer cztery, Garden Rails. Ona i Alan mieli być sędziami; zgłosili się na ochotnika do pilnowania jednej z przeszkód na trasie crossu i mieli spędzić dzień na odliczaniu jeźdźców,

którzy pokonają ją bezpiecznie, oraz dbać, żeby zostały odnotowane wszystkie wyłamania, wyminięcia i upadki. Dziś rano z trudem zwlokła się z łóżka, ale przecież ostatnio w ogóle nie miała ochoty wstawać. Jedyne nawracająca mantra: „Co ludzie pomyślą?”, zmusiła ją do podniesienia się z pościeli, pójścia do łazienki i stanięcia przed lustrem.

Zawsze uwielbiała sędziowanie przy przeszkodzie, bo dawało szansę na obejrzenie imprezy od kulis. Kiedy ona i Alan byli młodszy, brali udział jako jurorzy w paru naprawdę liczących się trzy- i czterogwiazdkowych zawodach, pozwalali zapraszać się na przyjęcia i zatrzymywali na kempingach razem z zawodnikami. Teraz po prostu nadarzyła się kolejna okazja, żeby znów zająć się ulubionym sportem, spędzić od czasu do czasu dzień na powietrzu, zrobić przysługę któremuś ze znajomych należących do komitetu organizacyjnego. Co z tego, jeśli Pauline podświadomie szukała w tłumie wzrokiem Edwarda, swojego najlepszego przyjaciela? Zazwyczaj obserwowała uważnie każdego jeźdźcę, a później wspólnie prowadzili niekończące się dyskusje o tym, jak wystąpił. Debatowali, że ten nie radzi sobie z koniem, a tamten z kolei powinien jeździć spokojniej... Bez Edwarda zajmowanie się tym wszystkim traciło sens, ale gdyby się wycofała, co by sobie pomyśleli ludzie?

Dzień zaczął się, jak zwykle, od krótkiego zebrania sędziów crossu, które odbyło się w namiocie mogącym pomieścić nawet i dziewięćdziesiąt osób. Pauline machała ręką do znajomych arbitrów, wielokrotnie widywanych podczas mijającego sezonu.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - szepnął jej do ucha Alan.

- Przecież wiesz - odsyknęła Pauline. - To nasi znajomi. Większość, w każdym razie.

Alan czym prędzej zatuszował swoją wpadkę, przechodząc do ataku. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej.

- Nonsens, tu jest mnóstwo nowych twarzy. I wcale nie wyglądają, jakby wiedzieli, co robią, a sędziowanie przy przeszkodach to zajęcie dla ekspertów, wiesz sama. Nie może tego robić byle kto.

Pauline westchnęła.

- Alan, jestem pewna, że oni mają wszelkie kwalifikacje. - Uśmiechnęła się do kogoś, a potem do następnej osoby, ale nie chciała, żeby ludzie podchodzili do nich na tyle blisko, żeby usłyszeć bzdury wygadywane przez jej męża. Poprowadziła go do jakiegoś krzeselka. Jeśli on rzeczywiście zaczął niedołączyć, jej dalsze życie zapowiadało się nieciekawie. Nagle zdała sobie sprawę, że jest straszliwie samotna.

Koordinator sędziów postukał w stół i rozpoczął zebranie, a Pauline pozwoliła odpłynąć myślom. Moje życie się skończyło, pomyślała znowu. A Alan? No cóż, śmierć Edwarda wyrwała go ze stanu mglistego roztargnienia i sporadycznych luk w pamięci, i cisnęła prosto w prawdziwą starczą demencję.

„Proszę notować moment, w którym jeździec mija wasz marker czasu”, monotonnie brzęczał organizator. „Proszę pamiętać, by potwierdzić numer jeźdźca. Gwizdać w gwizdek, żeby usunąć publiczność z toru biegu. Obwoływać

pierwsze wyłamania jasno i wyraźnie. Potem drugie. Po trzecim prosić jeźdźca o opuszczenie toru crossu najbliższą dogodną trasą. Nie pozwalać jeźdźcowi, który doznał wstrząśnienia mózgu po upadku, ponownie dosiadać konia. Nie pozwalać żadnemu jeźdźcowi na ponowny dosiad, jeśli istnieje choć najdrobniejsze podejrzenie, że mógł doznać wstrząśnienia mózgu. Przede wszystkim, przez cały czas nie rozstawać się z krótkofalówką". Pauline słuchała tego jednym uchem, zastanawiając się, czy wydawany sędziom suchy prowiant będzie smaczny, czy grunt jest wystarczająco namoknięty po deszczu i wreszcie martwiąc, że naprawdę będzie musiała zaprowadzić Alana do lekarza. Jeśli dziś jej mąż będzie popełniał zbyt wiele błędów, trzeba się będzie na to zdecydować...

Zaparkowali obok przeszkody, wyjęli dwa składane krzesła i stolik turystyczny, ustawiając na nim termos z herbatą i butelkę wody. Pauline podała Alanowi gwizdek i podkładkę z papierami. Popatrzył na nie, skonsternowany.

- Nie zapomnij gwizdać, kiedy będzie się zbliżał jeździec. Żeby wszyscy zeszli mu z drogi.

Wyjęła zapasowy szalik i zawiązała mu na szyi, dla ochrony przed wiatrem.

- No co? - spytała, widząc, że jego błękitne oczy wilgotnieją. Ze złości, od wiatru albo od łez. Nie miała pojęcia, z którego powodu. - Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Masz mnie za durnia? - zapytał, zaciskając dłonie w pięści. - Robimy to od lat.

Już, już chciała potwierdzić - tak, dureń to dokładnie to określenie, które do niego pasuje - ale zrezygnowała w ostatniej chwili.

- Po prostu wydajesz się dziś trochę roztargniony, to wszystko - wykręciła się.

Prychnął, a potem odkuśtykał na bok, by wbić w ziemię tyczkę do oznaczania czasu. Pauline patrzyła w ślad za mężem; Alan umieścił znacznik dokładnie sto jardów przed przeszkodą. A więc nie stracił nic ze swojej skrupulatności!, odetchnęła z ulgą. Na razie wszystko w porządku.

Stał teraz obok tyczki w pełnej gotowości, ze stoperem i papierami, na których miał notować numery i czasy jeźdźców pokonujących przeszkodę, i znów przypominał jej dawnego Alana. Może nie było z nim tak źle, jak się czasami wydawało? A co, jeśli przeoczy numer galopującego jeźdźca, stojąc tam po prostu i gapiąc się w przestrzeń? Czy nadal uda jej się go kryć? Ona знаła niemal wszystkich zawodników i konie w południowej Anglii - a nawet i dalej - i nie musiała zerkać na ich numery, żeby wiedzieć, kogo ma przed sobą.

Po dresażu Bramble i Jez przeszli ze swoimi jeźdźcami i końmi na rozprężalnię z przeszkodami.

- Możesz popatrzeć na Savannah i Donnę? - spytała Bramble.
- Chcę się skoncentrować na Lottie, bo mała jest naprawdę wytrącona z równowagi. Nie okazuje tego, ale jeszcze jej nie widziałam tak roztrzęsionej.

Donna strąciła poprzeczkę przeszkody, jadąc na pierwszym ze swoich koni, a potem na drugim zaliczyła trzy wyłamania. Bramble się nachmurzyła.

- Co sądzisz, Jez? Chciałabym sprzedać te konie przyszłej wiosny, ale nie dostaniemy za nie tyle, ile oczekuję, jeśli będą tak partaczyć.

Za ich plecami stanęła grupa Cecily.

- To tutaj mamy stać? - wypytywali się nawzajem. - Wszyscy łążą po całym terenie. Jesteś pewna, że to właściwe miejsce? I nie mają żadnych miejsc siedzących? Myślałem, że będą jakieś trybuny czy coś.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak wyglądają te małe, wiejskie konkursiki - powiedziała Cecily, z trudem utrzymując równowagę na wysokich obcasach. - Zwykle oglądam tylko mecze polo na Smith's Lawn w Windsorze. Zapytajcie Bramble, ona będzie wiedziała.

Bramble już chciała im zwrócić uwagę, że nie będą potrzebowali lornetek, ale postanowiła udzielać tylko krótkich i zwięzłych wyjaśnień.

- Na parkurze jest dziesięć przeszkód - powiedziała, starając się zachować spokój. - Zawodnicy muszą przeskoczyć wszystkie, nie strącając poprzeczek. I zmieścić się w czasie.

Cecily spiorunowała ją wzrokiem.

- Tak, dziękuję, Bramble. Nigdy bym nie pomyślała.

Grupka nastawionych na rywalizację matek trzymała w dłoniach otwarte programy zawodów i notowała w nich ołówkami wyniki każdego przejazdu.

- Niebywałe, połowa wyników dresażu jeszcze nie została ogłoszona - mruknęła jedna. - Nie mam pojęcia, jak nam idzie.

Na parkur wjechała krótkim galopem jakaś dziewczynka i zaliczyła zrzutki na trzech przeszkodach. Jej matka cmoknęła tylko i pośpieszyła odebrać od niej wodze po skończonym przejeździe.

- Potrzebne mi są nowe buty - narzekało dziecko.

- W tych nie mogę jeździć. Lottie Marsh-Robertson to ma dobrze! Nosi Ariaty. - Mała zeskoczyła z siodła i odeszła na bok. Pośladki w obcisłych bryczesach zakołysały się smętnie.

- O, patrzcie, jest Lottie - powiedziała Cecily, unosząc lornetkę do oczu i zaraz potem ją opuszczając, bo zorientowała się, że bez niej widzi lepiej. - Słyszeliście?

- szepnęła. - Wszyscy jej zazdroszczą. Ale to kwestia talentu, oczywiście.

Bramble widziała wyraźnie, że Lottie jeszcze nie odzyskała koncentracji i pierwszych parę skoków zaliczyła bezbłędnie raczej dzięki szczęściu niż umiejętnościom. Najpierw tłumiała energię Sailora - koń *wyrywał* się do przodu - a potem puszczala go tuż przed skokiem. Bramble pokręciła głową, kiedy Sailor omal nie wyłamał na czwartej przeszkodzie, a potem, w ostatniej chwili, zdobył się na potężny, niemal koci sus. Wydawało się jednak, że Lottie zebrała się w sobie i następne cztery przeszkody pokonali gładko, skacząc w ładnym, pozornie pozbawionym wysiłku stylu.

- Dalej, Lottie! - krzyknęła Cecily, wymachując rękami. -Dawaj!

Lottie zerknęła na matkę, a Sailor, tak wrażliwy na gesty jeźdźca, na moment się zawahał. Bramble wstrzymała oddech. Naskok nastąpił zbyt późno; Lottie zupełnie nie kontrolowała konia.

Ale Sailor, ten cudowny, wspaniały wierzchowiec, mocno podkulił nogi i przeniósł Lottie nad przeszkodą.

- On się nią autentycznie opiekuje - powiedziała Bramble do Teza. Jego twarz rozjaśniła się rzadkim, ale słonecznym uśmiechem.

- To znakomity koń dla młodego jeźdźca - odparł.
- A i ona ma talent. Gdyby tylko udało się jej przełamać nieśmiałość!

- Czysty przejazd Lottie Marsh-Robertson na Sailorze
- zatrzeszczał komentator. - Zero punktów karnych.
- Czterdzieści pięć to naprawdę niedopuszczalny rezultat - powiedziała podszkolona przez Toby'ego Cecily. Chwiejnie podeszła do córki, z trudem utrzymując równowagę na nierównym gruncie. - Teraz było nieźle, ale ujeżdżenie powinno być o wiele lepsze! - syknęła. - Pamiętaj, że wszyscy przyjechaliśmy popatrzeć specjalnie na ciebie!

Savannah też czysto pojechała skoki, i teraz trzeba było szybko pójść na tor crossu i znaleźć sobie miejsce z możliwie najlepszym widokiem na jak największą liczbę przeszkód.

Bramble i Jez ustawili się na szczycie wzgórza, u którego stóp rozciągały się w pofałdowanej dolinie pola i lasy. Schludne, zadbane uprawy i od stuleci dogłądane drzewa, tylko z rzadka urozmaicone czarno-białym belkowaniem wiejskich domków, ciągnęły się aż po horyzont, gdzie niemal poza zasięgiem wzroku lekka mgiełka sygnalizowała obecność najbliższego miasta.

Cecily Marsh-Robertson i jej znajomi weszli im w pole widzenia.

- Hej, Bramble! - zawołała Cecily. - Skąd mamy to coś obserwować?

- Gdzieś tutaj byłoby dobrze. Mamy widok na pierwsze trzy przeszkody, a potem, jeśli szybko przemieścicie się w tamtym kierunku...

Cecily obdarzyła ją lodowatym uśmiechem. , - A gdzie jest meta?

- Obok startu. Proszę spojrzeć, tam jest ostatnia przeszkoda.

- Na torze znajduje się kolejny zawodnik - odezwał się komentator. - Numer osiemdziesiąt trzy, Lottie Marsh-Robertson na Sailorze. Czysto przejechała pierwsze trzy przeszkody i kieruje się teraz dalej, w stronę Arbour.

- Lottie i Sailor znikli, zjeżdżając ze wzgórza w kierunku kępy zielonych drzew, i Bramble wstrzymała oddech. Usłyszała, jak Cecily narzeka, że tutaj jest zupełnie inaczej niż na torze czy zawodach polo i dziwi ją, że niemal nie zdarza się, by kibice doznawali jakichś obrażeń.

- Jestem pewna, że na porządnych imprezach taka trasa jest odgradzona sznurami.

Zapadło pełne napięcia milczenie. W oddali, zza drzew wychynął jakiś koń z jeźdźcem, przejechał przez wodę, a potem ruszył galopem na wzgórze i, jak poprzedni, znikł im z oczu.

Cecily niecierpliwie przytupywała nogą.

- Oczywiście, Sailor to tylko taki kuc z Klubu Kucyka

- zwróciła się do Matta i swoich przyjaciół. - Wygrywający jadą na porządnych wierzchowcach.

- Sailor nie jest kucem! - zaprotestowała Bramble z oburzeniem, nie przejmując się wcale, że Cecily nie zwraca się do niej. - To niewielki, ale znakomity koń. On i Lottie jak do tej pory odnosili same sukcesy i przed Sailorem jeszcze długa kariera! Przez co najmniej parę najbliższych lat.

Cecily wyglądała na zirytowaną i lekko zdziwioną, zupełnie jakby nagle zwróciło się do niej krzesło, na którym

siedzi. Lottie i Sailor mignęli przez moment w dolinie, galopując w górę wzgórza.

- Lottie na Sailorze przejechała przez wodę szybko, ale czysto - przekazał komentator.

Kilka minut potem Lottie ukazała się po drugiej stronie wzniesienia i skierowała się w kierunku ostatnich kilku przeszkód. Miała całkiem dobry czas.

- Ładny, szybki przejazd - stwierdziła Bramble.

- No, dzięki Bogu choć za to - powiedziała Cecily, zawracając w stronę finiszu, ze znudzoną miną. - Chodźmy i zjedźmy jakiś lunch. Matt?

Grupka skierowała się z powrotem do samochodu. Tuż przed nimi zadudniły tylne kopyta Sailora. Bramble pomodliła się o ten ostatni skok.

Sailor ominął przeszkodę.

Lottie naprowadziła go ponownie i spróbowała jeszcze raz. Tym razem poszło gładko. Brak koncentracji, pomyślała Bramble. Lottie zobaczyła matkę i po prostu się pogubiła. Innego powodu nie było.

- Za to są punkty karne? - spytała Cecily. Bramble skinęła głową.

- W tej części zawodów za odmowę skoku przy próbie terenowej dostaje się dwadzieścia punktów karnych.

- Dwadzieścia! - skrzeknęła Cecily; jej towarzystwo zajmowało się właśnie rozpakowywaniem wielkiego piknikowego kosza.

Bramble zawróciła do koniowozu, obok którego Lottie głaskała Sailora.

- Tak dobrze się spisał! - powiedziała Lottie. - Jestem

z niego bardzo dumna. Ten ostatni skok to była moja wina. - Rozsiadła konia i zaczęła go wycierać gąbką.

Bramble wróciła na tor, by popatrzeć na Savannah i Donnę. Savannah zaliczyła kolejny czysty przejazd.

- Znosi się na to, że wygra - stwierdził Jez.

- Mam nadzieję - odparła Bramble. - To ją trochę rozrusza. Zdaje mi się, że mocno przeżyła śmierć dziadka.

Jez milczał przez chwilę.

- Kiedy człowiek ma szesnaście lat - powiedział wreszcie - wszystko przeżywa do głębi.

Bramble zerknęła na niego uważnie. Przez chwilę korciło ją, aby spytać, co takiego przeżył on sam w wieku szesnastu lat, ale wyraz jego twarzy wcale jej do tego nie zachęcił. Jakby Jez uznał, że już i tak powiedział zbyt wiele.

- Myślisz, że nic jej nie będzie?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Moim zdaniem - odparł powoli - powinnaś na nią teraz uważać. Ale koniec końców wszystko się ułoży.

Powiedział to z takim zdecydowaniem, że Bramble uwierzyła mu bez zastrzeżeń i zrobiło jej się trochę lżej na duszy.

Zza koniowozu usłyszeli głos Cecily.

- Czy ty masz pojęcie, jaki to dla mnie wstyd?! - pytała. - Przecież przywlokłam tu trójkę znajomych aż z Londynu, żeby zobaczyli, jak wygrywasz! A ty zbierasz tylko punkty karne! I popełniasz same głupie błędy! Pozwalasz Sailorowi zatrzymać się, kiedy tylko ma na to ochotę. Sama widzisz, że ten koń nie jest dla ciebie dość dobry! Naprawdę już czas sprawić ci porządniejszego!

- Mamusiu, to była moja wina, przysięgam. Nie skoncentrowałam się jak należy, powinnam była użyć palcata, ale...

- Nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy wydawały wszystkie te pieniądze, skoro ty nie masz zamiaru się koncentrować! Jeździectwo kosztuje fortunę, wiesz przecież, a ty jesteś strasznie rozpuszczoną dziewczyną! Pomyśl tylko o dziewczętach, które chciałyby być tak uprzywilejowane jak ty. Koncentrowałyby się jak trzeba. Uważam, że powinnyśmy sprzedać Sailora i...

- Będę się koncentrowała. Przysięgam. Proszę, mamusiu, proszę cię. Nie sprzedawaj Sailora. Będę się starała. Naprawdę.

-**1** tak trzymaj! To przygotowanie do reszty życia, zdajesz sobie sprawę? W prawdziwym świecie człowiek nie dostaje nagród za to, że jest na mecie drugi! Jeśli nie weźmiesz się w garść, do końca będziesz kompletnym, całkowitym nieudacznikiem!

Bramble już się chciała wtrącić i odeprzeć zarzuty Cecily Marsh-Robertson, ale powstrzymała się w porę. Jeszcze bardziej zrażając do siebie Cecily, w niczym Lottie nie pomoże; ze wstydem pomyślała, że nie stać jej na utratę klientki. Kiedy Cecily zamaszystym krokiem wy-maszerowała z koniowozu, Bramble weszła na palcach do wnętrza. Lottie siedziała w półmroku.

- Nic ci nie jest?

Lottie pokręciła głową, Bramble jednak dostrzegła łzę spływającą po policzku dziewczynki. Przysiadła obok.

- Pojechałaś znakomicie. Trochę tylko rozproszyłaś się podczas dresażu i pod sam koniec crossu, bo myślałaś

wtedy o mamie i jej gościach. Powiem jej to, dobrze? Żeby zrozumiała.

- Nie zrozumie. I proszę jej nie drażnić jeszcze bardziej. To ja zawiodłam Sailora, a ona teraz chce go sprzedać. - Głos Lottie brzmiał ledwie dosłyszalnie, bo dziewczynka ze wszystkich sił starała się opanować płacz.

- Zrobię, co się da. Powstrzymam ją.

- Mamy nikt nie powstrzyma - szepnęła Lottie. Bramble zamierzała jednak spróbować wszystkiego.

Pogrzebała w zabałaganionym koniowozie, znalazła jakieś chusteczki higieniczne i podała je Lottie.

- Lottie, jesteś bardzo dobrym jeźdźcem. Z twoją determinacją, wytrwałością i chęcią do ciężkiej pracy możesz osiągnąć wszystko, czego dusza zapagnie. Wszystko. Właśnie to zamierzam powiedzieć twojej matce.

Ale Lottie jej nie słuchała. Bramble w milczeniu zamknęła za sobą drzwi.

- Hej - odezwał się czyjś głos. - Wyglądasz, jakbyś marzyła o mocnym drinku.

Bramble zobaczyła uśmiechniętą, opaloną twarz i szopę siwiejących włosów. Poczowała przypływ ciepła.

- Nat! Cześć. Przydałoby mi się ze sześć drinków. Ale muszę najpierw dowieźć całe towarzystwo do domu.

- To może postawię ci coś do picia pod Białym Koniem dziś wieczorem? Kiedy już się obrobisz.

Roześmiała się.

- Brzmi bardzo kusząco...

Nagle pomyślała o Dornie i o tym, jak cudownie było pod koniec konkursowego dnia omawiać z nim wszystkie

wydarzenia przy kominku, ze szklaneczkami w dłoniach. Ale Dom, który przez tyle lat wydawał się tuż poza zasięgiem wzroku, tuż za rogiem, w pokoju obok, nagle zrobił się dwuwymiarowy niczym nadgryziona zębem czasu czarno-biała fotografia o pozaginanych rogach. Stał się kimś, kogo znała wiele lat temu, w innym życiu.

- Nie daj się prosić - namawiał Nat. - Mogę dorzucić talerz frytek i jedną z tych domowych zapiekanek z mięsem.

Wydawał się taki godny zaufania, tak sympatyczny, że Bramble się ugięła. Przy nim miała szansę się odprężyć.

- Dobrze - powiedziała z uśmiechem.

- Koło ósmej? To do zobaczenia na miejscu. - Uniósł dłoń na pożegnanie i odszedł. Na przełaj, przez teren zawodów. Bramble patrzyła za nim przez chwilę. Po pazerności Heleny, gniewie Felicity, naburmuszonych grymasach Savannah, lekceważeniu jej decyzji przez Jeza i ciągłym doszukiwaniu się uchybień przez Cecily, niebiańsko byłoby spędzić wieczór na rozmowie z kimś, kto zdawał się stać po jej stronie.

Donna podbiegła, by powiedzieć, że zaraz zaczniesz się wręczanie nagród i że Savannah zwyciężyła.

Savannah odebrała puchar - nagrodę ustanowioną ku czci córki przez zmarłego wiele lat temu łowczego - a potem, zachwycona, rzuciła się w objęcia Bramble. Jez podniósł triumfatorkę i okręcił się z nią dokoła własnej osi, a później Savannah pomachała pucharem w powietrzu, odstawiła go na ziemię i zajęła się pomaganiem komitetowi w rozkładaniu namiotu.

Srebrne porsche, cichutko pomrukując silnikiem, kołysało się na wybojach trasy przeznaczonej dla koni

i podskakiwało na wyboistym gruncie. Z siedzenia kierowcy pomachała im po królewsku, choć z lekkim zniecierpliwieniem, Cecily Marsh-Robertson. Zupełnie jakby się znajdowali na jednej z ulic Knightsbridge.

Członkowie komitetu przerwali składanie namiotu.

- Rozjechała puchar! - krzyknęła Savannah, wskazując leżący na ziemi przedmiot, który przypominał teraz płaski, srebrzysty naleśnik. Tylne światła porsche skryły się za zamkiem i auto znikło wszystkim z oczu.

- Ten samochód... - zaczął Alan, który po bardzo udanym dniu sędziowania na przeszkodzie przykuśtykał na szczyt wzgórza na piechotę - .. jest kompletnie nowy i kosztuje ze sto tysięcy funtów.

- A ten puchar - powiedziała Pauline, czując natychmiastową ulgę, że słowa Alana miały sens - miał sto lat i wyryte były na nim nazwiska wszystkich poprzednich zwycięzców.

Nieświadoma zbulwersowanych twarzy, odbijających się we wstecznym lusterku, Cecily Marsh-Robertson pogrążyła się w rozmyślaniach. Toby miał rację - Savannah wygrała, bo miała lepszego konia, a jej trenerka, Bramble, była zainteresowana wyłącznie własną córką. Cecily postanowiła, że od tej pory będzie poświęcać nieszkodliwemu hobby Lottie znacznie więcej uwagi...

14.

Nawet w bezpiecznym, centralnie ogrzewanym świecie studiów filmowych i Primrose Hill, późno-jesienne dni zdawały się Helenie bardziej mroczne niż zwykle. Wyczuwała, że jej kariera znalazła się na równi pochyłej, ale nie pojmowała dlaczego. Początkowo jednak usiłowała ignorować oznaki nieuchronnego.

Nie orientowała się, o co dokładnie chodzi, ale miała wrażenie, że kiedy zjawia się na planie, całe pomieszczenie ogarnia atmosfera niepokoju.

Aby się uspokoić, zadzwoniła do agentki.

Caroline odpowiedziała wymijająco.

- Po prostu uważaj na takie sprawy jak punktualność i przygotowanie roli - odparła. - Zawsze chodź wcześniej spać, kochanie, i niczym się nie przejmuj.

Helena się oburzyła.

- Jestem najbardziej punktualną osobą w ekipie. Zawsze tak było. Na litość boską, raz mi się to zdarzyło, i to po śmierci ojca!

- Ja tylko mówię - odparła Caroline - że w tej pracy

człowiek ani na chwilę nie może sobie odpuszczać. Bądź bielsza niż sama biel, kochanie. Bielsza niż biel.

- Jestem tak biała, że bardziej się nie da. W przeciwieństwie choćby do Caluma i połowy produkcji, którzy... Którzy są... Oni są... - Helena usiłowała przypomnieć sobie jakieś modne, krążące ostatnio w środowisku określenie na kokainiarzy. - No, pchają sobie różne rzeczy do nosa.

- A to już zupełnie inny rodzaj bieli, i lepiej, żebyś się trzymała od niej z daleka.

- Oczywiście, że się trzymam z daleka. W życiu nie przyszłoby mi do głowy brać czegoś poza lekami na receptę!

Nie była to do końca prawda, bo od czasu do czasu zdarzało jej się wziąć tabletkę nasenną, a czasami, kiedy skończyły się jej własne, pożyczała parę sztuk od przyjaciółki. Ale przecież tak chyba robi każdy?

Z czasem Caroline zaczęła odpowiadać na jej telefony z coraz większym opóźnieniem; w ogóle telefon odzywał się jakoś rzadziej. A może tak się tylko Helenie wydawało?

Gapiała się na swoją komórkę, siłą woli próbując zmusić ją, żeby zadzwoniła. Położyła ją nawet obok stacjonarnego aparatu, ale ten też milczał. Z samego rana nagrała na sekretarkę Caroline dwie wiadomości, prosząc, żeby agentka sprawdziła szanse zdjęciowe w przyszłym sezonie, i tylko resztki godności nie pozwoliły jej zostawić trzeciej. Sprawdzała pocztę mejlową tak często, jak tylko miała odwagę to robić, bo każda wiadomość od Caroline byłaby wiadomością złą. Sygnałem, że druga strona unika bezpośredniej rozmowy.

Nawet stukot spadającej przez otwór w drzwiach poczty sprawiał, że serce Heleny biło mocniej, przeglądała jednak stos kopert z rosnącym rozczarowaniem. Zawierał ulotki reklamujące uczestnictwo w National Trust i ubezpieczenia domów, przypomnienie o opłacie czesnego za szkołę, ze dwa czy trzy wyciągi z kart kredytowych i jeden liścik z podziękowaniem. Ten ostatni rozerwała gorączkowo, myśląc w pierwszej chwili, że może to jakieś zaproszenie, lecz zirytowana, odrzuciła kartkę na bok. To bardzo miłe, że ludzie piszą takie liściki, oczywiście, że miłe, ale Helena miała wrażenie, że w ostatnich dniach ona i Ollie nie są już tak często zapraszani jak kiedyś. Instynktownie wyczuwała niewidzialną barierę, jakby środowisko nagle stwierdziło, że Helena Harris i Oliver Cooper przestali być gorącym towarem. A może byli zaledwie letni? Jakby świat dostał cynk, że należą teraz do innej sfery niż pozostałe, odnoszące sukcesy małżeństwa. Jakby wszyscy wiedzieli, że Mattie musi odejść.

Zaczynam popadać w paranoję, pomyślała. Pod koniec ostatniego sezonu Pete Young, reżyser, pogratulował jej przecież dobrego aktorstwa. Powiedział, że bez niej by sobie nie poradził. Powiedział, że Mattie to wielka postać. „Nazywają serial »Drogą Simona«, ale tak naprawdę powinien nosić tytuł »Droga Mattie«, nieprawdaż?“. Helena uczepliła się tego wspomnienia. Przecież nie mogą zrezygnować z Mattie! Na pewno nie mogą! Cała produkcja mówiła o profesjonalizmie! Ze praca z Heleną to przyjemność. Pilnowała się, żeby za bardzo nie wynosić się nad innych, nawet kiedy rozmawiała

z najpospolitszym gościem. Zawsze dziękowała ludziom za wszystko, co dla niej robili, i komplementowała to, co na siebie wkładali. Ostatniego dnia zdjęć przytargała wielką tacę ciastek dla całej ekipy. Nigdy o nikim nie mówiła źle za jego plecami, nigdy nie plotkowała, nigdy nie narzekała. Uśmiechała się, okazywała cierpliwość i robiła to, co jej kazano. Doświadczona aktorka, jak ją określił realizator dźwięku.

Ale Pete Young przeszedł do innej produkcji, a nowy reżyser patrzył na nią chłodnym, wyrachowanym okiem. Zdawało się, że nie słucha, co ona do niego mówi. Pojawił się też nowy producent; obaj zostali zresztą sprowadzeni, żeby odświeżyć „Drogę Simona”. Dwóch kamerzystów i jeden asystent produkcji odeszli, każdy z innego, świetnie uzasadnionego powodu, ale młyn z plotkami obracał się ostro. Osoby, które przyszły na ich miejsce, zdawały się nie wiedzieć, jak ważna dla serialu jest Helena. Skończyły się pięciominutowe sesje powitalnych pocałunków, a w ostatnich dniach często przemykała do studia niemal niezatrzymywana, z uczuciem, jakby stała się niewidzialna. Teraz tłumek zbierał się wokół Melissy, aktorki, która w serialu grała jej córkę, Zoe, i rozpływał się nad jej talentami. Nie dalej jak wczoraj Helena stanęła niespodziewanie naprzeciwko całego rzędu zwróconych do niej plecami osób. Wykrztusiła z siebie w końcu jakieś „cześć”, które zabrzmiało jak pisk. Rozmowę przerwano; po krótkiej chwili ciszy Melissa skomplementowała buty i sweterek Heleny, rzeczy, które ta miała na sobie także poprzedniego dnia...

Może powinna zachowywać się bardziej jak gwiazda? Może uprzejmość prowadzi człowieka w ślepy zaułek?, spanikowane myśli Heleny krążyły w niekończącym się kołowrocie. Wiedziała, że prowadzone są badania oglądalności - że nawet już je zakończono - ale nie była pewna, czy widzowie nadal przepadają za Mattie tak samo jak przedtem Pete i poprzednia firma produkcyjna. Widzowie mogli postrzegać jej postać jako staroświecką, niemodną, lepsze czasy mającą już za sobą... Umysł Heleny w nieunikniony sposób ciążył w stronę słowa, którego obawiała się najbardziej. Starą.

Z wysiłkiem zebrała myśli. Niepełna czterdziestka to jeszcze nie starość! Jej zdjęciom reklamowym towarzyszyła informacja, że ma trzydzieści osiem lat. I będzie miała trzydzieści osiem jeszcze co najmniej przez dwa. I dlatego właśnie trzeba sprzedać Lorenden za możliwie najlepszą cenę. Widać było wyraźnie, że wszystko spadnie na nią, bo obie jej siostry albo zatrzymają dom, albo sprzedadzą go pierwszej lepszej osobie, która zrobi na nich dobre wrażenie. A przecież w grę wchodzi różnica rzędu tysięcy funtów - nawet do miliona! - o ile sprawę przeprowadzi się, jak należy.

Nie, jeszcze nie miała za sobą tłustych lat! Wystarczyło tylko popatrzeć na Micka Jaggera. Albo Paula McCartneya. Czy Leonarda Cohena. Starość nie jest dziś problemem, Helena starała się myśleć pozytywnie. Pozytywne nastawienie psychiczne - właśnie tego potrzebowała.

Ale Mick Jagger, Leonard Cohen i Paul McCartney to przecież mężczyźni! Nie! Helena chodziła z kąta w kąt, a jej obcasy stukwały po lakierowanej dębowej podłodze.

No to, na przykład Joan Baez. I Doiły Parton. I Sharon Stone. Wzięła do ręki gazetę i zaczęła ją przeglądać.

Główny artykuł uderzył ją jak obuchem. Wywiad z Melissą. Melissa, jak było napisane, drugoplanową serialową rolę w „Drodze Simona” zamieniła w epizod godny gwiazdy. Została też nominowana do nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Radiowych i Telewizyjnych, za występ w pewnym popularnym, choć niskobudżetowym filmie. Powoli stawała się kultową osobistością i mogła sobie pozwolić na przebieranie w propozycjach. Odmówiła więc udziału w kilku topowych hollywoodzkich produkcjach, bo wolała zostać w Anglii z mężem bankierem i dziesięciomiesięczną córeczką (Ha!, pomyślała Helena, nikt nie odrzuca angażu do Hollywood. Ona po prostu ich nie dostała!). Następny akapit informował, że pewien amerykański reżyser zdecydował się kręcić sceny z udziałem Melissy w Anglii, żeby tylko zapewnić sobie jej udział w filmie. Mówiono o niej jak o nowej Keirze, nowej Nicole, nowej Julii. Ale ona, pisał dziennikarz, jest zdecydowanie niepowtarzalna. Jej rola w „Drodze Simona” ma zostać rozbudowana, była bowiem, jako ekranowa córka Heleny Harris, „szczuplejsza, bardziej zwiewna wersja starszej aktorki”, niesłychanie przekonująca.

Każde słowo brzmiało jak gwóźdź wbijany młotem w trumnę kariery Heleny.

- Szczuplejsza... - powtórzyła na głos. - Bardziej zwiewna! - syknęła. - Starszej aktorki!! - wrzasnęła do ściany.

Cisnęła gazetą, a potem ją podniosła, niezdolna zaprzestać tortury.

Otóż specjalnie dla Melissy pisane są kolejne role, ale młoda aktorka zamierza nadal sama wozić dzieci do szkoły i na pewno nie przestanie gotować każdego wieczoru organicznych posiłków dla męża. Rodzina zawsze będzie na pierwszym planie. „Nie uznaję rodzenia dzieci tylko po to, by opiekę nad nimi sprawowały obce osoby. Macierzyństwo jest dla mnie zajęciem zawsze najważniejszym”.

Helena zmięła gazetę i odepchnęła ją od siebie, gotując się ze złości. Ja też odrzucałam znaczące role ze względu na rodzinę! Ja też wożę dzieci do szkoły i gotuję organiczne posiłki dla męża! A taka była miła dla Melissy, nawet udzielała jej rad i łagodnie kierowała na właściwe tory, kiedy ta była zaledwie pierwszą naiwną świeżo po szkole aktorskiej! Kiedy jednak dziennikarz zadał Melis-sie pytanie o podziwiane aktorki, nie wymieniła Heleny Harris, choć można się było spodziewać, że będzie miała dość przyzwoitości, aby oddać sprawiedliwość kobiecie, dzięki której „Droga Simona” stała się tak popularna. Ale Melissa okazała się twardą i arcysprytną manipulatorką. Helena zaczęła podejrzewać, że naciski, aby rozwinąć rolę Zoe kosztem Mattie, wypłynęły właśnie od niej, mimo tej niewinnej, sarniookiej urody i demonstracyjnego braku siły przebicia. A może odmowa uznania dorobku Heleny stanowiła swego rodzaju komplement? Świadczyła o strachu przed konkurencją? Tak, na pewno o to chodziło. To był komplement. I oznaczał, że Melissa się z nią liczy, a nie, że zapomniała o jej istnieniu. Helena przełknęła ślinę i zacisnęła dłonie w pięści. Pozytywne nastawienie psychiczne.

Również Eddie usiłował przekonać sam siebie o zbawiennym wpływie pozytywnego nastawienia psychicznego. Ostatnio wychodził ze stacji metra i ruszał środkową, białą linią dzielącą pasy głównej ulicy, ignorując jazgot klaksonów i zagrożenie ze strony przemykających wśród samochodów motocykli. Szedł przed siebie z determinacją, nie odrywając oczu od drogi, i sprawdzał, co się dzieje wokół, zerkając na boki zaledwie kątem oka. Potem bardzo szybko skręcał w swoją uliczkę. Znikając za jej rogiem, ruszał biegiem, ściskając w kieszeni klucze od domu. Za każdym razem, kiedy zatrząskiwał za sobą drzwi frontowe, serce waliło mu tak, jakby miało wyskoczyć z piersi, a czoło miał zlane potem. To była strategia numer jeden. Nie mógł jej wykorzystywać zbyt często, bo jego prześladowcy mogli się zacząć bliżej frontowych drzwi.

Strategia numer dwa polegała na tym, że w ogóle nie wracał do domu, tylko nocował u kumpli. Strategia numer trzy - zostawał w domu i udawał, że wziął wolne ze szkoły na naukę własną, a strategia numer cztery, którą odrzucił po starannym zastanowieniu, wiązała się z zawiadomieniem policji i, co się nierozzerwalnie łączyło, matki. Nie miał jednak pojęcia, jak policja mogłaby mu pomóc, i przeraźliwie bał się zemsty. Gdyby kolesie z gangu uznali, że nasłał na nich gliny, dopiero by go pobili! A jeśli chodzi o Helenę - zrobiłaby z tego wielką aferę i zanim Eddie by się połapał, wszystko znalazłoby się w gazetach albo w jakimś czasopiśmie o pomniejszych celebrytach, ze zdjęciami Heleny z oczami pełnymi łez, opowiadającej, jak sobie poradziła z „udręką znęcania się nad jej synem”.

Wszczęłaby zapewne kampanię wymierzoną na zwiększenie liczby patroli na ulicach, co by spowodowało istną lawinę złośliwości w szkole, chociaż to akurat stanowiło teraz najmniejsze zmartwienie jej syna.

Pewnego wieczoru, kiedy skręcał w swoją ulicę, dopadli go wreszcie.

- Te, lalusi! - To był Ty, ten pół-Chińczyk. Zablokował przejście.

- Cześć - odparł Eddie, starając się nie mówić z przesadnie wyszukanim akcentem i próbując go jakoś obejść.

Ty ponownie zastąpił mu drogę.

- Cześć. - Zaczął przedrzeźniać Eddiego piskliwym głosem. - Bogaty chłopczyk robi za ziomala. Niedługo zaprosi nas do domu.

Eddie powstrzymał się od zerknięcia za siebie, aby nie poszli za jego wzrokiem i nie domyślili się, który to dom.

- Chcemy kasy - syknął mu do ucha jakiś głos. - A ty ją masz. Poczul z boku coś okrągłego i twardego.

- No właśnie. To spluwa - syknął głos. - A teraz wyciągaj pieniądze.

Eddiemu zaschło w gardle.

- Nie mam nic.

- Bogaci chłopcy zawsze noszą kasę.

Wyrwali mu plecak i wyrzucili zawartość na chodnik, a Eddie poczuł, że zaczynają mu drżeć kolana. Brał lekcje samoobrony, ale rzucanie kimś o miękkie maty na sali gimnastycznej nijak się miało do ataku grupy zahartowanych na ulicy chłopaków z bronią. Nawet jeśli to była tylko imitacja czy choćby kawałek rurki.

Książki rozsypały się po chodniku, część wylądowała w rynsztoku; spomiędzy kartek wyleciało zdjęcie. Ty zachichotał.

- A co to za starucha tu nosisz? To twój kochanek, pedale?

- Mój dziadek - wychrypiał Eddie. To było ich jedyne wspólne zdjęcie.

- Dziadek. Stłāsne. - Chłopak podarł zdjęcie na drobne kawałki i cisnął je z wiatrem. Kilka poleciało na jezdnię, wprost pod koła przejeżdżających samochodów, które wgniotły je w zabłocony asfalt. Eddie zmusił się, żeby nie czuć niczego. Zdjęcie nie ma znaczenia.

- Powiedz dziadkowi, że masz mieć na przyszłość kasę przy sobie, jasne? I nie łaż tędy więcej, jak nie będziesz jej miał.

15.

Bramble i Nat wybrali się wspólnie do pubu kilka razy. On podkuł dla niej parę koni i zaproponował kino w jeden z piątkowych wieczorów, a Bramble, która zwykle padała do łóżka wykończona i często o dziesiątej już spała, poczuła wówczas ożywczy wpływ mniejszej ilości snu.

Nat czasami dotykał jej dłoni czy ramienia, a jej w bliskości tego masywnego mężczyzny zawsze robiło się ciepło. Pasujemy do siebie, myślała. Zaprzyjaźnili się, ale było jeszcze coś więcej. Czało się za rogiem, objawiało mrowieniem, chwilami nagłym gorączką... Ale przede wszystkim - poczuciem swobody. Nie musiała niczego udowadniać.

Kiedy wylądowali w pubie Pod Białym Koniem już po raz czwarty, Bramble, myjąc dłonie nad popękaną umywalką w kolorze brzoskwini w łazience dla pań, spojrziała na siebie w lustrze. Włosy odrosły jej nieco i wiły się teraz wokół twarzy, zmiękczając rysy.

Może jednak trochę je zapuści? Strzyżenie włosów było, jak podkuwanie koni, regularnym obowiązkiem,

bo włosy miała gęste i sprężyste, i jeśli robiły się dłuższe, wymagały zachodu. Ale zaczynała mieć ochotę na zmianę.

A może po prostu czuła się inaczej? Była ożywiona, odbierała bodźce wprost z powietrza, całą skórą. Coś spadło z brzękiem do umywalki i rozmarzona Bramble spostrzegła, że serdeczny palec lewej dłoni jest nagi; w miejscu zajmowanym przez obrączkę widniał biały pasek skóry. Poszukała wokół korka, znalazła zgubę i przez moment trzymała w dłoni. A potem wzięła głęboki oddech i wsunęła obrączkę do kieszeni. Ponownie popatrzyła w porysowane lustro, umocowane na ścianie z brzoskwiniowych kafelków, i ujrzała kobiecą twarz o dużych, brązowych oczach. Uśmiechnęła się. Spoglądała na nią kobieta z zadatkami na piękność.

Czy tak się kończą małżeństwa?, pomyślała. Spadającą z palca obrączką, którą wciska się do kieszeni?

Otworzyła drzwi łazienki. Jej małżeństwo skończyło się osiem lat temu, kiedy zginął Dom. Czas przestał wreszcie stać w miejscu. Może to randki z mężczyzną, nawet tak przyjacielskim i nienarzucającym się jak Nat, sprawiły, że zaczęła inaczej o sobie myśleć?

Wróciła do stolika, a Nat zamówił jeszcze po drinku.

- Jak rozumiem, znałeś Jeza już wcześniej? - zagaiła, z premedytacją podnosząc szklankę lewą ręką i zastanawiając się, czy jej towarzysz zauważy pasek nieopalonej skóry.

- Hm. - Nat stuknął się z nią kieliszkiem. - Zdrowko. Tak, znałem go. A co? Wspominał coś?

- Niewiele. Tylko tyle, że ty i... eee... Jenny mieszkaliście w pobliżu przez parę lat.

- Ile o nim wiesz? - zapytał.
- Wcale nie za dużo. Znam tylko jego pochodzenie i wiem, że był w armii, i... Dlaczego pytasz?
- Nie lubię rozsiewać plotek. Każda medal ma dwie strony.
- Chciałabym wiedzieć. Przecież on mieszka w moim domu.
- Ale nie puszczaj tego nigdzie dalej - poprosił. - Nie chcę być dla niego niesprawiedliwy, a nie mam dowodu, że to wszystko jest choć po części prawdą.

- Mów, proszę. - Bramble zaczynała się denerwować.
- Mieszkał z kobietą o imieniu Penny, o parę ładnych lat starszą od niego. Teraz musi mieć mocno po czterdziestce albo nawet i po pięćdziesiątce, coś w ten deseń. I ona miała duży dom, i stajnie, i elegancki koniowóz, a on... No cóż, on miał sporo osobistego uroku i świetnie się prezentował. Ludzie uważali, może niesprawiedliwie, że był z nią wyłącznie po to, żeby brać udział w zawodach na koniu z jej stajni. Czyli po prostu dla pieniędzy. - Spostrzegł minę Bramble. - Osobiście nie sądzę, żeby działał z wyrachowaniem, ale myślę, że było mu z tym wygodnie. Oficjalnie był u niej objeżdżaczem, trenował i objeżdżał konie, zajmował się stajnią, ale wszyscy wiedzieli, na czym polegał ten układ.

Ach, ten Nat i jego ostrożne, zrównoważone podejście do życia! Stara się przedstawić postępowanie Jeza możliwie obiektywnie, pomyślała Bramble.

-**1** co się stało?
- Jez wdał się w romans z mężatką ze wsi, w której mieszkaliśmy - powiedział Nat. - A kiedy Penny to

odkryła, wywalila go. Spakowała jego torby i wystawiła za drzwi. A potem... Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć wszystko?

- Tak, tak. Jasne, że chcę.

- Podobno nie zapłaciła mu za ostatni kwartał, więc włamał się do jej domu i zabrał trzysta funtów i spinki do mankietów po dziadku Penny. Wezwano policję i został aresztowany, ale potem zarzuty wycofano.

- To straszne. Po prostu straszne. - Bramble była wstrząśnięta.

- Uważam, że nie powinnaś nikomu o tym wspominać. Sprawy między parą ludzi potrafią być szalenie skomplikowane, a poza tym, cóż... Gdybyśmy wszyscy mieli być sądzeni za błędy, jakie popełnialiśmy w związkach.. . - Roześmiał się z nutką autoironii. - Chyba nikt z nas nie wypadłby korzystnie.

Bramble milczała.

- A może, jeśli w ogóle szukać jakiegoś usprawiedliwienia, ona rzeczywiście nie zapłaciła Jezowi za te trzy miesiące? Była mu winna kasę. I to sporą.

- To niczego nie usprawiedliwia. - Bramble ogarnęło ogromne rozczarowanie, jakby Jez zawiódł ją osobiście.

- Pieniądze to trudna kwestia w związkach. Sam się dałem wykołować, więc wiem, jak to bywa. Jenny, mojej byłej żonie, przyznano dom i opiekę nad córką, a ja zostałem z niczym. Sędzina uznała, że nie zasługuję, żeby odgrywać jakąkolwiek rolę w życiu własnego dziecka. Mieszkam teraz w wynajętym wiejskim domku i widuję małą tylko wtedy, kiedy Jenny mi na to pozwala. A to nie zdarza się często.

- To potworne! - powiedziała Bramble, ujęta tym bardziej, że Nat nigdy wcześniej jej o tym nie wspominał. I tym, że nie rwał się do przekazywania plotek na temat Jeza. Niemal wyciągnęła mu je z gardła.

Nat ujął i uniósł jej lewą dłoń.

- Zdjęłaś obrączkę?

- Spadła.

Obrócił tę dłoń wnętrzem do góry i pocałował. Poczula na skórze jego wargi i zadrżała.

- Witaj z powrotem w świecie! - szepnął, łagodnie ujmując twarz Bramble i bardzo delikatnie całując jej wargi; o ułamek sekundy za długo. Przez tak krótki moment, że skłonna była go uznać za wytwór własnej wyobraźni.

- Zastanawiałem się, czy mógłbym cię prosić o pewną przysługę...? - Nat cofnął się i odchrząknął.

- Oczywiście. - Pociągnęła łyk wina. Ciepło spłynęło jej do gardła i powróciło lekkim rauszem.

- Przychodnia weterynaryjna, z którą często współpracuję, organizuje przyjęcie. Dziesięciolecie praktyki czy coś. A ja zostałem zaproszony z osobą towarzyszącą...

Twarz Nata, nachylająca się w jej kierunku w migotliwym świetle płonących na kominku polan, była niemal przystojna; przypominała opaloną twarz filmowego bohatera. Żeby nie te bruzdy, świadczące, że jej właściciel swoje przeszedł...

- Może, przy odrobinie szczęścia, dasz się namówić i wybierzesz ze mną?

- Och. - Bramble wzięła głęboki oddech.

Ponownie ujął jej dłoń, opartą o blat stołu; jego dotyk był silny i opiekuńczy. Pomyślała, że powinna wycofać rękę, ale, prawdę mówiąc, wcale nie miała na to ochoty.

- No cóż - odparła. - Ja... chętnie pójdę. Dzięki za zaproszenie.

Uścisnął jej dłoń i puścił.

- To ja dziękuję tobie.

- Czy to jakaś oficjalna okazja? - spytała. - Bo nie mam...

- Nie przejmuj się. - Uśmiechnął się. - Zwyczajna impreza.

Wyglądasz świetnie we wszystkim.

Kiedy Bramble przebywała w towarzystwie Nata, zdarzało się, że przez chmury codzienności przebijały maleńkie promyki szczęścia. W głębi duszy dojrzała do pomysłu, by wybrać się z kimś gdzieś i należeć do niego, choć przez jeden wieczór. Dość się już wszędzie nachodziła sama.

Felicity spała przez większość czasu. Złamała tylko paluch u nogi, a czuła takie znużenie, jakby tamtędy wyciekła z niej cała krew. I wciąż targał nią gniew. Złościła się, kiedy co rano ubieranie się zajmowało jej pół godziny. Była zła, kiedy na skrawku zapisanego papieru dostrzegała charakter pisma ojca. Dawno zapomniana furia wzbierała w niej od nowa. Wyniki sekcji zwłok Edwarda potwierdziły atak serca, a Felicity zdawało się, że jej własne też nie wytrzyma pod naporem ciężaru wściekłości. Bała się, że i ona dostanie zawału.

Więc ojciec podarował jej trzecią część Lorenden? Też coś! Jak dla niej to już za późno i niepotrzebnie.

Zdecydowana była nie opowiadać się po żadnej ze stron, żeby nie angażować się w sprawy rodziny, więc nie reagowała, kiedy Helena wykorzystywała nieobecność Bramble i przemyślała do domu agentów nieruchomości. Ale nie powtarzała Helenie, że Bramble głosi wszem i wobec, iż Lorenden nie jest na sprzedaż. Felicity po prostu polegiwała na łóżku, paliła, wpatrywała się w tapetę drukowaną w róże i zastanawiała się, dlaczego ją to w ogóle obchodzi. Przecież sprzedaż i podział majątku na trzy części stanowi jedyne wyjście. Dlaczego nie chciała powiedzieć wprost: „Tak, zgadzam się z Heleną. Pchnijmy dom na rynek, jak tylko zostanie zatwierdzony testament”?

Nie wiedziała. I to też ją denerwowało. Co ja tutaj robię? Powinna była przywieźć Merlina i go tu zostawić, a Bramble już by się nim zajęła. Ona zaś, Felicity, mogłaby tych kilka krótkich spędzonych przy nim dni schować głęboko w sercu, tam gdzie zamykała na klucz wszelkie intymne chwile.

Odruchowo chciała przesunąć w górę ramion srebrne bransoletki, ale okazało się, że nie ma ich na rękach. Przekonała się, że powróciwszy do domu, automatycznie i bezmyślnie powracała do dawnych zwyczajów. Przy koniach nie nosi się biżuterii.

To był właśnie jej problem: nie myślała. Przelotne zetknięcie się z Merlinem przypomniało Felicity, że przy koniach musi być sobą. Zwierząt nie da się ogłupić błyskotkami ani dowcipem, ani zmianą koloru włosów.

- Konie od zawsze były ofiarami - powiedział kiedyś ojciec. - Przetrwały dzięki temu, że nauczyły się

odczytywać język ciała człowieka. Są boleśnie świadome siebie, tego, co czujesz i co robisz, czasem bardziej świadome niż ty sama. I właśnie na to reagują.

Nie jak ludzie, których można omamić tym, co na siebie wkładasz i co do nich mówisz.

Uratowała Merlina przed rzeźnią pod wpływem impulsu, a potem załatwiła jego przewóz do Anglii. A kiedy już znalazła się w kraju, w wynajętym koniowozie, jak najszybciej udała się do Lorenden, nawet nie zdając sobie sprawy, jak zaangażowała się w tego konia. Była tutaj i nie zanosilo się, że wyrwie się z tego miejsca przed upływem paru miesięcy.

Wykorzystała pretekst, jaki dawał gips, żeby nie zbliżać się do stajni, bo stajnie też ją wkurzały; wdychanie ciepłego zapachu koni wiązało się ze zbyt wielkim bólem, a Merlin, tu i teraz, już jej nie potrzebował. Ledwie poczuła z nim bliskość, a omal go nie straciła... Felicity nie chciała, żeby to się powtórzyło. Mogli się nim zająć oni - Jez i Bramble. Będzie mu lepiej.

Zapaliła kolejnego papierosa, od niedopałka poprzedniego, i zakasłała. Może ona też powinna spisać ostatnią wolę? Teriery skrobały do drzwi i popiskiwały, żeby je wpuścić. Dlaczego nie zostawią jej w spokoju? Wreszcie jednak otworzyła i dwa ciepłe, niewielkie ciała wskoczyły na łóżko i zaczęły ją lizać po twarzy.

- Faj - mruknęła. Ale przygarnęła psy do siebie i odruchowo zaczęła je łaskotać po brzuchach.

Myśl, że ma teraz dość pieniędzy, aby warto było spisać testament, a także, że właściwie nie ma nikogo, komu miałaby jakąś szczególną ochotę coś zostawić,

była dla Felicity szokiem. Zapewne najwygodniej dla wszystkich byłoby, gdyby zachowała się uprzejmie i jakoś niedługo umarła, zapisując całość Bramble i Helenie. Albo choćby i Savannah. W cichości ducha zapewne bardzo by im ulżyło...

Powinna zostawić po sobie możliwie najbardziej irytujący testament, postanowiła. Może zapisać wszystko organizacji zajmującej się przestawianiem koni wyścigowych na inne zajęcia albo i samemu Merlinowi? Ale to by bardziej wkurzyło Helenę niż Bramble.

Przez kolejną godzinę, między jednym papierosem a drugim, Felicity zabawiała się wymyślaniem testamentowych komplikacji. Podzieli wszystko na ułamki - a choćby i na siedemnaście części! - i zostawi trochę rodzinie, a trochę ludziom, których będzie szalenie trudno odszukać. Może ten bojownik o wolność, z którym przespała się wśród ruin po bombardowaniu Sarajewa? Jakżeż on miał na imię? A może powinna po prostu zostawić majątek do podziału pomiędzy wszystkich żonatych mężczyzn, z którymi miewała romanse? Do ich odszukania trzeba by było nająć prywatnych detektywów. A potem musieliby jeszcze wyjaśniać nagły przypływ gotówki żonom... Roześmiała się krótko i znów zakasłała. Zdziwiła się, czując napływające łzy.

- Nie jestem niczyją ofiarą! - zapowiedziała sobie wściekle, ocierając oczy. - **1** nie bawię się w uzalanie się nad sobą!

Ostatecznie stwierdziła, że istnieje na tym świecie jedyna osoba, której mogłaby zapisać wszystko, zyskując absolutną gwarancję, że cała rodzina oburzy się

w równym stopniu. Major Jezzar Morgan. Znów zachichotała. I na dodatek przecież siostrzyczki uznałyby, że się z nim przespała!

Naprawdę warto byłoby spisać taki testament i wszystko zostawić Jezowi, a potem rzucić się pod pociąg. Już sobie wyobrażała te kłótnie, ten szok, oburzenie i zdziwienie.

W kuchni w Lorenden ponownie rozdzwonił się telefon. Odebrała Bramble.

- Eddie! Co u ciebie?

- Hm... Nieźle. - A potem nastąpiła długa cisza, podczas której Bramble starała się zrozumieć, o co chodzi. - Tak się, eee..., zastanawiałem, czy nie mógłbym wpaść na weekend. I pojeździć.

- Jasne. Wiesz, że zawsze gościmy cię z przyjemnością. Helena cię przywiezie, czy chcesz, żebyśmy odebrali cię ze stacji?

- Uhm, eee... Mama nie wie... Czy moglibyśmy jej nic nie mówić?

Bramble wzięła głęboki oddech.

- Eddie, nie mogę okłamywać twojej matki. Nawet w ten sposób, że nic jej nie wspomnę. Czy ona ma coś przeciwko twojej wizycie w Lorenden? Chcesz, żebym ją zapytała?

- Nie, nie... Proszę, nie.

- To żaden problem. Mogę z nią porozmawiać choćby zaraz.

- Nie, nie rób tego. Przepraszam. Dobranoc. -1 Eddie się rozłączył.

No dobrze, tylko o co w tym wszystkim chodziło? Helena najwyraźniej pogniewała się na dobre, skoro nie pozwalała Eddiemu do nich przyjeżdżać.

A tymczasem telefon na Primrose Hill ucichł do tego stopnia, że Helena chwilami podnosiła słuchawkę, sprawdzając, czy linia działa. Może to taka pora roku? Przecież październik był zwykle miesiącem dość wypełnionym towarzysko...

Odezwał się wreszcie któregoś popołudnia, a dzwonek odbił się echem od polerowanych posadzek i gołych ścian. Helena wzięła dwa głębokie oddechy i podniosła słuchawkę.

To była Angelina, z zaproszeniem na babski lunch.

- Myślałam, że może jeszcze przeżywasz śmierć ojca. - Och... Jestem... Jestem okropnie przybita. Nigdy

się nie spodziewałam, że będę się tak... - Helena nadal obracała w myślach sprawę telewizyjnej przyszłości Mattie i jej znaczenia dla „Drogi Simona”. - No, po prostu jestem przygaszona. Bardzo to miłe z twojej strony. Właśnie w takich chwilach człowiek naprawdę docenia przyjaciół.

- Zobaczymy was u Bondów?

- U Bondów? - Helena zastanawiała się gorączkowo. Raz do roku Bondowie wydawali spore przyjęcie, obowiązkowe, jeśli człowiek się liczył. Jeśli był na wylocie, oni pierwsi się w tym orientowali i bez wahania wykreślali jego nazwisko. Ale przecież to przyjęcie zwykle odbywało się gdzieś około Gwiazdki?

- Znasz ich, prawda? - spytała Angelina. - Jonno i Lulu?

Tak, Jonno i Lulu Bond, często określani żartobliwie jako Bondaż*, ze względu na swoje przebierane przyjęcia z seksem w tle, stanowili świetny małżeński tandem. Wspólnie produkowali i reżyserowali najrozmaitsze rzeczy. Wszystko, w czym człowiek miałby ochotę zagrać.

- Oczywiście, że znam Jonno i Lulu. - Helena usiłowała nie warczeć. - Ale tyle tych zaproszeń ostatnio, że się gubię... Możesz mi przypomnieć?

- Ich impreza gwiazdkowa. W tym roku piątego listopada. Oni są tacy oryginalni, nie sądzisz? Impreza gwiazdkowa w rocznicę spisku prochowego!

Helena pomyślała, że chyba cały świat zwariował.

- O Boże, to! - zaimprovizowała. - No tak, oczywiście, pójdziemy. Jeśli tylko będziemy mogli, bo jesteśmy tacy zajęci...

- No tak, oczywiście. My też mamy masę zajęć. - Angelina chyba się zirytowała, że ktoś usiłuje ją prześcignąć w liczbie zobowiązań. - Ale nie chcemy zrobić przykrości Jonno i Lulu.

Helena pobiegła do gabinetu Olliego.

- Czy myśmy dostali jakieś zaproszenie do Bondażu? Na jakieś idiotyczne gwiazdkowe przyjęcie w rocznicę spisku prochowego?

Ollie odwrócił się powoli. O ile Helena się orientowała, wcześniej rozpierał się na krześle z zaplecionymi za głowę rękami i zajmował się wyglądaniem przez okno.

*** Od ang. *bondage*. Sadomasochistyczne praktyki polegające na krępowaniu partnera (przyp. tłum.).**

- Na litość boską - sarknął. - Pracuję, wiesz? Właśnie przerwałaś mi tok myśli.

- Przepraszam. Ale czy przyszła jakaś poczta, która do mnie nie trafiła?

Ollie wskazał ruchem ręki na biurko. Był na nim stos papierów.

- Tylko wczorajsza. Miałem ci ją później przynieść na górę.

Helena gorączkowo przerzuciła papierowy bałagan i wzięła do ręki kilka nieotwartych kopert.

- To wszystko? Nie ma więcej?

Ollie wzruszył ramionami. u

- Mam ważniejsze sprawy.

- A dla mnie jest ważne, dlaczego nie jesteśmy zapraszani. Czy wszyscy już wiedzą, że rola Mattie jest zagrożona? - syknęła Helena, której wystarczył rzut oka na stemple, by dostrzec, że w kopertach nie ma żadnych zaproszeń. - Trudno o coś istotniejszego.

Ollie uniósł brew.

- Pokój na świecie? Sprawienie, że nędza przejdzie do historii? Powstrzymanie skretyniałych grup terrorystycznych od położenia łap na broni jądrowej?

Nakryła dłońmi uszy.

- Przestań! Przestań, ale już! Mówię o sprawach istotnych dla nas. I nic mnie nie obchodzi światowy pokój ani terroryzm. Obchodzi mnie moja rodzina. Żebym mogła utrzymać swój dom, żeby dzieci mogły chodzić do swoich szkół i...

- ...i to, czy nadal będziesz zapraszana na imprezy i czy cię będzie stać na markowe ciuchy. Tak, tak.

- Olliemu udało się znaleźć trochę miejsca na biurku i oprzeć tam nogi. Zaczął dłubać w zębach wykałaczką.

- A tak przy okazji... To są nasze dzieci. I nasz dom. Chyba że jestem tu tylko najemną siłą roboczą.

- Nie, przepraszam cię, masz rację. Nie to miałam na myśli. Myślałam o nas obojgu. My. Nasze. Tylko to się dla mnie liczy.

- Helena rozdarła jedną z kopert. - Cholera, Ollie, co to jest? Dwadzieścia tysięcy funtów na karcie kredytowej? - Wyciągnęła papier w jego stronę.

Wziął go i rzucił okiem.

- Nie wygłupiaj się. To dwa tysiące. - Wcisnął pismo do kieszeni. - Daj mi spokój, Heleno.

- Przepraszam. Przepraszam. - Zaczęła ogryzać paznokcie, ale natychmiast przestała. - Ja po prostu tak bardzo się martwię tą sprawą z Mattie...

Zdjął nogi z biurka i wziął do ręki pióro.

- No cóż, jeśli stracisz Mattie, znajdziesz jakąś inną rolę. Jesteś przecież gwiazdą.

Ostatnim, maleńkim skrawkiem umysłu nieogar-niętym jeszcze ogłupiającą paniką, Helena pochwyciła w głosie męża nutkę goryczy.

- Ty nie rozumiesz! - krzyknęła. - Nigdy nie odniosłam żadnego sukcesu! Żadnego, poza Mattie! Zanim trafiła mi się „Droga Simona”, zarabiałam osiem tysięcy funtów rocznie! Jakieś ogony i zaledwie jedna radiowa sztuka! Nigdy, nigdy nie zagrałam dobrze niczego innego! Nigdy. Jeśli stracę tę rolę, stracę wszystko. Nie udało mi się dostać ostatnich paru angaży, o które się starałam. W tej chwili niczego nie dostaję, chociaż chodzę na przesłuchania... - urwała. Jeszcze nigdy tak bardzo

się nie obnażyła. Ani przed Olliem, ani przed nikim innym. A przecież człowiek nie powinien pokazywać innym, jak bardzo jest przerażony, jaki słaby i bezbronny! Nawet własnemu mężowi. Musisz udawać, udawać i jeszcze raz udawać, a jeśli wytrwasz, pozór w końcu zamieni się w rzeczywistość, powtarzała sobie Helena przez całe życie. Nie była w stanie wypowiedzieć słowa „porażka”, bo to by było tak, jakby zapraszała ją pod swoje drzwi. A teraz się do niej przyznała! Na głos. Dwa razy głośno wspomniała o utracie roli i drzwi rozwarły się na oścież, ujawniając po drugiej stronie czarną, ziejącą otchłań. Może już nigdy nie uda jej się ich zatrzaskać?

Spojrzała na Olliego, przerażona, siłą woli chcąc sprawić, żeby coś powiedział. Cokolwiek, co by ją pocieszyło. Przesłonił oczy powiekami i odwrócił wzrok od żony.

- Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze - powiedział znużony. - Ale musisz mi pozwolić pracować. Ja po prostu niczego nie zdołam osiągnąć, jeśli będziesz mnie wybijać z rytmu. Zanim znów zdołam się skoncentrować, minie parę godzin. Zepsułaś mi cały dzień pracy. Dosłownie.

- Tak, masz rację - szepnęła. - Przepraszam. Kiedy zamykała drzwi, odezwała się jej komórka.

Caroline! Ręce Heleny trzęsły się tak mocno, że z trudem wcisnęła klawisz, ledwie rejestrując, gdzie odkłada nieotwartą pocztę. Poza tym telefonem i wiadomością od agentki nie liczyło się nic.

- Halo? - odezwała się, siłąc na normalny ton. -No cóż... - powiedziała Caroline tym swoim

chropawym głosem. - Heleno, kochanie, co ja mam ci powiedzieć...?

Savannah studiowała temat jedzenia tak wytrwale, jakby przygotowywała się do egzaminów GCSE. A może nawet pilniej. Wygrzebała wszelkie możliwe tabele wartości kalorycznej, przeliczniki tłuszczowe, artykuły o dietach i książki kucharskie, do jakich tylko miała dostęp, i zaczęła przejmować domową kuchnię w swoje ręce. W ten sposób mogła zachować nad wszystkim kontrolę i zadbać, żeby nikt nie uszczęśliwił jej niespodziewanie ciastem z jagodami, jabłkami i kruszonką, któremu nie sposób było się oprzeć. Albo idealnie przyrumienionym, pachnącym pieczonym ziemniakiem... Bramble była zbyt zajęta, żeby zastanowiło ją nowe hobby córki, ale Felicity chwaliła jej pierwsze wysiłki.

- To jest pyszne, Savannah - mówiła. - Bardzo pomysłowe.

Pochwała w ustach Felicity sprawiała, że człowiek czuł się, jakby dostał medal. Savannah słyszała, jak ostro ciotka potrafi rozmawiać z pozostałymi. Jez natomiast uśmiechał się z uznaniem albo kładł dłoń na ramieniu Savannah.

Tak czy siak, w tej sytuacji nie sposób było przegrać.

O jedzeniu Savannah myślała cały czas. Zwycięstwo oznaczała każda mijająca godzina, a każdy wieczór, kiedy kładła się do łóżka głodna - sukces. Za każdym razem, kiedy z braku jedzenia robiło jej się niedobrze albo słabo, przypominała sobie, że człowiek musi cierpieć, jeśli chce zwyciężać.

- Najpierw do końca wyrzucę łajno z tej stajni - zapowiadała sobie. - Najpierw skończę ten esej... A wtedy pozwolę sobie na czarną kawę albo colę light.

Czasami czuła na sobie wzrok Felicity.

- Coś dużo ostatnio gotujesz - mówiła ciotka.

- Tak, chcę trochę odciążyć mamę. Jest taka zaganiana. - Savannah obdarzała Felicity uśmiechem zwykle zarezerwowanym dla nauczycieli, sędziów dresażu i szefów klubów jeździeckich.

- Może ci w czymś pomóc?

- Dziękuję, nie trzeba.

Nie chciała, żeby Felicity połapała się w jej prawdziwych intencjach, bo miała wrażenie, że ciotkę byłoby o wiele trudniej wykołować niż Bramble. Jakoś dziwnie się czuła, mając stały kontakt z kimś, kto nigdy nie znaczył więcej niż podpis na urodzinowej czy bożonarodzeniowej kartce... Ale ponieważ podpisowi zawsze towarzyszył najpierw pięciofuntowy, a potem dziesięciofuntowy banknot, więc Savannah lubiła Felicity. W jakiś bezosobowy, niejasny sposób. Obawiała się tylko, że obie siostry zmusiłyby ją zaraz do jedzenia tuczących rzeczy.

- Felicity... - odezwała się znienacka któregoś dnia. Felicity przystanęła w drzwiach.

-Tak?

- Jak to się stało, że zostałam korespondentką wojenną? Zawsze chciałam się tym zajmować?

Felicity się uśmiechnęła.

- Miałam romans z dyrektorem zarządzającym informacyjnej sieci telewizyjnej, a on pomyślał, że mogę być w tym niezła. I, faktycznie, miał rację.

Savannah stropiła się nieco.

- Czy to nie było... przerażające? Felicity pokiwała głową.

- Było ożywcze. - Uśmiechnęła się lekko. - Ludzie nie lubią tego przyznawać, ale wojny ich ekscytują. To jak pojechać w teren na koniu, z którym sobie nie radzisz, przy podłej pogodzie, a mimo to wrócić całym i zdrowym.

Zapadło niezręczne milczenie. Felicity wyszła z kuchni, a Savannah powróciła do najważniejszej obecnie sprawy w swoim życiu - do jedzenia.

Nie w tym rzecz, żeby gotować byle jak. Była ostrożna. Uzupełniała dietę witaminami i minerałami. Ważyła mięso, rybę i kurczaka z aptekarską dokładnością, każdą porcję pozbawiając najmniejszego śladu tłuszczu i dopełniając talerz mnóstwem warzyw, od których wzdymał się jej żołądek i dokuczały bolesne wiatry. Savannah nieustannie towarzyszyło uczucie niedosytu i rozpaczliwa ochota na coś słodkiego.

Słodocze to czyste zło, a jeśli jeszcze zaczniesz jeść masło, Jez nigdy jej nie pokocha!

Jez wkradał się w jej marzenia. Któregoś wieczoru Donna zaprosiła Savannah do siebie na strych, gdzie razem czyściły uprząże, oglądając na DVD jakiś romans.

- Przypomina Jeza, nie uważasz? - powiedziała Donna, kiedy bohater zamienił kilka pierwszych, przewidywalnie zaczepnych zdań z główną bohaterką. - To samo połączenie niebieskich oczu i bardzo ciemnych włosów. I nieogolona twarz. Zawsze mnie to bierze.

- Jez nie ma niebieskich oczu - odparła Savannah. - One są takie trochę szarawe. Jak kamienista plaża zimą.

Donna spojrzała na nią z namysłem.

- Podoba ci się?

- Nie, skąd. - No tak, rumieńce.

- Podoba ci się! - wrzasnęła Donna. - Ale wcale ci się nie dziwię. Mnie też wpadł w oko. Wiesz co? Będziemy się ścigać. Która pierwsza zaliczy porządny pocałunek, ta go sobie weźmie, dobra? A do tego czasu wszystkie chwytły dozwolone.

Savannah, na myśl o konkutowaniu z seksowną, pewną siebie Donna, ogarnęło przerażenie.

- Hm, ja...

-No, nie wykręcaj się! - Donna wyciągnęła rękę i klepnęła w dłoń Savannah, przybijając zakład.

Związane z jedzeniem korowody oddalały Savannah od Lottie. Lottie kręciła się po stajni tak często, jak na to pozwalała jej matka - w przerwach pomiędzy lekcjami gry na skrzypcach, lektoratem z francuskiego, jogą i wszelkimi innymi kursami czy zajęciami, które stanowiły ostatni krzyk mody, jeśli chodzi o stymulowanie młodych umysłów i ciał. Uczęszczała do drogiej, prywatnej szkoły, która wypełniała jej cały czas w tygodniu, ale w weekendy czyściła Sailora, skacząc wokół niego z całą czułością samotnego dziecka. Poza tym pomagała w stajni, w czym się tylko dało, jednakowo skupiona na każdym zadaniu i wywiązująca się z niego skrupulatnie.

No, ale Lottie zawsze była chuda jak strączek fasolki szparagowej i rzadko kończyła to, co nakładano jej na talerz. W oczach Savannah najbardziej irytującym przyzwyczajeniem przyjaciółki było ciągle zostawianie

gdzieś pod ręką napoczętych batoników Mars albo Twix, stanowiących istne pułapki.

- Nie dojesz tego? - pytała ostro. - Przecież się zmarnuje.

Lottie tylko się dziwiła.

- Dokończ sama, jeśli chcesz.

Nie, Savannah nie zjadała tych batoników, tylko odłamywała od nich maleńkie kawałeczki i jeden po drugim wrzucała do śmieci, od czasu do czasu wstrząsając zawartością kosza. Obawiała się trochę, że mogłaby je wyłowić i pożreć w chwili słabości, więc mieszała tak dokładnie, że niemal nie dawało się odróżnić kawałków czekolady od fusów z herbaty, resztek curry i plastikowych opakowań.

Lottie zerkała na nią, zaniepokojona.

- Nic ci nie jest?

- No pewnie, że nie. Zupełnie nic - mówiła Savannah, udając, że to, co robi, jest najzupełniej normalne.

Przy stole zaczęła przepuszczać jedzenie między palcami, prosto w ochocze mordki Darcy'ego, Mopa i Muddle'a, chociaż psy czasem zdradzały ją entuzjastycznym wymachiwaniem ogonami i oblizywaniem pysków.

- Spadło przez przypadek - wyjaśniała. Nie przejmowała się już, że kłamie.

16.

Ostatnio Helena często przyjeżdżała z Londynu. Wyraźnie zależało jej, żeby przyprzeć Felicity do muru.

- Bo widzisz, Felicity, dostrzegam powody, dla których wszyscy chcieliby utrzymać status quo, dopóki Savannah nie skończy szkoły, a Bramble nie stanie mocniej na nogach. - Helena gestykulowała, podkreślając słowa. - Ja to rozumiem. Jestem pełna empatii. Ale problem w tym, że dogodny moment na sprzedaż nie nadejdzie nigdy. Zawsze będzie jakieś Burghley albo Badminton, albo olimpiada, albo mistrzostwa świata czy coś...

- Pokładasz w Bramble wielką wiarę, skoro uważasz, że trafi na te wszystkie zawody - stwierdziła Felicity.

- No nie! - Zdenerwowana Helena rozpoczęła odwrót. - To tylko taka przerośnia. Oczywiście, że wierzę w Bramble, chociaż ona na pewno nie da rady dojść do tak wysokiego poziomu. Ale wszyscy mówią, że Jez mógłby, a teraz on tu pracuje... No wiesz, Felicity, rozumiesz, o co mi chodzi. Przecież za dwa czy trzy lata nie powiem, jakby nigdy nic: „No dobra, kochani, to teraz zwijamy interes”.

- No cóż, w zasadzie mówisz to już teraz.

- I nikt na to nie zwraca uwagi, co tylko dowodzi, że mam rację. To nie w porządku.

Felicity pomyślała, że w głosie Heleny słyszy wołanie zaniechanego dziecka: „To niesprawiedliwe!”, powstrzymała się jednak od komentarza na wzór ich ojca: „No cóż, życie nie jest sprawiedliwe”.

Helena wstała i zaczęła spacerować po pokoju z kąta w kąt.

- Och, a tego nie zauważyłam... - Przystanęła przed niewielkim, przesłoniętym lampą olejnym obrazem. - Rzeczoznawca chyba też tego nie widział? Może wezmę go do Londynu i dam komuś do oszacowania?

Felicity wzruszyła ramionami. Była zbyt zmęczona, żeby użerać się z Heleną. Nie mogła podejmować decyzji związanych z Lorenden; ledwie umiała zdecydować, co na siebie włożyć albo co zjeść. Miała nadzieję, że dojdzie do siebie, kiedy tylko wygoi się palec u nogi, że poczuje się gotowa do wyjazdu, a tymczasem ciągle brakowało jej energii. Skończyły się niemal przesypiane dni i noce i Felicity zaczęły doskwierać poważne kłopoty ze snem.

W nocy jej umysł bezustannie powracał do straszliwych obrazów z wojen, których była świadkiem. Bez przerwy toczyła walkę ze sobą, żeby się wybudzić z takich snów, złana potem i ze łzami na twarzy. Po omacku szukała włącznika lampy, nigdy nie wiedząc, gdzie on jest ani gdzie jest ona sama, a kiedy już zapalała światło, dopadał ją przemożny smutek - choć podszyty osobliwym pokrzepieniem - na widok ściennej tapety. Czasami nie gasiła światła do spania.

W ciągu dnia bywała tak zmęczona, że z trudem otwierała oczy. Gdzieś po drodze dzielna kobieta, która leciała tam, skąd większość ludzi usiłowała się wydostać, zamieniła się w kogoś, kto podskakiwał na widok poruszającego się cienia. Nadal mnie boli, usprawiedliwiała się przed sobą Felicity, nadal mnie boli. Jeszcze nie mogę podejmować decyzji.

- Zaczekajmy, dopóki testament nie zostanie oficjalnie potwierdzony. Do tej pory żadna z nas nie może decydować - odpowiedziała Helenie ze znużeniem.

Znienacka spadł na nich przejmująco zimny listopad. Wiatr znad mokradeł ciął Bramble po twarzy niczym nóż, a miedź i złoto jesieni szybko przeobraziły się w szarości, fiolety i brązy zimy. Na skrajach pól główki szczeci obramował już szron; w porannym powietrzu końskie oddechy zamieniały się w pióropusze pary.

Podczas swoich dorocznych wakacji konie odpoczywały na pastwisku. Częściej niż zwykle wypuszczano je na otwartą przestrzeń - na cały dzień - w grupach po trzy czy cztery sztuki na wybiegu. Porastały grubszą, bardziej gęstą sierścią, cieszyły się swobodą i brudziły w błocie. Okazało się, że Jez miał rację - nie dochodziło do większej liczby urazów niż normalnie i nawet Bramble przyznawała, że konie były w lepszym nastroju.

Merlin to jednak zupełnie inna historia. I ile się nauczył! Konia wyścigowego nigdy nie dosiada się z ziemi - dżokeje zawsze są podsadzani albo korzystają z przenośnych schodków. Bramble i Jez musieli go

przyzwyczać do dosiada z ziemi, ze stopy wspartej o strzemię. Codziennie objeżdżali Merlina stępa, żeby wzmocnić mu mięśnie, i wkrótce zaczęli puszczać go kłusem. Tyle że, biedaczysko, nie umiał wyzbyć się przyzwyczajenia, które kazało mu przechodzić od stania w miejscu do pełnego cwału w pięć sekund. Nauczony rozpędzać się natychmiast po otwarciu boks startowego, miał wyraźną skłonność do rzucania się przed siebie przy najlżejszej zachęcie. Na każde drgnienie wodzów albo muśnięcie piętą gnał przez pola, żeby potem, równie nagle, zaryć czterema kopytami w miejscu. Wszystkich wyrzucał z siodła, nawet Jeza, a jego specjalnością była zrzutka z obrotem - ruch szybki jak błyskawica, który gwarantował, że jeździec wystrzeli przez jego łopatkę, i nie wymagał zawracania sobie głowy wierzganiem.

Merlin podejrzliwie traktował niemal wszystko i nie znosił oddalania się od grupy, Bramble jednak cierpliwie zachęcała go, żeby kłusem odbiegał od innych koni choć na chwilę, a potem pozwalała mu do nich wracać, zanim jeszcze zaniepokoił się na dobre. Pręc w stronę towarzyszy ze stajni, tańczył na boki i napierał na wodze.

- Konie wyścigowe... - westchnęła Bramble do Jeza któregoś dnia. - Żaden nie lubi oddalać się od stada, ale te z torów... - Pokręciła głową. - One całe życie spędzają na wspólnych treningach i wyścigach w grupie! Naprawdę zastanawiam się, czy on kiedyś polubi samodzielność.

- Potrzebuje czasu - odparł Jez. - To wszystko. - Dokoła nich gęstniały zimowe cienie, a ostre, żółte światła stajni zalewały wyziębiony dziedziniec. - Któregoś dnia Felicity będzie mogła na nim jeździć.

Felicity stała tuż obok, nie do końca obecna, jak zwykle pogrążona w świecie swoich myśli, podpierała się na kuli. Popatrzyli na nią oboje.

- Dopiero co zdjęli mi gips - powiedziała. - A poza tym - ja już nie jeżdżę.

- Hm... - mruknął Jez. - Ten palec powinien już być wystarczająco silny.

Felicity skrzywiła się, jakby ją uderzył.

- Nie jeździłam przez trzydzieści lat i nie mogłabym poradzić sobie z Merlinem, nawet gdybym znów zaczęła.

- Czekaj! - powiedział, zerkając w stronę stajni, gdzie Lottie właśnie wróciła z Sailorem.

Jez przeszedł przez dziedziniec, a Bramble spostrzegła plamy potu w miejscach, gdzie bawełniana koszulka przyłgnęła mu do pleców, podkreślając żylaste, silne barki. Zastanowiła się, czy on nigdy nie czuje chłodu. Paradowanie w samej bawełnie w takie zimno zakrawało na arogancję.

Wrócił z wciąż osiodłanym Sailorem, trzymając w ręku toczek do konnej jazdy. Podał go Felicity.

- No to wskakuj.

- Co takiego? - Wytrzeszczyła oczy.

- Musisz jeździć. Bo z takim talentem jak twój - a widziałem zdjęcia - trzeba jeździć w zawodach. Tylko tak powrócisz do życia.

Wręczył Felicity wodze Sailora, pochylił się i zanim zdążyła zaprotestować, bez wysiłku podsadził ją na siodło.

Bramble stłumiła ukłucie zazdrości. Chciała, naturalnie, żeby Felicity znów zaczęła jeździć konno, ale te "wszystkie *opowieści o magicznej dziewczynie, która*

umiała pojechać na każdym koniu, o mistrzyni, która tylko nie zdążyła zacząć wygrywać, opowieści, wśród których wyrosła, sprawiły, że ona, Bramble, czuła się gorsza. Poszła jednak śladem Jeża i Felicity na teren ujeżdżalni, usiłując nie dopuszczać do siebie wrażenia, że jest ignorowana.

Helena zastukała do drzwi Olliego.

- Tak! - krzyknął. - Co znowu, do diabła? Stała w drzwiach. Komórka drżała w jej dłoni.

- Przepraszam - wyszeptała roztrzęsiona. - Bardzo cię przepraszam. Zawiodłam cię. Wszystkich zawiodłam.

Tak bardzo się bała reakcji Olliego! Obawiała się pretensji, że wywiera na niego presję, że zmusza do pisania, kiedy nie jest jeszcze do tego gotowy. Bo ona już nie zarabia.

- Co jest? - Odsunął się od biurka. Po policzkach Heleny popłynęły łzy.

- Mattie. - Usiłowała wziąć się w garść i mówić wyraźnie. - Zabrali mi Mattie. Na razie to ścisła tajemnica i nie *wolno* nam nikomu wspominać, ale nie odnowię ze mną kontraktu. Już wiadomo, że to moja bohaterka umrze.

Ollie wstał i przyciągnął do siebie żonę.

- Nie płacz, kochanie. - Stali tak, mocno przytuleni, lekko się kołysząc w przód i w tył, a on szeptał kojące, ciche słowa pociechy. - Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Zajmę się tobą. Będą inne role. Zaslugujesz na chwilę oddechu. Damy radę. Moja miła. Słoneczko. Moje kochanie. - Wszystkie te rzeczy, które tak pragnęła od niego

usłyszeć. Zalała się łzami, wstrząsana głośnym, spazmatycznym płaczem, jakim nigdy nie płakała w telewizji - nieopanowanym, rozpaczliwym, dławiącym szlochem, od którego Helena trzęsła się cała i krztusiła. Miała mokrą twarz, a dłonie wilgotne od łez i jedynie myśl o zaczerwienionym nosie i straszliwym wykroczeniu przeciwko elegancji, związanym z brakiem chusteczki, zdołała położyć tamę tej nawałnicy. Ollie podał jej chustkę.

Nie płakałam tak po ojcu, zdusiła zdradliwą myśl. Te łzy są pewnie i dla niego. To szok. Żal po czyjejś śmierci dochodzi do głosu w dziwnych chwilach. Oczywiście, nie jestem osobą, która bardziej rozpacza po stracie pracy niż po śmierci rodzica!

Helena nagle i dotkliwie zakłuła tęsknota za ciepłą, zabałaganioną kuchnią Lorenden, nawet za arktyczną temperaturą panującą w dźwięczącym echem holu i za wielkimi, podniszczonymi kanapami i łózkami. To nadal był jej dom rodzinny i tam nadal znajdował się jej ojciec - w pokoju obok, nigdy na linii wzroku, tuż poza zasięgiem słuchu... Musi tam koniecznie pojechać i zająć się porządkowaniem rzeczy, jeszcze z czasów dzieciństwa. Tak, to była pocieszająca, choć zaprawiona kroplą goryczy myśl. Lorenden wciąż stoi, gdzie stało.

Ollie podprowadził ją do fotela i posadził, czekając, aż wydmucha nos i otrze oczy.

- Powtórz mi, co dokładnie powiedziała Caroline. Helena przełknęła łzy.

- Że zrobiła dla mnie wszystko, co można było w zaistniałych okolicznościach zrobić. Nie śmiałam jej pytać, co to za okoliczności. Widocznie wyniki badania

opinii widzów wypadły okropnie. Musieli powiedzieć, że jestem nudna albo sztywna, albo nie pasuję do dzisiejszego multikulturowego społeczeństwa. Albo coś takiego. Ze za bardzo się kojarzę ze stylem klasy średniej. Albo średnim wiekiem. Długim małżeństwem. Ze brak mi drapieżności. Nie wiem. Mattie zachoruje na raka piersi, który okaże się o wiele bardziej agresywny, niż ktokolwiek może przypuszczać. Ekipa wolałaby, żebym umarła raczej wcześniej niż później, bo nie chcą kończyć sezonu przygnębiającą nutą. Chcą, żeby Simon znów zaczął się spotykać z kobietami... - Helena roześmiała się histerycznie. - Planują, że wrócę jako duch i nakładę mu do głowy, że chciałabym, aby ułożył sobie życie na nowo. On ma się podobno wzdragać ze względu na żałobę po mnie, ale ja mu będę tłumaczyć, żeby nie zwlekał. Mam podobno powiedzieć: „Nie wygłupiaj się, umów się z tą dziewiętnastolatką” czy: „Koniecznie prześpij się z moją najlepszą przyjaciółką”, czy coś. - Helena znów się rozplakała. - Jakbym mogła coś takiego powiedzieć! Jakby mogła to powiedzieć jakakolwiek kobieta! Ale Caroline jest zadowolona, że udało jej się wynegocjować te sceny z duchem, bo oznaczają więcej czasu na ekranie i nieco więcej pieniędzy. „Zawieszenie wykonania wyroku śmierci”, tak to określiła. - Znów wydmuchała nos.

Helena, która nigdy nie marzyła o luzie - chciała pracować i chciała tego namiętnie - pokiwała głową i zamrugła,

- Czy Caroline ma jakieś inne role, do których mogłabyś się przymierzyć?

- Zobaczę się z nią pod koniec tego tygodnia.

Ollie przysunął sobie stołeczek, a potem ujął żonę za obie ręce, całując po kolei kostki jej mocno zaciśniętych w pięści dłoni.

- Dobrze. Pozytywne nastawienie psychiczne. Pamiętaj. Helena pokiwała głową, usiłując zignorować mdlące uczucie w żołądku.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział. - Zanim się zorientujesz, znajdziesz się z powrotem w siodle.

Ponownie pokiwała głową, twardo postanawiając nie dopuszczać do siebie myśli, że chyba się to nie uda.

- To w sumie dobra rzecz, że odchodzę z serialu - odezwała się, podejmując decyzję, że od tej pory „odchodzi”, a nie „traci rolę”. - Jest tyle rzeczy, którymi chciałabym się zająć! I naprawdę, przerosłam już Mattie.

- Oczywiście, że tak.

- A poza tym powinnam spędzać trochę więcej czasu z rodziną. Egzaminy Eddiego są ważniejsze niż jakakolwiek telewizyjna rola, a Ruby i Roly potrzebują więcej uwagi. To mi da szansę skupić się na ważniejszych życiowych sprawach. Sprawach, które się liczą. Na tobie, na przykład.

- Na mnie? - spytał Ollie. - Jak to, na mnie? Czyżby się lekko zaniepokoił?

- No cóż, muszę dać ci więcej czasu i przestrzeni na pracę. A skoro będę mniej zajęta poza domem, nie będę musiała zawracać ci głowy i obciążać zajmowaniem się banalnymi rzeczami. Jak na przykład odbieranie bliźniaków ze szkoły, kiedy Ania ma te swoje kursy.

- A, o to chodzi! - odetchnął z ulgą. - Oczywiście, to byłaby wielka pomoc. Naprawdę wielka pomoc.

- Nie umiem ci powiedzieć, ile to *wszystko* dla mnie znaczy, Ollie. - Oczy Heleny piekły ją od łez, które znów groziły popłynięciem. - Wiedzieć, że jesteś przy mnie. Wiedzieć, że mogę się na tobie oprzeć.

- Och, od tego mnie masz - odezwał się Ollie serdecznie. - Jestem tą jedyną osobą, na którą zawsze możesz liczyć. Posłuchaj: darujmy sobie dzisiaj wszelką robotę. Uczcijmy to. To początek naszego nowego życia. Twoje wyzwolenie.

- Bo to jest wyzwolenie, prawda? Okazja, żeby uciec. Oczywiście, od lat pragnęłam zacząć coś innego, ale serial ciągnięto przez kolejne sezony. Jest tyle innych spraw... - Sięgnęła na biurko Olliego po kolejną chusteczkę.

- No i super, kochanie. Super. A teraz zabiorę cię na miasto. Do... Dokąd chciałabyś się wybrać?

- Nie chcę dzisiaj nigdzie wychodzić. - Helena zdawała sobie sprawę, że w jej wieku efektów takiego napadu płaczu nie da się łatwo zatuszować, nawet obficie aplikując Touche Eclat, że jedynie porządnie przespana noc przywróci młodzieńczą świeżość delikatnej skóry wokół oczu i zlikwiduje przekrwienie białek. Gdyby zobaczono ją tak przygnębioną, to dopiero byłaby katastrofa! Powinna wygasić plotki o Mattie, a nie je podsycać.

- Dobrze. - Ollie podniósł się z krzesła. - Skoczę wobec tego do delikatesów i kupię coś specjalnego na lunch.

Helena miała nadzieję, że nie zachce mu się potem seksu, chociaż taki był kochany, że może i zasłużył. Nie jest dobrze, jeśli zapomina się o męskich potrzebach, zachichotała niespodzianie pod nosem.

Ollie się uśmiechnął.

- Dobrze widzieć, że odzyskujesz humor. Chodź. Usiądź sobie na sofie, włącz ulubioną muzykę i wyluzuj trochę.

Kiedy zamknęły się za nim frontowe drzwi, Helena zaczęła się zastanawiać, czy rozstanie z Mattie to przypadkiem nie najlepsze wyjście z możliwych, chociaż w tej chwili odbierała tę stratę boleśnie. Ale za to poczuła niespodziewaną bliskość z Olliem. Może właśnie dokładnie tego potrzebowali, żeby trochę ożywić swój związek? Nie zawsze sprawdza się model, w którym jedno z partnerów odnosi znacznie większe sukcesy niż drugie, zwłaszcza jeśli wybrańcem fortuny bywa kobieta. Może ta odrobina przestoju (nie za długa, miała nadzieję Helena) przywróci w ich małżeństwie równowagę? Kochany Ollie. Ona zrobi sobie parę miesięcy wolnego i naprawdę się nim zajmie, zadba, żeby miał warunki potrzebne do skończenia scenariusza. A kiedy to zrobi, Helena powróci do aktywności i znów będą mogli zająć się każde własnymi sprawami.

Tak. Strata - nie, po prostu rezygnacja z roli w „Drodze Simona” - naprawdę warta była uczczenia. Helena postanowiła zejść do piwnicy po pewną specjalną butelkę. Kiedy się pobierali, ich lista prezentów została udostępniona pewnemu znanemu handlarzowi win.

- Mamy już wszystkie potrzebne rzeczy, i tostery, i poszewki na poduszki - tłumaczyli ludziom. - Oboje od lat prowadziliśmy własne domy. Pomyśleliśmy sobie zatem, że można inaczej i założymy porządną piwniczkę z winami. Z winami, które człowiek trzyma, żeby je

wypić za pięć czy dziesięć lat. - Wspólnie z Olliem planowali eleganckie przyjęcia obiadowe, ze wspaniałymi trunkami, a także intymne wieczory w gronie kilkorga przyjaciół (czy choćby we dwoje) przy delectowaniu się najlepszym winem. Marzyli, by stwierdzać: „Och, często mi się zdaje, że puligny Montrachet jest przereklamowane”, i zyskać opinię znakomitych gospodarzy. „Będziemy pili mniej, ale za to lepszego alkoholu”, powiedzieli sobie roześmiani i wznieśli toast za wspólną przyszłość ulubionym szampanem. Oboje lubili veuve Clicquot; świetnie się dobrali. Tak, piwniczka z winami stanowiła część marzenia o ich wspaniałym, idealnym, wspólnym życiu.

Samo wino, oczywiście, potrzebowało paru lat, żeby dojrzeć, ale zajęta urządzaniem domu, pojawieniem się bliźniaków i „Drogą Simona” Helena nie miała czasu na nic poza jedną na rok imprezą z tanim szampanem. Zostawili nawet ślubne wina w skrzynkach, poustawianych jedna na drugiej, wciąż zamierzając któregoś dnia kupić porządny stojak na butelki. Helenie przyszło do głowy, że jej comeback mógłby się po części opierać na serii bardzo starannie wyreżyserowanych proszonych obiadów, tak żeby okazje do podtrzymania zawodowych kontaktów wykorzystać do maksimum. Wiedziała, że uda jej się ściągnąć parę kluczowych nazwisk - Angelinę i Chrisa Woodych, na przykład, a to zwabi wszystkich pozostałych. Ludzie dowiedzą się, że Helena Harris jeszcze nie wypadła z gry.

Podniesiona na duchu załączkiem planu, zeszła ostrożnie po wąskich, stromych schodach do piwnicy i zaczęła

się zastanawiać. Czy białe będzie wystarczająco schłodzone? Tu, na dole, było dosyć zimno, a poza tym zawsze mogła wrzucić je do zamrażarki na jakieś pół godziny, zanim Ollie wróci z zakupami. No właśnie. Jakieś bardzo smaczne...

Otworzyła skrzynkę. Wieko odskoczyło całkiem lekko, jakby już wcześniej ktoś się do niego dobierał. Wnętrze ziało pustką. Widocznie przez lata osuszyli zawartość skrzynki mimochodem, nawet nie zwracając na to uwagi. Niedbaluchy! A zawsze sobie obiecywali, że nie będą żłopać win z piwnicy bez szczególnej okazji...

Zrobiła podejście do następnej skrzynki, ale i ona okazała się pusta. Helena się zirytowała. Przy trzeciej zaczęła się niepokoić. Otworzyła po kolei trzydzieści sześć skrzynek, a jej gniew rósł proporcjonalnie do ich liczby. Opróżnione były wszystkie.

- Ollie - odezwała się, kiedy tuż przed pierwszą po południu stanął w drzwiach, i cisnęła w jego stronę pustą skrzynką. W drugiej ręce trzymała butelkę po winie, zgarniętą ze stosu, który znalazła w szafie, w pokoju męża. - Czy możesz mi wyjaśnić, co to właściwie znaczy?

17.

Felicity wylądowała w siodle, mając nieodparte wrażenie, że wszystkie jej kończyny są dziwnie nieskoordynowane, ale pozbierała się niemal natychmiast i przybrała postawę, zaprogramowaną w jej mózgu od najwcześniejszych lat. I poczuła, że przez ostatnie trzydzieści żyła na pół gwizdka. Teraz jednak, na tyle wysoko nad ziemią, żeby na wszystko spojrzeć z innej perspektywy, znów stała się sobą. Koń ruszył przed siebie, zaskrzypiało siodło, a Felicity dostosowanie się do jego kroku zajęło zaledwie kilka sekund.

- Nie dam rady! - odezwała się do Jeza w ataku nagłej paniki, przytłoczona dawno zapomnianymi uczuciami.

Nie odpowiedział i poprowadził Sailora na ujeżdżalnię. Kiedy znaleźli się w środku, zamknął za sobą bramę i zwrócił w stronę Felicity.

- Ruszaj - polecił.

I Felicity posłuchała. Zakołysała miednicą w rytm ruchów Sailora. Okrążała czworobok, stopniowo się odprężając, dostrzegając drzewa, które urosły od czasu,

kiedy jeździła tu ostatnio. Teraz przesłaniały już widok na pola. Spostrzegła dach domu i to, że brakuje w nim paru dachówek. Ale przede wszystkim, z każdym kolejnym krokiem Sailora, powracało do niej poczucie jedności z koniem. Znad poruszających się pod nią cudownych, potężnych mięśni, zdolnych wystrzelić naprzód na każde polecenie, unosił się ciepły zapach.

Gapili się na nią wszyscy. Ludzie zawsze tak robią, kiedy ktoś jeździ, uświadomiła sobie Felicity. Donna, zawsze chętnie witająca okazję do krótkiej przerwy w pracy, pogryzająca Kit Kata, Bramble z brodą opartą na dłoniach, a łokciami na drewnianej poprzeczce parkanu, uważnie wypatrująca wszelkiego zagrożenia, psy, jak zawsze zaciekawione, kiedy działo się coś nowego, Lottie i Savannah, z głowami tuż obok siebie, na pewno krytykujące po cichu jej styl... No cóż, sama bym tak robiła, gdyby jakaś baba w średnim wieku weszła na mojego konia, pomyślała! I wyprostowany, gotów udzielać wskazówek Jez, z którego postawy aż biła pewność, że ani Sailor, ani Felicity nie muszą się niczym martwić, bo on tu dowodzi... Felicity opanowała gonitwę myśli, zebrała mocniej wodze i poczuła na wędzidle kontakt z koniem.

- Kłusem do narożnika, a potem nawrót i duża wolta! - zawołał Jez.

Zdziwiła się, czując, że wpada w znajomy rytm z taką łatwością, jakby ostatni raz jeździła zaledwie wczoraj, ale nie miała wątpliwości, że jej ciało jest teraz starsze, sztywniejsze i słabsze. Zawodziła ją forma fizyczna i Felicity musiała szybciej chwycić powietrze. Po paru chwilach doszła do siebie, zaczęła oddychać głębiej i bardziej

regularnie, w rytm przyśpieszonego kłusa. Nie miała kondycji. Nie powinna tak sapać, ale poza tym wszystko wydawało się takie... jak trzeba.

Po dwudziestu minutach kłusowania, po woltach, serpentynach i ósemkach, po zmianach kierunku jazdy na komendę, Jez zapytał ją, czy spróbowałaby galopu. Felicity pchnęła Sailora naprzód, czując pod sobą łagodne kołysanie, jak na koniu na biegunach, słysząc rytmiczne poskrzypywanie siodła i spoglądając między końskimi uszami na wprost. W siodle człowiek czuje się jak Bóg, pomyślała, jak istota obdarzona nadludzką siłą i szybkością. Już starożytni o tym wiedzieli. Jakim cudem mnie udało się zapomnieć?

Jez dał jej sygnał, żeby zwolniła do stępa.

- Moim zdaniem na dzisiaj wystarczy.

Felicity pochyliła się nad karkiem Sailora, przemówiła do niego, wysunęła stopy ze strzemion i zeskoczyła na ziemię. Odwykła od wysiłku, drżały jej nogi.

- No i jak? - Bramble zastygła w oczekiwaniu.

A Felicity doskonale wiedziała, po co to wszystko. Wsadzić ją znów na konia, a wtedy zostanie! Bramble wcale nie zależało na siostrze, tylko na Lorenden. Chciała je zatrzymać za wszelką cenę.

Tylko co mi przyjdzie z gniewnego nastroju w taki pogodny, listopadowy dzień?, pomyślała Felicity. Ostatnie promienie słońca są zbyt cenne. Rozgrzana zwawiej krążącą w jej żyłach krwią, uśmiechnęła się.

- Dobrze. Dobrze było, ale nie wyobrażaj sobie, że wskoczę w starą skórę. Po pierwsze, jestem znacznie, cholera, starsza.

Tez podciągnął strzemiona Sailora i ujął wodze, żeby poprowadzić go do Lottie, kręcącej się w pobliżu z miętówkami w ręku.

- Nikt z nas nie może wrócić do przeszłości - powiedział ledwie dosłyszalnie, tylko do niej. - Ale może decydować, w jaki sposób żyć.

Helena i Ollie wydzierali się na siebie nad pustą skrzynką po winie. Ollie dowodził, że Helena jest kontrolującą go, samolubną suką i manipulantką, a ona krzyczała, że Ollie ją zdradził i że nigdy mu nie wybaczy. Eddie wszedł po jakąś płytę CD, ale pośpiesznie wycofał się z pokoju.

Według Olliego życie z Heleną było tak stresujące, że trudno było nie pić.

- To przez ciebie! - krzyczał. - To wszystko twoja wina! Kiedy cię poznałem, byłem praktycznie abstynentem! Ale to ty musisz mieć wszystko, co najlepsze, i wszystko musi się dziać tak, jak ty sobie tego życzysz. Próbowałem się dostosować i pisać, ale to mnie po prostu rozwała. Rozwała mnie, rozumiesz? Dałem ci już wszystko, czego jeszcze ode mnie chcesz? Mojego życia?

Helena, zakrywając dłońmi uszy, osunęła się na wielką, białą sofę.

- Nie mów nic więcej. Ani słowa. Ollie padł obok.

- Potrzebujemy zmian - powiedział po kwadransie, przerywanym wyłącznie zdyszczanym, piskliwym płaczem żony.

- Oboje. Nowego początku. Mamy przecież możliwości.

Przerażona Helena, widząca już oczyma wyobraźni koniec ich małżeństwa, popatrzyła na męża, niemal go nie słuchając.

- Możliwości?

- Będziesz miała przerwę w pracy, bo uwolnisz się od serialu. To fantastyczna okazja, żeby zacząć wszystko od nowa - powiedział, ostrożnie kładąc dłoń na jej ramieniu. - Możemy żyć inaczej. Możemy ograniczyć stres. Jeśli ty możesz coś zmienić, to i ja.

- Mnie stresuje wyłącznie ta sprawa z Lorenden - odpowiedziała, zamykając oczy i opierając się plecami o sofę. - Ja po prostu widzę, jak moje siostry starają się wyrolować mnie z tego, co mi się prawnie należy. Nawet jeśli zamierzają sprzedać dom, będą zwlekały tak długo, aż w końcu trafimy na zapaść na rynku.

Ollie wstał, obszedł sofę i przystanąwszy za plecami Heleny, zaczął masować jej ramiona.

- Masz absolutną rację, kochanie. One próbują cię wykołować. Nie martw się, ja w żadnym razie na to nie pozwolę. - Pocałował ją szybko w czubek głowy. - Tkwimy w tym razem, prawda?

Helena przesunęła dłoń w stronę męża. Czuła się jak poobijana, jak ktoś uratowany z wód porywistej, lodowatej rzeki.

- Och, Ollie. - Uścisnęła jego rękę. - Ollie. Proszę cię. Jeśli tylko zdołasz ograniczyć picie...

Musnął ustami jej włosy.

- Oczywiście, kochanie. Zrobię dla ciebie wszystko, wiesz przecież. Wszystko.

Bramble, leżąc nocą w łóżku, robiła obliczenia. Między poszczególnymi wycenami Lorenden były jednak tak horrendalne różnice, że w jednej minucie udawało jej się wymyślić, jak mogłaby zdobyć kredyt pod zastaw domu i spłacić Helenę (choć to wciąż zależało od tego, czy Felicity zgodzi się zostać), a już w następnej dzieliła na trzy kwotę, jaką mogły dostać za nieruchomość, odejmując podatek spadkowy i zachodząc w głowę, gdzie, u licha, miałyby za tę cenę znaleźć dom - może bungalow, a nawet choćby i barak mieszkalny - ze stajniami i padokami. Jeśli będzie zmuszona do opuszczenia Lorenden, to chce działać gdzie indziej, ale nie może oczekiwać, że będzie to tanio kosztować.

Nat ją uspokajał.

- Znajdziesz coś innego, co ci się spodoba. Może rzeczywiście powinnaś wyjechać z Lorenden, kupić dom i stanąć na własnych nogach? - Rozmawiali też o deweloperach. - Ktoś musi to zrobić. Lorenden od wieków co jakieś sto lat podlegało przeróbkom. Nie zdołasz go zachować w takiej postaci, w jakiej pamiętasz je z dzieciństwa.

- Ty nic nie rozumiesz! - powiedziała, a on się roześmiał.

- Nikt nie jest w stanie zrozumieć drugiego człowieka. Im bardziej Bramble polegała na Nacie, tym mniej ufała Jezowi. Zaczynała się zastanawiać nad każdym jego słowem. Wierzyć mu czy nie?

Któregoś wieczoru, po jakiejś godzince spędzonej w pubie, zajrzał do kuchni.

- Słyszałem plotki, że Pauline sprzedaje Teddy'ego.

- Miał twarz kompletnie pozbawioną wyrazu. - Przynajmniej tak mówią ludzie.

- Co? Kto tak mówi? Skąd to wiesz? Ona nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego bez porozumienia z nami!

- Bramble zrobiło się zimno w środku. Pauline prawie już do nich nie zaglądała, a kiedyś była jedną z najczęściej widywanych twarzy przy kuchennym stole. Bramble myślała, że może jest teraz stale zajęta przy Alanie. Krążyły pogłoski, że robił się coraz bardziej otępiały.

- Tak słyszałem - powiedział. - Poczta pantoflową.

- No to może coś usłyszałeś niedokładnie - odparła Bramble, sięgając po telefon i wybierając numer. - Pauline? Jak się masz?

Pauline rozszczebiotała się o tym, jak zimno się zrobiło i że zimą wszyscy są smutniejsi, i czy może Bramble zaszczepiła się już przeciw grypie?

- Pauline, doszła do mnie przedziwna pogłoska i uznałam, że powinnam ci o niej wspomnieć... Ludzie mówią, że Teddy jest na sprzedaż.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Bramble, kochanie, naprawdę nie powinnaś dawać posłuchu plotkom.

- A więc to nieprawda?

- No cóż, ludzie ciągle pytają mnie, czybym go nie sprzedała, oczywiście. Może właśnie to do ciebie doszło? Nie rozmawiajmy już o tym w ten sposób. Zresztą, nie widziałyśmy się całe wieki. Kiedy możesz zajrzeć do nas na drinka?

Bramble wysłuchała jeszcze kilku uwag na temat samopoczucia Alana i zakończyła rozmowę.

- Nie sprzedaje go. Tak to bywa z plotkami. ⁵, Jez wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju. Współpraca z mężczyzną nie była łatwa. Albo inaczej:

Bramble żyła w świecie równouprawnionym pod względem płci, ale inaczej pracowało się jej z mężczyzną, który był jej równy wiekiem i, mniej więcej, doświadczeniem, niż z ojcem. Edward rządził w swojej stajni z pozycji seniora, a zatrudniani u niego uczniowie-mężczyźni zwykle byli sporo młodsi i potulni. Teraz Bramble teoretycznie mogła wszystkim zarządzać sama, ale Jez chadzał własnymi drogami i czasem zdarzały im się spięcia. Poczwała gorący rumieniec, rozlewający się po szyi. Dlaczego na porządną replikę wpadała dopiero jakieś trzy godziny po fakcie?

Nieustannie obracała w myślach wszystkie przypadki podważania jej autorytetu. Nawet poskarżyła się Felicity, która weszła po kieliszek wina.

- Zostawia bałagan w stajni? - spytała Felicity.

- Nie, ale...

- Czyści uprząż jak trzeba? Zwala na ciebie swoje obowiązki? Sprząta koniowóz? Czy jest dobrym jeźdźcem?

- Konie dobrze pod nim chodzą - przyznała Bramble.

- No to o co ci chodzi, Bramble? W czym rzecz?

- Chodzi o jego postawę wobec mnie - wypaliła. - Nie umiem tego określić.

- A co z twoim podejściem do niego? Czy przyszło ci do głowy, że to wszystko dzieje się wyłącznie w twojej głowie i że to ty powinnaś uporządkować parę spraw?

Bramble otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie udało jej się znaleźć odpowiednich słów.

Felicity miała rozbawioną minę.

- A ja myślałam, że jesteś taka rozsądna i wyrozumiała. Czy nie tak wszyscy o tobie mówią? Nie opowiadaj mi tu, że teraz dorosłaś i przekonałaś się, że świat nie jest uroczym miejscem.

- Być może - syknęła Bramble. - Jeśli to do mnie niepodobne, bo zwykle bywam wyrozumiałą osobą, to ludzie mogliby przynajmniej założyć, że może jednak miewam rację i że wcale niekoniecznie od razu oszalałam.

- Wszyscy jesteśmy szaleni - powiedziała Felicity.

- Ale to nie wskazuje na winę Jeza.

- Nie rozumiem, dlaczego stajesz po jego stronie?

- To nie kwestia stron. Chodzi o efektywność działania stajni. Moim zdaniem, nie cierpisz Jeza, bo nie jest tatą. To na tatę jesteś zła.

-1 kto to mówi? - odpaliła Bramble. - Żyjemy tu jak zahibernowani, bo tak jesteś na tatę wkurzona, że nie umiesz podjąć decyzji. A powinnaś zostać w Lorenden

- wiesz, że powinnaś - i razem ze mną poprowadzić stajnię. Tu jest twoje miejsce.

Słowo się rzekło. Zaperzona Bramble palnęła to, czego nie zamierzała mówić, a przynajmniej jeszcze nie teraz. I na pewno nie w takim *gniewie*.

Felicity zbladła.

- Nie zostanę tutaj - powiedziała. - Nie jestem jeszcze pewna, co będę robić, ale to nie znaczy, że wróciłam do Lorenden na stałe. Jeśli mój pobyt tutaj sprawia, że masz jakiegokolwiek złudzenia, gotowa jestem wyjechać dzisiaj wieczorem. Nie chcę stwarzać okazji

do wysnuwania fałszywych wniosków. Kiedy już naprawdę zdecyduję się odejść, nie chcę, żeby ktokolwiek wyobrażał sobie, że go zawiodłam.

- Nie - zaprotestowała Bramble. - Nie jedź. Nie tak chciałam. Jakoś sobie poradzimy. Tak jak do tej pory.

- Bramble, nie chcę być twoim wybawieniem - szepnęła Felicity. - Ja nawet samej siebie ocalić nie umiem... Proszę cię, nie wspieraj się na mnie. Nie sprawdzam się dobrze w takiej roli.

- Wybawienie? Ja nie potrzebuję wybawcy! Pewnie jest ci mnie żal, tej biednej Bramble, której zginął mąż i która nigdy nie wystawiła nosa poza dom, podczas gdy ty, świetna reporterka, zjeździłaś cały świat...

- Co? Co ty, na miłość boską, wygadujesz? Jedyne osoba, która się nad tobą użala, to ty sama.

- Zarzucasz mi, że narzekam?

- Nie. Zarzucam ci, że nie chcesz stawić czoła faktom. Tata zmarł i wszystko się zmienia. Poradź sobie z tym jakoś.

- Myślisz, że ja tego nie wiem? - Bramble przełknęła łzy. - Ale teraz nie odchodź. - Z trudem panowała nad głosem. - Merlin cię potrzebuje.

Nie znalazła w sobie dość odwagi, aby powiedzieć prawdę. To ona potrzebowała Felicity.

- Merlin?

Bramble pokiwała głową.

- Teraz, kiedy już doszłaś do siebie, oboje z Jezem uważamy, że powinnaś zacząć go trenować.

- Teraz to ja widzę, że chcesz mnie zamordować.

- Musisz wreszcie podjąć decyzję. Co do niego, co

do jego przyszłego losu - dodała Bramble. - Od przyjazdu kompletnie go ignorujesz. Felicity wzruszyła ramionami.

- Sami możecie się nim zająć.

- To nie takie proste. Koń jest twój, a nam przydałaby się pomoc w stajni.

- Mogę płacić jak za rezydenta.

- Nie, bo to również twoja stajnia. Nie ma mowy, żebym wzięła od ciebie pieniądze. Podejrzewam zresztą, że nie miałabyś czym zapłacić. Tak czy inaczej, chyba nie boisz się ciężkiej pracy, co?

Uśmiech Felicity był jak przedzierające się przez chmury słońce - rozpromienił całą kuchnię. Tak samo bywało przez wszystkie te lata, kiedy pojawiała się w jakimś egzotycznym stroju, roześmiana, wypijała kilka drinków, żeby zniknąć ponownie.

- No, jedną rzecz mogę przyznać uczciwie - nie boję się ciężkiej pracy. A wracając do początku naszej rozmowy, daj temu biednemu Jezowi trochę luzu - dodała. - To nie on jest sprawcą wszelkich twoich nieszczęść.

- Biedny Jez! I co jeszcze? - Bramble usiłowała zdobyć się na żartobliwy ton.

- On jest niezły, wiesz? Wprawdzie nie było mnie tu tyle czasu, ale to się czuje od razu.

- Pieprzony dzygit ze Wschodu - mruknęła Bramble z irytacją.

- Zaraz mi powiesz, że on ma jeździectwo w genach. Tysiące lat tatarskich wyczynów w siodle i tak dalej.

Na twarzy Felicity ponownie zagościł uśmiech.

- Może my wszyscy z tego, co nasze rodziny robiły

tysiąc lat temu? Wiedziałaś, że tata potrafił namówić konie do siadania? - spytała, zmieniając temat.

- Nie chcę, żeby mój koń siadał - odparła Bramble, zgrzytając zębami. - A już zwłaszcza kiedy na nim jadę.

Obie parsknęły śmiechem.

Ale to nie był koniec.

- Co to za Dreyfus o dziesiątej? Ten w kalendarzu? - spytała Bramble, idąc przez dziedziniec stajni pewnego poranka i trochę się ślizgając. Kałuże pokrywała niemal niewidoczna warstewka czarnego lodu.

Jez, który wrzucał widłami gnój do taczek, teraz się wyprostował. Chociaż Bramble niechętnie to przyznawała, ale siłą i energią znacznie przewyższał i ją, i Donnę. A nawet jej ojca. Jez był szczupły i smukły, same mięśnie, ścięgna i kości; pracował szybko, dwa razy szybciej niż wszyscy inni, robiąc przez ten sam czas trzy razy więcej niż oni. Bramble nic jednak nie mogła poradzić na ogarniającą ją urazę. Przy Jezie czuła się niezręcznie, jakby umniejszał jej rolę. Przywykła do tego, że to ona jest tą silną i to do niej wszyscy się zwracają, kiedy pojawia się problem.

- Dreyfus - powtórzyła. - Kto to?

- To nowy kowal. Pamiętasz, że stary Roberts przeszedł na emeryturę?

- A ten skąd się wziął? Jez wrócił do boksu Teddy'ego. Nie przestawał wyrzucać nawozu.

-Jago znalazłem. Bramble weszła za nim.

- Skąd pewność, że jest dobry? Co my o nim wiemy? Spojrzeli sobie w oczy. Jez, otrząsnąwszy łajno ze słomy, wprawnym ruchem wrzucił je do taczek.

- Jez. Mam prośbę. Nie podejmuj takich decyzji beze mnie. Mieszkam tu od urodzenia i to moja stajnia. Jeśli ktoś wie, gdzie w okolicy szukać dobrego kowala, to właśnie ja. - Usłyszała, że jej głos brzmi jak głos trzylatka w napadzie złości. - Jez, to nie w porządku, że zaczynasz zarządzać stajnią tak, jakbym nie istniała. W każdym razie, już zdecydowałam, że naszym kowalem będzie Nat.

Jez splunął obok sterty nawozu.

- Dreyfus jest lepszy.

Bramble zmarszczyła brwi, ale spróbowała żartu.

- To było nieco przasne, Jez. Słuchaj, stajnia jest moja i ja decyduję, kto podkuwa konie.

Jez spojrzał na nią spode łba.

- Nat jest do niczego. Słowa zawisły w powietrzu.

Do niczego jako kowal czy w ogóle? Bramble wołała nie pytać.

- Widziałam, jak podkuwał Sailora. Wie, co robi. No to byli w impasie. Bramble zdecydowała, że nie ustąpi, i patrzyła gniewnie.

Oddał spojrzenie, nie spuszczając oczu pod jej wzrokiem.

- Powiedz mi, dlaczego go nie lubisz? - Bramble miała nadzieję, że jej głos nie zabrzmiał błagalnie. Chciała usłyszeć zdanie Jeza. Chciała nawet więcej - jakiegoś logicznego, uczciwego wyjaśnienia tego, co powiedział

jej Nat. Chciała usłyszeć, że Jez nie jest złodziejem ani oportunistą. Ani kłamcą.

On jednak nadal uparcie patrzył jej w oczy, a Bramble poczuła, że to spojrzenie ją wciąga jak głęboki, silny, podmorski prąd. Miała wrażenie, że uczestniczy w dziecięcej przepychance; przegranym będzie ten, który odwróci wzrok.

Tyle że im dłużej to trwało, tym wszystko stawało się łatwiejsze. Bramble powoli opuszczały irytacja i nieufność, a to, co chciała wiedzieć, miała przed oczami, w rodzącym się milczącym porozumieniu. Jez był jak szaman, który wciągał ją wprost w płonący w jego sercu ogień.

Nie miała pojęcia, ile czasu tak stali. Rozdzwoniła się komórka Jeza, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Twój telefon - odezwała się cicho, słysząc swój własny głos jak z wielkiego oddalenia. - Nie chcesz odebrać?

Nie opuścił oczu.

- Posłuchaj - odezwała się Bramble, świadoma, że to ona zaproponuje kompromis. - Może korzystaj z usług Dreyfusa, jeśli będziesz zamawiał kowala, a ja będę dzwoniła do Nata? W sumie, może i sensownie byłoby mieć dwóch kowali, w razie gdyby jeden zachorował albo wyjechał?

Dzwonek komórki umilkł i na dziedzińcu zapanowała cisza.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Jeśli sobie tego życzysz.

Które z nich ustąpiło?

Bramble dotkliwie wkurzało, że pracował dla niej ktoś taki jak Jez. A wszystko przez tę jego niesamowitą dumę. Czy on naprawdę nie potrafił powiedzieć „przepraszam”, „myliłem się” albo „więcej tak nie zrobię”?

18.

Helena zdecydowała się wykorzystać odzyskany wolny czas i porządnie poukładać swoje życie.

Zacząła od tego, że postanowiła wszystkim kupić mnóstwo prezentów, i wyruszyła na polowanie na West End. Kaszmirowa kamizelka w serek dla Olliego. Nie, dwie, są takie praktyczne. Kaszmirowy sweterek, tym razem dla Savannah, czarny i w dużym rozmiarze. Czerń bardzo wyszczupła, a fason polo jest ponadczasowy. Helena nigdy nie kupowała taniego kaszmiru, zawsze rzeczy dobrej jakości, które przetrwają lata. Tanizna się nie opłaca, powtarzała sobie. Dla Ani wybrała sporo ubrań z Marksa & Spencera, żeby dziewczyna mogła je wymienić, jeśli jej się nie spodobają, a dla Eddiego najwyższej klasy gitarę elektryczną. Tak, jej syn potrzebował zainteresowań, które nie mają nic wspólnego z końmi. Ruby i Roly dorośli już do pierwszych porządnych rowerów. Aha, i w dzieciennym pokoju przydałby się telewizor.

Od czasu do czasu Helena zastanawiała się, czy nie wydaje za dużo, ale Ollie po ukończeniu scenariusza

miał dostać spore honorarium. Całe dni spędzał teraz w swoim gabinecie. Trzymał się ustalonych godzin - zamykał za sobą drzwi o dziewiątej rano, pojawiał się na godzinny lunch, a potem znów znikał, do szóstej. Wieczorami wypijali na spółkę butelkę wina, a jeśli któreś otwierało następną, działało się to zwykle na prośbę Heleny, a nie Olliego. Kiedy ostrożnie pytała, czy praca nad scenariuszem posuwa się zgodnie z planem, patrzył na nią gniewnie i odpowiadał, że wszystko jest w porządku. Zwykle dodawał: „Nie napieraj”, ale poza tym bywał raczej w dobrym humorze.

Teraz Helena aż jaśniała od swojej szczodrości; sobie zresztą też poprawiła humor kolekcją nowych sukienek na nadchodzący sezon towarzyski. Żeby nadal się liczyć, musiała odpowiednio wyglądać. Ot, strojenie się jako inwestycja. Sprawdziła również, gdzie teraz absolutnie należy pokazywać się na lunchu, i częściej spotykała się z koleżankami. Zdjęcia do „Drogi Simona” zajmowały ją na wiele tygodni trzy razy w roku, więc kontakty z wieloma ludźmi podtrzymywała nieregularnie. Cudownie było znów posiedzieć przy nieśpiesznie opróżnianym kieliszku szampana i ponadrabiać zaległości w ploteczkach.

Telefon od nauczyciela Eddiego nieco zaskoczył Helenę. Może już rzeczywiście pora na rozmowę o tym, czy jej syn powinien startować do Oxfordu czy do Cambridge?

Nabywcę na jednego z młodszych koni znalazł Tez, i to za wcale dobrą cenę.

Bramble wieczorami spędzała całe godziny nad rachunkami i już jej się prawie udało zorientować, na czym

stoją finansowo. Budżet mieli napięty, ale przy odrobinie szczęścia dałoby się załatać dziury. Byłoby całkiem dobrze, gdyby pozyskali jeszcze jednego właściciela - kogoś, kto trzymałby w stajni swoje zwierzęta, płacił za ich treningi i udział w zawodach. Bramble chętnie wpisałaby do kalendarza siedmiokrotnie więcej lekcji jazdy po trzydzieści funtów za godzinę, ale wtedy nie zostałoby jej ani odrobiny czasu na trenowanie koni i prowadzenie interesu. Jednak nawet gdyby pracowała całymimi dniami, bez chwili wytchnienia, nawet wtedy nie udałoby jej się zarobić tyle, żeby wystarczyło na przetrwanie. Cóż, ojciec, ze swoją reputacją, mógł sobie pozwolić na pobieranie za lekcje znacznie więcej. Tak czy inaczej, mieli Teddy'ego, a wraz z nim szansę na sukces, nie licząc innych młodych koni, z których każdy mógł (co nie było niemożliwe, ale prawdopodobne też nie za bardzo) któregoś dnia zamienić się w kolejnego kandydata na zwycięzcę. Chwilowo jednak Bramble nie zawracała sobie tym głowy.

Na razie sprzedali Chancera i patrzyli teraz, jak odjeżdża. Był przyjemnym, młodym, całkiem nieźle zapowiadającym się wałachem, a Bramble uważała, że trafił w ręce odpowiedniego jeźdźcy. Podnieśli więc z Jezem tylną klapę transportowego wozu nowego właściciela i zatrzasnęli ją bez większego żalu.

- Napijmy się, żeby to uczcić - zaproponowała Bramble, a później wyjęła książeczkę czekową i wypisała dla Jeza pewną sumę. Jego udział w zyskach z Chancera. W kuchni - choć raz nie było w niej ludzi! - wyciągnęła jedną z lepszych butelek ojca.

- Na zdrowie! - Uniosła szklaneczkę. On uniósł swoją i spojrzał jej w oczy.

Helena siedziała naprzeciwko wychowawcy Eddiego, pana Swifta, ale ledwie rozumiała, co mężczyzna do niej mówi.

- Jak to: Eddie wagaruje? Przecież on co rano wychodzi do szkoły. Każdego dnia.

- Mam tu grafik jego obecności. - Pan Swift wskazał na leżące na biurku papiery. - I opuścił się w nauce. Grozi mu niezdanie A levels.

Helena była kompletnie zaskoczona.

- On przecież godzinami siedzi w swoim pokoju nad nauką...

- Może i spędza tam całe godziny, pani Cooper, ale ewidentnie się nie uczy. Czy w państwa rodzinie coś się ostatnio wydarzyło? Nie chciałbym być wścibski, ale czasami postawa ucznia bywa odbiciem sytuacji domowej.

Helena się oburzyła.

- Nie mamy w domu żadnych problemów. To znaczy.. . Fakt, kilka miesięcy temu zmarł dziadek Eddiego, ale nie sądzę, żeby syn był z nim związany aż tak blisko... - Urwała, przypominając sobie reakcję Eddiego.

Pan Swift obserwował ją uważnie.

- Może warto byłoby porozmawiać z Eddiem na ten temat.

- On nie chce ze mną rozmawiać - przyznała Helena. Mówiła to z bólem, a każde słowo raniło ją jak nożem. Zawsze byli tacy sobie bliscy! Tak bliscy. - To na pewno zwykły bunt nastolatka - podsunęła.

- Niełatwo jest być nastolatkiem. One rzeczywiście potrafią być mocno niechętnie nastawione do współpracy, ale zwykle za prowokacyjnym zachowaniem kryje się realny powód. Nie da się tego tak po prostu zwalić na hormony. Poza tym, Eddie jest trochę zbyt dojrzały na taki schemat. On już skończył siedemnaście lat.

- Tak... Oczywiście, pomówię z synem - obiecała Helena, przełykając łyżę i pośpiesznie chwytając torebkę. Nie mogła tego znieść. Nie jej kochany Eddie! Może ktoś mu dokuczał? Może był silniej związany z Edwardem, niż jej się zdawało? A może to ta kokietka, Donna, albo jakaś inna dziewczyna?

Wypadła z gabinetu pana Swifta niczym anioł zemsty, postanawiając, że dotrze do źródła problemu i stanowczo się z nim rozprawi.

Następnego popołudnia odbyły się postrzyżyny Merlina i Teddy'ego. Stalowszara sierść Merlina lśniła teraz, podkreślając kształt kryjących się pod nią mięśni. Paradował jak nowo odkryta gwiazda, długim krokiem, z imponującą świadomością własnej urody. Jez, w ciemnej kurtce, chociaż raz szczelnie zasuniętej ze względu na pogodę, odznaczał się podobną gracją ruchów.

Rozmawiał z Bramble, przekrzykując porywisty wiatr.

- Musimy kupić kilka nowych koni, nie sądzisz? Gdybyśmy choć parę razy w sezonie zarobili tak jak na Chancerze, to już za rok różnica byłaby odczuwalna.

- Mógłbym pojechać do Irlandii - podsunął Jez. - Mam tam parę sensownych kontaktów.

Bramble zeszywniała. W przeszłości po konie zawsze jeździł Edward, teraz była kolej na nią.

- Sama myślałam, żeby jechać - powiedziała. - A nie możemy oboje naraz.

Ponownie znaleźli się w impasie.

Stępa dotarli do długiego pola, na pozór nieskończonego pasa gołej ziemi, gdzie puścili konie galopem. Zwolnili w pobliżu niewielkiego, ale stromego wzgórza, które doskonale nadawało się do ćwiczenia końskich płuc i tylnych nóg.

- Jeszcze raz galop? - zaproponowała Bramble, wciąż strapiona niedawną wymianą zdań. - Powinny się porządnie przewietrzyć.

Jeździł skądś. Skrócili nieco strzemiona, a konie, natychmiast wyczuwając zmianę atmosfery, ruszyły klusem. Spragnione ruchu, na polecenie *jeźdźców skoczyły* przed siebie.

Na prowadzenie wysunął się Merlin, co przy jego wyścigowym temperamencie nie było niespodzianką, więc Bramble wbiła pięty w boki Teddy'ego i poczuła pod sobą zaskakującą moc. Jej koń biegł tuż obok pracującego zadu Merlina, a jego łopatki i przednie nogi poruszały się *niczym* tłoki. Bramble pozwoliła sobie na jedno, króciutkie zerknięcie w bok i zobaczyła uśmiechniętą twarz napawającego się prędkością Jeza.

I wtedy się to stało. Teddy, który zawsze lubił prowadzić, postanowił, że nie da się usunąć na drugi plan. Naparł na wędzidło i Bramble poczuła, że traci nad zwierzęciem jakąkolwiek władzę. Stała w strzemionach w na wpół uniesionej pozycji już od jakiegoś czasu i zaczynały ją

boleć uda. Znienacka ogarnął ją przemożny strach. Przez krótkie dziesięć sekund jechała jak szybkobieżny pociąg! Mimo jej niewątpliwych umiejętności i użycia całej siły koń ponosił. A ona nie była w stanie go zatrzymać.

U stóp wzgórza oba konie zwolniły jednak bieg i Bramble wreszcie zapanowała nad wodzami. Dotarli z Teddym na szczyt wzgórza niemal równocześnie z Merlinem. Przeszli w kłus, a potem do stępa, cała czwórka uspokajała oddechy. Bramble, której wiatr wycisnął z oczu łzy, dyszała ciężko, zaszokowana tym, czego właśnie dowiedziała się na własny temat. Kilka sekund nieuwagi na nagim polu pośrodku pustkowiecia uszło jej na sucho, ale w zawodach na najwyższym poziomie mogło oznaczać różnicę pomiędzy wygraną a przegraną, poważną kontuzją a upadkiem. Między życiem a śmiercią. Jej ojciec miał rację - ona i Teddy nie byli parą zwycięzców.

Jez zawrócił Merlina i przystając obok, uniósł dłoń, chcąc przybić Bramble piątkę.

Klepnęła jego dłoń, wciąż roztrzęsiona i wściekła. Na siebie.

- Co się stało? - spytał, nagle zatroskany. Za jego plecami Bramble widziała Lorenden. Pod osłoną wzgórza, chronione przez otaczającą go ziemię, w zimowym świetle przypominało biały, ślubny tort.

- Nic - wysapała, z gardłem obolałym od prób złapania tchu w lodowato zimnym powietrzu. Widziała spływające po twarzy Jeza strumyczki i to samo czuła na własnej skórze; pot niemal natychmiast obsychał pod wpływem wiatru. Jez ściągnął Merlinowi wodze i oboje przystanęli, zwrócenii do siebie twarzami.

- O co chodzi? - Czytał w niej jak w książce.
- Jedź do tej Irlandii - powiedziała, nie do końca rozumiejąc, dlaczego tak postanowiła. - Stajni przydadzą się nowe kontakty.

Ze wszystkich stron wzgórza w dół zboczy zbiegały brunatne, gołe pola chmielu i bezlistne owocowe drzewa. Nad głowami jeźdźców zawisła pustułka. Jez uśmiechnął się szeroko i wbijając pięty w boki Merlina, ruszył w stronę domu. Ciemne sylwetki odcinały się na tle waniliowego nieba.

Serce Bramble wciąż nie mogło się uspokoić.

19.

Nat zabrał Bramble na imprezę. We włoskiej restauracyjce z dyskoteką w piwnicy stłoczyło się ponad siedemdziesiąt osób.

Bramble miała własny system strojenia się na eleganckie wyjścia w jak najkrótszym czasie: klasyczna mała czarna albo para czarnych spodni i żakiet. Zwykle ciuchy zdawały egzamin, ale teraz krótka, czarna sukienka wydawała jej się ponura, a spodnie i marynarka - bardziej odpowiednie do biura.

Dysponując swoją częścią prowizji ze sprzedaży Chancera, uznała, że czas na odmianę. Nic spektakularnego, po prostu nowe rzeczy. Razem z nią wybrała się Felicity. Przeglądała wieszaki wprawnym okiem.

- Mnie też chyba przydałoby się coś nowego - stwierdziła. - Tyle że jestem spłukana.

Bramble zamarła. Jeśli Felicity skończyła się kasa, siostra może zechcieć sprzedać Lorenden.

- Co o tym sądzisz? - spytała, mnąc w palcach wyszywaną cekinami bluzkę.

- Mogłabyś to włożyć - powiedziała Felicity. - Właściwie uszłoby ci wszystko, ale... To czerwona sukienka daje kobiecie to coś. - Zdjęła z wieszaka aksamitną kreację o barwie głębokiego szkarłatu. - Przymierz ją. Masz świetne nogi, możesz nosić krótkie rzeczy.

Sukienka pasowała na Bramble idealnie, obciskając wprawdzie jej ciało wyścigowego charta, ale we wszystkich właściwych miejscach zmiękczała kontury.

- I jeszcze to. - Felicity wzięła do ręki parę kolczyków ze sztucznymi rubinami. - One mają odcień róż z ogrodu w Lorenden. Teraz, kiedy twoje włosy są trochę dłuższe, a fryzura nie tak surowa, możesz pozwolić sobie na styl Cyganki. I wysokie obcasy, naturalnie.

Przez pół godziny Bramble naprawdę czuła, że ma starszą siostrę. Kogoś, kto się o nią troszczy i kto wie więcej od niej samej.

Ale w drodze powrotnej znów wypłynęła kwestia pieniędzy.

- Czy prawnik mówił coś o terminie zatwierdzenia testamentu? - spytała Felicity.

Bramble pokręciła głową.

- To może jeszcze potrwać parę miesięcy, nawet do roku. Nie wiem dlaczego. - Skoncentrowała się na prowadzeniu. Zatwierdzenie testamentu oznaczało konieczność podjęcia decyzji w sprawie Lorenden.

- Mogłabyś za swoją część kupić jakiś przyjemny, mały domek.

Bramble wyczuła w głosie siostry nutkę złośliwości.

- Nie zapominaj, że jeśli sprzedamy Lorenden, będę też musiała kupić inną stajnię.

- Och, zostanie ci dość pieniędzy na inwestycję w parę porządnych koni. Jestem pewna, że stajnie mogłabyś wynajmować...

- Tu jest mój dom - odparła Bramble przez zaciśnięte zęby. -1 mam zamiar znaleźć sposób, żeby w nim zostać. Wziąć kredyt pod hipotekę, otworzyć pensjonat, cokolwiek...

Felicity tylko się roześmiała.

- Pensjonat nie spłaci pożyczki, którą musiałyś zaciągnąć. A zresztą, po co miałabyś zawracać sobie tym głowę, skoro możesz osiągnąć cel inaczej?

- W tym miejscu działa moja firma. Wszyscy mnie tu znają.

- Wszyscy znają cię jako Bramble Kelly z Lorenden - powiedziała Felicity. - To właśnie z tego nie chcesz zrezygnować. Z bycia osobą, która mieszka w tym wspaniałym, wielkim domu. Nie czułabyś się taka ważna w małej wiejskiej chałupce, prawda?

Bramble usiłowała nie rozwalić samochodu.

- Nie obchodzi mnie, co myślą inni. I nie czuję się ważna. Po prostu kocham swój dom.

- U wszystkich ludzi wyobrażenie o samym sobie jest silnie związane z domem rodzinnym - powiedziała Felicity nieśpiesznie. - To dlatego wyjechałam stąd dawno temu. Widziałam, że z powodu Lorenden zaczyna nam się wydawać, iż jesteśmy lepsi od innych.

- A więc - odezwała się Bramble, usiłując mówić spokojnie - podjęłaś decyzję, tak? Jak tylko testament okaże się ważny, staniesz po stronie Heleny i ruszamy ze sprzedażą?

- Tego nie powiedziałam - odparła Felicity. Zapaliła papierosa.

- Bardzo cię proszę, nie pal w samochodzie. - Bramble zdała sobie sprawę, że ojciec miał rację. Z Felicity są same kłopoty.

Tego wieczoru Bramble znalazła butelkę olejku do kąpieli, podarowaną jej parę lat wcześniej, i zmusiła się, żeby poleżeć w wannie, ignorując wrażenie, że ma na ramieniu papugę skrzeczącą o kolejnych obowiązkach. Nieśpiesznie nałożyła róż na policzki, powoli umalowała usta, narzuciła na siebie sukienkę, która otuliła ją łagodnie, jak pieszczota. Stała przed lustrem i zobaczyła w nim zupełnie inną kobietę.

- Lepiej już nie będzie - powiedziała do siebie. - Bramble Kelly, wstępną prezentację przed gonitwą zaliczyłaś.

- Mamo? - odezwała się Savannah, mijając ją w drodze do swojego pokoju. Bramble akurat schodziła na dół.

Zmusiła się, żeby nie zakrywać sukienki płaszczem.

- Wyglądasz okej. W sumie całkiem nieźle - rzuciła Savannah, a potem pobiegła na górę i zamknęła za sobą drzwi.

Bramble zdobyła się na uśmiech.

Jez wyszedł z kuchni do holu.

- Czy ktoś widział Bramble? - Przystanął i spojrział; poczuła się jak na wybiegu na pokazie mody.

- Ładna sukienka. - Odchrząknął.

- Dziękuję. Idę z Natem na przyjęcie.

Przez jego twarz niespodzianie przemknął cień, którego nie umiała odczytać. Jez najwyraźniej chciał jej coś powiedzieć.

Zazwyczaj starała się nie wspominać przy nim o Nacie. Teraz opuściła wzrok na kokardki przy czubkach swoich pantofli. Ładne, ale trochę nie w jej stylu.

Oboje stali bez ruchu.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? Jego głos dobiegał z bardzo bliska.

- Nic nie robię. - Nie musiała się tłumaczyć. Nie Jezowi. - Po prostu idę na imprezę. Raczej mi to nie zaszkodzi. - Podniosła na niego wojownicze spojrzenie. - Nat to miły człowiek - dodała.

Jez się odwrócił. -Nieprawda.

- Słuchaj, albo mi powiesz, co masz przeciwko niemu, albo przestaniesz wreszcie rzucać te mroczne aluzje i groźne spojrzenia. Jeśli jest coś, co powinnam wiedzieć... - Miała wrażenie, że Jez zaraz coś powie, ale nic z tego.

- Sama go zapytaj. Musisz dokonywać własnych ocen.

Bramble zawahała się.

- A tak w ogóle, po co mnie szukałeś?

- Hm, nic takiego. Chciałem tylko powiedzieć, że dzwoniła Pauline. Prosiła o telefon.

Przeszli do kuchni i Jez otworzył niewielkie drzwi obok kominka, prowadzące do mieszkania na poddaszu. To była najstarsza część domu - elżbietańskie palenisko, które przetrwało z czasów pierwotnej zabudowy,

a tuż obok wąziutka, kręcona i straszliwie stroma klatka schodowa, o stopniach zniszczonych i niemal zbyt wąskich na współczesne stopy. Wiła się wokół przewodu kominowego i kończyła dwojgiem drzwi - jedne prowadziły do gościnnego pokoju, drugie zaś, piętro wyżej, na poddasze. Bramble dostrzegła na podjeździe światła samochodu Nata.

- Na razie, Jez - odezwała się z wymuszoną swobodą. Zanim zdążyła wyjść, złapał ją za ramię. Poczowała jego palce przez płaszcz.

- Co Nat Croft mówił ci o mnie? - mruknął niskim głosem.

- Nic - odparła, wyrywając rękę. Kompletnie nie umiała kłamać.

- Bramble! - zawołał za nią, kiedy już wychodziła. Obejrzała się.

-Tak?

- Bądź ostrożna. - Ta twarz, tuż obok małych drzwi, protekcyjnalne spojrzenie. A może to pogarda?

- Umiem zadbać o siebie.

Wsuwając stopy do samochodu i cmokając Nata w policzek na powitanie, pomyślała, że przez tę swoją ostrożność zmarnowała już ładnych parę lat życia.

Restauracja pękała w szwach. Nat powiesił ich znoszone płaszcze na zatłoczonym kołku za drzwiami i Bramble po raz pierwszy zobaczyła go w garniturze. Ciemnoszary, dobrze skrojony, zapinany na pojedynczy guzik. Nat włożył do niego granatową koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Wyglądał - Bramble musiała to przyznać - imponująco.

Zupełnie jak ktoś, kto ma władzę. Gdzie się podział ten sympatyczny facet, z którym od czasu do czasu chodziła na drinka? Formalny strój pasował do klasycznych rysów jego twarzy i sprawiał, że nawet fryzura Nata zdawała się raczej wystylizowana niż niedbała.

- Cześć, Nat! - Ktoś z sympatią klepnął go po plecach. A Bramble pomyślała, że ludzie go lubią.

- Świetnie wyglądasz! - powiedział, spoglądając na nią z błyskiem w oku i podając zgiętą w łokciu rękę. - Trzymaj się mocno, bo mi zginiesz w tym ścisku. Rozejrzyjmy się za czymś do picia.

Ujęła go pod ramię gestem naturalnym i jak najbardziej na miejscu, a Nat umiejętnie przetaił im drogę do baru i zamówił dla niej kieliszek białego wina. Salka była tak zapchana ludźmi, że nikt nie zwracał uwagi na ich wzajemną bliskość; Bramble przez cały wieczór czuła przy sobie ciepło męskiego ciała. Panował tak donośny hałas, że musiała zbliżać usta do jego ucha.

- Pamiętaj, że dziś wieczorem nie musisz prowadzić. Weź sobie jeszcze jeden - szepnął i rozpoczął prezentację. Wśród ludzi było wielu znajomych Bramble, których nie widziała od lat.

- Wyglądasz wspaniale - mówili. - Fantastyczna sukienka! I podobają mi się te dłuższe włosy.

Przyjemnie było ponownie do kogoś należeć. Nawet przez jeden wieczór.

Helena z trudem przedzierała się przez ulice w godzinach szczytu, cały czas obracając w myśli słowa pana Swifta.

Ania przed telewizorem prasowała rzeczy, bliźniaki siedziały na sofie i jadły owoce.

- Gdzie Eddie? - spytała Helena ostro.

- Na górze, w swoim pokoju.

Wpadła na piętro i otworzyła zamasyście drzwi do sypialni syna. Pokój był pusty.

- Ania! - krzyknęła. - Ania, chodź tu natychmiast! Gdzie jest Eddie? Gdzie on jest?

Z gabinetu wystawił głowę Ollie.

- Co to za hałasy? Jak ja mam pracować w takich warunkach...?

Dzwonek do drzwi zastał Anię na schodach.

- Otwórz, proszę! - zawołała do niej Helena. - Ollie, musimy pomówić o...

Do holu weszli dwaj mężczyźni - jeden niedźwiedzio-waty, a drugi wprawdzie niższy, ale też mocnej budowy. Obaj mieli ogolone twarze, krótko przystrzyżone włosy, niebieskie koszule z tanimi krawatami i buty o masywnych noskach.

- Oliver James Cooper? - spytał ten o posturze niedźwiedzia, trzymając w dłoni notes i pióro.

- O co chodzi? - spytał Ollie. - Kim panowie są?

- Komornicy.

- Komornicy? - Helenę aż za tchnęło. - To na pewno jakaś pomyłka...

- Nic podobnego. - Facet zaczął notować. - Szeroko-ekranowy odbiornik telewizyjny. Zmierz go, Rob, dobrze? DVD. A to co? - Wskazał na stertę toreb z drogich butików, opartą o ścianę salonu. Świeżo zakupione przez Helenę prezenty.

- To moje. Nie wolno wam tego ruszać. - Helena zaczęła zbierać torby trzęsącymi się ze zdenerwowania dłońmi. Co tu się dzieje? Dlaczego Ollie nie reaguje?

Poczuła potężne, silne ręce.

- Przepraszam panią, ale to pani mąż i odpowiada pani za jego długi.

- Nie, to na pewno nieprawda. - Bezskutecznie usiłowała wyrwać facetowi torby. - Proszę stąd wyjść! Bo wezwę policję!

- Może sobie pani dzwonić, gdzie pani chce - odparł Rob, grzebiąc w stosach delikatnej bibułki wielkimi, wytatuowanymi łapami. - Nowe swetry. Na metkach stoi, że kaszmir. Zapisz to, Andy. A tu jaka ładna para spinek do mankietów! Z Bond Street.

-Dość! Proszę przestać! Podam was do sądu! Nie wolno wam tego robić... I to przy dzieciach!

- Proponuję, żeby zabrała pani dzieciaki na dół - powiedział Andy.

Na rozpaczliwe znaki Heleny Ania wycofała się do sutereny, zabierając ze sobą Ruby i Roly'ego. W górę schodów niósł się cichy płacz maluchów. Ollie nie zrobił nic.

- Czy panowie wiedzą, kim jestem? - spytała ostro Helena.

Andy i Rob, absolutnie niewzruszeni, ledwie raczyli rzucić na nią okiem.

- Wiemy, ile wynoszą długi pani męża. Jesteśmy tutaj, żeby je odebrać.

- Poskarżę się waszym zwierzchnikom! - Helena walczyła ze łzami. Dwaj mężczyźni nadal coś spisywali,

rozglądając się po wnętrzu. - Przecież to nie dotyczy ludzi takich jak my! Jak można tego nie rozumieć?

- Ten koń... - powiedział Andy. - Chyba trochę jest wart, nie sądzisz?

- On należy do mojego ojca. - Helena rzuciła się przed siebie. - Nie wolno wam tego dotykać! Nie ośmielicie się!

Rob uniósł rzeźbę, jakby nic nie ważyła, i wetknął ją sobie pod ramię.

- Akurat! Na razie zabierzemy sobie wyłącznie to. Zadatek, że tak powiem. Znaczy, że zostawimy pani te prezenty. To taka grzeczność z naszej strony.

- Czego wy chcecie? - wrzasnęła Helena, bezskutecznie szarpiąc komornika za łokieć. - Proszę mi to natychmiast oddać! To jest... To jest... To nawet nie jest moje, tylko mojej siostry!

- W takim razie niech siostra się do nas zgłosi i odbierze swoją własność. Naturalnie, kiedy już otrzymamy zwrot pieniędzy. Do tego czasu mamy prawo zabrać z domu, co nam się podoba.

Helena wisiała u ramienia Roba, usiłując zaryć się obcasami butów w gładką, drewnianą podłogę i nie pozwolić mu wyjść. Mocno zacisnęła palce na chwyczonej garścią połyskliwej niebieskiej marynarce, ale poczuła, że zaczyna niepowstrzymanie sunąć w ślad za mężczyzną. Włosy opadły jej na oczy, przesłaniając pole widzenia.

- Stać! Zapłacę! Zapłacę.

Rob podał konia z brązu Andy'emu.

- Trzy tysiące dwieście funtów.

- Ollie? Czy to prawda? Ollie zakaszłał.

- Ja... eee... Mogłem zapomnieć o uregulowaniu długu na którejś karcie kredytowej. Ale to zwykłe przeoczenie. Przeoczenie, słyszysz mnie? - Miał piskliwy głos. - Wniesiemy skargę do najwyższych władz!

- Trzy tysiące dwieście funtów - powtórzył Rob. - Albo zabieramy konia.

Z tchem zapartym ze strachu Helena poszukała torebki. Drżącą ręką wypisała czek.

- Jeśli nie będzie miał pokrycia, wrócimy - obiecał Andy, rzucając rzeźbą o podłogę. Koń z hukiem wylądował na boku, a Helena rzuciła się, by go podnieść. Odlew był cały, ale drewniane deski - porysowane.

- Zniszczył mi pan podłogę! - krzyknęła.

- Wrócimy - powtórzył Andy. - Jeśli czek będzie bez pokrycia.

- To nie jest jeszcze koniec sprawy! - krzyknęła za nimi. Zatrzasnęła drzwi i obejrzała się za siebie. Przestraszone twarze Ani, Ruby i Roly'ego zerknęły ze schodów prowadzących do sutereny, Ollie właśnie wycofywał się w stronę gabinetu.

- Ollie! - wrzasnęła. - Ollie, co się tu, do diabła, dzieje?! - Zbiegła za nim po schodach. - O co w tym wszystkim chodzi?

Dopadł gabinetu tuż przed nią, wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Helena usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza. Zaczęła szarpać za klamkę.

- Wpuść mnie, Ollie, natychmiast! Ale już! Słyszysz mnie?! Żądam, żebyś mi to wyjaśnił! - Z wściekłością Pociągnęła za klamkę, a potem zaczęła gniewnie kopać w drzwi. - Wpusz... czaj... mnie!

Eddie, który właśnie otworzył frontowe drzwi, zobaczył *stojącą* na podeście schodów matkę, dobijającą się do gabinetu Olliego. Przystanął. Tyczkowaty niedorostek, z ramionami zwieszonymi wzdłuż boków.

- Ty! - wrzasnęła do niego Helena, obracając się na pięcie. - A gdzie ty się podziewałeś?!

- Hm. Miałem zajęcia do późna. - Chciał się wymknąć schodami na dół, do kuchni, ale matka złapała go za ramię. - O nie, nieprawda - syknęła. - Rozmawiałam ze szkołą. Wezwano mnie, rozumiesz? Mnie. Upokorzono mnie i kazano wysłuchiwać, że wagarujesz! Jak pospolity ulicznik.

Eddie wyrwał z jej uścisku połę swetra.

- On - ostrym ruchem głowy wskazał drzwi do gabinetu Olliego - upokarza cię chyba znacznie skuteczniej. Ja aż tak dobrze nie potrafię.

- Nie będziesz mi tu pyskował! I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! A ty mi sprawiasz taki zawód! Samemu sobie zresztą też. Jak się nie weźmiesz w garść, wszystko w życiu schrzanisz.

- Mam to gdzieś. Nie chcę zdawać A levels i nie chcę się uczyć w tej szkole. Nie zostanę tam ani chwili dłużej, bo...

- Nie chcesz zdawać A levels? Czyś ty oszalał? Czyś ty kompletnie oszalał?! Jak w ogóle zamierzasz sobie poradzić w życiu?!

Eddie twardo schodził na dół, nie odpowiadając na pytania, ale Helena ponownie złapała go za sweter. Ollie wykorzystał ten moment, żeby cicho wymknąć się z gabinetu, zamknąć za sobą drzwi i na palcach ruszyć

w stronę wyjścia z domu. Helena kątem oka dostrzegła jego skarpetki i znów rzuciła się w górę schodów, na parter.

- Dokąd to, Ollie? Odpowiedz mi! Muszę z tobą porozmawiać!

Ollie wyszedł.

- To jakaś pomyłka - powiedział jeszcze z ulicy. - Zwrócę ci pieniądze, jak mi zapłacą za scenariusz. Mam teraz z kimś wywiad. Niedługo wrócę. - Lekko pomachał dłonią. Ruszył przed siebie szybkim krokiem, przechodząc przez jezdnię i znikając w sąsiedniej uliczce. Poza staniem na wycieracze i wrzaskiem Helena nic nie mogła zrobić, a nie chciała, żeby sąsiedzi zaalarmowali prasę.

Na dole Eddie nonszalancko popijał mleko z wielkiej szklanki, a Ruby i Roly siedzieli skuleni na kolanach Ani, która czytała im jakąś bajkę. Gdyby z zewnątrz zajrzeć do naszej sutereny przez okno, pomyślała Helena, gdyby zerknąć z tego zimowego mroku w fałszywe słońce halogenowej kuchennej lampy, można by pomyśleć, że stanowimy normalną rodzinę...

Rodzinę, która właśnie się rozpada. Wzięła głęboki oddech.

- Eddie, proszę cię, pomówmy.

- Okej, okej - powiedział, przewracając oczami. - Nie martw się, przestanę urywać się z lekcji.

Nie była pewna, czy ma w to wierzyć, czy nie, ale musiała wziąć zapewnienie syna za dobrą monetę.

- Mamo... - odezwał się Eddie po chwili. - Ollie jest do niczego.

- Przestań - szepnęła, wyciągając go poza zasięg

uszu Ruby i Roly'ego. - W całej tej awanturze chodziło wyłącznie o pieniądze. Ollie bardzo słabo orientuje się w takich sprawach i zdarzyło mu się zapomnieć o rachunku. Który, z jakiegoś powodu, został przekazany zawodowym windykatorom długów. To dość skrajna sytuacja, ale tego typu rzeczy się zdarzają, jeśli człowiek ma umysł pochłonięty innymi sprawami. Z geniuszami często trudno się żyje. Sam wiesz, że „Vogue” określił go jako jednego z najlepszych pisarzy pokolenia...

- „Vogue” - skrzywił się kpiąco Eddie.

- „Vogue” - powtórzyła dobitnie Helena. -1 całe mnóstwo innych ludzi. Kiedy wróci, zamierzam z nim porozmawiać. Przede wszystkim zmuszę go, żeby przekazał mi wszystkie swoje rachunki. Tu chodziło o bardzo małą sumę, o zaledwie trzy tysiące funtów. Nic, jak się spojrzy na to wszystko - ruchem ręki ogarnęła nieskazitelny pokój. - Dostałam dziś rano czek na trzydzieści tysięcy za ostatni fragment pracy nad Mattie...

- Posłuchaj, mamó... - przerwał jej Eddie chrapliwie. - Nie chcę już dłużej chodzić do żadnej szkoły. Nienawidzę tego. Nienawidzę końcowych egzaminów. Nie chcę iść na studia. Chcę zostać jeźdźcem.

Helena popatrzyła na niego, zdjęta nagłym przerażeniem. Spełniał się właśnie najgorszy koszmar. Gorszy niż najgorszy!

- Nie! - krzyknęła. - Idź na górę, do swojego pokoju! Natychmiast! Nie zdajesz sobie sprawy, ile dla ciebie zrobiłam? Tak mi teraz odpłacasz? Nie schodź, dopóki nie będziesz gotowy porozmawiać sensownie.

Posłusznie poszedł na górę i zatrzasnął za sobą drzwi.

Helena doskonale pamiętała, jak zginął jej szwagier. To był cudowny, słoneczny dzień i oni oboje, Bramble i Dom, startowali w zawodach. Helena, razem z kilkudziesięcioma innymi widzami, znalazła sobie pagórek z dobrym widokiem na trzy czy cztery przeszkody crossu i rozsiadła się na trawie, opalając nogi i patrząc, jak jeźdźcy galopem wyłaniają się spomiędzy drzew, jadą w stronę rowu, przez wodę, a potem w górę, w kierunku kilku płotów z gałęzi, kierując się później w stronę niżej położonej drogi. Położyła się na plecach i zdrzemnęła przez moment, nie słuchając głosu komentatora. Nagle wszystko ucichło.

Usiadła.

- Jakaś przerwa? - spytała najbliższą sąsiadkę. Kobieta zmarszczyła brwi.

- Zdaje mi się, że ktoś zaliczył upadek.

- Słyszała pani może, czy moja siostra i szwagier już wystartowali? - spytała Helena z lekkim niepokojem. - Dom Kelly albo Bramble Kelly? Na Jack of Ali Trades i Sugarplum?

- Chyba słyszałam to nazwisko, ale nie zwróciłam uwagi.

Komentator zatrzeszczał coś o pięknym słonecznym dniu, a potem zwrócił się z podziękowaniem dla Wellies & Co za sponsorowanie zawodów już trzeci rok z rzędu.

- To zawsze zły znak, kiedy komentator zaczyna gadać o pogodzie - odezwała się sąsiadka Heleny. - Albo o sponsorach. To znaczy, że mają jakiś zator, o którym nie mogą wspominać.

- Chyba pójdę i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Dojście z powrotem do miejsca, gdzie trawiasty pagórek wyznaczał początek trasy, zajęło Helenie mniej więcej dwadzieścia minut. Nie była nawet zdenerwowana, tylko leciutko zaniepokojona.

- Słyszała pani? Jakiś koń się zabił - powiedział ktoś w przelocie. Kolejna osoba poinformowała ją, że jeździec spadł i stracił przytomność. Nikt tylko nie wiedział, o kogo chodzi.

Helena przedzierała się przez rozchodzący się na wszystkie strony tłum ludzi. Byli milczący i zgnębieni.

- Co się stało? - zaczęła kogoś, kto wyglądał na organizatora.

- Pewien jeździec... hm... uległ wypadkowi - odparł mężczyzna.

- Moja siostra? - krzyknęła Helena. - Bramble Kelly? Na twarzy tego człowieka przez moment rysowało się wahanie.

- Nie wiem - powiedział. - Proszę się dowiedzieć w namiocie sekretarza.

Helena rzuciła się biegiem, zaczepiając po drodze ludzi.

- Czy wiedzą państwo, co się stało? Słyszeli państwo, kto to? - pytała bez tchu.

Nikt nic nie wiedział.

Na widok Bramble, która usiłowała zapanować nad koniem stojącym w boksie startowym, Helena osłabła z ulgi.

- Co to za przestój? - zdenerwowana Bramble nachyliła się, wołając do siostry. - Trzymają mnie tu już

czterdzieści minut i nikt mi nic nie mówi. Ktoś miał wypadek?

- Chyba naprawiają jakąś przeszkodę - skłamała Helena. - A gdzie Dom?

- Wyruszył dwa konie przede mną. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Na szczyt pagórka wspiął się szybkim krokiem Edward Beaumont z poszarzałą twarzą. Złapał Helenę za ramię i pociągnął ją za przenośną toaletę, ustawioną niedaleko boks startowego.

- Dom zginął - szepnął. - Zabiorę Sugarplum, a ty się zajmij Bramble. Dopilnuj, żeby go nie zobaczyła, dobrze? Nie wolno jej go oglądać!

Helena, zaszokowana, usiłowała pozbiierać myśli.

- A co, jeśli będzie chciała? Przecież chyba ma prawo...?

- On nie wygląda, jakby spokojnie spał! - syknął Edward. - Kiedy pół tony konia ląduje na człowieku przy prędkości trzydziestu mil na godzinę, niewiele zostaje. Rozumiesz? Krew, flaki, gałki oczne i tak dalej!

Przerażona Helena aż się cofnęła.

- Tu nie może chodzić o Dorna - powiedziała. - Mieliśmy potem iść wszyscy na drinka... - Nie mieściło jej się w głowie, że szwagier, który kilka godzin wcześniej śmiał się i z nią żartował, już się z nią nie napije.

- Zrób po prostu, co możesz. Zajmij się nią. - Edward poszedł w stronę Bramble i odebrał od niej wodze.

Helena patrzyła, jak jej siostra osuwa się na ziemię. Minęły miesiące, zanim zdołała wygnać sprzed oczu obraz pogruchotanego i zakrwawionego Dorna. „Krew,

flaki, gałki oczne...". Obrazy nie chciały przestać jej prześladować.

Siedem lat później, patrząc na oddalające się plecy rozgniewanego syna, słysząc z jego ust, że chce zostać jeźdźcem, Helena z trudem opanowała podchodzące jej do gardła mdłości. To się nie może zdarzyć dwa razy w jednej rodzinie! Byłaby kompletnie nieodpowiedzialna, gdyby pozwoliła Eddiemu narażać się na takie niebezpieczeństwo!

Znów zeszła na dół, by odciążyć Anię, i zagoniła Ruby i Roly'ego do pięknie urządzonego dzieciennego pokoju. Uśmiechając się, sprawdziła, czy dzieci porządnie wy-szczotkowały zęby, a potem przeczytała im ulubioną bajkę. Bez opuszczania stronic. Helena miała wrażenie, że właśnie odgrywa rolę idealnej matki, podczas gdy jej umysł błądzi myślami gdzie indziej. Liczyła na to, że bliźniaki tego nie zauważą.

Po trzech książeczkach dzieci nadal nie wykazywały najmniejszych oznak senności.

- Mamusiu - odezwała się nagle Ruby. - Kim byli ci panowie? Helena odgarnęła włosy córeczki.

- To tacy paskudni ludzie, którzy przyszli po trochę pieniędzy tatusia. Bardzo nieładnie się zachowali. Tatuś się na nich poskarży. Ale oni już tutaj nie wrócą, więc nie wolno wam się nimi przejmować. - Przyszła jej do głowy pewna myśl. - **1** nie wolno wam nikomu o tym mówić.

- To nie mogę w szkole zrobić z tego przedstawienia? - spytał Roly.

- Broń Boże! - Helena aż krzyknęła, zaskoczona. Za chwilę jednak odezwała się znowu, tym swoim melodyjnym głosem dobrej matki. - Przepraszam, kochanie, nie chciałam podnosić głosu. Nie możesz. Zresztą nie ma rekwizytów do takiego przedstawienia.

- Moglibyśmy wziąć konia.

- Konia?

Helenie, wciąż przerażonej pragnieniem Eddiego, przez krótką, histeryczną chwilę stanęła przed oczami Bramble, siodlająca jednego ze swoich wierzchowców, by przyjechać do Londynu. Zaraz potem wyobraźnia podsunęła jej obraz całej szkoły, zbierającej się wokół niej, żeby wysłuchać, jak w domu Heleny Harris pojawili się komornicy.

- Rzeźbę dziadka - dodał Roly.

- Ach, to. Nie, kochanie, absolutnie wykluczone. Ten koń jest zbyt cenny. A poza tym... Tamci paskudni ludzie muszą pozostać naszym sekretem.

- Dlaczego?

- Bo tak. - Wstała szybko. - A teraz proszę spać i zapomnieć o wszystkim.

Przez resztę wieczoru nerwowo chodziła po domu, nasłuchując, czy nie wraca Ollie. Spróbowała zadzwonić na jego komórkę, ale aparat był wyłączony. Poszła nawet na chwilę do pubu, stawiając czoło zimnu, ciemności i bezczelnym zaczepkom dwóch pijanych nastolatków. Ollie go nie było. Helena przesuwała palcem po nazwiskach w wizytowniku, a potem zamykała go z trzaskiem, nie chcąc przyznawać się nikomu, że nie ma pojęcia, gdzie podziewa się jej mąż. Trzy razy otwierała frontowe

drzwi, bo wydawało jej się, że słyszy za nimi kroki, ale za każdym razem był to jakiś obcy człowiek, szybko mijający ich dom w świetle ulicznej latarni. Helena przeszukała już wszystkie szuflady, ale nie znalazła zapasowego klucza do gabinetu męża, za to znalazła koperty. Otwarte i takie, które zostały bezładnie wciśnięte w kąt bez otwierania. Mniej więcej ze dwadzieścia.

Przysiadła na krześle i zaczęła je kolejno przeglądać. Każda napęniała ją rosnącym lękiem i gniewem.

A Ollie nie wracał.

Savannah zobaczyła swoje odbicie w oknie. Ciemność panująca na zewnątrz pozamieniała okna Lorenden w lustra, ale nawet pocięty na poszczególne szybki obraz pokazywał jej wyraźnie, że wciąż jest, pod każdym względem, o wiele obszerniejsza niż inni. I czuła się nieprzyjemnie pełna, bo właśnie pochłonęła trzy czekoladowe batoniki. Nie zdołała się powstrzymać.

Uniosła wyżej brodę. Korciło ją, żeby wymusić wymioty, ale nie zamierzała popełnić tego błędu i popaść w bulimię. Za dużo już wiedziała o odżywianiu, żeby pójść tą drogą. Dopisze do swojego zwykłego planu dnia jakieś dodatkowe ćwiczenia i od jutra zacznie nieco ograniczać jedzenie. Nie na długo, na te parę dni, dopóki nie odpracuje czekolady.

Westchnęła. Dieta miała ciągle górki i dołki, ale Savannah nie umiała już myśleć o niczym innym. Dzisiaj wstała wcześnie, żeby pójść pobiegać, a na śniadanie zjadła zaledwie jabłko i wypła czarną kawę, notując kalorie. Powtarzała sobie nieustannie, że liczby mają się

zgodzić, bo wszystko sprowadza się do odpowiedniego trzymania się wyliczeń. Zostało ci do zrzucenia zaledwie kilka funtów, a wszyscy już zdążyli zauważyć, że o wiele ładniej i zdrowiej wyglądasz, powtarzała sobie w myśli. Nawet surowe oko Heleny prześlizgnęło się po jej figurze z uznaniem i ciotka podarowała jej jeden ze swoich starych sweterków.

- Teraz, kiedy trochę spadłaś z wagi, będzie dla ciebie idealny - stwierdziła.

Jez, który spoglądał na Savannah tymi swoimi wszytkowiedzącymi oczami, na pewno widział, że jest tłusta i pękata, nie tak jak tamta drobniutka blondynka, z którą zauważyła go w pubie Pod Białym Koniem. Musisz schudnąć, szeptała w stronę okiennych szyb i zmatowiałych, posrebrzanych lusterek, które chwytały jej odbicie pod fatalnie niekorzystnym kątem. Człowiek musi być silny, żeby zwyciężać. Musi być najlepszy. Czasem Savannah miała wrażenie, że płynie przez dom jak niewidzialny duch, że spala ją jakiś wewnętrzny ogień, ale zobojętniała na wszystko inne, oprócz diety. Na duchu podnosiła ją wyłącznie myśl, że wreszcie uda jej się pozbierać do kupy własne życie.

Felicity obudziła się o trzeciej, z sercem bijącym dwukrotnie przyśpieszonym rytmem, przejęta do szpiku kości zimnym strachem, do którego zdążyła już przywyknąć. Włączyła lampkę przy łóżku i usiłowała skupić wzrok na wnętrzu pokoju. Nie, dziś już dłużej nie pośpi. Włożyła dżinsy, wsunęła sweter przez głowę i cicho zeszła na dół. Zauważyła, że drzwi do pokoju

Bramble są nadal uchylone i że łóżko jest nietknięte. Domknęła je; Bramble mogłaby nie chcieć, żeby Savannah się połapała.

Psy zamrugały sennie i zastukały ogonami o podłogę, ale nie chciało im się wstawać z posłań. Felicity wstawiła czajnik z wodą i zaczęła szykować ziołową herbatkę, otwierając szafki i po raz pierwszy ulegając atakującym ją z każdego kąta wspomnieniom. Nic się nie zmieniło. Szafki nadal pachniały przyprawami i kawą, tak samo jak w czasach jej dzieciństwa, i na tych samych półkach stały te same szklane słoje i bladozielone puszki z napisami: „Herbata”, „Kawa” i „Cukier”.

Kiedy na zewnątrz usłyszała samochód, spodziewała się Bramble, ale do środka wszedł Jez.

- Cześć. - Zdziwił się na jej widok. - Nie mogłaś spać? Pokręciła głową.

- Miętowej herbatki? - zaproponowała.

Roześmiał się; błyszcząły mu oczy, a włosy miał potargane. Felicity pomyślała, że jest lekko pijany, i zastanowiła się przelotnie, skąd wraca. Tak późno nic w okolicy nie było otwarte. Znikł na chwilę na górze, a potem zszedł na dół z butelką słodowej whisky.

- W życiu nie zasnę, jak się tego napiję. Nalał dwie szklaneczki.

- I tak nie śpisz. - Poruszył szklanką i w złotawym płynie zamigotało światło. - Chcesz mi powiedzieć dlaczego?

Felicity pokręciła głową.

- Zwykła życiówka. Każdemu się zdarza. Gadanie niczego nie odkręci.

Skinął głową ze zrozumieniem, rozsiadając się na kuchennym krześle i wyciągając przed siebie długie nogi jeźdźca.

- No i? - odezwał się po chwili zgodnego milczenia.

- Zostaniesz tym razem na dłużej?

- A ty? - odpaliła. Spojrzeli sobie w oczy. Zareagował na jej pytanie uniesieniem brwi, ale nie odpowiedział.

- No tak... Jesteśmy parą Cyganów, prawda? - powiedziała Felicity, czując palący smak spływającej do gardła whisky. - Ale Bramble nie. Bramble ma korzenie. Zazdroszczę jej.

- Ona się taka urodziła. Czegoś takiego człowiek nie może nabyć. Z umiejętnością stworzenia domu przychodzi się na świat.

- Lub nie - dodała cicho Felicity.

- Nie wszyscy muszą być tacy sami - powiedział.

- A co się dzieje między nią a Natem?

- Na razie niewiele - odparła Felicity, myśląc o pustym łóżku Bramble. - Ale jeśli masz coś przeciwko niemu, powinieneś jej to powiedzieć. Raczej wcześniej niż później.

- Znałem jego żonę, Jenny, zanim jeszcze poznałem jego. Nie w ten sposób - dodał szybko na widok miny Felicity. - Była po prostu moją znajomą. Uroczą, śliczną, szczęśliwą dziewczyną. Zrujnował jej życie.

- Znęcał się nad nią?

- Nie trzeba używać siły, żeby pozostawić po sobie blizny. Wydaje mi się, że pięści nie były jego ulubioną bronią.

- To skąd wiesz, co się naprawdę działo? - spytała Felicity. - Wszystkim nam zdarzają się toksyczne związki. Trzeba poznać sprawę z obu stron, a nawet i wtedy nie wolno oceniać ludzi.

Pokiwał głową.

- Właśnie dlatego nic nie mówię. - Nalał jej kolejną porcję whisky. - Byłaś kiedyś mężatką?

Felicity pokiwała głową.

- Przez całe sześć tygodni. Ślubu udzielił nam brytyjski konsul na jednej z karaibskich wysp. Nie pamiętam nawet, na której. Nie wiem, gdzie on teraz jest. To był właściwie taki żart. - Przytrzymała w ustach łyk pachnącego wrzosowiskiem płynu. Przełknęła. - Ale dopóki trwał, było zabawnie.

- Ktoś o tym wie? Tutaj, w Lorenden?

Felicity roześmiała się tylko, odrzucając głowę w tył.

- Nie. To było dawno temu, kiedy nadal za bardzo wściekałam się na ojca, żeby chcieć go dopuszczać do swoich spraw.

- Wściekałam się? - powtórzył łez.

- Nadal jestem zła - przyznała Felicity. - Ale on już nie żyje. W razie gdybyś nie zauważył.

Felicity lubiła rzucać wyzwania mężczyznom; nakręcało ją to i sprawiało, że uważniej słuchali jej słów. Teraz słowa zawisły w powietrzu, niewypowiedziane, a Felicity spojrzała Jezowi w oczy. Spokojnie taksował ją wzrokiem.

- Nigdy niczego nie traktujesz poważnie? - spytał.

- Jestem niereformowalna. Nie mówiono ci? - Popatrzyła na niego spod rzęs.

- Nie. - Jez nie rwał się do flirtu. - Mówiono tylko, że znakomicie jeździsz.

- Ach, cóż... To było już dawno temu. W innym kraju. A poza tym: „ta dziewczka już nie żyje” - zacytowała Dex-tera. Albo coś pokręciła z tytułem kryminału. Nieważne, Jez i tak zrozumie, o co jej chodzi.

Patrzył na nią bez słowa.

- A ty? Znaczący: czy byłeś kiedyś żonaty?

- Nie - odparł. - Nie składam obietnic, których nie umiem dotrzymać.

Po dwóch szybko wypitych na pusty żołądek kieliszkach białego wina impreza, na którą Nat zaprosił Bramble, zaczęła się zmieniać w film o przyjemnie zamazanych konturach. Nat okazywał jej zainteresowanie, ale nie przytłaczał; przedstawiał ją ludziom, a potem wycofywał się, żeby sama mogła z nimi zamienić parę słów. Bramble spotkała kilka znajomych osób - weterynarz specjalizował się w koniach, oczywiście - i wysłuchiwała zatrzęsienia łagodnych, niespecjalnie szokujących ploteczek. Dłoń Nata czuła na swoich plecach.

W dyskotecie dudniły nostalgiczne przeboje z lat osiemdziesiątych i Nat złapał ją za rękę.

- Chodź.

- Ale ja nie umiem tańczyć w tych butach! - roześmiała się.

Okazało się, że jednak umie. Najpierw miała wrażenie, że jej ciało jest niezdarne, a ruchy chaotyczne, ale potem dała się porwać muzyce. Nat ruszał się niezły, a ona naśladowała jego ruchy jak w lustrze, w rytm

hałaśliwej muzyki. Zupełnie jakby oplatały ich cieniutkie jedwabne wstążki, przyciągając z każdym krokiem bliżej siebie.

- No, mam już dosyć. - Po półgodzinie wydawało się czymś całkiem naturalnym, że oparła się o niego, zdyszana i roześmiana. Muzyka złagodniała i na parkiecie zabrzmiały melodyjne tony „Lady in Red”.

- Ten kawałek musisz jeszcze zatańczyć... Damo w czerwieni - szepnął, przyciągając ją do siebie.

Kiedy wirowali powoli, czuła, że gorąco jego ciała stapia ich w jedno, że jego garnitur leciutko ją drapie, a Nat coś cicho szepcze z wargami tuż przy jej uchu.

- W porządku? - spytał na koniec. Odsunęli się od siebie, choć ich usta wciąż pozostawały w odległości raptem paru milimetrów.

- Trochę opadłam z sił. - Ktoś podsunął im talerz z nieco podeschniętymi kawałkami pizzy, ale Bramble zmarszczyła nos. - Powinnam chyba coś zjeść, zanim zdecyduję się na kolejnego drinka.

- A może jajecznicę? U mnie?

Tak, właśnie na to miała ochotę. Na nic specjalnie wyszukanego. I była ciekawa mieszkania Nata.

Wiejski domek, kryty typową dla Kentu dachówką, miał spadzisty dach z dwoma małutkimi, mansardowymi oknami. Przy frontowych drzwiach wisiała stara kołatka, a w środku, w saloniku, dominował wielki kominek w niszy i spora kanapa. Dom był zaniedbany, ale przytulny. I nawet ładny.

- Sam to wszystko zrobiłeś? - zapytała w kuchni, która stanowiła wąskie przejście pomiędzy dwoma bardzo

zwyczajnymi rzędami kuchennych mebli pomalowanych w pastelowym odcieniu błękitu. Skinął głową.

- Kiedy się wprowadziłem, wziąłem do ręki pędzel i zabrałem się do roboty. Potem sporo mebli dokupiłem na wyprzedażach. Jenny zatrzymała wszystko. To ona dostała dom, więc nie mogła się pozbywać umeblowania.

- To nie w porządku - powiedziała Bramble, idąc ze swoją szklaneczką na sofę. - Tobie też były potrzebne meble. Sędziowie nie dzielą majątku i rzeczy pół na pół?

- Nie chciałem obdzierać własnej córki z tego, co stało w domu. To nawet lepiej, że Jenny i Gemma dostały wszystko. Nijak sobie nie wyobrażam, że miałbym z nimi walczyć.

- To bardzo szczodry gest... - Bramble przyglądała się Natowi. Zrobił zażenowaną minę.

- W ten sposób tylko bym ponapychał kieszenie prawnikom, prawda? - powiedział, odwracając się, żeby dorzucić kolejne polano do ognia. - Już wolałem zostawić całość żonie i córce.

Bramble uśmiechnęła się, a on podał jej kieliszek czerwonego wina. Rozsiadł się obok wygodnie.

- Dlaczego się rozeszliście? - spytała. Net pobladł.

- Ona miała romans - powiedział. - Zrobiła ze mnie kompletnego durnia. Wszyscy wiedzieli. Codziennie dojeżdżałem kawał do pracy, więc ciągle mnie nie było, a ona w tym czasie sypiała z innym facetem. W naszym łóżku, jak sądzę.

- To straszne. Czy ty ich... eee... przyłapałeś?

Nat pokręcił głową.

- Byli na to za sprytni. Wreszcie Jenny mi powiedziała, że zakochała się w innym, i wyprowadziła się z domu. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. Myślałem, głupi, że mam udane małżeństwo i kochającą żonę. Wszystko się zmieniło w jednej chwili.

- Ona nadal z nim jest? Roześmiał się gorzko.

- Nie, nie chciał zostawić żony. Teraz nawet żał mi Jenny. Zawiódł ją, ale wtedy było już zdecydowanie zbyt późno, by cokolwiek odbudowywać na zgliszczach.

- Przykro mi. - Bramble położyła mu dłoń na ramieniu.

- To przynajmniej nie tak straszne jak czyjaś śmierć - powiedział. - Dostaliśmy szansę, by sobie poukładać życie...

Tym razem, kiedy ją pocałował, nie przerwał pocałunku, a i Bramble wcale tego nie chciała. Nat przysunął twarz blisko jej twarzy, delikatnie musnął jej wargi, a potem poczuła w ustach smak mężczyzny i czerwonego wina. Nagła tęsknota zalała ją ciepłym, miękkim przypiływem pożądania, nieznanym od lat i nieoczekiwanym.

Łagodnie poprowadził ją na górę, do sypialni. Na piętrze było dwoje otwartych drzwi. Bramble przystanęła i zerknęła do mniejszego pokoju. Stało w nim pojedyncze łóżko z różową narzutą, a na poduszce leżały dwie lalki.

- Urządziłem ten pokój dla Gemmy. Tyle że Jenny nigdy nie pozwoliła jej tu przyjechać...

- Och, nie! To takie smutne! - Bramble zrobiło się żal Nata. - Więc jeśli chcesz się z nią zobaczyć, musisz jeździć aż do Newcastle?

- Kiedy mam wolny weekend, owszem, tak właśnie robię

- Odgarnął dłonią jej włosy i pocałował u nasady szyi. - Ale to długa podróż. Kiedyś pojechałem tam po to tylko, żeby się dowiedzieć, iż Gemma wybrała się właśnie na imprezę. Wróciłem z niczym.

- To nie do pomyślenia! Nie możesz się z tym zwrócić do sądu czy coś?

- Kiedy rodzice ciągną się po sądach, cierpią dzieci. Nie. Muszę być cierpliwy i mieć nadzieję, że Gemma zdaje sobie sprawę z mojej miłości. Masz śliczne włosy, wiesz?

A potem rozebrał Bramble, całując po kolei każdy ukazujący się skrawek jej ciała, szepcząc, że jest piękna. Zakrywała piersi, wstydząc się znaczących jej srebrzystych linii, ale on pocałunkami odsunął jej dłonie i wkrótce zapomniała o zakłopotaniu. Dyskretnie sięgnął do szufladki stolika przy łóżku po prezerwatywę, ale jakimś cudem udało mu się nie zniszczyć kruchej intymności między nimi. Bramble odebrała ten gest jako przejaw opiekuńczości. Kiedy w nią wszedł, aż krzyknęła z rozkoszy.

- Nie boli cię, prawda? - odezwał się głosem pełnym czułości, a ona uśmiechnęła się radośnie.

- Wręcz przeciwnie - odparła, przyciągając go do siebie. Nie spodziewała, że będzie się czuła tak... na swoim miejscu. Nat i to jego nienarzucające się oddanie...! Był mężczyzną, któremu mogła zaufać. A zaufanie otworzyło ją na przyjemność i szczęście, i cudowne poczucie zatracenia. Bramble pozwoliła sobie na radość z rosnącej energii jego pchnięć, aż do eksplozji rozkoszy.

- Dobrze? - zapytał, odsuwając z jej twarzy wilgotne kosmyki.

- Dobrze. - Wtuliła się w jego ramiona, zapadając w ciepło i sen.

- Jak ci się śpi na strychu? - spytała Felicity w kuchni Lorenden. - Kiedy byłyśmy małe, walało się tam mnóstwo różnego śmiecia. Kiedyś bawiłyśmy się tam w chowanego. Pamiętam taką starą klatkę dla ptaków, kawałki połamanych mebli, jakieś mundury z czasów pierwszej wojny światowej... Sufit był bardzo niski, o ile pamiętam.

- Nadal jest bardzo niski - powiedział Jez.

- Może powinnam zajrzeć na górę i sprawdzić, czy nic się nie zmieniło?

O milę stamtąd, w swojej eleganckiej sypialni, nie spała też Pauline. Za każdym razem podczas odwiedzin u Teddy'ego w Lorenden dostrzegała wyczekiwanie w jego czujnie nadstawionych uszach albo słyszała ciche powitalne rzenie. Ale widziała też pogardliwą minę Felicity. Kiedy opierała czoło o szyję swojego konia, tęskniła za Edwardem. Bez niego była tak straszliwie osamotniona! Najbardziej odczuwała tę samotność, wchodząc do domu, gdzie niegdyś aktywnie uczestniczyła we wszystkich wydarzeniach, a w którym teraz spadła do roli gościa. Zupełnie nie mogła się w tym odnaleźć. Ta dziewczyna, Donna, została zatrudniona przez Edwarda zaledwie parę miesięcy wcześniej, na miejsce stajennego, który pracował dla nich przez wiele lat. A potem

Jez. I powrót Felicity. Wszyscy roześmiani i rozgadani, podczas gdy prochy Edwarda czekały na rozrzucenie nad rozległymi pastwiskami Lorenden...

Chcę, żeby on wrócił, myślała Pauline, cierpiąc zbyt dotkliwie, żeby płakać. Tak bardzo chcę, żeby wrócił!

Alan poruszył się we śnie, a potem otworzył oczy.

- Nie możesz spać? - Wyciągnął rękę i zapalił światło. Pauline zastanawiała się, czy to ten dawny Alan,

opiekuńczy, czy ten nowy, łatwo wpadający w irytację, roztargniony mężczyzna, który traktuje ją jak połączenie strażnika więziennego i służącej.

- Wiesz, że ostatnio fatalnie sypiam. Poszukał jej ręki i uścisnął. Pauline nieco ulżyło. Alan i Pauline w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym

czwartym roku zawarli pewien układ, przypieczętowany ślubną ceremonią w kościele St Margaret's w Westminsterze. Ona podarowała mu swoją urodę, świetnie zorganizowane życie i dyskrecję, a on odplacił jej bogactwem, sukcesami i adoracją. Jako młody człowiek nie był uważany za atrakcyjną partię - miał zaledwie metr sześćdziesiąt sześć wzrostu i był drobnej budowy, ryży, z bladą cerą - ale pochodził z zamożnej rodziny. Mówiło się też dość sporo o jego szansach na zaistnienie na scenie politycznej. Nigdy jednak nie udałooby mu się poślubić tak uderzająco atrakcyjnej kobiety jak Pauline, jednej z najpiękniejszych debiutantek tamtego pokolenia, gdyby nie miał pieniędzy. Pauline zaś przygotowano w domu do wyłącznie jednego rodzaju kariery - do małżeństwa. Okazała się dziewczyną ambitną, chociaż aspiracje te temperował nieco fakt, że jej ojciec był właścicielem

sieci sklepów obuwniczych, a zatem traktowano go nieco z góry, jako przedstawiciela handlu. Jej samej udało się wcisnąć do grona debiutantek ze szlacheckich rodzin wyłącznie dzięki wpływom chrzestnej matki. Miała wprowadzić kilka innych propozycji, ale uznała, że długoterminowo to Alan rokuje najlepiej. Wszyscy byli zdziwieni, zwłaszcza że Pauline przewyższała pana młodego o ładnych parę cali i raz na zawsze wyrzekła się noszenia butów na wysokim obcasie.

Tak naprawdę marzyła, by brać udział w zawodach jeździeckich, ale w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku kobiety nie miały szans zostać członkami brytyjskiej reprezentacji, a poza tym na jeździectwie nie sposób było się dorobić. Ojciec zresztą dał córce jasno do zrozumienia, że musi ona dobrze wyjść za mąż, planując przejęcie sieci sklepów obuwniczych przez brata Pauline. W roku jej ślubu, w Badmintonie po raz pierwszy zwyciężyła kobieta, ale dla Pauline było już za późno.

- Twój mąż oczekuje, że poprowadzisz mu dom - tłumaczyła jej matka - że zajmiesz się dziećmi. Kiedy mężczyzna wraca do domu po długim dniu pracy, potrzebuje żony, a nie dziewczyny ze stajni, całej umazanej błotem.

Alan miał gest. Na trzydzieste urodziny kupił żonie konia i przedstawił ją Edwardowi Beaumontowi. Edward miał go objeżdżać i towarzyszyć Pauline na zawodach jako właścicielce startującego wierzchowca.

Tak, ten układ sprawdzał się idealnie przez blisko pięćdziesiąt lat. Ale teraz, kiedy patrzyła w wodnistobłękitne oczy Alana i na jego poznaczoną plamami wątrobowymi dłoń, zastanawiała się, co jeszcze przyniesie jej życie.

- Ty coś kombinujesz - stwierdził Alan. - Dlatego nie możesz zasnąć.

- Nie, nieprawda. - Wysunęła dłoń z jego uścisku, wyłączyła światło i odwróciła się na drugi bok. - Nie bądź śmieszny.

- Pauline... - odezwał się. Udała, że śpi.

- Pauline - powtórzył. - Po co mieszać? To niepotrzebne. Zignorowała go, ale przyszło jej do głowy, że poza

tęsknotą za Edwardem dopada ją tęsknota za dawnym Alanem - uwielbiającym ją bezwarunkowo i akceptującym wszystko, co robiła. Bez cienia krytyki.

O piątej rano Bramble wyslizgnęła się z łóżka Nata i zaczęła ubierać. Przyciągnął ją z powrotem.

-Nie jedź.

- Muszę - powiedziała cicho. - Nie chcę, żeby inni wiedzieli, że nie spałam w domu.

- Kiedyś będą musieli się dowiedzieć - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- Tak - zgodziła się, przepełniona radością. To nie była przygoda na jedną noc. - Będą musieli się dowiedzieć. Ale jeszcze nie teraz.

- Dobra z ciebie kobieta, Bramble Kelly. - Pociągnął ją na łóżko i mocno pocałował.

Śmiejąc się, wyplątała się z jego objęć.

- Sobota, wieczorem? - spytał. - Kino i curry?

- Sobota wieczorem.

Wracała do domu cała w skowronkach. Kiedy taksówka skręcała w drogę wiodącą pod dom, w jej stronę

paszami wiła się wczesnoporanna mgła. Przez moment lęk zaparł Bramble oddech.

A potem postanowiła przestać się wygłupiać. Jak mówi Helena, nie wolno przydawać pogodzie znaczenia, którego nie ma.

20.

Zima dopadła ich z nienacką, atakując Lorenden śniegiem, deszczem, gradem, mżawkami, ostrym wschodnim wiatrem i, od czasu do czasu, obdarzając chłodnymi promieniami słońca. Savannah na dobre objęła panowanie nad kuchnią, uparcie ślęcząc nad przepisami i tabelami kalorii. Szczególnie upodobała sobie pieczenie ciasteczek i ciast, które podsuwała wszystkim, sama zadowolając się zapachem. Czasami pukała z wypiekami do drzwi na poddaszu. Jez zawsze cieszył się na jej widok, chociaż czasem zastawała u niego kogoś, zwykle jakąś piękną kobietę, która traktowała Savannah lekceważąco, jak małą dziewczynkę.

Bramble zacieśniała związek z Natem, choć ostrożnie. Nat jak to Nat - zawsze dzwonił, kiedy obiecywał, często pisał esemesy w ciągu dnia, z wiadomością, że o niej myśli. Zdarzało mu się robić aluzje do jakichś wspólnych przyszłych zajęć - wycieczki do kina, spaceru z psami w stronę wybrzeża - nie narzucał się jednak i nie przytłaczał swoją obecnością. Miło jest czuć szczęście,

powtarzała sobie Bramble, spacerując z psami po sadach. Nat nie przysparzał jej żadnych zmartwień i można było na nim całkowicie polegać. Jego stałe, wierne oddanie skutkowało poczuciem bezpieczeństwa.

Mimo że było już po zimowym przesileniu, dni zdawały się dłuższe i ciemniejsze. Panowały przejmujące zimno i wilgoć, wiały częste wiatry. Czasami było zbyt ślisko, żeby wyprowadzać konie na drogę, a dwa razy nawet spadł śnieg, pokrywając pola dywanem bieli. Centralne wreszcie na dobre odmówiło posłuszeństwa i trzeba było wymienić bojler, ale nowy nie chciał współpracować z przestarzałą instalacją w Lorenden. Hydraulik musiał robić wszystko od podstaw, podczas gdy Bramble, Felicity i Savannah sypiały w rękawiczkach, skarpetach i swetrach.

Ben tracił na wadze i był w coraz słabszej kondycji. Od śmierci Edwarda niemal zupełnie przestał jeść; jego zad zrobił się kościsty. Łeb nosił zwieszony ponuro.

- Nic konkretnego mu nie dolega - powiedział Jez. - Jest po prostu stary i smutny.

vs - Co o tym sądzisz?

i Jez zaplótł ramiona na piersi i obszedł konia dokoła, przyglądając się uważnie.

- Wygląda strasznie.

- Nie możemy chyba pozwolić, żeby to tak trwało, prawda?

Jez pokręcił głową.

- On też najwyraźniej tego nie chce.

Bramble znalazła w kieszeni zapomniane cukierki. Ben niepewnie szturchnął pyskiem jej dłoń, ale w końcu nie ruszył słodczy. Objęła go ramieniem za szyję.

- Och, Ben! Nawet miętówka cię nie skusi? Stary koń stał bez ruchu. Opuścił łeb jeszcze niżej. Poklepała go i przełknęła łzy.

- Dobrze. Musimy zadzwonić po pomoc.

- Jeśli sobie życzysz, mogę się tym zająć... Bramble odwróciła się, żeby ukryć zbierające się łzy,

i przecząco pokręciła głową. Głos odmówił jej posłuszeństwa, z trudem przełknęła ślinę.

- Wezwij Johnny'ego - powiedziała ochryple. - Ale zamierzam przy tym być.

Jez wrócił do domu, by zadzwonić po myśliwego.

Przyjedzie zastrzelić Bena, pomyślała Bramble. Koni-sko wkrótce pójdzie na pokarm dla psów. Czeką go już tylko „ostatnia podróż przez kraj”, powszechnie uważana za odpowiedni koniec dla najszlachetniejszych koni. Dzięki niej ich dusze wracały wolne na ziemię, po której biegały za życia.

Uwiązała Bena i zaczęła go czyścić. Wiedziała, że takie zabiegi działały na staruszka uspokajająco, a ponadto uznała, że trzeba, aby odszedł jak najgodniej. Wy-szczotkowała mu błoto z brzucha, przetrzała gąbką pysk i uczesała grzywę. A potem oczyściła go metodycznie całego, szczotkując wyniszczone ciało tak uważnie i starannie, jakby wybierali się na próbę dresażu. Zajęło jej to niemal trzy kwadransy. Ben stał z opuszczoną dolną wargą, zrelaksowany, spokojnie przymykając oczy. Podkulił jedno z tylnych kopyt i zdrzemnął się nieco, jakby śniąc o lepszych czasach. Kiedy Bramble skończyła, dumnie postawił uszy, strzygąc nimi w stronę stojącego na dziedzińcu koniowozu. Wracam do roboty, zdawał

się mówić. Będę zwiedzał. Tym razem nie dam się pozostawić na pastwisku, żeby w konkursach jeździły konie mniejszego kalibru. Nadal jestem mistrzem! Uniósł łeb nieco wyżej.

Bramble zaprowadziła Bena na pastwisko z najlepszą trawą, ale skubnął ją zaledwie parę razy, a potem przestał, jakby chciał powiedzieć: „Bardzo to wszystko przyjemne, ale na razie wystarczy”.

Johnny przyjechał furgonetką.

- Przykro mi - powiedział. - To wspaniały staruszek. Bramble pokiwała głową.

- Chcesz potrzymać go za łeb? - spytał Johnny. - Jez może zrobić to za ciebie.

- Chcę sama - szepnęła Bramble. Po raz ostatni pocałowała konia we włochaty pysk, pożegnała się z nim, a potem skinęła głową Johnny'emu.

Rozległ się cichy huk, kula trafiła pomiędzy oczy. Ben natychmiast osunął się na ziemię.

Dźwignięcie końskiego ciała to robota dla mężczyzn, więc Bramble zostawiła Jeza i Johnny'ego i oddaliła się przez błotniste pastwisko. Wspomnienia powracały natrętnie. Bramble doskonale pamiętała dzień, kiedy Ben przybył do Lorenden.

Koń okazał się tak łagodny, że stajenny kocur, Tiggy - już dawno nieżyjący - sypiał mu na grzbiecie. A mimo to udało mu się wygrać Badminton i zdobyć dla jej ojca olimpijski medal. Zyskał status gwiazdy i w toalecie na dole zawisał na jego cześć kolaż z artykułów prasowych. Tyle tam było szczęśliwych wspomnień, triumfów i radości, walki o cel i osiągnięć! Edward zawsze mawiał,

że jazda na Benie, po ujeżdżaniu na wszelkich innych koniach, była niczym przesiadka do ferrari po podróży starym gruchotem.

Ale Ben potrafił być humorzasty. Kurczę, ten to miał temperament gwiazdy!, myślała Bramble. Tylko Edward umiał go zmusić do zrobienia czegoś, na co koń nie miał ochoty.

Tak było do końca. Ben nie chciał żyć bez Edwarda.

Bramble ogarnęło wrażenie, że ojciec jest gdzieś niedaleko; zalała ją fala smutku. Niemal czuła kościstą sylwetkę Edwarda, szorstkość jego kurtki i widziała uśmiech na ogorzałej twarzy. Jego głos szeptał jej coś do ucha, ale nie mogła dosłyszeć, co mówi.

- Czego chcesz? - krzyknęła pod wiatr. - Powiedz mi, co mam robić?! - Słowa rozmyły się nad pastwiskami, ulatując w górę niczym dziecinne balony i niknąc w oddali. Odpowiedź nie nadeszła, za to pojawiło się doskwierające poczucie, że umyka jej coś ważnego.

Popołudnie spędziła, porządkując papiery i decydując, w których imprezach powinni startować w przyszłym sezonie. Darcy wszedł do pokoju i parę razy zaskomlał, ale potem zwinął się w kłębek u jej stóp; nawet Mop i Muddle straciły swój zwykły wigor. Bramble zastanawiała się, czy psy potrafią wyczuwać śmierć.

Jez wszedł do kuchni o trzeciej. Jego twarz pod oliwkową opalenizną była blada.

- Trzymasz się? - spytał.

Unikała jego wzroku.

- Tak - udało jej się wykrztusić.

- Naprawdę mi przykro - dorzucił Jez. - On był niezwykły.
Bramble pokiwała głową i mruganiem powiek odpędziła łzy. Pod stołem mocno zacisnęła dłonie w pięści. Nie chciała współczucia Jeza, nie zgadzała się na nie. Nikt nie będzie się nad nią litował!

- No tak - odchrząknęła. - Chciałbyś, hm, kubek herbaty?
- Nie trzeba - powiedział cicho. - Ale może ty masz ochotę?
- Ja też dziękuję - powiedziała szybko. - Chyba powinniśmy wrócić do swoich zajęć?

- Byłaś bardzo dzielna. Ze przy nim zostałeś. Wielki głąz bólu, który ucisnął jej serce już dawno temu, teraz podjechał do gardła, kompletnie odbierając Bramble mowę. Nie patrząc na Jeza, rzuciła się do tylnych drzwi. Wszystko się rozpada, myślała, krztusząc się łzami. Chyba nie dam sobie rady. Może Helena ma rację, że nie umiem zarządzać stajnią bez taty? Ani bez Dorna.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie myślała o Dornie już od wielu dni. Może nawet od tygodni?

Przepraszam, Dom, przepraszam, szepnęła w myślach. Nie pamiętam choćby i koloru twoich oczu! A gdzie się podziało wspomnienie o tym jego zaraźliwym, głośnym śmiechu, tak szalenie dla niego charakterystycznym? Wydawało się ledwie czymś, o czym przeczytała w jakiejś książce o człowieku, którego nigdy nie poznała. Zapomniała brzmienie tego śmiechu... To była zdrada ostateczna. Bramble chciałaby móc się rozplakać, ale dla Dorna nie zostało już żadnych łez. Odszedł całkowicie.

Co innego ojciec, którego obecność przenikała każdą cegłę i kamień w Lorenden, przesączając się do jej myśli niczym wyrzut sumienia. Czego od niej chciał? Dlaczego to wszystko wydawało się takie rozgrzebane i niedokończone? Bramble poczuła się strasznie samotna, dopóki nie przypomniała sobie dużej, krzepiącej postaci Nata, osłaniającej ją przed zimową nocą.

Wróciła wreszcie do domu, gdzie czekała na nią wściekła Savannah.

- Chciałam się z Benem pożegnać. Dlaczego nie zaczekałaś?

- Cierpiał - wyjaśniła spokojnie.

- To mogłaś po mnie przyjechać. W szkole by zrozumieli.

Bramble nie umiała wytłumaczyć córce, że sama się poddała. Czowała się tak, jakby jej ciało i umysł odmawiały współpracy, chciała, żeby to wszystko się skończyło. Nie chciała jedynie, aby Savannah pomyślała, że matka się załamuje.

- Przepraszam cię - powiedziała znużona.

- „Przepraszam” nie wystarczy. - Savannah we łzach wybiegła z domu. Bramble z okna patrzyła, jak Tez chwyta ją za ramię.

Zadzwoił telefon. Nat.

- Właśnie się dowiedziałem - powiedział. - Trzeba było po mnie zadzwonić. Przyjechałbym natychmiast.

- No cóż. - Nie zniesie tej straszliwej samotności ani sekundy dłużej! - Może przyjedziesz teraz?

- Będę za dziesięć minut.

Eddie wypracował sobie strategię. Dwa dni w tygodniu wychodził ze szkoły w porze lunchu, licząc, że jego prześladowcy pewnie się jeszcze wylegają w łóżkach. W pozostałe trzy dni szedł po szkole do przyjaciół i sypiał tam na rozmaitych materacach, kanapach czy piętrowych łóżkach. Helena, zboleła i spowita mgłą złego humoru i zmartwienia, zdawała się ledwie go zauważać, a Ollie, jak podejrzewał Eddie, nawet wołał, żeby pasierb jak najmniej przebywał w domu. Tylko maluchy, Ruby i Roly, wdrapywały się na jego łóżko w te wieczory, kiedy bywał w domu, wpytując, gdzie się podziewał. Potem zwykle jedno z bliźniaków moczyło Eddiemu materac, po czym wracały do własnych łóżek.

Doszedł już do wprawy w zmienianiu pościeli albo spaniu w poprzek łóżka, żeby nie dotykać plamy wilgoci, a przede wszystkim - w organizowaniu sobie noclegów tak, żeby wieczorem nie wracać do domu.

Lubił domy swoich kumpli, bo tam nikt nie zwracał na niego uwagi. Najbardziej podobało mu się u Rufusa. Matka Rufusa, przysadzista, o czerwonej twarzy, w ubraniach z gumką w talii, tak mijała się z modą, że Helena ledwie ją zaliczała do rodzaju ludzkiego. Kobieta była jednak spokojna i miła. Plecak i kurtkę Eddiego wieszala schludnie w holu, a potem zamykała frontowe drzwi. Eddie, zabierając się do domowej roboty gulaszu, zapominał o wszystkim.

Poza tym Rufus był sympatycznie nieabsorbujący. Rozmawiali głównie o tym, jak radzi sobie szkolna drużyna albo co znów nawywijała Chelsea. Rufus kochał się w jakiejś dziewczynie z sąsiedniej szkoły.

- No to kiedy będziesz próbował coś załatwić? - spytał Eddiego pewnego dnia. - No wiesz, ze studiami...

- Nie idę na studia - powiedział Eddie. - Zostanę zawodowym jeźdźcem. - Po raz pierwszy wypowiedział te słowa na głos, stwierdzając fakt. To nie było już marzenie czy pytanie. Ani prośba. Będzie jeźdźcem. Sformułował cel i nagle poczuł, że jego osiągnięcie jest całkiem możliwe.

Rufus pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie miał wprawdzie pojęcia, o co chodzi, ale czy większość rzeczy ma sens, jeśli się nad nimi zastanowić?

- Super - powiedział, przyjmując sprawę do wiadomości.

- No, chłopcy - odezwała się matka Rufusa, zaglądając do pokoju przez drzwi. - Godzina na lekcje po kolacji, a potem spać. Znacze zasady. Zero telewizji, zero game boya. Zero PlayStation. Nie w tygodniu.

Eddiemu to nie przeszkadzało. Dom Rufusa był bezpieczny i tylko to się liczyło. Chłopcy śmiali się i popychali, idąc na górę po schodach.

Ale nawet Rufusowi Eddie się nie zwierzył, że boi się chodzić po własnej ulicy.

W wieczór przed wyjazdem Jeza do Irlandii do Bramble zadzwoniła Pauline.

- Mam nabywcę na Teddy'ego - oświadczyła spokojnie.

- Ale przecież mówiłaś, że nie planujesz sprzedaży! - Bramble była przerażona. Słowa Pauline nie układały się w żadną sensowną całość. Nie zamierzała chyba

zabrać od nich Teddy'ego zaledwie na dziesięć tygodni przed Badmintonem?

- Nigdy nie powiedziałam, że nie planuję. Dzwoniłaś do mnie z pytaniem, czy możesz go sprzedać. To nie ja poruszyłam ten temat. Po naszej rozmowie jednak wspomniałam o tym komuś spotkanemu na przyjęciu i ta osoba wyraziła zainteresowanie.

- Ale... Ale ja niczego podobnego nie mówiłam! Mówiłam, że... - Bramble zastanawiała się, czy nie traci zmysłów.

- No cóż, mam nadzieję, że nie próbujesz sugerować, iż cierpię na starcze roztargnienie. Mam całkiem jasny obraz przebiegu tamtej rozmowy. Zadzwoiłaś, żeby przedyskutować sprawę sprzedaży Teddy'ego, Nie musisz się obawiać o swoją prowizję. Ponieważ to Edward zrobił z niego konia, którym teraz jest, jestem gotowa ją wypłacić w całości. - Głos Pauline, zwykle słodki jak śmietanka, był teraz twardy i rzeczowy.

- Pauline, prowizja nie ma dla mnie znaczenia! - zaczęła błagać Bramble. - Proszę, nie sprzedawaj Teddy'ego.

- Już podjęłam decyzję. Nie mogę się teraz wycofać.

- Komu go sprzedałaś?

- Toby'emu Fitzroyowi.

- Toby'emu Fitzroyowi! Ależ on jest okropnym jeźdźcem! I rujnuje swoje konie! - Spróbowała po raz ostatni. - Kupuje cudowne zwierzęta, a potem je zajeżdża! Bierze udział w najważniejszych zawodach, bo ma tyle tego cholernego szmalu, że wystarczy, jeśli kupi sobie porządnego wierzchowca i go dosiądzie! Ale nawet tego nie umie zrobić porządnie, tak żeby nie łamać koniom serc! Albo nóg. Pauline, przecież ty kochasz Teddy'ego...

Głos Pauline zabrzmiał starczo i niepewnie.

- Och, Bramble, nie utrudniaj mi tego wszystkiego jeszcze bardziej. Oczywiście, że Kocham Teddy'ego. Nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie to przygnębia? Ale to wszystko jest zbyt bolesne, za bardzo przypomina mi o twoim ojcu, naszym najlepszym, najstarszym przyjacielu. I nie stać nas na Teddy'ego. Ceny szokująco skoczyły w górę, a my przecież jesteśmy emerytami...

Bramble zabrakło argumentów. Po skończonej rozmowie, oszołomiona odłożyła słuchawkę. Pauline powiedziała jej jeszcze, że koniowóz Toby'ego przyjedzie po odbiór konia następnego dnia. Najwyraźniej zebrała się na odwagę dopiero w ostatniej chwili.

Bramble zagapiła się na aparat telefoniczny. Wszystko, nad czym pracowali, przepadło. Teddy był ich jedynym wybitnym koniem. Ich jedyną szansą, żeby dowieść, ile są warci. Poczuli się źle, tak źle, że nawet nie stać jej było na gniew. Wszystko przepadło. Poszło na marne.

Usatysfakcjonowana Pauline odłożyła słuchawkę. Wreszcie im pokaże! Nikt w Lorenden się nią nie przejmował, wszyscy ją uważali za niemądrą, starą kobietę, która chętnie będzie płacić rachunki, podczas gdy oni będą sobie galopować na jej koniu po górach i dolinach, wolni od wszelkich trosk. Zapewne Felicity właśnie teraz roznosi plotki, opowiadając na lewo i prawo, że Pauline kochała się w Edwardzie. Co tam, ona wie swoje. Zawsze, absolutnie, była lojalna wobec Alana. I całkowicie dyskretna. A te dziewczyny nie mają zielonego pojęcia o lojalności i dyskrecji!

Pauline z godnością uniosła głowę i przeszła do oranżerii, by ułożyć kompozycje kwiatowe na wieczorne przyjęcie. Nie była do końca uczciwa, mówiąc, że sprzedała Teddy'ego. Sprzedała zaledwie połowę udziałów. Bo miała zamiar nadal bywać na przyjęciach we wszystkich wielkich posiadłościach i zamkach, tyle że teraz w towarzystwie Toby'ego Fitzroya, uroczego młodego człowieka, który wiedział, jak sprawić, żeby właściciel konia poczuł się doceniony.

Mściwym ruchem przycinała końcówki łądygom róż. Oczywiście, Toby'ego raczej trudno było nazywać młodym człowiekiem - stuknęła mu już pięćdziesiątka - w jej oczach wydawał się młody. Jak te dziewczyny, które nie zdają sobie sprawy z własnego szczęścia. No cóż, już raczej kobiety, obciążone odpowiedzialnością za mężów i dzieci. Niektóre. Pokręciła głową. Kobiety powinny mieć więcej rozumu. Powinny myśleć o swoich rodzinach, tyle jest przecież w życiu zagrożeń!

Przykuśtykał Alan.

- Z kim rozmawiałaś przez telefon?

- Z Bramble. - Pauline poprawiła róże i zaniósła je do salonu.

Alan ruszył za żoną.

- Czego chciała?

- Och, powiedziałam jej tylko, że sprzedałam Teddy'ego Toby'emu Fitzroyowi.

Właśnie tej chwili Pauline bała się najbardziej. Wyznania wszystkiego Alanowi. Wróciła do kuchni i zaczęła wyjmować z lodówki produkty potrzebne do przyrządzenia sosu holenderskiego.

- Sprzedałaś Teddy'ego?!

- No cóż, w rzeczy samej. Prawdę mówiąc, to był pomysł Bramble. - Pauline niemal zdołała przekonać samą siebie, że to prawda. - Zadzwoiła do mnie parę tygodni temu i zaczęła rozwodzić się o sprzedaży Teddy'ego i o jakiejś prowizji dla siebie, więc kiedy zwrócił się do mnie Toby... - Wcisnęła do gniazdka wtyczkę ręcznego miksera i włączyła go, ubijając jajka z niepotrzebnym hałasem, żeby tylko nie musieć wysłuchiwać, co będzie miał na ten temat do powiedzenia jej mąż. f

Alan wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Pauline zaczęła udawać, że szuka w szufladzie potrzebnych kuchennych przyborów.

- No cóż, zawsze mi powtarzasz, że brakuje nam pieniędzy. Toby zaproponował mi pięćdziesiąt tysięcy funtów za połowę Teddy'ego i zawarł ze mną umowę na specjalnych warunkach, jeśli chodzi o opłatę za stajnię i treningi. Zaoszczędziłam sporo pieniędzy. Sądziłam, że będziesz zadowolony.

- Niszczysz wszystko, na co pracowała Bramble. Tylko dlatego, że nie jest Edwardem.

Pauline wyprostowała się i spojrzała na niego spod oka, rozgniewana bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- A to ci pech! - rzuciła.

Z trudem przetykając łązy, Bramble pędem wpadła na poddasze, do mieszkania Jeza i zamasyście otworzyła drzwi. Pokoje były niemal puste. Schludne. Nieco zaniedbane. Czyste. Z bardzo nielicznymi śladami

czyjegoś zamieszkiwania. Na podłodze leżała walizka, obok telewizora piętrzył się stos płyt CD. A w zlewie stał pojedynczy kubek po kawie. Nieumyty. Jez nie lubił się widać obciążać życiowym bagażem.

- Jez! Jez!

- Bramble? - Wyszedł z łazienki, świeżo spod prysznic, z mokrymi włosami i ręcznikiem owiniętym wokół talii. Jego płaski brzuch znaczyła linia schodzących się w jodełkę ciemnych włosów.

Nie przeprosiła.

- Rozmawiałeś z Tobym Fitzroyem? - spytała bez ogródek.

- Nie, oczywiście, że nie. A co?

- Bo kupił Teddy'ego, ot co! A ty o wszystkim wiedziałeś. '

- Toby Fitzroy... O, cholera! Czekał, ubiorę się. - Jez

zniknął za drzwiami i wrócił parę chwil później, naciągając sweter przez głowę. - Pozwól, że jedno wyjaśnię od razu. Nic o tym nie wiedziałem. Słyszałem jakieś plotki w pubie i pomyślałem, że skoro Pauline ostatnio mocno ogranicza kontakty z nami, to mogą być prawdziwe.

- To klęska - powiedziała Bramble, dygocząc. - Teddy był naszą jedyną szansą. Co my teraz zrobimy?

Jez pokręcił głową z ogłupiałą miną.

- Nie wiem, czy stać nas, żeby akurat teraz kupować jakieś konie - powiedziała Bramble.

- Musimy podjąć ryzyko. Jeśli nie będziemy się rozwijali, zaczniemy się cofać.

Nagle Bramble zdała sobie sprawę, że marzenie Jeza o zwycięstwie w Badmintonie i dołączeniu do brytyjskiej reprezentacji właśnie legło w gruzach. Znowu.

- Jez, tak strasznie mi przykro. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie pomyślałam. Przecież dla ciebie to taki sam cios jak dla mnie. A nawet gorszy. Bardzo cię przepraszam.

Spojrzał na nią jak z wielkiego oddalenia.

- To się zdarza - powiedział. Jego twarz nie zdradzała niczego.
- Sama wiesz.

Bramble wiedziała. Przez minione siedem lat dwa razy zdarzyło się, że właściciel bez uprzedzenia sprzedał obiecującego konia. Przy takich transakcjach wchodziły w grę zbyt duże kwoty i ludzie nie zawsze mogli odmówić, nawet jeśli chcieli.

- Czy jest jakiś sposób, żebyśmy zdobyli cztero-gwiazdkowego konia albo żebyś choćby mógł pojechać dla kogoś innego? Czy nikt nie potrzebuje jeźdźca? - Gorączkowo szukała jakiegoś wyjścia.

- Jest więcej dobrych jeźdźców niż dobrych koni. - Głos Jeza brzmiał obojętnie. - Do Badmintonu zostało zaledwie dziesięć tygodni i nie sądzę, żeby znienacka trafił mi się jakiś inny koń.

- No tak. - Nie było już nic do dodania. - Dlaczego ona to zrobiła? Powiedziała, że brakuje im pieniędzy, ale...

Jez położył dłoń na ramieniu Bramble.

- To bez znaczenia dlaczego. Zrobiła, i tylko to się liczy.

Bramble ze współczuciem dotknęła męskiej dłoni.

- Strasznie mi przykro, Jez. Naprawdę. Przyjechałeś tu specjalnie dla Teddy'ego.

Nie odpowiedział, a ona zaczęła się zastanawiać, czy jest na nią zły, czy obwinia ją o to, że nie zadbała o dobre

układy z Pauline. Niespodziewanie zdała sobie sprawę z jego bliskości. Widziała fakturę jego skóry i przyciemniające ją, ciemne jak sadza włosy na ramionach.

- Wiesz co? - Poczowała, że koniecznie musi powiedzieć mu prawdę.

- Co takiego? - Popatrzył na nią z czymś, co niemal zakrawało na... czułość?

Jez odsunął pasemko włosów, które opadło jej na oczy, i przygładził je lekko. o

- Tak mi się właśnie wydawało...

- Chyba cały czas głupio się łudziłam. Powinnam była już dawno spojrzeć prawdzie w oczy, nie uważasz? Gdzieś po drodze straciłam pewność siebie i dlatego nigdy nie udało mi się dotrzeć na szczyt. Tata miał rację.

Jez pokręcił głową.

- On nie tak to ujął. Powiedział, że nie będziesz mogła jeździć na Teddym, bo jest dla ciebie po prostu za duży. Sama rozumiesz. - Patrzył na nią z uśmiechem. - Lepiej skupmy się na zorganizowaniu w Irlandii czegoś fantastycznego, dobrze?

Bramble z trudem chwyciła oddech. Zamierzała się upierać, że nie stać ich teraz na wyprawę po zakup koni, ale nie chciała, by jej obiekcje zabrzmiały niemądrze.

- Nie pozwolimy, żeby powstrzymało nas coś takiego - powiedział Jez. A ona mu uwierzyła.

- Masz rację. - Zmusiła się, żeby odwzajemnić uśmiech, a potem poszła na dół, nadal zaszokowana i wstrząsana drżeniem.

Znalazła się w gabinecie ojca. Pełne otuchy słowa Jeza ulotniły się jak sen złoty, a powróciła gorycz porażki.

Przez jakiś czas Bramble siedziała cicho, po ciemku, i próbowała tłumaczyć sobie, że to jeszcze nie koniec marzeń. Że jakoś uda jej się to wszystko pociągnąć.

Kiedy zadzwonił telefon od Nata, jej oczy napełniły się łzami. Zapragnęła pojechać do jego domku, skulić się w mocnych ramionach i umrzeć.

Nat rozpalił ogień, nalał jej kieliszek wina i potraktował wszystko filozoficznie, tak jak się spodziewała.

- No cóż, sama rozumiesz - powiedział tym swoim głębokim głosem, moszcząc się na sofie obok Bramble. - Czasami takie zdarzenia stają się punktem zwrotnym. Może kiedyś spojrzysz wstecz, na dzisiejszy dzień, i zdasz sobie sprawę, że kiedy jedne drzwi się zatrzasną, otwierają się kolejne.

- Ja po prostu mam wrażenie, że nigdy już nie osiągnę tego, czego chciałam. Mam coś na wyciągnięcie ręki, i nagle to coś mi się wymyka. I tak bez przerwy. Od siedmiu lat.

- Trzymaj się swoich marzeń - doradził. - A kiedy przestaną cię one przerażać, wtedy będziesz gotowa podjąć decyzję, co dalej. Masz możliwości. Masz tak wiele możliwości! Nie musisz być Bramble Kelly od konnej jazdy.

- Ale ja nią jestem, Nat. Właśnie tym się zajmuję. Jeśli nie to, co mi zostanie?

- Będziesz miała mnie. - Przyciągnął ją do siebie.

- Pauline sprzedała konia, bo ja wróciłam - powiedziała Felicity.

- Felicity! - Bramble usiłowała postępować ostrożnie, bo nie do końca zarzuciła jeszcze marzenie o tym, że jej starsza siostra ostatecznie zdecyduje się zostać w Lorenden i wspólnie spłacą Helenę, ale nie zdołała ukryć irytacji. - Ja naprawdę nie wiem, dlaczego miałabyś być tak ważna. Przepraszam, ale...

Szykowały Teddy'ego do drogi, pakując do pudeł jego sprzęt i rozdzielając swoje rzeczy od rzeczy Pauline. Pauline nie chciała przyjechać na pożegnanie. „To mi sprawi zbyt wielką przykrość”, wymówiła się.

- Ja nie twierdzę, że to jedyny powód - powiedziała Felicity, wyjmując z jednego z pudeł papierek po cukierku, a potem od nowa zwijając bandaż. - Musiałaś chyba jednak zauważyć, jak na mój widok zmienia się jej twarz. Wygląda wtedy, jakby ugryzła cytrynę.

- Tym się nie przejmuję. - Głos Bramble zabrzmiał ostro. Przez chwilę pozwoliła sobie na myśl, że gdyby nie powrót Felicity, Teddy nadal pozostawałby w Lorenden, ale szybko ją odrzuciła; zawsze podświadomie uważała, że jeśli Felicity powróci do ich życia, wszystko znów zacznie dobrze się układać. Teraz przyszło jej jednak do głowy, że nie ma pojęcia, skąd w niej tak mocno ugruntowane przekonanie. Na pewno nie dzięki ojcu.

- On wie, że coś się szykuje. - Bramble wskazała na łeb Teddy'ego, wystawiony nad drzwiami boksu. Koń stuknął w nie kopytem i parsknął, zaczął krążyć niespokojnie, a potem znowu wystawił łeb, jakby chciał spytać, co się tu dzieje. Spoglądali nań wszyscy zebrani w pobliżu - Savannah, Lottie, Donna i Jez, i parę innych osób, które polubiły go szczególnie, jak choćby właściciel

któregoś rezydenta i kobieta mieszkająca w jednym z domków przy Lorenden. Specjalnie na tę okazję zajrzało kilkoro przyjaciół. Przyjeżdżające lub odjeżdżające konie zawsze były wydarzeniem. Felicity i Donna założyły Teddy'emu podróżne osłony na kopyta i obandażowały ogon. - Już. Gotowe.

Bramble nie przestawała gryzmolić notatek dla Toby'ego i jego stajennych. „Uważajcie w czasie załadunku i rozładunku, potrafi wtedy staranować człowieka. Uwielbia towarzystwo, nie zostawiajcie go nigdy samego, bo zacznie wariować”.

- Co jeszcze? - spytała Donnę.

Donna płakała, poklepując konia po szyi.

- W stajni jest takim dżentelmenem, wprost ideałem!

- pociągała nosem. - Ale poza stajnią dostaje małego rozumu. - Będziesz miał luksusowe życie - zwróciła się do Teddy'ego. - Nie zapominaj o nas.

- Nie zapomni. - Lottie otworzyła paczuszkę miętówek. - Konie niczego nie zapominają. - Teddy przyjął miętówkę, jak nakazywało dobre wychowanie, zdejmując ją z dłoni dziewczynki aksamitnymi chrapami.

Olbrzymi koniowóz Toby'ego zaczął na wstecznym biegu wjeżdżać na podjazd. Był zbyt wielki, żeby jechać przodem. Nie zdołałby zawrócić.

- On ma mniejszy koniowóz, taki na dwa konie, wiecie - powiedziała Bramble. - W tych samych barwach

- dodała z irytacją. - Ale pewnie chce nam pokazać, jakiego ma dużego.

- Przyjechał osobiście - powiedziała Felicity, kiedy Toby wyskoczył z szoferki i ruszył w ich stronę krokiem

kowboja. Za nim podążali stajenni. - I to z posiłkami. Przecież żeby załadować konia, nie trzeba dwóch pomocników.

- Najwyraźniej przyjechał tu triumfować. Myślisz, że farbuje sobie włosy? Taki blond nie jest chyba naturalny w jego wieku, co?

Felicity i Bramble wyszły Fitzroyowi na spotkanie,

- Cześć, Toby - odezwała się Felicity. i - Przepraszam, że zabieram wam konia - powiedział.

Ale wiecie, jak to bywa w interesach.

- Żeby móc to powiedzieć, czekałeś trzydzieści lat stwierdziła Felicity.

- No cóż - odparł z szerokim uśmiechem, którym czarował panie domu od Maroka po Mustiague. - Być może. Ale wiesz co? Warto było.

21.

O czwartej rano Helena wciąż leżała bezsennie i nasłuchiwała odległych miejskich odgłosów: syren i szumu przejeżdżających samochodów. Jej czujnie nadstawione uszy wychwyciły skrobanie w pobliżu zamka frontowych drzwi.

Momentalnie znalazła się na dole, gdzie wpadła na Olliego, który starał się zachować ciszę. Włosy miał przyklepane, a ubranie brudne.

- Gdzieś ty był?

Aż drgnął.

- Przestraszyłaś mnie.

- To ty mnie wystraszyłeś! Nie miałam pojęcia, gdzie jesteś - wyszeptała ze złością. - Sprawdzałam po szpitalach. Okłamywałam dzieci. Oka przez ciebie nie zmrużyłam. To już druga noc poza domem. Czy ty masz pojęcie, jak ja się tu zamartwiam? Jak się boję?

Ollie przegarnął dłońmi brudne włosy.

- O Boże. Strasznie cię przepraszam. Byłem, hm... W sumie to sam nie wiem, gdzie byłem. - Usiadł nagle

na dolnym stopniu schodów i zaczął płakać gwałtownymi, trudnymi, męskimi łzami. - Chodziłem. Chodziłem i chodziłem. Bałem się wracać do domu. Spojrzeć ci w oczy. Bardzo cię przepraszam - zaszłochał. - Tak strasznie cię za wszystko przepraszam.

Helena patrzyła, zaskoczona. Spodziewała się oskarżeń i gniewu, ale nie całkowitego załamania. Przysiadła obok męża i ostrożnie objęła go ramieniem.

- Dlaczego mi nie zaufałeś? Przecież możemy porozmawiać. - Pomyślała o przerażającym stosie kopert i z trudem przełknęła ślinę. - Cokolwiek się zdarzy, razem sobie poradzimy.

Uniósł zalaną łzami twarz.

- Heleno, ja się nie martwię o to, co będzie, ale o to, czy będziemy razem. Proszę, powiedz po prostu, że mi wybaczasz.

- Oczywiście - odparła. - Wiesz, że wybaczyłabym ci wszystko. Ale musimy... Musimy usiąść i o wszystkim pogadać. ,

Pokiwał głową.

- Nie teraz. Muszę się przespać. Ja w ogóle nie spałem. .. - Zachwiał się, wstając, i Helena złapała go pod łokieć.

- Chodź, kochany. Łóżko. Natychmiast. Porozmawiamy później.

Padł twarzą w pościel, jak stał.

- Rozmawiać... Tak... -1 za chwilę już głośno chrapał.

Helena westchnęła. Ollie śmierdział jak włóczęga. To wszystko przez nią. To ona go od siebie odepchnęła.

Kiedy na palcach szła spać do gościnnego pokoju, poczucie winy zdusiło wszelki gniew. Te koperty, ich wysoko spiętrzony stos, ze swoimi przerażającymi tajemnicami, mogły poczekać. Nie chciała, żeby coś przeszkodziło Eddiemu w przebrnięciu przez końcowe egzaminy. No i, oczywiście, im wszystkim w sprzedaży Lorenden. Bo wyglądało na to, że roczne oczekiwanie na pieniądze to zbyt długo.

Telefon znów się uaktywnił, ale zamiast zaproszeń na imprezy i informacji o zleceniach od agentów, po drugiej stronie odzywali się ludzie o surowo brzmiących głosach, domagający się zapłaty. Niektórzy dzwonili dzień w dzień, więc Helena poszła kupić aparat, który pozwalał eliminować niektóre połączenia. Kiedy chciała za niego zapłacić, dwie z jej kart zostały odrzucone, ale, na szczęście, transakcja przeszła przez trzecią.

- To jakiś absurd! - powiedziała. - Będę reklamować.

Bramble, objeżdżając pewnego ranka Merlina, zobaczyła na jednym z pól przygarbionego, zaniedbanego starca. Aż zamrugała ze zdziwienia. Alan, zwykle taki elegancki!

- Alan! Podniósł oczy.

- Witaj, kochanie. Nie widzieliśmy się całe wieki. - Alan do wszystkich zwracał się „kochanie”.

- Hm... owszem. Jak rodzina?

- Rodzina? - Alan jakby się zdziwił.

- Czy ktoś was ostatnio odwiedzał? - brnęła Bramble.

- No, ktoś był. Nie pamiętam kto.

Przedłużanie rozmowy nie miało sensu, ale Bramble spróbowała jeszcze raz.

- Z wielkim żalem oddaliśmy Teddy'ego Toby'emu Fitzroyowi.

W oczach Alana zamigotał błysk zrozumienia.

- Kiepska sprawa, fakt. Toby Fitzroy. On ci nie wybaczy, wiesz? Nigdy nie wybaczył. Durny chłopak.

Sprawa była beznadziejna. Alan był w swoim świecie.

- Nic ci nie jest? - spytała Bramble.

- Jasne, że nie, kochanie - odparł Alan. - Nigdy nie czułem się lepiej.

- Idziesz do domu?

- Do domu? - powtórzył. - Tak, racja. Do domu. Uroczo było znów cię zobaczyć, kochanie. Przekaż ojcu serdeczne pozdrowienia.

Bramble miała nadzieję, że Alan zdoła jakoś trafić do domu przez pola, które znał od urodzenia, ale dyskretnie zerkała na niego z oddali, dopóki nie zobaczyła, że staruszek dochodzi do bramy posiadłości.

Wszyscy - Bramble, Felicity, Jez, Savannah i Donna - pracowali, borykając się z niejasnym poczuciem porażki. Boks Teddy'ego wydawał się okropnie pusty. Po fakcie okazało się, że jego obecność, podobnie jak Bena, miała ogromne znaczenie.

Tak samo jak Merlina, zdała sobie nagle sprawę Bramble. To kolejny koń, który porusza się krokiem czempiona, myślała, obserwując, jak Jez przyprowadza go z pastwiska. Teraz, bez stałej obecności Teddy'ego, zdawał się usamodzielniać. Bramble poszła do kuchni, gdzie zastała Felicity nad jakąś gazetą.

- Siostrzyczko, masz wszystkie papiery Merlina, prawda?

Felicity zrobiła ostrożną minę, jakby spodziewała się kolejnej pułapki. Codziennie wymyślała inny powód, aby jeździć na Sailorze, nie na Merlinie, i Bramble, która nie miała ochoty nikogo zmuszać do dosiadania konia, jeśli sam tego nie chciał, nie nalegała więcej. Jeśli szło o pomoc w stajni, to Felicity z wielkim zaangażowaniem włączała się w niektóre zajęcia - nierzadko brudne i mało wdzięczne - jak choćby czyszczenie uprząży Sailora po jeździe, ale zwykle trzymała się nieco na uboczu. Była wprost niemożliwie przekorna: jeśli Bramble ją o coś prosiła, znajdowała tysiące wymówek, ale kiedy czasami trzeba było odwalić jakąś grubszą robotę, na przykład rozładować beły siana, brała się do pomocy bez słowa i bez przypominania. Wszystko, co robiła, robiła dobrze, ale przekaz był wyraźny: jestem tu na własnych warunkach. Nie liczcie na mnie, nie jestem częścią zespołu.

- Papiery Merlina - powtórzyła Bramble. - Masz je?

- Jasne. Przekazała mi je firma ubezpieczeniowa. Chcesz w nie zerknąć?

Bramble przejrzała wszystko uważnie. Koń miał cztery lata i oficjalnie nazywał się Overnight Flight.

- Ciekawe, jakie miał imię w stajni? Felicity wzruszyła ramionami.

- To pech zmieniać takie imię, więc wolę nie wiedzieć. Dla mnie od początku jest Merlinem.

Bramble zmarszczyła brwi, próbując się skoncentrować.

- Szybko się uczy i chociaż ma wyraźny charakter, lubi sprawiać przyjemność jeźdźcowi. Uważam, że powinniśmy zacząć go szykować do Mistrzostw Młodych Koni.

- Moim zdaniem nie jest jeszcze gotowy - wtrącił się Jez, wstawiając czajnik z wodą. - Uważam, że potrzebuje znacznie więcej czasu. Założę się, że ma jakieś złe wspomnienia. Pewnie związane z wyścigami i zawodami w ogóle.

Bramble próbowała nie wpaść w irytację. Spojrzała na Felicity.

- To twoja decyzja. Chcesz, żebym sprawdziła, co on potrafi? Felicity ziewnęła.

- Rób, jak uważasz.

Helena zamierzała rozmówić się z Olliem w sprawie kopert, ale Angelina wydawała przyjęcie i po prostu nie było na to czasu. A potem uznała, że lepiej będzie tę sprawę poruszyć, kiedy już zdobędzie jakąś nową rolę, tak żeby oboje mieli jasność, na czym stoją finansowo. Zanim umówiła się na spotkanie z Caroline i wybrała na parę przesłuchań, zdążyli już z Olliem popaść w dawną rutynę. Stosik kopert znalazł się w myślach Heleny gdzieś na uboczu, a wciąż pojawiające się nowe udawało jej się ignorować.

Wybrała się do lekarza, a ten zapisał jej antydepresanty i jakieś pigułki nasenne. Życie przepływało wokół niej w miłym, choć nieco doprawionym bólem głowy, otumanieniu; czuła się nieco na uboczu rzeczywistości. Helena była już po rozmowach o serialu komediowym

z jakąś nową, popularną firmą produkcyjną, i powiedziano jej, że rolę ma właściwie w kieszeni.

Pewnego ranka Ruby pociągała nosem i miała nieco podwyższoną temperaturę, więc Helena zapakowała ją do swojego wielkiego, podwójnego łóżka i położyła się obok. Przytuliła małą, a Oscarowi pozwoliła ułożyć się przy swoim drugim boku. Chroniona ciepłymi, małymi ciałkami przysnęła nieco, jak zwykle czujnie nadstawiając ucha, w razie gdyby zadzwonił telefon z informacją, że branża znów się nią interesuje.

Późnym przedpołudniem przedarł się do jej świadomości ostry, natarczywy odgłos dzwonka przy drzwiach. Helena usiadła na łóżku, a serce zaczęło jej mocno walić ze strachu. Oscar poruszył uszami i krótko szczechnął. Raz, a potem drugi.

- Cii, Oscar. - Przytuliła jedwabisty łepiek. - Niekoniecznie chcemy, aby ludzie wiedzieli, że jesteśmy w domu, prawda? - Zeszła po schodach na palcach, nie wkładając butów, i wyjrzała przez wizjer. Kiedy zobaczyła po drugiej stronie dwie masywne sylwetki, z trudem powstrzymała okrzyk. Zaczęła się cofać spod drzwi.

- Pani Cooper! - Aż podskoczyła na głos, który zadudnił z otworu na listy. - Pani Cooper, mamy nakaz sądowy! Urząd komornika. I wiemy, że pani jest w środku. - A potem, po chwili milczenia: - Proszę pani?

- Znam swoje prawa! - krzyknęła Helena niepewnym głosem. - Nie muszę was wpuszczać do środka. - Na palcach poszła do kuchni, otworzyła drzwi lodówki i nalała sobie białego wina, żeby opanować nerwy. Na pukanie do okna sutereny o mały włos nie upuściła kieliszka.

Przez szybę zaglądali dwaj mężczyźni. Helena szybkim ruchem zasłoniła żaluzję, usiłując nie pisać z przerażenia.

Odezwał się telefon.

- Halo? - szepnęła. To była Caroline.

- Ja w sprawie tej roli, do której cię przesłuchiowano... - Bez wstępów przeszła do rzeczy. - Obawiam się, że nic z tego.

A tak na to liczyła!

- Cholera! Wydawali się tacy zainteresowani!

- Już nie są.

- Ale dlaczego? - spytała błagalnie Helena, której serce waliło w tempie werbla. - Nie mogłaś ich jakoś przekonać?

- Pytali o ciebie różnych ludzi. - Caroline знаła się na swojej pracy i wiedziała, że kiedy trzeba, agent powinien mówić klientowi prawdę. - Chodzą słuchy, że nie można na tobie polegać. Plotki, że być może pijesz nieco za dużo.

- Ja? Piję? Przecież... To jakiś absurd! Kto rozpowiada te oszczerstwa? Czy możemy go podać do sądu? To ta Melissa, prawda? Zazdrości mi. Zawsze mi zazdrościła!

- Kiedy wypijałaś ostatniego drinka? - spytała Caroline. Helena spojrzała na pusty kieliszek. To się przecież nie liczyło, była w szoku i miała prawo się napić.

- Wieki temu. Nawet nie pamiętam kiedy. Naprawdę, to bezczelność. Ktoś usiłuje mi zniszczyć karierę. To strasznie niesprawiedliwe. Prowadzę bardzo zdrowy tryb życia... Spytaj, kogo chcesz. Jem wyłącznie organiczne

jedzenie, chodzę na siłownię cztery razy w tygodniu, zawsze piję dwa litry wody dziennie... - Umilkła.

- Nieważne, ile wody pijesz. Po mieście krążą historie o tym, jak się rozsypałaś podczas zdjęć do ostatniego sezonu.

- Ojciec mi wtedy umarł. A Melissa podkręca piłkę i robi coś z niczego...

- Posłuchaj - odezwała się Caroline znużonym głosem. - Jeśli będziesz chciała porozmawiać, ja tu jestem. Zawsze.

- Wprost nie wiem, co powiedzieć. To takie stresujące. - Helena odłożyła telefon. Może ludzie myślą ją z Olliem? Zadrżała i naląła sobie jeszcze jeden kieliszek, a potem poszła na górę po sweter. Oscar podreptał za swoją panią.

Na górnym podejściu schodów usłyszała wrzask Ruby. Dziewczynka pędem wypadła z sypialni i przywarła do nóg matki, szlochając ze strachu.

Komornicy byli w sypialni Olliego i Heleny.

Helena też krzyknęła i upuściła trzymany w dłoni kieliszek. Oscar zaczął ujadać.

- Skoro zna pani swoje prawa - odezwał się jeden z mężczyzn - to powinna pani wiedzieć, że wolno nam wejść do środka przez otwarte okno.

Oślupiała Helena, z wciąż ściskającą jej nogę Ruby, z trudem podeszła do okna. Zobaczyła przystawioną do ściany domu drabinę.

- Jak śmiecie w taki sposób straszyć mi dziecko? - odezwała się ostro. - Mogę was za to wpisać do rejestru pedofilów!

Zignorowali ją i zajęli się odłączaniem od sieci telewizora z płaskim ekranem, który kupiła Olliemu jako dodatkowy bożonarodzeniowy prezent.

- Ładniutki. Górna półka. I nowy, o ile się nie mylę. Helena wzięła Ruby na ręce i spróbowała uspokoić córkę. Mała mocno objęła ją za szyję, popłakując cicho. Helena odchrząknęła.

- Wezwę policję.

Mężczyźni ledwie raczyli na nią spojrzeć.

- Ludzie często wzywają - powiedział jeden. - A policja ma to gdzieś. Jest pani dłużnikiem.

Helena zdała sobie sprawę, że znalazła się po drugiej stronie. Już nie była praworządnym, płacącym podatki obywatelem, któremu należał się szacunek i ochrona, ale prawie kryminalistą, którym można pomiatać, a władza i tak się za nim nie ujmie. Poczwała totalną bezradność.

- Ja nawet nie wiem, jakich rachunków nie zapłacił mój mąż...

- Wygląda na to, że nie płacił żadnych. Ale my tu jesteśmy z powodu zaległego podatku.

- Chciałabym prosić o okazanie legitymacji - odezwała się sztywno Helena. - W przeciwnym razie będę musiała uznać, że to włamanie.

Komornicy posłusznie wyciągnęli w jej stronę legitymacje, ale Oscar uznał, że atakują jego panią. Zatopił zęby w mocnej kostce ponad butem o wzmacnianym stałą nosku. Mężczyzna zaklął i zaczął podskakiwać na jednej nodze.

- Słodka psina. - Drugi komornik wielkimi łapami uniósł Oscara; mały piesek bezsilnie ujadął i kłapał

zębami. - Towary z drugiej ręki, takie rzeczy jak telewizor i tym podobne... No cóż, nie uwierzyłaby pani, jak niewiele się za to dostaje. Ale taki pies... Co o tym sądzisz, Andy?

- Co najmniej pięćset - powiedział Andy, rozcierając kostkę.

- Proszę to sobie wybić z głowy! Wykluczone! Zadzwoń do towarzystwa opieki nad zwierzętami! - Helena krzyczała i krzyczała. - Nie macie prawa, żadnego prawa! Oscar to żywa istota! Bez nas będzie przerażony! To członek rodziny!

- To ostatnie ostrzeżenie. - Andy cisnął wciąż ujadającego Oscara na łóżko. Mężczyźni wymaszerowali z sypialni, zeszli po schodach i wyszli z domu frontowymi drzwiami, dźwigając pod pachą telewizor i odtwarzacz DVD. Rzucili Helenie jakieś pokwitowanie. - Proszę pani, nie ma co się łudzić. Możemy się dostać do środka, kiedy tylko nam się zachce. I możemy zabrać, co chcemy. Legalnie. Czas się wypłacić.

- Nie daj im zabrać Oscara! - krzyczała Ruby. -1 nie daj im zabrać mnie!

Wyplątywanie się z objęć rozszlochanej, przerażonej córki zajęło Helenie dobrą godzinę. Później musiała jeszcze sprzątnąć szkło z rozbitego kieliszka po winie.

W Lorenden Felicity wyszła z pokoju i zobaczyła promień światła grubości palca, rysujący linię wzdłuż chodnika na podeście schodów. Drzwi do sypialni ojca były otwarte. Odkąd zmarł, zajrzała tam tylko Helena, raz, a potem wyszła z parą spinek do mankietów i szpilką

do krawata, sugerując, że te rzeczy powinien dostać Eddie. Teraz, w promieniach słońca, Felicity dostrzegła nie tylko tańczący kurz. Między oknami, tam gdzie zawsze, stała stara komoda z różanego drzewa.

Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Pokój nadal pachniał Edwardem, jego mydłem i porządnie wypastowanymi butami, woskiem pszczelim, nieco stęchłym dywanem. Doszła jeszcze woń zamkniętego, nieużywanego pomieszczenia. Na parapecie leżało kilka martwych much.

Za drzwiami szafy Bramble aż podskoczyła ze strachu na widok Felicity.

- Och, to ty.

- Zobaczyłam otwarte drzwi i... pomyślałam, że może przyda ci się pomoc.

- No tak. Racja. - Bramble wskazała na rzucony na łóżko stos plastikowych toreb. - Bierzemy się wobec tego do sortowania. Wszystko, co ma jakąś wartość, sentymentalną też, zachowujemy, żeby omówić to z Heleną. Całą resztę wyrzucamy. Ja skończę z szafą, a ty zajmij się komodą.

Felicity zaczęła otwierać szuflady, wyciągając z nich skromną zawartość. Większość ubrań Edwarda była tak znoszona, że chociaż porządnie skrojone i uszyte z porządnych materiałów, nadawały się wyłącznie na śmietnik.

- Tego nie weźmie nawet sklep charytatywny, nie sądzisz?

Obróciła dolną szufladę do góry nogami i pozbawiła ją zawartości. Szuflada wyłożona była papierem, który

też się wysunął i ujawnił schowany pod spodem list. Na kopercie widniało pismo matki. Felicity tak dobrze znała ten charakter pisma! Serce zabiło jej mocniej.

Bramble nadal trzymała głowę we wnętrzu szafy, więc Felicity chyłkiem wsunęła list do rękawa. Pokaże go siostrze, oczywiście, ale na razie chciała zatrzymać matkę wyłącznie dla siebie.

Z trzech sióstr tylko ona pamiętała ją dobrze. Kiedy matka umarła, Bramble miała zaledwie pięć lat, a Helena dziewięć, ale Felicity spędziła przy niej całe dzieciństwo i czas dorastania, i dla niej utrata matki była wielkim ciosem. Wyjeżdżając z Lorenden, nie sądziła, że matka umrze przed jej powrotem, a jednak. A oni nie zawiadomili jej na czas! Felicity aż jęknęła z bólu.

Bramble natychmiast wysunęła głowę z szafy.

- Nic ci nie jest?

- Nie, w porządku. - Felicity potrząsnęła głową. - Tylko się ukłułam w palec... eee... starą szpilką do krawata. Ciamajda.

Kształt znajomego pisma przywołał falę wspomnień. Choćby to, jak matka mówiła, że liczy na jej pomoc przy młodszych siostrach, zwłaszcza kiedy urodziła się Bramble. Helena, mimo dziesięciu lat różnicy, zawsze biegała za Felicity i chciała ją naśladować, żałośnie domagając się swoich praw, ale Bramble, taka malutka, chwytала Felicity za serce. Przypomniała sobie, jak uwielbiała patrzeć na tego malucha, kiedy biegł w jej stronę na krótkich, grubych nóżkach; rozchichotana mała szeroko rozpościerała ręce. Teraz z tego roześmianego i przyklepnego dzieciaka zostało bardzo niewiele, a na jego miejscu

pojawiła się zamknięta w sobie, poważna kobieta. Choć te jej cechy ujawniły się już w młodym wieku. Bramble godzinami potrafiła się bawić sama, z intensywnym skupieniem budując jak najwyższe wieże z klocków, a potem, kiedy się rozpadały, stawiając je od nowa, wciąż zdeterminowana, żeby położyć na górze jeszcze jeden klocek.

- Co? - spytała Bramble, pochwyciwszy wzrok Felicity.

- Przepraszam... Tak sobie wspominałam różne rzeczy.

- No cóż, skoro już jesteś przy wspomnieniach, może zechcesz przypomnieć sobie, dlaczego Toby Fitzroy się na nas wziął? - W głosie Bramble, stłumionym przez ścianki szafy, zabrzmiała błagalna nuta.

Felicity zawahała się, bo prośba siostry groziła wkroczeniem na niebezpieczny grunt. Postanowiła zaryzykować.

- Kiedy tata dopiero zaczynał odnosić prawdziwe sukcesy, Toby miał zaledwie dziewiętnaście lat. Jego ojciec z kolei uważał, że jeździectwo to strata czasu, ale skoro zamierza się tym zajmować jakiś Fitzroy, to będzie to robił w odpowiednim stylu. Kupował Toby'emu dobre konie, najlepszy sprzęt, płacił za treningi, za wszystko. A przy okazji wywierał na nim ogromną presję. Zdarzało się nam słyszeć, jak stary Fitzroy krzyczy na syna. Wiesz, jak się niesie dźwięk, kiedy ludzie się kłócą w konio-wozach. Toby miał czegoś dokonać jako jeździec albo pójść do pracy w ojcowskim banku.

Toby miał konia, na którego liczył szczególnie, ale w Wylie miał na nim zły dzień i staruszek odciął mu

dopływ gotówki. A ponieważ w tamtych czasach patriotyzm uważany był za ważną część sportowej postawy, brytyjscy selekcjonerzy reprezentacji zaczęli naciskać na Fitzroyów, aby sprzedali konia naszemu ojcu. Bo zwierzę było naprawdę niezłe. Rodzice Toby'ego i nasi byli wtedy wielkimi przyjaciółmi, razem z Pauline i Alanem i jeszcze kilkoma parami... Wiesz, że kiedyś wszyscy jeździli razem na wakacje? Cóż, tata powiedział wtedy ojcu Toby'ego, że jego syn nigdy nie odniesie sukcesów jako jeździec, Pauline go poparła, więc Hugh Fitzroy dokonał transakcji i kazał Toby'emu pójść do pracy w banku pod groźbą wydziedziczenia. I to był koniec profesjonalnej kariery Toby'ego, chociaż kiedy już zarobił dość pieniędzy, zaczął, oczywiście, jeździć w zawodach jako amator. Obwinił jednak naszego ojca za złamanie mu kariery w kluczowym momencie i za to, że podważył wiarę Hugh w syna, chcąc zdobyć dla siebie konia.

- Który to był koń?

- Pierwszy Merlin. Merlin's Magic, którego tata miał zamiar wziąć ze sobą na olimpiadę. Pojechałam z nim po odbiór konia, a wtedy Toby wziął mnie na stronę i przysiągł, że nas zniszczy. Powiedział, że Fitzroyowie nie pozwalają odbierać sobie niczego. Ze jeszcze zobaczę.

- A potem Merlin zdechł na kolce, prawda? Felicity pokiwała głową i podeszła pomóc Bramble

z szafą, ściągając ostatnie garnitury z wieszaków i rzucając je na łóżko.

- No tak, te ubrania nadają się wyłącznie na wysypisko...

- Dlaczego nazwałaś tego uratowanego konia Merlinem?

- Bez powodu, na dobrą sprawę - odparła Felicity.
- Potrzebowano imienia na M, a ja wybrałam pierwsze, które mi wpadło do głowy.
- Wszystkim nam sprzedawano konie niemal spod tyłka... - powiedziała Bramble. - Nie żywiliśmy jednak urazy przez dziesięciolecia. Dziwię się tylko, że tata nigdy mi o tym nie powiedział. Może dlatego, że ta historia nie stawia go w najlepszym świetle?
- Toby nie umie radzić sobie z przegraną. Tyle wiem
- odparła Felicity. - Na poziomie Klubu Kucyka musiał wygrywać wszystko, w szkole był prymusem w klasie i liderem we wszystkich sportowych drużynach. O ile pamiętam, był w szkolnej reprezentacji. Wiesz, taki dzieciak, co to nigdy nie zaznał smaku porażki, więc nie ma pojęcia, jak się z nią uporać... Potem został świetnym bankierem i zbił fortunę, obok tej, od której wystartował. Ale w profesjonalnym jeździectwie chyba rzeczywiście osiągnął pułap swoich możliwości. Niewykluczone jednak, iż naprawdę wierzy po dziś dzień, że gdyby mógł się oddać pasji za młodu, teraz należałby do czołówki.
- Rozpieszczony szczeniak - mruknęła Bramble i wyprostowała się, wyjmując fotografię, która wisiała zatknięta za ramą lustra od tak dawna, że niemal stanowiła element tła. - Popatrz. - Podała zdjęcie Felicity. Przedstawiało trzy siostry. Felicity siedziała w siodle i trzymała przed sobą maleńką Bramble, a Helena dosiadała kucyka. Miała za duży toczek, zbyt krótkie nóżki, ale uśmiechała się od ucha do ucha. - Nawet nie wiedziałam, że Helena jeździła...

Felicity przyjrzała się zdjęciu, wbrew sobie poddając się przyływowi ciepłych uczuć. Kiedyś byli taką szczęśliwą rodziną! Już prawie o tym zapomniała.

- Helena bardzo chciała robić wszystko to co ja, a wszyscy oczekiwali, że będę się nią zajmować. Zwłaszcza podczas jazd. Męczyła mnie i koniecznie chciała dosiadać moich koni, co, oczywiście, było śmieszne, biorąc pod uwagę jej wiek. Któregoś dnia, chyba niedługo po zrobieniu tego zdjęcia, pozwoliłam jej jednak pojechać na kucu, z którym nie miała prawa sobie poradzić. Poniósł ją, zrzucił przez płot, a mała złamała sobie obojczyk. Wrzeszczała z bólu. Powiedziałam jej wtedy, że jeśli nie wsiądzie natychmiast z powrotem, to już nigdy nie będzie mogła jeździć, bo konie raz na zawsze dowiedzą się o jej strachu. Nie wsiadła i więcej nie jeździłyśmy razem. To była moja wina.

Bramble, zajęta teraz związywaniem worków, miała minę, jakby nie widziała w całej sprawie problemu.

- Nie uważasz, że gdyby Helena naprawdę chciała jeździć, to spróbowałyby ponownie, niezależnie od twoich słów?

- Może... - powiedziała Felicity, czując, że jakiś frag-mencik lodowej góry poczucia winy roztapia się w niej pod wpływem rzeczowego, trzeźwego podejścia siostry. - Może masz rację. - Coś w niej drgnęło i poczuła ulgę.

- Nie rozumiem tylko jednego... - odezwała się Bramble. - Dlaczego Tobie szczególnie wini ciebie? A nie tatę?

Rozpaczliwe poszukiwanie przez Felicity jakiegoś sensownego wytłumaczenia przerwał dzwonek telefonu. Obie aż podskoczyły. Felicity sięgnęła po słuchawkę.

- To do ciebie - podała ją Bramble. - Nat.

Popatrzyły sobie w oczy i Felicity przez chwilę miała wrażenie, że Bramble, zamiast pogadać z Natem, zechce kontynuować rozpoczętą rozmowę. Wcisnęła więc siostrze słuchawkę do ręki, złapała pełne torby na śmieci i ruszyła do wyjścia. Pomyślała, że lepiej stąd zniknąć, zanim pogawędka zmieni się w okropnie banalny rodzinny seans wspomnień, zakończony wspólnym płaczem i obietnicami.

I chciała wreszcie przeczytać znaleziony list. Nie chodziło jej o jego zawartość - wątpiła, żeby był szczególnie interesujący - ale chciała ponownie usłyszeć przemawiający do niej ze słów na kartce głos Rose Beaumont...

22.

Cecily Marsh-Robertson nacisnęła guzik domofonu na ceglanym filarze stojącym w samym środku odludnej okolicy. Wielka brama z kutego żelaza, na której widniał napis „Becketfs Park”, wiodła do posiadłości Toby'ego Fitzroya. Otworzyła się na oścież powoli i obojętnie. Brama i domofon sprawiały na tym odludziu nieco absurdalne wrażenie, ale Cecily uznała, że widocznie Toby potrzebuje stosownej ochrony. Samochód podskoczył, przejeżdżając ponad krytym kratownicą rowem, stanowiącym przeszkodę dla bydła, i przez kolejne pięć minut podążał wijącym się podjazdem. Po jednej stronie widniały crossowe przeszkody, a po drugiej padoki, na których skubało trawę kilka klaczy ze źrebiętami. Kiedy Cecily zbliżyła się do przesłaniającej dom kępy drzew, zauważyła dwie ujeżdżalnie, obie zajęte. Na jednej jakaś dziewczyna bez toczka, z włosami związanymi w długi, powiewający koński ogon, najwyraźniej ćwiczyła dresaż, na drugiej inna trenowała skoki pod okiem instruktora.

Drogowskazy prowadziły do biura majątku, biura stajni, do domu i domków dla pracowników. Skręciła w drogę prowadzącą pod główny dom, i jadąc po łagodnym, wysypanym idealnie utrzymanym żwirem łuku, zaparkowała pod sporą werandą.

Frontowe drzwi przewyższały ją niemal trzykrotnie. W Londynie przywykła do przejawów wielkiej zamożności, ale domy w mieście były budowane w innej skali. Cecily przegnała skojarzenie budowli z bardzo eleganckim więzieniem i skupiła się na gustownej architekturze zieleni wokół fontanny w centrum podjazdu.

Drzwi otworzyły się szeroko i stanęła w nich piękna blondynka. Gospodyni? Mieszkająca z Tobym dziewczyna? Sprzątaczką? Córka Toby'ego? Coraz trudniej się połapać wyłącznie po ubraniach i manierach, pomyślała Cecily z irytacją. Zawsze wolała dysponować dokładnymi informacjami. Przed zaplanowaną na dziś wizytą poleciła swojej asystentce przygotować jednostronicową informację o zawodach jeździeckich dla młodzieży i wiedziała już, że Lottie powinna startować w serii regionalnych juniorskich zawodów, w klasie początkującej, mając na uwadze zakwalifikowanie się do reprezentacji regionu południowo-wschodniej Anglii na krajowe mistrzostwa. Wiedziała również, że szanse na klasyfikację daje też Klub Kucyka, więc do zawodów ogólnokrajowych Lottie powinna próbować dostać się dwutorowo. Wyglądało na to, że pod kierunkiem Bramble nie zanoszą się na to ani z jednej strony, ani z drugiej.

Toby wyszedł jej na spotkanie, wielkimi krokami przemierzając marmurową posadzkę.

- Cecily! Moja droga! - Ucałował ją w oba policzki. - Jak miło, że zajrzałaś. Poczęstujesz się czymś?

Po szybkich ustaleniach zwrócił się do blondynki:

- Lauro, oboje napijemy się miętowej herbaty. W pokoju porannym.

Po poczęstunku w wielkiej, bladoniebieskiej, obwieszanej portretami komnacie, w której stały obite kwiecistym materiałem sofy, poszli zwiedzić stajnie.

- Kiedy je odziedziczyłem, były już w użyciu od ponad dwustu lat... - Toby wskazał na rząd zabudowań z czerwonej cegły, porośniętych z jednej strony pnącymi różami. - Ale niepodjęcie próby unowocześnienia majątku byłoby marnotrawstwem. Teraz stare stajnie pełnią rolę mieszkań dla pracowników. Pomijając ten większy budynek na końcu, gdzie mieszka Klaus.

Cecily skinęła głową. Klaus Jurgen, jak poinformowała ją asystentka, kapitan niemieckiej ekipy jeździeckiej. Mieszkał u Toby'ego, bo Wielka Brytania od zawsze stanowiła mekkę koniarzy.

Toby poprowadził ją od dawnych stajni w stronę potężnej, nowoczesnej stodoły. Potem minęli dziedziniec, na którym stało zaparkowanych pięć błyszczących konio-wozów różnych rozmiarów, trzy z napisem „Toby Fitzroy Zawody Jeździeckie”, dwa kolejne z nazwiskiem Klause i masą wymalowanych po bokach nazw niemieckich sponsorów. Odkąd Cecily zobaczyła Toby'ego na zawodach w Fordham Castle, zaczęła na tyle uważnie przeglądać broszury, żeby wiedzieć, iż ma przed sobą ponad pół miliona funtów w środkach transportu.

- Tu mamy stajnie - powiedział Toby, wskazując

rozległy, kryty metalowym dachem budynek. - Możemy w nich trzymać do dwudziestu czterech koni. Jest miejsce na siodłarnię, pomieszczenie z paszą i jednostką hydroterapii - a wszystko razem pod jednym dachem. Kiedy wracamy, możemy zaparkować koniowóz pod wiatą i rozładować konie w suchym miejscu. - Roześmiał się. - Wierz mi, sama możliwość rozładowywania ich i prowadzenia prosto do boksów oszczędza nam sporo czasu. Nie musimy ich suszyć, bo przemokły pomiędzy ciężarówką a stajnią.

Przecież to niemal fabryka, pomyślała Cecily pod wrażeniem tego, co widzi. Zaprojektowana przez biznesmena, który naprawdę zna się na swojej branży.

- Ile masz koni? - Jej głos w budynku o wysokim sklepieniu zabrzmiał bardzo cicho.

- W tej chwili szesnaście. Klaus sześć, więc są jeszcze ze dwa wolne miejsca. Zawsze mieszka u mnie na stałe przynajmniej jeden jeździec najwyższej klasy z zagranicy - dodał tonem wyjaśnienia. - To świetnie wpływa na podniesienie poziomu umiejętności. I mojego, i tych wszystkich, którzy trzymają u mnie konie. - Mrugnął szelmowsko.

Informacje Cecily obejmowały jednak fakt, że utrzymanie pojedynczego konia uczestniczącego w zawodach jeździeckich kosztuje około dwudziestu tysięcy funtów rocznie, jeśli wziąć pod uwagę paszę, opłaty za udział w zawodach, weterynarza, zabiegi fizjoterapeutyczne, sprzęt i szkolenie... Szesnaście do dwudziestu tysięcy! Jej bystry mózg kobiety interesu z trudem ogarniał ogólną kwotę, jaka wychodziła po podsumowaniu. Żeby to

wszystko mogło działać, Toby płacił ponad trzysta tysięcy funtów rocznie. A pieniądze z nagród we wszystkich - nie licząc najważniejszych - zawodach ledwie sięgały dwustu tysięcy. Toż to istne szaleństwo!, pomyślała Cecily. Na torze i w konkursach skoków była przynajmniej do zdobycia sensowna kasa! Ale Lottie powinna należeć właśnie do tego świata. Tutaj mogła nawiązywać odpowiednie kontakty... A nawet, koniec końców, znaleźć odpowiedniego męża. Pieniądze, jakie mogła zarobić Cecily dzięki swojej firmie, bladły w porównaniu z ogromem tego bogactwa.

Toby oprowadzał ją po stajni. Konie trzymano w boksach pogrupowanych po sześć, posegregowane pod względem wieku, poziomu imprez, w jakich startowały, temperamentu. W niektórych stajniach były okna pozwalające wyglądać im na zewnątrz, inne oferowały zwierzętom więcej prywatności, jeszcze inne pozwalały im mieć poczucie, że pozostają w centrum wydarzeń.

- Każdy koń jest inny - tłumaczył Toby. - Niektóre uwielbiają widoki, inne wyskoczą oknem, jeśli będą miały do niego dostęp. - Na ścianach wisiały schludne tablice: plan karmienia, tablice ćwiczeń, tablice z informacją, kto i gdzie bierze udział w zawodach. Całości wyposażenia dopełniało urządzenie do hydroterapii („wszystkie moje konie, z zasady, po zawodach albo udziale w polowaniu korzystają z hydroterapii”), karuzela i jeszcze jedna budowla, wykorzystywana jako zadaszona ujeżdżalnia.

- Wspaniale - powiedziała Cecily, myśląc o starzejących się zabudowaniach Lorenden. Oczywiście, Bramble

zawsze utrzymywała stajnie w idealnym porządku, ale cała reszta wyglądała... No cóż, staroświecko.

- To nasz najnowszy koń - powiedział Toby. - Be Good Be Clever, należący do lady Rudd.

- Och, znam Pauline całkiem nieźle - odparła Cecily, mgliście rozpoznając przystojny łeb, który obrócił się w jej kierunku. Wydało się jej, że w oczach Teddy'ego dostrzega niemy wyrzut. „Co ty tu robisz?“, zdawał się pytać koń, dodając jeszcze: „Zdrajczyni“. A potem powrócił do swojego siana.

Cecily zamrugnęła. Zaczynam mieć zwidy?

- Pauline była bardzo bliską przyjaciółką Edwarda Beaumonta i bardzo przeżyła przeniesienie konia do mojej stajni - powiedział Toby. - Ale, koniec końców, była mu to winna. Oczywiście, wszyscy uwielbiają Bramble, ale to Edward miał na czole wypisane: „Zwycięzca“. Jego córka niekoniecznie.

- A ten jej nowy objeżdżacz? Jezzar Morgan?

- Ten Rosjanin? No wiesz, ja bym mu nie ufał. Penny, poprzednia właścicielka konia, na którym jeździł, to moja wieloletnia znajoma. Powiedziała mi o nim parę rzeczy. - Toby pokręcił głową. - Bramble na pewno wie o tym wszystkim, przecież w tym świecie nie ma zbyt wiele sekretów... Zresztą jej obecny przyjaciel szkolił się na kowala zaledwie o parę mil od miejsca, gdzie mieszka Penny. Też na pewno powiedział Bramble, jaki naprawdę jest Morgan.

- Ale o jakie rzeczy chodzi? - Cecily się zaniepokoiła. - To znaczy... Moja Lottie...

- Ma pewnego typu reputację, jeśli chodzi o kobiety

- przyznał Toby. - Córka Penny była nieco starsza niż Lottie, ale, w pewnym momencie... - Toby zniżył głos.

- Jak zrozumiałem, sypiał i z matką, i z córką. Ujmując lapidarnie - żadnej nie przepuści.

Cecily była zbulwersowana.

- Oczywiście, sprawy seksu nie liczą się najbardziej w tej branży - ciągnął Toby. - Czym się zajmują ludzie w zaciszu własnych koniowozów, to wyłącznie ich sprawa. Niemniej jednak on... Cóż, przywłaszczył sobie chyba jakieś pieniądze. A doprawdy, jeśli nie można komuś ufać w kwestiach finansowych, nie można mu też powierzać swojego konia. Zgodzisz się ze mną, jak sądzę? Cecily pokiwała głową, i - Ani swojego dziecka - dodała. ; - Ani swojego dziecka - przytaknął Toby. - Zaniepokoiło mnie, że Bramble nawet nie wspomniała o tym Pauline, co, jmoim zdaniem, było z jej strony szczytem braku profesjo-j nalizmu. Kiedy usłyszała o tej historii ode mnie, Pauline i przeżyła szok. Duży szok. Sama zresztą rozumiesz... | - Naturalnie. - Cecily też była mocno zaszokowana. | - No więc? - odezwał się Toby, dając znak jednej jze stajennych. - Może nasza Hannah pokaże nam teraz I umiejętności Vincenta, a ty przemyślisz wszystko? j Hannah, dziewczyna o sylwetce podobnej do Lottie, jpoprowadziła Vincenta przez serię skoków, a Toby nie lprzestawał mówić o tym, co córka Cecily powinna osiąg-\ nąć w ciągu najbliższych paru lat i w jaki sposób, jeśli jtrzymałaby konia w Becketfs Park, mogłaby skorzystać z treningów, które miał w ofercie. Cecily ledwie zerkała na Y Vincenta; było widać, że Toby wie, o czym mówi.

- Nie zrozum mnie źle - zakończył. - Moim zdaniem Bramble wykonała kawał znakomitej roboty, zarówno jeśli chodzi o Lottie, jak i o Sailora. Wydobywanie tego, co najlepsze w młodych koniach i jeźdźcach, to naprawdę jej mocna strona. Ale tylko do pewnego pułapu. A kiedy zobaczyłem, jak Lottie dosiada Sailora tamtego dnia w Fordham Castle... No cóż, pomyślałem, że oto mamy przed sobą naprawdę udane połączenie konia i jeźdźca, team, który dojdzie kiedyś do poziomu ogólnokrajowych zawodów.

W tym momencie Cecily podjęła ostateczną decyzję o sprzedaży Sailora.

Kiedy Jez wrócił koniowozem z Irlandii, ożywione Bramble i Savannah wybiegły mu na spotkanie. Po piętach deptały im Felicity, Donna i Lottie. Dzwonił już wcześniej, by powiedzieć, że kupił Frenchie, siedmiolatka, jego zdaniem gotowego do udziału w zawodach już na początku sezonu. Można by go prowadzić dalej albo z miejsca sprzedać jako wyszkolonego do startów.

- Ma wielki potencjał - powiedział. - Niekoniecznie od razu wygra Badminton, ale nawet jeśli nie, to i tak na pewno uda nam się na nim zarobić.

Wyprowadził pięknego, delikatnego, kasztanowego wałacha.

- Hm, kasztan... - mruknęła Bramble. - Rudy i z temperamentem. - Szybko obrzuciła go wzrokiem. - Faktycznie, ładnie zbudowany. Sędziowie dresażu go polubią.

- Powinnaś zobaczyć, jaki jest skoczny - powiedział Jez. -1 poczciwy. Zerknij tylko na te wielkie uszy!

- Jest jakiś związek między wielkością uszu a poczciwością? - spytała Lottie.

Bramble po raz kolejny zaskoczyła gotowość Lottie do zadawania pytań.

- Nie mam pojęcia, ale ludzie często tak twierdzą. Uważają, że duże uszy u konia to oznaka szczeroci. I łagodne oko.

Lottie zrobiła niepewną minę.

- Tam w środku jest jeszcze jeden! - zawołała Bramble. - Więc przywiozłeś dwa!

- Aha. - Uśmiechnął się Jez. - To coś specjalnego. Jest dla ciebie.

- Dla mnie? - Bramble nie bardzo rozumiała, co miał na myśli.

Jez sprowadził po rampie gniadosrokata końską damę, a Bramble w pierwszym odruchu paniki odniosła wrażenie, że oto widzi kuca. Zwierzę miało niewiele ponad piętnaście dłoni wysokości i zimową sierść tak gęstą, że niemal całkowicie skrywała delikatną sylwetkę klaczy półkrwi.

- Bardzo ładniutka - powiedziała Donna z aprobatą. - Śliczna klaczka. Pod tymi wszystkimi kudłami.

- No właśnie o to chodzi! - dodała Bramble. - To maleństwo. - Poczula się upokorzona. Wystarczyło powiedzieć Jezowi, że wystraszyła się Teddy'ego, i już jest odpowiedź! Ten... ten... Ten kucyk! Coś małego i bezpiecznego. - Jez, ja mam metr siedemdziesiąt trzy wzrostu. Ona jest dla mnie za mała. - Próbowala opanować pobrzmiwające w jej głosie łyzy frustracji.

- Sam na niej jeździłem - powiedział Jez. - A mam

ponad metr osiemdziesiąt. I jest dobra. - Poklepał klacz po szyi. - Jest bardzo, bardzo dobra.

- Więc jak to się stało, że ją dostaliśmy przy naszym budzecie? - spytała ostro Bramble. Niejasno docierało do jej świadomości, że pozostali, widząc iskrzenie w powietrzu, zaczynają się wycofywać. Donna odprowadziła na bok Frenchiego.

- Doświadczeni jeźdźcy uważają, że jest za mała, a juniorzy nie potrafią sobie z nią poradzić. Ale jeśli zrobisz z niej gwiazdę, to każde źrebię, jakie urodzi, będzie warte fortunę. Ona ma wielkie możliwości.

- Zrobić z niej gwiazdę? Jez, czyś ty oszalał? Przecież to tak nie działa i ty o tym wiesz. - Bramble zajęła się oglądaniem konia, kryjąc twarz. Wyczuła dotykiem dłoni prężące się mięśnie silnych nóg i potężnego zadu. - No cóż, oczywiście nie mogę tego stwierdzić na pierwszy rzut oka, ale jeśli jest tak dobra, jak twierdzisz... Za takiego konia ambitni rodzice jeźdźców z Klubu Kucyka byliby skłonni dać fortunę. Nawet jeśli okaże się nieco narowista.

Jez potrząsnął głową.

- Taki typ szuka konia już przygotowanego do wygrywania zawodów. A ta klacz jest zaledwie w pół drogi do sukcesu. A nie ma lepszej od ciebie, kiedy trzeba konia wyszkolić od „w pół drogi do sukcesu” do momentu, w jakim teraz znajduje się Teddy.

- Przecież ja raczej nie wygram Badmintonu na małym, kędzierzawym kucyku, nieprawdaż? Och, Jez, przecież to oznacza, że znów więcej pieniędzy będziemy tracić, niż zarabiać! Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo ona jest jak ty.

Zapadło milczenie.

- A dlaczegoż to? - Bramble zaplotła ramiona na piersi. Starąła się nie rozplakać.

- Jest dzielna i ostrożna - powiedział Jez. - To niezwykle połączenie.

Więc on po prostu był życzliwy! Gniew opuścił ją w jednej chwili. Powinna mu być wdzięczna, bo zakup niewielkiej klaczy z paroma problemami był jego sposobem na dodanie Bramble otuchy i przywrócenie jej pewności siebie. Pomyślała, że z tego typu życzliwością chyba jednak nie zdoła się uporać, bo miły gest podkreślał tylko, jak daleko ona, Bramble Kelly, odpadła od elitarnej grupy jeźdźców, których wszyscy podziwiali. Poczwała zażenowanie na samą myśl, że kiedyś wierzyła, iż tam właśnie jest jej miejsce.

- Jest też uparta i zawsze stara się wszystko robić po swojemu - dodał Jez z uśmiechem. - Wiesz, jak to mówią: wałachowi wystarczy powiedzieć, ale klacz trzeba poprosić. No cóż, ta panienka upiera się, żeby do każdego polecenia dodawać „proszę”. A i wtedy najpierw sama musi nabrać na coś ochoty.

- Chodź, Kudłata - powiedziała Bramble, odbierając od niego uwiąż.

- Nazywa się Chequerboard Charlotte! - zawołał za nimi Jez. - Ale wszyscy mówią na nią Chessie!

- Nic mnie to nie obchodzi - rzuciła Bramble. - Póki tu jest, nazywa się Kudłata. - Wiedziała, że zmiana nieoficjalnego imienia, jakim woła się konia w stajni, podobno przynosi pecha, ale czwała zbyt wielkie przygnębienie, żeby się tym przejmować.

Następnego dnia Bramble siedziała w wielkim fotelu w gabinecie ojca. Teraz stały tu schludne rzędy segregatorów i chociaż wszystkie płaskie powierzchnie nadal zarzucone były kopertami, pismami i gazetami, wszystko leżało w uporządkowanych stertach. Bramble wiedziała, gdzie co jest i o co w tych papierach chodzi. Ziemia za oknem poznaczona była plamami fioletu, bieli i żółci tam, gdzie zawilce i krokusy przebijały się przez resztki opadłych zeszłego roku liści. Wśród zimowych brązów zaczynały pojawiać się pierwsze zielone pędy. Konie z Lorenden gotowe były na początek sezonu.

Odezwał się telefon. Cecily Marsh-Robertson.

- Sprzedałam Sailora - oświadczyła bez wstępów. -Uznałam, że czas już podjąć zdecydowane kroki. Lottie codziennie traci całe godziny w twojej stajni...

- Dlatego, że sama tego chce - przerwała Bramble.

- Moim zdaniem, ona to lubi.

- Lubi?! - W głosie Cecily zabrzmiało oburzenie.

- A co ona z tego niby ma? Niczego się nie uczy!

- Uczy się, na czym polega wartość ciężkiej pracy

- powiedziała Bramble.

- Nie chcę, żeby została stajenną - odparła Cecily.

- A tylko do tego będzie się nadawała, jeśli wszystko dłużej potrwa. W każdym razie, nie ma sensu się sprzeczać. Turnbullowie biorą Sailora, bo Georgie właśnie zaczyna do niego dorastać, a ja kupiłam dla Lottie bardzo odpowiedniego, nadającego się na następny etap nauki konia od Toby'ego Fitzroya. Będę go trzymała u niego w stajni, oczywiście. W ten sposób unikniemy zamieszania.

- Którego konia? - Żołądek podszedł Bramble do

gardła. Cecily naprawdę zabierała Sailora, a utrata opłat za stajnię oznaczała kolejne rachunki, za które nie będzie jak zapłacić.

- Kasztana. Nazywa się chyba Vincent van Gogh.

- Vincent nazywa się Vincent, bo jest zdolny, ale trochę szalony! - zawołała Bramble, w równym stopniu co o finanse Lorenden, martwiąc się o Lottie.

- Ale na nim uda się jej zakwalifikować do zawodów ogólnokrajowych, a tylko to się liczy. Może nawet i do międzynarodowych.

- Ona jest na to o wiele za młoda - powiedziała Bramble. - To prawda, że jest jednym z najbardziej utalentowanych i obiecujących jeźdźców, jakich tu miałam, ale naprawdę potrzebuje jeszcze paru lat...

- No cóż, oczywiście, że nie w tym roku - powiedziała Cecily, jakby Bramble wygadywała jakieś straszne głupstwa. - Ani w przyszłym. Ale chcemy, żeby zaczęła w nich uczestniczyć jak najszybciej, co się po prostu nie może zdarzyć, póki ty ją powstrzymujesz.

- Proszę posłuchać... Sama mam nastoletnią córkę i naprawdę usilnie namawiam panią, żeby...

- No cóż, to kolejna sprawa. Mam nieodparte wrażenie, że to Savannah jest na pierwszym miejscu, a Lottie zawsze daleko, daleko w tyle. Ja natomiast chcę, żeby Lottie trenowała w stajni skoncentrowanej na moim dziecku. Toby zgodził się przyjąć Lottie jako swoją uczennicę, w ramach szczególnej przysługi dla mnie. Zwykle nie zajmuje się szkoleniem jeźdźców. A, jak sama się orientujesz, jest jednym z najbardziej doświadczonych...

- ...nieudaczników w tej branży - dokończyła

Bramble, gotując się ze złości. - Zawsze poświęcałam Lottie całą swoją uwagę. Nigdy nie była na drugim miejscu.

- Naprawdę uważam, że nie ma sensu nad tą sprawą dyskutować. Turbułowie przyślą koniowóz po Sailora jutro, twoja należność zostanie uregulowana pod koniec miesiąca, a tymczasem oczekuję od ciebie całkowitej dyskrecji w całej sprawie. Lottie ma się niczego nie dowiedzieć, bo absurdalnie się tym przejmie!

- Ale przecież musi się z nim pożegnać! Ona wprost uwielbia Sailora...

- No właśnie. O wiele za bardzo. Przywiązała się do tego konia zupełnie niepotrzebnie i jakieś długie, histeryczne pożegnania tylko pogorszą sprawę. Wiesz, tak się składa, że sama się orientuję, co jest najlepsze dla mojej córki. - Po tych słowach Cecily walnęła słuchawką, pozostawiając Bramble roztrzęsioną ze złości.

Może jednak nie powinnam była zmieniać stajennego imienia Kudłatej?, pomyślała.

23.

Turnbullowie, nowi właściciele Sailora, przyjechali po niego w tygodniu, w godzinach szkoły; koń został załadowany do koniowozu. Tym razem grupka żegnających była mniejsza - tylko Jez, Bramble i Donna - a atmosfera cięższa niż poprzednio. Nikt nie był w stanie odezwać się słowem, chyba że było to absolutnie konieczne. Bramble czuła, że zawodzi zaufanie zarówno Sailora, jak i Lottie, i za każdym razem, kiedy przechodziła obok pustego boksu, czuła się tak, jakby ktoś wymierzał jej cios w brzuch. Jez, który właśnie odnosił siodło do domu, przystanął obok.

- Biedna Lottie - powiedziała Bramble.

- Biedni to będziemy my - odparł. - Nie stać nas na utratę pieniędzy za trzymanie go w stajni. Zrobiłaś już zgłoszenia do Stileman? Chciałbym tam wziąć Frenchiego.

Trzy dni później, podczas wieczornej stajni, na podjazd wjechała z łoskotem taksówka i wysiadła z niej Lottie o poblądłej buzi i zaczerwienionych oczach.

- Oddałaś go! A obiecałaś, że tego nie zrobisz - powiedziała, patrząc Bramble prosto w oczy. - Nawet nie pozwoliłaś mi się z nim pożegnać.

- Próbowałam - odparła Bramble. - Ja,.. - Już otwierała usta, żeby obarczyć winą Cecily, ale się rozmyśliła. - Przykro mi, Lottie. - Próbowała objąć dziewczynkę ramieniem, ale ona odsunęła się i poszła prosto do boksu Sailora. Posiedziała tam sama przez pół godziny, a potem weszła do kuchni i grzecznie podziękowała Bramble za wszystko, co ta dla niej zrobiła. Bramble wiedziała, że zawiodła, że nie dopełniła obowiązku dbania o dobro ucznia, kogoś młodego i bezbronnego, kto został oddany pod jej opiekę.

- Przyjeżdżaj do nas w odwiedziny, kiedy tylko będziesz chciała - namawiała gorąco. - Będziesz brała udział w Ardingly? W naszym wozie zawsze będą na ciebie czekać jakieś żelki.

Jednak Lottie się nie uśmiechnęła.

- Dziękuję. Nie wiem, co zaplanował dla mnie Toby. - W milczeniu wsiadła z powrotem do taksówki.

- Toby nie spocznie, dopóki nie zrujnuje stajni Beau-montów, co? - odezwała się Felicity, kiedy taksówka już znikła.

Felicity patrzyła na odjazd Sailora, myśląc, że i ona powinna wyjechać, zanim sama jej obecność doprowadzi stajnię Bramble do bankructwa. Była pewna, że to jej pobyt w Lorenden wywołuje w Tobym serię mściwych reakcji. Możliwe, że po jej odjeździe dałby sobie spokój.

I jeszcze te złe sny, które znów zaczęły ją nawiedzać! Przez całe życie Felicity przekonywała się wielokrotnie,

że najlepszy sposób na pozbycie się koszmarów to wyruszenie w drogę. Ożywienie wywołane nowymi planami, nowymi wyzwaniem, nowymi ludźmi... Wszystko to pozwalało odepchnąć od siebie całe zło. Felicity doskonale wiedziała, że ma naturę podróżnika i że życiowe problemy rozwiązuje, uciekając od wszelkich trudności.

Powoli jednak zaczynała dostrzegać, że te trudności wloką się za człowiekiem. W pewnej odległości. Po dwóch tygodniach, miesiącach czy dwóch latach, nieważne... W jakimś momencie Felicity budziła się po prostu w środku nocy, ponownie przepełniona nienawiścią do samej siebie, a kiedy to się zdarzało, jedynym lekarstwem była ucieczka. Ucieczka do domu, jak każdy z jej wyjazdów, również okazała się ożywcza. Zaskoczona Felicity odnajdywała różne dobre wspomnienia - smak jesiennego jabłka prosto z drzewa, niosący się w zimowym powietrzu zapach polan płonących na kominku, widok białych narcyzów chylących główki nad trawnikiem i, ostatecznie, powrót jaskółek zwiastujących kolejne lato. Właśnie teraz zaczynały zakładać gniazda, tworząc związki na całe życie, takie jakie ona zawsze wróżyła sobie i swoim siostrom. Tymczasem nikt w rodzinie nie zaznał podobnego partnerstwa. Ani jej ojciec i matka, ani Bramble, ani ona sama. No, może jedna Helena była szczęśliwa z tym swoim mężem pijaczkiem. Widocznie szczęśliwe zakończenia romansów należą się wyłącznie jaskółkom, pomyślała, patrząc, jak pikują i kołują nad dachem stajni. Nie nam.

Tak czy inaczej, złe rzeczy lubią się przytrafiać, jak powiedziała Jezowi. A już zwłaszcza jej. Może szukają

jej same? Może właśnie dlatego została korespondentką wojenną? Nie, do tego zajęcia też nie chciała wracać. Zaczynała się czuć jak pasożytująca na innych pijawka.

Tamtego wieczoru, kiedy Bramble pojechała do domku Nata, Felicity weszła na górę do siebie i usiadła nad znalezionym w komodzie listem.

„Mój drogi Edwardzie”, zaczęła czytać. Wygładziła kartkę, bo słowa zatańczyły jej przed oczami.

„Bo nadal jesteś mi bardzo drogi”, ciągnęła ta sama ręka pochyłym, eleganckim pismem, „mimo tego, co właśnie odkryłam. Piszę z zamiarem pozostawienia tego listu w szufladzie obok łóżka. Znajdziesz go zapewne, kiedy będziesz sprzątał po mojej śmierci. Być może postępuję tchórzliwie, nie załatwiając tej sprawy teraz, otwarcie, ale nie zniosłabym blasku zdrady w Twoich oczach. Nadal traktujesz mnie z wielką czułością i jestem Ci wdzięczna za utrzymywanie pozorów. To lepsze niż nic. Jestem świadoma, że chociaż już mnie nie pożadasz, to wciąż mnie kochasz. Na swój własny sposób.

Jesteś mi nadal drogi, bo mamy trzy córki, a za sobą ponad dwadzieścia wspólnie spędzonych lat. Nic nie jest w stanie mi tego odebrać, chociaż niedługo stracę wszystko inne. Lekarz powiedział, że prawdopodobnie zostało mi zaledwie parę tygodni życia. Próbuję nie czuć goryczy, próbuję Cię nie obwiniać.

Rozumiesz, dowiedziałam się o Niej (jak by to ujęły kobiece czasopisma). Możesz sobie wyobrazić, oczywiście, w jaki sposób odkryłam całą sprawę. Nawet nie jestem zdziwiona. Najlepsza przyjaciółka. Jakie to banalne! Nie mogłeś się zdobyć na odrobinę oryginalności?

Ale, jak również stwierdziłyby kobiece magazyny, każdy mężczyzna żonaty z kobietą chorą, od trzech lat niezdolną do wypełniania w łóżku małżeńskich obowiązków, no cóż... Taka żona musi spodziewać się podobnych historii. Chociaż to i tak boli. Gdybym czuła się dobrze, może wzięlibyśmy rozwód, no ale z drugiej strony, gdybym czuła się dobrze, może do tego wszystkiego nigdy by nie doszło?

Piszę jednak do Ciebie w sprawie dziewczynek. Będiesz zapewne chciał się z Nią ożenić, o ile otrzyma rozwód, ale nie pozwól Jej odsunąć się od nich. Będą Cię tak bardzo potrzebowały, nawet Felicity. Ja sama w jej wieku też byłam taka dzika, ale potem spotkałam Ciebie i Ty mi pokazałeś, że życie może być inne. Ocaliłeś mnie, dzięki swoim ambicjom, determinacji i marzeniom o sukcesie. Bez Ciebie zadowolilibym się byle czym. Pewnie zdecydowałabym się na człowieka, który by mnie nudził, na życie wypełnione brydżem i wytrawnym martini. Więc za to Ci dziękuję.

Widzisz, dziękuję Bogu za to, co mam. Tak mi zasugerował ojciec Anderson. Staram się więc pogodzić z Bogiem i ze światem. Chciałabym życzyć Ci szczęścia z Nią, ale nie jestem jeszcze na to gotowa. Chcę tylko, żebyś stawiał dziewczynki na pierwszym miejscu, żebyś nadal rozmawiał z Felicity, zwracał uwagę na Helenę i nie przyjmował za pewnik, że Bramble będzie na każde Twoje zawołanie. Ta rodzina trzyma się w kupie dzięki Felicity, ale i jej trzeba się pozwolić nacieszyć młodością, póki to możliwe. Helena potrzebuje innej widowni i większej sceny. Zdecydowała się odrzucić Twój świat,

bo jest dumna i ambitna, a wie, że jako jeździec nigdy nie dorówna starszej siostrze. Jeśli zaś chodzi o Bramble... To ona, z całej trójki, jest tym właśnie dzieckiem, które odziedziczyło Twoją determinację. Ale kobiecie jest z nią trudniej. Kobieta nie zawsze rozumie, do czego tę determinację wykorzystać; to wcale nie jest prosto wytyczona droga. Nie próbuj tylko robić z niej syna! Pozwól jej być sobą, a odnajdzie własną ścieżkę przez życie.

Przede wszystkim jednak nie zapominaj, że Twoje ambicje są wyłącznie Twoimi ambicjami. Nie można ich komuś przekazać jako części spadku, jak złotego zegarka. Pozwól dziewczynkom cieszyć się Twoją miłością i realizować ich własne cele. To wszystko, czego potrzebują.

Jest jeszcze tyle rzeczy, które chciałabym Ci powiedzieć, ale już robi się ciemno, a ja nie chciałabym napisać niczego, czego potem mogłabym żałować. Tylko to, że Cię Kocham. Nadal. Rose".

Felicity czytała ten list wciąż od nowa, z ulgą, wściekłością i żalem jednocześnie. Ukojenie przynosił jej fakt, że ta „dzikość” jest czymś, co można odziedziczyć, jak zielone oczy i ciemne włosy, a zatem niekoniecznie cechą przypisaną wyłącznie jej. Ze matka nie uważała jej za dziewczynę zepsutą i samolubną, jak wszyscy inni, ale za tę, która „trzyma rodzinę w kupie”. A choroba matki? Felicity próbowała przypomnieć sobie tamte dni, filtrując wspomnienia przez nowo zdobytą wiedzę. Przypomniała sobie, że odkąd nauczyła się prowadzić samochód, wozila Helenę, a potem również i Bramble, do szkoły i odbierała je stamtąd pod koniec dnia. Pomagała

dziewczynkom odrabiać lekcje i szykowała im kolację. Matka często „niespecjalnie się czuła”. Ale, myślała teraz Felicity, co właściwie jej dolegało? Nie nagły atak serca, jak mówiono, tylko przewlekła choroba? Będzie musiała porównać datę listu ze wszystkimi innymi datami i być może porozmawiać z ludźmi, którzy bywali tu w tamtych czasach. Żeby dotrzeć do sedna sprawy.

A Bramble miała rację co do Heleny! To ona sama podjęła decyzję, że nie będzie już jeździć, nie dała się zastraszyć Felicity. Niewierność ojca raczej nie była zaskoczeniem - Felicity wiedziała o tym od dawna. I gardziła nim. To był jeden z powodów jej wyjazdu. Nie chciała oglądać Edwarda „z Nią”, jak ujęłaby to jej matka. Nie zamierzała pozwolić, by na jej oczach odgrywano farsę, udając zgodną, szczęśliwą rodzinę.

Ale były też w liście inne sprawy, które nie do końca rozumiała. Nie zamierzała pokazywać go Helenie ani Bramble, a przynajmniej chciała się poważnie zastanowić, zanim ujawni jakieś kolejne bolesne sprawy z minionych dni. Przecież one kochały ojca, obie. Domyślała się, że podejrzewały go o romans z Pauline, ale, sądząc ze sposobu, w jaki ubierały w słowa swoje zadawane od czasu do czasu pytania, automatycznie zakładały, że jeśli doszło między nimi do fizycznego zbliżenia, to dopiero po śmierci ich matki.

A więc kiedyś byłam przykładną starszą siostrą, pomyślała, składając i chowając list. „Felicity trzyma tę rodzinę w kupie”. To były cenne słowa, przypominające jej, jak to wszystko wyglądało. Obecnie wybór był podobny - mogła albo zostać i znów próbować scementować

rodzinę, albo wyjechać i pozwolić, żeby siostry załatwiły sprawy między sobą. Czy jeśli zostanie, ugrzęźnie tu już na zawsze? Pamiętała dawne odczucia, że może nigdy nie uda jej się stąd wyrwać, że jest za bardzo potrzebna. Że oni nigdy jej nie puszczą, że zawsze będzie coś, co będzie ją tu ciągnąć z powrotem...

Felicity wzięła głęboki oddech, schowała list do plecaka, obok paru luźno zwiniętych sztuk ubrania, i weszła na górę, powiedzieć Jezowi, że wyjeżdża. Mógł przekazać tę wiadomość pozostałym.

- A co z Merlinem? - Wstał i popatrzył na nią z góry, z dezaprobatą. Ale do dezaprobaty już przywykła.

- Napiszę. Podaruję go Bramble.

Na widok jego miny zakłuło ją sumienie. Do tego też zdążyła się przyzwyczaić.

- Posłuchaj, pożegnam się z Merlinem - przekonywała. - Ale potem jadę. Nie możesz mnie zatrzymać. A poza tym, kiedy mnie tu nie będzie, może przynajmniej Toby zaprzestanie prób zniszczenia Bramble.

Twarz Jeza na jedną krótką chwilę znalazła się bardzo blisko jej twarzy i Felicity miała wrażenie, że chciał jej powiedzieć coś jeszcze.

Ale pozwolił jej odejść, a ona zeszła po wąskich schodach, i niepewnym krokiem ruszyła przez dziedziniec, zatrzymując się na moment, bo wyczuła zmianę pogody. W powietrzu wisiało napięcie, jak przed burzą, i jak na wiosenną porę było o wiele za ciepło i nieznośnie duszno. Zanim spadną pierwsze krople deszczu, stara Felicity odjedzie, a wtedy pojawi się nowa, odrodzona

jak feniks. Może trafi na kogoś, dzięki komu skończy się to wszystko? Może tak byłoby najlepiej?

Pochłonięta myślami o wyrwaniu się z Lorenden, nie dopuszczała do głosu instynktu, który usiłował zarejestrować fakt, że głowa Merlina nie pojawiła się na odgłos jej kroków nad drzwiami boksu. Uszy, nie słysząc cichego rżenia, którym zawsze witał jej nadejście, wysłały ostrzegawczy sygnał do mózgu. Felicity zignorowała oba komunikaty.

Spojrzała ponad drzwiami stajni i przekonała się, że koń leży, ale wciąż próbowała sobie wmawiać, że zwierzę po prostu odpoczywa. W głębi duszy wiedziała jednak, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

Merlin uniósł łeb i spojrzał w stronę własnego brzucha, a zanim Felicity zdążyła ogarnąć sytuację i zrozumieć, co widzi, zaczął się tarzać i wierzgać energicznie.

- Nie, Merlin! - Rzuciła się znaleźć jakiś kantar i założyła mu go wśród tego młócenia kopytami. - Wstawaj, Merlin, wstawaj! - szeptała, maleńka na tle jego sylwetki. Koń opornie podniósł się na nogi, z wysiłkiem wykonując polecenie. - Grzeczny chłopiec! - pochwaliła go miękkim głosem, usiłując wysnuć między nimi niteczkę zaufania, która pomogłaby zwierzęciu znieść ból. - Dobry chłopiec. - Pod dłonią czuła jego sierść, mokrą i błyszczącą od potu; oczy Merlina zasnuwał lęk. Felicity nie miała do czynienia z przypadkiem kolki od ponad trzydziestu lat, ale nie sposób było nie rozpoznać objawów. Zapęt-lone jelito nigdy nie rokowało pomyślnie. - Chodź - zaczęła go namawiać. - Proszę.

Pociemniały dom zdawał się odległy o lata świetlne.

- Jez! - zawołała. - Jez! Tez, pomocy! - Jednocześnie poprowadziła Merlina w stronę tylnych drzwi, słysząc za plecami jego ciężki oddech. Czuła, że koń zaraz zacznie się tarzać.

Otworzyły się kuchenne drzwi.

- To Merlin! - krzyknęła. - Kolka!

Jez zadzwonił po weterynarza, który pojawił się w pół godziny i zbadał drżące zwierzę.

- Trudno powiedzieć, jak to poważne - powiedział weterynarz. - Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że ewentualna operacja daje mu pięćdziesiąt procent szans?

Felicity pokiwała głową.

- Moim zdaniem możemy zrobić tylko jedno. Nastawimy budziki w regularnych odstępach czasu - powiedział Jez. - Będziemy pilnować go na zmianę i oprowadzać po pięć do dziesięciu minut na każde pół godziny. Mniej więcej.

Felicity była bliska płaczu.

- Nie - powiedziała znużona. - Zrobię to sama. I tak nie śpiam. - Pomyślała, że Jez zaprotestuje, więc dodała ostrzej: - Proszę, odejść. Ja się tym zajmę. Nie ma sensu, żebyśmy jutro oboje byli wykończeni.

Przyniosła sobie do boksu Merlina poduszkę i kołdrę i zatargała do środka parę bel siana. W tym samym momencie koń zachwiał się na nogach, potknął i spróbował się położyć.

- O nie, wybij to sobie z głowy! - rzuciła, szybko chwytając za uwiąz i wyprowadzając go ze stajni.

Merlin oparł miękkie, ufne, aksamitne pysk na jej ramieniu, ale widziała, że jego nozdrza wydłużają się

z bólu, a po obu stronach pyska pojawiają się głębokie linie stresu. Poczowała ucisk w sercu.

Wciąż od nowa okrążali dziedziniec, a potem chodzili w kółko po ogrodowym trawniku, oświetleni wyłącznie promieniami księżyca. Felicity usłyszała ciche pohukiwanie płomykówki, ostatni pisk jej ofiary i szelesty wydawane przez nocne stworzenia. Czuła, że wilgotna koszulka lepi się do jej pleców, a po twarzy od czasu do czasu spływa strumyczek potu, z miejsca stygnąc i chłodząc skórę. Światło księżyca wydobywało z mroku nieprzyjazne kształty, w ciemności migotały cienie, ale za każdym razem, kiedy ruszała w ich stronę, z sercem bijącym dwa razy szybciej niż zwykle, zamieniały się w krzaki albo znikwały. Zupełnie jak duchy, rozplywające się przy pierwszym kontakcie z człowiekiem.

- Jesteście tylko majakami - powiedziała Felicity.

- Nie macie już nade mną władzy.

Miała wrażenie, że uciekając, ocierają się o nią, ale to liście drzew muskały ją po nagich ramionach...

- Szkoda, że nie umiem śpiewać - odezwała się na głos do Merlina, który dreptał jej śladem niczym anioł stróż. - Mogłabym ci coś zanucić. - Dźwięk słów zdawał się go uspokajać, ale Felicity nie przychodziło do głowy, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Wiersze. Gdyby tylko zdołała sobie jakieś przypomnieć, mogłaby recytować wiersze.

- Lubisz Browninga? - zapytała. Zdawało jej się, że Merlin skinął łbem, poruszając nim z boku na bok, w miarę jak ciężko szli dalej. - But, siodło, na koń i w drogę!

- zadeklamowała. - Bronić zamku, nim dzień gorący...

- Znów powoli dreptali w koło. - .. .srebro nieba rozpali słońcem. But, siodło, na koń i w drogę!

Wiersz miał w sobie kojący rytm, a Felicity, nie mogąc sobie przypomnieć następnej zwrotki, powtórzyła pierwszą. Widząc na tle księżyca wysokie georgiańskie kominy Lorenden i ostre załamania dachu na tyłach domu, zastanowiła się, czy nie powinna podjąć walki w obronie własnego zamku.

- Nie zamierzałam wracać, Merlinie, a jednak tu jestem. I na dodatek całą noc oprowadzam konia w kółko, jakby nigdy nie było tych trzydziestu lat. But, siodło, na koń i w drogę! - wyrecytowała jeszcze raz, wyczuwając, że koń znów ma ochotę się położyć. - Bronić zamku, nim dzień gorący, srebro nieba rozpali słońcem

- szeptała rozpaczliwie. - But, siodło, na koń i w drogę!

- Rosa na trawie już dawno przemoczyła nogawki jej dzinsów, ziębiąc kostki nóg, a sowa powtórzyła ciężkie, przypominające westchnienie, zawołanie.

W chwilach kiedy miała wrażenie, że Merlin czuje się lepiej, Felicity kładła się na belach siana, naciągając kołdrę na uszy i chroniąc się przed ostrym chłodem ostatnich godzin przed świtem. Zaledwie jednak odpływała w sen i zaczynała dostrzegać ukryte w mroku ścigające ją przez całe dorosłe życie dłonie i twarze, budził ją niepokój Merlina.

- Nie, Merlin, wstawaj! - powtarzała znużona, ciągnąc za sobą spoconego konia, zmuszając go do maszerowania po nocy. - Chodź - mówiła głośniej. - Ile razy mam ci ratować życie? But, siodło, na koń i w drogę! Idziemy!

Kiedy tak krążyli, przypomniła sobie następną zwrotkę.

- Mimo wsi snem kojącej trwozę, gdzie druh liczny słuca i szepcze „Daj im Boże podróż bezpieczną!”, but, siodło, na koń i w drogę! Ta ballada, Merlinie, mówi o walce rojali-stów z Okrągłymi Głowami podczas rewolucji angielskiej, o ile dobrze pamiętam. But, siodło, na koń i w drogę! No, to była jednak stracona sprawa... Jest potem taka zwrotka

0 żonie, Gertrudzie, która śmiała się klęsce w twarz. I właśnie tak kiedyś myślałam, Merlinie, twierdziłam, że nigdy się nie poddam, ale musiałam, jak kiedyś ostatecznie musiała się poddać Gertruda. - Pogłaskała jedwabistą końską sierść, nadal mokrą od potu, i twardo pobrnęli przed siebie.

- Mam ci powiedzieć, Merlinie? Mam ci opowiedzieć, dlaczego wyjechałam? Ty nie będziesz się nade mną litował ani mnie oceniał, ani mówił mi, co powinnam zrobić.

Głowa Merlina kiwała się w takt jej słów, a kopyta cicho postukiwały w aksamitnej ciemności za jej plecami.

Zanim skończyła swoją opowieść, nad horyzontem pojawił się cienki pasek szarego światła, a nad ich głowami zaczęły się zbierać deszczowe chmury. Felicity usłyszała niepewny zaśpiew pierwszego ptaka, a w odpowiedzi staccato świergotu innego. Ruchy Merlina stały się bardziej płynne, jego oddech uspokajał się, w miarę jak mijał ból. Odprowadziła go do boksu i położyła się na sianie, ledwie świadoma tego, że ktoś ją owija kołdrą, i że dłoń Jeza wyjmuje z jej ręki linkę uwiązania.

Kiedy zapadała w mrok mocnego snu, pomyślała, że chyba słyszy dochodzące z dziedzińca odgłosy codziennej pracy i czuje świeży zapach deszczu. Zaczął bębnić, uderzając o dach stajni.

24.

Tego wieczoru Felicity zaskoczyła Bramble, dołączając do obowiązków przy wieczornej stajni. Tez, który- sprawdzał pęciny Frenchiego, wyprostował się i wymienił z Felicity znaczące spojrzenie, ale zanim Bramble na dobre zaczęła się zastanawiać nad jego znaczeniem, na podjazd wjechał pędem sportowy samochód i zatrzymał się z poślizgiem.

Wyskoczyła z niego Helena.

- Mam świetne nowiny!

- Dostałaś nową rolę - domyśliła się Felicity. Helena pobladła.

- Ach, to. Nie, w tej chwili nie szukam niczego nowego. Teraz stawiam na pierwszym miejscu rodzinę. I nie powinniście nikomu wspominać o Mattie. Nikomu. To, kto naprawdę umrze w serialu, to sekret, za który brukowce oferują tysiące funtów.

- Oczywiście, nie powiemy - odparła Bramble, zirytowana.

- Mam naprawdę ważną wiadomość. Wejdźmy do środka.

Siostry poszły za nią, zostawiając w stajni Teza i Savannah. Helena zamaszystym gestem położyła na kuchennym stole jakiś dokument.

- Ta-dam! Zatwierdzenie testamentu! Teraz naprawdę możemy ruszyć z miejsca.

Serce załomotało w piersi Bramble i przez moment zrobiło jej się słabo. Kuchnia zawirowała. Smukła sylwetka Felicity zastygła w bezruchu. Siostra splótła ramiona na piersi, nagle nastawiona tak samo defensywnie jak w dniu przyjazdu.

- Właśnie - dorzuciła Helena. - Czas na decyzje. Musimy postanowić, które agencje nieruchomości są najlepsze, i dowiedzieć się, ile rynek nam zaoferuje za Lorenden.

Bramble zacisnęła ręce na oparciu kuchennego krzesła i rozejrzała się po ukochanym wnętrzu, z jego starą kamienną posadzką, nieładem i widokiem na ogród. Spojrzała na wiekowy piecyk kuchenny, z drążkiem, na którym rozwieszała wilgotne skarpety i derki pod siodło, na stare sosnowe drzwi i półkę nad nimi, gdzie przewracały się książki kucharskie i kiedyś stał zegar. To niemożliwe, że miałyby stąd wyjechać i już nigdy nie powrócić.

- Bramble - odezwała się Helena. - To ma ręce i nogi, wiesz o tym. Naprawdę tak trzeba. Trzeba zebrać oferty i dowiedzieć się, ile to naprawdę jest warte.

Bramble z rozpaczą spojrzała na Felicity, ale ta wbijała wzrok w podłogę.

- Potrzebuję pieniędzy - dodała Helena szeptem.

- A ja potrzebuję czasu. Dla mojego domu - powiedziała Bramble. -1 mojej firmy.

- Tu chodzi również o mój dom! - odparła Helena, z wielkim trudem wydobywając z siebie słowa. - Bo... No cóż... Jeśli szybko nie zdobędę jakichś pieniędzy, to bank chyba... - Wzięła głęboki oddech. - Możemy stracić dom. Nie będziemy mieli dokąd pójść.

Bramble patrzyła zdumiona.

- Heleno, nie miałam pojęcia... To straszne. - Usiłowała wymyślić jakieś rozwiązanie. - Posłuchaj, może na jakiś czas podnajęłabyś dom i przyjechałobyście tutaj? Bardzo by nam było miło...

- W ten sposób mogłabyś zatrzymać Lorenden? - odezwała się Helena cynicznie.

- Heleno, ja tylko staram się pomóc. Miałam zamiar powiedzieć: „I to by ci dało czas na złapanie oddechu”. Dopóki nie dostaniesz nowej roli, a Ollie nie skończy scenariusza.

- To by nic nie dało. Nie chcę tu mieszkać. Chcę, żebyśmy sprzedały Lorenden. Potrzebujemy pieniędzy.

- Helena zbyła propozycję Bramble. - Felicity, proszę, tylko ty jedna możesz... - urwała, bo w jej torbie zabręczała skoczna szkocka melodyjka „The Dashing White Sergeant”. Wyciągnęła komórkę. - Halo? Halo?

A potem zamilkła.

- To kompletna bzdura! - zawołała po chwili. - Obawiam się, że po prostu nie mogę tego skomentować. Jeśli natomiast wydrukujecie coś takiego, zaskarżę was!

- Potrząsnęła komórką. - Słyszała pani? - podniosła głos aż do krzyku. - Niedawno umarł mój ojciec! Proszę nam

zostawić trochę miejsca na żalobę! O nie, rozłączyła się!...

- Zasięg nam się tutaj mocno rwie - powiedziała Bramble, słysząc, jak drży jej głos. - Pojawia się i znika.

Helena zatrzęsnęła komórkę i z powrotem wrzuciła ją do torby.

- Jakiś gówniarz sprzedał moją historię prasie. O tym, że odchodzę z serialu. Na dodatek tak to przedstawił, jakbym była całkowicie skończona. - Odwróciła się do Bramble i Felicity. - To musiała być któraś z was! Nikomu innemu nie mówiłam. Rozmawialiście z kimś? Może z Donna? Założę się, że ta dziewczyna sprzedałaby własną babkę! Albo Jez. Tak, to na pewno Jez.

- Oczywiście, że nikomu nic nie mówiłam - odparła Bramble.

- A Jeza to nie obchodzi.

Felicity potrząsnęła głową.

- Każdego obchodzi, jeśli w grę wchodzi kasa! - piskliwie zawołała Helena.

- No cóż, to nie był Jez - powiedziała Felicity. - Ani nikt inny. Nikt stąd. Więc jeśli masz zamiar rzucić się na nich z oskarżeniami, to sobie daruj.

Helena wydmuchała nos.

- To nie do pomyślenia. Mogę zostać oskarżona o brak profesjonalizmu. Mogę nigdy nie dostać pracy, bo ludzie uznają, że nie umiem trzymać języka za zębami. Moja kariera właśnie zawisała na włosku. Przecież ten sekret miał ciągnąć do góry wskaźniki oglądalności! Muszę się napić. Masz tu coś?

- Naprawdę uważam, że przesadzasz - powiedziała Bramble, nie mogąc się skoncentrować wobec wiszącej

w powietrzu groźby utraty Lorenden. - Przecież to tylko jakaś historyjka dla plotkarskiej kolumny. Czyżbyś nie mówiła, że najlepiej jest ignorować wszystko, co się o tobie pisze, i robić swoje, jak gdyby nigdy nic?

Obok zlewu stała na wpół opróżniona, zatkana korkiem butelka merlota. Bramble szybko powąchała wino. Nieco kwaśnawe, ale się nada. Przełała je do szklanki i podała Helenie, a jej siostra wypijała alkohol jak lemoniadę.

- Nie masz czegoś przyzwoitszego?

- Napij się kawy - podsunęła Bramble. - Lepiej ci zrobi. Słuchaj, Heleno, rozdmuchujesz tę historię do przesady...

- W tej rodzinie nikt nie szanuje moich uczuć! Czuję się zraniona. Przez kogoś wychodzę na mało kompetentną. To, co ci się wydaje nieistotne, dla mnie może być ważne.

- No cóż, nie możesz za to obwiniać żadnej z nas - powiedziała stanowczo Felicity.

Helena z hukiem odstawiła szklankę na stół.

- Dlaczego w tej rodzinie nikt nigdy nie udziela mi wsparcia? Gdyby ktoś... - Rozplakała się. - Wszystko idzie na opak. Absolutnie wszystko - rozsłochała się, przysiadając na kuchennym krześle i chowając twarz w dłoniach. - Komornicy wspięli się do środka przez okno i usiłowali zabrać psa. Stopnie Eddiego lecą na łeb na szyję i ciągle go nie ma w domu. Ollie nie chce o niczym rozmawiać, a mnie zostają tylko te rachunki, rachunki, rachunki. Tak strasznie się boję o finanse, że wystarczy mi przejść koło banku, żeby dostać mdłości.

A wy dwie siedzicie sobie tutaj z koźmi, które zawsze stawiacie na pierwszym miejscu, i nigdy mnie nie słuchacie. Nawet się nie zastanowicie, jak ja się mogę czuć, dźwigając to wszystko na własnych barkach... -Dostała ataku czkawki. - Gdzie ten cholerny alkohol? Tu?! - Złapała jakąś butelkę, otworzyła ją i napełniła trzy szklanki.

Bramble miała ochotę na kieliszek wina, ale patrząc na zaczerwienioną, podrażnioną skórę na policzkach siostry, uznała, że to chyba nie najlepszy pomysł. Pokręciła głową.

- Jutro muszę wstać o szóstej, jak zwykle. Jeśli się napiję, nie dam rady.

- Powinnaś nieco wyluzować - powiedziała Helena. - Wciąż jesteś młodą kobietą. Powinnaś się bawić, a nie zachowywać jak jakaś matrona w średnim wieku. - Często po paru kieliszkach wina robiła się złośliwa, a potem twierdziła, że wcale nie pamięta własnych uszczypliwości.

- Heleno, mówię poważnie. Uważam, że nie powinnaś już więcej pić. - Bramble usiłowała zabrać butelkę ze stołu.

- Skąpiradło - syknęła Helena. - Pewnie ci się wydaje, że jesteś ode mnie ważniejsza!

Odwróciła torbę, wysypując z niej stos rachunków, i zaczęła je rozkładać na stole,

- Popatrz na to, matko cholernie przewielebna! Założę się, że takich rachunków w życiu nie widziałaś! - Trzęsącą się ręką podsunęła Bramble pod sam nos wyciąg z banku i zmusiła ją, by wzięła papier do ręki.

- Tak wygląda typowy rachunek z supermarketu? Za jeden tydzień?

- To jedzenie - powiedziała Helena z oburzeniem. - Moim podstawowym prawem jest zapewnienie rodzinie produktów spożywczych dobrej jakości, a nie masowo produkowanych śmieci. Za to obwiniać mnie nie możesz. Przyznaję, wydaję nieco więcej, ale to groszowe różnice, a żywność organiczna jest warta swojej ceny. Nie powinnaś wypytywać, dlaczego moje jedzenie jest tak drogie. Powinnaś zadać sobie pytanie, dlaczego twoje jest tanie.

Bramble postanowiła nie pytać.

- Ale ty masz piętnaście tysięcy funtów długu! I to tylko na tej jednej karcie! - powiedziała, zerkając na kolejny rachunek.

Helena wydała z siebie przeciągły jęk.

- Nie bądź taka wredna! Jesteś naprawdę okropna! Nie zniosę tego! Dajmy sobie spokój, zanim któraś z nas powie coś, czego potem będziemy żałować. Posłuchaj, Bramble, napij się ze mną wina. O wszystkim porozmawiamy jutro.

- Co to za opłaty? Te cztery tysiące funtów miesięcznie?

- Nasza hipoteka - wyjaśniła Helena. - Wszyscy mają spore kredyty na hipotekę. Na rynku nieruchomości szaleństwem jest myślenie kategoriami drobnych oszczędności. Ty tego nie rozumiesz. A poza tym, kiedy Ollie przestanie pić i dokończy scenariusz, i kiedy już wreszcie załatwimy sprawę Lorenden, wszystko się ułoży. Rozumiesz... - Pochyliła się w stronę siostry, nie do końca

mogąc skupić na niej wzrok. - Ta cała sprawa jest dla mnie okropnym stresem. Doprowadza mnie do szału. Musimy podjąć jakąś decyzję. Musimy sprzedać dom, przecież wiesz.

Felicity usiadła obok Heleny i objęła ją ramieniem.

- Chodź, piekielny dzwoneczku.

Helena rozszlochana się na dobre i położyła głowę na ramieniu siostry.

- Tak do mnie mówiłaś, kiedy byłam małą!

- Bo umiałaś narobić naprawdę piekielnego hałasu - przyznała Felicity, pozwalając jej przez parę minut wypłakiwać się na swoim ramieniu.

Twarz najstarszej siostry, z wypisanym na niej zdecydowaniem, sprawiła, że Bramble pochwyciła skrawek mglistego wspomnienia o Felicity sprzed lat.

Felicity zaś przypomniała sobie nocny spacer z Merlinem poprzedniej nocy i to, w jaki sposób groźne cienie rozmywały się w powietrzu, kiedy podchodziła bliżej. Ta sprawa wygląda tak samo, pomyślała. Uda jej się dotrzymać siostrzanych zobowiązań i raz na zawsze zapobiegnie wciągnięciu jej w ten kołowrót. Zbyt długo uciekała od ludzi, którzy jej potrzebowali.

- Bramble. - Spojrzała siostrze prosto w oczy. - Przykro mi, ale Helena ma rację. To sensowna decyzja, żebyśmy już teraz wypuściły Lorenden na rynek. To naprawdę jedyne wyjście. Twoja sytuacja nie pozwala ci nas spłacić, a zresztą i tak nie mamy realnego pojęcia, ile to wszystko jest warte. Ale... - Uniosła rękę, widząc, że Bramble chce coś powiedzieć. - ...uwazam, że rozsądnie

będzie założyć, iż Bramble należy się przynajmniej ten bieżący sezon. Prawda, Heleno?

- A jeśli ktoś będzie chciał kupić szybko? Bo będzie się musiał od razu przeprowadzić?

- Przy tego typu transakcjach nigdy nie ma pośpiechu - odparła stanowczo Felicity. - Realnie rzecz biorąc, gdybyśmy jutro dostały ofertę, to i tak miną całe miesiące, zanim nabywcy się wprowadzą. A zresztą najpierw na pewno będą chcieli wykonać jakiś remont. Jeśli zamierzamy postępować rozsądnie, to musimy zaakceptować fakt, że nic nie zdarzy się natychmiast. A to daje Bramble przynajmniej trochę potrzebnego czasu.

- Jak mam prowadzić stajnię z wiszącą nad głową perspektywą jej zamknięcia? - spytała ostro Bramble. - **1** co z Donna? I Jeżem? Pewnie będą chcieli wyjechać.

- W takim przypadku... - Felicity wzięła głęboki oddech. Pomyślała o odgłosie kroków Merlina, drepczącego za nią po nocy, i o zaufaniu, jakim ją obdarzył. Wyciągnęła rękę do Bramble. - ...masz mnie - dokończyła, przyjmując do wiadomości, że naprawdę w końcu wróciła do domu. - Zostanę tu tak długo, jak będziesz mnie potrzebować.

Bramble z ociąganiem ujęła tę rękę, uścisnęła ją i puściła, mimo wszystko odrobinę pocieszona.

- Dobrze.

A więc Felicity wróciła. Na dobre. Gdzieś w głębi duszy Bramble, jakaś mała dziewczynka, która wieki całe czekała niespokojnie, żeby wrócił ktoś przez nią kochany, zgodziła się nareszcie spokojnie zasnąć.

- Dla mnie najbardziej się liczy - pociągnęła nosem

Helena, która nie potrafiła sobie odmówić wyduszenia z każdej sceny czegoś dla siebie - że po raz pierwszy ktoś w tej rodzinie przyznał wreszcie, że coś, co mówię, ma sens.

- To pewnie dlatego, że po raz pierwszy powiedziałaś coś sensownego - odparła Felicity ze swoją dawną szorstkością.

Do kuchni weszła Savannah. Bramble pomyślała, że jej córka wygląda bardzo blado.

- Co się dzieje? - Usta dziewczynki drżały. - Słyszałam, jak mówicie, że wystawiacie Lorenden na sprzedaż...

Bramble zerwała się od stołu.

- Kochanie, nie mamy wyboru... Do transakcji jeszcze całe wieki. Nie wolno ci się tak przejmować. - Wyciągnęła dłoń do córki, ale ta ją odepchnęła.

- Savannah, kochanie, wszystko dobrze się ułoży - dodała Felicity. - Jeśli Lorenden zostanie sprzedane, a nie nastąpi to szybko, twoja matka będzie miała pieniądze, żeby kupić inny dom.

Savannah spojrzała na Felicity z lekkim zdziwieniem, po raz pierwszy słysząc w jej nieśpiesznym, chrapliwym głosie autorytarny ton.

- Ja nie chcę innego domu. I co z końmi? Je też będziemy musiały sprzedać?

- Savannah, na litość boską, nie grzęznij w takich szczegółach - powiedziała Helena. - To nie jest twoje zmartwienie. W żadnym razie nie twoje.

- To jest jej zmartwienie - sprzeciwiła się Bramble, rzucając Helenie gniewne spojrzenie. - **1** nie sprzedamy

koni. Oczywiście, że nie sprzedamy. Pomijając te, które i tak mają iść na sprzedaż.

- A co z Jezem?

- On się przeniesie gdzie indziej - odparła Helena.

- Ale i tak by to kiedyś zrobił. Tacy ludzie zawsze tak robią. Jesteście tylko przystankiem na drodze do jego jeździeckich zwycięstw.

Savannah zawahała się. Jest taka młoda i przestraszona! Bramble chciała otoczyć ją ramionami i kołysać łagodnie, jakby jej córka wciąż była małym dzieckiem, i zapewnić, że wszystko dobrze się skończy.

- Savannah... - wyciągnęła rękę w stronę ramienia córki.

Po chwili wahania Savannah odwróciła się od niej.

- A daj mi święty spokój! - powiedziała.

- Nie, Savannah, chodź tutaj. Zaraz będę robiła kiełbaski na kolację - powiedziała Bramble, doskonale słysząc błagalny ton we własnym głosie. - Będą gotowe za mniej więcej dwadzieścia minut.

- Nie chcę żadnych kiełbasek - odparło jej dziecko.

- Od kiełbasek robi mi się niedobrze. - Wyszła z kuchni i trzasnęła drzwiami.

- Bardzo chce być w centrum zainteresowania - powiedziała Helena. - Na twoim miejscu uważałabym na to.

Roztrzęsiona Savannah poszła na górę. Lorenden zostanie sprzedane. Jez wyjedzie. A jej życie się skończy. Ze zdumieniem zauważyła jednak, zamykając za sobą drzwi własnej, ukochanej sypialni, że choć myśl

o sprzedaży Lorenden była trudna do wyobrażenia, to ta o wyjeździe Jeza otwierала przed nią jeszcze większą otchłań. Z nim mogła rozmawiać. Kiedy wchodziła do pokoju, on nigdy nie odsyłał jej do odrabiania lekcji ani nie kazał milczeć.

Musi go teraz znaleźć! On będzie wiedział, co robić. Jez na pewno coś zrobi. Jez je uratuje.

Może poszedł do pubu? Często tak robił. Savannah umalowała się, nakładając grubą warstwę makijażu, a potem wybrała parę obcisłych dzinsów. Przez moment, przeglądając się w lustrze, dobrze się poczuła na widok własnego odbicia, ale kiedy się odwróciła, własny tyłek wydał jej się taki wielki! Omal nie zrezygnowała z wyjścia. Wciągnęła jednak na siebie luźny, czarny sweter, który ją wyszczuplał, starła z twarzy nadmiar makijażu i zeszła na dół, wyglądając prawie tak samo jak zwykle. Potem na palcach ruszyła do wyjścia.

Pod Białego Konia czekał ją długi spacer po nocy. Savannah, chwając się nieco w swoich najładniejszych butach, zastanawiała się, czy aby nie robi z siebie idiotki. Od czasu do czasu mijał ją ze świstem jakiś samochód z włączonymi długimi światłami, o wiele za szybko, bo nie spodziewał się na poboczu samotnie wędrującej dziewczyny. Za każdym razem Savannah wtulała się w przydrożny żywopłot, a potem musiała się wyplątywać spomiędzy głogów i jeżyn. Co jakiś czas na nierównym podłożu wykręcała sobie kostkę, a porastające skraj drogi skłębione krzaki czepiały się jej ubrania, jakby chciały ją pociągnąć za sobą w przepaść straszliwego znużenia.

Jeza znalazła przy barze; akurat śmiał się z czegoś, co właśnie powiedział barman. Popatrzył na nią, przenikając wzrokiem przez tę jaskrawą, odważną charakterystykę, nad którą tyle się nabiedziła.

Zarumieniła się.

- Ja... Ja... - odezwała się wreszcie. - One chcą sprzedać Lorenden. Podśluchałam je. Chyba nie zamierzały mi powiedzieć. - Upokorzona, poczuła płynącą po policzku łzę. Szybko starła ją ręką.

Jez położył dłoń na jej ramieniu.

- Siadaj. - Posadził Savannah w kącie. - Czego się napijesz? Ja jeszcze nic nie jadłem, a ty?

- Gazowana mineralna - powiedziała Savannah, zadowolona, że na moment przestała być w centrum zainteresowania, szukając w menu czegoś, co nie byłoby zbyt tuczące. Ostatecznie zdecydowała się na sałatkę Cezara bez dressingu, ale okazało się, że nie jest w stanie nic przełknąć. Była zbyt skrępowana, żeby się odprężyć. Kawałeczki sałaty włożyły jej między zęby.

- A więc, decyzja zapadła? - Jez rozdarł paczuszkę orzeszków ziemnych i pochłonął wszystkie trzema wielkimi garściami.

Savannah pokiwała głową, oszołomiona liczbą kalorii, które Jez właśnie pożarł bez zastanowienia.

- Proszę cię, nie wyjeżdżaj - wypaliła nagle. - Potrzebujemy cię. - Czowała, że twarz zaczyna ją palić szkarłatem; w oczach znów zapiekły ją łzy. Była taka niezdarna. Żałowała, że nie jest seksowna ani błyskotliwa.

Jez przyglądał jej się przez parę chwil.

- Po pierwsze, oczywiście, że zamierzały ci powiedzieć.

Sprzedż domu to publiczna sprawa i wiesz, że matka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła za twoimi plecami. Nawet gdyby mogła.

Savannah pokiwała głową, ocierając kolejną łzę z nadzieją, że Jez jej nie zauważył.

- A poza tym, Savannah... Zawsze będziesz mieć we mnie przyjaciela. Czy będę pracował w Lorenden, czy w innej stajni, zawsze gdzieś będę. Wiesz, jak to działa - wszyscy wciąż od nowa spotykamy się na zawodach, razem podróżujemy, spędzamy ze sobą całe dni i parkujemy obok siebie nasze koniowozy. Nie stracimy kontaktu. Ja na to nie pozwolę.

- Ale jak my mamy wygrywać bez ciebie? Ten sezon dopiero się zaczął, a już wygraliśmy więcej zawodów niż kiedyś.

Nagle dotarło do niej, że właśnie w tym rzecz. Jeśli sukcesów jest tyle samo co porażek, trudno jest dostrzec zwycięstwa...

Zanim odpowiedział, zastanowił się przez chwilę.

- To nie zależy wyłącznie ode mnie. Wiesz, że twoja matka jest niesamowicie utalentowanym jeźdźcem? Gdyby jeszcze tylko uwierzyła w siebie... W tobie zresztą też widzę potencjał. Moim zdaniem, obie powinnyście przestać wszystko przesadnie analizować i po prostu robić swoje. Jeśli tego właśnie chcecie, oczywiście.

- No jasne, że tego chcę. - Savannah zobaczyła oczyma duszy przyszłość, w której widuje Jeza, startuje razem z nim w konkursach w jednej drużynie albo rywalizuje z nim indywidualnie, już na zawsze w jego świecie. Najpierw jako przyjaciółka, a potem, kiedy on zrozumie,

jak dobrze do siebie pasują, jako ktoś więcej. Jej rodzice też stanowili zespół, który konkurował z innymi i rywalizował między sobą. Działo tak mnóstwo par. I to właśnie było jej przeznaczenie. O ile, oczywiście, uda jej się schudnąć i nie powrócić do dawnej wagi. I jeśli nadal będzie pracowała z całych sił nad swoimi jeździeckimi umiejętnościami. Uda się jej osiągnąć wszystko!

- A co myślisz o Merlinie? Robi postępy? - Jez zmienił temat. Nachyliła się w jego stronę, natychmiast zainteresowana.

- Wiesz, mamie chyba wreszcie udało się go nauczyć krótkiego galopu. Chociaż wciąż czasem ponosi.

Jez pokiwał głową.

- Robi postępy, a ona ma do niego dobrą rękę. Ale moim zdaniem, on potrzebuje sporo czasu, żeby wyluzować. Dzisiaj wszyscy chcą od razu mieć wygrywającego konia, a konie muszą czasem dorosnąć do zwycięstw. Są jak niektórzy ludzie - muszą jeździć i pracować, nie natykając się na zbyt wiele wyzwań, dopóki same nie dojdą ze sobą do ładu.

Oczy Savannah niespodziewanie napełniły się łzami. Wbiła wzrok w sałatkę.

- Pamiętaj, że niełatwo przyjdzie ci pogodzić się ze śmiercią dziadka. Musisz przyjąć do wiadomości, że w twoim życiu zachodzi kilka całkiem znaczących zmian. Nie bądź dla siebie zbyt surowa.

Savannah zastanowiły te słowa.

- Ja... bardzo dziadka podziwiałam, ale mocno się go bałam. I chyba go rozczarowałam.

- Savannah?

Podniosła wzrok i zobaczyła jego oczy bardzo blisko swoich. Jakby prześwietlał nimi jej myśli.

- Nie rozczarowałaś go - powiedział łagodnie. - Rozmawiał ze mną o tobie. Miał wielką wiarę w twoje możliwości. Powiedział, że w rodzinie Beaumontów dorasta kolejny wielki jeździec.

Rozmiar oczekiwań Edwarda przytłoczył jej ramiona wielkim ciężarem. Pokiwała głową.

- Też mi to kiedyś powiedział. Ale nie wiem, czy mi się uda.

- Uda się - powiedział Jez. - Uda. Za dziesięć lat ty i ja będziemy razem w brytyjskiej reprezentacji. Masz talent i zapał, a to połowa sukcesu.

- A czym jest ta druga połowa? - zapytała, śmiejąc się niepewnie.

Roześmiał się razem z nią.

- Sam nie wiem. Fartem? Dobrymi końmi. Wsparciem rodziny? A ty masz ogromne wsparcie. W swojej matce.

Matka to była kolejna sprawa, która wzbudzała w Savannah irytację i poczucie winy,

- Och, mama w tej chwili jest mocno zajęta Natem - palnęła i za późno przypomniała sobie o ostrzeżeniach Bramble.

Jez się nachmurzył.

- Lubisz go?

- Jest w porządku. W sumie mnie nie zauważa.

- A powinien - powiedział Jez gniewnie. - Zaslugujesz na to, żeby być zauważaną.

To zdanie zdecydowanie poprawiło Savannah humor.

- Dlaczego go nie lubisz?

Roześmiał się jak z dobrego dowcipu i żartobliwie zmierzwił jej włosy.

- Lepiej powiedz mi coś o sobie. Masz chłopaka? Zalała się rumieńcem.

- Hm... Nie. - Dlaczego zapytał? Czyżby mu się podobała?

Wciąż się jej przyglądał i szukał oczami jej wzroku. Obserwując jego ruchy, pomyślała, że Jez ma sporo wdzięku. Ludzie rzadko zauważali tę cechę u mężczyzn, ale widząc, jak swobodnie Jez czuje się we własnym ciele, zauważając pewność i płynną siłę ruchów, którą obdarzeni są tancerze i sportowcy, Savannah pomyślała, że to właśnie wdzięk stanowi definicję piękna. Szczęściarz. Porównując się z nim, Savannah miała wrażenie, że jest strasznie niezręczna. Może powinna zacząć więcej ćwiczyć?

Zebrała się na odwagę.

- A ty masz dziewczynę? Znowu się roześmiał.

- Nie, w sumie to nie.

Savannah postanowiła posunąć się dalej.

- To znaczy?

, - To znaczy, że jakoś nie udaje mi się spotkać kogoś, z kim chciałbym spędzić resztę życia.

- A jakiej kobiety szukasz?

- Trudno powiedzieć. Wiem, że chcę odnosić sukcesy w zawodach jeździeckich, a to zajęcie tak czasochłonne, że mógłbym się ożenić jedynie z kimś, dla kogo jest to sprawa równie ważna jak dla mnie. Ale może gdybym

kogoś pokochał, byłbym gotów rzucić wszystko? Co o tym sądzisz?

- Gdyby cię kochała naprawdę, nie chciałaby, żebyś się dla niej zmieniał. Chciałaby totalnie uczestniczyć w tym, co robisz - powiedziała Savannah. - Ja bym chciała.

Uśmiechnął się i dotknął jej policzka.

- No to lepiej poczekam, aż dorośniesz, i ożenię się z tobą - rzucił lekko i wstał. - Chodź, wracamy do domu.

25.

Bramble pojechała do Nata. Płonące w niszy wielkiego kominka polana i zapadnięte, miękkie kanapy sprawiały, że ten dom stawał się dla niej azylem. Tutaj nikt nie mógł na nią naskakiwać! Załomotała do drzwi i bez tchu, z oburzeniem, zrelacjonowała, co się stało.

- One chcą, żebym zgodziła się na sprzedaż w środku sezonu!
- Aż ją zatykało. - Przenosiny to poważna sprawa i mogą oznaczać, że nie będę mogła brać udziału w połowie konkursów! Lato już i bez tego jest wystarczająco wariacką porą roku! Bez dodatku w postaci prób spakowania stuletniego życia rodziny!

Posadził ją i nalał jej drinka.

- Po jednej sprawie naraz. To Felicity i Helena mogą się zająć pakowaniem domu. Żadna z nich nie pracuje.

- Ale to nie jest ich dom! - krzyknęła Bramble. Zapadło milczenie. Nat przyjrzał się jej uważnie.

- To również ich dom, wiesz? Bramble odwróciła wzrok.

- Tak czy siak, nawet jeśli go sprzedamy, nie będę miała czasu, by szukać dla siebie innego lokum.

Ujął jej dłoń łagodnym gestem.

- Ty i Savannah zawsze możecie wprowadzić się tutaj.

- Tutaj? - Wyrwała rękę.

- Przepraszam. Może trochę za wcześnie, by o tym mówić, ale kiedy człowiek czuje, że coś jest słuszną decyzją...

Bramble poczuła wzbierającą panikę. Czego Nat od niej oczekuje?

On jakby czytał w jej myślach.

- Ja tylko mówię, że nie musisz być bezdomna. Możesz się tu przenieść na parę tygodni, czy nawet miesięcy, dopóki nie staniesz na nogach. Savannah może się wprowadzić do sypialni Gemmy. Jenny nadal nie pozwala jej przyjeżdżać do mnie na weekendy.

Przez chwilę Bramble oburzyła się w jego imieniu. Jak ta cała Jenny śmie rozdzielać ojca z córką? Jak może być tak samolubna? Ale zaraz przypomniała sobie o własnych problemach.

- A co z końmi?

- Umieścisz je w czyjejś stajni za opłatą. A może Helena ma rację? Może już czas zacząć wszystko od nowa. Nie musisz kopiować dokonań własnego ojca. Masz świetną reputację, niezależną od reputacji Edwarda. No, może w innym zakresie... Może już czas zastanowić się, kim jest prawdziwa Bramble, zamiast dorastać do oczekiwań taty?

-Ale... - Bramble zobaczyła przed sobą długą

przyszłość instruktorki jazdy konnej, mieszkającej w małym wiejskim domku Nata... Już nie dawnej Bramble Kelly. Kogoś zupełnie innego.

- Otwierają się przed tobą różne możliwości - powiedział. - W końcu dostaniesz trzecią część wartości Lorenden.

Siedziała i ścisnęła w dłoni kieliszek z winem.

- Posłuchaj, nie chciałbym być wścibski... Ale jeśli wyjaśnisz mi, jak dokładnie wygląda sprawa od strony finansowej, możesz liczyć na moją dyskrecję... Pamiętasz, pracowałem w bankowości?

Bramble miała już wszystko policzone. Wiedziała mniej więcej, ile dostanie po opłaceniu podatku spadkowego i po podziale wpływów na trzy części.

- Hm... - mruknął po zakończonej relacji. - Tak właśnie myślałem. Wiele osób zadowoliliby się połową tej kwoty. Możesz za to kupić sobie bardzo ładny dom.

- Ale ja nie chcę bardzo ładnego domu! - powiedziała Bramble, nieco zdziwiona, że Nat dokonał obliczeń na własną rękę. - Chcę prowadzić stajnię dla koni jeżdżących w zawodach i wypuszczać z niej wierzchowce najwyższej klasy. Chcę wygrywać!

- W życiu każdego człowieka - zaczął powoli - przychodzi moment, kiedy musi on zmierzyć się z dziecięcymi marzeniami. Niektóre z nich nigdy się nie spełnią. Ja na przykład założyłem, że do trzydziestki będę milionerem... Gdybym nim został, nie siedziałbym teraz obok ciebie. A kiedy patrzę na swoje obecne życie, w wynajętym domku, gdzie uczciwie zarabiam na życie pracą własnych rąk... No cóż, dziesięć lat temu byłbym

przerażony, gdybyś mi powiedziała, że tak skończę. Ale wiesz, co? Nigdy nie byłem szczęśliwszy. To o wiele lepsze niż ciągła szarpanina, żeby osiągnąć coś, co koniec końców może się okazać bezwartościowe. Jestem teraz o wiele bogatszy. Pod każdym względem. Może Nat miał rację?

- Musisz się zastanowić nad tym, co się naprawdę liczy w życiu - powiedział. - Bo dla mnie ludzie, z którymi jestem związany.

Aby dokonać pomiarów potrzebnych do broszury z ofertą, pojawili się przedstawiciele agenta nieruchomości. Dwaj młodzi ludzie w ciemnych, połyskliwych garniturach, obaj przylepni i entuzjastyczni jak para szczeniąt. Jazgotali coś o dniach otwartych, potencjalnych remontach, przeróbkach i ogólnych ulepszeniach. Zdawało się, że nie widzą niczego niestosownego w informowaniu Bramble, jak bardzo się cieszą, że znaleźli taki ciekawy historycznie zakątek w nienaruszonym stanie, i wyraźnie dawali do zrozumienia, że nabywca będzie zapewne chciał go całkowicie i kompletnie przebudować.

- Co myślisz? - trajkotali między sobą. - Jakież dwieście tysięcy w sam remont?

- Może być nawet i do miliona. Zależy, czego będą chcieli. Mnie się tu raczej widzi totalna przebudowa. Ale niezły dzień na zdjęcia, trzeba przyznać.

Bramble odkładała rozmowę z Jezem do ostatniej chwili. Pracował z Merlinem na piaszczystej ujeżdżalni, a ona patrzyła, jak dobrze sobie radzi ten piękny, ciemnoszary koń. Kiedy po raz pierwszy miał się zmierzyć

ze skokami na parkurze, nie miał pojęcia, czego się od niego oczekuje, i zwyczajnie wszystko zdemolował. Teraz z wdziękiem brał kolejne przeszkody. Jeden krok, dwa, trzy, skok. Jeden krok, dwa, trzy, skok. Zupełnie jakby się patrzyło na muzykę... Jez podjechał kłusem.

- No i co sądzisz?

- Robi postępy. - Wzięła głęboki oddech. - Ale nie na tyle szybkie, żeby uratować Lorenden.

Jez zsiadł i otworzył bramkę, wyprowadzając przez nią Merlina.

- Dom idzie na sprzedaż. - To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

Pokiwała głową.

Zdawał się nie przejmować.

- Odejdiesz? - spytała.

- A chcesz?

Bramble zadziwił strach, jaki poczuła na myśl o jego wyjeździe.

- Ja... - Zaczęła i urwała. Zaległo milczenie.

- No, ja... - Chciała mu powiedzieć, że jej zdaniem powinien zacząć się rozglądać za innymi stajniami, i to jak najwcześniej. Zrobić to, póki może wybierać. Postawić na własną karierę.

- Uważam, że... - Z trudem przełknęła ślinę. - To znaczy...

Patrzył na nią jak zawsze.

- Eee... Bo ja bym chciała, żebyś został - wykrztusiła wreszcie. - To znaczy: jak długo możesz. Dopóki nie

znajdziesz sobie czegoś innego, oczywiście. - Czuła, że zaczynają ją palić policzki. - Znaczy... Eee... Nie śpiesz się. Oczywiście, o ile chcesz. Jeśli tak ci będzie pasowało.

- No to zostanę. Tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebować.

Udało jej się zdobyć na niepewny uśmiech.

Nie zamierzał jej niczego ułatwiać, ale miała wrażenie, że i na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. Oboje zawrócili w stronę stajni.

Siodło Merlina zawisło na drzwiach, a Jez zaczął czyścić spoconą, szarą sierść. Bramble odczekała chwilę, czując, że należałoby powiedzieć coś jeszcze, i patrząc na wprawnie usuwany zgrzeblę połyskliwy pot. Krople wilgoci lśniły w świetle słońca.

- Moim zdaniem, Kudłata będzie świetnie się nadawała dla Savannah jako następny koń - powiedziała.

Czyżby w jego oczach błysnęło rozczarowanie? Jez przerwał czyszczenie Merlina na jeden krótki moment.

- Dobrze. Masz świadomość, że to nie jest klacz dla początkującego jeźdźca?

- Savannah trudno nazwać początkującą.

- Tak, ale... - Spojrzał jej w oczy. - Czy z nią wszystko w porządku?

- Jak to? - odezwała się Bramble ostro. Poczowała lęk.

- Sporo straciła na wadze.

Zauważyła, ale nie przywiązywała do tego większej wagi.

- Nie jest szczuplejsza od Lottie.

- To prawda, ale Lottie ma taką budowę. A Savannah nie.

Bramble się zamyśliła. Savannah była niższa od niej pięć centymetrów, a po Dornie Kellym odziedziczyła jego mocną sylwetkę. Miała szerokie ramiona i rozłożyste biodra, a nie figurę charta, tak typową dla Beaumontów. Lottie natomiast rzeczywiście urodziła się z długimi, szczupłymi kończynami - już teraz miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Bramble westchnęła. Jeśli Savannah usiłowała przykładać do siebie miarkę Lottie, nigdy w życiu nie poczuje się wystarczająco szczupłą.

- Uważasz, że mam powód do zmartwienia? Jez pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Pytam ją często, czy dosyć jada - powiedziała Bramble. - Ale w odpowiedzi słyszę, że mam się nad nią nie trząść. Zamienisz z nią słowo przy okazji?

Pokiwał głową i znów zajął się Merlinem.

Może Nat miał rację? Ludzie w jej życiu - czyli przede wszystkim Savannah - znaczyli więcej niż jej ambicje czy Lorenden. Bramble zawróciła do domu z myślą, że o tej porze w przyszłym roku nie będzie obserwowała, jak oplatające ściany róże budzą się z zimowego uśpienia. Jeśli agenci nieruchomości mają rację, to nabywcy - kimkolwiek się okażą - wszystko tutaj wywrócą do góry nogami i nie ostanie się kamień na kamieniu.

- Bramble! - zawołał Jez. Obejrzała się.

- Tak?

- Szaleństwem jest żyć marzeniami. - Spojrzał jej prosto w oczy.

Pochyliła ramiona. Więc nawet Jez w nią nie wierzył

- Ale - dodał - próbować żyć bez marzeń to dopiero obłąd.
Uśmiechnęła się lekko.

- To takie tatarskie powiedzonko...

- Pytanie tylko, o które z marzeń chodzi - odparła.

Helena ścisnęła telefon w spoczonej dłoni. Właśnie otworzyła list od firmy, która udzieliła im pożyczki pod hipotekę, z informacją, że jeśli nie otrzyma wkrótce czeku, zamierza przejąć nieruchomość. Ollie odmówił wyjścia ze swojego gabinetu, więc zdecydowała się zadzwonić do jego agenta, Theo, żeby się dowiedzieć, kiedy mogą oczekiwać wpłaty kolejnej części honorarium.

Połączono ją natychmiast.

- Heleno, moja droga! Czym mogę ci służyć?

Wykrztusiła jakieś nieskładne wyjaśnienia dotyczące płynności finansowej i przejściowych kłopotów. Im mniej osób wiedziało o klęsce, tym lepiej.

- Przepraszam - powiedział Theo. - Nie bardzo rozumiem...

Helena zebrała się w sobie.

- Zastanawiałam się po prostu, kiedy możemy oczekiwać kolejnej części honorarium Olliego. On jest... eee... w tej chwili poza domem i nie mogę go o to spytać.

- A za co to honorarium?

- No, za ten scenariusz, nad którym pracuje od roku. Ten, który właśnie ukończył.

Milczenie po drugiej stronie linii powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć.

Tego ranka Felicity obudziła się o piątej, z trudem chwytając powietrze. Śniło jej się, że powrócił ojciec, spowity gęstą, duszącą mgłą, przypominającą tę, która według Bramble krążyła po sadzie w dniu jego śmierci. Majak był tak realny, że kiedy Felicity włączyła światło i obrzuciła wzrokiem swoją maleńką, różaną sypialnię, wydało się jej, że niemal czuje jego zapach. Płuca zatykało jej wilgotne powietrze, pozbawiając tlenu.

- Czego chcesz? - szepnęła, kiedy już odzyskała oddech, chociaż prawie nie wierzyła w duchy. - Czego ty ode mnie chcesz?

„To jeszcze nie koniec”, odezwał się jakiś głos w jej myślach, a do Felicity dotarło, że wciąż śni. Podjęła jeszcze jedną próbę zapalenia światła rękami, które ledwie się chciały poruszać. Jej własny głos - a może głos jej ojca? - oświadczył, że to nie koniec, że zginie ktoś jeszcze, a ona znów zaczęła walczyć, usiłując się obudzić.

- Jeszcze nie koniec czego? - usiłowała dopytać, pokonując dławiący jej piersi ciężar. - Kim jesteś?

„Przykro mi. Tak bardzo mi przykro”, odpowiedź była ledwie szepem poruszanej wiatrem zasłony i szelestem liści za oknem. Felicity zbudziła się, tym razem na dobre, czując, jak wali jej serce.

Było już niemal jasno. Zupełnie rozbudzona zobaczyła, że za oknem zbiera się ciężka mgła, zalegając przy drodze, czekając, aż zza rogu wyjedzie zbyt szybko pokonujący zakręt, jakiś niczego niespodziewający się samochód. To było jak półsen, realne zaledwie częściowo. Nie pierwszy i nie ostatni, pomyślała. Rozsunęła do końca

zasłony - równie dobrze mogła już wstać - a kiedy się ubrała, znów wyjrzała przez okno. Mgła znikła.

Zegary posunęły się nieco naprzód, a słońce zaczęło przypuszczać zdecydowany atak na okolicę, najpierw zachęcając zielen do bujnego wzrostu, potem wypalając ziemię do twardości terakoty. Jez, Savannah, Donna i Bramble dwa do trzech razy w tygodniu startowali w zawodach, z rosnącą troską obserwując kolejne roz-słonecznione dni. Korzystne warunki zamieniały się stopniowo w warunki trudne, a potem wręcz w żadne. Jazda trasą crossu oznaczała galop po nawierzchni przypominającej asfaltową szosę i niosła ryzyko kontuzji dla końskich nóg.

Odnieśli kilka zwycięstw. Savannah radziła sobie na tyle dobrze, że rozważano przyjęcie jej do południowo-wschodniej reprezentacji na regionalne mistrzostwa juniorów w klasie początkującej, a Jez, który jeździł wszędzie, gdzie się dało, zdawał się zakotwiczony na stałe na szczycie tablicy wyników. Mimo to na każdą wygraną przypadała jakaś porażka - a to okulawiony koń, a to nagłe wyłamanie przy prostym zdawałoby się skoku, trudny do wyjaśnienia słaby wynik w dresażu czy po prostu nieudany dzień, kiedy nikt do końca nie wierzył we własne siły.

Kiedy Bramble powiedziała Donnie o planach co do Lorenden, dziewczyna wybuchnęła płaczem, ale przyznała, że dostała już oferty pracy od innych.

- Powinnaś którąś przyjąć, Donna - doradziła jej Bramble. - Mamy o dwa konie mniej, damy sobie radę.

- Czuję się okropnie. Jeszcze nie muszę odchodzić.
- Nie przejmuj się. Rób to, co dla ciebie korzystne. Jakoś sobie poradzimy.

W drzwiach stanęła ubrana w bryczesy Felicity.

- Właśnie - powiedziała. - Czas, żebym zaczęła jeździć na Merlinie.

- Jesteś pewna? - Bramble poczuła przyływ tak dobrze znanego braku wiary w siebie. Zawsze mówiono, że Felicity potrafi wszystko. Jeśli wracała... Cóż, właśnie ona będzie następnym wielkim jeźdźcem w rodzinie.

- Sailor pomógł mi wrócić do formy. Teraz jestem gotowa.

Donna pomogła jej wsiąść na siodło.

- Nie przesadzaj z rękami - ostrzegł ją Jez. - On jest bardzo wrażliwy i zanim się połapiesz, będziesz w pół drogi do Canterbury.

Wyjechali na dziedziniec wśród postukiwania kopyt: Bramble na Kudłatej, Jez na Frenchiem i Donna na Paddym, jednym z młodych koni. Merlin, z uszami nastawionymi do przodu, wydawał się Felicity pod dłonią młody i pełen energii. Potężny.

- To zupełnie jak jazda na motocyklu po podróży pociągiem - sapnęła Felicity, kiedy jechali gęsiego skrajem dawnego nieużytku, teraz obsianego rzepakami. - Sailor był kochany, ale zupełnie inny.

- Nic ci nie będzie? - Bramble podjechała do niej klusem. - Merlin ma o wiele dłuższy krok.

- Jest super! - odskrzyknęła Felicity, przyśpieszając w stronę wzgórza. W uszach zabrzmiało jej echo łomotu kopyt Merlina, który wyciągnął się w galopie, grzmiąc

w górę ścieżki z radością atlety w doskonałej formie.

- Jest cholernie wspaniale!

Niespodziewanie najbardziej sucha wiosna od trzydziestu lat zamieniła się w najbardziej mokrą od czasów wiktoriańskich, bo dzień po dniu lały rzęsiste, targane wiatrem deszcze. Raz czy dwa razy w tygodniu Jez wyruszał koniowozem, zwykle w towarzystwie Bramble, Donny albo Felicity, ale kiedy docierali na miejsce zawodów, nierzadko decydowali, by w ogóle nie wyprowadzać koni, i to mimo odbytej długiej podróży i kosztów związanych ze zgłoszeniem do udziału w zawodach. Jez jeździł też dla innych stajni, pobierając dwadzieścia pięć funtów za start, ale i to źródło dodatkowego dochodu wyschło, bo właściciele coraz częściej nie chcieli ryzykować kontuzji swoich koni na rozmokłej nawierzchni.

Ekipa wracała wieczorami albo rankiem następnego dnia, fakt, nierzadko z naręczem rozetek, najczęściej sfrustrowana myślą, ile można byłoby osiągnąć, gdyby nie pogoda. Przez nią uczestniczyli zaledwie w połowie zawodów, w jakich powinni. Odwoływano konkursy, trzeba było zwracać czeki... Nigdy przedtem sukces nie wydawał się mniej uchwytny.

Trafił się jeden tydzień ładnej pogody, więc Bramble i Felicity wzięły Merlina na niewielkie lokalne zawody, chcąc sprawdzić, jak sobie poradzi. Ożywienie konia rosło z każdym etapem przygotowań: zaplatania grzywy, zakładania podróżnych ochraniaczy na nogi, przykrywania derką, opuszczania na dziedzińcu rampy koniowozu... Zanim załadowały go do środka, był

już rozgorączkowany na dobre. Z niecierpliwości. Albo ze strachu.

Kiedy Bramble, wjeżdżając na autostradę, usłyszała serię łupnięć i łomotów dobiegających z tyłu koniowozu, poprosiła Felicity o sprawdzenie, co się tam dzieje.

Jedź powoli, mówiła sobie. Nie możesz się dekoncentrować.

- Kopie i usiłuje wydostać się na zewnątrz - powiedziała Felicity, ostrożnie przemieszczając się ku tyłowi i badając sytuację. - Nic nie rozumiem. Kiedy go wiozłam do Lorenden, był całkiem spokojny.

- Czuje, że się wybiera na imprezę - powiedziała Bramble, przypominając sobie uwagę Jeza, że Merlin najprawdopodobniej ma jakieś wspomnienia związane z udziałem w zawodach. Obie zacisnęły kciuki, żeby koniowóz - i koń - wytrzymał podróż.

Kiedy dojechały na miejsce, Merlin drżał, cały we krwi. Mimo ochronnego obuwia zdołał się kopnąć i mocno podrapał sobie skórę.

- W takim stanie nie możemy go wystawić - powiedziała Felicity.

Bramble oczyściła jednak Merlina, ryzykując kopnięcie w ramię, klatkę piersiową albo w głowę.

- To tylko powierzchowne zadrapania. Już się zasklepiły-

Zamieniwszy parę słów z sędzią konkursu i weterynarzem zawodów, uznały, że Felicity może wystartować. O ile w ogóle uda jej się dojechać na parkur. Rozpaczliwie tęskniący za stadnym poczuciem bezpieczeństwa, Merlin nie zgadzał się ominąć żadnego miejsca, gdzie stały

powiązane razem dwa lub więcej wierzchowce. Rwał się w ich stronę i zaczynał pobrykiwać, kiedy Felicity usiłowała go od nich odciągnąć.

- Już samo siedzenie na nim, kiedy stoi, przypomina przejażdżkę na pralce podczas wirowania! - powiedziała. Napięte od powstrzymywania zwierzęcia dłonie i ramiona zaczynały ją boleć. - Naprawdę zaczynam się denerwować.

Dotarli na rozprężalnię złani potem, lecz kiedy rozległ się gwizd, udało jej się przekonać konia do wjazdu na czworobok ujeżdżalni, choć bydlę nadal tańczyło na czubkach kopyt i rzucało łbem zwróconym w stronę sędziów. Gdzie te wyścigi? Gdzie wszystkie inne konie?

O co tu w ogóle chodzi? Felicity, trzymając się w siodle prosto i mocno, usiłowała sygnalizować ciałem spokój

I dawać Merlinowi poczucie bezpieczeństwa. Na kilka chwil w końskiej pamięci pojawiły się wspomnienia codziennych lekcji i zgrabnych okrążeń wykonywanych stępa i kłusem, ale kiedy poproszono parę o zagalopowanie, jej wierzchowiec stracił opanowanie i rzucił się przed siebie cwałem. Walcząc o przetrwanie, Felicity kącikiem oka zobaczyła, że sędzia dresażu osłupiał.

- Żaden z moich koni nigdy jeszcze nie zaliczył próby ujeżdżenia na ostatnim miejscu - skomentowała Bramble, kiedy godzinę później sprawdzały wyniki na tablicy. - Nie ma to jak odmiana. Chyba.

Felicity sama się zdziwiła, że tak ją to obeszło. Od chwili kiedy wyszła z koniowozu i znalazła się wśród na wpół zapomnianych zapachów silników Diesla, budek z hamburgerami, siana i oleju do kopyt, wzbierających

wokół niej w zimnym wietrze, ogarnęło ją pragnienie wygranej.

- Nic nie szkodzi - powiedziała cierpko. - To dopiero początki.

Konkurs skoków poszedł im nieco lepiej, bo Merlin miał się na czym skoncentrować, choć nadal stawiał opór. Po wypełnionym walcu okrażeniu parkuru w oczekiwaniu na dzwonek startowy, Felicity skierowała go w stronę pierwszej przeszkody, ale kiedy zasugerowała mu odbicie, koń się zawahał. Wybił się potężnie, ale

0 ułamek sekundy za późno, choć jego potężne zadnie nogi przeniosły ich nad przeszkodą. Usłyszała, jak za ich plecami załomotała poprzeczka, spadając na ziemię.

- Merlin, dasz radę - szepnęła.

Chociaż wyrywał się, próbując biec zbyt szybko, i nieco gubił przy wyczuwaniu odpowiedniego momentu odbicia, siłę wyskoku miał niesamowitą. Ukończyli parkur z dwunastoma punktami karnymi. W pewnym sensie zatriumfowali, bo koń siedem z dziesięciu przeszkód przejechał czysto.

- Nie najgorzej - powiedziała Bramble. - Jak na taką petardę.

Przy próbie crossu Felicity ledwie udało się wprowadzić Merlina do boks startowego; zdecydowanie nie podobało mu się, że musi zostawić konie stojące przy koniowozach, za trasą biegu przełajowego. Kiedy jednak sędzia startowy zawołał swoje: „Trzy, dwa, jeden, start!

I powodzenia!", wystrzelił jak z procy i pogalopował nierówno, dopóki Felicity nie zmusiła go do posłuchu. Wkrótce znaleźli się poza zasięgiem wzroku, i Merlin,

uspokoiwszy się, zastrzygł uszami do przodu. Kiedy wjechali w cień drzew, spróbował smyrgnąć w bok, i trzeba go było ostro zachęcać do przejazdu przez wodę, bo wahał się na skraju przeszkody tak długo, że Felicity spodziewała się w każdej chwili usłyszeć sędziego obwołującego pierwsze wyłamanie. Nagle jednak zrozumiała, że koń jej słucha, że nie mniej niż ona chce dobrze wypaść, że jego kopyta pokonują trasę w regularnym rytmie. Poczła wiatr na twarzy i usłyszała, że oddech Merlina wreszcie się uspokaja, niemal zbyt późno. Ale poczuła! Odkryła w nim talent i umiłowanie do pokonywania przestrzeni.

- Ten koń któregoś dnia będzie wielki! - wysapała do Bramble, kiedy z pewnym wysiłkiem udało jej się skłonić wierzchowca, żeby zwolnił po przegalopowaniu linii mety.

- Ale ten dzień jest jeszcze bardzo odległy - westchnęła Bramble. - Jez miał rację. On się musi mnóstwo nauczyć. Nie ma tu szansy na szybkie zwycięstwa.

- Owszem - przyznała Felicity, kiedy czerwona mgła wywołana konkursową adrenaliną powoli zaczęła ją opuszczać. - Ale mówię ci, zanim się obejrzysz, Savannah pojedzie na nim w jakiejś czterogwiazdkowej imprezie!

- Gdybyś tylko wiedziała, jak często mówiliśmy tak o innych koniach! - mruknęła Bramble, zirytowana, że Felicity ośmiela się wróżyć Merlinowi karierę z najwyższej półki na podstawie jednego nieudanego startu w zawodach. - Nieważne zresztą. Merlin, dałeś z siebie wszystko. - Poklepała go z czułością i wzięła do ręki

wodze. - Po prostu kompletnie się pogubiłeś, bo przyjechałeś na imprezę i zamiast trafić na porządny, normalny tor, gdzie mnóstwo koni robi naraz to samo i gna w tę samą stronę, zobaczyłeś, że wszyscy bezładnie się kręcą po całym terenie. I jeszcze każą ci robić swoje indywidualnie. Trzeba cię będzie zacząć przyzwyczajać...

- Jeśli zaczyna się od złych przyzwyczajzeń, strasznie trudno jest je później wykorzenić - powiedziała Felicity.

- Konie trzymają się wspomnień i to hamuje ich rozwój.

Tak samo jest z nami, pomyślała Bramble. Może ja też czepiam się wspomnień o zdobywaniu medali i trofeów, jak początkujący jeździec? Może już czas sobie odpuścić?

Sezon trwał, a deszcze nie przestawały padać.

- To jak dwa kroki naprzód i jeden w tył, prawda?

- powiedziała Bramble któregoś wieczoru, rozładowując z Jeżem koniowóz i bardzo starając się tchnąć nieco życia w ich wysiłki.

- Frenchie ciągle mocno się spina przy dresażu - powiedział Jez. - Pracowałem z nim przed próbą dobrą godzinę, żeby nieco się odprężył.

-1 podziała? Pokręcił głową.

- Następnym razem przeprowadzę go prosto z konio-wozu na czworobok. Żeby nie miał czasu się zastanowić.

Bramble westchnęła. Konie tak łatwo się frustrują!

- Może podziała. Jak taka końska wersja kropli walerianowych.

Podczas jazd konie ślizgały się w błocie; nie śmieli ćwiczyć wtedy skoków, chyba że na ujeżdżalni. Bramble

obserwowała, jak idzie na marne starannie wypracowana kondycja, kiedy znudzone zwierzęta dreptały po czworobocznym padoku. W stajniach pachniało stęchlizną, a ona sama miała wrażenie, że bez przerwy ma wilgotne skarpetki.

Badminton - gdzie Tez powinien był jechać na Teddym - nadszedł wraz z początkiem maja. Tego samego dnia Jez, Bramble, Donna i Savannah zabrali trzy konie na niewielkie zawody. Wstrzymywali oddech, patrząc, jak wynik Savannah pnie się w górę tablicy rezultatów, zapominając wreszcie o wszystkim innym, a kiedy Savannah zwyciężyła w swojej grupie, poczuli się zupełnie tak, jakby wyjrzało słońce.

Bramble uściskała córkę.

- Super, super, super!

Jez podrzucił ją wysoko w powietrze, aż zapiszczała, a Donna podskakiwała dokoła nich, wyśpiewując „We are the Champions”.

- Nigdy bym nie pomyślała, że wygramy ujeżdżenie - powiedziała Savannah. -1 w głowie mi się nie mieści, że czysto pojechałam skoki! Słyszeliście, jak stuknęłam w tamtą poprzeczkę? Aha, no właśnie, wiecie, że Lottie została zdyskwalifikowana? - Paplała dalej, od nowa przeżywając każdą chwilę dnia, ze wszystkimi jej wzlotami, upadkami i każdym „być może”.

Zobaczyli odjeżdżającą, wściekłą Cecily, która pozostawiła Lottie, żeby córka wróciła razem z Vincentem i luzakiem.

- Och, biedna Lottie! - zawołała Savannah. - Pójdę i zobaczę, jak się trzyma, dobrze? - Pobiegnę do koleżanki, choć raz, dla odmiany, przepełniona wiarą w siebie.

- Co sądzisz o nowym koniu Lottie? - Bramble spytała Jeza.
- Za silny dla niej - odparł. - To wysoka dziewczyna, ale bardzo delikatnej budowy. Nie chodzi pod nią tak, jak powinien.

Lottie pojawiła się w drzwiach koniowozu razem z Savannah.

- Savannah rewelacyjnie pojechała, prawda? - Policzki miała zaróżowione życzliwością dla przyjaciółki.

- Ty przecież też, Lottie! - wykrzyknęła ciepło Savannah. - Vincent to nie jest najłatwiejszy koń i naprawdę dobrze sobie poradziłaś, przejeżdżając skoki bez zrzutek!

Lottie była głucha na wszelkie komplementy.

- Mamusia strasznie się zezłościła...

- Cecily obserwowała ją od strony rowu z wodą - wyjaśniła Savannah. - Krzyknęła: „Użyj palcata, on musi wiedzieć, kto tu jest szefem!”, a sędzia uznał to za pomoc sprzeczną z regulaminem i zdyskwalifikował Lottie.

- I tak nie zwróciłabym uwagi na nic, co mówiła mamusia... - powiedziała Lottie.

- No jasne, że nie - uspokajała ją Bramble. - To bardzo niesprawiedliwe.

Savannah i Lottie, razem, nachylając głowy ku sobie, poszły w stronę namiotu sekretarza zawodów, żeby zwrócić numery startowe.

- Dzięki Bogu chociaż za to - mruknęła Bramble. Odkąd Lottie odeszła z ich stajni, zdawało się, że życie towarzyskie Savannah kompletnie zamarło. - Może da sobie spokój z tą całą dietą, skoro odzyskała przyjaciółkę?

Wydało się jej, że w oczach Felicity ujrzała

- Być może.

Helena wreszcie przyparła Olliego do muru. nie. Złapała za nóż i podsunęła mu go pod szyję, nie pozwalając wyjść z kuchni. Model Global, jeden z najlepszych na rynku i bardzo ostry. Helena usiłowała powstrzymać myśl, że jeśli zostanie morderczynią, to przynajmniej narzędzie zbrodni będzie miało właściwe logo.

Ollie zrobił przestraszoną minę.

- Heleno, naprawdę nie trzeba! - Uniósł w górę obie dłonie.

- Nie piszesz żadnego scenariusza! - wrzasnęła. - Nigdy nie pisałeś. Cały ostatni rok siedziałeś w swoim gabinecie i piłeś!

- No cóż, nie mogę pisać, kiedy ty jesteś w takim stanie... To prawda - odparł Ollie. - Nie masz pojęcia, jak bardzo utrudniasz mi pracę.

- Udawałeś, że masz kontrakt.

- Tak, moja mała, nastawiona na sukces zoneczko. Bo nie dałabyś mi chwili spokoju, gdybym go nie miał. Czepiałabyś się mnie dzień i noc...

- Tylko dlatego, że nie chcę, abyśmy zbankrutowali!

- Tak... No cóż, natchnienie nie działa w taki sposób. Nie możemy tak po prostu usiąść i go włączyć, jak aktorzy. Przez te swoje idiotyczne wyobrażenia o naszych potrzebach zmusiłaś mnie do życia w kłamstwie! Ja nie mogę tak po prostu iść do pracy, jak ty, przyjmując każdą operetkową, bezmyślną rolę. Mam na myśli Mattie. Czechow to raczej nie jest, prawda?

- Pracuję, bo muszę - odparła Helena. - Pracuję, bo polega na mnie pięć osób.

- Pracujesz, bo lubisz sławę i wydawanie kasy - skontrował Ollie. - Nie zaprzeczaj. Nie mielibyśmy nawet *polowy* kłopotów, gdybyś nie upierała się przy nowej kuchni. W tym domu była całkiem porządna.

- Nie możesz w samym środku Primrose Hill mieć kuchni stylizowanej na wiejską! - krzyknęła Helena.

- Nie w tych czasach. Wyszłabym na jakąś szaloną nę-dzarkę!

- A trzy łazienki z kabinami?

- Dzisiaj w każdym domu liczba łazienek musi się równać liczbie sypialni - powiedziała Helena. - Podnosiliśmy standard nieruchomości do współczesnych wymagań. To była inwestycja.

- No cóż, raczej kosztowna. A te nowe granitowe posadzki w miejscu bardzo ładnych drewnianych parkietów? A to, że bliźniaki poszły do najdroższego prywatnego przedszkola zamiast do grupki przedszkolnej na rogu?

- Na rogu? Na rogu? Jeszcze by je ktoś zaatakował nożem po drodze!

Ollie spojrział znacząco na ostrze Global.

- Co najwyżej ich własna matka, jak się zdaje... Helena docisnęła czubek noża do miejsca tuż pod podbródkiem Olliego.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie! To poważna sprawa!

- To może usiądziemy i porozmawiamy spokojnie?

- Zaczął się przesuwać w stronę drzwi.

- Od miesiący próbuję cię zmusić do spokojnej

rozmowy - syknęła. - Ale ty wiecznie znikasz w pubie. Widzisz, do czego doszło?

- Próbuję się zorganizować. Udało mi się nawiązać parę bardzo cennych kontaktów. Nie spotkasz właściwych ludzi, siedząc w domu i czekając, aż zastukają do drzwi...

- Nie, bo jedyni ludzie, którzy stukają do naszych drzwi, to komornicy. - Helena znów zaczęła wymachiwać nożem. - I nie wyobrażaj sobie, że się wymkniesz drzwiami sutereny, bo je zamknęłam.

- Chciałem tylko wziąć sweter - powiedział Ollie żałośnie.

- No to opowiedz mi teraz - gotowała się ze złości. - O tych wspaniałych kontaktach. Uratują nas przed bankructwem?

- No cóż, bardzo możliwe. Czy mogę usiąść? Helena usiadła naprzeciwko, kładąc dłoń na blacie

kuchennego stołu, ale nie wypuszczając noża. -No i?

- No dobra - powiedział Ollie. Podsunął jej przez stół kopertę. Nie chciała otwierać.

- Coś złego?

Ollie wzruszył ramionami.

Helena drżącymi dłońmi rozdarła papier. Agencja kredytów hipotecznych żądała opuszczenia domu przed upływem tygodnia.

- Nie dali nam zbyt wiele czasu - szepnęła.

- Tak to bywa. To już nie jest nasz dom.

- A co z pozostałymi długami?

- Kiedy się wyprowadzimy, będzie nas trudniej

znaleźć. Te duże korporacje działają mało efektywnie. Musimy gdzieś się zaszyć na trochę, a większość z nich spisze długi na straty. W sumie, im szybciej się wyniesiemy, tym lepiej. Komornicy mogą wrócić w każdej chwili.

- Więc to już nieodwołalne?

-Jeśli go sprzedadzą za dobrą cenę, dostaniemy nadwyżkę. O ile będzie się należała - powiedział Ollie.

- Możemy dodać do tego to, co dostaniemy za Lorenden, i zacząć od nowa.

- Mam do opłacenia wielki podatek... - szepnęła Helena. -**1** obawiam się, że będziesz musiała go zapłacić.

Przed urzędem podatkowym nie uciekniesz. Ale nie rozmawiaj z żadnym z naszych wierzycieli! Po prostu wszystkie listy odsyłaj z dopiskiem: „Nie mieszka pod tym adresem”. Mój znajomy z pubu mówi, że niektórzy z nich zbankrutują szybciej niż my i że za jakiś czas przestaną ściągać mniejsze długi. Zmienia się personel, firmy upadają, długi są kupowane i sprzedawane... To jeden wielki bałagan.

- Ale przecież to oszustwo! - sapnęła Helena.

- Nie, jeśli uda nam się wyjechać, nie zawiadamiając nikogo. Wtedy fakt niezamieszkiwania na Primrose Hill będzie najczystsza prawdą. Oddaj klucze agencji hipotecznej i wyprowadźmy się. Będziemy wprawdzie musieli pogadać z bankiem o zamrożeniu pożyczki, ale co do całej reszty, po prostu przekonajmy się, czy ktoś nas odszuka. Musimy stąd zabrać wszystko, na czym naprawdę nam zależy, zanim jeszcze położą na tym łapę komornicy. - Oczy Olliego zaświeciły ożywieniem.

- Znam faceta z ciężarówką, który podjedzie nocą...

- Pewnie dlatego, że to włamywacz - wypaliła Helena. - To jedyne ciężarówki, które przewożą meble po zmroku.

To wszystko jest snem, straszliwym koszmarem, z którego ona się zaraz obudzi! Nie mogła przecież stracić swojego pięknego, wypieszczanego domu, szczytu jej życiowych osiągnięć!

- W liście stoi, że mamy jeszcze tydzień. - Przeczytała go ponownie, nie mogąc powstrzymać drżenia.

- Przyszedł wczoraj. A komornicy mogą się pojawić jutro rano. - Ollie ostrożnie wyjął z jej dłoni nóż. - Zaczniemy się pakować. Daj mi wszystkie rachunki, które przyszły ostatnio. Zaraz na nich napiszę: „Adresat nieznany”.

- Ale dokąd pojedziemy? - spytała Helena. Tak daleko zaszła, a teraz traci wszystko w jednej chwili.

- Do Lorenden, oczywiście.

Bramble nagrała relację z crossu w Badmintonie i razem z Jeżem, Donna, Savannah i Felicity obejrzeni ją po powrocie z zawodów, siedząc przed telewizorem z talerzami curry na kolanach. Po stosunkowo pogodnym poranku lunęło jak z cebra i kolejni jeźdźcy zmagali się z rześnistym deszczem, dudniącym w uszach Bramble niczym refren. Powinnaś tam być... Powinnaś tam być... Jeszcze nigdy podium dla zwycięzców nie wydawało się bardziej odległe. Dawna Bramble, która przejechała tamten tor, i udało jej się znaleźć w pierwszej dwudziestce, wydawała się kimś, kogo trudno było sobie przypomnieć. Kimś, kogo mogłaby minąć, nie poznając.

Toby na Teddym ciężko stąpił w stronę toru. Komentator określił go celnie: „Weteran tej trasy. To już ósmy start Toby'ego Fitzroya w Badmintonie”.

- I tylko tyle mogą powiedzieć na jego temat - stwierdziła Donna. - To już nie jest „popularny”, „obiecujący” czy „odnoszący sukcesy jeździec” - zachichotała, a wszyscy pozostali spróbowali się uśmiechnąć.

- Rozmawiałam któregoś dnia z Hannah, jego główną stajenną. Ona mówi, że Toby zawsze kupuje nowy sprzęt za jakąś straszną kasę. Jeśli coś nie jest drogie, to na pewno nie jest najlepsze. Teraz, najwyraźniej, napał się na siodła i znalazł za granicą jakiegoś siodlarza, który oskubał go z maleńkiej fortuny, twierdząc, że sprzęt, z którego obecnie korzysta Fitzroy, niszczy grzbiety wszystkich jego koni.

- Najprawdopodobniej grzbiety im cierpną, kiedy muszą brać wysokie przeszkody, dźwigając na sobie wielki toból, jakim jest Toby - powiedziała Bramble. - Utrzymuje formę, ale to jednak potężny facet.

Teddy dzielnie przegalopował przez pierwszych parę przeszkód, ale widać było wyraźnie, że nawyk, z jakim Toby ścigał wodze przy skoku, zaszkodził pewności siebie poczciwego zwierzęcia. Wreszcie jednak, zbliżając się do piątej przeszkody, Beaufort Staircase, zareagował na sprzeczne polecenia: jednoczesne spięcie nogami naprzód i przytrzymanie w pysku. Omal nie zarył bez ruchu przed pierwszym elementem, a potem niezgrabnie przezeń przełazi.

- Biedny Teddy! - krzyknęła Savannah, kiedy koń i jeździec zjeżdżali po stopniach przeszkody. - Widać, jak mu z tym niewygodnie...

Teddy niepewnie wylądował u stóp złożonej z dwóch wysokich stopni Beaufort Staircase, stawiając kopyta w złym miejscu na wybicie się do skoku przez wąski stos pali, które czekały zaraz za nią. Wyłamał, więc Toby naprowadził go ponownie, nie szczędząc palcata.

Bramble westchnęła. Teddy nie zasługiwał na podobne traktowanie. To był koń, który mógł wziąć każdą przeszkodę, pod warunkiem że został do niej odpowiednio podprowadzony.

Toby tłuł się przez resztę trasy, polegając raczej na szczęściu niż na doświadczeniu, i dwukrotnie to koń wybawił go z opresji, wyciągając się mocno podczas skoku czy dodając przed wybiciem krok tam, gdzie Toby go sobie nie wkalkulował w obliczenia. Wreszcie dotarli na kończącej trasę szeroką arenę, wyraźnie wyczerpani, ale Toby triumfalnie uniósł w górę zwinętą pięść. Był pięćdziesiąty siódmy w stawce sześćdziesięciu jeden koni.

Wszyscy patrzyli w ekran w milczeniu.

- On jest zwyczajnie kiepskim jeźdźcem - powiedziała Bramble. - Gdyby obsesyjnie nie chciał jeździć w najważniejszych zawodach i nie pchał się na swoich koniach na takie wielkie przeszkody, miałby całkiem niezłe wyniki. Ale on nie umie uznać własnych ograniczeń.

Pozostali nie odrywali wzroku od telewizora, bo właśnie zaczynała swój przejazd liderka, Amerykanka Betsy Parker. Tylko Bramble wciąż rozmyślała o ambicjach Toby'ego, zastanawiając się, czy w jakiś sposób nie stanowią one odbicia jej własnych. Zakładając, że byłaby

wystarczająco zamożna (jak Toby), aby nie sprzedawać najlepszych trafiających w jej ręce koni, może to ona byłaby tam teraz, a inni ludzie komentowaliby jej jazdę i dostrzegali to, co jej umyka? Odnosiła się do Fitzroya z lekceważeniem, jak do rozpuszczonego bachora, ale dlaczego odmawiała mu prawa do aspiracji? Dlaczego nie podziwiała jego determinacji i zaangażowania?

Podczas tych rozmyślań Amerykance udało się, jako jednemu z dwóch jeźdźców, zaliczyć w tym przejeździe tor bezbłędnie. A zaraz potem do Bramble dotarło, że samoświadomość wynika z dojrzałości. Najwyraźniej w wieku pięćdziesięciu dwóch lat Toby nie był wystarczająco dojrzały, żeby zdawać sobie sprawę, iż startuje w zawodach powyżej własnej ligi. Może i ona powinna z tego wyciągnąć wnioski?

- Gdyby to Jez jechał na Teddym, skończyłby w pierwszej dwudziestce - stwierdziła Savannah.

Jez wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

- A i owszem.

Taka pewność własnych umiejętności musi być przyjemna, pomyślała Bramble. Jakoś nikt nie śpieszył się do oszacowania jej szans na Teddym, a i ona usiłowała wmówić samej sobie, że nie czuje niejasnej ulgi. W końcu nie musiała nerwowo gramolić się przez wielkie przeszkody w Badmintonie i wahać przez przerażające ułamki sekund przed zjazdem z ostrych pochyłości na tak potężnym koniu.

- No cóż, Savannah, ty dzisiaj wygrałaś - próbowała przywrócić panującą jeszcze niedawno w pokoju atmosferę zwycięstwa. - Jesteś na najlepszej drodze

do reprezentacji kraju. Ty się tam znajdziesz zamiast Toby'ego.

Była trochę roztargniona i nie zauważyła, że Savannah ukryła pod serwetką pozostawione na talerzu curry.

Przy swojej szczupłej sylwetce, zaliczając codziennie do dziesięciu jazd, nie wspominając o ciężkiej fizycznej pracy w stajni, Bramble i tak nie miałyby pojęcia, co poradzić córce, która nienawidziła własnego ciała i gotowa była się zagłodzić, żeby tylko zmienić je w coś, czym nigdy nie powinno być...

Później tego wieczoru, już nieco mniej zmęczona, Savannah przyjrzała się sobie w lustrze, dopinając parę dzinsów po Felicity, w seksownym rozmiarze dziesięć, o wiele mniejszym niż wszystko, co zdarzało jej się nosić do tej pory.

Nakręcona adrenaliną zwycięstwa, zobaczyła błyszczące oczy, zarumienione policzki i ładną twarz w kształcie serca.

- Wygrywam - powiedziała do siebie. - Mogę robić, co tylko zechcę. Mogę schudnąć. Mogę odzyskać Lorenden dla mamy. I mogę zdobyć Jeza.

Rozpalał ją każdy dotyk jego dłoni: sposób, w jaki lekko podrzucał ją na siodło albo otaczał ramieniem, kiedy komentator obwieścił, że wygrała zawody. Ledwie dawała radę pomieścić w sobie tę radość i ożywienie.

Na zewnątrz przelewający się przez rynny deszcz zalewał kamienne płyty dziedzińca.

26.

Gang czyhał na Eddiego, który wracał biegiem do domu po telewizyjnym seansie u Rufusa. Udało mu się go przekonać, żeby tym razem obejrzeliby zawody jeździeckie zamiast piłki nożnej, ale kumpel oglądał je jedynie jednym okiem, jednocześnie grając w jakąś grę na laptopie i wymieniając esemesy ze swoją dziewczyną. Eddie siedział na sofie pochylony do przodu i chłonał wzrokiem każdy ruch każdego ramienia i nogi, najazd na każdą z przeszkód i uwagi komentatora. Wszystko zapamiętywał starannie. To byli jego bohaterowie. Któregoś dnia znajdzie się wśród nich. Nawet w drodze do domu nie przestawał rozmyślać o Tobym i Teddym, i o tym, że sam pojechałby na tym koniu znacznie lepiej. Nagle usłyszał za sobą kroki.

- Ej! - zawołał czyjś głos, a Eddie poczuł, że przeszywa go strach, jak kopnięcie prądem. Wydłużył krok - miał nadzieję, że niepostrzeżenie - ale łomot butów rozlegał się tuż za jego plecami. Rzucił się biegiem, wymijając jakiś wściekle trąbiący samochód, cudem udało

mu się uskokoczyć sprzed maski i wybiec na środek ulicy, a potem ruszyć biegiem dzielącym jezdnie pasem zieleni. Biegł naprzeciw świecących mu prosto w oczy reflektorów, z trudem łapiąc powietrze, ciągle ze świadomością obecności gangu tuż obok. Obejrzał się przez ramię; zdawało mu się, że widzi ciemną sylwetkę, która rzuciła się pomiędzy samochody w ślad za nim.

Eddie wskoczył w lukę w sznurze samochodów - rozległa się istna kakofonia klaksonów - i dopadł przeciwległego chodnika. Przystanął na kilka sekund i rozejrzał się po ulicy, ciężko dysząc. Ty stał dokładnie naprzeciwko, częściowo zasłaniany przez przejeżdżające samochody. Znikł za jakimś autobusem, ale gdy pojawił się ponownie, Eddie na wpół usłyszał, a na wpół odczytał z jego ust wykrzyczaną informację.

- Wiemy, gdzie mieszkasz! Już nie żyjesz!

Eddie wykorzystał chwilową zasłonę z ciężarówki z naczepą, żeby zanurkować za jakieś garaże, przeskoczyć mur i zacząć biec w stronę labiryntu kolejnych zabudowań. Ta okolica, zabudowana w latach sześćdziesiątych plątaniną podjazdów, alejek i ślepych uliczek, była nie tylko po przeciwnej stronie drogi od domu, ale również, jeśli chodziło o Eddiego, po drugiej stronie świata. Helena zawsze podkreślała, jak niebezpieczne i złe jest to sąsiedztwo, pełne dilerów narkotyków i ulicznych bandytów, ale udało się jej kompletnie wymazać je z pola widzenia własnego i dzieci. Mijając ją codziennie, ledwie ją dostrzegali. Najprawdopodobniej grał właśnie na boisku członków gangu, ale jeśli chciał przed nimi uciec, musiał podjąć ryzyko.

Kilka osób - staruszka taszcząca torbę z zakupami, dwie dziewczyny, młodsze od niego, każda z dziecinnym wózkiem, i skurczony, pomarszczony na twarzy włóczęga, który pił, przysiadłszy na jakimś stopniu - popatrzyło na niego z zaciekawieniem, ale nauki Heleny zrobiły swoje. Tak długo i zdecydowanie wbijała synowi do głowy, że to niebezpieczna dzielnica i że wszyscy stamtąd będą chcieli zrobić mu krzywdę, że Eddie nie przestawał biec jak oszalały. Nabierał jednak coraz silniejszego przekonania, że jest obserwowany przez stale rosnącą liczbę niewidzialnych oczu i że przez okoliczne budynki przebiega szmer porozumienia. Usłyszał okrzyki. Doganiali go! Musiał znaleźć wyjście, trafić na zwykłą ulicę ze sklepami, trasę przejazdu autobusów czy na stację metra! Gdzieś, gdzie ktoś go obroni!

Pędem minął róg ulicy i zobaczył przed sobą wysoki, blokujący przejście mur.

Helena siedziała bez ruchu w kuchni, w zapadającym zmierzchu. Dzwonek. Zaledwie parę miesięcy temu zwiastował coś przyjemnego - wpadających z wizytą przyjaciół, pocztową dostawę zamówionych do domu pyszności, powrót dzieci ze szkoły... Teraz ten sam dźwięk napawał ją lękiem. Zasłoniła uszy dłońmi.

Parę minut później na dół zszedł Ollie.

- Przyjechał Mick z ekipą. -Mick?

- Ten od furgonetki. W sumie to spora ciężarówka. I paru ludzi.

- Nie możemy teraz jechać. Nie w tej chwili. - Otepiła Helena podniosła się z miejsca. - Nie ma Eddiego.

- Możemy nie mieć innej okazji. Musimy jechać teraz albo przepadniemy.

- To nie do pojęcia! Uciekamy z domu jak pospolici przestępcy! Wszystko dlatego, że mnie okłamywałeś! Ze masz pracę!

Ollie ujął ją za ramiona.

- To, Heleno, wszystko twoja wina. Miałaś bardzo ładny dom z czystą hipoteką, w którym mogliśmy spokojnie mieszkać. Nie, kupiłaś ładniejszy. Wydałaś setki tysięcy funtów, kompletnie go przerabiając tak, żeby nadawał się do „Fabulous Homes” - skrzywił się złośliwie, wymawiając tytuł. - To ty nalegałaś, żebyśmy wydawali przyjęcia, ty nalegałaś na wakacje i drogie ciuchy, i wtedy, na czarter tamtego jachtu. Wbijiałaś mi do głowy ten swój rozbuchany konsumpcjonizm i obsesję właściwych marek, i kazałaś mi wierzyć, że nikt nie jest nic wart, póki nie nosi butów od odpowiedniego projektanta. Pomyśl o wydatkach w tym domu. Ile z nich to twoja robota?

Helena zamilkła, ogłuszona.

- No właśnie. Rozumiesz? Praktycznie całość. Kiedy ja ostatnio coś sobie kupiłem? Albo o coś poprosiłem? Nic dziwnego, że nie byłem w stanie pisać. Popatrz na siebie, Heleno, i raz w życiu weź odpowiedzialność za to, co robisz.

Helena była w szoku.

- Ale twoje picie...

- Jest bez znaczenia. Tylko tak mogłem się z tym uporać. Ja nie jestem jakimś alkoholikiem, na litość boską! Jestem zwyczajnym człowiekiem zmuszonym do ostateczności. Powtarzam ci jeszcze raz: weź odpowiedzialność za to, co robisz, Heleno. Przyjmij odpowiedzialność. Raz w życiu.

Olliemu to sprawia przyjemność!, pomyślała, patrząc, jak mąż chodzi po domu tak, jakby planował militarną operację. Mick i jego ludzie przynieśli stos kartonów, a Helena pozdejmowała z wieszaków wszystkie ubrania i powrzucała je do środka, a potem powyjmowała szuflady i ich zawartość też przesyłała do pudeł. Na górę wrzuciła wszystkie buty, jakie wpadły jej pod rękę.

- Pół godziny na pokój - zapowiedział Ollie. - Nie więcej. Ale zatrzymam jedną parę kluczy i zakradnę się tutaj, jeśli zapomnimy o czymś naprawdę ważnym.

To był jakiś koszmar. Ollie planujący włamanie do własnego domu!

Helena poszła na górę do pokoju Eddiego i upewniła się, że wszystkie rzeczy syna są spakowane. Zajrzała nawet pod łóżko. Nastoletni chłopcy nie mają zbyt wielkiego majątku, ale Eddie zatrzymał trochę starych zabawek i książek, i dwa pluszowe misie. Zachował je jeszcze z czasów Earls Court.

- Zostaw to tutaj - powiedział Ollie. - To zwykłe śmiecie. Za długo już tu siedzisz.

- Nie, nie. On będzie je chciał. - Helena ukradkiem otarła łzę.
- Mick i jego ludzie pakują salon i kuchnię.
- Ufasz im? Jesteś pewien, że nic nie ukradną?

Pokój pogrążonych we śnie bliźniaków zostawili na koniec, ale w końcu obudzili maluchy.

- Wybieramy się na ciekawą wycieczkę - wyjaśniła im Helena. - To taka przygoda w nagrodę. - Roly i Ruby, zaledwie na wpół świadomi tego, co się wokół dzieje, pozwolili się usadzić na tylnym siedzeniu samochodu, razem z kołdrami, poduszkami i ulubionymi zabawkami. Helena nie zaprzestała gorączkowych prób dodzwonienia się do Eddiego. - Wciąż nie mogę go złapać! Nie mogę jechać bez niego!

- Możliwe, że będzie trzeba - powiedział Ollie, targając w dół po schodach karton książek. - Hej, chłopaki! Te zabieramy.

- Gdzie rzeźba konia? - spytała Helena, nieprzytomnie biegnąc z jednego pomieszczenia do drugiego.

- Rzeźba po tacie?

- Jest gdzieś w ciężarówce. Pośpiesz się wreszcie!

- Ollie potrząsnął ją za ramiona.

Kilka przechodzących ulicą osób z zaciekawieniem spojrzało w ich stronę, ale na szczęście wyprawdzką nie zainteresował się nikt z sąsiadów.

Z wieczornej wyprawy do kina wróciła Ania.

- Co się stało?

- Wyjeżdżamy za granicę - odparł Ollie. - Czekał, moment... Masz jakichś przyjaciół, u których możesz się zatrzymać, dopóki nie znajdziesz nowej pracy?

- Owszem, ale...

- Tu masz rekompensatę. - Ollie odliczył kilka z pliku banknotów.

- Ollie, skąd to wzięłeś? - pisnęła Helena.

- Nieważne. Mam tyle, że wystarczy na jakiś czas.
- Ale skąd? To legalne?
- Całkowicie legalne. A teraz zamknij się i rób swoje.
- Pani Cooper, co się stało? Proszę mi powiedzieć!
- Nie ma o czym mówić, Aniu. Przykro mi, że stało się to tak nagle. Zdecydowaliśmy się wyprowadzić.
- W środku nocy?

Helena chwyciła ją za ramiona.

- Bardzo mi przykro, Aniu - powtórzyła. - Mam nadzieję, że sobie poradzisz. Ale proszę, nie rozmawiaj o tym z nikim!
- Dziewczyna była zbyt ogłupiała, żeby coś odpowiedzieć.

- Znajdziesz sobie nocleg na dzisiaj?
- Tak, tak, moja przyjaciółka, Maria... Jej pracodawcy wyjechali, ale...
- To zmykaj. My za minutę odjeżdżamy.

Ania ruszyła na górę, przeliczając pieniądze, a Helena usiłowała podejrzeć, ile tego jest. Całkiem sporo. Setki funtów, może więcej.

- Czy możemy zostawić wiadomość dla Eddiego?
- Nie, durna kobieto, nie możemy zostawić wiadomości! Równie dobrze możemy wysłać komornikom adres do korespondencji! Obdzwoń rodziców jego kumpli. To znaczy, o ile znasz numery. Gdybyś była dobrą matką, dokładnie byś wiedziała, gdzie jest.

Helena aż przysiadła na schodach, zwijając się w kłębek z bólu, ale potem wzięła się w garść. Zaczęła przerzucać pudła w poszukiwaniu klasowej listy kontaktów. Bolały ją plecy, stopy też, odczuwała zmęczenie i zagubienie

większe niż kiedykolwiek. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią o takich sprawach jak bankructwo. Miała kiedyś przyjaciółkę, która robiła jakieś aluzje do „konieczności wyprowadzenia się z domu, i to strasznie szybko”, i inną, która na kilka lat kompletnie znikła ze sceny, ale Heleny nigdy specjalnie nie interesowały ich losy. No cóż, ludzie skłonni byli omawiać z drastycznymi szczegółami własny zespół jelita drażliwego, życie seksualne czy doświadczenia związane z porodem, ale temat bankructwa pomijało się autoironicznym śmiechem.

- Ty jedź - powiedziała do Olliego. - Weź bliźniaki i uważaj na Micka i na tę ciężarówkę. Nie ufam mu, że nie pojedzie prosto do Dover, a potem dalej, na rynki staroci w Europie.

- To kumpel - odparł Ollie z przyganą.

Helena pozostała w niemal pustym domu, usiłując sobie wyobrazić, gdzie mógł się podziać Eddie. Na pewno poszedł na jakąś imprezę, zbyt głośną, żeby usłyszeć komórkę. Albo został na noc w domu któregoś z kolegów, a telefon zostawił na dole, w szkolnej torbie.

Boję się tak po raz pierwszy w życiu, pomyślała Helena. Nie wiem, gdzie jest Eddie. Zaginęło moje dziecko.

Dom wyglądał tak, jakby już należał do kogoś innego - do innych czasów, innej rodziny, innej kobiety o imieniu Helena. Wyszła na zewnątrz i spojrzała w głąb ulicy, szukając wzrokiem Eddiego. Nie mogła sobie przypomnieć, kim była ta kobieta...

27.

Savannah obudziła się i przesunęła dłońmi po kościach biodrowych. Czyżby były nieco mniej wystające niż wczoraj? W myślach, ograniczonych do kwestii jedzenia, obliczała, na jakie - naturalnie, niewielkie - śniadanie może sobie dzisiaj pozwolić, dopóki nie dotarło do niej, że obudził ją nie budzik, lecz dziecięcy krzyk. Podeszła do okna i zobaczyła Olliego z bliźniakami. Ubrała się, z trudem wciągając rzeczy na oporne, zmęczone kończyny, i poszła sprawdzić, co się dzieje.

- Mamo? - Zastukała do drzwi Bramble. - Na dole stoi jakaś ciężarówka i kręci się cała masa facetów - powiedziała. - **1** Ollie jest z nimi. Z bliźniakami, a one ganiają się po dziedzińcu.

- Co takiego? - Bramble otrząsnęła się ze snu. Już prawie świtało. - Która godzina?

- Wpół do szóstej. Popatrzyły z Savannah po sobie.

- Przynajmniej jest pogodnie - powiedziała Bramble,

zerkając przez okno. - Rozpaczliwie potrzebujemy, żeby grunt nieco podsechł.

- Ollie mówi, że przyjechali tu na stałe. Wszyscy.

- Gdzie Helena? - spytała Bramble.

- W Londynie, czeka na Eddiego. Najwyraźniej poszedł na jakąś imprezę czy coś. Ollie mówi, że bank przejął ich dom.

- O nie! Ten dom był dla Heleny wszystkim! - Bramble zmusiła się do wstania z łóżka i zaczęła się ubierać. - To tragedia. Nie dość, że straciła Mattie... Ona kompletnie zwariuje!

- Jeśli zamieszkaliby tutaj na stałe - podsunęła Savannah, obgryzając paznokcie - może wtedy nie musiałybyśmy sprzedawać domu?

Bramble na moment przystanąła i przyjrzała się córce, a potem roześmiała się krótkim, pozbawionym radości śmiechem.

- A więc to znaczy, że nie, tak? - westchnęła Savannah.

Kiedy Bramble szykowała herbatę, po kuchni kręcili się obcy mężczyźni, wchodząc i wychodząc, i znosząc różne meble.

- Zaraz, ja bardzo przepraszam... Ja wiem, że proponowałam, ale Ollie... Nie wydaje mi się... - Próbowała powstrzymać jakiegoś niskiego, przysadzistego faceta, który odpowiedział krótko: - Odsuń się, kochaniutka, to jest pieruńsko ciężkie - i minął ją ze swoim ładunkiem.

- Ale przecież nie możecie, ot tak... - Zadzwoiła komórka Bramble. Połączenie odebrała Savannah, podczas gdy jej matka usiłowała wyciągnąć od Olliego informacje,

dłaczego pojawia się z ciężarówką pełną mebli i na jak długo planuje się zatrzymać. - Musimy to omówić...

- Savannah, czy możesz zapytać Bramble, ile czasu mam czekać, zanim zadzwonię na policję w sprawie Eddiego? Albo Felicity? One pewnie znają się na takich rzeczach - rzuciła Helena do słuchawki spanikowanym głosem. - Nie wrócił jeszcze do domu, a skontaktowałam się już ze wszystkimi jego kolegami, których znam.

Savannah przekazała jej pytanie dalej, czując, jak jej serce ściska lęk. To nie było podobne do Eddiego. Bramble wzięła od córki telefon.

- Zdarzało mu się już nocować poza domem, prawda?

- Savannah widziała, że jej matka marszczy brwi. Przez uchylone drzwi kuchni dostrzegła trzech mężczyzn targających na górę po schodach wielkie, podwójne łóżko.

- No cóż, w takim razie niech będzie. Nie martw się, on się pojawi. Posłuchaj, Heleno, co do tych wszystkich mebli...

Jest zupełnie tak, jakby Helena zaplanowała sobie zniknięcie Eddiego, pomyślała Savannah w nagłym przypiływie cynizmu. W normalnych warunkach Bramble postawiłaby się tym mężczyznom i zanim pozwoliłaby wnieść na górę łóżko, uzgodniłaby, jak długo siostra i szwagier zamierzają się zatrzymać w Lorenden. Helena była jednak tak roztrzęsiona, że matka na pewno nie dołoży jej problemów. Mimo to, zauważyła, zmarszczka między brwiami Bramble pogłębiła się na widok wnoszonego na górę komputera Olliego.

Savannah wciąż słyszała głos Heleny, skrzeczącej coś przez komórkę, kiedy do środka wszedł Ollie z naręczem książek w ramionach. Wyjął telefon z rąk Bramble.

- Heleno, nie zachowuj się jak idiotka. Jeśli zadzwonisz na policję, wszyscy się dowiedzą, dokąd pojechaliśmy. Na litość boską, dzieciak postanowił przekimać się u kumpla! Wiesz, jakie są nastolatki! - krzyknął do telefonu. - Poszedł się zabawić, i tyle. Przestań histeryzować.

- Helena myśli, że mógł uciec z domu, bo nie chciała mu pozwolić zostać zawodowym jeźdźcem, takim jak dziadek - powiedziała cicho Bramble do Savannah, kiedy Ollie ciężkim krokiem zaczął wchodzić na górę po schodach. - Jeśli tak jest naprawdę, na pewno nic mu się nie stało. Wkrótce się pojawi.

Matka starała się mówić spokojnie, ale Savannah i tak dostrzegała jej niepokój. Z drugiej strony jednak, właśnie dzięki niemu Bramble nie zauważyła, że jej córka ograniczyła śniadanie do czarnej kawy. Zawsze to jakieś zwycięstwo.

- Ollie nie lubi Eddiego, prawda? - zauważyła, hałaśliwie wkładając czysty talerz do zmywarki. Jak ktoś, kto przed chwilą skończył jeść tosta.

Bramble przystanęła, jakby nigdy wcześniej nie wpadła na tę myśl.

- Obawiam się, że z ojczymami nigdy nie ma się lekko.

Na dziedzińcu Felicity pochylała się, przesuwając dłonią po tylnej nodze Merlina.

- Nie czuję nic nietypowego.

Bramble, która wyszła zza rogu, usłyszała słowa Jeza.

- Przeprowadź go kłusem, popatrzemy.

- Na co mamy popatrzeć? - odezwała się ostro.

- Wygląda na to, że Merlin i Frenchie pokopali się na pastwisku - powiedział Jez, przypatrując się uważnie

koniowi, którego Felicity akurat zaczęła oprowadzać kłusem po dziedzińcu. - Frenchie jest potłuczony, ale obawiamy się, że i Merlin mógł okuleć.

- A nie mówiłam? - Bramble była wściekła. - Jeśli wypuszczasz razem cenne konie, nie ma mowy, żeby nie zrobiły sobie nawzajem czegoś złego!

- Jeśli nie wypuszczasz razem cennych koni - powiedział Jez cicho - są tak rozbrykane, kiedy je objeżdżasz, że w ogóle nie daje się z nimi sensownie pracować. To pierwsza kontuzja na pastwisku, odkąd tu jestem.

- Po prostu mieliśmy szczęście. Od początku było wiadomo, że coś takiego musi się wydarzyć.

- Jak tam Frenchie?

- Okładam go teraz lodem - powiedziała Donna z drugiego krańca dziedzińca, przykładając opatrunek chłodzący i mocując go do końskiej nogi bandażem. - Nie wygląda to tragicznie. Do weekendu powinien wydobrzeć.

- Oby. To jego pierwsze zawody w klasie dla początkujących.

- Potrząsnęła głową z rozpaczą, chociaż nie mogła powstrzymać nieznośnej myśli, że Jez miał trochę racji. Każda stajnia musiała sobie radzić z kontuzjami, a tymczasem, przy całym jego wyluzowanym podejściu do sprawy, mieli ich ostatnio mniej niż zwykle.

A jednak trudno było jej się skupić. Przez moment, w ostrym świetle kuchennych lamp, zobaczyła Savannah innymi oczami. Jej córka wyglądała jak stara kobieta - usta składały się z samych zębów, a kości obciągała mocno napięta skóra. Czy aby na pewno tylko z niepokoju o Eddiego? Bramble zamrugnęła, a Savannah się poruszyła; znów miała

buzię nastolatki, owszem, nie tak ładną jak kiedyś, ale przecież dzieci w jej wieku zmieniają się tak szybko...

Merlin kłusował dokoła dziedzińca. Najwyraźniej nic mu nie dolegało.

- No widzisz - odezwała się Felicity. - Jez miał rację. Jez, co sądzisz o...?

Bramble przerwała jej, żeby powiedzieć siostrze o zaginięciu Eddiego, tłumiąc jednocześnie niedającą jej spokoju troskę o córkę i nieodparte wrażenie, że straciła kontrolę nad tym, co się dzieje w jej własnej stajni.

- Ollie do pewnego stopnia ma rację - odparła Felicity. - Policja w ogóle się nie przejmie osiemnastolatkiem, który zawieruszył się na całą noc. Mimo to sprawa mi się nie podoba. Zwykle można na chłopaku polegać, prawda?

- Całkowicie - zgodziła się Bramble.

- Jeśli nie znajdzie się do lunchu, pojedę do Londynu i pomogę Helenie go szukać - obiecała Felicity.

- Felicity... - Bramble nagle poczuła potrzebę, żeby ktoś ją uspokoił. - Savannah... Nie wydaje ci się...?

- Czy nie uważam, że ona za mało je? Owszem - potwierdziła Felicity zdecydowanym, jak zwykle, tonem. - Ale nie bardzo wiem, jak jej pomóc. Moim zdaniem, to się może jakoś wiązać ze śmiercią taty. Rozumiesz, po raz drugi w życiu straciła mężczyznę, który na dodatek był namiastką ojca... I chyba bardzo ją to przeraziło.

Na górze Savannah z przerażeniem wpatrywała się w szczotkę do włosów. Była pewna, że wczoraj ją wyczyściła, zdejmując z niej wyczesane i skołtunione włosy,

a teraz znów było ich pełno. Za dużo jak na parę minut szczotkowania. A może to normalne? No jasne że normalne. Wystraszona, przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Czy tylko jej się wydaje, czy spomiędzy włosów prześwituje skóra głowy? Głód targający wnętrznościami Savannah jeszcze potęgował strach. No, ale przynajmniej udało jej się wypić na śniadanie wyłącznie kawę.

Wszystko będzie dobrze. Nad wszystkim uda jej się zapanować. Kiedy człowiekowi brak pewności siebie, bo jest gruby, albo dlatego, że się boi, to powinien przejść na dietę i schudnąć, a wtedy uda mu się osiągnąć wszystko, o czym tylko zamarzy. Inni ludzie będą go bardziej szanować. Mężczyźni będą się zakochiwać, a kobiety zazdrościć. Będzie dobrze wyglądać we wszystkim. Wczoraj, w gazecie, Savannah zobaczyła zdjęcie kobiety, która rzuciła się z mostu, i w pierwszym odruchu pomyślała: „Dlaczego ona chciała popełnić samobójstwo? Przecież była szczupła. Nie rozumiała, jakie ma szczęście?”.

Głównym problemem w jej kraju była obecnie otyłość, bo wszyscy jedli o wiele za dużo. Takie rzeczy co wieczór słyszało się z telewizora. No i, oczywiście to, że nie sposób być zbyt bogatym albo zbyt szczupłym. Musi o tym pamiętać, pamiętać o tym wszystkim, a wtedy wszystko dobrze się ułoży!

Wzięła głęboki oddech, uszczypnęła się w udo, mocno, z nienawiścią, i zabrała się do roboty. Ze zdumieniem odkryła, że powtórki do egzaminów były jedynym sposobem na zatracenie, na ulgę. Nikt jej wtedy nie zawracał głowy, a myśli o jedzeniu zmniejszały napór do znośnego poziomu, chociaż czasami i tak napastowały ją

niekończącymi się, powracającymi pętlami... Najczęściej, gdy usiłowała zasnąć.

Bramble miała już zawieźć Felicity na stację, kiedy bardzo, bardzo powoli wjechał na podjazd sportowy samochód Heleny, nieco zbyt szeroko biorąc zakręt. Samochód turlał się w ich stronę, aż wreszcie się zatrzymał.

Bramble i Felicity spojrzały po sobie; Helena zwykle prowadziła szybko i dynamicznie. Drzwi auta otworzyły się i z siedzenia kierowcy wyłoniła się długa sylwetka Eddiego.

- Nie wiedziałam, że umiesz prowadzić - powiedziała Bramble, przerażona jego wyglądem. Wargę miał opuchniętą i rozciętą, twarz brudną, a wokół jednego oka wielki siniak. - Co ci się stało?

- Miałem tylko trzy jazdy - odpowiedział. - Ale mam ubezpieczenie pozwalające prowadzić, jeśli w samochodzie jest obecna posiadająca je osoba.

- Przytomna osoba posiadająca prawo jazdy - doprecyzowała Felicity, otwierając drzwi od strony pasażera. - Helena nie spełnia warunków. A ty powinieneś mieć tabliczkę nauki jazdy.

Z głową odrzuconą w tył, Helena chrapała, oddychając bardzo powoli. Samochód śmierdział wymiocinami.

- Mama musiała się napić - powiedział Eddie i skrzywił się, opierając się o bok auta. Ubranie miał wilgotne i bardzo brudne. - To moja wina. Bardzo się o mnie niepokoiła.

- Owszem, niepokoiła się o ciebie - powiedziała Felicity stanowczo. - Ale decyzja, czy się napić, należała

wyłącznie do niej. I nie ma nic wspólnego z tobą, nieważne, co ci wmawia. Jak sądzisz, ile wypila?

- Chyba kilka butelek wina - przyznał.

- Eddie, co ci się stało w rękę? - Bramble wskazała na jego lewe przedramię, spuchnięte tak, że podwoiło zwykłą objętość, luźno przewiązane poplamionym krwią szalikiem.

- Skakali mi po niej - powiedział. - Kilka razy. Musiałem tu przyjechać, mama powiedziała, że nie możemy nikomu mówić, gdzie jesteśmy.

- Zabiorę cię do szpitala, a Felicity położy Helenę do łóżka.

- Nie. - Felicity wyjęła Bramble kluczyki z ręki. - Zawiozę ich do szpitala oboje. Możesz nie rozpoznawać na pierwszy rzut oka objawów zatrucia alkoholowego, ale ja je znam. Helena potrzebuje lekarza nie mniej niż Eddie.

- Chcesz mi powiedzieć, że przejechałeś tę trasę sam, z tą ręką i Bóg wie jeszcze z czym...? - odezwała się Bramble. - Po trzech lekcjach jazdy? I to tylko dlatego, że Helena była pijana?

Eddiemu udało się boleśnie uśmiechnąć.

- Najpierw kazałem jej przyrzec, że pozwoli mi zostać zawodowym jeźdźcem. Kazałem jej to napisać, na skrawku jakiejś koperty. Więc wszystko ustalone. - Bramble zobaczyła płonące nadzieją oczy. - Będę musiał działać sprawnie, nawet jeśli spotka mnie kontuzja, więc to w sumie była niezła praktyka.

28.

- Eddiego od miesiący napastował jakiś miejscowy gang, ale chłopak nie chciał nikomu o tym mówić - opowiadała Bramble Natowi, kiedy go odwiedziła następnego wieczora. - Helena spędziła dwadzieścia cztery godziny w klinice, pod kroplówką, a na rękę Eddiego nałożono sześć szwów. „Mogłem sobie pooglądać konkurs skoków z Badmintonu w telewizorze w poczekalni”, powiedział mi radośnie. „Więc w sumie nie było tak źle”. Zaczęli go ścigać, kiedy wracał do domu od Rufusa - ciągnęła Bramble, nadal przerażona wszystkim, przez co musiał przejść siostrzeniec. - A on schronił się na pobliskim osiedlu i tam się zgubił. Myślał, że uda mu się stamtąd uciec, ale prawdopodobnie przypadkiem znów na niego trafili, kiedy już prawie dotarł do domu. Koło trzeciej nad ranem. I wtedy go pobili. Jak się zdaje, przewrócili go na ziemię, a potem zaczęli go kopać i po nim skakać, aż z jakiegoś mieszkania wyszło dwóch mężczyzn i jakaś starsza pani i zaczęli krzyczeć, że wzywają policję. Kobieta wzięła go do siebie i obmyła, a jeden

z mężczyzną odwiózł do domu. Strasznie go wszystko boli. Poza złamaniem ręki, całą resztę lekarz określił jako zwyczajne posiniaczenie, ale ledwie się chłopak rusza. Aż trudno wyrazić, jaki jest dzielny, bo cały czas tylko pyta o Helenę, a nam tłumaczy, że się po prostu przyzwyczaja do tego, co będzie czuł po upadku z konia na czterogwiazdkowej imprezie.

Nat pokręcił głową ze współczuciem.

- Mogli go zabić. Albo trwale okaleczyć. A więc Ollie i Helena wprowadzili się do ciebie? Ot tak po prostu? Jak się z tym czujesz?

- Jestem tak samo winna jak wszyscy pozostali - westchnęła Bramble. - Sama niezobowiązująco zaproponowałam coś takiego parę tygodni temu, bo wiedziałam, że Helena ma kłopoty. Ale ona wtedy z punktu odrzuciła propozycję, więc więcej o tym nie myślałam. Mimo wszystko to mój dom, a oni tak po prostu zwalają mi się na kark... Ponieważ jednak Helena strasznie się przejęła stratą Primrose Hill i dodatkowo niepokoiła zniknięciem Eddiego, uważałam, że nie mogę jej robić trudności. Kiedy leżała w szpitalnym łóżku, twierdząc, że dokuczają jej głównie wyczerpanie, przepraszała mnie gorąco za zwalenie mi ich wszystkich na głowę. A ja złapałam się na zapewnianiu jej, że to dla mnie naprawdę żaden problem. Ale to jest problem. Uważasz, że jestem samolubna? Przecież ona, z punktu widzenia prawa, ma takie samo prawo do mieszkania w Lorenden co ja. I sama ją tu zaprosiłam.

- Moim zdaniem musisz sprzedać ten dom - powiedział Nat. - On cię tylko obciąża różnymi problemami. Dopóki tego nie zrobisz, nie zdołasz niczego osiągnąć.

- A w stajniach rządzą Felicity i Jez. - Bramble roześmiała się, usiłując obrócić sprawę w żart. - Zawarli prawdziwą sztamę. Za każdym razem, kiedy coś mówię, przerywają rozmowę, patrzą na mnie, czekają, aż skończę, a potem kontynuują rozmowę tak, jakby mnie przy nich nie było. Czuję się jak pięciolatka przy parze dorosłych. - Chciała, żeby jej opowieść była zabawną anegdotą, ale w miarę mówienia zdała sobie sprawę, że pobrzmiwa w niej szczerą urazą. Nie była pewna, czy lubi osobę, w którą zaczynała się zmieniać...

- On zawsze był trochę apodyktyczny - powiedział Nat. - Może nią manipulować. Na przykład przez łóżko...

- Co takiego? - Bramble aż zakrztusiła się drinkiem. - O czym ty mówisz?

- To jego sposób działania. - Nat pogłaskał ją po policzku. - Wprowadzić się do jakiejś stajni, wejść w związek ze starszą, wolną kobietą i przejąć kontrolę. A ponieważ ciebie mieć nie może... - Czule ścisnął jej udo.

Bramble pomyślała o tamtej pierwszej nocy, kiedy Jez pojawił się u nich w samym środku burzy. Między nimi dwojgiem natychmiast zaiskrzyło. Ten sposób, w jaki na nią patrzył, kiedy chodziła po pokoju, wyzwanie niemal w każdej sprawie, jaką poruszali w rozmowie. Ale odkąd Nat stał się trwałym elementem w jej życiu, iskrzenie znikło. Ona i Jez byli teraz wyłącznie przyjaciółmi. O ile coś podobnego jest możliwe. Koledzy ze stajni. Tak, to było lepsze określenie. Westchnęła.

- Naprawdę nie sędzę, żeby on mógł zrobić coś tak...

- A ja owszem - powiedział Nat ostro. - Jesteś po prostu naiwna. Mężczyźni potrafią być tak samo przebiegli

jak kobiety, jeśli chodzi o kwestie finansowe. Zwłaszcza w związkach. On ma pewnie na oku jej część spadku z Lorenden.

W tym stwierdzeniu zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, ale Bramble nie bardzo umiała określić, co było w nim niewłaściwego. Przymknęła oczy. Miała za sobą kolejny długi dzień. Wtuliła się w sofę, przerzucając nogi przez kolana Nata, rozkoszując się podnoszącym na duchu ciepłem jego masywnej sylwetki.

- Bramble - odezwał się łagodnie, ponownie kładąc dłoń na jej policzku. - Nie jesteś aniołem stróżem własnej siostry. A pozwoliłaś sobie wpaść w nawyk myślenia, że tak właśnie jest.

- Pewnie masz rację. - Dopiła drinka i odstawiła szklankę. - Ale, na dobrą sprawę, kogo my mamy, jeśli nie siebie nawzajem? Małżeństwo Heleny zdaje się rozpadać i niedługo nie będzie czego ratować, a Felicity jest sama. A ja...

- A ty masz mnie.

Bramble pomyślała, że Nat jest kochany. Ujęła jego dłoń i pocałowała.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? Nie przestawał gładzić jej twarzy.

- Chciałbym się z tobą rozmówić.

- Przecież rozmawiasz - odparła Bramble ze śmiechem.

- Mówię serio. Przez ostatnich parę miesięcy byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Moim zdaniem pasujemy do siebie. Uważam, że masz niesamowite osiągnięcia, i z końmi, i z Savannah. Niełatwo jest wychowywać samodzielnie nastoletnią dziewczynkę i właśnie dlatego

chciałbym się znaleźć u twego boku. Opiekujesz się wszystkimi, a ja chcę zaopiekować się tobą.

- No owszem, ale Savannah jest...

- Bramble, oboje możemy się zająć Savannah. Ona rozpaczliwie potrzebuje ojca.

- Ale Helena i Felicity.

- Przestań myśleć o wszystkich wokół i pomyśl przez chwilę o sobie. Chcę się z tobą ożenić. Proszę, zgódź się.

Ogarnęły ją zarazem przerażenie i uniesienie, jakby niespodziewanie wpadła w nurt lodowatej wody, ale opanowała emocje, wypijając kolejny kieliszek wina. Każdy tak by się poczuł, postawiony zniemacka w obliczu podobnej decyzji.

Pomyślała o końcu samotności, o posiadaniu kogoś, z kim mogłaby rozmawiać, wymieniać się pomysłami... Kogoś o ciepłych ramionach, których serdeczny uścisk witałby ją pod koniec długiego, trudnego dnia.

- Chciałbym, żebyśmy byli razem - powiedział cicho. - Żebyśmy byli razem, jak należy, nie tak, że każdy może nam w dowolnej chwili przeszkodzić. I jeśli chcesz, nazwij mnie osobnikiem staroświeckim, ale dla mnie to właśnie oznacza małżeństwo. Chcę prawdziwego oddania i mam nadzieję, że ty czujesz tak samo.

- Tak - powiedziała z sercem w gardle. - Tak bardzo bym tego chciała!

Z serca Bramble spadł wielki kamień, choć aż do tej pory nie do końca była świadoma jego rozmiarów. Nagle wszystko wydało się takie jasne i takie właściwe. Otaczający ją szalony wodny wir wygładził się i uspokoił. Razem zdołają zapewnić Savannah bezpieczny dom.

29.

Savannah powtarzała francuski do egzaminu GCSE, leżąc na łóżku z Darcym zwiniętym w kłębek u jej boku. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi pokoju, usiadła. Miała nadzieję, że wygląda na mniej wykończoną, niż się czuła. - Proszę.

Do środka na palcach weszła Bramble ze skruszoną miną.

Co znowu?, Savannah posunęła się na łóżku, robiąc matce miejsce.

- Mam ci coś do powiedzenia - oświadczyła Bramble i usiadła.

Savannah miała nadzieję, że to nic strasznego. Na przykład nie rak.

- Nat i ja pobieramy się. Chciałam, żebyś dowiedziała się pierwsza.

Savannah poczuła się tak, jakby ktoś ją kopnął w brzuch. Wytrzeszczyła oczy.

- To dobry człowiek - powiedziała Bramble. - Chce, żebyśmy obie były szczęśliwe.

- Ja jestem szczęśliwa - odparła Savannah, wbijając wzrok w patchworkową narzutę. Jeden z jej kwadratów był bladoniebieski, usiany małymi gwiazdkami, inny spłowiasty i różowy, w białe groszki. Czepiała się znajomych szczegółów. One nigdy się nie zmieniają. W jednej przerażającej chwili dotarło do niej, że być może jej matka nie była szczęśliwa. Ze magiczne dzieciństwo, które zapamiętała Savannah, kiedy wszyscy otaczali ją miłością i włączali we wszystko, co robiła Bramble - że może to nie było szczęście? Nie śmiała podnieść oczu na matkę, bała się tego, co może zobaczyć.

Bramble położyła dłoń na ramieniu córki, a Savannah na wszelki wypadek odsunęła tę dłoń. Kto wie, może mama sprawdza w ten sposób, jak bardzo schudła? Zwinęła się w ciasny kłębek.

- Nie jestem pewna, czy jesteś szczęśliwa - powiedziała Bramble łagodnie. - Niepokoi mnie, że tak mało jesz. Bardzo mocno zeszczuplałaś.

- Jem mnóstwo. - Savannah usiłowała wpaść na jakiś sposób, żeby przekonać matkę. - Na kolację zjadłam kanapkę z masłem orzechowymi, banana i Kit Kata - skłamała. - Po prostu nie przepadam za gulaszem wołowym, dlatego nie usiadłam do stołu ze wszystkimi. - Wtrącanie się do jej diety przyprawiało ją o panikę większą niż ta wywołana informacją o małżeństwie matki z Natem. Nat był w porządku, tylko ona jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, że wiecznie będzie się koło nich kręcił. - To kiedy się pobieracie? - spytała, żeby zmienić temat.

- Jeszcze nie wiemy. Może w przyszłym roku? Co ty na to?

- Nie ma sprawy - powiedziała Savannah w stronę własnych kolan. - Wszystko mi jedno, naprawdę.

- Savannah? - odezwała się Bramble miękko. - Popatrz na mnie. Ja nie wyjdę za mąż bez... bez twojego błogosławieństwa.

Akurat, nie wyjdzie! Dorośli zawsze robią dokładnie to, czego chcą. I o co jej chodzi z tym jakimś głupim błogosławieństwem? Przecież żadne z nich nie jest religijne.

- Savannah? - Bramble dotknęła jej ramienia, a Savannah odsunęła się gwałtownie.

- Dobra. Dobra, masz moje błogosławieństwo. To już wszystko?

Bramble pocałowała córkę w czubek głowy.

- Ta sprawa dotyczy ciebie tak samo, jak i mnie. Bardzo cię kocham i zawsze będziesz najważniejszą osobą w moim życiu.

- Wyszła z pokoju i cicho przymknęła za sobą drzwi.

Savannah mocno wątpiła w te słowa. Od tej pory to Nat będzie w życiu Bramble najważniejszą sprawą. A matka sama kiedyś powiedziała, że z ojcymami zawsze są problemy...

- Jak to przyjęła? - Nat czekał niespokojnie, siedząc u stóp schodów. Roześmiał się. - Czuję się jak dziewiętnastowieczny adorator, który chce poprosić ojca swojej wybranki o rękę jego córki. Tylko role się pozmieniały... Jak myślisz? Może powinienem z nią porozmawiać?

- Nie, moim zdaniem nie trzeba. - Bramble nie chciała, żeby zobaczył reakcję Savannah. - W sumie nie ma problemu, tylko jest trochę zaskoczona.

Nat pocałował ją w usta, a Bramble poczuła krótką, ciepłą iskrę łączącego ich porozumienia.

- Będzie lepiej, kiedy już będziemy mieli własny dom - powiedział. - Jakies miejsce dla ciebie, dla mnie i dla Savannah. Wtedy zapewne uda nam się stworzyć prawdziwe porozumienie.

- A co z Gemmą? - Bramble zdziwiła się, że Nat tak rzadko wspomina o własnej córce. - Chyba już pora, żebym ją poznała?

- Niestety, nie. Jenny jest tak mściwa, że urządzi festiwal wrzasków i pójdzie z tym do sądu, żeby spróbować wyciągnąć ode mnie jeszcze trochę kasy, skoro się żenię. Albo jeszcze bardziej ograniczyć mi dostęp do dziecka. Serio. Mówię ci, zostaw tę sprawę mnie. Coś wymyślę. No to jak, powiemy reszcie domowników? Wszyscy siedzą w kuchni.

Kuchnia była pełna ludzi, a stół nadal zastawiony talerzami po kolacji. Helena przeglądała jakiś kolorowy magazyn kobiecy, Felicity i Donna pogрузyły się w dyskusji na temat siodeł, a Eddie, śmiertelnie blady, prawie zasypiał przy stole. Ruby i Roly - którzy powinni się byli znaleźć w łóżkach już parę godzin temu - to wybiegali do ogrodu, to z powrotem wpadali do domu, bawiąc się z terierami w berka. Bramble ścisnęła dłoń Nata, ciepłą i pewną.

- Siedzimy w tym razem po same uszy - szepnął do niej i natychmiast poczuła się lepiej.

- Hej, kochani!

Ollie wyrzucił za okno niedopałek papierosa i zeskoczył z krawędzi zlewu. Postukał palcami w butelkę wina.

- Bramble próbuje nam coś powiedzieć!

Bramble rozejrzała się po zwróconych na siebie twarzach i słowa omal nie uwięzły jej w gardle. Poczowała, że Nat ściska jej rękę. Odchrząknęła.

- Hm, my... To znaczy Nat i ja... No, my się... pobieramy.

Zapadła pełna zdumienia cisza, a potem Helena poderwała się z miejsca, piszcząc z zachwyty.

- Jak cudownie! Kiedy? Och, proszę cię, urządzmy wesele, zanim wyprowadzimy się z Lorenden! Mogę wszystko zorganizować! Będzie super!

- Jeszcze sami nie wiemy kiedy - odparła zarumieniona Bramble.

- Ale niedługo - dodał Nat, ponownie ściskając ją za rękę.

Gdy tylko kroki matki ucichły, Savannah ześlizgnęła się z łóżka, ostrożnie uchyliła drzwi swojego pokoju i, sprawdzwszy, że nikt się w pobliżu nie kręci, poszła cicho do gościnnego pokoju (gdzie teraz sypiał Eddie), a potem otworzyła niewielkie drzwiczki prowadzące na klatkę schodową na poddasze. Na palcach weszła na górę i przekonała się, że drzwi są otwarte. Jez stał przy mansardowym oknie i spoglądał w gwiazdy, słuchając muzyki. Utwór był dziki i niesamowity, i Savannah pewna była, że zapamięta tę melodię do końca życia.

Obejrzał się, słysząc jej kroki.

- Savannah! Co się dzieje? ; Drżała.

- Mama wychodzi za mąż. Za Nata.

- Co? - Zdawał się nieobecny, ale zaraz spojrzał uważniej. - Coś ty powiedziała?

Zebrała całą odwagę i rzuciła mu się w ramiona.

- Mama. I Nat. Proszę cię, powstrzymaj ich! Wiem, że możesz! Przecież też go nie znosisz, prawda?

Odsunął się i przyjrzał jej twarzy.

- Savannah. Dlaczego go nie lubisz? Czy on... Czy on ci zrobił coś złego? - W jego głosie zabrzmiała szczerza troska. Savannah aż korciło, żeby coś wymyślić, tylko po to, aby usłyszeć ją jeszcze raz.

- Nie, nic podobnego! - zawołała nieco histerycznie.

- Jest po prostu... zbyt miły. I mówi różne rzeczy nie wtedy, kiedy trzeba, i za bardzo się stara, żeby go lubiano. On chce, żebym go lubiła... Ale nie lubię. Ja go nie lubię!

- Do tej chwili sama nie miała pojęcia, że tak to odbiera.

Jez przytulił ją mocno, a Savannah uderzyło, jak twarde jest jego umięśnione ciało.

- Savannah, trudno to nazwać zbrodnią. - Westchnął i cmoknął ją w czubek głowy. - Jesteś jeszcze bardzo młoda i w sumie nie znasz Nata.

- I nie chcę go poznawać! - mruknęła w pierś Jeza. Stali bez ruchu, a Savannah upajała się poczuciem

bezpieczeństwa i spokojem jego ramion. Do tej pory przy nikim tak się nie czuła. Taka bezpieczna i taka... taka... kochana. Jez na pewno się w niej kocha, inaczej nie obejmowałby jej, jakby była czymś cennym! To magiczna chwila, pomyślała. Jez i ja. Sami, pod gwiazdami, objęci, przy muzyce, ze skórą rozpaloną na styku naszych ciał...

Jez westchnął ponownie, opierając brodę na czubku jej głowy.

- Kochana, mała Savannah.

Nie śmiała drgnąć. Słuchała powolnego bicia jego serca na tle własnego, szybkiego jak rytm walca wygrywany przez magiczną orkiestrę. Jez pachniał sianem i ciężką pracą.

- Spróbuję się dowiedzieć - powiedział wreszcie - czy jest jakiś powód, dla którego Nat nie powinien się żenić z twoją matką. Ale... - Uniósł jej twarz w górę i przytrzymał; musiała popatrzeć mu w oczy. - Chcę, żebyś mi obiecała, że jeśli okaże się, iż nie zrobił niczego złego, to postarasz się... Jak umiesz... Postarasz się z nim dogadać. - Łagodnie starł palcem łzę z jej policzka. - Obiecasz?

Savannah obiecałaby wszystko.

- Oczywiście - powiedziała, przekonana, że Jez coś zdoła i znów wszystko będzie dobrze. - Oczywiście. - Impulsywnie oplótła jego szyję ramionami i pocałowała go w usta.

- Słodka jesteś... - powiedział i poczuła jego usta na swoich. Odpowiedziały na jej pragnienie, a potem, nagle, zareagowały z intensywnością, o której marzyła. Mocno przywarli do siebie. Chciała czegoś więcej, była wygłodniała Jeza i ciągnęło ją do niego w sposób, o jaki nigdy siebie nie podejrzewała.

- Przepraszam! - rzucił znienacka, odsuwając się od niej po chwili, która wydawała się wiecznością, a jednocześnie ledwie ułamkiem sekundy. Jego szare jak łupek tęczy pały, kiedy patrzył jej w oczy. - Nie powinienem był - odezwał się chrapliwie. - Powinnaś być w łóżku. Zmykaj już.

- Nie! Nie jestem dzieckiem!

- Tak, Savannah, nie jesteś już dzieckiem. Jesteś

naprawdę uroczą młodą kobietą. Ale teraz musisz już iść do łóżka i trzymać się z daleka od facetów takich jak ja.

Ale ja cię Kocham!, chciała krzyknąć. Nie mogę cię tak zostawić! Rozdygotana, obrysowała palcem kontur jego twarzy i ujrzała w szaroniebieskich oczach odbicie własnego pożądania. Nigdy potem nie była do końca pewna, czy sobie to tylko wyobraziła, czy sama uniosła twarz i go pocałowała, czy może to on pochylił usta nad jej ustami... Ich wargi znów się spotkały, czule, na krótką chwilę.

- Na dole otwieramy butelkę szampana - odezwał się za nimi głos Heleny. - Może chciałbyś dołączyć do nas, Jez, i wznieść toast za Bramble i Nata.

Savannah podskoczyła jak oparzona i odsunęła się od Jeza, ale on spojrzał Helenie prosto w oczy.

- Byłoby mi bardzo miło, Heleno. Za moment do was zejść.

Helena przeniosła spojrzenie roziskrzonych oczu z Jeza na Savannah, podczas gdy jej siostrzenica usiłowała się schować w okiennej wnęce.

- Ja też zejść za chwilę, Heleno. Właśnie prosiłam Jeza o radę, jak powinnam... postępować z Kudłatą na Mulberry Hill, jeśli... hm... Jeśli nie będzie chciała wyjść na parkur.

Helena stała z nimi jeszcze z dobrą minutę, ale pod wpływem stanowczego spojrzenia Jeza musiała się odwrócić się i wyjść na schody.

- Świetnie - powiedziała krótko. - Czekamy na was w salonie. Zabrzmiało to jak groźba.

Helena była na razie zbyt zszokowana wyjazdem z Londynu, żeby zastanawiać się nad Savannah i Jeżem i nad tym, co to wszystko mogło oznaczać. Pierwszego poranka po powrocie do Lorenden obudziła się i rozpakowała torby, układając ubrania w starej komodzie z wiśniowego drzewa, której zacinające się szuflady trzeba było otwierać nadzwyczaj ostrożnie. W domu w Primrose Hill dysponowała garderobą z osobnym wejściem, gdzie wszystko wkładała do drucianych koszyków albo układała na półkach.

Zrobiło jej się niedobrze i oparła się o framugę okna. Trzydzieści lat temu przyciskała dziecięcy nosek do tych samych, nieco nierównych szyb. Spoglądała na te same sady, na schludne rzędy kwitnących na biało i różowo drzew, a wśród ich gałęzi słyszała pohukiwanie grzywaczy. Obiecywała sobie wówczas, że stąd wyjedzie i zostanie kimś w prawdziwym świecie, nieważne, ile będzie ją to kosztować. Chciała być bogata. Wystarczająco bogata, żeby stać ją było na przyjemności, na które będzie miała

ochotę, i żeby nie musiała wysłuchiwać wiecznego „nie”, bo na pierwszym miejscu zawsze były konie.

A teraz znalazła się tu ponownie, ale nie miała dokąd pójść.

Do drzwi zastukała Bramble.

- Heleno?

Usiadły w kuchni przy kubkach herbaty, a Helena spróbowała wyjaśnić siostrze powody ucieczki z Londynu.

- Ale przecież w obecnych czasach, przy całej tej inwigilacji i systemach komputerowych, nie można chyba, ot tak, zniknąć?

- Bramble była zdziwiona.

- No cóż, my nie tyle znikamy, ile próbujemy zyskać nieco przestrzeni na oddech. I nie będziemy tu długo. Tylko dopóki...

- Nagle zarysowała się przed nią przepaść dzieląca bieżący tydzień od poprzedniego.

- Sporo nas tu teraz. Może powinniśmy rozpisać grafik - powiedziała Bramble.

Helena patrzyła na nią, nic nie pojmując.

- To dobry pomysł - powiedziała. - W przeciwnym razie, podejrzewam, znów wszystko znajdzie się na mojej głowie, jak zwykle. Może powinniśmy wziąć kogoś do pomocy...

- Heleno! - Bramble usiłowała opanować złość. Co ona miała na myśli, mówiąc: „Wszystko na mojej głowie”? - Nie ma na to pieniędzy.

- Po prostu jakąś studentkę czy kogoś. Taką au pair. Nic specjalnie drogiego.

- Heleno, każda pomoc jest za droga. Nie możemy pożyczać pieniędzy, bo nie mamy z czego oddać. Chcę po prostu, żebyście, razem z Olliem, pomagali mi w domu.

- No cóż, oczywiście, będę pomagać. - Helena chyba się obraziła. - To znaczy, przecież mnie znasz. Jestem osobą, która nie usiedzi, dopóki wszystko nie zostanie zrobione.

Bramble się poddała. Pozostała nadzieja, że siostra zrozumiała przekaz.

- Tak czy inaczej... - odezwała się Helena - ...co z tym ślubem? Musisz mieć namiot w ogrodzie, oczywiście, i

Do środka weszła Savannah i zrobiła sobie czarną kawę.

- Savannah, jadłaś coś?

- Tak, tak. - Chciała się wymknąć, ale zatrzymała ją rozdrażniona wymiana zdań Heleny i Bramble. Zbyt rozdrażniona, żeby uważać na słowa.

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie zjesz tego tosta. Savannah wzięła pieczywo do ręki i zaczęła odcinać

skórki, nie zostawiając zbyt wiele środka. Szczęśliwie zadzwonił telefon, a kiedy Bramble go odebrała, Savannah czym prędzej dała nogę, pozbywając się tosta na dziedzińcu. Darcy pochłonął go radośnie i zaczął węszyć dokoła w poszukiwaniu kolejnych niespodziewanych smakołyków.

Dni mijały, a Helena ani razu nie wspomniała Bramble o uścisku Jeza i Savannah, chociaż czujnie popatrywała to na jedno, to na drugie. Jako kobieta, która dzielnie zrezygnowała ze wszystkiego, aby zająć się rodziną, uznała, że jej nowa rola polega na poprowadzeniu siostrze domu. A więc była nieustannie zajęta: smażyła dżem

truskawkowy, porcjowała go do ładnych, małych słoiczków z naklejką: „Dżem truskawkowy Heleny” i wysiewała w ogrodzie mieszanki sałat, wystrojona odpowiednio do roli w fartuszek w kwiatowe wzory.

Savannah i Eddie zdawali egzaminy. Nie żeby egzaminy siostrzenicy liczyły się jakoś specjalnie, ale Helenie się nie mieściło w głowie, że Bramble pozwala córce skończyć edukację na tym etapie. Jej siostra była naprawdę nieodpowiedzialną matką! Helena z przyjemnością wykladała Felicity swoje teorie na temat niedociągnięć Bramble, chociaż jej druga siostra w irytujący sposób nie dawała się sprowokować do zajęcia konkretnego stanowiska.

Na antenę miał wkrótce wejść nowy sezon „Drogi Simona” i Helena ponownie miała się znaleźć w centrum zainteresowania opinii publicznej. Miała tylko nadzieję, że serialu nie oglądają komornicy.

A życie w Lorenden wcale nie było takie złe. Ten podniszczony dom przygarnął jej rodzinę i sprawił, że wszyscy poczuli się zadziwiająco pokrzepieni na duchu. Helena wyjaśniła Ruby i Roly'emu, że są teraz jak dzieci z książki „Przygoda przyjeżdża pociągiem” i że chwilowo klepią biedę, ale wszystko dobrze się skończy. Przeczowała wprawdzie, że kompletnie straciła wpływ na Eddiego, co było trochę niepokojące, ale jej syn wydawał się szczęśliwy, a ona przestała drżeć na myśl, co by się mogło stać, gdyby zostali w Londynie. Eddie wrócił do swojej starej szkoły, bo tam zdawał egzaminy, i pogodnie znosił niemal cztery godziny dojazdów dziennie. Resztę czasu spędzał w siodle albo pracując w stajni.

Helena zaprzestała perswazji. Na jakiś czas. Ollie, któremu Bramble podobno zapowiedziała, że w ciągu dnia nie pija się w domu alkoholu, większość czasu przesiadywał w pubie.

- Obiecałem Bramble - twierdził niefrasobliwie. - My się z Bramble rozumiemy.

Helena ograniczyła kontakty z ludźmi i obdzwoniła najwyżej dwudziestu czy trzydziestu najbliższych przyjaciół, przedstawiając swoją ucieczkę jako nareszcie podjętą decyzję o wyrwaniu się z brudnego, pogrążonego w przestępczości Londynu ze względu na dobro dzieci.

- Tu jest tak cudownie - mówiła, usiłując przekrzyczeć odgłosy game boya Roly'ego. - Uganiają się po ogrodzie i cieszą tą samą cudowną swobodą, której i ja zaznałam jako dziecko. Zresztą i ja, oczywiście, czerpię satysfakcję z powrotu do korzeni - opowiadała. - Odkrywam prawdziwą siebie.

Szczerze mówiąc, prawdziwa Helena rzeczywiście kryła się gdzieś na strychach i w sadach Lorenden, ale ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę Helena obecna, było ją stamtąd wygrzebywać. Od czasu, kiedy w wieku osiemnastu lat przeprowadziła się do Londynu, żeby zostać aktorką, tak przywykła do kwitowania każdej komplikacji uśmiechem, że przestała już rozpoznawać desperację, nawet kiedy ta patrzyła na nią z lustra. Musiała być pogodna ze względu na dzieci, żeby ich nie straszyć, a przyjaciołom przedstawiać wszystko w pozytywnym świetle, bo w przeciwnym razie mogłaby zniknąć z listy osób ważnych, zarówno profesjonalnie, jak i prywatnie. Nikt przecież nie lubi użalania się nad sobą i nikt nie

chce zadawać się z nieudacznikiem. A co do Olliego, no cóż... Po tych wszystkich kłamstwach faktycznie będzie musiała się z nim rozwieść, ale jeszcze nie teraz. Na razie nie wolno jej się wychylać z niczym finansowo. Rozwód, obiecała sobie, będzie kolejną świetną okazją do osobistego rozwoju. Ponowną. Ile czasu minie, zanim wreszcie nie będę musiała się rozwijać?, myślała czasami z przekąsem.

Ale spoglądała też w stronę pól i nieba i myślała o tym, jak wiele tu przestrzeni i ciszy. I że ona sama, Helena, może w takim miejscu przestać kręcić się w kółko, już nie poświęcając tyle czasu na poszukiwanie idealnych kafelków czy najpiękniejszego buta.

Oprowadzając potencjalnych nabywców po Lorenden, szybko nauczyła się odróżniać deweloperów od tych, których na własny użytek zaczęła nazywać prawdziwymi ludźmi. Ci pierwsi dziarskim krokiem maszerowali wokół domu, od czasu do czasu postukując w którąś ze ścian, i nigdy nie zadawali żadnych pytań. Większość potrzebnych informacji zdobywali, czytając mapę zagospodarowania przestrzennego w wydziale ksiąg wieczystych. Prawdziwi ludzie całymi godzinami spacerowali po okolicy i zadawali setki pytań, w większości idiotycznych.

- Czy dochodzi tu hałas z autostrady? - brzmiało jedno z najczęstszych, a ponieważ do autostrady było dwadzieścia minut drogi, Helena reagowała na nie dość opryskliwie. Frustrująca była też liczba ludzi, którzy dochodzili do wniosku, że wprowadzie uwielbiają ten dom, ale nie daliby sobie rady z dojazdem do Londynu. Po co

wobec tego w ogóle zaczynali szukać domu w takim oddaleniu od miejsca pracy? Trafiali się tacy, którzy chcieli kupić Lorenden do przeróbki, ale zniechęcała ich ilość pracy, jaką potencjalnie trzeba by było włożyć w przedsięwzięcie, i tacy, którzy chcieli cały parter przerobić na jedno wielkie otwarte pomieszczenie, pełne szkła i nierdzewnej stali, ale zniechęcały ich ograniczenia nałożone na zabytek drugiej klasy przez urząd architekta. Początkowe gorączkowe zainteresowanie stopniowo zaczęło maleć, a jeden z deweloperów powiedział Helenie, że głównym problemem jest dostęp dla samochodów.

- Nie wystarczy taki podjazd, nie dla dwudziestu czterech mieszkań - ostrzegął. - Musiałaby pani wyciąć drzewo i poszerzyć drogę.

- Ale ten cedr jest, zdaje się, pomnikiem przyrody

- odważyła się zaprotestować Helena.

Deweloper tylko się roześmiał.

- Po prostu je wytnijcie. Ryzykujecie grzywnę, ale to drobiazg w porównaniu z potencjalnym zyskiem.

Helena w wolnych chwilach przesuwiała więc palcem wzdłuż numerów do arborystów w książce telefonicznej.

A przy okazji obserwowała otoczenie. Widziała całkiem wyraźnie, w którym miejscu Bramble popełnia błąd w wychowaniu Savannah, i już zacierała ręce na myśl o porządnej rodzinnej awanturze. Doszła do wniosku

- święcie przekonana, że jej obowiązkiem jest o tym wspomnieć siostrze - że Savannah w bardzo niezdrowy sposób durzy się w Jezie, a ten ewidentnie nadużywa ufności wrażliwej, młodej dziewczyny. Nie była do końca pewna, dlaczego jeszcze tego nie zrobiła, chociaż

na własne oczy widziała, jak Jez całował Savannah na poddaszu. Podejrzewała, że Bramble - która, zgodnie z rodzinną legendą, zawsze we wszystkich doszukiwała się najlepszych cech - na pewno dałaby się zbyć byle jaką historyjką, a ona, Helena, zyskałaby miano rodzinnej wichrzycielki. Jak zwykle. Nikt w tej rodzinie nie liczył się z jej opiniami. Więc, zanim posunęła się do bezpośrednich oskarżeń, zaczęła po cichu siać ferment. Twierdziła, że Savannah poddaje się niekorzystnym wpływom Jeza i że Bramble powinna położyć temu kres.

- No cóż, wydaje mi się, że chyba nie mam prawa - odpowiadała Bramble. - Formalnie rzecz biorąc, Savannah jest już wystarczająco dorosła, żeby podejmować własne decyzje, a nie widzę, by robiła coś, czemu powinnam się przeciwstawić.

- Nie rozumiem, dlaczego w takiej sytuacji dajesz krok do tyłu i tylko patrzysz, jak cierpi twoja córka.

- Ale ona nie cierpi przez Jeza, tylko przez to całe odchudzanie.

Bramble zastanawiała się, czy ze względu na Savannah i jej poczucie bezpieczeństwa nie powinna przyspieszyć przygotowań do ślubu. A ona sama? Czy powinna włożyć tego dnia długą suknię, czy jakiś ładnie skrojony kostium? Zerknęła do lustra. Spojrzała z niego zupełnie inna Bramble - ładna kobieta o roztańczonych oczach i sprężystych lokach. Będzie musiała trochę skrócić włosy, bo zaczyna w nich wyglądać nieco nieprofesjonalnie.

- Ale ta różnica wieku! - pisnęła Helena, brzęcząc w tle niczym komar. - Trzydzieści sześć i siedemnaście! Sama na pewno widzisz, że to nie w porządku!

- No cóż, twoja przyjaciółka Angelina ma zaledwie trzydzieści dwa lata, a Chris Woody - pięćdziesiąt siedem. To nawet większa różnica.

- Bramble! Natychmiast przestań mydlić mi oczy arytmetyką! Wiesz, że to nie to samo. Myśl o tym, co najlepsze dla Savannah!

Bramble musiała przyznać, że Helenie udało się zasiać w niej ziarno niepokoju.

- Ale przecież on nie zrobił niczego złego. Ona zresztą też nie... - Za grosz nie wierzyła w siostrzane wymysły, podejrzewając, że Helena po prostu mąci wodę.

Oprócz prowadzenia kampanii przeciwko Jezowi Helena zabawiała się odkrywaniem w sobie brytyjskiego wcielenia Marthy Stewart, a ponieważ musieli żyć skromnie, sporo przyjemności czerpała ze zbierania rosnących wśród przydrożnych żywopłotów kwiatów i układania z nich bukietów w wazonach.

- Tak wygląda nowoczesny szyk - mawiała, zastanawiając się, czy komornicy zagląдают do kobiecej prasy, a jeśli nie, to czy któreś z kolorowych pism nie byłoby zainteresowane zamieszczeniem artykułu na temat jej nowego, idyllicznego, wiejskiego stylu życia.

Z jednej ze swoich wypraw po kwiaty wróciła z krzykiem.

- Bramble! Tam są paparazzi! Odkryli, gdzie się ukrywam!

- Co takiego?

- Powinam była wiedzieć! „Droga Simona” wraca na antenę dziś wieczorem! Jest ich tam ze dwudziestu, tuż za zakrętem podjazdu. I mają te swoje statywy, i długie obiektywy, i...

Bramble poszła na podjazd, by sprawdzić, co się dzieje. Wróciła pięć minut później.

- Heleno, to ptasiarze. W okolicach Long Field zauważono bardzo rzadkiego biegusa antarktycznego. Czy arktycznego. Czy jak mu tam.

- No proszę! - powiedziała Helena, wciąż podenerwowana. - A moim zdaniem wyglądali jak paparazzi!

W długie, letnie dni Bramble z Jezem mogli dawać więcej lekcji, nieco poprawiając płynność finansową stajni. Ich własne konie odpoczywały już około piątej po południu, ale wtedy na dziedziniec podjeżdżał jakiś koniowóz i jedno z nich, albo i oboje, prowadziło treningi do siódmej. Eddie też ciężko pracował, bo obiecano mu udział w jego pierwszych prawdziwych zawodach dla początkujących, w Mulberry Hill, nowej imprezie odbywającej się pod koniec września. Jez trenował go na Dolarze, młodym, ale zrównoważonym koniu, o którym Bramble wiedziała, że wielkich sukcesów odnosić nie będzie, ale który powinien zostać sprzedany z zyskiem jako przyszłościowy wierzchowiec dla jakiegoś ambitnego jeźdźca z Klubu Kucyka.

- On się urodził do jazdy - powiedział Jez po jednej ze swoich lekcji z Eddiem. - A o niewielu ludziach można to powiedzieć.

Savannah też miała startować w Mulberry, na Kudłatej, która powoli zauroczyła sobą całą stajnię, chociaż miewała kaprysy, bywała nadąsana i rozdrażniona.

W połowie sierpnia nadeszły wyniki egzaminów A levels.

- Dwa C i jeden F - oświadczył radośnie Eddie. - Mówiłem wam, że na studia się nie nadają!

Helena wydała z siebie nieludzki pisk.

- To przez te konie! To one cię zdekoncentrowały! Eddie tylko się roześmiał.

- Daj spokój, mamó. Pierwszy egzamin odbył się dwa dni po naszej nocnej ucieczce.

Helena wybuchnęła płaczem.

- Po tych wszystkich wyrzeczeniach, jakie poniosłam, żeby dać ci wykształcenie, wierzyć mi się nie chce, że mogłeś mi to zrobić! Musimy wystąpić o ponowną ocenę tych egzaminów albo zaskarżyć decyzję. A może jakiś intensywny kurs?

- A może dasz mi żyć własnym życiem? - Otoczył ją ramieniem i podsunął kawałek papierowego ręcznika. - Masz, wytrzymaj nos. Od płaczu zrobią ci się zmarszczki.

Helena posłuchała. Wiedziała, że straciła u Eddiego wszelki autorytet w chwili, gdy odwieziony do domu, posiniaczony i mocno wystraszony, przekonał się, że matka jest zbyt pijana, żeby się utrzymać na nogach. Wciąż bardzo się tego wstydziła i nawet miewała momenty zawahania przed nalaniem sobie drinka. Nierzadko zamykała drzwi od lodówki i zadowalała się herbatą.

A pod koniec sierpnia nadeszły wyniki GCSE.

- No i jak? - Bramble jak zwykle niepokoiła się, kiedy chodziło o Savannah. Ostatnio niemal każda ich rozmowa kończyła się tym, że dziewczyna szła obrażona na górę i zamykała za sobą drzwi pokoju. Zwłaszcza przed posiłkami.

- W porządku - powiedziała Savannah i zaróżowiła się uroczo. Helena westchnęła.

- Nic nie rozumiem! I tobie, i Eddiemu oferuje się wszelkie możliwości, a wy jakbyście nie pojmowali wagi egzaminów! Przecież to dla waszej przyszłości! To nie do pomyślenia...

Bramble wzięła od Savannah list z wynikami.

- Savannah, dostałaś osiem A i jedno B! Ależ to fantastyczny wynik! Rewelacja!

- Co takiego? - spytała ostro Helena. - No tak, oczywiście, dziewczyna! Mamy teraz nadzwyczaj stronniczy system ocen. Tak czy owak, dobra robota, Savannah.

I przez następnych kilka dni Helena opowiadała niezliczone historie o znanych sobie przebojowych matkach, które tylko udają, że wcale nie przejmują się egzaminami dzieci, a w tajemnicy załatwiają im mnóstwo prywatnych korepetycji.

Bramble cieszyła się, bo Savannah bardzo potrzebowała odrobiny pewności siebie, ale w miarę jak zbliżało się Mulberry Hill, zaczęła się niepokoić, nie umiając zlokalizować źródła tego zmartwienia. Zastanawiała się, czy aby Jez nie uważa Eddiego za lepszego jeźdźca od jej córki. Bramble kochała Eddiego, oczywiście, ale nie był on tak dobry jak Savannah. A może jednak? Czy to możliwe? Czy ona faktycznie jest zbyt ambitna, jak to sugeruje Helena, pozwalając i Savannah, i Eddiemu uczestniczyć w wymagających zawodach?

Być może człowiek, który wie, na czym polega wszechstronny konkurs konia wierzchowego, skazany jest na wieczne zmartwienia?

Helena zabrała się do rozvodu metodycznie i zaangażowała w sprawę swojego księgowego.

- On mówi, że lepiej będzie, jeśli nie będę pracowała zbyt wiele, bo nie chcę przecież wykazać imponującego dochodu - powiedziała. - Zwłaszcza że większość pieniędzy wpakowanych w nieruchomości i tak należała do mnie. Naprawdę, wzięcie w tej sytuacji kolejnej roli byłoby szaleństwem.

Ale wokół „Drogi Simona” toczyła się dyskusja. Skoro już raz sprawa śmierci Mattie wyciekła do prasy, pewna część widzów zaczęła narzekać, że serial przedstawia negatywny obraz przypadków raka piersi i pozbawia chore nadziei. Do debaty włączyli się nawet onkolodzy. „W początkowych odcinkach sezonu u Mattie zdiagnozowano pierwszy stopień rozwoju nowotworu, zdecydowanie uleczalny”, pisał profesor R.L.D. Brown, „i większość kobiet z takimi symptomami zapewniałbym o znakomitych rokowaniach na pełne wyleczenie. Przedstawiając ten konkretny typ nowotworu piersi jako prowadzący do śmierci, popularny serial telewizyjny wywoła tylko niepotrzebną panikę wśród tysięcy pacjentek. Ubolewam nad podobnym brakiem odpowiedzialności...”.

- Scenarzyści chcieli dramaturgii, dając nadzieję na szczęśliwe rozwiązanie, która okazuje się płonna! - piała z zachwytu Helena. - Powinni byli skorzystać z lepszych ekspertów medycznych!

- Ja bym nie popełnił takiego błędu - stwierdził Ollie. W efekcie producent wydał oświadczenie dla prasy z informacją, że nakręcono cztery odrębne sceny śmierci, i że nie zapadła jeszcze ostateczna decyzja, który z bohaterów serialu ma umrzeć.

A potem, kiedy pewna starsza pani minister z obecnego rządu straciła tekę i została zastąpiona kobietą o dwadzieścia lat młodszą, Helena powiedziała w największym zaufaniu Angelinie - doskonale wiedząc, że jej przyjaciółka umówiła się na lunch ze swoją przyjaciółką-dziennikarką z pewnego brukowego pisma - że ta sprawa z Mattie ma charakter dyskryminacji ze względu na wiek i że producenci zdecydowali się w następnych częściach serialu główną kobietą bohaterką uczynić Melissę, bo panuje powszechne przekonanie, że żadna kobieta po trzydziestym piątym roku życia „nie jest dość seksowna do tej roli”. Kiedy z brukowca zadzwoniono, by potwierdzić newsa, Helena stwierdziła, że w żadnym razie nie może tego komentować i że o całej sprawie znacznie więcej będzie wiedziała Melissa.

- Proszę nie przypisywać mi czegoś, czego nie powiedziałam. Ja naprawdę nie chcę robić serialowi kłopotów, a Melissę szczerze podziwiam. To bardzo zdeterminowana kobieta.

W gazecie pojawiło się więc kilka wysoce satysfakcjonujących wzmianek, co w połączeniu ze sprawą byłej pani minister wywołało prasową debatę o wypychaniu starszych kobiet przez młodsze z rynku pracy i o tym, czy aby dyskryminacja z racji wieku nie jest nową odmianą nietolerancji.

Koniec końców, producenci zdecydowali się na kolejny krok i oświadczyli, że zorganizują publiczne głosowanie w systemie audiotele. „Proszę wysłać esemesa o treści »1« lub tonowo wybrać »1«, żeby ocalić Simona, o treści »2« - żeby ocalić Mattie...”. I tak dalej. Taki interaktywny dramat, stwierdziła gazeta, jest szalenie na czasie. Za dziesięć lat, spekulowali z kolei krytycy, będzie się w ten sposób decydować o zakończeniach wszystkich seriali.

- To jest takie stresujące! - narzekała Helena, ale błyszczały jej oczy. Caroline, jej agentka, zadzwoniła z informacją, że chociaż producenci zadowoleni są z całego tego medialnego szumu, bo podniósł oglądalność, niepokoją się jednak, że mogliby zostać trwale skojarzeni z dyskryminacją wiekową albo straszeniem chorych na raka piersi.

- No cóż, trzeba było pomyśleć o tym wcześniej - triumfowała Helena. - Przecież ja z tym nie mam nic wspólnego!

Ekipa na Mulberry Hill składała się z Bramble, Jeza, Eddiego i Savannah. Zabierali ze sobą Dolara, Frenchiego i Kudłata. Felicity miała zostać w domu i zająć się resztą stajni.

Kudłata, kiedy już nieco przytyła, wzmocniła mięśnie i poczuła swobodniej w nowym otoczeniu, została obwołana Królową Stajni. Doświadczenie Bramble wskazywało, że zaraz po przyjeździe konie zazwyczaj bywają spokojne, a swoje prawdziwe usposobienie ujawniają, dopiero kiedy się zadamowią, nic więc dziwnego, że i dziwactwa Kudłatej z każdym dniem rysowały się wyraźniej. Inne konie ustępowały jej z drogi, a o jej temperamencie zaczynały krążyć legendy. Żartowano sobie, że motto klaczy brzmi: „Odwal się, to moja stajnia!”, jednakże uczciwość i waleczność zwierzęcia ujawnione na trasie crossu rekompensowały jego humorzastość. W Mulberry Hill miała na niej pojechać Savannah, by sprawdzić, czy Kudłata nie nadawałaby się lepiej do startów w ekipie juniorów niż Tegan.

O ile w ogóle uda im się dotrzeć na miejsce! Bramble wciąż od nowa sprawdzała ekwipunek w koniowo-zie. Sprzęt do czyszczenia, siodła do dresażu, siodła do skoków, strzemiona, wytoki, hacele, zapasowe popręgi i wodze, w razie gdyby coś miało pęknąć, olej do kopyt, tłuszcz do nacierania końskich nóg, żeby prześlizgiwały się nad każdą poprzeczką, którą niechcący musną, derki, karma, wiadra na wodę i czapraki... Lista ciągnęła się długo, a kończyła kilkoma sporymi torbami Jelly Babies, gdyby ktoś potrzebował zastrzyku cukru. Jeźdźcy dzielili się na tych, których przy życiu utrzymują żelki Haribo, i tych, którzy wolą markę Jelly Babies. Bramble zaliczała się do tych drugich. Rzeczy do spania i kuchenne zapasy - mnóstwo makaronu i sosu w słoikach, paczki herbatników i torby owoców - też zostały zapakowane. Konie dały się już wprowadzić do koniowozu, nawet Frenchie, który potrafił sprawiać kłopoty.

Tylko Kudłata stawiała opór. I to, na dobrą sprawę, wszystkimi czterema kopytami, którymi twardo zaryła się w ziemię przed rampą. Bramble łagodnie pociągnęła za kantar, Kudłata wyciągnęła szyję, która zrobiła się nagle bardzo długa, ale nie drgnęła.

Spróbowano przekupstwa, ale klaczka spoglądała na smakołyki z pogardą. Bramble odprowadziła ją na bok, a potem ponownie podeszły do rampy, modelowo, w stylu psychologii odwrotnej Monty'ego Robertsa. Kudłata pozwoliła się odprowadzić, a potem zawrócić. Do pewnego miejsca, gdzie znów zaryła kopytami.

- Ja mam dresaż o czwartej, a Jez o piątej - powiedziała niespokojnie Savannah.

- Wiem, wiem. - Przy wypełnianiu formularza zgłoszeniowego Bramble zaznaczyła opcję, według której Savannah i Jez mieli odbyć próbę ujeżdżenia po południu w dniu przyjazdu, bo uznała, że to pozwoli im na więcej luzu w dzień główny imprezy. Pożałowała, że to zrobiła.

Kudłata uniosła jedną z przednich nóg, a Bramble wyszeptała zachęcająco:

- Grzeczna dziewczynka. No chodźże już wreszcie!

Kopyto zawisło przez chwilę nad skrajem rampy i zaczęło się powoli obniżać. Wszyscy wstrzymali oddech. Kudłata postawiła kopyto dokładnie w tym samym miejscu, z którego je uniosła. Bramble potężnie kusilo, żeby trzepnąć ją w ten irytująco nieruchomy zad, ale gdy kiedyś raz tego spróbowała, klacz stanęła dęba z głośnym rzeniem. Pół tony rozwścieczonego konia na tak niewielkiej przestrzeni nie jest dobrym pomysłem.

Eddie i Jez wzięli linkę i przeciągnęli ją za zadnimi nogami klaczy, usiłując posunąć ją naprzód zwyczajnie, siłą.

- Raz, dwa, trzy... Ciągnij!

Kudłata zrobiła nieco urażoną minę, ale nie drgnęła.

- Sterczymy tu już od czterdziestu minut - powiedziała Savannah.

Bramble zniecka dopadła panika. Czyżby Kudłata wiedziała, że nie powinni jechać do Mulberry? Nie, myśl była idiotyczna. Klacz już wcześniej potrafiła sprawiać kłopoty przy załadunku, chociaż nigdy aż tak duże.

Jez wyjął z ręki Bramble linkę uwiązania, pociągnął, a Kudłata bez protestu natychmiast pomaszerowała za nim po rampie.

- I co? - odezwał się triumfalnie, po czym omal nie został zwalony z nóg, bo klacz obróciła się szybkim ruchem i zbiegła w dół.

- I co jeszcze...? - mruknął, otrzepując się z irytacją, a Kudłata zastrzygła w jego stronę jednym uchem. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Słyszę, co do mnie mówisz, ale nie mam zamiaru zwracać na to uwagi”. Stała tuż przy rampie, całą sobą demonstrując nieprzejednanie.

- Może powinniśmy wyprowadzić tamte i zobaczyć, czy nie da się wprowadzić jako pierwsza? - podsunęła Savannah.

Na dziedziniec wypadła biegiem wymachująca telefonem Helena.

- Właśnie zadzwoniła do mnie Caroline! Producenci „Drogi Simona” dostali miliony telefonów od widzów! Jutrzejszy finał sezonu będzie miał rekordową oglądalność! A przynajmniej, tak przewidują. Wróćcie na czas, prawda? - Błyszczwały jej oczy.

Kudłata wykorzystała moment nieuwagi, żeby nieco się wycofać.

Trzeba było wyprowadzić z koniowozu pozostałe konie, teraz już zdenerwowane, i zacząć oprowadzać je po dziedzińcu stajni. Kudłata zajrzała do wnętrza pojazdu, wyciągając szyję tak, jakby chciała dać do zrozumienia, że ewentualnie może się jednak zastanowić nad wejściem do środka.

Ale nie tak od razu.

Bramble pomachała ręką do Heleny, mając nadzieję, że to wystarczająca reakcja na jej wiadomości, ale Helena

nie przestawała kręcić się w pobliżu, najwyraźniej nie mogąc się doczekać, aż opowie o wszystkim ze szczegółami.

Jez owinął pysk Kudłatej linką, żeby zyskać nad klaczą nieco więcej kontroli, i zaczął powoli to cofać ją nieco, to ciągnąć naprzód... To cofać, to ciągnąć.

Aż wreszcie, z głośnym westchnieniem, klacz dała wyraz znudzeniu całą zabawą, a potem ostrożnie - i upiornie powoli - weszła po rampie, pozwoliła się przywiązać i została zaopatrzona w siatkę z sianem. Jej aksamitny pysk, przyozdobiony gwałtownie znikającymi źdźbłami, pojawił się ponad ścianką działową z miną: „No i dlaczego się tak ociągacie?”.

- Oczywiście - zawołała Helena - może się tak zdarzyć, że nie dostanę wystarczającej liczby głosów. Chociaż publiczność była nastawiona raczej przychylnie... Może myślą, że jestem...
- umilkła, nie chcąc obnażać się przed rodziną. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że brak jej pewności siebie.

- Jestem pewna, że głosowali na ciebie - powiedziała Bramble.

- Ja głosowałam - dodała Savannah, której znacznie ulżyło, kiedy Kudłata znalazła się wreszcie na pokładzie koniowozu.

Korowody zajęły im godzinę i dwadzieścia minut. Bramble pędem ruszyła w stronę szoferki, ale ubiegł ją Jez. Wskoczył pierwszy i zaczął poprawiać lusterka. Zawahała się.

Zaskakiwał ją nieustająco tym swoim założeniem, że to on będzie prowadził. Choć, prawdę mówiąc, był nieco

lepszym kierowcą. Patrząc, jak silnym, niespiesznym ruchem kręci kierownicą i jak swobodnie manewruje wielką ciężarówką, Bramble wiedziała, że czekające ich trzy godziny jazdy to dla niego błahostka. Była absolutnie przekonana, że sama też bezpiecznie dowiozłaby całe towarzystwo na miejsce przeznaczenia, ale siedziałaby wtedy w fotelu kierowcy jak na szpilkach, wyglądając możliwych problemów, a pod koniec podróży odczuwałaby zmęczenie napiętych mięśni ramion i karku... Nie, nie zamierzała się upierać.

Tylko nie cierpiała sposobu w jaki Jez, typowo po męsku, zakładał, że wszystko umie zrobić lepiej.

- Wróćcie jutro na czas, żeby ze mną obejrzeć serial, prawda?
- Helena pożegnała ich machaniem ręki.

32.

Zanim dojechali do Mulberry Hill, nerwy Savannah były w strzępach. Oddałyby wszystko na świecie, żeby móc już stamtąd wracać.

- Jeździec jest do niczego, jeśli choć trochę się nie denerwuje - powiedział Jez, zerkając na jej bladą buzię i sprawdzając popręg Kudłatej.

- Ja się denerwuję za bardzo.

- Że spadniesz?

- Niekoniecznie. - Savannah próbowała ująć emocje w słowa.

- Po prostu dresaż wyprowadza mnie z równowagi. Mam wrażenie, że to coś poza moją kontrolą. Jak mi się trafi sędzia, któremu się nie spodobam, to w życiu nie osiągnę dobrego wyniku.

Twarz Jeza rozjaśniła się w zaskakującym uśmiechu.

- Jeśli zachowasz spokój, to nie ma takiego sędziego, który by cię nie polubił. A teraz ruszaj. Wiesz przecież, że ujeżdżenie to podstawa pracy z koniem.

Savannah pojechała w stronę rozprężalni, a Bramble i Jez nieśpiesznie udali się za nią. Patrzyli, jak objeżdża

Kudłata po kole, ćwicząc co trudniejsze kroki, aż Jez przerwał tę zabawę.

- Nie przesadź z ćwiczeniami - doradził. - Ryzykujesz, że przed próbą tylko wzmocnisz jej złe nawyki.

Wyczuwając, że klacz pod nią zaczyna się spinać, Savannah jeszcze raz objechała dokoła rozprężalnię wyciągniętym, swobodnym, elastycznym kłusem, a potem, . na gwizdek sędziego, ruszyła prosto na arenę dresażu.

- Dzielna dziewczyna - powiedział Jez.

Bramble patrzyła uważnie, jak Kudłata pod Savannah zdaje się unosić nad czworobokiem.

- Nie ma wątpliwości - powiedziała - że zrobiły ogromne postępy. Pod twoim kierunkiem - dodała z pewnym wysiłkiem, lecz tak właśnie wyglądała prawda.

- Jeszcze masa roboty przed nimi - mruknął Jez, a Kudłata machnęła ogonem i zatrzęsa łbem z irytacją, zmuszona do pierwszego przystąpienia naprzeciwko sędziów.

Patrzyli z napięciem - Bramble ledwie ośmielała się oddychać - jak Savannah i Kudłata zataczają kilka pięknych, płynnych okrążeń i serpentyn w kłusie i krótkim galopie, a potem robią jakiś niemądry błąd.

- Trochę za późno przeszła w stępa - powiedział Jez. - To im się nie spodoba.

Para zwolniła, a Savannah poluzowała wodze. Kudłata wyciągnęła szyję i szła stępa swobodnym krokiem.

- Dobrze - mruknęła Bramble, czując, jak opuszcza ją napięcie. - To wyglądało całkiem przyjemnie.

Savannah sprawnie podebrała klaczy wodze i przeszła do kilku ostatnich elementów, na koniec zatrzymując się przed sędziami do ukłonu.

- Wcale nie było tak źle - przyznał Jez. - Ładna próba. Nie idealna, ale...

- Nigdy nie jest idealnie - westchnęła Bramble. - To cały problem z ujeżdżeniem.

Tego wieczoru, po próbie dresażu Jeza na Frenchiem, dobrym wstępie do udanego startu w zawodach i korzystnej sprzedaży konia (za co wszyscy trzymali kciuki), obeszlili razem trasę crossu.

Okolica należała do pasma zielonych wzgórz otaczających Londyn hrabstw; od setek lat stanowiły obszary uprawne, podzielone na schludne pola grodzone żywopłotami i parkanami, z rozsianymi gdzieś tam ciemnymi kępami starodrzewu. Wrześniowe powietrze było wilgotne i ciepłe, a liście zaczynały powoli przybierać jesienne barwy czerwieni, złota i intensywnej pomarańczy.

Posiadłość Mulberry Hill górowała nad okolicą, wzniesiona przez jakiegoś wiktoriańskiego magnata, który najwyraźniej chciał pochwalić się bogactwem. Ze swoimi wieżyczkami i zwieńczeniami stanowiła imponujące, jeśli nie skończenie piękne, tło.

W konkurencji Eddiego było siedemnaście przeszkód, ale pozostali, jadący później, mieli do pokonania dwadzieścia dwie. Bramble przystawała przy każdej i mierzyła jej wysokość, porównując z własnym wzrostem, rozmyślając, jak zawsze, w jaki sposób podchodziłaby do każdej z nich. Wdychała cudownie rześki zapach brzozy i sosny, a potem z nagłym uderzeniem serca przypomniała sobie, że teraz jest trenerką, nie jeźdźcem. Może jednak powinna spróbować na Kudłatej? Nie,

Savannah miała pierwszeństwo. To jej córka miała przed sobą przyszłość.

- Ta wygląda na trudniejszą, niż naprawdę jest - odezwała się do Eddiego na temat pary płotów, przed którymi znajdował się rów. - Widzisz? Projektant celowo umieścił wodę przed przeszkodą, żeby ta wydawała się wyższa. - Dotknęła ramienia chłopaka. - My to nazywamy straszakiem na jeźdźców, ale koń doskonale potrafi to oszacować. Konie nie próbują wyobrazić sobie najgorszego, w przeciwieństwie do ludzi.

Eddie pokiwał głową, ale Bramble miała wrażenie, że chłopak się denerwuje.

- Obecnie zasady wyraźnie określają, że musisz pokonać przeszkodę wierzchem, a nie dołem - dodała, żeby go rozśmieszyć. - Od czasu, kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym pewnemu jeźdźcowi udało się wraz z koniem zejść do rowu i prześlizgnąć pod spodem.

Jez wdrapał się na wał i przywołał do siebie pozostałych.

- Popatrzcie - powiedział. - Będziecie musieli wspiąć się na ten nasyp i zjechać z niego, nie do końca mając pojęcie, w którym miejscu koń wyląduje na dole, dopóki się tam rzeczywiście nie znajdzie. A potem od razu musicie go spiąć do skoku w tej wąskiej przestrzeni. Będziecie musieli podjąć natychmiastową decyzję, czy zrobić tu jeden krok, czy dwa, a jeśli się pomylicie, koń wyłamie.

Eddie i Savannah z poważnymi minami zaczęli odmierzać krokami przestrzeń pomiędzy wałem a przeszkodą.

Trasa nie jest specjalnie wymagająca dla doświadczonych jeźdźców, takich jak Savannah czy Jez, pomyślała Bramble, a w miejscach, gdzie przeszkody są trudniejsze, Eddie ma do dyspozycji łatwiejszą alternatywę. Nie ma się czym martwić. W ogóle nie ma powodu do niepokoju, tłumaczyła sobie.

Zanim skończyli obchód trasy, na białej tablicy przed namiotem sekretarza zawodów wywieszono wyniki dre-sażu.

- Jez, na razie prowadzisz - powiedziała Bramble z napięciem w głosie. Doskonale wiedziała, jak szybko kończą się takie chwilowe triumfy, a wynik obsuwa w dół, miejsce po miejscu, jeśli inni jeźdźcy ujeżdżają lepiej.

Wzruszył ramionami.

- Na razie. Ale i Savannah ma bardzo ładny wynik, a w jej grupie już wszyscy są po teście. No mała, na razie jesteś trzecia, więc jutro masz o co walczyć!

Lottie zaprosiła Savannah i Eddiego na wieczór i nocowanie w wielkim koniowozie Toby'ego.

- Mamy tam telewizję Sky i kino domowe - powiedziała - a jego kolekcja filmów na DVD jest wprost niesamowita.

Bramble ugotowała dla wszystkich kolację w koniowozie Lorenden.

- Potrzebne ci są węglowodany złożone, bo to one dają wytrzymałość - doradził Jez, zerkając na talerz Savannah. - Dawno minęły dni, kiedy startujący jeźdźcy żyli wyłącznie kawą, czekoladą i nerwami. Dziś wszyscy jesteśmy zawodowcami.

Savannah, jak zwykle, podzieliła swoją porcję makaronu z sosem na cztery części i trzy czwarte udało jej się wyrzucić albo dać psom. Na koniec zjadła pół jabłka, a podczas gdy pozostali gadali, śmiali się i pogryzali ser, ona dokładnie sprzątnęła kuchenkę, przecierając na mokro malutki blat i wynosząc torbę ze śmieciami, żeby się nikt nie zorientował, gdzie wylądowała większość jej posiłku. Gdyby mogła zrezygnować z zaproszenia Lottie, zrobiłaby to z przyjemnością, bo u Lottie na pewno będą fistaszki albo chipsy, albo przyjaciółka zmusi ją do zjedzenia kawałka urodzinowego tortu któregoś ze stajennych, albo wciśnie szklankę wysokokalorycznego soku owocowego czy kubek kakao. Ale Bramble uparła się, że córka ma iść.

- Raz, dla odmiany, naciesz się luksusowym materacem!

Czegoś tak zbytkownego jak koniowóz Fitzroya Savannah faktycznie jeszcze nie widziała. Razem z Eddiem wdrapali się śladem Lottie do wyłożonego beżową skórą wnętrza.

-Orany...

- Tylko popatrzcie. - Lottie zaczęła się bawić włącznikami. - Jasne światła, seksowne światła. - Rozłożyła kanapę i pokazała im kryjące się za nią pośłania. - To będzie twoje spanie. Tu Eddiego. Hannah sypia tam... - Otworzyła drzwi do małej kabinki z piętrowym łóżkiem. - A tu... - Nacisnęła jakiś guzik i burta koniowozu wysunęła się do zewnątrz, tworząc kolejne podwójne leże. - Ta-dam! Moje spanie! - Wskoczyła na pośłanie

i podwinęła nogi pod siebie. - Moim zdaniem, to tutaj Toby i moja matka... - Znacząco zawiesiła głos. -Oni...?

Lottie zmarszczyła noseć.

- Chyba kiepsko to idzie. Mamusia jest w fatalnym humorze, głównie przeze mnie. Bo w ogóle nie wygrywam.

- Ależ wygrywasz! - zaprotestowała Savannah lojalnie, chociaż wiedziała, że Lottie ma za sobą fatalny sezon.

Lottie pokręciła głową.

- Nie udało mi się zakwalifikować do żadnych regionalnych zawodów ligi juniorów. Mamusia była tak wściekła, że kazała Hannah zabrać mnie na zawody poza rejonem, gdzieś w Lincolnshire czy gdzieś, a kiedy zajęłam tam trzecie miejsce, zadzwoniła do selekcjonera południowo-wschodniej reprezentacji i powiedziała... - Tu Lottie zaczęła naśladować głos matki: - „Lottie odniosła wielki sukces w Lincolnshire, więc może jednak rozważyłby pan jej zgłoszenie do zawodów ogólnokrajowych?”.

- Nie! - zawołała Savannah. - Ale żenada! I co on na to?

Lottie wzruszyła ramionami.

- No cóż. Mamusia dowiedziała się, że ekipa jest już skompletowana. I oczywiście wściekła się na Hannah za to, że nie powiedziała nam tego przed wyjazdem do Lincolnshire.

- A była zamknięta? - spytała Savannah.

- Nie sądzę - odparła Lottie rzeczowo. - Znaczy,

rozumiesz, musisz zająć przynajmniej dwukrotnie pierwsze, drugie lub trzecie miejsce w lidze regionalnej... A nawet wtedy wszyscy muszą w ciebie wierzyć, zanim w ogóle rozważą zaproszenie cię do ligi ogólnokrajowej. Akurat mnie tam zechcą! Ciamajdę, która cały czas zajmuje ostatnie miejsca.

- Ale przecież wcale nie ostatnie? Widziałam, jak zaliczyłaś parę naprawdę niezłych wyników w dresażu.

- No cóż, równie dobrze mogłabym być ostatnia - powiedziała Lottie. - Teraz już oficjalnie jestem beznadziejnym jeźdźcem. Według mojej matki.

- Przecież to nieprawda! Ona się na tym wcale nie zna.

- A wiesz co? Mamusia dwa razy w tygodniu przysyła po mnie do szkoły samochód, żebym mogła brać dodatkowe lekcje jazdy. Zaliczałyśmy dni treningowe praktycznie u wszystkich uznanych szkoleniowców w kraju.

- Co takiego? Cały dzień prywatnych lekcji tylko dla ciebie? Niesamowite. - Savannah spojrzała na przyjaciółkę. - Dlaczego to nie działa?

- Bo ja się trochę boję Vincenta - wyznała Lottie. - Na ujeżdżalni jest w porządku, na lekcji też i tak dalej, i sporo się nauczyłam. Robię postępy. Ale podczas crossu on mnie śmiertelnie przeraża. Przejmuje kontrolę na wędzidle i leci przed siebie, a ja nic nie mogę zrobić! Zupełnie jakbym próbowała ujeżdżać rakiety! Regularnie albo mnie zrzuca, albo rozwała przeszkodę, albo odmawia skoku.

- Wyjaśniłaś to matce? - zmartwiła się Savannah. To było zupełnie nie w stylu jej przyjaciółki.

Lottie tylko pokiwała głową, a jej oczy napełniły się łzami.

- Ona mówi, że po prostu się wygłupiam i że to naprawdę drogi koń, i o wiele lepszy od Sailora. I że Toby jest naprawdę lepiej znanym jeźdźcem niż twoja matka czy Jez, i że ma wprost niesamowite stajnie, więc na pewno wie, co jest dla mnie najlepsze. Więc to wszystko na pewno moja wina, bo się nie staram.

- Vincent to koń dla mężczyzny - oświadczył zniechęcony Eddie. Do tej pory przerzucał DVD i sprawiał wrażenie, że nie słucha. - On jest dla ciebie za silny. Przywykł, że ściskają go żelazne uda Toby'ego i że niesie na grzbiecie jego zwaliste cielsko. Jesteś dobrym jeźdźcem, ale Vincent ma respekt wyłącznie przed ciężarem i siłą.

- No cóż, owszem - zaśmiała się Lottie. - Mamusia też szanuje wyłącznie ciężar i siłę. I stalowe uda Toby'ego.

Próbowali skoncentrować się na jakimś filmie, ale zmęczona Lottie przysnęła. Savannah skuliła się pod kołdrą z pluszowym misiem, wciąż od nowa robiąc w myślach przegląd crossowych przeszkód, wyznaczając liczbę kroków, zapadając w niespokojny sen, z którego co i rusz wyrывał ją ból głowy. Jutrzejszy dzień był zbyt ważny, żeby go schrzanić!, Jeśli miała zakwalifikować się do finałów w Weston Park, musiała znaleźć się na podium. Selekcyjnerzy preferowali konsekwencję, a nie nagłe eksplozje talentu.

Dziś rano, podczas pakowania, trafiła przypadkiem na malutkiego misia, którego wiele lat temu na kiermaszu wygrał dla niej ojciec. Jedyna rzecz, którą wyraźnie

pamiętała jako podarunek od niego... Pod wpływem impulsu wrzuciła maskotkę do torby. Może gdyby ojciec nie zginął, wszystko potoczyłoby się inaczej? Może by tak nie utyla?

Bramble ocknęła się w środku nocy i w żaden sposób nie mogła już zasnąć. Zsunęła się więc ze swojego materaca nad kabiną szoferki, jak umiała najciszej, i poszła po butelkę wody. Jez spał na rozsuwanej kanapie; słyszała jego regularny oddech. Oświetlona księżycem męska twarz znalazła się o zaledwie parę cali od jej twarzy. Kilka urwisowatych kosmyków ciemnych włosów przydawało jego surowej fryzurze buntowniczego wyglądu.

Obserwowanie Jeza dziwnie ją uspokajało. Nie czuła się już tak strasznie samotna. Znienacka otworzył oczy.

- Nie możesz spać?

Popatrzyli po sobie z nagłym porozumieniem i Bramble poczuła, że może z nim być całkowicie uczciwa.

- Zdarzają ci się czasem złe przeczucia? - spytała powoli. - Zdarza ci się budzić z myślą, że stanie się coś strasznego?

Jez wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Chodź tu.

- Tego dnia, kiedy umarł mój ojciec, miałam wrażenie, że zobaczyłam zło. - Słowa zawisły w mroku. Przycupnięcie na kanapie Jeza, a potem położenie się obok niego i przytulenie okazały się naturalne i łatwe. - To samo uczucie mam teraz.

Leżeli tak i rozmawiali, a światło księżyca zaglądało pod krzakiaste zasłonki. Jez opowiedział jej o swojej rodzinie. Tatarów wypędziły z Krymu stalinowskie czystki, jego matki omal nie zesłano do łagru, ale ojciec, oficer brytyjskiej kawalerii, jakimś cudem zdołał ją ocalić.

- Moi rodzice byli oboje tacy młodzi... Matka miała zaledwie osiemnaście lat. I kochali się tak zachłannie, że nie chcieli mieć przy sobie nikogo, nawet własnych dzieci. Ja się pojawiłem w ostatniej chwili, wiele lat później, wywołując w nich pewnego rodzaju szok, jak mi się zdaje. Chociaż matka była wspaniała. Najlepsza, jaką można sobie wymarzyć.

- Jakie to romantyczne! - powiedziała Bramble. - A ojciec?

- Na wojnie był bohaterem - powiedział Jez. - Ale...

- Jak romantycznie! - powtórzyła Bramble. - Prawdziwy bohater!

- Tak - zgodził się Jez. - Ale w czasach pokoju stracił wszystko przez hazard i umarł, zostawiając matkę w nędzy.

- Ryzykant. Tacy ludzie kończą się z końcem wojen...

- Mógł jeździć.

- ...ale zawsze gdzieś toczy się jakaś wojna - dopowiedziała Bramble. - Może dlatego Felicity... - Nagle usiadła. - Jez, ja z natury nie jestem ryzykantką, prawda?

Widziała w świetle księżyca jego blade, wilcze oczy.

- Moim zdaniem... Nie jest rzeczą naturalną, aby klacze - czy kobiety - oddalały się od stada i narażały na niebezpieczeństwo. A tym właśnie jest konkurs konia wierzchowego.

- Ale klacz... Albo... Może to zrobić. Potrafi to.
- Tak - odparł. - Tyle że nie jest im łatwo.
- Tego wieczoru, kiedy przyjechałeś... - powiedziała, ogarnięta nagłą myślą. - Zdawało mi się, że wyglądasz jak wilk. Zastukałeś do moich drzwi jak postać z niesamowitej opowieści.

- Wilk to nasz symbol. - Głos miał jak pieszczota bajarza. - Kilka tysięcy lat temu Chińczycy walczyli z Tatarami i niemal całkowicie zmiotli nas z powierzchni ziemi. Wybili nas do nogi, żeby jednak okazać swoją pogardę, zostawili na polu bitwy żywe niemowlę. Dziecko znalazły wilki i wychowały jak własne, a z czasem znalazły mu wilczycę jako partnerkę... Potomstwo z tego związku to przodkowie współczesnych Tatarów.

Ukojona legendą, jej pradawną mocą niesienia pociechy i łagodzenia lęków, Bramble zaczęła odpływać w sen.

- Powiedz mi - odezwał się Jez. - Bo często się zastanawiam. .. Dlaczego nikt nigdy nie wspomina o twojej matce?

Bramble zamrugła i uchyliła powieki.

- Umarła, kiedy byłyśmy z Heleną całkiem małe. Słabo ją pamiętamy i dlatego o niej nie rozmawiamy. Znała ją tylko Felicity, a ona do tej pory była zwykle z dala od domu... Ale i ja mam do ciebie pytanie - dodała, zanim pochłonęła ją kompletna ciemność. - Co się zdarzyło u Penny Luckham?

- Sprawy poszły nie tak - odparł Jez. - A teraz śpij. Zasnęła.

Próbie dresażu Eddiego, konkurs skoków i cross wyznaczono na następny dzień. Bramble obudziła się przy

dźwiękach deszczu bębniącego o dach koniowozu i zobaczyła zarys ramion Jeza. Czuła ciepło jego ciała tuż przy swoim. Leżała bez ruchu. Odwrócił się i spojrzał.

- Jak prognoza pogody?

- Nie za dobrze - odszepnęła.

Przywykła wprawdzie do wymuszonej intymności w przestrzeni koniowozu, ale mimo to nagle poczuła, że nie ma tu dość miejsca ani powietrza dla nich obojga. Jez sypiał w bokserkach. Jego szczupłe, silne, dobrze umięśnione ciało zdawało się... No cóż, za blisko.

To nie będzie łatwe, pomyślała Bramble. Przecież spędziłam z nim noc. Nie zaszło między nami nic seksualnego - absolutnie nic - ale i tak nie będę mogła powiedzieć o tym Natowi. Nigdy by mi nie uwierzył.

Nie chciała mieć sekretów przed mężczyzną, za którego zamierzała wyjść za mąż.

Jez spojrzał, jakby czytał w jej myślach; ich oczy się spotkały. Co on widzi, kiedy tak się na mnie gapi?, zastanawiała się Bramble. I doszła do wniosku, że już parę miesięcy temu powinna była podciąć włosy, które teraz prawdopodobnie stały jej dęba na głowie, poskręcane w ciasne loczki.

- Lubię, kiedy masz dłuższe włosy... - przerwał milczenie. - Wyglądasz jak Cyganka albo tancerka flamenco. Są takie dzikie i pełne życia. - Ujął pojedynczy lok i owinął go sobie wokół palca. - Kiedy przyjechałem, wyglądałaś w swojej króciutkiej fryzurze jak chłopiec z kościelnego chóru.

Zdawało się, że powietrze zamarło zupełnie. Bramble znów usłyszała deszcz, miękko wygrywający ponad ich

głowami jakiś rytm. Lok powoli wysuwał się spomiędzy palców Jeza.

Rumieniąc się, zeszła z kanapy i wspięła się w mrok pośłania nad kabiną kierowcy, szukając jakiejś opaski, którą mogłaby przewiązać zbuntowaną czuprynę. Kryjąc się pod kołdrą, wcisnęła się w dżinsy i ponownie zeszła do części mieszkalnej. Zajęła się pośłaniami i sprawianiem wrażenia osoby rzeczowej.

- Tak... No cóż, muszę je obciąć. Herbaty? Kawy? Włożył dżinsy, a potem wsunął przez głowę koszulkę polo.

- Nie rób tego - powiedział cicho. Udała, że go nie słyszy.

Helena obudziła się późno. Pędem zbiegła na dół, w biegu zerkając przez okno w holu na sady poza Lorenden. Drzewa spowijała mgła, nieśpiesznie podążająca w stronę domu, sprawiająca wrażenie, że sięga jej serca, które przydusiła pajęczymi sieciami zimnego, wilgotnego jedwabiu. Przez moment Helena poczuła prawdziwy, skręcający wnętrzości strach, ale otrząsnęła się szybko. Dziś wieczorem finał „Drogi Simona”. Głosowanie zakończono. Jej los został przypieczętowany.

Ollie, z mizerną miną i zmatowiałymi włosami, wbijał w kuchni wzrok w kubek z czarną kawą.

- Wyglądasz okropnie - powiedziała.

- Co za współczująca, kochająca żona! - uśmiechnął się do niej szyderczo. - Bardzo źle spałem. Martwię się.

- Pewnie nie mogłeś spać, bo za dużo wypiełeś.

Nie, już nic więcej nie powiem, postanowiła Helena i napełniła wodą czajnik. Wyjrzała przez okno, jakby i tam szukała otuchy.

Ollie popatrzył na nią gniewnie i zapalił papierosa. Jego dłoń drżała lekko; nadgarstki miał boleśnie wychudzone. On jest w rozsypce, pomyślała Helena. Kompletnie się załamał.

- Zamierzasz jechać w taką pogodę? - Zaciągnął się mocno. - Czasami mnie zdumiewasz. Ryzykować życie, żeby popatrzeć, jak twój ukochany synuś skacze przez jakiś płot! Zastanów się, Heleno. Zastanów.

- To zwykle letnie zamglenie, zaraz się rozwieje. A ja muszę zobaczyć Eddiego - powiedziała Helena, czując, że znów dopada ją ten irracjonalny poranny lęk. - Muszę tam dojechać na konkurs skoków i na cross. Żeby mu pokazać, że go wspieram.

- Wcale nie musisz. On zrozumie. Przecież widzi, jak jest.

Helena piła kawę wielkimi łykami. Będę jechała bardzo ostrożnie. Żadnego pośpiechu.

- Tylko nie miej do mnie pretensji, jak się zabijesz - powiedział Ollie. - Cholerna idiotka. Ale ty tylko Ed-diem się przejmujesz, prawda? A co z Ruby i Roly? Nie wspominając o ukochanym mężu? Nie przyszło ci do głowy, że ja się mogę o ciebie martwić? Że nie jest mi obojętne, czy coś ci się stanie?

- Mój ukochany mąż - syknęła Helena - to moczy-morda. Co sprawia, że muszę się wszystkim zajmować. Ja nie zaniedbuję ani Ruby, ani Roly'ego, i ty najlepiej wiesz, że tak nie jest. Ale od czasu do czasu potrzebuję

niecو twojego wsparcia. Dzisiaj zostawiam dzieci z tobą. Nie upij się, nigdzie ich nie włócz samochodem i nie pozwól im się zgubić. O nic więcej nie proszę.

- Powinienem sobie jakoś poradzić - odparł, wdychając nosem pasmo dymu wypuszczonego ustami. Helena z irytacją odpędziła papierosową mgłę machaniem ręki.

-1 masz nie palić w domu! - dodała.

Garbiła się za kierownicą swojego niewielkiego samochodu, szukając we mgle punktów orientacyjnych, i zastanawiała się, czy pozostawione z Olliem bliźniaki są faktycznie bezpieczne. Czy ona je zaniedbuje? A jego? Czy on naprawdę się o nią troszczy? Była tak wściekła z powodu długów, że od miesiący ledwie raczyła zamienić z nim jakieś grzeczniejsze słowo. Czy postępowała właściwie? Może powinna postarać się o większą wyrozumiałość? W tej całej mgle omal nie przegapiła wjazdu na A2, a na przelotówce wyrósł zaraz za nią jakiś wielki czarny samochód. O wiele za szybko. Serce Heleny zabiło szybciej, zaschło jej w ustach. Dojedzie na tę jednodniową końską imprezę albo szlag ją po drodze trafi!

Nie, nie chciała tak pomyśleć. To tylko taki durny bon mot. Denerwuje się po prostu finałem „Drogi Simona”.

W Mulberry Hill konie stały rzędami w prowizorycznych boksach krytych namiotowym płótnem. Ziemia wokół namiękała i zamieniała się w błoto, nieustannie mielona pod naciskiem kopyt i ludzkich stóp, a sytuację pogarszał jeszcze ciekący główny kran. Bramble, ślizgając się, dotarła do boksu Dolara i Kudłatej z błockiem na twarzy, rozbryzgiwanym przez wyprowadzane konie i obsługę stajni. Żeby

oszczędzić kremowe bryczesy zawodników, zaprowadziła konie z powrotem do koniowozu, zamierzając osiodłać je pod dachem, gdzie było relatywnie sucho.

- Co sądzisz o tej trasie? - zapytała Jeza, który znów wszedł do środka z Savannah i Eddiem, wyjaśniając im, jak powinni podchodzić do każdego skoku.

- Jest w porządku - powiedział. - Zadbano o tor jak trzeba, zwłaszcza w miejscach tuż przed i tuż za przeszkodami. - Spojrzał jej w oczy. Rozmowa, tłumaczyła sobie Bramble, tknięta wspomnieniem nocy, rozmowa jest w porządku. Rozmowa to nic niepokojącego.

- Powinno być nieźle - dodał. - O ile pogoda się nie pogorszy. Moglibyśmy sobie życzyć nieco lepszych warunków dla Eddiego, bo on niewiele trenował w porównaniu z Savannah, ale...

Oboje popatrzyli w niebo. Mżawka przylepiła im włosy do czaszek.

- Gdzie są moje crossowe rękawiczki? - wykrzyknęła Savannah. -1 moja opaska na kartę medyczną? Cholerny deszcz!

Wspięła się na siedzenie kierowcy, wykorzystując lusterko wsteczne, żeby zawiązać halsztuk. Ze zdenerwowania trzęsły się jej palce. Słodki i ostry zarazem zapach odżywki do grzyw i ogonów, z jego przenikliwą cytrusową nutą, mieszał się z zapachem trawy, zmokniętych koni i niecierpliwego wyczekiwania.

Bramble odetchnęła głęboko, wyczuwając u córki przedstartową gorączkę.

- Najpierw robisz konkurs skoków - powiedziała. - Rękawiczek możesz poszukać potem.

Deszcz ustał na trochę i choć cały czas nad nimi wisiał, dał sobie chwilę oddechu przed nadejściem jeszcze cięższych chmur. Bramble wytrwale pracowała z Eddiem i Savannah, obserwując uważnie każdy ich ruch przy ćwiczeniu skoków, jednak kiedy Savannah została wywołana na parkur, serce podeszło jej do gardła.

Kudłata wgalopowała na parkur na pewniaka. Bramble złapała się na tym, że z nerwów ściska Jeza za ramię.

- Piękna - mruknął Tez pod nosem. - Piękna!

Przyglądali się z uwagą, ale Bramble nie opuszczało irracjonalne przeczucie klęski. Zdawało się jej, że z początku Savannah ma lekkie kłopoty z utrzymaniem równowagi, że nieco zbyt szybko podchodzi do pierwszego skoku. Wszystko będzie dobrze, tłumaczyła sobie w duchu.

Jej córka wzięła przeszkodę czysto.

- Boże, ale miała szczęście! - westchnęła Bramble. Savannah skupiła się, zaczęła bardziej stanowczo

kontrolować Kudłatą i uważnie pokonywała kolejne przeszkody toru, równym rytmem, przy jednej nieco poruszając drążek, a przy innej biorąc nieco zbyt daleki naskok, ale zaliczyła obie.

Bramble z ulgi aż przygarbiła ramiona.

- Dobra robota - powiedziała, przejmując wodze Kudłatej. Zostały jeszcze, by obejrzeć przejazd Lottie, która też zaliczyła parkur bez zrzutek.

- Chyba zaczyna się jej wreszcie układać... - powiedziała Bramble.

- Lottie mnóstwo się nauczyła - stwierdziła Hannah, stajenna Toby'ego, pojawiając się tuż obok. - Chociaż

z początku więcej spadała, niż jeździła. - W jej głosie pojawiła się nutka dezaprobaty. - Ale ta jej matka... Wyznacza jej cele niemożliwe do osiągnięcia, moim zdaniem.

- Dopięła zamek kurtki, chroniąc się przed wiatrem. - Te dodatkowe lekcje chyba się opłaciły. Ciężko dziewczyna pracowała. Naprawdę ciężko.

Przejazd Eddiego, nieco późniejszy, był bardziej nerwowy. Po wjeździe na parkur Dolar stawiał się od pierwszej chwili, dramatycznie łypiąc oczami w stronę namiotu sędziego. Bramble przypatrywała się uważnie im obu, myśląc, że połączenie stosunkowo zielonego konia z niedoświadczonym jeźdźcem nie może dać dobrych efektów. Z drugiej jednak strony, w normalnych warunkach Eddie jak najbardziej dawał sobie radę z Dolarem, a tu nadarzała się doskonała okazja do nauki. Skrzywiła się, kiedy Eddie spinał konia przed pierwszymi trzema przeszkodami.

- O wiele za szybko - wymruczała pod nosem. Krzywiła się także na grzechot spadających poprze-

I czek. Eddie, jakby ją usłyszał, zebrał się w sobie i do-kończył przejazd w miarę porządnie, chociaż na triplu I miał jeszcze jedną zrzutkę.

- Nie najgorzej - oświadczyła miłosiernie Savannah.

- Dwanaście punktów karnych. To przecież jego pierwszy raz.

- Hm... - Bramble zawiesiła głos. - Chciałabym zobaczyć, jak przejeżdża ten parkur wolniej.

Deszcz znów się rozpadał, a kłujący Bramble niepokój przerodził się w panikę. Rozejrzała się, szukając

wzrokiem Jeza, a potem, kierowana nagłym impulsem, szybko poszła w stronę namiotu sekretarza.

- Jestem Bramble Kelly - powiedziała - i chciałabym wycofać Silver Dollar X i Checquerboard Charlotte. - Wiedziała, że Jez zdecyduje za siebie.

- Tylko nie Kudłata! - usłyszała za sobą głos Savannah. - Ja jadę! Trzecie miejsce po dresażu i czysty przejazd skoków to nie jest coś, co można zmarnować! Moim zdaniem, mam szansę w tym crossie! Proszę, nie próbuj mnie powstrzymać.

- Savannah, to nie jest bezpieczne.

- Gdyby nie było bezpieczne, odwołalibyście zawody, prawda? - zwróciła się do organizatorki.

- No cóż, moim zdaniem...

- Odwołalibyście zawody, gdyby warunki były zdecydowanie zbyt niebezpieczne dla koni i jeźdźców? Tak czy nie?

- Tak, oczywiście, że tak - odparła kobieta. - Ale to nie znaczy, że...

- Sama widzisz. - Savannah znów zwróciła się w stronę Bramble. - Przestań traktować mnie jak dziecko! Poradzę sobie. Rozumiesz? Ja sobie z tym poradzę. Jak ja mam w ogóle coś osiągnąć, jeśli mi nie ufasz?

- Ależ ufam ci, córeczko - odparła Bramble. - Oczywiście, że ufam.

- To pozwól mi pojechać.

- I mnie też - wtrącił Eddie. - Uda mi się. Nie będę się śpieszył, obiecuję.

Wciąż zdjeta przerażeniem Bramble zawahała się, ale potem, czując, że nie ma realnych podstaw do zmartwienia, skinęła głową.

- Dobrze. Tylko bardzo was proszę, bądźcie ostrożni. Savannah przewróciła oczami.

- Jasne, że będę ostrożna - sarknęła, wychodząc zamaszystym krokiem z namiotu sekretarza.

- Przepraszam panią... - odezwała się Bramble do organizatorki.

- Sama wiem, jak to jest z nastolatkami. Pewnie pod całą tą brawurą jest przerażona do szpiku kości.

- Nie mam co do tego wątpliwości - odparła Bramble, czując, jak w jej żyłach lodowacieje krew.

W koniowozie co chwila sprawdzała przylepioną na drzwiach rozpiskę crossu. Eddie miał jechać na końcu grupy początkującej, a Savannah, jedna z pierwszych we własnej klasie, niedługo po nim. Jez na Frenchiem z kolei miał przejazd zaplanowany pod koniec popołudnia.

- Powiedziałaś już nam to wszystko dwa razy - odezwała się Savannah, rozdrażniona i zaniepokojona, sprawdzając ogłowie Kudłatej i po raz trzeci dopinając popręg. - A ja nadal nie mogę znaleźć rękawiczek do crossu.

Eddie był zielonkawy.

- Nic ci nie jest? - spytała go Bramble. - Naprawdę nie musisz jechać, jeśli nie chcesz.

- No jasne, że chcę - odpowiedział. - Niczego innego nie chcę bardziej. Tylko wydaje mi się, że zjadłem coś nieświeżego...

- Wszystkich to dopada - odparła Bramble, licząc w duchu, że Helena zjawi się w porę, aby kazać mu

wycofać się z zawodów, ale zaraz do niej dotarło, że Eddie to chyba najbardziej zdeterminowany jeździec, jakiego spotkała w życiu. Jeśli nie przykuje go kajdankami do koniowozu, to nic go nie powstrzyma.

Usiłował się do niej uśmiechnąć, ale w tej samej chwili chwiejnym krokiem potruczał w krzaki. Wrócił, ocierając usta.

- Przepraszam.

Lottie, też blada i spięta, podeszła i podała mu chusteczkę.

- Masz. Mnie też się to ciągle zdarza.

- Och, cześć, Lottie! - powiedziała Bramble. - Kiedy jedziesz?

- Tuż przed Savannah - odparła Lottie. - Cała nasza trójka może pojechać razem na start.

- Byłoby bardzo miło - powiedziała Bramble do trzech bladych buź.

- Bramble... - odezwała się Lottie. - Eddie mówi, że Vincent to koń dla mężczyzny i że mamusia powinna go sprzedać... Czy jeśli nie pozwoli mi na innego konia, a sądzę, że nie pozwoli... Czy mogę zaglądać do Lorenden i wam pomagać?

- Oczywiście - odparła Bramble, zaskoczona, że Eddie tak dobrze rozumie całą sytuację. - Jak długo tam będziemy, oczywiście. W moich stajniach zawsze się znajdzie miejsce dla ciebie.

- Jeśli dzisiaj dobrze pojedę - dodała Lottie - to może mi kupić coś innego. Ona tylko nie cierpi porażek. - Popatrzyła w stronę wzgórza, gdzie na pochyłości, o parę miejsc dalej, stał koniowóz. - O, patrzcie, to samochód

Tumbullów! Ciekawe, czy Sailor tu jest? Myślisz, że się pogniewają, jeśli pójdę się z nim przywitać?

- Moim zdaniem, na pewno nie.

- Może lepiej zaczekam do końca imprezy - powiedziała Lottie smutno. - Teraz wszyscy są tacy zaganiani...

Bramble tylko pokiwała głową, podnosząc kopyto Dolara, żeby sprawdzić haciele.

- Powodzenia, Lottie! - zawołała w ślad za wysoką, wiotką postacią, powracającą żałośnie do samotnego splendoru koniowozu Toby'ego Fitzroya.

Komórka rozdzwoniła się wkrótce po tym, jak Bramble pomogła Eddiemu dosiąść konia.

- Kochanie - odezwał się Nat. - Co słychać?

- Lekkie urwanie głowy. - Docisnęła komórkę ramieniem do ucha. - Nie bardzo mogę...

- Jak tam wyniki Savannah?

- Idzie jej całkiem nieźle, ale... - Eddie i Savannah już odjechali, żeby dołączyć do Lottie i razem ruszyć na linię startową, a ona właśnie znalazła rękawiczki do crossu! - Szlag by to, nie wiem, które rękawiczki wzięła ze sobą Savannah! Przy tej pogodzie w zwykłych nie będzie miała chwytu na wodzach...

- Da sobie radę. A Eddie? Żadnych katastrof, którymi mogłaby się zamartwiać Helena? - roześmiał się jowialnie.

- On też sobie radzi, ale...

Dała znak Jezowi, że ma iść za jeźdźcami, a ona zaraz go dogoni.

- Bardzo cię kocham - powiedział Nat.

Jez nadal był w zasięgu słuchu i spoglądał w stronę koniowozu.

- Hm, tak, ja też - mruknęła.

- Wszystko w porządku? - spytał Nat, szybko i odrobinę podejrzliwie. - Co się dzieje? Wszystko dobrze?

- Tak, jak najbardziej w porządku - odburknęła. - Ale ja naprawdę muszę już iść.

Felicity też zobaczyła mgłę, i skojarzyła koniec lata z zapomnianym drgnieniem ożywienia i lęku, które zwiastowało nadejście nowego roku szkolnego. Powrót do domu przypominał jej długie, ciepłe wakacje, ale tak jak jaskółki, odczuwała potrzebę ruszenia w podróż i ucieczki od tej łagodnej śmierci, którą niosła jesień. Tegoroczne lato nauczyło ją jednego. Kiedyś myślała, że ucieka - od wspomnień, kłótni, dezaprobaty - ale nie chodziło wyłącznie o ucieczkę. Taką miała naturę; wyjechałaby i tak, niezależnie od wszystkiego.

Nie wiedziała, skąd czerpie tę wiedzę... Może miała czas, żeby zaobserwować różnicę między odlatującymi ptakami a tymi, które zostają? A może z powolnej, monotonnej pracy z Merlinem, z tych niezliczonych godzin jazdy stępa i kłusem, żeby przywrócić go do formy, gdy jej umysł popadał w rodzaj medytacji? Musiała jeszcze odbyć rozmowę z Pauline, a potem spakuje rzeczy i wyjedzie. Postanowione.

Przewiesiła przez ramię ogłowie Merlina, dźwignęła jego siodło i wyszła z domu. Zwierzę uniosło ten swój przystojny łeb i cicho zarżało. Sprawiało teraz wrażenie bardzo zadowolonego konia.

- Czas na miłą, małą przejażdżkę - powiedziała.

Co z tego, że mgła?, znów spojrzała na gęsty, biały opar. Na pewno niedługo się rozwieje.

Podczas odprawy dla sędziów w Mulberry Hill Pauline i Alan znaleźli sobie miejsca na ustawionych rzędem krzesłach. Organizatorzy, ich starzy znajomi, zaproponowali im nocleg, ale Pauline nie miała na to ochoty. Teraz słuchała toczących się rozmów.

- Och, to lato było obłędne! - zawołała jakaś kobieta w długim, podniszczonym płaszczu przeciwdeszczowym. - Byliśmy chyba wszędzie! Wiesz, że sędziowaliśmy na przeszkodzie na mistrzostwach Europy?

- Jasne, nas też nigdy nie ma w domu - odparł ktoś inny. - Zapowiedzieliśmy sobie, że do olimpiady w Londynie jeszcze wytrzymamy, ale potem zwyczajnie odpuścimy.

Pauline przymknęła oczy i pomyślała, że wolałaby, aby to składane krzesło nie było aż tak twarde i zimne. Organizator postukał w stół, odchrząknął i zaczął objaśniać plan dnia. Znała to wszystko na pamięć.

- Nie mamy krótkofalówek dla wszystkich - powiedział w pewnym momencie. - Więc ci z radiem będą musieli obstawiać kilka przeszkod naraz. - Odczytał, kto dostanie radio i jakimi przeszkodami się zajmie.

Pauline i Alanowi radia nie wyznaczono. Kobieta w zniszczonym płaszczu, Maggie Jakaśtam, dostała krótkofalówkę, która miała objąć i ich przeszkodę, oxeer przy siedemnastce.

Po zebraniu Maggie Jakaśtam uśmiechnęła się do Pauline długimi, żółtymi zębami.

- Zawsze wyznaczają mi radio. Olimpijskiego doświadczenia trudno się wyprzeć.

Pauline uśmiechnęła się grzecznie i zajrzała do przydziałowej torby z prowiantem.

- Bułki z serem - stwierdziła. - Ale pieczywo wygląda nieźle.
- Lunche w Gatcombe są o wiele lepsze niż tutaj - powiedziała Maggie. - No, a to francuskie jedzenie w LeLion d'Angers...

- Lepiej zajmijmy już pozycję, jak sądzisz? - Pauline oparła dłoń w okolicach krzyża Alana i wyprowadziła go z namiotu, zanim zdążył ją czymś zawstydzić.

Ich samochód mało przyjemnie podskakiwał na wybojach. Przeszkoda okazała się całkiem prosta, ale wymagająca pewnej umiejętności oceny sytuacji. Składała się z pary płotów i była jednym z najbardziej odległych obiektów, ukrytych przed publicznością za kępą drzew.

Przydałoby mi się tu radio, pomyślała Pauline. Stojąca na szczycie wzgórza Maggie była ledwo widoczna. Jedyna nadzieja, że ona widzi nas lepiej! Alan wyszedł na pozycję i wbił w ziemię drążek do oznaczania czasu. Znow zaczęło mżyć.

- Grunt wcale nie jest taki zły, serio - powiedziała Pauline cicho, niemal do samej siebie, ponownie przyglądając się przeszkodzie. - O ile wszyscy będą wiedzieć, co robią, nie powinno być żadnych kłopotów.

Zostawiwszy Kudłatą z Eddiem, Savannah zwymiotowała w przenośnej toalecie obok boks startowego. Ledwie co udało jej się zwrócić; najwyraźniej męczyły ją suche skurcze czystego strachu. Popatrzyła na swoją poszarzałą twarz w zakurzonym lustrze. Kłopot w tym, że czuje się taka słaba! Często przekonywała się, że ograniczanie jedzenia wywoływało wręcz magiczne

zamroczenie i dawało jej zastrzyk zarówno pewności siebie, jak i gorączkowej energii, ale teraz trasa, którą miała przed sobą, równie dobrze mogłaby liczyć sobie czterdzieści mil. Każdy krok wymagał walki z wyczerpaniem. Czuła wewnętrzny dygot. Dasz radę!, powiedziała sobie w duchu. Kiedy twój ojciec zginął, było zupełnie inaczej. Tam była dobra trasa. Po prostu idiotyczny wypadek w samym środku słonecznego dnia. Wypadki zawsze mogą się zdarzyć. Musisz po prostu mieć nadzieję, że dzisiaj nie jest twoja kolej!

Ledwie mogła sobie przypomnieć Dorna - kiedy nie podróżował po świecie, z zawodów na zawody, albo szukał koni do nabycia, pracował od szóstej rano do późnego wieczora.

- Jeśli gdzieś tam jesteś, Dominiku Kelly - powiedziała w stronę odbicia w lustrze - strzeż mnie dzisiaj.

Wyszła z ciasnej kabinki i znów znalazła się na deszczu i wietrze. Cichutki głos w jej głowie dodał jeszcze: „Przynajmniej ten jeden raz”.

Na powietrzu zaczęła ją boleć głowa. Wysiętek sprawiał każdy krok po nierównym podłożu.

Helena prowadziła bardzo powoli; zerknęła na zegar na tablicy rozdzielczej i zorientowała się, że się spóźni. Radio co rusz przypominało jej, że dziś wieczorem emisja finału sezonu „Drogi Simona” i że widzowie zagłosowali na bohaterów, którzy mają pozostać w serialu. Nie wiedziała, co przerażało ją bardziej: myśl o powoli zmieniających się liczbach, o tysiącach głosujących na Melissę albo na jednego z facetów, a potem o paru setkach

na nudną, starą Mattie, czy pierwszy udział Eddiego w prawdziwych zawodach, mogący poprowadzić go drogą Edwarda Beaumonta. Albo Dorna Kelly'ego.

Mgła była wszędzie. Towarzyszyła jej podczas jazdy M25 i później na A23, i wreszcie na bocznych drogach, gdzie Helena ledwie dostrzegała znaki czy zakręty, choć szukała ich wzrokiem. Większe samochody wlokły się sfrustrowane za jej zderzakiem z włączonymi światłami przeciwmgielnymi, a ją opuszczały resztki pewności siebie. Ledwie dawała radę pomiędzy oślepiającym blaskiem w lusterku a gęstym mlekiem za szybą. Na pewno ominą mnie ujeżdżenie i konkurs skoków, pomyślała, ale to bez znaczenia. Zdaży na cross, a to istotna część. Co jakiś czas zjeżdżała na pobocze, przepuszczając co większy samochód czy furgonetkę, a potem wracała na drogę, z ramionami potwornie obolałymi z napięcia. Zadzwoiła do Bramble.

- Nie śpiesz się - doradziła jej siostra. - Eddie jedzie cross jako ostatni, pod sam koniec jego grupy, a Lottie i Savannah startują zaraz po nim. Wszyscy znajdą się na trasie około południa.

Helena odłożyła komórkę i nerwowo włączyła się do ruchu na wąskiej drodze. Jak miała tam trafić przy tej pogodzie? Kłopot z wiejskimi okolicami, pomyślała, polega na tym, że na wsi nikt tak naprawdę nie chce gości. Lubią robić miły, mały sekret z tych swoich dojazdowych alejek. Czy to właśnie ten rozjazd? Ze wstecznego lusterka buchnęło na Helenę ostre światło i otrąbił ją kierowca kolejnej furgonetki.

- Pieprz się - mruknęła, prawie płacząc. - Pieprz się, kretynie!

Konie i jeźdźcy, coraz bardziej umazani błotem, nie przestawali mijać Pauline i Alana, a tymczasem mżawka zgęstniała i zamieniła się w prawdziwą ulewę. Okulary Pauline zaszły wilgocią. Usłyszała gwizdek Alana, a zaraz potem odgłos łomotu kopyt. Jakiś zawodnik wyłonił się z mocno zacinającego deszczu, z poślizgiem zatrzymał przed płotem, zawrócił i ponownie najechał na przeszkodę.

- Pierwsze wyłamanie! - zawołała Pauline, usiłując nie zamoczyć rozpiski z numerami zawodników. Liczba, jaką oznakowano jeźdźca, była niemal niewidoczna. Pauline nie poznawała ani konia, ani człowieka.

Po trwającym mgnienie oka zawahaniu koń z trudem wziął przeszkodę, a jeździec zgubił strzemień. Znikli w zaroślach; dżokej ledwie się trzymał w siodle. Zaraz potem wierzchowiec pojawił się ponownie i odbiegł, ciągnąc wodze po ziemi. Za nim potruchtął spieszony uczestnik zawodów.

Pauline usiłowała mruganiem odpędzić zalewającą jej oczy wodę.

- Widziałeś numer? - krzyknęła do Alana.

- Oczywiście, że widziałem. - I co?

Alan nie odpowiedział.

- Och, na litość boską! - mruknęła Pauline, nieco zaniepokojona. Usłyszała, że nadjeżdża kolejny jeździec, więc przez chwilę obserwowała jego czysty skok, po którym pogalopował na szczyt wzgórza. Potem podeszła, by odebrać Alanowi listę.

Była pusta.

- Nic nie zanotowałaś.

- To ta pogoda! - wybuchnął wściekle. - Przecież po prostu się nie da! Nikt nie mógłby... Hm... Co mówiłaś?

Pauline, patrząc na męża, z przerażeniem zdała sobie sprawę, że Alan dzięki swojej błyskotliwej inteligencji znakomicie ukrywał postępującą degenerację umysłu. Nie miała pojęcia, że aż tak z nim źle.

- Zapomniałaś, tak?

- Ze co zapomniałem? - spytał ostro.

- Zapomniałaś, po co tu jesteśmy.

- A po co niby tu jestem? - odezwał się z tak naturalnym zdziwieniem, jakby to zachowanie Pauline było nieracjonalne.

- Alan - powiedziała. - Usiądź sobie w samochodzie. Zaraz przejedzie kolejny koń. No cóż, zajmę się tym sama. - Odebrała mu gwizdek, a kiedy chwiejnym krokiem ruszył w stronę auta, zrozumiała, że nie może mu zaufać nawet w tej kwestii. Gdyby miała radio, wezwałaby pomoc, ale nie miała czasu iść do przeskody Maggie przed pojawieniem się następnego zawodnika. Sprawdziła komórkę. Zero zasięgu. A tutaj, w najdalszym zakątku toru, przy takiej pogodzie, nie było co liczyć na pojawienie się kibiców, których można by poprosić o pomoc.

Nad głową Pauline huknął grzmot; wyprostowała plecy. Pojęła, że wszyskiemu będzie musiała stawić czoła samodzielnie. Wbiła wzrok w gęstą zasłonę deszczu, dławiąc się samotnością i niewiarygodnie cierpiąc nad utratą Alana takiego, jakim go знаła i - z czego zdała sobie sprawę zbyt późno - kochała. Przy kolejnym

uderzeniu pioruna aż podskoczyła. Na pewno zaraz ktoś przyjdzie i powie, że próbę crossu odwołano.

Ale pojawił się następny jeździec, mglista postać wśród burzy. Wygalopował zniechęca zza mrocznej ściany deszczu. Pauline ścisnęła mocniej przemoczoną listę i usiłowała się skoncentrować. Nie mogła. Zdjęła zawilgotniałe szkła. Mózg nie pozwalał jej w pełni zrozumieć tego, co widzi.

Później, opowiadając tę historię raz po raz, słysząc krzyk, który miała słyszeć w snach już do końca swoich dni, usiłowała rozplątać wzrokiem bezładny kłęb kopyt i ciał. Zobaczyła, jak zwierzę wybija się do skoku o jeden krok za wcześnie, jak się ślizga, jak przednie nogi wpadają mu pomiędzy podwójne drażki oxera, a potem usłyszała swój własny głos, który rozbrzmiał w jej głowie potwornym krzykiem, kiedy wielkie końskie ciało potknęło się o front przeszkody, przekoziółkowało i wylądowało, jak na zwolnionym filmie, na leżącym już po drugiej stronie jeźdźcu...

Kiedy Helena wjechała przez bramę na teren Mulberry Hill, akurat zagrzmiało. Zjechała ze wzgórza do miejsca, gdzie zatrzymały się wszystkie koniowozy, i odetchnęła głęboko, nadal roztrzęsiona po podróży. Zobaczyła dziesiątki pojazdów i trochę potrwało, zanim odnalazła koniowóz Bramble. W środku nie było nikogo.

Ponownie zadzwoniła do siostry, ale komórka odezwała się gdzieś spod siedzenia w szoferce.

Zabawne, pomyślała Helena. Bramble nigdy nie gubi komórki. Nie podczas zawodów. Spróbowała połączyć się z Eddiem, ale jego telefon nie odpowiadał, co zdziwiło ją

nieco mniej, bo według jej obliczeń lada moment powinien się znaleźć na trasie crossu. Mogła nawet przegapić jego start. Wyjęła komórkę Bramble, włożyła kalosze, zamknęła samochód i szybko poszła w stronę przerwy w żywopłocie, w stronę, w którą zdawali się kierować inni jeźdźcy i widzowie.

Słyszała, że sprawozdawca mówi coś do mikrofonu.

- To był wyjątkowo mokry wrzesień - skrzypiał megafon. - Ale przy wsparciu naszych sponsorów... trzask, trzask... Agrivators, coś tam, coś tam, coś tam... syk, trzask... chcielibyśmy podziękować... za ich... - W głowie Heleny błyskały pojedyncze słowa.

Przypomniała sobie dzień, w którym zginął Dom. „To zawsze zły znak, kiedy komentator mówi o pogodzie. Albo o sponsorach. To znaczy, że mają jakiś zator, o którym nie mogą wspominać”. Takich słów się nie zapomina.

Helena zaczęła biec, ślizgając się i potykając w niewygodnym obuwiu. Zatrzymała jakąś uczestniczkę zawodów, nadchodzącą z przeciwnej strony.

- Czy coś się stało na trasie crossu? Kobieta pokiwała głową.

- Chyba mają opóźnienie. Coś się tam dzieje. Od jakichś dziesięciu minut. - Nie wydawała się przejęta.

Helena powtarzała sobie raz po raz, że nieprawda, nic się nie dzieje, że opóźnienia na trasie są czymś tak zwyczajnym jak... No, w każdym razie, dosyć zwyczajnym. Spróbowała się opanować i szybko poszła dalej, by znaleźć Eddiego. Proszę, proszę!, przemawiała do własnego, dziko walącego serca, niech nic się nie stanie mojemu synkowi! Ani nikomu innemu, oczywiście.

Zanim dotarła do namiotu sekretarza, oddychała ciężko i ledwie chwytiała powietrze. Trzy kobiety pochylały się nad jakąś listą. Panowało wyraźne napięcie.

- Przepraszam! - Helena prawie płakała. - Chcę się dowiedzieć, co się dzieje...

- Nie znamy szczegółów - odparła jedna. - Był wypadek, ale nie wiemy nic ponad to. Jak tylko będzie to możliwe, damy wszystkim znać. - Odebrała telefon, ale po chwili pełnej napięcia rozmowy pokręciła przecząco głową, patrząc na dwie pozostałe.

- Ale mój syn! - krzyknęła Helena. - Mój syn, Eddie Harris, i siostrzenica, Savannah Kelly... Czy oni są na trasie crossu?

Kobiety popatrzyły na nią ze współczuciem i znów pochylały się nad rejestrem zawodników.

- Trudno dokładnie określić, do którego miejsca doszliśmy... Całkiem sporo osób się wycofało, a niektórzy wyjechali na trasę niezgodnie z kolejnością numerów startowych - powiedziała jedna z kobiet łagodnym tonem, unikając wzroku Heleny. - Proszę nasłuchiwać komunikatów. Może się pani czegoś dowie przy boksie startowym. Nasz człowiek stamtąd powinien wiedzieć, kto jest teraz na trasie.

- Dzięki. - Helena dopytała o drogę na punkt startowy i pognąła w tamtą stronę najszybciej, jak potrafiła. Zatrzymała przemokniętą grupkę kibiców.

- Ktoś wie, co się tam stało?

- Ktoś spadł.

- Jakiś koń leży.

- Jest przerwa, bo połamano się przeszkoda.

Komentator podziękował miejscowej agencji nieruchomości za sponsorowanie konkursu skoków, a potem zaczął opowiadać o ich działalności charytatywnej w rejonie Czarnej Afryki. Że co? Helena miała gdzieś akcje charytatywne.

- Mamy komunikat specjalny! - zachrypiał megafon. - Komunikat specjalny! Proszę o uwagę wszystkie osoby z końmi! Sprowadzamy helikopter medyczny, więc proszę zadbać, żeby wasze wierzchowce zostały bezpiecznie przywiązane w koniowozach. Informuję państwa, że niedługo przyleci tu pogotowie lotnicze. Proszę odpowiednio zabezpieczyć konie!

Helenie zaparło dech. Błagam!, mamrotała przez szloch. Błagam! Powietrze było teraz niemal samą wodą, deszcz walił strumieniami o śliski grunt, zacinając prosto w twarz, więc prawie nic nie widziała i ledwie chwyciła oddech. Ponownie zaskrzeczał głos komentatora.

- W związku z pogarszającą się pogodą bieżąca próba zostaje odwołana. Przepraszamy...

Wśród ludzi, przemykających obok z postawionymi kołnierzami, pod parasolami, które targał wiatr, nie sposób było rozpoznać nikogo. Wszystkie konie i wszyscy jeźdźcy wyglądali w oczach Heleny tak samo: czarne wysokie buty, kremowe bryczesy, głowy opuszczone, uważnie wypatrujące drogi przez błoto.

Ale nagle, tuż przed sobą zobaczyła niedającą się pomylić z nikim innym Bramble, z przyklepionymi do czaszki włosami. Prowadziła konia Eddiego. Bez jeźdźca.

Helena osunęła się na kolana i zwinęła z bólu na zalanej wodą ziemi. Błagam!, płakała, orząc palcami błotnistą ziemię. Błagam!

Zycie nie miało sensu.

- Maggie! - zaczęła krzyżeć Pauline w stronę wierzchołka wzgórza w niekończącą się sekundę po upadku konia i jeźdźca.

- Radio! Radio!

Ale wiatr wiał w złą stronę, a deszcz tłumił jej głos. Zupełnie jakby krzyżała z głębin jeziora.

- Nadjeżdża kolejny!

Alan, zaszokowany tym, co się stało, oprzytomniał w jednej chwili i momentalnie wysiadł z samochodu.

- Stać! - zawołał, wymachując rękami. - Stać! Stać! Był wypadek! Proszę się zatrzymać!

Koniowi ta rozmazana sylwetka musiała wśród deszczu wydać się duchem. Zwierzę zwolniło na kilka kroków, a potem gwałtownie odskoczyło w bok od wrzeszczącej postaci, znikając w deszczu wraz z jeźdźcem, który rozpaczliwie usiłował utrzymać się w siodle.

- Radio! Radio! - ponownie krzyknęła Pauline, kiedy koń, który upadł na oixerze, z trudem podniósł się na nogi. Stał teraz z opuszczonym łbem, robiąc bokami.

Pauline miotała się jak szalona, rozdarta między odruchem złapania za wodze, koniecznością powstrzymania pozostałych jeźdźców od pokonywania przeszkody i chęcią zrobienia czegoś - czegokolwiek! - dla zmiażdżonego, leżącego na ziemi ciała.

- Trzymaj go! - rozkazała Alanowi, podając mu wodze. -**1** stój tutaj. Nigdzie się stąd nie ruszaj!

Alan z przerażeniem patrzył na poranione ciało.

- Ja nie rozumiem! - poskarżył się drżącym głosem zgrzybiałego starca. - Co się stało? Co się tutaj stało?

- Po prostu tu stój!

I Pauline ruszyła na szczyt śliskiego, błotnisteo wzgórza tak szybko, jak tylko pozwalały jej rozdygotane nogi. Rozpaczliwie usiłowała regularnie oddychać, by dostarczyć protestującym płucom wystarczająco tlenu i dotrzeć tam, skąd można wezwać pomoc.

Skulona na ziemi postać wyglądała jak obraz nędzy i rozpacz.

- Heleno! - wrzasnęła Bramble. - Heleno, wstawaj! Helena podniosła się i zawyła jak wilczyca.

- Wiedziaaałam! Eeeddieee! Eeeddieee nie żyjee! Bramble, sama rozdygotana ze strachu, wymierzyła siostrze sążniste policzek.

- Zamknij się wreszcie! Słuchaj! I pomóż mi. Musisz mi pomóc, albo nigdy ich nie znajdziemy!

- Znajdziemy? - powtórzyła Helena, otępiała z przerażenia. Miała zupełnie ubłocone ubranie i błoto na twarzy.

- Eddiego i Savannah tu nie ma. Zdaje się, że oboje byli na trasie crossu, kiedy zdarzył się wypadek. Oni i jeszcze ktoś, ale niczego nie mogę się dowiedzieć... - Bramble chwyciła potężny haust powietrza. - Przed chwilą przekazano mi Dolara. Błąkał się bez jeźdźca niedaleko koniowozów.

Helena wygrała heroiczną walkę z paniką. Wzięła się w garść.

- Idziemy ich szukać - szepnęła. - Nie martw się. Nic im nie będzie. - Uściskała Bramble. - Obiecuję.

- Tak - powtórzyła Bramble. - Znajdziemy ich.

- Bramble, co jest? - Przed nimi z deszczu wyłonił się koń. Jez na Frenchiem.

- Jedź - powiedziała Helena. - Jedź na Dolarze. Z Jeżem. Szybciej znajdziesz ich konno. - Drżącą dłonią podała jej mapę trasy. - Ja pójdę do namiotu sekretarza i dopilnuję, żeby przekazywali mi wszystko, czego się dowiedzą. - Wzięła głęboki oddech. - Masz tu swój telefon. Dzwon, jakby co. . v:

Bramble się zawahała.

- Jedź! - powtórzyła Helena, nieoczekiwanie spokojna. Czowała, że poradzi sobie ze wszystkim, co miało jeszcze nastąpić. - Znajdź ich. To jedyna ważna rzecz.

Bramble z Dolarem pojechali w ślad za Jeżem na Frenchiem, lawirując wśród błota i tłumy ludzi, co chwila zatrzymując się i wpatrując w horyzont.

- To teraz tak... - powiedział Jez, kiedy znaleźli się już na trasie crossu. - Rozdzielamy się. Ty sprawdzasz przeszkody, ja przeszukuję zagajniki. - Wbił pięty w boki Frenchiego i rozpląnął się w deszczu.

Bramble była już zorientowana, że wypadek wydarzył się gdzieś w najbardziej oddalonej części trasy, za kępą drzew. Galopem ruszyła w tamtą stronę, ale wstrzymał ją dźwięk komórki. Helena. Serce Bramble waliło jak oszałałe.

- Eddiemu nic nie jest - wysapała Helena. - Spadł z konia i trochę się pogubił w tym całym deszczu, ale nic mu nie jest. Absolutnie nic. Ale...

- Tak? - Zęby Bramble szczękały. Przerazenie niemal ją sparaliżowało. Savannah. Jej mała Savannah...

- Nic nie wiemy o Savannah. Tam jest jeden wielki chaos i nikt chyba nie wie, kim jest ten jeździec... - Helena umilkła. - Na razie nie wiem nic więcej.

Kiedy zginął Dom, Bramble stała w boksie startowym i czekała przez pół godziny, nie mając pojęcia, co się dzieje. Była spięta, ale nie przerażona. Nawet nie przyszło jej do głowy, że Domowi mogło stać się coś złego, pewna, że chodzi o kogoś innego. Teraz myślała inaczej. Teraz już wiedziała, że wypadki zdarzają się ludziom, których się kocha.

- To siedemnastka, tak? - spytała Helenę.

Helena mruknęła coś do jednej z organizatorek, a potem potwierdziła.

Znów odezwał się komentator. Przyłot śmigłowca odwołano.

- A więc to nie jest tak poważna sprawa, jak sądzili - odezwała się Helena, nie kończąc rozmowy i rozpaczliwie usiłując pocieszyć siostrę. - To dobra wiadomość, prawda?

Albo dobra, albo oznacza, że helikopter w niczym już nie pomoże, pomyślała Bramble. Ratowników odwołuje się, kiedy jest już za późno na pomoc...

Zjechała ze wzgórza w stronę kępy drzew, gdzie wokół oxera tłoczyła się grupka organizatorów, stała karetka i jej personel z charytatywnej organizacji pierwszej pomocy St John.

- Przepraszam! - odezwała się służbiście Maggie Jakaśtam, wychodząc zza kręgu ludzkich pleców. - Nikt nie może podchodzić!

- Tam może leżeć moja córeczka... - Bramble zsunęła się z siodła, ale nie była w stanie zrobić kroku. Bała się prawdy.

Mgliście, z jakimś odległym zdziwieniem, zarejestrowała, że obok niej staje Pauline i próbuje ją objąć. Słyszała słowa, prawdopodobnie pocieszenia, ale nie rozumiała treści.

- Ten koń... - odezwała się, a własne słowa pobrzmiwały w jej uszach obcym, dalekim echem. - Jakiej był maści? Skarogniady? - Nie śmiała słuchać odpowiedzi. Póki jej nie powiedzą, nic nie dzieje się naprawdę.

Mogłam być lepszą matką. Nie uważałam. Spoglądałam w inną stronę. Na Nata, na Lorenden, na śmierć taty. A wymknęło mi się moje własne dziecko... Miała zbyt małe doświadczenie, żeby ją puszczać przy takiej pogodzie na Kudłatej. Nie miała odpowiednich rękawiczek. Powinnam ją była powstrzymać...

Zachowała świadomość - wiedziała, że ktoś do niej przemawia łagodnym głosem, że ciągnie ją za ramię, że próbuje jej coś wyjaśnić... Ogłuchła ze strachu.

Pomiędzy drzewami, w deszczu, pojawiło się coś na kształt zjawy. Zbliżający się omam stopniowo zyskiwał kształt i wyrazistość, powoli przemieniając się w żywą istotę. Jeździec wiózł przed sobą na siodle jakiś ciężar. Kiedy podjechał bliżej, Bramble zobaczyła zarys jego sylwetki - trójkąt ramion. Rozpoznała sposób jazdy. I widziała już, czym jest jego balast.

Savannah. Podjeżdżając w stronę karetki i łagodnie zsadzając dziewczynę na ziemię, Jez nie spuszczał wzroku z jej matki. Podbiegli ratownicy z noszami.

- Jest ledwie przytomna - powiedział, kiedy ją układali i nakrywali kocem. - Ale nic jej nie będzie.

- Savannah! - Bramble, szlochając, opadła przy córce na kolana. - Nic ci nie jest! Nic ci nie jest?

Savannah otworzyła oczy.

- Nic mi nie jest - powiedziała słabym głosem, próbując się uśmiechnąć. - Tylko trochę kręci mi się w głowie. Kudłata mnie poniosła i spadłam.

Bramble zsunęła jej z dłoni przemoczone rękawiczki, rejestrując, że to jakaś stara para, mająca - zamiast wypukłej, zapewniającej dobry chwyt powierzchni - wewnątrz z gładkiej skóry. Ramiona przygniotło jej poczucie winy. Powinna była pogonić za córką z crossowymi rękawiczkami! A poza tym, dłonie Savannah były takie zimne...

Ratownicy wsunęli nosze do karetki i zamknęli drzwi.

- Jadę z wami - powiedziała Bramble, pakując się do środka.

- Nie! - słabo zaprotestowała Savannah. - Zajmij się Kudłatą. Boję się, że mogła sobie zrobić coś złego.

- Zabieramy ją do szpitala St Catherine's - powiedział ktoś z załogi karetki. - Może pani dojechać później. Będzie pod dobrą opieką.

Bramble cofnęła się, a kiedy ambulans odjechał, spojrzała w stronę milczącego kręgu wciąż skupionego wokół kształtu na drugich noszach. Wokół zakrytego kocem ciała.

- Kto? - zapytała, choć już wszystko było wiadomo.

- Lottie - odparła Pauline cicho. - To była Lottie Marsh-Robertson. Vincent za szybko podszedł do skoku, nie zdołała go powstrzymać i nie wybił się jak trzeba.

Przednie nogi utkwiły mu między poprzeczkami i prze-koziołkował nad przeszkodą. - Oczy miała czerwone, a twarz ściągniętą żalem. - Bardzo mi przykro, kochanie. Nic nie mogłam zrobić.

W drodze powrotnej do koniowozu panowało milczenie. Na placu jeźdźcy, stajenni, właściciele, wszyscy znajomi, pakowali się z ponurymi minami, z twarzami mokrymi od łez i deszczu.

Helena trzymała Eddiego za rękę.

- Hannah... Biedna Hannah! - powiedziała Bramble na widok stajennej, która z nisko opuszczoną głową prowadziła Vincenta w stronę parkingu dla koniowozów. - Może pomożemy jej odwieźć Vincenta do domu? Ona jest przecież w szoku...

- Ja się tym zajmę - powiedział Eddie, nagle już nie nastolatek, ale dojrzały mężczyzna. - Pojadę z nią konio-wozem i dopilnuję, żeby dotarła bezpiecznie. A mama może cię zabrać do szpitala, żebyś mogła pobyc przy Savannah.

- Biedna Lottie! - szepnęła Bramble. - Nie udało jej się zobaczyć Sailora.

Bramble i Helena znalazły Savannah leżącą w jakiejś niszy na izbie przyjęć, wciąż czekającą na oględziny. Elektroniczna tablica informowała, że przeciętny czas oczekiwania na przyjęcie wynosi trzy godziny.

Kupiły sobie po kubku kawy o metalicznym posmaku i zajęły rozmową. Godziny płynęły powoli. Przez zmęczony umysł Bramble przewijała się wizja Lottie: usuwającej nawóz ze stajni, zadającej te swoje niekończące się, dociekliwe pytania, zdobywającej pierwsze trofeum w Klubie Kucyka. Zawiodła tę dziewczynę. I nieszczęsną Cecily. Biedna, biedna Cecily!

Wreszcie pojawił się lekarz o zmęczonej twarzy i wokół łóżka zaciągnięto zasłony. Savannah trzeba było zrobić prześwietlenie. Zaczęło się kolejne oczekiwanie.

- Nie musisz tu siedzieć, Heleno. Wrócimy do domu taksówką.

- Nonsens. To by kosztowało fortunę. - Helena odciągnęła Bramble na bok i odezwała się szeptem: - Rozumiem, że na razie nie zamierzasz mówić Savannah o Lottie?

Po przeprowadzonej przyciszonym tonem dyskusji przy łóżku Savannah zmęczony lekarz poinformował, że chciałby ją zostawić na oddziale.

- Co się dzieje? - Bramble zamarło serce.

- Prześwietlenia są w porządku - powiedział. - Jest dość mocno posiniaczona i będzie ją przez parę tygodni pobolewało. To tyle. Ale ma też poważną niedowagę, jest odwodniona, więc uważam, że trzeba ją położyć pod kroplówką.

I zrobił im wykład o anoreksji.

Jestem tak samo złą matką jak Cecily Marsh-Robertson, myślała ogłuszona Bramble. Tak się skupiałam na przyszłości, że nie widziałam grożącego mojemu dziecku niebezpieczeństwa. Siedziała jak sparaliżowana. W jednej chwili zmieniło się wszystko. Nie chodziło wyłącznie o przesadę w stosowaniu diety, ale o śmiertelną chorobę.

Helena złapała ją za ramię.

- Bramble, posłuchaj. Mnóstwo dzieciaków trochę błądzi w kwestiach jedzeniowych. Mnie też to nie ominęło.

- Kiedy? - Zaskoczona Bramble gorączkowo szukała w myślach jakichkolwiek związanych z tym wspomnień.

- Parę lat po wyjeździe Felicity, kiedy zaczęłam dojrzewać. Tak strasznie mnie przerażała myśl o dorosłości, o konieczności bycia odpowiedzialnym za innych, że skoncentrowałam się wyłącznie na tym, żeby być chuda.

- Odpowiedzialności za wszystkich?

- Mama umarła, Felicity wyjechała, a ty byłaś jeszcze bardzo malutka. Zostałyśmy w domu tylko z tatą,

i uważałam, że muszę się dla niego starać. Pamiętam prasowanie jego koszul, kiedy miałam jakieś dziesięć lat... Żeby sobie nie pomyślał, że nie ma nikogo, kto by się nim zaopiekował.

Bramble nie mieściło się w głowie, że zupełnie zapomniała o tamtej Helenie. Przypominała sobie tamten czas jak przez mgłę, ale nigdy się nad tym głębiej nie > zastanawiała.

- A potem? Co było potem? Jak z tego wyszłaś?

- Nie jestem pewna, czy wyszłam. Wydaje mi się, że nadal trochę... No, zresztą sama wiesz, jakie potrafię zrobić zamieszanie. Niedawno trafiłam na taki artykuł: podobno ludzi takich jak ja, którzy obsesyjnie dbają o zdrowe odżywianie, określa się mianem ortorektyków. To nawet niezła etykieta, nie sądzisz?

Bramble nie potrafiła ogarnąć umysłem rewelacji dzisiejszego dnia. Nie docierała do niej ani śmierć Lottie, ani diagnoza Savannah. Zastanowiła się nad słowami siostry.

- Ale przecież się wyleczyłaś? - spytała rozpaczliwie. - Funkcjonujesz normalnie? - A może nie funkcjonowała? Pomyślała o picciu Heleny, o jej chudości. Zawsze wydawała się nad wszystkim panować. - Heleno...

Helena obdarzyła ją olśniewającym uśmiechem, tym, który przeznaczala dla fotografów, niezależnym od prawdziwego samopoczucia.

- Nic mi nie jest. Oczywiście, że się z tym uporałam. Pewnego dnia pojechałam do Londynu na imprezę, poznałam Toma Harrisa, wydał mi się taki interesujący... A ty byłaś całkiem szczęśliwa z tatą. Zdawało się, że żadne z was już mnie nie potrzebuje. Tyle że miałam

spore wyrzuty sumienia. Nadal je miewam. Ciągle sobie powtarzałam, że skoro mogła wyjechać Felicity, to i ja też.

- Nie powinnaś czuć się winna. Radziłyśmy sobie całkiem nieźle. - Bramble przypomniła sobie chaos w kuchni i nieporządek w domu. - Heleno... - zawahała się. - Skoro już mowa o poczuciu winy... Felicity naprawdę okropnie przeżywa to, że zniechęciła cię do konnej jazdy, a ja nawet nie pamiętam, żebyś ty kiedyś chciała jeździć.

Helena aż się wzdrygnęła.

- Sama to ledwie pamiętam. Kiedy miałam mniej więcej pięć lat, wszyscy mi wmawiali, że powinnam starać się naśladować Felicity, a i mnie samej wydawała się ona cudowna, więc ciągle próbowałam zaszłużyć na jej uwagę. Chciałam, żeby była ze mnie dumna. Pewnego dnia zażądałam - kategorycznie! - żeby mnie wsadziła na jej naprawdę krnąbrnego kuca. Zawsze mi powtarzała: „Nie, Heleno, jeszcze jesteś za mała”, i podobne rzeczy, ale mnie to doprowadzało do szału, więc się uparłam. Oczywiście, kuc poniósł mnie i zrzucił, i na dodatek złamałam obojczyk. Świetna wymówka, żeby już nigdy nie jeździć. Teraz, kiedy to wspominam, wiem, że jeździectwo nie obchodziło mnie na serio. Chciałam tylko zaszłużyć na pochwałę starszej siostry.

- Felicity uważa, że to jej wina!

- No cóż, starała się, jak mogła, wybić mi to z głowy, więc nawet rozumiem, dlaczego się obwinia. - Helena ziewnęła. - W każdym razie, to już bez znaczenia. Kiedy przestałam jeździć, zaczęłam brać lekcje tańca i śpiewu,

a to mi szło o wiele lepiej. I nikt mnie tam nie porównywał z Felicity. - Przez chwilę przerzucała strony jakiegoś pisma, a potem podniosła wzrok. - Ona się przejmuje? To znaczy, Felicity? Mimo udawania, że jest taka chłodna i wyniosła?

Bramble skinęła głową.

- Moim zdaniem, próbowała uciec przed rolą starszej siostry, a teraz dociera do niej, że na tym polega jej rola. Zauważyłaś, jaka zrobiła się apodyktyczna?

Helena się wzdrygnęła.

- A daj spokój! Któregoś dnia zabroniła mi otwierać butelkę wina. Powiedziała, że zbyt wczesna pora.

Pojawiła się jakaś pielęgniarka z wiadomością, że za trzy kwadranse na oddziale zwolni się łóżko.

Helena zerknęła na zegarek i Bramble przypomniała sobie o finałowym odcinku „Drogi Simona”.

- Heleno, jedź do domu. Obejrzyj finał. Damy sobie radę.

- Nie. Zostanę, dopóki Savannah nie przyjmą na oddział, a potem zabieram cię do domu. Mogę to obejrzeć później. - Helena była bardzo blada. - Poprzysięgam sobie, że jeśli Eddie i Savannah wyjdą z tego cało, będę wdzięczna życiu za wszystko, co przyniesie. Obiecałam, że nie będę nic brać do głowy.

Pielęgniarka spojrzała roziskrzonym wzrokiem.

- „Droga Simona”? O Boże, przecież pani jest Mattie, prawda? W świetlicy dla pacjentów jest telewizor i nigdy nikogo tam nie ma.

Na policzki Heleny wróciło nieco koloru. Nic nie mogła poradzić, że zrobiło jej się przyjemnie.

Na szpitalnym linoleum rozległ się stukot pewnych siebie obcasów. Siostry, jak na komendę, podniosły wzrok i zobaczyły szczupłą sylwetkę w obszernym płaszczu, która zmierzała w ich stronę szybkim krokiem, biorąc cały korytarz w posiadanie.

- Cześć, dziewczyny! - przywitała się Felicity. - Przyjechałam posiedzieć z wami. Pomyślałam, że gdzieś tutaj na pewno mają jakiś telewizor.

Helena przycupnęła na skraju plastikowego krzeselka i wydmuchała nos, a na ekranie pojawiły się wstępne napisy „Drogi Simona”. Już nie czuła się samotna. Były z nią siostry, każda po jednej jej stronie. Felicity wyciągnęła z torby butelkę szampana i trzy plastikowe kubeczki.

- Za Mattie!

Uniosły kubeczki w górę.

- Za Mattie! - powtórzyły.

- No dobra. - Helena spojrzała w telewizor, usiłując nie zaciskać dłoni w pięści. - Jestem gotowa. - Gdyby głosowanie ułożyło się po jej myśli, mogliby wrócić do Primrose Hill. Nie żeby jeden sezon serialu pomógł w spłacie wszystkich długów, ale mogli te długi negocjować. Może nawet zmniejszyć ratę.

Stawiłam czoło najgorszemu, pomyślała nagle Helena. Zmierzyłam się ze śmiercią Eddiego, więc teraz mogę się już zmierzyć ze wszystkim. Nic mnie nie zdoła przerazić. Koniec z uciekaniem. Spłacimy te długi. Mam gdzieś, że będę mieszkać w jakimś małym domku, albo że nikt mnie nie będzie zapraszał na przyjęcia! Nadal będę

sobą, Heleną, i nadal będę miała rodzinę. Odruchowo wyprostowała plecy.

Bramble zerknęła na zaczerwienione powieki siostry.

- Wszystko okej?

Helena dzielnie pokiwała głową.

- W idealnym porządeczku. Serio.

- Połapiemy się, kiedy się już zacznie ta finałowa scena? Przecież brałaś udział w zdjęciach do wszystkich alternatywnych zakończeń...

- Trudno się zorientować - stwierdziła Helena, marszcząc brwi, w miarę rozwoju historii na ekranie. - Zmontowali to zupełnie inaczej...

Przez drzwi co chwila zaglądały pielęgniarki ze słowami otuchy. Helena przyjmowała komplementy z wdziękiem, chociaż w środku chciało jej się wrzeszczeć.

Po pełnych napięcia dwudziestu minutach Helena wskazała palcem na ekran.

- Macie. To ta scena ze mną. Umieram w szpitalu i wszyscy gromadzą się wokół mojego łóżka. Widzicie? Mówię Simonowi, żeby znalazł szczęście z kimś innym, a on mi tłumaczy, że nikogo innego nie chce.

Wstała i podeszła do okna.

- No cóż - wzruszyła ramionami. - Przynajmniej wycisnęłam z tego trochę szumu w prasie. Jestem teraz warta na rynku więcej niż przedtem. - A może wcale nie była więcej warta? Przecież wielki brytyjski widz właśnie zagłosował, że ma zejść z ekranu. Z trudem przełknęła ślinę. - Można się nieco rozczarować, nieprawdaż? - dodała. - Osiem lat Mattie, a potem koniec... Jak gdyby nigdy nic. - Zdobyła się na swój olśniewający uśmiech.

- Nieważne. Wiejskie dzemy i czatneje „Helena” wzywają. Albo najwygodniejszy pensjonat świata „U Heleny”. Powinno nieźle pójść, nie sądzicie? Jestem tak pedantyczna, że miałabym najlepsze pokoje w mieście.

- Zaraz, zaraz... - odezwała się Bramble. - O co chodzi?

- To mój pogrzeb. - Helena ledwie raczyła rzucić wzrokiem. - Najpierw jest ta scena przy moim łożu boleści, a potem pogrzeb.

- No dobra, ale jeśli cię chowają, to dlaczego siedzisz w pierwszym rzędzie w jakimś idiotycznym kapeluszu?

Helena pisnęła i przykucnęła przy telewizorze.

- Nic nie rozumiem... Dlaczego pokazali moją śmierć, a teraz pogrzeb kogoś innego?

- Ale kto umarł? - spytała Bramble w tym samym momencie, co osiem milionów telewidzów. - Jeśli Mattie jest w kościele i rozdaje koronkowe chusteczki wszystkim siedzącym w tej ławce, to kto umarł?

- Simon - powiedziała Helena. - Patrzcie! - W tle przewijających się napisów końcowych pojawiła się re-trospekcja: Simon zabierający Mattie do domu po jej cudownym uzdrowieniu i pomagający się jej rozpakować. Właśnie wychodził do ogrodu i osuwał się na ziemię, powalony atakiem serca.

- Ktoś nieźle się narobił nad montażem - powiedziała ogłupiała Helena. - Biedny Simon. Biedny, biedny Simon.

Zadzwoiła jej komórka.

- Halo?

To była Caroline.

- Gratulacje - powiedziała. - Dowiedziałam się od szefostwa telewizji tuż przed emisją. Jak się zdaje, dostałaś więcej głosów niż wszyscy inni. Ze sporą przewagą.

Helena tylko się roześmiała.

- No cóż, skoro Simon nie żyje, to raczej nikt z nas nie dostanie kontraktu na kontynuację.

- Rzeczywiście - powiedziała Caroline. - Uznali, że tego hałasu w prasie już wystarczy. Ale chcę z tobą porozmawiać o czymś nowym. Zadzwoń do ciebie jutro.

- Jak to było...? Co tata zawsze mówił po wygranej? - Helena uniosła plastikowy kubeczek, tym razem uśmiechając się od ucha do ucha.

- „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” - powiedziały Felicity i Bramble jednym głosem, unosząc i swoje. - Trzech muszkieterów.

Wróciły późno, ale Nat wciąż czekał. Uczcili we dwóch z Olliem triumf Heleny, ale cienie w jego oczach mówiły o zmartwieniu śmiercią Lottie.

Przytulił Bramble mocno, a potem zmusił ją, żeby wypła coś gorącego.

- To okropne. Straszna wiadomość. Opowiedz mi, co się stało.

\ Bramble pokręciła głową.

- Jestem zbyt zmęczona. To...

- Więc nie opowiadaj - odparł. - Idź na górę do łóżka i śpij.

Otulił ją kołdrą, a kiedy rano się obudziła, leżał przy niej. Nie była z tym sama.

- Jestem złą matką - oświadczyła, jak tylko otworzyła oczy. - Savannah ma naprawdę groźną niedowagę, a ja nie zauważyłam problemu. I powinnam była powstrzymać Cecily Marsh-Robertson przed kupnem Vincenta. Nie wiem jak, ale powinnam.

- Leż sobie. Najpierw zrobię ci herbaty - powiedział. Wysunął się z łóżka i zaczął szukać ręcznika, żeby się nim owinąć. - Opowiesz mi o wszystkim później.

Zerknęła na zegar.

- Konie! Muszę wstawać.

- Felicity powiedziała, że dzisiaj pod żadnym pozorem nie wolno ci się zbliżać do stajni. - Uśmiechnął się do niej serdecznie. Pod stojącą dęba siwiejącą czupryną pokazały się zmarszczki.

- Wyglądasz haniebnie - powiedziała. - Jak szalony czarodziej. - Zdziwił ją jej własny śmiech, więc szybko go urwała.

- Możesz się śmiać - odezwał się czule. - Życie toczy się dalej. A tak gwoli sprawiedliwości, jesteś świetną matką.

Przełknęła łzy, a on ją pocałował.

- Czekaj tutaj, zaraz wrócę z herbatą i śniadaniem. Pewnie nic nie jadłaś od...

- Kanapkę? - Usiłowała sobie przypomnieć. - Wczoraj, koło jedenastej przed południem?

Przysypiała trochę, myśląc, że naprawdę kocha Nata. Za ten jego spokój i za to, że nigdy jej nie ocenia... Obudziła ją jego komórka, dzwoniąca w kieszeni spodni. Zawahała się przez moment, czy odebrać; podeszła nawet do drzwi sypialni i zawołała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

A co tam! Niedługo będą mężem i żoną. Bez żadnych tajemnic.

No, prawie żadnych. Noc spędzona z Jezem na gadaniu i grzaniu się w jego ciepłe przeciwieństwo się nie liczy? Odebrała połączenie.

- Przepraszam? - Kobięcy głos był niepewny, niemal przestraszony. - Nat?

- Nie, tu Bramble. Jego, eee... narzeczoną. - Co za idiotyczne słowo! - Czy mogę mu coś przekazać?

- Och! Ja nie... Hm... To znaczy, lepiej nie... hm... Może powinnam zadzwonić później. - Kobieta była wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Mam mu powtórzyć, że kto dzwonił?

- Jenny - odparła tamta. Głos zabrzmiał jak zdławiony szept.

- Och, Jenny! - powiedziała Bramble bez zastanowienia. - Tak mi miło, że... - Urwała. Miło? Czy takiego słowa używa się wobec zgorzkniałej byłej żony? - Ze mogę z tobą wreszcie zamienić słowo - dokończyła szybko.

Po drugiej stronie zapadła zdumiona cisza, a Bramble zamarło serce.

- No cóż, gratulacje - powiedziała wreszcie Jenny. - Eee... Ja nie wiedziałam... Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi...

- Nat ci nie wspominał? - Ależ tak, z pewnością! Była przekonana, że Nat powiedział jej o tym, że Jenny zareagowała bardzo źle. Bramble usiłowała przypomnieć sobie teraz, co dokładnie mówił, ale wszystko zlewało się w kołowrót pracy w stajni i wiecznego braku czasu na rozmowę. Może coś jej się pomieszało?

- O, nie. Nie, nie. To znaczy, no... nie. On mi nigdy nic nie mówi. To znaczy, dlaczego miałby mówić?

- No cóż... Tak się zastanawiałam, czy może Gemma miałaby ochotę zostać druzną na naszym ślubie, ale... - Bramble umilkła. Nie chciała stać się przyczyną nieporozumienia.

- Ależ to uroczy pomysł! Mała byłaby zachwycona! - W głosie Jenny nadal brzmiało zdumienie.

Nat przecież na pewno pytał o to Jenny!

- To jeszcze nieprędko, bo jeden z moich przyjaciół miał tragiczny wypadek, ale... Czy mogę zapisać sobie twój numer? Odezwę się, kiedy już w końcu zdecydujemy się z tym ruszyć.

Jenny przedyktowała numer.

- Mam też stacjonarny do Sereny, gdybyś go chciała. Chociaż mogła się już stamtąd wyprowadzić...

- Kto to jest Serena? - spytała Bramble. Kolejna chwila milczenia.

- Pasierbica Nata - wyjaśniła Jenny powoli. - Z jego pierwszego małżeństwa.

Serce Bramble zabiło mocniej.

- Ale ja zrozumiałam, że byłaś jego pierwszą żoną...?

- Och, skąd! Drugą. Pierwsza była Susan. Zginęła w wypadku, kiedy Serena miała czternaście lat. Teraz ma dwadzieścia osiem i od jakiegoś czasu nic o niej nie słyhać. Słuchaj, bardzo cię przepraszam, ale ja chyba nie powinnam ci tego wszystkiego mówić...

- No tak. - Bramble mocno zaschło w ustach. Potrzebowała tej filiżanki herbaty natychmiast. - Cóż, mam nadzieję, że niedługo będę mogła poznać Gemmę i że mała będzie mogła do nas przyjechać...

- Byłaby naprawdę zachwycona - odparła Jenny ciepło. - To zawsze był problem, bo jeszcze nie dorosła do samodzielnych podróży, a mnie jest bardzo ciężko wygospodarować cały weekend, żeby odwieźć ją na miejsce, a potem po nią przyjechać.

Bramble zapisała sobie numer do Sereny, obok numeru Jenny, a potem schowała kartkę do kieszeni. Działała jak w transie.

Wrócił Nat z herbatą.

- Co się stało?

- Dzwoniła Jenny.

Twarz pociemniała mu z gniewu.

- Mówiłem ci, że są przez nią same kłopoty. Dlaczego, do cholery, odebrałaś telefon?

- Pomyślałam, że może ktoś potrzebuje kowala. Powiedziała mi o Susan. I o Serenie.

- Och, na pewno nie mogła się doczekać, aż ci opowie! Założę się, że temat wypłynął w pierwszych paru zdaniach. Suka i manipulantka! To ja powinienem ci opowiedzieć o Susan i Serenie.

- No właśnie, powinienesz. Dlaczego nie opowiedziałeś?

- Bo to potwornie boli. Serena zostawiła nas wszystkich, poszła na studia i kontaktuje się tylko wtedy, kiedy potrzebuje kasy. A ja próbowałem być dla niej ojcem! Nie mogę znieść rozmowy o żadnej z nich, nie z ludźmi, którzy nie znają sprawy! Czas płynie, a mnie jest coraz trudniej wytłumaczyć, że mam pasierbicę, o której nic ci nie mówiłem. Rozumiesz?

- No cóż, zrozumieć mogę, tylko... Powinienesz wyjaśnić mi to nieco wcześniej.

- Nosilem się z tą myślą - odparł. - Wielokrotnie. Ale ciągle wypadalo coś innego. Prowadzisz życie wypełnione po brzegi, Bramble, i czasami trudno jest ci powiedzieć coś ważnego między stajnią a zawodami. Skupić na problemie twoją uwagę.

Bramble pomyślała o Savannah i aż się skuliła.

- Wiem. Przepraszam.

Cięzko przysiadł obok i wziął ją za rękę.

- Nie, to ja jestem winien przeprosiny. - Pokręcił głową. - W głowie się nie mieści. Jedna krótka rozmowa z Jenny i koniec zaufania... - W jego głosie pobrzmiwała desperacja.

Bramble odpowiedziała uściskiem. -Zaufanie jest na swoim miejscu. Ale, faktycznie, zastanawiam się, dlaczego mi nie powiedziałeś. Przymknął oczy i odezwał się bardzo cicho:

- Przez lata chciałem zapomnieć o Susan. Ty straciłaś męża, ja żonę. Nie widziałem najmniejszego powodu, żeby rozdrapywać przeszłość i niepotrzebnie się denerwować. A ponieważ Serena nie utrzymuje ze mną kontaktu, odkładałem tę opowieść na święty nigdy. Żeby nikt nam nie przerywał rozmowy. Dla mnie najważniejsza jest przyszłość. Nasza przyszłość. Czy to brzmi sensownie?

- No tak, owszem, ale ja...

- Ale wszystko zmieniły trzy minuty rozmowy przez telefon z moją byłą żoną, tak?

- Oczywiście, że nie! - wybuchnęła Bramble. - Nic mnie nie obchodzi, co ona opowiada. Nadal cię kocham, oczywiście, tylko...

- Naprawdę? - Złapał ją za ramię tak mocno, że się skrzywiła.
- Przepraszam, nie chciałem, żeby zabołało.

- Puścił jej ramię i odezwał się spokojniej. - Nie umiesz nawet sobie wyobrazić, ile to dla mnie znaczy. Tak przywykłem, że ludzie wierzą w jej kłamstwa, w jej wersję... I patrzą na mnie jak na jakiegoś potwora. Straciłem już nadzieję, że ktoś uwierzy mnie. Jej tak, ale nie mnie.

- Ja ci przecież wierzę. - Bramble była bliska łez.

- Ale proszę cię, proszę, w przyszłości mów mi o wszystkim! Nawet jeśli będzie bolało. Bez tego nie ma zaufania.

Przytulił ją mocno.

- Będę mówił. Oczywiście, że będę. Po prostu nigdy dotąd nikomu nie byłem w stanie zawierzyć. Poza Susan, oczywiście, a kiedy ona zmarła... No cóż, ożeniłem się z Jenny, zanim jeszcze doszedłem do siebie. Nie powinienem był tego robić, w żadnym razie. Teraz to rozumiem, ale człowiek zawsze jest mądry po szkodzi...

Nagle Bramble zmroziła pewna myśl.

- Czy nadal kochasz Susan? Nat uniósł jej twarz ku swojej.

- Najdroższa, kochana Bramble, ciebie jedną kocham. Kochałem Susan, ale ona nie żyje. To wszystko. Nie ma jej. Naprawdę jej nie ma. Szczerze mówiąc, prawie o niej nie myślę, chociaż czuję się nieco winny, kiedy to mówię. Teraz liczysz się tylko ty.

- Jesteś pewien? - Bramble była zbyt znużona, żeby myśleć logicznie.

- Jestem pewien. - Nat pocałował ją, ciepło i czule.

- Teraz musimy porozmawiać o Savannah.

- Tak - zgodził się. - Savannah jest najważniejsza.

Przez następnych parę tygodni Savannah odbębniła pewną liczbę sesji ze szpitalnymi lekarzami, ze swoim lekarzem domowym i sympatyczną psychoterapeutką o imieniu Vikki, nie czując nic poza wrażeniem oddalenia od nich wszystkich. Grzecznie zgadzała się, że śmierć ojca, kiedy miała osiem lat, stanowiła traumatyczne przeżycie i że ta „choroba”, jak ją konsekwentnie określali, najprawdopodobniej została wywołana przez śmierć jej dziadka, zwłaszcza że była przy niej obecna. Znajdowanie odpowiedzi na pytania zdawało się ich uszczęśliwiać, więc w sumie niby dlaczego nie podarować im trochę szczęścia? Przecież ona, Savannah, już nigdy więcej nie będzie szczęśliwa. Lottie już nie wróci.

Stwierdziła, że wszyscy terapeuci to idioci. Ledwie pamiętała Dominika Kelly'ego, a i większości ludzi w jej wieku umarł przynajmniej jeden z dziadków. Lekarze jednak najwidoczniej uważali, że ich pacjentka wychudła, bo nie potrafiła uporać się z tym, co stanowi normalne życiowe doświadczenie. Jakoś nie bardzo mogli pojąć, że musiała być szczupła, aby odnieść sukces, i usiłowali zmuszać ją do jedzenia, żeby znów się zamieniła w tłusty tobół, jakim była przed przyjazdem Jeza. A przecież Jez nigdy by nie pocałował zakalcowatej dziewczyny!

Bramble i Helena przywiozły ją ze szpitala do domu już następnego ranka po Mulberry Hill. Przez mgłę wyczerpania docierała do Savannah napięta atmosfera w samochodzie, ale uznała, że lekarze musieli powiedzieć Bramble coś na temat jej wagi. Była zbyt wykończona, żeby zwracać na to uwagę. Przez całą drogę do domu zapadała w sen i budziła się na nowo, i marzyła, by Jez

przybył jej na ratunek. Żeby było tak, jak się po nim spodziewała.

Niejasno pamiętała, że podjechała do przeszkody numer siedemnaście, oxera, gdzie jakiś facet w deszczu wymachiwał w jej stronę rękami. Kudłata, naturalnie, wystraszyła się go i poniosła w stronę pól. Savannah straciła równowagę, stopa wysunęła jej się ze strzemienia. W żaden sposób nie mogła odzyskać panowania nad koniem, zwłaszcza że w nieprzystosowanych do crossu rękawiczkach nie miała wystarczająco mocnego chwytu. Raczej kurczowo trzymała się wodzy, niż jechała. Przeżyła straszny moment, kiedy Kudłata wykonała jeden z tych swoich wielkich skoków przez jakiś płot, zarzucając nią na boki (klacz zawsze skakała tak, jakby była dużo większa i cięższa). Wylądowały szczęśliwie, ale Savannah ześlizgnęła się z siodła. W pamięci utkwiło jej mętne wspomnienie, że przez parę chwil obijała się o mocno pracującą łopatkę Kudłatej, a potem boleśnie rąbnęła całym ciałem o ziemię, wśród latających kopyt i grud ziemi. Pomyślała, że chyba się właśnie najadła błota, a później wszystko zaczęło wokół niej wirować w zawrotnym tempie. Jednocześnie zdawało się bardzo odległe. Ciało Savannah pulsowało nieznośnym bólem. Leżąc w błocie, przemoczona, przemarznięta do szpiku kości, pokonana i zalana łzami, nie mogła zebrać dość sił, żeby się poruszyć, i czekała, aż przyjdzie po nią Jez.

A on faktycznie przyszedł. „Słonko”, tak się do niej zwrócił; i słyszała w jego przyciszonym głosie miłość i troskę. Wyciągnęła do niego ręce, płacząc jak dziecko,

a on podniósł ją z ziemi. I wtedy wiedziała już, że jest bezpieczna.

Aż do chwili, kiedy powiedziano jej o Lottie. Savannah nadal nie mogła w to uwierzyć. Czowała przyjaciółkę tuż obok siebie, przekonana, że jeśli się obejrzy, będzie mogła z nią porozmawiać. Kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota. Ale potem rozglądała się, a Lottie nie było. Nie potrafiła pojąć, że Lottie odeszła na zawsze.

- Ona nie mogła zginąć - powiedziała, kiedy Bramble przekazała jej smutne wieści. - Razem jechaliśmy na start. Wszyscy troje. Eddie, Lottie i ja. Byliśmy tam razem.

Felicity obserwowała zbierające się szpaki. Tworzyły wciąż zmieniające się, fantastyczne i cudowne formacje w powietrzu, które aż śpiewało ich gwarem. Jaskółki już odleciały, dyskretnie; któregoś dnia po prostu ich nie było. Zastanawiała się, jaka potrzeba pcha ptaki do tysięcy mil lotu, ponad Pirenejami, nad Hiszpanią i Marokiem, a potem jeszcze dalej, ponad bezkresem Sahary, nad którą często padały z głodu lub wyczerpania, żeby wreszcie dotrzeć na najdalej wysunięty na południe kraniec Afryki. Tylko po to, żeby pół roku później odbyć niebezpieczną podróż z powrotem.

Gdyby mogła, czy powiedziałyby im, żeby nie leciały? Czy zwróciłyby się do nich i wytłumaczyła, że powinny zostać tam, gdzie lasy i zarośla obfitują w dojrzałe owoce, a dziki szczaw jest wciąż na tyle zielony, żeby go zbierać? Tutaj pod opadającymi liśćmi rosły grzyby o różnych egzotycznych nazwach - lejkowce dęte,

pieprzniki jadalne, koźlarze czerwone i gołąbki winne - a lasy brzmiały echem szmeru spadających na ziemię orzechów laskowych, buczynowych i włoskich. Tyle tego było, żeby warto było zostać.

Objężdżając codziennie trzy do czterech koni, Felicity czuła, że jej ciało staje się sprężyste i silne, a cienie zaczynają opuszczać umysł.

Pogrzeb Lottie odbył się w małym, wiejskim kościółku, w którym dziewczyna została ochrzczona. Żałobnicy wylewali się przez drzwi, wzdłuż alejek i pomiędzy nagrobne pomniki. Cecily, z twarzą jak śmierć, od stóp do głów w czerni, zupełnie jakby cała została zanurzona w atramencie, samotnie przeszła środkową nawą, trzymając wysoko głowę. Ojciec, który wrócił już z Hongkongu, nie puszczał od siebie na krok żony ani dwóch przyrodniczych braci Lottie, zupełnie jakby się bał, że ich też może utracić. Przyszli wszyscy - matki i dzieci z Klubu Kucyka, cały autobus zalanych łzami dziewczyn i ich poważnych nauczycielek ze szkoły Lottie, stajenni Toby'ego, rozmaici trenerzy i jeźdźcy, z którymi Lottie pracowała przez lato - z twarzami, w których zgasło wszelkie światło, wciąż zachodzący w głowę, czy nie mogli nauczyć jej czegoś więcej, tej jednej rzeczy, która być może ocaliłaby jej życie. Żeby pożegnać szczupłą dziewczynę, która zawsze się do nich uśmiechała, mijając ich w wioskowych alejkach, pojawiła się większość mieszkańców Martyr's Forsta. Pauline, z twarzą poraną głębokimi zmarszczkami żalu, przyjechała z Tobym, którego opalenizna jakoś wyblakła i zżółkła.

- Nie wiem, jak on śmie się tu pokazywać! - syknęła

Savannah. - Przecież on ją praktycznie zabił, sprzedając jej Vincenta!

- Cokolwiek byś mówiła o Tobym - odezwała się Felicity - nigdy nie brakowało mu odwagi. A Lottie nie zginęła tylko dlatego, że Vincent był dla niej za silny.

Savannah obserwowała Toby'ego spod oka. Było w nim coś, co sprawiało, że w jego towarzystwie zawsze czuła się mocno nieswojo. Pomyślała, że Felicity chyba nie mówi jej wszystkiego.

A ludzie napływali: pracownicy firmy handlującej paszami, sklepu z uprzężą, stary kowal Roberts, człowiek, który co dwa miesiące przyjeżdżał sprawdzać kondycję końskich grzbietów, nawet pracownicy stajni, w której Lottie początkowo trzymała Sailora. Zjawili się bladą, milczącą grupką. Organizatorzy Mulberry Hill wysiedli z samochodu, z kamiennymi twarzami. Oczywiście, miało się odbyć śledztwo, ale nie należało się po nim spodziewać jakichś nadzwyczajnych rozstrzygnięć. Pogoda, chociaż kiepska, załamała się tak nagle, że gdyby nawet Pauline dysponowała radiem, było mało prawdopodobne, że bieg zostałby przerwany, a do ostatniego skoku Lottie nie doszło. Ludzie nadchodzili przykościelną alejką, a samochody lawirowały wąskimi przejazdami. Felicity szacowała zebranych na plus minus czterysta osób. Wszyscy byli spragnieni bliskości - splecione dłonie, ramiona obejmujące czyjeś plecy, trzymanie pod łokcie - jakby tylko mocno do siebie przywierając, mogli powstrzymać bliskich przed odejściem. Zupełnie jakby nagle zobaczyli, jak wąska jest granica między życiem a śmiercią.

- Lottie była taka cicha i nieśmiała... - szepnęła Savannah. - Nie przypuszczała, że kochało ją aż tylu ludzi. Szkoda, że nie może tego zobaczyć.

Felicity zerknęła na siostrzenicę, ale zobaczyła tylko pochyloną głowę i ostro zarysowane kręgi szyi. Na dłoń Savannah kapnęła duża łza.

- Była taką dobrą przyjaciółką, a ja tak rzadko miałam dla niej czas! Zapraszała mnie do wspólnego robienia różnych rzeczy, a ja odmawiałam. - Jej kościste ramiona zadrżały. Mocno ścisnęła dłoń Bramble; z drugiej strony chroniła obie potężna postać Nata. Felicity przyjrzała się jego szerokim barom. Miejmy nadzieję, że będzie dla Bramble dobry, westchnęła w duchu. Obejrzała się za siebie i jej oczy napotkały spojrzenie Pauline. Rzuciła jej milczące wyzwanie, czytelne dla obydwu.

Po pogrzebie Helena uparła się, że przemówi Eddiemu do rozumu. Rozsiadła się w kuchni w Lorenden, a on oparł się o kuchenny blat, popijając piwo z puszki.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodziło? - spytała ostro. - Teraz już wiesz, dlaczego nie chciałam, żebyś się angażował w to, co się tutaj dzieje.

- Ja nadal chcę brać udział w zawodach - powiedział Eddie. - Koń Lottie był dla niej za silny. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Zawsze znajdzie się jakaś wymówka! Przez całe życie ich słuchałam! To zawsze była czyjaś wina, zawsze był jakiś powód, dla którego żadna rozsądna osoba w ogóle by nie pojechała albo nie jechałaby akurat w taki sposób. Prawda jest taka - uderzyła dłonią w blat

stołu - że to niebezpieczny sport i nawet najlepszy jeździec na najlepszym koniu, przy idealnych warunkach na torze, może się zabić. Albo przynajmniej potwornie pokaleczyć.

- Tak bywa - odparł Eddie. -1 ja o tym nie zapominam. Ale większości się to nie zdarza.

Helena wbiła w syna spojrzenie swoich błyszczących błękitnych oczu, teraz połyskujących od łez.

- Chcesz skończyć jak Dom albo Lottie?

- Nie skończę jak oni. Ale proszę cię, przez wzgląd na Lottie, pozwól mi przeżyć ten smutek. I nie zamieniaj wszystkiego w wykład na temat tego, jak powinno wyglądać moje życie.

- Eddie, to jest niebezpieczne! - krzyknęła.

Eddie pochylił się i oparł łokcie na kuchennym stole. Ujął obie dłonie matki, wokół każdej łagodnie zaciskając palce.

- Mamo, ja niczego nie chcę tak jak tego. Bez zawodów moje życie nie będzie nic warte. Myślę o tym, kiedy kładę się spać, a potem od nowa, zaraz po przebudzeniu. Każda książka, którą czytam, każdy program, jaki oglądam, każda chwila każdego dnia... A ja ciągle myślę tylko o tym, co jeszcze mogę zrobić, żeby stać się lepszym jeźdźcem. Czy ty nigdy niczego tak nie pragnęłaś?

Po policzku Heleny, która uważnie przyglądała się dłoniom syna, jakby chciała zapamiętać każdą ich linię i kształt, spłynęła łza.

- Tak - szepnęła po paru chwilach. - Tak, rozumiem. Tym czymś jest dla mnie aktorstwo. Inni... - dodała,

uśmiechając się do Eddiego przez łyżę. - Ci ludzie, którzy tak nie myślą. Oni tego nie rozumieją, prawda?

Eddie odpowiedział uśmiechem i cmoknął ją w policzek.

- Dzięki, mamó, jesteś super. Zawsze byłaś.

Z drugiego krańca kuchennego stołu patrzyła na niego wielkimi, głodnymi oczami Savannah, bez apetytu skubiąc tosta. Eddie zerknął na nią znad głowy Heleny. Moja cioteczna siostra wygląda jak mały, smutny chochlik, pomyślał.

- Eddie jest wprost niesamowicie dojrzały emocjonalnie! Jak na osiemnastolatka, naturalnie - opowiadała wszystkim Helena przez kilka następnych tygodni. - On i ja jesteśmy jedyni w swoim rodzaju. Chyba po prostu muszę być dzielna.

34.

Savannah była ważona raz w tygodniu, ale nadal bardziej traciła kolejne uncje, niż przybierała na wadze. Bramble była przerażona.

- To bardzo ważne, żeby siadać do posiłków całą rodziną - powiedziała jej Vikki, psychoterapeutka. - **1** nie za późno. Powinniście wszyscy być przy stole około szóstej czy wpół do siódmej i jadać wspólnie. Jeśli poczekaś do siódmej, to mała zdąży coś skubnąć na boku i niekoniecznie będzie to właściwe coś.

- Ale - odparła Bramble, czując, że terapeutka ma rację - ja wtedy zwykle udzielam lekcji. A to by oznaczało gotowanie obiadu około piątej, kiedy karmimy konie.

- Pani Kelly. - Pióro Vikki zawisło nad notatnikiem. - Co jest ważniejsze? Kolacja pani córki czy konie?

Bramble doskonale wiedziała, co na tak postawione pytanie odpowiedziałby jej ojciec.

Nat zaproponował, że weźmie udział w którejś sesji, ale nie zgodziła się na to Savannah.

- Mam nadzieję, że kiedy wyjdę za Nata i będziemy

mieli własny dom - powiedziała Bramble do Vikki - Savannah poczuje się bezpieczniej. Na razie moje plany są w rozsypce, a to na pewno nie pomaga.

-Hm... - powiedziała Vikki, marszcząc brwi nad notatnikiem.
- Możliwe, że masz rację.

- Nie mam pojęcia, co robić - wyznała Bramble Helenie. - Nikt nie może do niej dotrzeć!

Helena wreszcie powiedziała siostrze, że widziała Jeza i Savannah na strychu w wieczór zaręczyn Bramble.

- Ja wiem, że puszczasz mimo uszu ludzkie gadanie, ale moim zdaniem to część problemu Savannah. Słyszałaś od Nata, że Jezowi zdarzały się romanse z bardzo młodziutkimi dziewczynami.

Bramble przypomniała sobie tamtą noc w koniowozie i poczuła się absolutnie, całkowicie zdradzona.

Nie ze względu na jakieś seksualne historie, ale dlatego, że gadali wtedy, leżąc w mroku, a ona miała wrażenie, że mogą sobie zaufać. Uważała, że byli ze sobą szczerzy.

Szła, trzęsąc się ze złości, i wspominała bliskość w ciemności, skóra tuż przy jego skórze; jakby od zawsze było to należne jej miejsce. Czowała się wykorzystana i obnażona, I jeszcze myśl, że w tajemnicy dłoń Jeza dotykała twarzy jej córki, że jego usta całowały usta Savannah... To było brudne jak igraszki w trójkacie, o których czyta się w szmatławych gazetach, albo po prostu smutne i sprośne jak historia, którą opowiedział jej Nat. Ta o romansie Jeza jednocześnie z matką i z córką.

Znalazła go w stajni, gdzie okrywał derką Kudłatą. Opuściły ją resztki nadziei, bo wyczytała w jego oczach, że Jez doskonale wie, po co tu przyszła.

- Przykro mi - powiedział.

- Przykro?

- Ze względu na Savannah.

Bramble, na dźwięk stanowczego postanowienia w jego głosie, poczuła pod powiekami łzy. To nie były słowa człowieka, który zakochał się w jej córce. On się wstydził.

- Pocałowałaś ją.

Jez chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. Skinął głową.

- Więc cokolwiek znaczył ten pocałunek, i co się za nim kryło, nie zamierzasz uczestniczyć w jej życiu?

Pokręcił głową.

- Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić. Proszę, uwierz.

- Co ty sobie wyobrażałeś? - zagotowała się. - Ona jest taka młoda i taka bezbronna... Podziwiała cię jak ojca.

Twarz miał jak z kamienia.

- Oczywiście, zrezygnuję z posady.

- Chcesz nas opuścić? - Chociaż wieczór był ciepły, Bramble zrobiło się zimno. - Wyjechać? Tak nagle?

Jego twarz była bardzo blisko. Nie dawało się z niej niczego wyczytać.

- A co z twoją karierą? I kto będzie objeżdżał konie?

- Ty - odparł. - Musisz wyjść z tej swojej skorupy i zacząć żyć!

Odwróciła się, niezdolna do odpowiedzi, a Jez odezwał się ponownie.

- Mogę się pożegnać z Savannah?

- Spróbuj nie zranić jej bardziej, niż ci się udało - powiedziała, odchodząc, żeby ukryć wściekłość. Miała ochotę go zamordować.

-Bramble... Przystanęła. , -Tak?

- Ty sama... - odparł. - Sama możesz zwyciężyć. Kudłata zawiedzie cię na szczyt. O ile tego właśnie chcesz. Nie przelewaj swoich ambicji na Savannah, to nie zrobi dobrze żadnej z was.

Bramble odeszła bez słowa. Piekły ją łzy. A więc to jej wina? Nie spodziewała się, że Jez tak po prostu zwali wszystko na jej barki.

Dzisiaj Savannah jadła z Donną. Zorganizowanie zalecanych przez Vikki codziennych wspólnych posiłków okazało się niewykonalne, więc Bramble wyznaczyła nieformalne dyżury. Wszyscy na zmianę przygotowywali kolację dla jej córki i na zmianę w niej uczestniczyli. Z Donną i tymi jej posiłkami z mikrofalówki w przypominającym gołębnik mieszkanku było stosunkowo najłatwiej. Ona nie obserwowała każdego kęsa, jaki Savannah brała do ust, i nie traktowała jej jak chorego dziecka.

- No i? - spytała. - Znalazłaś chłopaka?

- W pewnym sensie. - Savannah się zarumieniła. Utrzymanie w sekrecie uczucia do Jeza nie było łatwe. Chciała o nim rozmawiać: o tym, jak wziął ją w ramiona, o pocałunku, o wszystkim, co czuła, i o sposobie, w jaki zawsze się do niej zwracał... Jakby była kimś szczególnym. Potrzebowała z kimś pogadać, bo Lottie odeszła, pozostawiając po sobie wielką wyrwę. - No cóż, nie do końca. Nie nazwałabym go chłopakiem.

Oczy Donny zalśniły.

- Nadal Joz?

- Nie! To znaczy, tak, ale... - Savannah w dziwny sposób sprawiało przyjemność zachowywanie tych wspomnień dla siebie. Nieoczekiwanie poczuła głód i uniosła do ust widelec z kolejnym kęsem pasterskiej zapiekanki.

- Pocałował cię? - domyśliła się Donna. Odpowiedział jej błysk w oczach Savannah.

- Spałaś z nim? . Widelec zawahał się w pół drogi. -Nie, my... Nie śpieszymy się. Donna westchnęła.

- Widzisz, Savannah, ty nic nie wiesz o facetach. Nigdy nie zostajesz dziewczyną takiego, dopóki się z nim nie prześpisz. Tak czy siak, nie powinnaś ufać Jezowi. To gość, który sypia ze wszystkimi.

- Nieprawda. Niby skąd o tym wiesz? Oczy Donny zapłonęły.

- Puknął Felicity. Widziałam, jak schodziła na dół z jego pokoiku. Któregoś ranka.

Savannah odłożyła widelec. Ile kalorii zjadła? Czy Jez może kochać grubaskę?

- No tak - powiedziała, usiłując, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Ale to było przed nami.

Słowa Donny zwarzyły jednak dobry nastrój i wkrótce potem Savannah sobie poszła. Czy komuś, kto miał Felicity, spodoba się ona, Savannah? Albo ktokolwiek inny? Różnica pomiędzy jednym pocałunkiem a spędzeniem z kimś nocy - być może wielu? - była tak wielka, że nagle tamten krótki, niezapomniany uścisk gwałtownie

stracił na wartości. Czy ona się wtedy narzucała? Jeza musiało to straszliwie krępować... Savannah zawstydziała się śmiertelnie. Wizja wspaniałego związku runęła, wypaczona w miałki i godne politowania natręctwo. Prawdziwa miłość? A skąd, zadurzenie uczennicy!

Może właśnie tak to widzieli wszyscy inni. Helena może i nie mówiła jej niczego prosto w oczy, ale na pewno opowiedziała komuś - może wszystkim? - za jej plecami. Koniec końców będą chcieli wiedzieć, co zaszło, a potem zaczną się z niej śmiać. A ona będzie musiała powiedzieć... No, co może im powiedzieć? Nie widząc na oczy, zeszła na dół z gołębnika Donny i potykając się, ruszyła ze stajni do domu. Nie zasługiwała, żeby żyć.

- Savannah. - Usłyszała łagodny głos Jeza. Znalazł ją w zakątku ogrodu. Serce zabiło mocniej.

- Savannah, wyjeżdżam...

- Nie! - krzyknęła. - Ale nie przeze mnie? Powiedz mi, że to nie przeze mnie!

- Cii - powiedział. - To nie twoja wina. To w najmniejszym stopniu nie była twoja wina.

- A więc to jednak w związku ze mną! Helena musiała wygadywać jakieś głupoty, okropne głupoty...

- Savannah, czy ty rozmawiałaś o tym z matką? Albo z kimś innym?

- Nie! I proszę, nie mów nic nikomu, ja tego nie zniosę! Czuję się jak kompletna idiotka!

- Oczywiście, nie będę o tym z nikim rozmawiał. A ty nie jesteś żadną idiotką - powiedział. - Jesteś fantastyczna. Gdybym miał dwadzieścia lat mniej, tobym się w tobie zakochał. Ale jestem za stary.

- Nieprawda. Nie jesteś. - Savannah złapała go za rękę; kapały na nią wielkie łzy. - Nie zostawiaj nas! - płakała. - Nie damy sobie rady bez ciebie! Dziadka nie ma, a teraz mama wychodzi za Nata, a Helena i Felicity tu mieszkają i wszystko tak strasznie się pozmieniało, i to już w ogóle nie jest mój dom. Wniosłeś tu tyle szczęścia, proszę cię, proszę, nie odchodź!

Tez otoczył ją ramieniem.

- Musisz mi coś obiecać.

- Wszystko. - Savannah uniosła twarz.

- Musisz jeść. To, co teraz robisz samej sobie, zagraża wszystkiemu. Nie mając siły i kondycji, nie będziesz w stanie startować w zawodach. Narażasz swój organizm na szwank. Może nie rozwiniesz się prawidłowo i nie będziesz mieć dzieci. Ta głódówka źle działa na twój mózg i sprawia, że nie możesz bawić się z przyjaciółmi...

- Nie chcę się bawić. Nie mam żadnych przyjaciół. I strasznie się boję.

- Savannah, popatrz na mnie. Jesteś jedną z najdzielniejszych i najwytrwalszych osób, jakie spotkałem w życiu. Wykorzystaj tę odwagę.

Helena zerknęła przez okno swojej sypialni i zobaczyła Jeza trzymającego Savannah w mocnym uścisku.

- Boże drogi! - wymamrotała pod nosem, zbiegając na dół po schodach, żeby ich rozdzielić. - Tego faceta nic nie powstrzyma!

35.

Wyrwała krzyczącą Savannah z objęć Jeza i na wpół ją zaciągnęła, a na wpół zaniosiła do domu. Savannah płakała głośno w swoim pokoju przez bite dwie godziny, odmawiając rozmowy i z Bramble, i z Heleną. Eddie wrócił z jazdy i poszedł na górę.

- Ze mną też nie chce gadać - powiedział. Bramble zostawiła tacę z jedzeniem pod drzwiami, gdzie pozostała nieruszona do wieczora. Następna też. I następna.

- Ona nic nie je - powiedziała do Heleny następnego dnia przerażona Bramble.

- Jeśli to potrwa - usłyszała w odpowiedzi - będziesz musiała umieścić ją na oddziale zamkniętym. - Na widok spanikowanej miny siostry dodała: - No wiesz, dać ją do psychiatryka z paragrafu któregoś tam ustawy o opiece zdrowotnej. Jako osobę stanowiącą zagrożenie dla samej siebie.

- Ja wiem, co oznacza oddział zamknięty. Savannah nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- No cóż, dzieci nie powinny się głodzić na śmierć - odparła Helena.

- Ale się głodzą! - odparła Bramble, zrozpaczona i przerażona. - Felicity, błagam cię, zrób coś.

Felicity poszła na górę i przyłożyła usta do dziurki od klucza jak do małego mikrofonu. - Savannah?

Odpowiedziało jej milczenie. Chciała odezwać się ponownie, ale nagle usłyszała stłumiony głos:

- Toby Fitzroy mówił, że jesteś mu coś winna. I że Beaumontowie zawsze uciekają.

Felicity miała już powiedzieć, że nie ma pojęcia, o co Savannah chodzi, ale ciągłe udawanie w końcu zmęczyło i ją.

- Toby Fitzroy ma rację - szepnęła przez dziurkę od klucza.

Chwilę później drzwi pokoju Savannah otworzyły się na oścież.

- Toby Fitzroy ma rację? Chyba nikt nigdy nie powiedział czegoś takiego w tym domu?

- No cóż, może trzeba było. - Znużona Felicity przysiadła na piętach. - Faktycznie jestem mu coś winna i faktycznie uciekłam. A ty teraz robisz dokładnie to samo. Nie jedząc i zamykając się w swoim pokoju.

Drzwi zamknęły się z hukiem. Dziesięć punktów na dziesięć za takt, pomyślała Felicity. Nie udało się.

- Nie chcę, żebyś powtarzała moje błędy - powiedziała do dziurki. Bez odzewu.

Już miała zejść z powrotem na dół, kiedy Savannah zamasyście otworzyła drzwi.

- Dlaczego wyjechałaś?

Przez chwilę myślała, że Felicity jej odpowie, ale oczy ciotki znów zrobiły się niedostępne.

- Kiedy patrzę na ciebie - powiedziała - widzę samą siebie. Tylko zbuntowaną w nieco inny sposób.

Savannah nie miała pojęcia, o co chodzi. Słowa Felicity brzmiało tak jak te rzeczy, które dorośli mówią po pijaku. Jeśli nie ucieknie się przed nimi od razu, gotowi są powtarzać to bez końca.

Miała szczerą ochotę zatrzaskać drzwi, ale zamiast tego wzięła głęboki oddech.

- Jeśli mi wyjaśnisz, uczciwie i szczerze, i nie będziesz próbowała niczego przede mną ukrywać, i nie będziesz mnie okłamywać, żebym się nie martwiła, i jeśli oszczędzisz mi tych bzdetów, które mi wmawia matka... Jeśli mi powiesz, dlaczego wyjechałaś, wyjdę stąd.

- Tylko jeśli ty najpierw coś zjesz.

Savannah mocniej zacisnęła dłoń na krawędzi drzwi.

- Nie mogę - powiedziała wreszcie. Po jej twarzy spłynęła łza.
- Ja po prostu nie mogę.

Felicity otworzyła ramiona i przygarnęła siostrzenicę do siebie.

- Chodź na dół i spróbuj. Opowiem ci wszystko, przysięgam. - Ujęła twarz Savannah w swoje dłonie. - A potem, kochanie... Proszę cię, ja znam takie miejsce, gdzie być może zdołają ci pomóc. Ale będziesz tam musiała zostać przez parę tygodni. Może nawet dłużej. I będziesz musiała mi zaufać.

Savannah pokiwała głową.

- Dobrze.

Przez kilka kolejnych godzin trwało zamieszanie

- rozmowy telefoniczne i pośpieszne pakowanie toreb
- a potem Savannah znalazła się na tylnym siedzeniu samochodu Heleny. Matka siedziała obok i trzymała ją za rękę, a na przednim siedzeniu pasażera tkwiła Felicity. Nie było teraz czasu na rozmowy, a Savannah była zbyt zmęczona i przestraszona, żeby w tej chwili słuchać historii z zamierzonych czasów, ale Felicity obiecała, że opowie jej wszystko. Jak tylko Savannah poczuje się silniejsza.

Zaprowadzono ją do małego białego pokoiku, z dwoma schludnie zasłanymi łózkami, przy których stały sosnowe nocne szafeczki; była tam jeszcze komoda i szafa. Wnętrze przypominało Savannah więzienną celę, ale za oknem widać było pola i drzewa, których liście mieniły się brązem, złotem i miedzią. Przyszła Vikki z informacją, że pod wieczór będzie spotkanie, tak około piątej, i że Savannah musi się tylko przedstawić i posłuchać. Wszyscy są po to, żeby jej pomóc. Nie ma powodu do zdenerwowania.

Savannah pocałowała na do widzenia matkę, Felicity i Helenę, i ogarnęła ją wielka ulga. Wreszcie ktoś inny weźmie na siebie ten potworny, przerażający ciężar i zwróci jej, Savannah, jej własne życie.

W Lorenden, kiedy bliźniaki zostały już położone do łóżek, a Ollie poszedł do pubu, Felicity otworzyła butelkę wina i wyciągnęła trzy kieliszki.

- Nie, dzięki. - Helena zabrała ze stołu ten przeznaczony dla siebie i wyjęła zwykłą szklanę.

Bramble i Felicity wytrzeszczyły oczy.

- Nie mów mi, że i ty zamierzasz zameldować się w klinice - rzuciła Felicity lekko. - Jak rozumiem, ośrodki rehabilitacyjne zapewniają teraz wspaniałe możliwości nawiązywania zawodowych kontaktów.

- W sumie to nie. - Helena naląła sobie do szklanki soku pomarańczowego. - Chociaż dawna Helena na pewno wzięłaby się za to metodycznie. Dowiedziałyby się, gdzie teraz trzeźwieją sławy, a później umówiła na serię wywiadów na „po wyjściu” i pozwoliła fotografować z nowymi najlepszymi przyjaciółkami, które okazały jej tak niesamowite wsparcie.

Jedną rzecz trzeba jej przyznać, pomyślała Bramble. Umie się z siebie śmiać,

- Ale ja to robię dla siebie - ciągnęła Helena. - Naprawdę dla siebie, a nie dla kogoś, kto widzi swoje życie tylko przez pryzmat stron w kolorowych czasopismach. Chcę przestać pić. Nie chcę, żeby życie mijało mi na rauszu. Wiem, że jestem dość dzielna, żeby sobie poradzić z tym, co mi przyniesie. A kiedy patrzę na tę naszą biedną, małą Savannah... No cóż, zaczynam się wstydzic.

- Ale dlaczego ty? - rzuciła ostro Bramble. - Jeśli ktoś powinien się wstydzic, to ja.

Helena i Felicity zamarły. W popłochu szukały jakiejś uspokajającej odpowiedzi.

- Bram, kochanie, zrobiłaś, co mogłaś - powiedziała Helena. - Musiałaś sama prowadzić ten interes i wychowywać dziecko. Nikt inny nie zdołałby zrobić więcej.

- Byłaś po prostu zajęta - dodała Felicity. -1 tyle. Nic nie mogłaś na to poradzić.

- Musimy porozmawiać.

Bramble po raz ostatni tego wieczoru zajrzała do koni i stamtąd pognąła prosto do Nata.

Jez wyjechał. Bez pożegnania. Najpierw zauważyła, że nie ma jego samochodu. Poszła na palcach na górę, do jego mieszkania i z wahaniem zapukała do drzwi. Niedomknięte, otworzyły się same. W ciągu paru godzin znikły wszelkie ślady jego obecności.

Obeszła poddasze, schylając się pod niskimi lukarnami, wspominając wieczory, kiedy siadywali przy kuchennym stole, dyskutując o koniach. Jez w stajni, ta jego naturalna siła, niespodziewane uśmiechy, kiedy powiedziała coś zabawnego, jego zwyczaj milczącego obserwowania innych. Czowała się dzięki niemu bezpieczna. Jakby ktoś jej strzegł.

Jak on mógł to zrobić jej dziecku? Nawet jeśli Savannah się narzucała... Bramble nie dopuściła do tłumaczeń. Zdała sobie sprawę, że nauczyła się ufać Jezowi. Ufała mu głęboko, jak przyjacielowi - nieważne, co opowiadali o nim wszyscy inni! - a on, koniec końców, zawiódł jej zaufanie. To bolało. Przed sobą nie musiała udawać, że jest inaczej.

Zamknęła drzwi. Teraz jej życiem był Nat.

- Chciałabym, żebyśmy się pobrali za jakieś półtora roku - powiedziała.

- Hej! Ale co się dzieje? Spokojnie, opanuj się trochę, Bram.

- Chodzi o anoreksję Savannah. Na pierwszym miejscu jest moje dziecko.

- Ale ja chcę być w tym razem z tobą! Chcę, żebyśmy uporali się z tym wspólnie!

Bramble milczała przez chwilę.

- Jej grozi śmierć, Nat. To nie są żarty. Ona waży trzydzieści osiem kilo. Myślałyśmy, że uda nam się nad tym zapanować, i przez chwilę nawet się udawało, ale ostatnio był u nas taki młyn... Dlatego muszę ograniczyć do minimum wszystko, co mnie rozprasza. Muszę dojść do ładu ze sobą, muszę wyleczyć Savannah. A potem będę mogła wyjść za ciebie za męża, wiedząc, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

- Dobrze, rozumiem, że możesz nie chcieć wielkiej imprezy ani niczego takiego. Ale to nie znaczy, że nie możemy się pobrać. Odwołajmy wszystko poza samą ceremonią. Tylko ty i ja...

- Nie - powiedziała Bramble. - Nie mogę tego zrobić bez udziału Savannah. I nie mogę tego zrobić teraz, kiedy jest w takim stanie.

- Ja tylko chciałbym, żebyśmy mogli wreszcie zacząć wspólne życie.

- Ja też bym chciała - odparła Bramble. - **1** możemy. Bez ślubu.

- Ale... - Skąd ta gniewna mina? Serce Bramble zabiło szybciej, niemal ze strachem. - Czuję, że nie jesteś zaangażowana tak, jak powinnaś. Więc nie mogę...

- Czego nie możesz? - Była przerażająco świadoma, że to Nat ją do tej pory podtrzymywał, że on dawał jej pociechę i że w każdej sytuacji cieszyła się jego pełnym poparciem. Oraz że tego wsparcia nigdy nie odwzajemniła.

Walnął pięścią w stojący między nimi stół.

- Nieważne.

- Powiedz mi.
- Gdybyśmy kupili coś dla siebie... Coś własnego. Nie, zapomnij. O takich rzeczach nie powinno się rozmawiać.
- Powinno się - zapewniła go Bramble. - Bo ja jestem zaangażowana.
- Kawałek dalej przy tej ulicy jest dom z warsztatem. Gdybym go kupił, mógłbym rozwinąć firmę i założyć prawdziwą kuźnię. Mógłbym, poza kuciem koni, robić ogrodzenia i zajmować się kowalstwem artystycznym. Przyjąć czeladnika, stworzyć coś na naszą wspólną przyszłość. Nie tracić już więcej kasy na wynajem. Chciałbym, żebyśmy oboje mogli spełniać swoje marzenia. Na pewno to rozumiesz.
- Mielibyśmy tam mieszkać? - spytała zaniepokojona Bramble.
- Mieszkanie można komuś wynająć. Albo się tam przenieść. Zdecydujemy, co będzie odpowiadało nam obojgu. - Podkreślił słowo „obojgu”. - Dlatego właśnie chcę, żebyśmy działali jako zespół. Podejmowali wspólne decyzje.
- A teraz nie możemy?
- No cóż... Mnie, jako wolnemu strzelcowi, który dopiero od paru lat pracuje w zawodzie, nie tak łatwo dostać kredyt bez zabezpieczenia. A dom na współwłasność stanowi jakieś zabezpieczenie. A teraz nie mogę cię o to prosić, prawda? Żebyś poręczyła za mój kredyt?
- Ależ możesz - powiedziała Bramble, zanim na dobre dotarło do niej, co mówi. - Naturalnie, że możesz. Mam swój udział w Lorenden. To nie gotówka, ale jako poręczenie wystarczy.

- Nie mogę tego przyjąć. Nie, dopóki nie będziemy małżeństwem.

- Oczywiście, że możesz. Jak najbardziej. - Nareszcie pojawiło się coś, co ona mogła zrobić dla niego.

- Zgodziłabyś się? - Twarz Nata zajaśniała. - Bramble, dla mnie to szalenie istotna różnica. To znaczy, że we mnie wierzysz. Ze wierzysz w nas. I to nie tak, że kiedykolwiek wykorzystałbym te pieniądze. To tylko taka papierowa formalność.

- Nie przejmuj się - powiedziała Bramble, z niezadowoleniem dostrzegając, że ta cała sprawa uwiera ją niepokojąco. Powinna się zdobyć na szczodrość. A on ma rację. Każde z nich potrzebuje własnych marzeń.

Pocałował ją.

- Jesteś wspianiała. Ja będę wspierał cię, a ty mnie. Na tym opiera się partnerstwo, nieprawdaż?

Savannah wróciła do domu z Hightrees House, jak nazywano klinikę, w połowie drugiego tygodnia pobytu, w nagrodę za to, że nieco przybrała na wadze i przestrzegała zasad ośrodka. Darcy i teriery oszalały ze szczęścia. Savannah rzuciła się na starą, rodzinną kanapę i odetchnęła zapachem koni, pasty i domowego jedzenia, z ledwie wyczuwalną nutką mokrej psiej sierści, jakby wąchała najdroższe perfumy świata.

- Obiecałaś - przypomniała Felicity. - Że opowiesz mi wszystko.

Felicity wzięła głęboki oddech. Nigdy nie opowiadała tej historii nikomu, poza Merlinem, i bała się wskrzeszać swój straszny, palący gniew, uczucie tamtego

upokorzenia i przekonanie, że nic już nigdy nie ułoży się jak trzeba. Popatrzyła na Helenę, stawiającą czoło swoim demonom z herbatką w dłoni.

Teraz przyszła kolej na nią. Jesteś korespondentką wojenną, dodała sobie otuchy. Spędziłaś zawodowe życie, relacjonując straszliwe historie innych ludzi. Twoja własna nie jest wcale tak straszna jak to, co zdarzało ci się widywać na własne oczy...

- No dobrze - powiedziała, kiedy wszystkie już usiadły na wielkich sofach w salonie, grzejąc się przy kominku. - Kiedy miałam osiemnaście lat, na początku lat siedemdziesiątych, Londyn był miejscem, gdzie coś się działo. U nas ciągle żyło się jak dwadzieścia lat wcześniej, a ja miałam wrażenie, że gdzieś tam trwa jedna wielka impreza, która mnie omija. Rodzice wydawali się staroświeccy i beznadziejnie niemodni, a wszystko, co mówili - nieistotne. Chciałam zostać jeźdźcem światowej klasy, ale chciałam się też bawić, a wyglądało na to, że tata właśnie tego usiłuje mi odmówić.

Tu, u nas, zabawa oznaczała niedobrego chłopaka. Nazywał się Ricky Mitchell. Miał dwadzieścia dziewięć lat i pochodził z biednej rodziny. Jego dziadek był Cyganem, ojciec siedział w więzieniu. Ricky miał jedenaścioro rodzeństwa i był wszystkim tym, czego mama i tata dla mnie nie chcieli.

Ale miał też długie, czarne włosy i wąsy jak Che Guevara, i mieszkał na dziko w pięknym, starym georgiańskim domu w Canterbury. Handlował trawką i paroma innymi rzeczami, a jego życie było jedną, niekończącą się imprezą. I był cudowny, z tą swoją całkowitą pogardą

dla świata, z którego pochodziłam. Tu, w Lorenden, mieliśmy sztywne krzesła wokół mahoniowego stołu w jadalnym, u niego zaś siadywało się na wypełnionych plastikowymi kuleczkami pufach i paliło fajkę wodną. My mieliśmy olejne portrety przodków, on - plakaty na ścianach. Jego zainteresowanie mną było najbardziej ekscytującą rzeczą, jaka mi się przytrafiła w życiu do tej pory. Oczywiście, kiedy przyjeżdżał do Lorenden, rodzice wciąż mi powtarzali: „On raczej nie należy do naszej klasy, kochanie”, albo: „Zauważyłaś, jak on trzyma nóż?”, co doprowadzało mnie do szału i sprawiało, że strasznie chciałam im udowodnić, jak się mylą.

Tatę głównie obchodził wpływ Ricky'ego na moją karierę. Wciąż mi powtarzał, że nie wolno mi imprezować po nocach, jeśli czeka mnie wypełniony pracą dzień. Odcinałam się zajadle, że dlaczego nie, skoro on robi tak samo? Ludzie w tamtych czasach pili i balangowali w sposób, który i dzisiaj by was zaskoczył. Ciągle mówiłam, że potępiając trawkę, są hipokrytami, bo alkohol jest równie toksyczny i rodzi o wiele więcej agresji. Naprawdę wierzyłam, jak mnóstwo moich przyjaciół, że świat narkotyków jest znacznie uczciwszy i głębszy... Przecież ludzie, którzy piją, wszczynają bójki, podczas gdy tych, którzy biorą dragi, łączy wzajemne porozumienie na czystszy, bardziej fundamentalnym poziomie. No i, oczywiście, wszystko, co mieli mi do powiedzenia na temat seksu, odbierałam jako skończone bzdury. Wtedy nie mieliśmy AIDS. Miłość była wolna, a przynajmniej tak nam się wydawało.

No więc zaczęłam wymykać się z domu i spędzać noce u Ricky'ego. Zakradałam się z powrotem około

czwartej czy piątej, zanim tata i cała reszta zaczęli się krzątać po stajniach. Ricky nauczył mnie brać amfetaminę i kokainę, żebym po prostu mogła funkcjonować, a ponieważ po nich nijak nie mogłam zasnąć, u lekarza załatwiłam sobie środki nasenne, tak na wszelki wypadek. Żyłam na chemicznej karuzeli.

Tata właśnie został członkiem szerokiej brytyjskiej kadry i wszyscy byli absolutnie przekonani, że znajdzie się w ostatecznym składzie reprezentacji olimpijskiej. Potem jednak jego koń, Breezy, zerwał sobie ścięgno - co jest, jak same wiecie, katastrofą - i ojciec został bez wierzchowca. Miał oko na jednego, który nazywał się Merlin's Magic i należał do Toby'ego Fitzroya. Słyszałyście zapewne, że tata umiejętnie pogadał ze starym Fitzroyem i Toby musiał oddać Merlina. Nasz ojciec kupił go wtedy z Pauline, na spółkę. Toby był wściekły, ale tata zaliczył na nowym wierzchowcu parę rewelacyjnych sezonów. Zostali zakwalifikowani do reprezentacji, wybierali się na mistrzostwa świata, a i o ekipie na olimpiadę zrobiło się głośno...

A potem nasi rodzice wyjechali na weekend - co zdarzało im się bardzo rzadko - i zostawili dom pod moją opieką. Bramble i Helena miały nocować u Pauline i Alana, z ich dziećmiakami mniej więcej w tym samym wieku, a ja zostałam ze stajennymi. Oczywiście, zdecydowałam się zrobić imprezę i dałam pracownikom wolny wieczór.

Słowo się rozeszło - przez Ricky'ego, jak sądzę - i nagle w Lorenden pojawiły się setki ludzi. Mnóstwa z nich nawet nie znałam... Zdemolowali dom. Gasili niedopałki na dywanach, rozlewali wino i piwo na meble,

potłukli mnóstwo rzeczy. W pewnej chwili musiałam z jednej z sypialni wygonić nagą parę. Powiedziałam Ricky'emu, że trochę za dużo tego wszystkiego, ale on mi kazał wyluzować i wręczył mi kolejnego jointa. Miałam już w sobie niezły melanz... Przedtem dał mi trochę koki, a pić zaczęłam wczesnym popołudniem.

I wtedy nadjechał wielki, czarny samochód. Wsiadło z niego paru groźnie wyglądających facetów i taki jeden, który wydał mi się strasznie stary, choć miał pewnie koło pięćdziesiątki. Z garnituru sterczał mu potężny brzuch. Weszli do domu, całą grupą, z tym starym facetem w samym środku, a Ricky zamienił z nimi parę słów i skierował ich na piętro.

- To sam najwyższy. - Odciągnął mnie na stronę.

- Jest szefem.

- Szefem czego?

- Boże, jaka ty czasami jesteś strasznie głupia! To Ron.

- Jaki Ron?

- Ron Nie Twój Interes. Chodź i bądź dla niego miła.

- Złapał mnie za rękę. - Bardzo miła.

Zapytałam go, co ma na myśli.

- Nie zgrywaj dziewczycy. Wiesz, co oznacza „miła”. Felicity z trudem przełknęła ślinę. Doszła do części, której wstydziła się najbardziej.

- Powiedział mi... - Ledwie zdołała z siebie wykrztusić. - ...że mam się przespać z Ronem. Żeby zapłacić za narkotyki, które brałam.

- Ty też brałeś - odpaliłam. - I sprzedawałeś je wszystkim. Nie dostawałeś za to pieniędzy?

A on mi na to, że jeżeli go Kocham i tak dalej...

Powiedziałam, że gdyby mnie kochał, nigdy by mnie o to nie poprosił.

I usłyszałam, że przecież uzgodniliśmy, że seks to najmniej ważna rzecz w naszym związku.

- To nie znaczy, że mam spać z kimś, żeby zapłacić za narkotyki - zaprotestowałam.

- A dlaczego nie? - zapytał. - Idziesz taką drogą, że równie dobrze możesz zacząć już teraz.

I wtedy dotarło do mnie, w co się wpakowałam. Nigdy wcześniej nie słyszałam o stręczycielstwie i nie zwracałam specjalnie uwagi na liczne byłe dziewczyny Ricky'ego, które od czasu do czasu winne mu były kasę. Teraz podejrzewam, że wprowadzanie młodych dziewczyn w uzależnienie od narkotyków, a potem przyuczanie ich do prostytucji było już wtedy jednym z jego ubocznych źródeł dochodu. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak te przewijające się przez jego imprezy zabiedzone dziewczyny płaciły za swój nałóg, ani nad tym, do jakiego stopnia on je kontrolował.

Ricky wepchnął mnie do pokoju gościnnego, gdzie Ron już rozpinał pasek od spodni, i zatrzasnął drzwi.

Zaczęłam wrzeszczeć i udało mi się otworzyć je siłą, ale na korytarzu stał na straży inny facet, który ponownie wepchnął mnie do środka. Kolejny krzyknął, że...

- Głos Felicity ucichł tak, że ledwie go było słychać.

- .. że kiedy Ron już skończy, to oni ustawią się w kolejce. Był między nimi jakiś gość z koniem wytatuowanym na przedramieniu, jak mi się zdawało, ale kompletnie nie pamiętam jego twarzy. Zresztą nie pamiętam żadnej. Wszystkie zlały się w okropną, niewyraźną plamę.

- Ale to jest... To jest przestępstwo! - Savannah była oburzona.
- Nie bali się, że wezwiesz policję?
- Mając w domu tyle narkotyków? Nie, z mojego punktu widzenia policja to był wróg.

Felicity przypomniała sobie, jak niezdolnie walczył wówczas jej mózg, usiłując oprzytomnieć. Zaćpana, na wpół pijana, słyszała, że jej własne słowa wychodziły z jej ust chaotyczne i niewyraźne. Nie mogła myśleć składnie ani ustać prosto, ale i tak była świadoma niebezpieczeństwa, w jakim się znalazła, słodkiego zapachu marihuany, muzyki i śmiechu dobiegających tu z parteru i tego muskularnego ramienia z wytatuowanym koniem... Jakie to dziwne, pomyślała. Nie mogła jednak skojarzyć, kto to był ani jaką wtedy odegrał rolę.

Pamiętała natomiast, jak kulila się ze strachu na łóżku i jak waliła pięściami tego faceta w garniturze, bez większego skutku, jak kopała go nogami. Przez chwilę unikał ciosów, a potem przygniótł ją sobą do łóżka, dysząc ciężko.

- Chcesz, żebym zawołał tamtych? Żeby cię uspokoili? Mogę tak zrobić. Widownia mi nie przeszkadza. - Głos miał zachrypnięty, jakby za wiele palił.

Pamiętała ciężar jego ciała i ból, i swój wstyd, i to, jak strasznie długo to trwało, gdy zamknęła oczy i usiłowała leżeć nieruchomo i sztywno. W pewnym momencie przestał i uniósł się na łokciach.

- Hej, wyluzuj! W ten sposób to ty wiele nie zarobisz. - Powieki miała mocno zaciśnięte. - Jak już wybierasz tę drogę, dziewczyno - powiedział i pchnął

ponownie - musisz wkładać w to trochę wysiłku. Klienci... - Pchnięcie. - ..nie płacą dużego szmalu... - Pchnięcie. - ...za coś sztywnego jak deska.

Kiedy było po wszystkim, zbliżył usta do jej ucha.

- Teraz jesteś moja - powiedział tym swoim chrapliwym głosem, ciężko chwytając oddech. -1 nawet sobie nie wyobrażaj, że mi uciekniesz. Masz robić, co ci każę. Zrozumiano?

A potem zsunął się w bok i dosiadł jej okrakiem, jak jakąś poduszkę. Z oczu popłynęły łzy. Ledwie mogła łapać oddech. To lekceważące potraktowanie jej ciała upokorzyło ją bardziej nawet niż sam gwałt.

- Mam coś dla ciebie - dodał. - W ramach podziękowania.

Przysunął spodnie i zobaczyła, że wyjmuje z nich strzykawkę. Alkoholowe i narkotyczne opary rozwiały się nieco i Felicity zobaczyła wszystko nieco wyraźniej. „Skoro idziesz tą drogą...”, powiedział... Miał rację. Zawartość strzykawki mogła stępić cios, który zaraz miał nastąpić; następnych paru godzin prawie by nie zauważyła. W ogóle niewiele już zauważała, poza pragnieniem, żeby wszystko wymazać. Na zawsze. Mimo oszołomienia, udało jej się to zrozumieć. Pokręciła przecząco głową.

- Jak sobie chcesz - powiedział. - Byłoby ci łatwiej. - Ruchem głowy wskazał na drzwi. - Niektórzy chłopcy bywają trochę brutalni, a po tym nie poczujesz bólu.

Niewiele brakowało, żeby się zgodziła. Była mu niemal wdzięczna. Nienawidziła siebie za tę wdzięczność, za ten odruch uczucia, który sprawiał, że napastnik stawał się jej obrońcą. Kiedy wstał i wycierał się skrajem

narzuty, leżała bez ruchu. Odwrócił się i zaczął wciągać spodnie, a ona odczekała, aż włożył drugą nogę w nogawkę. .. Sturlała się z łóżka i rzuciła pędem do zapasowych drzwi, tych w rogu, przypominających drzwiczki do szafki, które prowadziły na klatkę schodową wiodącą na strych i na dół, do kuchni.

Słyszała za sobą jego rozwścieczony krzyk i ciężkie kroki pozostałych mężczyzn. Zbiegała po wąskich, kręconych schodach z wytrenowaną od dziecka prędkością.

Na dole wpadła na wytatuowane ramię i... Tu pamięć ją zawodziła. Pamiętała wyłącznie szarpaninę. Jak stamtąd uciekła?

Ale uciekła. Wybiegła z kuchni na dziedziniec, zanim zdążyli ją dopaść, chociaż nie mogła odbiec daleko na bosaka; wiedziała, że kiedy wyjdą przed dom, dogonią ją bez trudu. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu schronienia. Serce waliło jej tak, że omal nie wyskoczyło jej z piersi. I nagle zobaczyła swoją ulubioną kryjówkę z dzieciństwa, drzewo cedrowe. Pochyliła się i zanurkowała pomiędzy rozłożyste spódnice jego gałęzi, a potem wspięła się, jak mogła najwyżej. Była cięższa i mniej zwinna niż w wieku dziesięciu lat i musiała jakoś sobie poradzić z igłami i gęstwiną gałęzi.

Usłyszała, jak wypadają na dziedziniec, jakieś trzy metry nad ziemią. Przywarła płasko do łuskowatego pnia, oplatając go nogami i zamierając w bezruchu. Zaczęli nawet świecić latarkami po drzewie, ale żaden nie wpadł na pomysł oświetlenia wyższych partii.

Ledwie się utrzymała. Zaczęły ją boleć nogi i ręce, nie mogła wyciszyć oddechu. Miała wrażenie, że

wypuszczane z płuc powietrze rozlega się echem wśród gałęzi, że poruszają się igły.

- Pieprzyć to - odezwał się Ron. - Wiem, jak ją wywabić, nieważne, gdzie się schowała. Niech sobie nie wyobraża, że przede mną można uciec. Wyprowadźcie któregoś konia. Tego tam. Już.

Widziała, że zapalają światła na dziedzińcu, i miała tylko nadzieję, że nie oświetlą jej schronienia. Poszcęściło jej się - blask na dole sprawiał, że była bezpieczniejsza, pogrążając w gęstym mroku wszystko, co znajdowało się na jego obrzeżach. Rozległy się jakieś krzyki i jeden z facetów, na wydane mu polecenie, drżącymi palcami założył koniowi kantar.

- Szefie, on jest wielki! - usłyszała.

- To ja jestem, kurwa, wielki! - dobiegła ją chrapliwa odpowiedź. - Kogo się boisz bardziej?

Usłyszała miarowy stukot kopyt o kamień i w żółtym świetle, dumny i pełen wdzięku, stanął Merlin.

Felicity darowała siostrze i Savannah szczegóły. Zatrzymała dla siebie ciężar cielska Rona, smród jego kwaśnego, zjełczanego oddechu, smak spoconej, niedomytej skóry, tuż przy jej skórze. Opowiedziała im jednak, jak Merlin's Magic, najlepszy wierzchowiec jej ojca, wyszedł ze stajni, ufny wobec prowadzących go ludzi.

- Ludzie zawsze traktowali go porządnie - powiedziała. - Nie miał powodów do podejrzeń i obdarzony był cudownie łagodnym usposobieniem. Był zaciekawiony. Wiele koni zdenerwowałoby się albo zaczęło stawiać opór, ale Merlin po prostu stał tam. Jak zwycięzca.

Ron wyjął nóż i zaczął nim wymachiwać w powietrzu, przechadzając się wokół dziedzińca.

- No dobra! - krzyknął. - Policzę do dziesięciu, a ty wyjdiesz ze swojej kryjówki! Wiemy, że gdzieś tu jesteś!

- Wokół panowała głucha cisza i byłam pewna, że muszą słyszeć mój oddech, ale twardo zamierzałam siedzieć na drzewie. Bardzo bałam się o Merlina, ale nie sądziłam, żeby Ron mógł mu zrobić coś naprawdę złego. Koń ma przecież bardzo grubą skórę. Gdyby Merlin poczuł zagrożenie albo został uderzony, prawdopodobnie to on zabiłby Rona, a nie odwrotnie.

- Jak nie wyjdiesz - zawołał - koń zginie!

- Wiedziałam, że pojedynczemu człowiekowi trudno będzie zranić konia - powiedziała Felicity. - Nie mogłam stamtąd zejść. Nie mogłam. Ja...

- Oczywiście, że nie mogłaś! - rzuciła Bramble. - Nikt by nie mógł. A koń potrafi się obronić. Jest o wiele większy i silniejszy.

- No właśnie! Czekałam tylko, aż zacznie wierzgać, ale Ron nagle wbił mu nóż prosto w sam środek szyi - co samo w sobie wymagało niesamowitej siły - a Merlin stanął dęba. To się zdarzyło tak szybko, że w pierwszej chwili nie zrozumiałam, co się dzieje. Ten drań musiał długo trzymać nóż w garści, bo kiedy Merlin wspiął się na tylne nogi, Ron zawisł na ostrzu, które weszło naprawdę głęboko. O wiele głębiej niż przy zwykłym dźgnięciu.

Merlin się przeraził. Zaczął wierzgać i biegać dokoła dziedzińca, powalił Rona na ziemię i chyba stratował. On, to znaczy Ron, wrzeszczał, a kiedy wyrznął

o kamienie, rozległ się trzask, więc chyba coś sobie złamał. Potem jego ludzie zaczęli krzyczeć i rozbiegli się do samochodów. Z domu też rozległy się wrzaski, wszyscy wybiegli ze środka z krzykiem, a tymczasem Merlinowi udało się uciec z dziedzińca do ogrodu. Tamci faceci pomogli Ronowi wsiąść do auta, ale w pewnym momencie wyrwał im się, przytrzymał dachu i ryknął tak głośno, że zebrani stanęli jak wryci.

- Zapamiętaj sobie! - darł się. - Teraz jesteś moja! Może ci się wydawać, że tym razem ci się upiekło, ale ja cię znajdę!

I to był koniec imprezy. Ludzie się rozproszyli - ktoś najwyraźniej musiał poinformować resztę, co się dzieje - a ja zeszłam z drzewa, by poszukać Merlina. Omal się nie przewróciłam, ślizgając się w kałużach krzepnącej krwi. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co to za lepka substancja klei mi się do stóp... Kiedy skręciłam za róg, do ogrodu, zobaczyłam, że Merlin wciąż biega w kółko, że usiłuje uciec. Ale zaczyna słabnąć. Potknął się raz czy drugi, a potem przednie nogi ugięły się pod nim i powoli przewrócił się na trawę. W ciągu zaledwie paru minut stracił tyle krwi, że nie dał rady...

Zanim przyjechała policja - ktoś ich musiał wezwać, ale nie mam pojęcia kto - już mu grało w płucach: potężny, świszczący wdech, a po każdym długa przerwa. Oczy Merlina zaczęła zasnuwać mgła. Jego klatka piersiowa uniosła się do kolejnego głębokiego oddechu, a potem zapadła cisza. Trzymałam jego łeb i szlochałam, że bardzo mi przykro... Odszedł w chwili przyjazdu weterynarza. Wykrwawił się. Ron trafił w arterię szyjną.

Weterynarz powiedział mi potem, że szanse na to, aby wbić nóż na odpowiednią głębokość i we właściwy punkt, i żeby w dodatku zrobił to jeden człowiek, bez pomocy... No cóż, technicznie było to możliwe, ale nigdy by w to nie uwierzył, gdyby na własne oczy nie zobaczył tego pojedynczego, głębokiego cięcia.

- Czysty pech - skwitował. - Ten, kto zadał cios, nie miał pojęcia o koniach, bo gdyby miał go choć trochę, nie próbowałby czegoś takiego. Narażał się na śmierć.

Większość koni zapewne przetrwałyby taki atak, ale Merlin... Z jego delikatną skórą konia pełnej krwi... Poza tym niedawno został przystrzyżony, co było dodatkową mało sprzyjającą okolicznością. No i ostrze trafiło w tętnicę.

Musiałam powiedzieć tacie. Musiałam stawić czoła nie tylko potwornej śmierci pięknego, niewinnego zwierzęcia, ale i faktowi, że zaprzepaściłam szanse Edwarda Beaumonta na reprezentowanie Wielkiej Brytanii na olimpiadzie. Tej nadchodzącej i wszelkich innych, dopóki nie uda mu się zdobyć konia podobnej jakości. Same wiecie, jak rzadko się trafiają, a jeśli już, to ile trzeba czasu na doprowadzenie ich na szczyt.

Ojciec był wściekły i zimny jak lód. Kiedy zobaczył dom, wszystkie te skręty i bibułki do trawy, i walające się wkoło kondomy, kazał policji mnie aresztować.

- Proszę zatrzymać moją córkę za posiadanie narkotyków - powiedział. - Obawiam się, że mogła handlować.

No więc zostałam zabrana do policyjnego aresztu i przesłuchana. I dowiedziałam się, na ile lat mogę trafić do więzienia, jeśli nie opowiem wszystkiego.

Powiedziałam im więc trochę o Rickym, ale o Ronie nie śmiałam zbyt wiele. A już na pewno nie zamierzałam wspominać o gwałcie. Wtedy nie wyciągało się takich rzeczy... Wiedziałam, że ofiary gwałtu traktuje się niewiele lepiej niż dziwki, i wciąż słyszałam w głowie chrapliwy głos, mówiący, że nigdy przed nim nie ucieknę. Głęboko w to wierzyłam. Teraz już wiem, że byłam w szoku, potwornie przestraszona, ale wtedy rozpaczliwie chciałam uciec jak najdalej od dźwięczących mi w głowie słów.

Nawet kiedy udawało mi się myśleć jasno i logicznie, wiedziałam, że muszę siedzieć cicho. W tej sprawie nic nie było jasne. Jak niby miałabym zidentyfikować te pozbawione twarzy głosy, to wytatuowane ramię, te skrawki i fragmenciki wydarzeń, które sobie przypominałam? Jak miałyby to posłużyć do porządnej identyfikacji? Gdyby nawet się udało, jak miałabym stanąć przed sądem i wysłuchać relacji o moim zachowaniu, jak znieść pytania i krytykę? Nikt by mi nie uwierzył, prawda? Wszyscy by uznali, że działo się to za moją zgodą. Ze sama się prosiłam, czyż nie?

Koniec końców, puszczo no mnie, nie stawiając zarzutów w sprawie narkotyków. „Przy odrobinie szczęścia, będziesz miała nauczki”, powiedziano.

Niemal natychmiast po moim powrocie do domu wybuchła między mną i ojcem dzika awantura. Wrzeszczeliśmy na siebie jak opętani, bo w głowie mi się nie mieściło, jak można posłać do więzienia własną córkę, nieważne, jak źle postąpiła. Szlochałam, że tak potwornie mi przykro. Długo nie mogłam dojść do siebie...

Wyraźnie pamiętała tamto wrażenie nierzeczywistości i bolesną przemianę szczęśliwej, rozbawionej dziewczyny, którą była. Wiedziała, że dawna Felicity nie wróci już nigdy.

Próbowałam mu to jakoś wyjaśnić, ale nie chciał słuchać. Był potwornie wściekły, ciągle mi przerywał i pytał: „No i coś ty sobie wyobrażała? Skoro prowadziłaś takie życie?”. Dał mi do zrozumienia, że cokolwiek się stało, stało się na moje życzenie.

- Nie mogłaś powiedzieć choćby naszej... matce? - spytała Bramble, zacinając się przy rzadko używanym słowie i zastanawiając, jaka właściwie była ta nieznana jej kobieta. Jej samej jawiła się jako niewyraźna postać na zdjęciach, ale przecież, gdyby знаła choć część gehenny Felicity, powinna rozerwać Rona na strzępy gołymi rękami...

- Nie czuła się zbyt dobrze. Być może orientowała się nieco w tym, co się działo, jasne, że musiała, ale wszyscy starali się ukrywać przed nią szczegóły. Chyba nawet udało się przekonać ją, że Merlin umarł na kolkę. Powiedziałam... - Felicity urwała. - Powiedziałam Pauline. Była najbliższą przyjaciółką rodziny.

- A ona?

- Ze za wszystko mogę winić wyłącznie siebie, skoro zadawałam się z takim śmieciem jak Ricky. Zgodziła się porozmawiać z ojcem, ale ostrzegła, że w tej sprawie jej opinia raczej się nie zmieni.

I tak wszyscy darli się na mnie, aż w końcu sama zaczęłam krzyczeć, że są hipokrytami, że tylko udają porządnych, podczas gdy ojciec przez cały czas ma

romans z matką Toby'ego Fitzroya. „To tak się udało zdobyć Merlina!”, krzyczałam w kuchni do taty, mamy i Pauline. „Wszystko przez seks! I nie ma to nic wspólnego z ambicjami reprezentowania kraju!”.

- Matka Toby'ego? - spytała Helena. - Nie Pauline? Felicity pokiwała głową.

- Beatrice Fitzroy.

Helena i Bramble popatrzyły po sobie w osłupieniu.

- A potem spakowałam się i wyjechałam - ciągnęła Felicity. - Wiedziałam, że Pauline powiedziała ojcu

„Gwałcie, i oczekiwałam, że albo stanie po mojej stronie, albo musi zniknąć z mojego życia. On jednak wciąż powtarzał, że nigdy nie zdoła mi wybaczyć narażenia na niebezpieczeństwo niewinnego zwierzęcia, nieważne, czy mi grożono. To dość dokładny cytat.

Więc poinformowałam go tylko, że nigdy, przenigdy nie spędzę nawet jednej nocy więcej pod jego dachem.

„Musiałam stąd uciec, żeby mieć pewność, iż ten zachrypnięty głos nigdy mnie nie odnajdzie i nie będzie mi groził. Nie miałam pojęcia, jaką władzę dysponuje ten człowiek.

- A potem umarła mama - dopowiedziała Helena. Jej głos brzmiał ponuro.

- Tak - odparła Felicity. - Powiedziano mi, że miała atak serca, a Pauline raczyła mi donieść, że to wyłącznie moja wina. Ze zabił ją szok na wieść o niewierności ojca. Wtedy już mieszkałam w Paryżu, ale wróciłam na pogrzeb. Tata ledwie na mnie spojrzał. List, w którym jest mowa, że mama chorowała od dawna, i że doskonale wiedziała o ojcu i Beatrice, znalazłam dopiero niedawno. Więc to nie ja byłam przyczyną.

- Coś słabo ją kochał, skoro miał romans z matką Toby'ego.
- Och, kochał ją. Na swój sposób. Myślę, że uważał, że romanse się nie liczą. Ale za to ojciec Toby'ego był innego zdania i rozwiódł się z Beatrice. I mamy kolejną rzecz, którą Toby ma nam za złe. Ciągłe wierzy, że tata - przy wydatnej pomocy mojej i mojego gadulstwa
 - odebrał mu sukces i zniszczył mu rodzinę.
 - Beatrice Fitzroy... - powtórzyła Helena. - A ja byłam taka pewna, że to Pauline. I zawsze myślałam, że może to był tylko flirt. A przynajmniej, póki mama nie umarła.
 - Jakie to wszystko musiało być dla ciebie straszne!
 - Bramble zwróciła się do Felicity. - Ta samotność i to, że nikt się za tobą nie ujął...
 - A dziadek naprawdę ci wybaczył - powiedziała Savannah. - Próbował to powiedzieć. W ostatnich słowach.
 - Ostatnio rzeczywiście usiłował nawiązać ze mną kontakt - zgodziła się Felicity. - Ale wtedy zawiódł mnie ogromnie, najpierw zwracając się do policji, zanim wysłuchał mojej relacji, a potem, kiedy nie stanął za mną murem w sprawie Rona i jego zemsty. Powiedział, że nigdy mi nie wybaczy, a ja przyrzekłam, że nigdy nie wybaczę jemu.
- W tej układance nadal brakuje jakiegoś elementu, pomyślała Bramble. Czegoś, co powinna wyłapać, czegoś ważnego... Coś jej umykało, ale nie umiała sobie konkretnie uzmysłowić co.
- Ale, Savannah! - odezwała się Felicity, przypominając sobie, dlaczego właściwie zgodziła się opowiedzieć

tę historię. - Musisz zapamiętać, że nie zawsze da się pojąć i zrozumieć, o co chodzi, jeśli nie są znane wszystkie aspekty sprawy. Ten list, który znalazłam, napisany przez naszą matkę do taty... To dopiero on sprawił, że dostrzegłam drugą stronę medalu i punkt widzenia ojca. Ale mama chorowała już od jakiegoś czasu i w coraz większym stopniu polegała na mojej pomocy przy prowadzeniu domu, a tata z kolei oczekiwał, że zostanę wybitnym jeźdźcem. Wracając tu, po wszystkich tych latach rejterady, ciągłych zmian adresu i pracy, po tym, jak przeżyłam wiele dobrych chwil, podobnie jak złych, zdałam sobie sprawę, że nie uciekam wyłącznie od taty i pogroźek Rona. Uciekałam od nadmiernych oczekiwań. I chyba mam taką naturę... Jestem jak te jaskółki, musiałam odfrunąć. Żałuję tylko, że nie mogłam wracać jak one.

- A co z Ronem? - spytała Bramble. - Żyje jeszcze?

- Nie sądzę. Przez lata udało mi się dowiedzieć tego czy owego - po to właściwie zaczęłam się parać dziennikarstwem - i rzeczywiście, istniał na East Endzie taki niewielki gang, któremu szefował facet imieniem Ron. Widziałam jakąś zamazaną fotografię i jestem prawie pewna, że to on. Piętnaście lat temu trafił do więzienia i zmarł tam w wieku siedemdziesięciu trzech lat. A Ricky też nie żyje. Miał wypadek na motocyklu.

- No dobrze, a czy możemy teraz pomówić o czymś pogodniejszym? - zaczęła Helena. - Miałam telefon od swojej agentki i producenci „Drogi Simona” proponują mi spore pieniądze za nowy projekt. Może się zdarzyć,

że za rok o tej porze jedynym moim problemem będzie to, jak zarabiając taką kasę, rozwieść się z mężem.

Od strony wykuszowego okna dobiegł jakiś hałas i **01**-lie, nieogolony, z zaczerwienionymi powiekami, podniósł się ze stojącego tam fotela niczym anioł zemsty. Musiał tam siedzieć przez cały czas, zasłonięty wielkim oparciem. Jak kiedyś Savannah.

- Heleno, moja droga, jesteś wspaniała. Słuchasz najważniejszej historii swojego dzieciństwa i nie słyszysz z niej ani słowa.

Helena pobladła i dramatycznym gestem przyłożyła dłoń do serca.

- Jak to, nie słyszę? Wszystko słyszałam. Ollie podszedł i złapał ją za ramiona.

- I jak się z tym czujesz, moja mała strusico? Bramble miała tylko pięć lat, ale ty aż dziewięć. Nie mogłaś nie zauważyć, że coś się dzieje wokół ciebie. Powiedz nam, co czułaś. O ile jesteś zdolna do takiej szczerości wobec samej siebie czy wobec innych.

Helena skrzywiła się boleśnie.

- Chcesz wiedzieć, jak się czułam? - krzyknęła ostro. - No tak, Bramble może sobie myśleć, że Felicity była osamotniona, ale ja też byłam w tym zupełnie sama! Ludzie wrzeszczeli, głośno się kłócili, płakali za zamkniętymi drzwiami i nikt nie chciał mi powiedzieć, co się dzieje. Myślałam, że na moich oczach rozpada się świat. A potem, kiedy mamusia umarła, faktycznie się rozpadł.

Tata cały czas spędzał z koźmi i z Bramble. Każdą minutę. To ona absorbowowała całą jego uwagę, miała całą jego miłość, bo wszyscy sądzili, że ja już jestem wystarczająco

duża, żeby sobie z tym poradzić. Musiałam wszystko robić sama i nikt się mną nie przejmował. Prasowałam, słałam łóżka, poparzyłam się nawet, kiedy próbowałam gotować... - Wydmuchała nos. - Przedtem przynajmniej byliśmy rodziną... - Trzęsący się palec skierowała w stronę Felicity. - ...zanim postanowiłaś szukać samej siebie w narkotycznych melinach Canterbury! A potem to już był tylko tata z Bramble, a ciebie nie było, i musiałam radzić sobie, jak umiałam.

- Bardzo mi przykro, Heleno - powiedziała Felicity.

- Musiałam wyjechać. Musiałam. Ja wiem, że wszyscy uważali mnie za egoistkę, bo nie zostałam tutaj i nie wzięłam na siebie obowiązków najstarszej siostry, której wszyscy potrzebowali, ale czułam, że życie wali mi się w gruzy, zanim jeszcze na dobre zaczęłam żyć.

- Zostawiłaś mnie z nimi samą! - krzyknęła Helena.

- Ciągłe były tylko konie, konie i konie!

- Tak jak z tobą tylko aktorstwo, aktorstwo, aktorstwo

- powiedział Ollie jedwabnym głosem. - Powiedz mi, czy w ciągu dnia zdarza ci się choć jedna chwila, kiedy nie jesteś Heleną Harris, aktorką, lecz Heleną Cooper, matką i żoną?

- Nie bądź śmieszny! - odparła Helena. - Teraz jestem żoną i matką totalną. - Zdusiła myśl o tym, że gra niemal bez przerwy, bo nawet smażenie dżemu truskawkowego było sceną na potrzeby niewidocznej widowni, nieustannie ulepszaną z myślą o odrobinie zainteresowania w prasie. - Zawsze wygospodarowuję czas dla rodziny. Moje aktorstwo pochłania bez porównania mniej czasu i uwagi niż jeździectwo taty.

- To była jego praca - powiedziała Bramble. - W ten sposób zarabiał na życie.

- O, chodziło o coś więcej. - Helena podniosła wzrok, twarz miała pokrytą czerwonymi plamami gniewu. - O jego próżność. Jego dumę. Jego dynastię. To dlatego po wyjeździe Felicity stałaś się taka ważna. Miałaś zostać kolejnym wielkim jeźdźcem z rodziny Beaumontów. Nikt nie zastanawiał się, co ja czuję. - Nie przestawała płakać. - Nikogo nie obchodziłam.

Ollie spojrzał na nią z lekką kpina.

- Może to będzie dla ciebie szokiem, kochanie, ale mnie obchodzisz.

- Och, wał się! - warknęła. - Ciebie obchodzi tylko następny drink.

- Będę w pubie - powiedział Ollie. - Gdyby ktoś mnie szukał.

- Czeka! - krzyknęła Helena, kiedy trzasnął drzwiami. - Nie chciałam tak powiedzieć! Kocham cię! Naprawdę! Zaczeka na mnie!

36.

Ten list - odezwała się Bramble. - Mogę go przeczytać? - Wyciągnęła rękę. Felicity wyjęła z torebki mocno sfatygowany papier.

- Muszę jeszcze porozmawiać z Pauline - powiedziała Felicity. - Ale ona nie będzie chciała mnie widzieć.

- Zapytam ją. - Bramble usiłowała uporać się z tym, że ojciec, którego ona kochała i szanowała, najwyraźniej zawiódł obie jej starsze siostry. - I pojedę do niej z tobą.

- Ujęła lodowate dłonie Savannah i zaczęła je rozcierać.

- Kiedy już odwiozę Savannah. - Nie pozwoli, żeby córka jej się wymknęła. Musi się uczyć na przykładzie ojca i Felicity.

- Straszna historia - powiedziała Savannah w samochodzie, w drodze powrotnej do Hightrees House. - Jak dziadek mógł tak okropnie ją potraktować? Po tym, co zaszło?

- Uważał, że Felicity rujnuje sobie życie. I jemu też

- zastanowiła się Bramble. - Moim zdaniem, pewnie myślał, że jeśli będzie wobec niej wystarczająco stanowczy, to zdoła ją ocalić.

- Żeby mogła zostać następnym zwycięskim jeźdźcem z rodziny Beaumontów? - spytała Savannah. - Tylko to się dla niego liczyło, prawda?

- Jestem pewna, że nie tylko. Zatroscopyłby się o to, czego ona sama naprawdę by chciała. Każdy rodzic się troszczy. Gdyby nie była tak zawzięta i tak długo nie trzymała się z dala od domu, na pewno by się pogodzili. - Bramble uściskała Savannah, a potem przekazała ją w ręce Vikki. - Do zobaczenia jutro?

Savannah skinęła głową. Wydawała się taka kruchu-sieńka!

Bramble jeszcze na moment zawróciła.

- Wiesz, że nigdy nie zdołałaś mnie rozczarować, prawda? Że liczy się tylko twoje szczęście. Nic innego. Absolutnie nic.

- Ja nie wiem, jak być szczęśliwa - odszepnęła Savannah. - **1** to właśnie mnie przeraża...

Kiedy Bramble wróciła do Lorenden, razem z Felicity ruszyły przez dobrze sobie znane pola. Psy dreptały ich śladem. Skraplająca się na liściach wilgoć zachodu moczyła rękawy kurtek. Bramble zatoneła we własnych myślach.

- Jak sądzisz? - zapytała siostrę. - Czy człowiekowi, który osiągnął szczyty, może się udać nie wywierać destrukcyjnego wpływu na tych, których kocha? Myślisz, że ambicja pożera wszystko i że to dlatego tata taki był?

- Nie wiem. Nigdy nie chciałam ryzykować tego samego.

Przystanąły pod bramą Pauline. Widać było światła, a oba samochody stały przed domem.

- Chcemy porozmawiać - oświadczyła Bramble, jak tylko gospodyni otworzyła drzwi.

- Alan został dzisiaj przyjęty do domu opieki - odparła Pauline, patrząc tępo przed siebie. - Oddałam go do domu starców. Tak przecież powiedzą ludzie, prawda? Pomyślą, że go porzuciłam.

- Och, Pauline! Tak mi przykro! - Bramble dotknęła jej ramienia. - Pójdziemy i wrócimy kiedy indziej.

- Nie, siadajcie. - Głos Pauline brzmiał tak, jakby już nic nie było w stanie wyprowadzić jej z równowagi. - Co za różnica?

- Mamy tu list naszej matki - powiedziała Felicity, a Bramble podała kartkę. - Znalazłyśmy go wśród rzeczy taty.

Pauline wzięła list niechętnym gestem, ale rozmyśliła się i chciała go oddać bez czytania.

- To nie moja sprawa.

- Możesz go przeczytać, jeśli chcesz. Jeśli mi nie wierzysz. W tym liście jasno stoi, że mama wiedziała wszystko o tacie i Beatrice. Jeszcze zanim ja jej powiedziałam. Nawet myślała, że się pobiorą po jej śmierci.

Pauline zacisnęła wargi.

- Edward nigdy by się nie ożenił z tą kobietą. Ona była... Ona była kompletną wariatką! Zwyczajną flircia-rą. Wszyscy mężczyźni musieli koło niej skakać. A kiedy twoja matka umarła, a Bea dostała rozwód... No cóż, jakoś nigdy nie było na ten ślub odpowiedniej pory. Twój ojciec musiał najpierw odbudować swoją zrujnowaną dzięki tobie karierę i musiał pracować przez wszystkie godziny dnia, jakie dał mu Bóg. Razem kupowaliśmy

konie, on i ja... Kosztowało nas to wiele czasu i ciężkiej pracy, by zdobyć konia klasy podobnej Merlinowi.

- A Alana zapewne mnóstwo pieniędzy?

- Tak - powiedziała Pauline. - Alan okazał się bardzo szczodry. Chciałam założyć stajnię światowej klasy. Wasz ojciec też tego chciał.

- A Beatrice Fitzroy nie do końca pasowała do tego obrazka...

- Owszem - powiedziała Pauline. - Nie pasowała. Gdyby twój ojciec naprawdę ją kochał...

- Ale dopilnowałaś, żeby tak się nie stało - skomentowała Felicity.

Pauline uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że taka rzecz leżała w jej mocy.

- Być może.

- A więc nasza matka nie umarła przez Felicity, bo i tak była śmiertelnie chora, a ty o tym wiedziałaś? - odezwała się Bramble.

- Zachowanie Felicity na pewno przyśpieszyło tę śmierć! To Felicity powiedziała jej, że Edward nie był wierny.

- Ależ ona wiedziała już wcześniej! - odparła Felicity. - Przed tą imprezą i przed śmiercią Merlina. To wszystko stoi w jej liście jak byk. Sprawdziłam datę, porównałam z datą balangi i odejścia matki. Odpowiednio pół roku i osiem miesięcy! I jeszcze wiadomość, że zostało jej zaledwie parę tygodni życia. Niemniej jednak, żyła jeszcze trochę, nawet po tym, co zaszło.

- Wiesz, to nie nauka ścisła. Nawet lekarze nie są w stanie dokładnie określić daty czyjejś śmierci.

- Owszem - zgodziła się Felicity. - Nie wątpię, że matka bardzo się martwiła wszystkim, co zrobiłam, i jest mi z tego powodu szczerze żal. Ale jeśli ktoś, kto spodziewa się pożyć zaledwie parę tygodni, jest w stanie przetrwać osiem miesięcy, to uważam, że jego śmierci raczej nie można uznać za, jak to ujęłaś, przyśpieszoną.

Pauline siedziała w milczeniu. Skrzydełka jej nosa drgały leciutko, na twarzy malował się niesmak.

- Kochałaś się w ojcu, co? - spytała Felicity.

- Miłość! To, co nas łączyło, sięgało o wiele głębiej i było czymś znacznie subtelniejszym! Byliśmy współnikami. Tobie się pewnie wydaje, że to oznacza, iż uprawialiśmy seks, ale ja zawsze byłam lojalna wobec Alana.

- Tata po prostu cię nie chciał. To cię zabolalo, prawda? Ty, jedna z najpiękniejszych kobiet swojego pokolenia, i jakiś mężczyzna, który nie ma na ciebie ochoty? Nie mogłaś mi wybaczyć, że o tym wiedziałam.

Pauline uniosła rękę, jakby chciała odpędzić oskarżenie.

- Nie miałaś pojęcia o Bei Fitzroy, prawda? - ciągnęła Felicity. - Aż do momentu, kiedy zdemaskowałam ten mały sekret. To dlatego tak bardzo mnie znienawidziłaś.

Oczy Pauline zapłonęły gniewem.

- Felicity, tu nie chodziło wyłącznie o olimpijskie szanse Edwarda. Nie zapominaj, że zaprzepaściłaś i moje ambicje. Miałam tam jechać jako właściciel konia, to było moje marzenie, a ty... Ciebie to nic nie obeszło, prawda? Nic cię nie obchodziło, póki mogłaś rznąć się z tym swoim wąsatym kryminalistą, wyobrażając sobie, jaka jesteś fajna!

Bramble i Felicity zamarły. Jeszcze nigdy nie słyszały z ust Pauline wulgaryzmów.

- „Rznać się” to porządne, stare, angielskie określenie - powiedziała. - I jest przynajmniej uczciwe. I owszem, zmartwiłam się waszym ojcem i Beą! Uznałam, że Edward sprawia zawód nam wszystkim, wdając się w romans, kiedy Rose jest tak bardzo chora!

- A co mamie, tak konkretnie, dolegało? - spytała Bramble. - Zawsze mi mówiono, że zmarła na atak serca. - Wszyscy, być może zachęceni do tego przez Pauline, zawsze powtarzali przyciszonym tonem, że matkę powalił stres spowodowany dzikimi wybrykami Felicity.

- Bo tak było - powiedziała Felicity. - Jej serce osłabiła ówczesną chemoterapia. W tamtych czasach była szalenie toksyczna. Na jej akcie zgonu, który niedawno odszukałam, podano dwie przyczyny: atak serca, który był bezpośrednią przyczyną śmierci, i rak jelita, który ją przedtem wyniszczył. Udało mi się też porozumieć z jej lekarzem, który nadal mieszka w pobliżu, i on to potwierdził. Ten rak, który ciągle nawracał, i wszystkie rozmaite kuracje, których próbowali, wykończyły ją ostatecznie.

- Rak? - Bramble była zdziwiona. - Dlaczego nikt nigdy nie mówił, że miała raka?

- Ludzie o tym w tamtych czasach nie mówili - odparła Pauline. - Rak był czymś, o czym nikt nie lubił wspominać. Był częstym zabójcą, ale ludzie, którzy chorowali, zachowywali ten fakt dla siebie. No i, oczywiście, nikt nie chciał, żebyście wy, dziewczynki, wiedziały. To by was tylko zmartwiło.

- Tamte czasy - powiedziała Bramble - to były wczesne lata siedemdziesiąte. Nie taka znowu zamierzchna przeszłość.

- Och, niektórzy zaczęli już postępować nieco bardziej otwarcie, nawet wtedy. Zwłaszcza kiedy niektóre terapie okazały się w miarę skuteczne. - Pauline zdawała się spoglądać na obie siostry z lekką pogardą. - Ale Rose była bardzo zamkniętą w sobie osobą i w żadnym razie nie zamierzała rozpowiadać byle komu, że ma raka jelita.

- Gdybym wiedziała, że jest naprawdę chora, a nie tylko chronicznie niedomaga, nigdy bym nie wyjechała - powiedziała Felicity. - Ktoś powinien był mi powiedzieć. Miałabym szansę porozmawiać z nią, zaopiekować się... Przynajmniej być przy niej w tych ostatnich tygodniach.

- Gdybyś była typem córki, która raczej wspiera swoją rodzinę, niż się przeciwko niej buntuje, na pewno ktoś by ci powiedział. Ale decyzja należała do twoich rodziców. A oni widocznie uważali, że nie mogą ci zaufać.

Bramble słuchała, zaszokowana.

- Jest coś, o co chcę cię zapytać. - Felicity spojrzała Pauline prosto w oczy. - Właśnie w tej sprawie przyszedłem. Czy powiedziałaś mojemu ojcu o gwałcie i o tym, że mi grożono? Tak jak cię prosiłam?

Pauline wzięła głęboki oddech.

- Niezupełnie. Napomknęłam mu co nieco, ale uznałam, że nie musi znać wszystkich szczegółów. Och, nie patrz tak na mnie! Tak naprawdę wcale nie chciałaś, żeby się dowiedział, bo w przeciwnym razie powiedziałaś mu sama!

Felicity mocno pobladła.

- Być może masz rację. Więc on nigdy się nie dowiedział, przez co przeszłam?

- No cóż, powiedział mu ktoś inny. Mniej więcej rok temu. Edward przyszedł do mnie i zapytał, czy to prawda, a ja potwierdziłam. To wtedy zmienił testament. Przedtem miał zamiar zostawić wszystko Bramble, żeby mogła kontynuować jego dzieło, ale stwierdził, że zgoda w rodzinie jest ważniejsza. Czuł, że jest ci to winien, Felicity. Moim zdaniem, to wtedy zdecydował, że sprowadzi jeszcze kogoś do pomocy. Uznał, że Bramble potrzebuje partnera, kogoś, kto nie był częścią tego wszystkiego, nie przypominał Dorna i mógł spojrzeć na całość świeżym okiem.

- Ktoś mu powiedział rok temu?! - spytała Bramble, ledwie rejestrując odniesienie do siebie. - Kto? - Znów to natrętne wrażenie, że coś im umyka!

Pauline wzruszyła ramionami.

- To musiał być ktoś, kto był na imprezie. Ja nigdy nie powiedziałam nikomu. Przysięgam. To była wielka balanga, wiesz przecież. Byłam mocno zdziwiona, że ta historia z miejsca nie rozeszła się po całym hrabstwie.

- Ale się nie rozeszła - powiedziała Felicity. - Gdyby wiedział o tym ktoś jeszcze, wszystko wyszłoby na jaw już wtedy, i plotka poszłaby w świat. Nie, jedyne osoby, które wiedziały o gwałcie, to tamci mężczyźni. Inni ludzie na imprezie nie mieli o niczym pojęcia. Wydaje mi się, że nawet śmierć Merlina nie bardzo do nich dotarła. Wszyscy przyjmowali bez zastrzeżeń, że koń padł na kolbę.

- No cóż. - Pauline wzruszyła ramionami. - W takim razie to musiał być jeden z tych mężczyzn.

- To była banda oprychów z East Endu! Pomijając Rona, żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, kim byłam ja czy tata. A zarówno Ron, jak i Ricky od dawna nie żyją.

- Cóż, musiałaś powiedzieć komuś, kto musiał powiedzieć komuś innemu, a ten ktoś powtórzył twojemu ojcu. A może Edward cały czas się nad tym wszystkim zastanawiał i wreszcie udało mu się dodać dwa do dwóch. Nie mam zielonego pojęcia, jak do tego doszło. A teraz muszę was przeprosić, ale czuję się bardzo zmęczona.

- Och, to ja przepraszam. - Bramble poderwała się na nogi.

- Przynajmniej rozumiem, dlaczego usiłował się ze mną skontaktować... - stwierdziła Felicity.

- Wiedz jedno - dodała Pauline stanowczo. - Twój ojciec potrzebował kogoś, kto zawsze będzie go stawiał na pierwszym miejscu. Twoja matka bez przerwy chorowała, od lat. Ty, Felicity, byłaś... - Pokręciła głową. - Wymykałaś się spod kontroli w przerażający sposób. A poza tym miał dwie małe, całkowicie od niego zależne córki. I na dodatek, reprezentował swój kraj na zawodach najwyższego szczebla. Już samo to pochłaniało sto dziesięć procent uwagi. Potrzebował wsparcia, ale go nie otrzymywał. Ludzie pokroju twojego ojca muszą poświęcać się jednemu celowi. Może to brzmi okrutnie, ale życie bywa równie okrutne. Zwłaszcza życie nastawione na sportową rywalizację.

- Ale gdyby naprawdę mnie kochał... - zaczęła Felicity.

- Och, jasne, że cię kochał. Nie użalaj się tak nad sobą.

- Oczy Pauline miały zaczerwienione obwódki. Wyjęła delikatną, obrzeżoną koronką chusteczkę i zaczęła je lekko ocierać, uważając, żeby nie rozmazać makijażu.

- On i ja rozmawialiśmy o tobie godzinami, o tym, co dla ciebie najlepsze. Uznaliśmy, że być może na początku choroby Rose spadła na ciebie zbyt wielka odpowiedzialność za dziewczynki, że Edward może nieco za wcześnie zaczął cię obarczać tymi sprawami. Zdecydowaliśmy, że trzeba ci pozwolić się wyszumieć, byś zapomniała o wszystkim i oprzytomniała. - Spojrzała Felicity prosto w oczy. - Pomyśleliśmy, że może dobrze ci zrobi, jeśli na jakiś czas oderwiesz się od domu, ale ojciec nie mógł, ot tak, ci wybaczyć. Nie od razu. To by oznaczało wysłanie ci błędnego komunikatu. Oboje uważaliśmy, że musisz przekonać się, że są rzeczy, których nie da się naprawić zwykłym „przepraszam”. Musiałaś się nauczyć, że życie nie jest jedną wielką imprezą. - Głos jej zadrżał.

- Przepraszam - powiedziała Felicity. - Byłam bardzo młoda. Nie zdawałam sobie sprawy...

Pauline przyjrzała jej się uważnie.

- Tak, byłaś młoda - powiedziała, tym razem nieco łagodniej.

- Próbowałam tak to sobie tłumaczyć. Ale sama nie potrafiłam ci wybaczyć i nie mogłam zachęcać do tego Edwarda. Nie wtedy. Nigdy natomiast nie przypuszczałabym, że tak wiele czasu zajmie ci powrót do domu. Byłam przekonana, że wrócisz wcześniej. Ale jesteście oboje tacy sami, ty i Edward. Nigdy się nie poddajecie. Gdybym wiedziała... - umilkła. A potem zdobyła się na ogromny wysiłek. - Ja też cię przepraszam.

- Ale dlaczego ukarałaś Bramble? Dlaczego odrzuciłaś ją po jego śmierci? - Felicity wstała. - Odbierać jej Teddy'ego właśnie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała?

Pauline nigdy przedtem nie płakała przy ludziach. To było całkowicie sprzeczne z jej kodeksem postępowania, ale teraz nic nie mogła poradzić na to, że oczy znów wypełniły jej się łzami. Jej głos brzmiał tak cicho, że ledwie dawało się rozróżnić słowa.

- Doprawdy, Felicity, czasem myślę, że jesteś straszną egoistką! To nie miało z tym wszystkim nic wspólnego, a przynajmniej prawie nic. Po prostu nie mogłam znieść odwiedzin w Lorenden, kiedy nie było tam już twojego ojca. To tak bardzo bolało! I jeszcze ty się tam pojawiałaś, Felicity, z tymi twoimi wszystkowiedzącymi oczami, wprawiając mnie w poczucie winy i przypominając mi... Ale przede wszystkim, Toby złożył mi ofertę nie do odrzucenia, bo byłam w kompletnym dołku. W każdym znaczeniu tego słowa.

Felicity wyszła bez pożegnania, ale Bramble jeszcze się zatrzymała.

- Pauline - powiedziała. - Mnie też jest przykro. Wiem, że po śmierci taty za bardzo się pogubiłam, żeby zwrócić uwagę na to, jak ty się z tym czujesz, i nie zajęłam się angażowaniem cię w sprawy stajni. Powinnam dbać o interesy właścicieli moich koni, a nie zadbałam o twoje. Dobrze to rozumiem.

Pauline pokiwała głową.

- Możliwe, moja droga, możliwe. Ale i tak nie powinnam była tego robić. Proszę, zaczekaj chwilę.

Bramble stała pośrodku nieskazitelnego, kremowego salonu, czekając na powrót gospodyni. Pauline wróciła z kopertą w dłoni.

- To twoja prowizja. Wiem, że rozmawialiśmy o tym już wcześniej, ale za bardzo mi było wstyd, żeby zebrać się i wypłacić ci kwotę należną za twój wkład w pracę Edwarda, dzięki której Teddy jest takim koniem, jakim jest. Sumienie uwierało mnie już od jakiegoś czasu, ale dopiero kiedy kochana, słodka Lottie zginęła tragicznie na moich oczach, zdałam sobie sprawę, że te małostkowe spory są... No właśnie, małostkowe. Takie, w porównaniu z resztą, nieważne. Nawet Edward i Bea. To naprawdę, koniec końców, nie miało znaczenia. To jego przyjaźń ceniłam sobie nade wszystko.

Bramble ucałowała ją serdecznie.

- Pauline, nasze rodziny przyjaźniły się od zawsze. A ja za tobą tęskniłam.

Pauline poklepała ją po dłoni.

- Ja za tobą też. A teraz idź. Wyjdź za mąż za tego swojego czarującego kowala i zrealizuj wszystkie marzenia.

Dopiero późnym wieczorem Bramble usiadła za biurkiem ojca, żeby wpisać czek do księgi rachunkowej, i popatrzyła na kwotę.

Opiewał na pięćdziesiąt tysięcy funtów. Do czeku dołączona była kartka: „Tyle zapłacił mi Toby za połowę udziałów w Teddym. Pieniądze należą się Tobie, więc zrób z nimi, co uważasz za stosowne. Twój ojciec bardzo w ciebie wierzył i ja też wierzę”.

Dobrze Pauline - i Jezowi - mówić o marzeniach, pomyślała Bramble. Tyle że żadne z nich nie ma anorektycznej córki i nie musi wspierać finansowo przyszłego męża.

Nadszedł czas wyboru. Czy znów próbować zwyciężyć, niezależnie od tego, ile będzie to kosztować ją samą i jej bliskich, czy wybrać bezpieczne wyjście: sprzedać Lorenden i konie, a potem pójść własną drogą z należną jej częścią spadku, stawiając ludzi, których kocha, na pierwszym miejscu?

Półtora roku później Bramble włożyła kremowe spodnie i zakiet z miękkiej, malinowej wełny, skrojony tak, że dodawał krągłości jej nieco kanciastej figurze. Zastanawiała się, w co ma się ubrać - oczywiście, przy takiej okazji wszyscy się zastanawiają - i zdecydowała trzymać własnego stylu: porządnej marynarki i spodni, ale chciała też mieć na sobie coś kolorowego, nie tylko zwykłe ecru czy biel. Helena zrobiła jej wielkie, mocno podkreślone kocie oczy i nastroszyła włosy na prerafaelicką chmurkę. Bramble pozwoliła im wreszcie porządnie odrosnąć, ale podstrzygła je i wycieniowała. Patrząc w lustro, widziała, że Jez miał rację. Do twarzy jej było z odrobiną dzikości. Wyglądała jak zupełnie inna Bramble - bardziej pewna siebie i silniejsza. Ktoś mógłby się nawet za nią obejrzyć...

Nie żeby nie zdarzało jej się ostatnio myśleć o Tezie. Owszem, czytywała o nim w prasie dla koniarzy i, czasami, w zwykłych gazetach. Helena pokazała jej wywiad w jakimś kolorowym babskim piśmie i widziała

Jeza w telewizji, po trasie crossu w Burghley; mówił, że jego koń pojechał fantastycznie, i dziękował jego właścicielom. Raz czy drugi natknęła się na jego nazwisko na liście startowej podczas zawodów, ale zawsze coś przeszkadzało w spotkaniu. A to okulał koń, a to grunt okazywał się tak twardy, że jedno albo drugie wycofywało się z udziału, a raz nawet minęli się dosłownie o parę minut. Jez wyjeżdżał z parkingu swoim eleganckim, nowym koniowozem z napisem „Jezzar Morgan WKKW” i kilkoma reklamami sponsorów na burcie, dokładnie w chwili, kiedy ona przybyła na miejsce. Nie zauważył jej ani nie rozpoznał starego, poobijanego koniowozu.

Bramble wsunęła zaręczynowy pierścionek na palec świeżo wymanikiurowanej dłoni. Paznokcie miała nadal krótkie, bez żadnych szaleństw, ale teraz pomalowała je blad różowym lakierem; na środkowym palcu jej lewej dłoni błyszczał kamień. Niedługo pojawi się na nim obrączka. Zapięła nowe, beżowe botki za kostkę z miękkiego zamszu. W zasadzie była gotowa.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała Helena, dyskretnie poprawiając w lustrze własny makijaż. Był to może wielki dzień Bramble, ale ona, Helena, na pewno zostanie rozpoznana.

Bramble wcale nierzadko myślała, że ten dzień nie nadejdzie nigdy.

Niedługo po tym, jak Felicity opowiedziała swoją historię, dostały ofertę na Lorenden od dewelopera, który zadał sobie trud i przejrzał stare mapy hrabstwa, ukazujące, że kiedyś na pastwisku po drugiej stronie drogi stały

wiejskie domki. Faktycznie, zadaszona falistą blachą szopa stanowiła, jeśli się jej dokładniej przyjrzało, pozostałość po dawnych zabudowaniach. Wobec tego złożono wniosek o zgodę na wybudowanie w miejsce pastwiska jedenastu budyneków mieszkalnych, który jednak został odrzucony i do transakcji nie doszło. Tymczasem pojawił się kolejny deweloper, tym razem pasjonat historii. Ten zaproponował plan rekonstrukcji oryginalnej grupy dwunastu niewielkich domków w lokalnym stylu, z wykorzystaniem miejscowych materiałów, projekt jednocześnie historycznie uzasadniony i ekologiczny. Pomysł wzbudził wyraźne zainteresowanie w okolicy i sąsiedzi, którzy rozpętali akcję ostrego sprzeciwu wobec planów pierwszego dewelopera, sugestie drugiego powitali z ostrożnym, ale jednak entuzjazmem. Zwłaszcza że zaczęli dostrzegać, iż taka zabudowa mogłaby przydać wartości i prestiżu ich własnym domostwom.

Ale korowody trwały aż półtora roku, a w tym czasie Bramble, Felicity i Helena - która wreszcie postawiła Olliemu ultimatum w sprawie picia, a potem przeprowadziła separację - mieszkały razem i prowadziły stajnię Lorenden.

Bramble i Felicity skoncentrowały się na Kudłatej oraz na dwóch torowych weteranach, które przetrenowywały dla konkretnych klientów. Trenowały też trzy młode konie, wyhodowane jeszcze przez Edwarda, i wreszcie zajęły się łagodnym, ale stanowczym programem wyeliminowania wybryków Merlina i wykorzystania jego ewidentnego talentu. Kudłata robiła, co jej się żywnie podobało. Przez cały tydzień potrafiła być najsłodszy stworzeniem w stajni, a potem, jeśli człowiek spóźnił

się dziesięć minut z niedzielnym karmieniem, stawała na przykład na kuble z karmą i miażdżyła go kopytami z premedytacją. Dziewięć razy na dziesięć bez problemów pozwalała wprowadzać się do koniowozu, ale przy dziesiątym załadowanie jej mogło potrwać bite pół godziny. Bramble, wspominając Mulberry Hill i dzień, w którym zginęła Lottie, zawsze przy takich okazjach miała ochotę zrezygnować z udziału w zawodach, ale powstrzymywała ją Felicity.

- Nie zaczynaj się czasem kierować szczęśliwymi znakami i omenami! - przestrzegała. - To ci nie pozwoli normalnie funkcjonować. Porządne przygotowanie i koncentracja - to wszystko, czego potrzebujesz.

Bramble nie pozwalała sobie czuć tamtego dławiącego lęku na widok ścielącej się w sadzie mgły. A może opar wyglądał teraz inaczej? Szczelnie zamykała umysł przed podobnymi myślami.

Przez pierwszych parę miesięcy, po wieczornej stajni Bramble wsiadała do samochodu i jechała do Savannah, do Hightrees House, gdzie jej córka dzieliła teraz pokój z inną dziewczyną, przyjętą do kliniki z powodu auto-agresji i samookaleczeń.

- Wszyscy tutaj to świry - mówiła Savannah. - Ale fajne świry. Siadamy w kręgu i gadamy o sobie. Oni wszyscy mieli straszne życie. - Nerwowo przygryzła paznokiec. - A ja nie miałam. Naprawdę mi się poszczęściło. Ja tu nie pasuję.

Bramble zakomunikowała córce, że nie zamierza wychodzić za Nata przed upływem co najmniej roku. W nagrodę doczekała się uśmiechu.

Razem z Savannah miawały wspólne sesje z Vikki.

- Zadzwoiłam do regionalnego selekcjonera kadry juniorów - powiedziała Bramble. - To bardzo miła pani. Powiedziała, że twój brak formy w tym roku jest całkowicie uzasadniony i zrozumiała, ale w przyszłym będzie z zaciekawieniem śledziła postępy swojej zawodniczki.

- W przyszłym roku! - Savannah usiadła prosto.

- Nie! To za późno. Wydobrzeję do przyszłego tygodnia. Na pewno.

- Nie chcemy wywierać na ciebie jakiegokolwiek presji

- powiedziała Vikki.

- Ale za rok będzie za późno! - zawołała Savannah.

- Będiesz miała zaledwie osiemnaście lat - odparła zdziwiona Bramble. - A to wcale nie za późno.

- Za późno, żeby uratować Lorenden - powiedziała Savannah, jakby Bramble wygadywała kosmiczne głupoty. - Dziadek powiedział, że wszystko ode mnie zależy.

Vikki i Bramble spojrzwały po sobie.

- To wcale nie zależy od ciebie, Savannah. Lorenden w jakimś momencie zostanie sprzedane. To już postanowione - odparła Bramble. - A ty i ja możemy założyć wspólną stajnię. Jeśli taka twoja wola, bo wcale nie musimy.

- Ale czy będzie nas na to stać? Jeśli nie wywalczę jakiegoś sponsoringu? A gdyby tak sprzedać starsze konie? Na przykład Patcha?

- Savannah - zapytała Bramble. - Co takiego powiedział ci dziadek?

- Ze nie chce, żebym skończyła jak Felicity.

- Wygląda na to, że tata napędził jej porządnego stracha - opowiadała Bramble w kuchni przy późnej kolacji.

- To przez niego poczuła, że wszystko spoczywa na jej barkach. Jest młoda i zielona, więc wyobraża sobie, że Lorenden uratowałyby sponsoring, podczas gdy zwykle to marne grosze. Nie ma sposobu, żeby nastolatka czy dwudziestoparoletnia dziewczyna zarobiła na stajniach dość pieniędzy, a tata w żadnym razie nie powinien był jej pozwalać tak myśleć. Jestem na niego potwornie zła.

- To teraz wiesz, co ja czuję - powiedziała Helena. ?

- I ja - dodała Felicity.

- Gdyby tylko tu był... - Bramble aż gotowała się ze złości.

- Ale go nie ma - odparła Felicity cierpko. - Teraz musimy uczyć się na własnych błędach i nie możemy go za wszystko obwiniać.

- Strasznie za nim tęsknię - westchnęła Helena cicho.

- Czasem aż trudno to znieść.

Savannah ostrożnie zgłębiała komplikacje własnego życia.

- To kiedy zdecydowano, że skończysz szkołę w wieku szesnastu lat i postawisz na karierę? - spytała Vikki.

- Czy czułaś się jakoś do tego przymuszana? Dlatego że pochodzisz z rodziny znanych koniarzy?

Savannah wyjaśniła jej, że marzyła o zostaniu zawodowym jeźdźcem, odkąd pamięta. Zawsze chciała brać udział w konkursie konia wierzchowego i nawet musiała wyklócać się z Bramble, żeby mama wyraziła na to zgodę.

- Tak strasznie się cieszyłam, kiedy wreszcie, w zeszłym roku, ustąpiła. Po prostu wiedziałam, że to właśnie chcę robić w życiu. I nadal tak uważam... - dodała pośpiesznie. Vikki notowała.

Pozwoliła milczeniu nieco się przeciągnąć.

- Naprawdę - dorzuciła Savannah. - A poza tym... Vikki spojrzała na nią uważnie.

- ..mam już siedemnaście lat. Już za późno na zmianę zdania.

- Savannah, kiedy ma się siedemnaście lat, na nic nie jest za późno.

- Musimy porozmawiać o Jezie - stwierdziła Vikki na następnej sesji.

Savannah zaczęła się wiercić na krześle.

- Czuję się tak głupio...

- Wcale nie zachowałeś się głupio - powiedziała Bramble, rumieniąc się z powodu wyrzutów sumienia. - To była jego wina. Powinien zachować się mądrzej.

- Niby jak? - spytała Vikki. Rozmawiały o tym, jak uczucia Savannah przerodziły się w obsesję.

- Ale my nic nie zrobiliśmy, przysięgam! - powiedziała Savannah, zmuszona sobie przypomnieć przebieg wydarzeń. Teraz, kiedy mogła już spojrzeć na nie z dystansu i zobaczyć wszystko w jaśniejszym świetle, zrozumiała, że to ona przyparła Jeza do muru. Kiedy wspominała siłę jego ramion, zalewał ją wstyd. Odpychały ją przecież, łagodnie wyplątywały się z jej objęć po pierwszym, krótkim zetknięciu ust. Nie kochał jej. Odrzucał.

- On był po prostu przyjazny i miły, a ja myślałam... Kiedy umarł dziadek, w domu zrobiło się tak strasznie, a dzięki Jezowi poczułyśmy się bezpieczniej. Przynajmniej ja. Ale teraz już rozumiem. Ja nie... nie... Ja nie myślę już o nim w taki sposób.

- A dlaczego nie? - bardzo poważnie spytała Vikki. Savannah się zarumieniła.

- Bo Donna, nasza stajenna, powiedziała mi, że on przeleciał Felicity. To moja ciotka - dodała. - Donna widziała, jak Felicity któregoś dnia rano wychodziła z jego mieszkania. To wtedy zrozumiałam, że łączył nas z Jezem zaledwie jeden pocałunek, nawet nie taki na serio. Najwyraźniej obchodziła go wyłącznie Felicity. Pewnie myślał sobie, że jestem niedojrzałą uczennicą.

Bramble ledwie wierzyła własnym uszom. Jez, w ciągu zaledwie paru miesięcy, zdołał uprawiać seks z Felicity, flirtować z Savannah, a pewnej nocy - myślała teraz o niej z zażenowaniem - także i z nią. Savannah nigdy nie może się o tym dowiedzieć! Chociaż, oczywiście, między Bramble a Jezem nic nie zaszło. Kiedy wyjechał, miała początkowo nadzieję, że pozostaną przyjaciółmi, ale doszła do wniosku, że nie chce przyjaźnić się z kimś, kto ją zawiódł w ten sposób.

Jeszcze raz okazało się, że Nat od początku miał rację.

W drodze do domu postanowiła, że jakoś to Natowi wynagrodzi. Ze wreszcie podżyruje mu ten kredyt dla firmy z zabezpieczeniem na jej udziale w Lorenden.

- Rozmawialiśmy o Lottie - powiedziała Vikki na następnej sesji.

Jak zawsze, kiedy próbowano rozmawiać z nią o Lottie, serce Savannah ścisnął ból.

- Naprawdę nie mogę uwierzyć, że jej już nie ma
- szepnęła. - I czuję się potwornie winna, że nie jem, kiedy ona zginęła w taki sposób. Ona by strasznie chciała żyć i zajadać się mufinkami i jeździć na Sailorze. Uwielbiała mufinki!

- A ty? - spytała Vikki.

- Ja też chcę żyć, oczywiście... - powiedziała Savannah z wahaniem. - Oczywiście.

Vikki słuchała w milczeniu, a Bramble wstrzymała oddech.

- Myślałam o Felicity i o tym, co nam opowiedziała. O tym, jak dziadek kiedyś raz mi wspomniał, że mu ją przypominam. Myślałam, że to znaczy, że jestem zła, ale może on po prostu miał na myśli, że Felicity chciała dla siebie czegoś innego...

Vikki i Bramble wymieniły spojrzenia. Savannah skuliła się na fotelu w ciasną kulkę i zaczęła płakać.

- Lottie powinna tu być! To nie ona powinna była zginąć.

- Wszystko w porządku - odezwała się Vikki łagodnie.

- Masz prawo znów cieszyć się życiem. To nic złego, chcieć być szczęśliwą.

- Za późno - rozszlochała się Savannah. - Tak strasznie wszystko spieprzyłam! Masz, mamó - wyjęła z kieszeni niewielką plakietkę. - To plakietka Lottie z Klubu Kucyka. Znalazłam ją w swoim pudle. Miałam zamiar pojechać dla niej w zawodach krajowych. Przechowasz ją dla mnie? I założysz, kiedy będziesz startowała w jakichś ważnych zawodach?

- A niby dlaczego ty nie miałabyś wystartować w ważnych zawodach? - spytała Bramble.

Vikki i Savannah popatrzyły sobie w oczy.

- W porządku - powiedziała Vikki cicho. - Masz prawo chcieć czegoś innego.

-Widzisz, mamó... Czy tobie zrobiłoby to jakąś straszną różnicę...? Bo ja myślę, że chciałabym w przyszłym roku wrócić do szkoły i zrobić A levels. Ja chyba jednak chcę iść na studia. O rany, nie wiem jeszcze, co chcę robić, ale nie mogę być następnym jeźdźcem z rodziny Beaumontów. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Kiedy dziadek zapytał mnie, czy na pewno chcę jeździć, ja nagle sobie pomyślałam: „Och! Może ja jednak wcale tego nie chcę?”. I on to chyba widział, tyle że ja się za bardzo bałam, żeby zmienić zdanie. Nie po tym, jak dawałam z siebie wszystko przez tak długi czas...

Po tym wyznaniu wcale od razu nie zrobiło się łatwiej. Nic, co jest dla człowieka naprawdę ważne, nie przychodzi łatwo, myślała Bramble, a cała ta historia zapewne zostanie w pamięci Savannah na całe życie. Ale Savannah się starała. Przez większość tygodni przybierała po parę uncji, choć bywało, że gubiła je ponownie. Pod koniec sześciomiesięcznego okresu terapii nadal miała niedowagę, ale przytyła wreszcie bite trzy kilo.

- Musisz dojść do pewnej wagi - tłumaczyła jej Vikki. - Bo dopiero wtedy twój mózg zaskoczy i zacznie działać jak trzeba. A potem naprawdę poczujesz się lepiej.

- Tak będzie - obiecała Savannah. - Będę się starała wrócić do zdrowia. Dla Lottie. Żeby nie marnować życia.

Poszła do nowej szkoły, dwuletniej, przygotowującej do wstępu na studia, i, żeby nadgonić zaległości w nauce, wykorzystwała wpojony jej w Lorenden etos pracy i wyuczone przy koniach, podczas codziennych, rutynowych zajęć w stajni, nawyki...

Bramble po raz kolejny przyjrzała się w lustrze swojemu odbiciu, tej chmurze włosów i malinowemu zakietowi, i poczuła, że dopada ją trema. Tam, ze wszystkimi innymi, będzie Savannah! Czekala już na matkę, ładna i zdecydowanie bardziej pewna siebie, z przyjacielem z tej swojej nowej szkoły, chłopakiem o imieniu Tom, który zdawał się nie widzieć poza nią świata. Człowiek nigdy nie może powiedzieć, że wygrał naprawdę - zawsze trzeba się wspiąć na jeszcze jeden szczyt - ale Bramble pomyślała, że na razie Savannah nic nie grozi.

Zapiszczała komórka Heleny.

- Słucham.

- To ja - odezwał się powściągliwy głos, na dźwięk którego nadal mocniej biło jej serce.

- Cześć, Ollie. - Helena starała się mówić spokojnie. Za nic nie chciała, żeby się zorientował, jak bardzo wciąż go kocha. Dom w Primrose Hill został sprzedany za o wiele mniejszą sumę, niż był (zdaniem Heleny) wart, bo - przygnębiająco opustoszały - nie sprawiał zbyt korzystnego wrażenia. Ona sama nalegała, żeby wszystkie nadwyżki ze sprzedaży poszły na spłatę ich długów.

- Kiedy myślałam, że Eddie nie żyje, zmierzyłam się z najgorszym - powiedziała wtedy Olliemu. - No

i jeszcze potem, kiedy wydawało mi się, że widzowie przegłosowali moje usunięcie z obsady „Drogi Simona”. I wiem, że nie przeraża mnie bieda.

- Trudno to nazwać biedą - odparł Ollie. - Masz trzecią część Lorenden, jeśli tylko weźmiecie się za sprawę i sprzedacie majątek. Moim zdaniem, wszystkie kurczowo czepiacie się tego domu i wynajdujecie wymówki, żeby go tylko nie opuścić. Musisz wreszcie pożegnać się z ojcem na dobre i zacząć żyć na własny rachunek.

Helena obiecała sobie, że dopóki będzie mieć pracę, nie rozwiedzie się z Olliem z powodów czysto finansowych, ale poprosiła go, żeby się wyprowadził i przestał pić. Podnajmował teraz pokój u Nata; dogadywali się obaj zadziwiająco dobrze.

- Jak się trzyma Bramble? - spytał Ollie.

- Właśnie skończyłam ją szykować. Wygląda prześlicznie. Wszystko idzie wspaniale. Miałyśmy właśnie zamiar...

- Dzwonię z propozycją.

- Propozycją czego?

- Dzwonię z propozycją, żebyśmy znów się zeszli. Nat i ja siedzimy tu i gadamy o znaczeniu miłości, a ja wciąż cię kocham.

- Piliście? spytała Helena podejrzliwie, bo myśl, że dwóch mężczyzn rozmawia o znaczeniu miłości w środę o wpół do czwartej po południu, wydawała jej się szalenie mało prawdopodobna. Chyba że są już przy drugiej butelce. - Obiecałeś, że nie będziesz pił. A Bramble nie chciałaby chyba, żeby Nat się pojawił, wyglądając jak stary, śmierdzący alkoholem włóczęga.

- Moglibyśmy odnowić przysięgę - odparł, ignorując pytanie.
- W tym starym kościele w Lorenden. I zrobić niewielką imprezę.

- Moglibyśmy... - ożywiła się Helena. - Ale najpierw musimy zarabiać. Oboje. I nie wolno nam znów popaść w długi.

- No, to jest do wykonania. Jeśli przestaniesz robić zakupy - powiedział. - Moim zdaniem, mamy szansę.

- I jeśli ty przestaniesz pić.

- Och, Heleno! - Irytacja w głosie Olliego była czytelna nawet przez telefon. - Czy ty nigdy nie będziesz potrafiła stawić czoła bałaganowi, jakiego narobiłaś w swoim życiu? Zawsze będziesz musiała znaleźć kogoś, na kogo zwalisz winę, i tym kimś zawsze będę ja?

- Nie, zaczekaj! - zawołała Helena. - Ja się zmienię. Obiecuję, że...

Ale połączenie zostało przerwane.

Helena nie miała teraz czasu na oddzwanianie. Ten dzień należał do Bramble. Z ciężkim sercem wyprostowała małą broszkę przy zakiecie siostry, uzbroiła się w uśmiech godny gwiazdy i obie pomaszerowały do samochodu.

Kiedy już zaparkowały, okazały przepustki, przeszły pod wielkimi kamiennymi sklepieniami Badminton House i znalazły się na czworoboku stajennego dziedzińca. Wokół trwała parada dumnych, pięknych koni, doskonale wyczyszczonych, z idealnie zaplecionymi grzywami, u szczytu swoich fizycznych możliwości. Muskularne sylwetki błyszczały, uszy strzygły, zdradzając

ożywienie. Co kilka minut wybierano z tej stawki pojedyncze zwierzę, by zaprezentować je w kłusie przed Badminton House, przed sędziami i pierwszymi entuzjastycznymi widzami. Kiedy zostawało już uznane za zdolne do wzięcia udziału w zawodach, odprowadzano je na bok. Kolejne zaś - łącznie osiemdziesiąt sześć sztuk - wyprowadzano ze stajni i dołączano do parady. Wśród tego końskiego towarzystwa, stąpając elegancko jak baletnica, znalazła się Kudłata, prowadzona przez Felicity. Siostry spojrzały na stajenny zegar.

- Już czas - powiedziała Felicity.

- Tak - odparła Bramble. Żołądek podjechał jej do gardła. - Już czas.

Helena podeszła na sam przód, tuż za liny oddzielające widownię od koni, i odnalazła Eddiego, Savannah i Toma, którzy zakleпали jej miejsce na jednym z wielkich wozów z sianem, ustawionych przed pałacem dla tych, którzy chcieli obejrzeć przeprowadzane konie. Eddie i Tom wyciągnęli ręce, żeby pomóc jej wsiąść na wóz, a Helena z satysfakcją zarejestrowała kilka głów, które obróciły się, najwyraźniej ją rozpoznając. A ten Tom to naprawdę miły młody człowiek, pomyślała, zerkając jeszcze raz na przyjaciela Savannah. Ciekawe, czy jej siostrzenica widzi, jak często na nią patrzy? Dobrze byłoby, gdyby znalazła sobie chłopaka. Bardzo dobrze.

W głębi stajennego dziedzińca Felicity przekazała uwiąż Kudłatej komu innemu i zdjęła z niej derkę. Bramble wyprowadziła klacz na dziedziniec zewnętrzny i skręciła w lewo pod wysokim łukiem sklepienia,

wychodząc wprost przed Badminton House. Kopyta Kudłatej, roztańczone z ekscytacji, chrzęściły na żwirze, a każdy jej ruch obserwowano całe morze twarzy. Liczyli się jednak wyłącznie sędziowie: trzech elegancko ubrani i poważnie wyglądający oficjele.

Pierwsza inspekcja w Badmintonie, w środowe popołudnie. Udało im się! A w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy Bramble tak często traciła nadzieję, że w ogóle się tu dostanie!

- Numer dwadzieścia siedem, Checquerboard Charlotte, własność pani Bramble Kelly i panny Savannah Kelly, prowadzi pani Bramble Kelly - zaanonsował komentator, a ona podbiegła naprzód, przyśpieszając kroku i biegnąc wraz z kłusującą Kudłatą wzdłuż uroczego palladiańskiego frontonu, tuż obok składu sędziowskiego, zawracając pod koniec fasady i starając się utrzymać równy krok w swoich nowych zamszowych botkach. Kudłata biegła obok rozkołysanym krokiem, od czasu do czasu rżąc albo podrzucając głową, podniecona towarzyszącym wydarzeniu napięciem.

Trzech członków jury naradziło się między sobą i została poproszona o ponowne przeprowadzenie Kudłatej. Bramble zamarła. Coś się nie spodobało.

Tym razem było trudniej, bo Bramble miała kłopoty ze złapaniem oddechu. Pomyślała o tych wszystkich porankach, kiedy wstawały z Felicity o piątej, pobiegać przed porannym obrzędzaniem stajni.

- Myśl o tym, że będziesz przeprowadzać konia w Badmintonie - powtarzała Felicity jak mantrę, po ciemku i na zimnie. - Musisz być w formie.

Felicity nigdy, nawet przez moment, nawet wtedy, kiedy Kudłata nagle okulała albo otarła sobie grzbiet, albo zaczynała za bardzo brykać podczas ujeżdżenia, nie pozwalała na myślenie, że się nie zakwalifikują. Bramble pobiegła więc ponownie tam i z powrotem, myśląc o zawziętej wytrwałości Felicity i o tym, ile zawdzięcza siostrze. Tłumaczyła sobie, że Kudłata jest w idealnej formie i że sędziowie na pewno to dostrzegą. Nie po to obie dotarły tak daleko, żeby zostać zawrócone na progu imprezy. Na tym etapie zostawał zdyskwalifikowany ledwie jeden koń na sto.

Przewodniczący zespołu sędziowskiego uniósł melonik w stronę budki komentatora.

- Numer dwadzieścia siedem, Checquerboard Charlotte, koń przyjęty. - Sprawozdawca zauważył ten gest i zrozumiał jego znaczenie, a Bramble ponownie przeszła pod kamiennymi łukami. Felicity zaśmiała się z ulgą.

- Widziałeś? - szepnęła Savannah do Toma na wozie z sianem. - Mama nosi plakietkę z Klubu Kucyka mojej przyjaciółki, Lottie.

Tom delikatnie splótł jej palce ze swoimi, a ona poczuła bijące z jego postaci ciepło i elektryczne iskierki tam, gdzie stykała się skóra.

W stajniach wszyscy byli w stanie mówić wyłącznie o pogodzie. Przez ostatnich pięć tygodni było wyjątkowo gorąco i sucho, i chociaż organizatorzy solidnie przygotowali grunt, podsypując go ziemią i wzruszając, to jednak nie chcieli zbyt często polewać terenu wodą. Zawsze mógł spaść naprawdę rzęsy deszcz. Czyste,

błękitne niebo i upał - niemal spiekota jak na początek maja - przeczyły jednak zapowiedziom pogodynek. Kilku jeźdźców zakwalifikowanych do krajowej reprezentacji wycofało swoje konie w związku z tegorocznymi mistrzostwami świata, motywując to twardością podłoża i niepokojem o nogi wierzchowców. Wprawdzie impreza miała się odbyć dopiero za cztery miesiące, ale najwyraźniej nie chcieli ryzykować kontuzji. Jednak większość uczestników obserwowała przygotowania i trzymała nerwy na wodzy. „Spokojnie to pojedziemy”, mówili między sobą, choć w ich głosach nie było zwykłej pewności.

W pojawiających się lawinowo artykułach w prasie, usiłujących wytypować ewentualnego zwycięzcę, powtarzało się regularnie około dwunastu nazwisk. Stojący na czele reprezentacji niemieckiej Klaus Jurgen, Betsy Parker, najlepsza amazonka pośród Amerykanów, czterech brytyjskich kandydatów do zwycięstwa na mistrzostwach świata, dwóch czy trzech jeźdźców, którzy już kiedyś wygrali Badminton i wciąż znajdowali się w szczytowej formie, plus garstka tych, którzy właśnie zaczynali się wybijać i mogli nieźle dać popalić żelaznym faworytom. Jezzar Morgan wymieniany był właśnie wśród tych ostatnich. Nareszcie stosownie finansowany przez mieszkających niedaleko Gloucester zamożnych właścicieli, Jez zaliczył w tym sezonie kilka ładnych zwycięstw w dwu- i trzygwiazdkowych imprezach, a teraz uśmiechnęło się do niego szczęście. W ostatniej chwili zaproponowano mu jazdę w Badmintonie na Fire-flighcie, koniu, którego jeździec złamał nogę. „Na tego zawodnika trzeba uważać”, brzmiała opinia ekspertów.

O Bramble niemal nie wspomiano, chociaż w jednym z poprzedzających Badminton podsumowań pojawiły się poświęcone jej dwie linijki: „Bramble Kelly, żona niegdyś świetnego jeźdźca Dorna Kelly'ego (zginął w Thurlwood osiem lat temu), w ostatnich latach pracująca solidnie na własną renomę w jeździectwie. To jej pierwsza czterogwiazdkowa impreza od śmierci męża, i jak na razie udana spółka z nieco zbzikowaną, niedużą klaczą Checquerboard Charlotte, która może sprawić nam niespodziankę”.

Jaką znów niespodziankę? Bramble postanowiła nie zastanawiać się, co autor mógł mieć na myśli. Jej celem było dostać się do górnej dwudziestki, do konkursu skoków, który miał być relacjonowany na żywo w telewizji w niedzielne popołudnie. Wszyscy by wreszcie zrozumieli, że Bramble Kelly nie jest już tylko wdową po Dornie czy córką Edwarda Beaumonta, ale jeźdźcem sama w sobie. A to by znacznie podniosło wartość potencjalnych źrebiąt po Kudłatej.

Spoglądając jednak na listę uczestników, widziała więcej niż dwadzieścia nazwisk, którym należało się lepsze miejsce niż jej.

Test dresażu był przewidziany na czwartek i Bramble przez całą poprzedzającą go noc budziła się niemal co godzinę, w nadziei, że usłyszy bijący o dach koniowozu deszcz. Słyszała jednak wyłącznie ciche szepty i, od czasu do czasu, wybuch śmiechu z sąsiednich pojazdów. Na trzech parkingach dla koniowozów stłoczono osiemdziesięciu sześciu zawodników i wszystkie osoby

towarzyszące, więc ledwie wystarczało tu miejsca na rozstawienie piknikowego stolika i paru składanych krzeseł. Ona i Felicity spały w koniowozie, Savannah, Eddie i ich przyjaciele w przyczepie na kempingu, a Helena w hotelu, za to wszyscy zbierali się na parkingu na posiłki. Nat miał przyjechać do czwartku. Koniowóz siłą rzeczy zamienił się w zminiaturyzowaną wersję kuchni w Lorenden, ciągle pełen ludzi, plotek i zapachu jedzenia albo parzonej kawy. Bywało tu cicho wyłącznie nocą, i wtedy można było usłyszeć cichutkie poskrzypywanie, kiedy Bramble albo Felicity przekręcały się we śnie z boku na bok.

Bramble poszła do stajni o wpół do dziewiątej, by zapleść grzywę Kudłatej. Nad ziemią powietrze było już rozedrgane z gorąca, a klacz, pobudzona - może nawet za bardzo - rwała się do działania. Obolała z braku snu Bramble osiodłała ją pół godziny za wcześnie, chcąc dać jej szansę pozbycia się nadmiaru energii na rozprężalni.

- Znów w Klubie Kucyka, co? - Toby Fitzroy, wyglądający jak bohater z książek Jane Austin, w tych swoich kremowych bryczesach, czarnym fraku, z białym halsztukiem pod szyją, wjechał na rozprężalnię krótkim galopem. Na Teddym. Miał jechać tuż przed Bramble.

- Małe jest piękne, nie wiedziałeś? - odpaliła, patrząc na niego zmrużonymi od słońca oczami. W oddali ciągnęły się żółte pola rzepaku, a niebiesko-białe pasiaste markizy Badmintonu łopotały na wietrze jak płachty namiotów podczas średniowiecznego turnieju. Bramble

pot spływał po karku. Teddy poznał ją i zastrzygł uszami w jej stronę. Jakby dawał znać, że chciałby nadal mieszkać w Lorenden. A co tam! Jeśli jakiś koń miałby dać Toby'emu upragnione zwycięstwo, niech to będzie Teddy!, pomyślała.

Kudłata, w porównaniu z nim i z innymi wspaniałymi maszynami do dresażu, które stąpając, zdawały się unosić w powietrzu, wyglądała jak szmaciany osiołek. Te konie będą dostawać dobre oceny za samo piękno ich długiego, atletycznego kroku, a Bramble sensowne miejsce w rankingu może zapewnić wyłącznie absolutna precyzja i całkowite posłuszeństwo klaczy. „Nigdy nie odpuszczaj nawet jednego punktu!”, powtarzała jej do znudzenia Felicity podczas treningów.

Felicity i ich trenerka ujeżdżenia, Miranda, obserwowały wszystko spoza białego, drewnianego parkanu; stały z ramionami splecionymi na piersiach. Miranda podchodziła od czasu do czasu z jakąś uwagą.

Bramble patrzyła, jak w czworobok parkuru wjeżdża Toby Fitzroy, i nagle, znienacka lekkie oklaski dały znać, że to już jej kolej. Usłyszała podany przez głośniki wynik poprzedniej pary - sześćdziesiąt trzy i pół punktu. Dwunasta pozycja.

Kiedy się mijali, Toby uniósł dłoń w jej stronę w geście pozdrowienia. Bramble, oczywiście, rozproszyła się natychmiast, odbiegając myślami od czekającej ją próby.

- Skup się! - syknęła stojąca z boku Felicity. - Nie oddawaj ani jednego punktu!

Bramble zmusiła niewyspaną, obolałą głowę do pracy i kiedy wyjechała krótkim galopem na arenę, miała

już jasny umysł. Była świadoma wyłącznie rytmicznego ruchu Kudłatej pod siodłem, kontaktu z pyskiem klaczy na wodzach i własnego, wyprostowanego i nieruchomego ciała. Podjechały do środkowej linii i zatrzymały się, oddając salut sędziom.

Bramble wzięła głęboki oddech i rozpoczęła serię rytmicznych półokrążeń, czując, że Kudłata reaguje na każde drgnienie wodzy i każdy dotyk jej pięty. Łopatką do wewnątrz - pięknie. Bramble się uśmiechnęła. Teraz ciąg, może już nie tak idealny. Zmusiła się do skupienia; przecież zagrożenie utraty punktów wcale nie minęło. Widownia zdawała się milcząco koncentrować razem z nią i Bramble słyszała teraz jedynie rytmiczne poskrzypywanie siodła i regularne uderzenia kopyt Kudłatej o trawę.

Najtrudniejsze okazały się wolne elementy. Zmuszenie konia u szczytu fizycznej formy, gotowego biec przed siebie, jakby od tego zależało jego życie, do zwolnienia tempa i wyciągnięcia szyi w długim, swobodnym stępie, często okazywało się niemożliwe, ale dzisiaj Kudłata była w swoim najśłodszym i najrozsądniejszym nastroju. Jeszcze zebrany kłus, potem jeszcze jedno zatrzymanie, może nie do końca równe, potem cofanie, zawsze nieco niezręczne

- kolejne stracone punkty, ale teraz nie wolno o tym myśleć!

- potem galop i kolejne figury: koła i serpentyny. Ostatnia lotna zmiana nogi i już wracały na linię środkową zebrany galopem, zatrzymując się na koniec w absolutnym bezruchu. Bramble skłoniła głowę przed sędziami.

Ze poszło jej dobrze, zorientowała się po potężnych oklaskach. Zjeżdżając z czworoboku, uśmiechając się

i mocno poklepując Kudłatą, podniosła wzrok i zobaczyła na elektronicznej tablicy wynik: czterdzieści dwa i pół punktu. Była trzecia!

- Trzecia! - pisnęła Helena, ściskając Bramble, kiedy ta po wjeździe na rozprężalnię wreszcie zsiadła z siodła.

Również Felicity entuzjastycznie poklepała Kudłatą i poczęstowała klacz miętówkami.

- Nie zapominaj, Heleno, że przed nami jeszcze dwie trzecie stawki...

- I nie jechała jeszcze większość najlepszych jeźdźców - westchnęła Savannah. - Ale to fantastyczny początek! Rewelacja, mamó! Świetna robota.

Chociaż wciąż trwała myślami przy teście, Bramble nie mogła nie zauważyć, że Savannah z Tomem trzymają się za ręce.

Popołudniowe cienie wydłużały się, ale słońce wciąż spiekało ziemię. Ustawiały się kolejki do lodów, a ludzie wachlowali się programami zawodów. Przy każdym spojrzeniu na tablicę serce Bramble zamierało na widok jej własnego, spadającego wyniku. Około czwartej, już na dziewiątym miejscu, postanowiła skoncentrować się na zaplanowanym na wieczór przyjęciu i zapomnieć o ujeżdżeniu. Jeszcze tylko leciutko się uśmiechnęła, widząc, że Toby Fitzroy obsunął się na trzydziestą piątą pozycję, spadając w rankingu jeszcze szybciej niż ona. Biedny Teddy zasługiwał na więcej.

Savannah ledwie mogła uwierzyć, że oto wybiera się na koktajlowe przyjęcie, najbardziej pożądaną imprezę roku. Zaproszenia na grubym, kredowym papierze

kierowano do poszczególnych jeźdźców i właścicieli koni - każdego z osobą towarzyszącą - by przybyli na spotkanie z księciem i księżną Beaufort w Badminton House. Eddie i Felicity wybierali się na równoległą imprezę dla stajennych w domu ludowym („Jedyne miejsce, gdzie usłyszysz się najnowsze plotki”, stwierdziła Felicity), ale Nat, Bramble i Savannah, wraz z Heleną, której zaproszenie jako goście Bramble wysłano już całe miesiące temu, ustawili się w kolejce przed dużym domem, czekając na zaanonsowanie. Helena zrzuciła z ramion paszminowy szal.

- Za gorąco jak na maj, straszna duchota. Dziwię się, że wieczorem nie robi się chłodniej...

Bramble niepokoiła się twardym podłożem i nogami Kudłatej.

- Podlewiają parkur - powiedziała niespokojnie. - Ale wycofało się kolejnych trzech jeźdźców...

- Nie martw się - odparł Nat i uściskał ją. - Bo, jak to mówią, wszystko się weźmie i samo ułoży.

Savannah przekonała się, że spędzając mniej czasu z rodziną, chodząc do innej szkoły i już nie uczestnicząc w tym rozpaczliwym wyścigu o jeździecki sukces, zyskała nieco swobody i dystansu w kontaktach zarówno ze swoją irytującą matką, jak i jej wygadującym głupoty facetem. Niemal mu wybaczyła, że zamierza się ożenić z Bramble.

- On jest całkiem w porządku, serio - powiedziała do Eddiego poprzedniego wieczoru. - Tylko tak przynudza! I strasznie jest obciachowy.

- Oni wszyscy są obciachowi. A jeśli twoja mama się

nim znudzi, zajmie się nim moja. Cały czas gada o tym, jaki to on jest atrakcyjny i że Bramble to szczęściara, i

- Nie zrobiłaby tego chyba?

- No, w sumie nie - zgodził się Eddie. - Ale jest trochę zdesperowana. Nikt jej nie zaprosił na randkę już ze trzy miesiące, a temu ostatniemu dobiegaczowi spod spodni wystawały troki od kaleson. A tak na marginesie, moim zdaniem, Nat się ciebie boi. Nieśmiały jest.

-Co?!

- No, jeśli go nie polubisz, to trochę mu utrudnisz to wszystko z Bramble. Więc stara się, jak może, przeciągnąć cię na swoją stronę.

- Wolałabym, żeby przestał.

Mimo wszystko Savannah postanowiła być dla Nata trochę miłsza, aczkolwiek pomysły narzeczonego Bramble na prowadzenie rozmowy z nastolatką były żenujące.

- Wiedziałaś, że liczba towarów sprzedawanych na straganach w Badmintonie dałaby się porównać z wolumenem sprzedaży w dzielnicy handlowej sporego miasta? - zagadnął, kiedy przesuwali się w kolejce gości do wejścia.

Usiłowała wymyślić jakąś grzeczną odpowiedź, na przykład spytać, w jakim mieście - bo według niej różnica między „liczbą towarów" sprzedawanych w Canterbury i, dajmy na to, w Birmingham mogła być znaczna - ale chyba Nat by tego nie wiedział.

- Nie uważasz, że to niesamowite - dodał, obracając się w jej stronę tuż przed zaanonsowaniem ich przez kamerdynera - iż księżę i księżna stoją przy drzwiach i witają uściskiem dłoni wszystkich wchodzących? To będzie z jakieś pięćset uścisków.

- Pani Bramble Kelly i pan Nat Croft - odezwał się kamerdyner.

Savannah usłyszała księżną mówiącą, z jaką przykrością dowiedziała się o śmierci Edwarda, a potem już nadeszła jej kolej.

- Panna Savannah Kelly i pani Helena Harris. Złapały po jakimś kieliszku i znalazły się w środku,

w tłumie ludzi, którzy witali się ze sobą nawzajem jak starzy znajomi. Savannah poczuła się przytłoczona olbrzymią salą z wielkimi portretami na ścianach, o posadzce w biało-czarną szachownicę.

- Być może nie wiesz - szepnął jej do ucha Nat - ale to właśnie wielka sień, w której wymyślono grę w lotki, zwaną teraz przez wszystkich badmintonem.

Savannah miała raczej mgliste pojęcie o tym, czym jest gra w lotki, i miała nadzieję, że Nat nie będzie tkwił przy niej przez cały wieczór, faszując ją nieustannie niepotrzebnymi informacjami, gdy napór ludzi z tyłu pchnął ich w głąb pomieszczenia. Oddzielona od rodziny Savannah mogła się wreszcie swobodnie rozejrzeć. Pierwszą osobą, która wpadła jej w oko, był Jez.

- Jak się masz? - zapytał łagodnie, jakby naprawdę zainteresowany.

- Nieźle - powiedziała i ze zdziwieniem zauważyła, że to przecież prawda. Czowała się nieźle. I miło jej się zrobiło na widok Jeza, ale to wszystko. Już nie kręciło jej się w głowie i nie pragnęła rozpaczliwie, żeby zwrócił na nią uwagę. Znacznie bardziej interesował ją Tom, popijający sobie teraz piwo w przyczepie kempingowej,

który czekał na jej powrót i na plotki z przyjęcia. - Jaki jest Fireflight?

- To fantastyczny koń.

- Mam nadzieję, że wygrasz.

- Powinnaś mieć nadzieję, że wygra twoja mama.

- Och, ona nie wygra - powiedziała Savannah. - Kiedy ostatnio patrzyłyśmy, była na dziewiątym miejscu, a miało jeszcze jechać dresaż dziesięciu zawodników. No i wszyscy ci, co jadą jutro.

- Nadal jest dziewiąta, sprawdzałem. Nieźle jak na koniec pierwszego dnia. Jeszcze może zawalczyć o wszystko.

- No, to jedno z was musi być pierwsze, a drugie - drugie.

Uśmiechnął się do niej i lekko dotknął jej ramienia.

- Zrobię, co się da.

Bramble widziała całkiem sporo znajomych twarzy, ale jeszcze więcej nowych. Kiedy ostatni raz była na przyjęciu w Badminton House, dziewięć lat temu, jeszcze za życia Dorna, znali tu wszystkich. Teraz czuła się niemal jak ktoś spoza środowiska, mimo że, jak na razie, miała za sobą udany sezon.

- Kochanie! - odezwał się jakiś głos i ktoś cmoknął Nata w oba policzki.

Bramble odwróciła się i zobaczyła elegancko ubraną kobietę, z głębokimi zmarszczkami niezadowolenia wokół ust.

- Bramble, to Penny Luckham. Penny, znasz Bramble Kelly? Bierze udział w zawodach.

Penny nachyliła się bardzo blisko.

- Czy dla waszej stajni nie jeździł czasem Jezzar Morgan? Kiedy odszedł z mojej?

Bramble skinęła głową. Miała wrażenie, że Penny jest lekko pijana.

- To największa pomyłka mojego życia... To, że się z nim zadałam - powiedziała Penny nieco niewyraźnie.

- Podobno z twoją córką też był jakiś problem?

- Nic podobnego.

Penny cofnęła się, usiłując skupić wzrok na twarzy Bramble, jakby jej nie dowierzała.

- Naprawdę? Musiałam coś źle usłyszeć.

- Owszem - odparła Bramble, świadoma, że tuż obok kręci się Nat. Na szczęście miał dość taktu, żeby zachować milczenie.

- No to dlaczego Jezzar wyjechał z twojej stajni?

- Penny postawiła triumfalne pytanie, jak ktoś przekonany, że właśnie stał przeciwnika na proch.

Bramble przełknęła ślinę.

- Dostał lepszą ofertę. - Była to niemal prawda.

- No proszę! - powiedziała Penny z miną zwycięzcy.

- To dość typowe. U mnie ukradł trochę pieniędzy i parę spinek do mankietów. Zabrał je z półki nad kominkiem. Musiałam wezwać policję.

Bramble odsunęła się z niechęcią. To w ogóle nie była jej sprawa i nie życzyła sobie intymnych zwierzeń ze strony kogoś dopiero co poznanego. Choć słowa Penny potwierdzały wersję Nata...

Złapał ją pod łokieć.

- Przepraszam, musimy już iść. Uroczo było cię zobaczyć, Pen.

I poprowadził Bramble przez wewnętrzny, wykładany dębową boazerią hol, za plecami setek ludzi - jeźdźców,

właścicieli koni, organizatorów zawodów i członków koła łowieckiego Beaufort Hunt. Przyjęcie zajęło cały parter domu, począwszy od wielkiej sieni na dole, wokół niesamowitych, kręconych schodów z dębowego drewna, przez szereg sal, aż do salonu rozmiarów całego parteru Lorenden (co zabawne, ten salon sprawiał równie bezpretensjonalne wrażenie), po salę balową z jej błyszczącymi żyrandolami, parkietem do tańca i rozstawionymi dokoła niewielkimi, połączanymi krzeselkami. Z gwaru wyłaniały się strzępy rozmów: „Nigdy nie zgadniesz, kto dziś rano wyszedł z koniowozu Toby'ego Fitzroya”, „Nie wyhamowałem dość szybko”, „Frances powiedziała mi, że wybulili sto dziewięćdziesiąt kawałków za tego konia”, i „On po prostu ma obsesję na punkcie tej klaczy i zupełnie nie wiem, co z tym zrobić”.

- Penny bywa czasami nieco zbyt emocjonalna. Pomyślałem, że trzeba cię ratować. - Nat przystanął w salonie.

- Tak, dzięki, była okropna. - Rozgorączkowana Bramble ledwie łapała oddech. Rozpoczął z nią właśnie rozmowę dawny przyjaciel Dorna, jeździec, który przeniósł się do Stanów. Ucałował Bramble w oba policzki, ale Nat niespodziewanie znów ją pociągnął.

- Bram, musimy znaleźć Savannah i sprawdzić, czy dobrze się bawi: - Uwolniła się od uścisku jego ręki. - To idź i jej poszukaj.

- Nie, nie, ja... - Urwał.

- Witaj, Bramble. I Nat.

Jez był w towarzystwie jakiejś chudej, nerwowej kobiety.

- Czy to jakiś dowcip? - spytał ostro Nat.

- Bramble, to Jenny Croft, moja stara przyjaciółka. - Jez przedstawił sobie obie panie.

- Moja była żona - dopowiedział Nat szorstko. - A teraz, skoro już się oboje zabawiliście... Naprawdę musimy już iść.

- Och, Jenny, witaj. Bardzo miło cię poznać. - Bramble wcale nie odniosła wrażenia, że kobieta jest wariatką czy histeryczką. Wydawała się po prostu znużona i stroskana. - Przywiozłaś ze sobą Gemmę? Bardzo chciałabym ją poznać. Savannah też by chciała.

- Została u przyjaciółki. - Jenny odruchowo zaczęła obgryzać paznokcie, ale zaraz opuściła rękę.

- Idziemy - powiedział Nat, chwytając Bramble za rękę i odciągając. - Do widzenia.

- Nat, to było niegrzeczne - syknęła Bramble, kiedy już przepchnęli się przez tłum i znaleźli poza zasięgiem uszu ostatnich rozmówców.

- Nie wiem, co on kombinuje...

- Pewnie nic. Zna Jenny i zaprosił ją jako osobę towarzyszącą. Nie martwisz się, że oni...

- Oczywiście, kurwa, że się nie martwię, że mają romans. Bardziej się martwię tym, że on ją tu sprowadził, żeby wyprowadzić cię z równowagi.

- To absurd. Po co miałby to robić? Przecież ja nie jestem dla niego konkurencją. Jez ma do zdekoncentrowania przynajmniej kilkunastu innych jeźdźców, zanim zacznie się martwić moją skromną osobą.

Urwała. Nie jestem konkurencją! No ładnie, z takim podejściem do sprawy na pewno nie wygra. „Nie oddawaj ani jednego punktu”, powtórzyła w duchu. Nigdy.

- Nat, moim zdaniem robisz z igły widły. Mnóstwo ludzi uważa, że ich byli mężowie czy żony to diabły wcielone, a to zazwyczaj normalni ludzie.

Roześmiał się i przyciągnął ją do siebie.

- Kochana, dobra, zawsze myśląca o innych jak najlepiej Bramble! Posłuchaj, kochanie, chciałbym z tobą pogadać. O jutrzejszym dniu.

Bramble wysunęła się z jego objęć. Popatrzyła uważnie.

- Jestem pewien, że wypadniesz wspaniale. I jestem pewien, że nie dojdzie do żadnych wypadków. Ale muszę zapytać. Jak zabezpieczyłaś Savannah, w razie gdyby coś się stało.

Bramble zrobiło się zimno.

- Wszystko, co mam, przechodzi na nią.

- No, właśnie o to się martwię. Savannah jest jeszcze młoda i bezbronna. Pomyślałem, że może powinnaś..-W krótkich, prostych słowach: ustanowić zarząd powierniczy, żeby ktoś mógł się zająć jej przyszłością.

- W razie nieszczęścia zaopiekują się nią Felicity i Helena.

- Helena nie umie się zaopiekować własnymi dziećmi, a Felicity wyjeżdża. Mówiła o tym któregoś dnia.

- Ona wcale nie...

- Och, nie chciała cię martwić przed Badmintonem, ale słyszałem, jak rozmawiała o tym z Heleną. Znasz ją, ona nigdy nigdzie długo nie usiedzi. Miałem zamiar zasugerować - tylko jako tymczasowe rozwiązanie; jestem zresztą też pewien na sto procent, że okaże się niepotrzebne - żebyś to mnie ustanowiła opiekunem

prawnym Savannah, dopóki ona nie skończy dwudziestu jeden lat.

Bramble nie miała najmniejszej ochoty chodzić za tą sprawą.

- Czy to nie znaczy, że trzeba do tego prawnika i tak dalej?

- Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale sam coś na szybko spisałem. Chcę tylko, żebyś jutro pojechała ze spokojną głową. Jeśli zechcesz, unieważnisz wszystko po niedzieli.

Wyszli z Badminton House i skierowali się z powrotem do koniowozu, mijając po drodze miasteczko namiotów, gdzie sprzedawcy świętowali koniec pierwszego dnia obrotów, otwierając butelki i piknikowe kosze. Na miejscu powitał ich potężny pomruk grzmotu.

Kiedy błyskawica przecięła niebo nad horyzontem i zaczęły padać wielkie krople deszczu, Bramble aż podskoczyła z radości, wrzeszcząc jak opętana.

- Deszcz! W samą porę! - I wysunęła język, chcąc posmakować krople. Nat spojrzał na nią jak na wariatkę. - Dokładnie tego było nam trzeba! Tak, dobrze, pewnie masz rację. Podpiszę to coś.

Jakie to miłe, że Nat zawsze myśli o wszystkim! Jest taki opiekuńczy!

Następnego dnia **Bramble** raz jeszcze obeszła trasę crossu. **Deszcz**, który zawzięcie padał przez całą noc, zalał spieczoną na kamień ziemię i niektóre części trasy zamienił w grzęzawisko. **Teraz** gorączkowo próbowano odpompować wodę. **Grupy** jeźdźców wraz z trenerami zbierały się wokół coraz większych kałuż, kręcąc głowami, a deszcz nadal lał na ich parasole i ochronne kapelusze z szerokim rondem. **Niektórzy**, ci, co na początku zgłosili do konkursu po dwa konie, zdążyli już, niestety, wycofać wierzchowce lepiej radzące sobie na podmokłej nawierzchni. **Teraz** pozostały im do dyspozycji zwierzęta, które dobrze sobie radziły na twardym podłożu, radośnie biegały po skałach, ale nienawidziły błota.

Kudłata, która miała w sobie sporo krwi irlandzkiego huntera, może i cieszyła się z odmiany warunków, ale na pewno będzie skakała inaczej, więc **Bramble**, jak wszyscy pozostali, musiała od nowa przemyśleć strategię. **Przystawała** obok wielkich żywopłotów albo zwalonych drzew, szlabanów i płotów, które wydawały się tak

wysokie jak ona sama, a potem wspięła się na wzniesienie Bank i zeszła w zagłębienie Sunken Road, usiłując ocenić, co będzie widziała klacz, w którym miejscu będzie wypadał odskok i gdzie powinna lądować. Wielkie rowy Vicarage Vee przerażały ją nie mniej niż zwykle, a Lake, najstłynniejsza wodna przeszkoda na tym torze, oferowała liczne możliwości zmoczenia się od stóp do głów. W pobliżu zawsze gromadziło się najwięcej widzów, przyciągniętych perspektywą obejrzenia spadających do wody jeźdźców. Przynajmniej bardziej mokrzy niż teraz nie będziemy, westchnęła w duchu Bramble, czując spływające jej po nosie krople deszczu.

- Pamiętaj, że grunt został dobrze przygotowany - powiedziała Felicity. - Wystarczy, że wyjdzie słońce, a trasa będzie idealna.

Ale słońce nie wyszło.

Bramble zdecydowała się pójść na ujeżdżalnię i obejrzeć próbę Jeza. Zdając sobie sprawę, że w rankingu może tylko spadać, nie mogła się zmusić do spojrzenia na tablicę liderów, zwłaszcza że tuż przed Jezem pojechała Betsy Parker, ta Amerykanka, zaliczając niesamowite trzydzieści pięć i jedną dziesiątą punktu. Obok jej nazwiska pojawił się napis: „Pozycja lidera”. Do tej pory spadłam już pewnie poza pierwszą dwudziestkę, pomyślała Bramble. Betsy z takim wynikiem będzie nie do pobicia, jeśli, oczywiście, uda się jej czysto przejechać cross.

Fireflight był jednym z tych koni o długim kroku, które zbierają dobre oceny podczas dresażu. Jezowi udało się go zaliczyć na trzydzieści dziewięć i osiem dziesiątych punktu. «v

- Jeszcze jeden przede mną! - mruknęła Bramble cicho w stronę własnych butów, stwierdzając, że dosyć już tego umierania na powolnych torturach i że lepiej zrobiłaby, jeszcze raz przechodząc trasę crossu lub wracając do koniowozu. Nie umiała jednak odmówić sobie szybkiego zerknięcia na tablicę wyników i zdumiała się, widząc, że Jez wypadł niewiele lepiej od niej. Znajdował się na jedenastym miejscu, podczas gdy ona spadła zaledwie na czternaste. Ale popołudnie jeszcze się nie skończyło. Zaraz miał jechać brytyjski zdobywca złotego medalu olimpijskiego na wspaniałym koniu o imieniu Sunburst, który dresaż zawsze przejeżdżał idealnie. Nie wspominając o obecnym mistrzu Europy i jeszcze jednym jeźdźcu, który zwyciężył w Badmintonie już trzykrotnie.

- Boże, ja się nigdy w tym do końca nie połapię! - odezwał się obok jakiś głos spod damskiej parasolki. Jenny Croft.

- W dresażu im niższy wynik, tym lepiej - odparła Bramble. -1 w sumie wystarczy to zapamiętać. A potem po prostu nie dostać żadnych punktów karnych. Zwycięża zdobywca najniższego wyniku.

Jenny uśmiechnęła się, a kierowana impulsem Bramble zaproponowała jej kawę.

- Bardzo to miłe z twojej strony - powiedziała Jenny, mieszając piankę na swoim cappuccino. Siedziały na krzeselkach przytulone do siebie, żeby uniknąć lejących się z zadaszenia nad ich głowami strumyczków. - I Jez też jest taki życzliwy. Nie mogłam uwierzyć, że mnie tu zaprosił. Zawsze chciałam przyjechać

do Badmintonu, ale... No wiesz, jak to bywa. - Rzuciła Bramble szybki, niepewny uśmiech.

- Przyjechałaś tu taki kawał drogi? Aż z Newcastle? - Bramble nadal nie mogła dopatrzeć się w niej megiiery, o której opowiadał jej Nat.

- Nie, udało nam się kupić dom, częściowo własnościowy, częściowo należący do towarzystwa budownictwa społecznego, tuż obok niezłej szkoły, jeszcze przed Bristolem, patrząc z tej strony. Trochę się bałam przeprowadzki z miejsca, gdzie miałyśmy tylu przyjaciół, ale okolica się sprawdza. - Musiała zauważyć zdziwioną minę Bramble, bo dodała: - Moja połowa za dom nie wystarczyła, żeby kupić coś na własność, ale naprawdę miałyśmy szczęście z tym rozwiązaniem. A poza tym, jest tam wielu innych rozwiedzionych rodziców z dziećmi, więc Gemmie jest przyjemniej.

Bramble nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- Oczywiście, to był pewien wstrząs, bo przez całe życie mieszkałam blisko Newcastle. Prawdę mówiąc, wychowałam się w tym sprzedanym domu. - Skonsternowana mina Bramble wyraźnie ją deprimowała, więc pośpieszyła z wyjaśnieniami. - Moja matka zostawiła mi dom w spadku. No ale, tak to bywa z rozwodami, prawda? Każdy wtedy ucierpi. To niczyja wina. Po prostu tak już bywa.

- Dlaczego się rozwiedliście? - spytała Bramble niemal szeptem. - O ile mogę cię o to spytać?

- Nat stracił pracę. Zatrudniała go firma księgową, która została przejęta. A on wpadł w potworną depresję, bo byliśmy dość poważnie zadłużeni. Dostałam pół

etatu w supermarkecie, rozkładałam towar na półkach. W ten sposób miałam elastyczne godziny pracy i mogłam pogodzić pracę ze szkołą Gemmy, ale on uważał, że to zbyt uwłaczające zajęcie. Ze demonstracyjnie pokazuję całemu światu, że Nat nie jest w stanie nas utrzymać. Nawet nie winię go za to, że był wściekły. Chyba nie bardzo umiałam z nim postępować. Ciągle się przeze mnie denerwował.

Bramble przypomniała sobie, co Nat opowiadał o kłamstwach Jenny.

- Czy był ktoś inny?

- Nie, skądże. A przynajmniej nie z mojej strony. On dość dużo przebywał wtedy poza domem, kiedy już zdecydował się przekwalifikować na kowala, i nie wydaje mi się, żeby... Ja znalazłam sobie kogoś na krótko, już po jego odejściu, i miałam nadzieję, że... No ale nic z tego nie wyszło.

- To smutne - powiedziała Bramble, usiłując nie okazywać, jak bardzo jest wstrząśnięta. Prowincjonalna firma księgowa, nie żadna ważna posada w City! Połowa wartości domu, a nie utrata całego! To Nat oszedł, a nie Jenny go zdradziła. Gemma w Bristolu, nie w Newcastle. Albo jedno patologicznie kłamało, albo drugie. Jeśli Nat dysponował połową dochodu ze sprzedaży domu w Newcastle, dlaczego potrzebował podżyrowania pożyczki z zabezpieczeniem na Lorenden? - Słuchaj, Jenny, bardzo się cieszę z tego spotkania, ale muszę już iść i zobaczyć, co z moim koniem.

- Och, jasne. - Jenny się poderwała. - Przepraszam, nie pomyślałam. Naplotłam ci tu tyle o sobie. A przy

okazji - powodzenia jutro. Uważam, że jesteś niesamowicie dzielna.

- Słyszałaś? - powiedziała Hannah, stajenna Toby'ego, kiedy Bramble, walcząc z błotem, dotarła wreszcie do stajni. - Sunburst dostał poważnej kolki. Właśnie go operują.

No to wypadł ze stawki złoty medalista olimpijski!, pomyślała Bramble, chociaż jednocześnie poczuła silny impuls współczucia dla jeźdźca. Minutę wcześniej był faworytem, z szansą na zwycięstwo, teraz chodził nerwowo z kąta w kąt, modląc się, żeby jego ukochany koń przetrwał następnych kilka godzin. To się mogło zdarzyć każdemu.

W pierwszym odruchu zapragnęła sprawdzić, czy z Kudłatą wszystko w porządku. Weszła do stajni, przechodząc niekończącym się korytarzem z ciemnoczerwonymi boksami po jednej stronie i oknami po drugiej. Miejsce każdej ekipy było wyraźnie oznaczone, naprzeciwko boksów piętrzyły się porządnie ułożone bele słomy, siana i karmy, taczki stały oparte o ścianę. Kudłata wyglądała z boksu, zadowolona z zamieszania i obecności tylu innych koni. Bramble weszła do środka, oparła głowę o muskularną, brunatno-białą szyję, i pogłaskała lśniąca sierść.

- Ty i ja, Kudłata. Ty i ja. Tylko to się liczy - szepnęła. Cała reszta była nieistotnym szumem. Komu wierzyć? Jenny czy Natowi? Natowi, oczywiście. Ale z drugiej strony Jenny nie wyglądała na kłamczuchę...

Pojawiła się Felicity i przesunęła dłonią po nogach klaczy, szukając niewidocznej opuchlizny albo gorących miejsc, których - na szczęście - nie znalazła.

- Heja. Jak tam? Okej?

Bramble pokiwała głową. Kudłata wyciągnęła łeb i czule zaczęła skubać jej ramię, a potem zastrzygła uszami w stronę kolejnej zbliżającej się do boku osoby.

- O, cześć. Nieźle ci poszedł ten teścik. - To był Toby Fitzroy, przechadzający się korytarzem niczym król wśród poddanych. Miał na sobie koszulkę, która opinała jego napakowany tors i wyrzeźbione godzinami treningów na siłowni, mocne ramiona.

Kudłata spłaszczyła uszy i dała krok do tyłu.

- Hej, kucyku - powiedział i poklepał ją po szyi. Zarzuciła łbem, jednocześnie szarpiąc się w bok.

- Wybacz - powiedziała Bramble. - Ale wolałabym, żebyś tego nie robił.

Uniósł w górę rękę, jak przy kapitulacji.

- Przepraszam! Przepraszam! Chciałem po prostu być miły!

Felicity podniosła oczy i aż sapnęła, a Kudłata zareagowała natychmiast, kopiąc tylną nogą. Bywała niesłychanie wrażliwa na emocje.

- Cii, cii. - Felicity słyszała cichy szept i lekkie przepychanki, kiedy Bramble starała się uspokoić Kudłatą. Odbierała odgłosy jak odległy, zewnętrzny szmer. Była skupiona wyłącznie na tym, co widzi - nagie, muskularne ramiona Toby'ego. Popatrzyła mu w oczy, zaszokowana odkryciem, a potem ponownie spojrzała na jego ramię. Jego prawe ramię.

- Od kiedy to masz? - Wskazała na stojącego dęba konia, wytatuowanego pomiędzy nadgarstkiem a łokciem.

- To Merlin - odparł. - Ale przecież to nic nowego.

Dałem go sobie zrobić, kiedy twój ojciec odebrał mojego konia. Po części, żeby zrobić na złość mojemu ojcu. Powiedział, że tatuaż wygląda pospolicie. - Opuścił ręce i skrzyżował je przed sobą.

Felicity złapała go za nadgarstek i pociągnęła ku sobie, wykręcając jego opaloną rękę tak, aby i Bramble mogła zobaczyć wytatuowanego niebieskim tuszem zwierzaka.

- Ten tatuaż... - powiedziała. - Ty tam byłeś. Popatrzył na nią z góry, a potem, powoli, ale stanowczo, uwolnił nadgarstek z jej uścisku.

- Byłaś naćpana. Nie miałaś pojęcia, kto tam jest.

- We wspomnieniu tamtej nocy zawsze męczyło mnie coś, czego nie mogłam sobie przypomnieć - powiedziała Felicity, czując, jak wstyd, gniew i poczucie winy wzbierają w niej znajomym, wstrętnym odorem. - To byłeś ty. Tam.

- Nic do ciebie nie docierało. Jak często, zresztą. Na jego twarzy zobaczyła pogardę. Pogardę, z jaką zbywał ją, jak wszyscy inni, jako niemądrą dziewczynę, która zasługiwała na wszystko, co ją spotkało.

Uniosła dłoń i wymierzyła mu policzek. Zabrzmiało słabe, powierzchowne klaśnięcie. Nawet nie mogła porządnie przyłożyć schowanemu za szyderczym uśmiezkiem mężczyźnie!

- Merlin należał do mnie - powiedział Toby, ignorując uderzenie. - A potem twoja rodzina go ukradła, a ty pozwoliłaś go zabić.

- Nie. - Felicity dławiła się słowami. - Nie, nie. Ja nie sądziłam, że oni naprawdę zdołają go skrzywdzić! To był idiotyczny wypadek, wszyscy tak powiedzieli...

- urwała. Nie mogła uderzyć Toby'ego, nie mogła go przekonać, ale mogła mu pokazać, co to znaczy godność. I nie dać się szarpiącemu nią od środka gniewowi. - Masz rację - przestała się tłumaczyć i spokojnie spojrzała mu prosto w oczy.

- Moje nieodpowiedzialne zachowanie pośrednio doprowadziło do śmierci Merlina. Przykro mi. Toby chyba się stropił.

- No cóż, nie chciałem powiedzieć, że... Znaczący... Felicity nie odwracała wzroku. Nie mam już czego

się wstydzić, mówiła w duchu. Nie mam po co uciekać. Helena i Bramble wiedzą, co się stało, i wcale mnie nie osądzają. Jeśli ktoś inny mnie wini, to jego problem, nie mój. Uniosła lekko brodę i wyprostowała plecy.

Toby przestąpił z nogi na nogę. Kudłata znów się od niego odsunęła.

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział wreszcie, jakby ta cisza go oskarżała. - Pomogłem ci wydostać się przez tylne drzwi, a potem udawałem, że opieram się o nie pijany, więc musieli się ze mną przepychać, żeby wydostać się na zewnątrz. W ten sposób zyskałaś parę chwil.

Felicity poszukała w pamięci. Wytatuowane ramię wokół niej... Druga strona drzwi... Tak, to się tak właśnie rozegrało.

- Za bardzo się bałem, żeby zrobić coś więcej... - wyrwało się Toby'emu wobec przedłużającego się milczenia. Felicity widziała, jak wielkim wysiłkiem okupił to wyznanie. - Kiedy zdałem sobie sprawę, że to nie żarty, udało mi się znaleźć telefon i zadzwonić na policję. Ale było już za późno.

Felicity poczuła, że Bramble przysuwa się do niej, jakby chciała jej bronić, ale ona sama nadal stała prosto i nieruchomo, wbijając wzrok w Toby'ego.

- Myślałem, że ten cały narkotykowy świat jest ciekawy, niekonwencjonalny i prawdziwy - ciągnął. - Inny od tego, czego chcieli dla mnie rodzice. - Popatrzył na nią. - Tak samo jak ty. Oboje byliśmy idiotami.

- To ty powiedziałaś tacie, tak? - spytała Bramble, nagle orientując się, że kawałki układanki trafiły na swoje miejsce. - W zeszłym roku. Dlaczego?

Toby przyjrzał się Felicity. Znów splótł ramiona na piersi.

- Obaj spóźniliśmy się na prom, wracając z Punchestown, i skończyliśmy na ostatniej przeprawie z Irlandii. Stajenni spali, a w kantine dla kierowców ciężarówek nie było prawie nikogo. Głupio byłoby nie usiąść przy jednym stoliku. Więc musieliśmy zacząć ze sobą gadać. Kłóciliśmy się. O wszystko: o przeszłość, o tamto lato i o to, czy postąpił słusznie, kupując Merlina i w ten sposób odbierając mi możliwość startowania w zawodach. Kiedy zorientowałem się, że on nigdy się nie dowiedział, co naprawdę cię wtedy spotkało, wyrpiałem mu to w twarz.

Felicity poczuła, że pod jej nowo odzyskanym spokojem zaczyna się kotłować równie świeży gniew. Wzięła głęboki oddech.

- Spytał cię, dlaczego ich nie powstrzymałeś?

- Tak. Powiedziałem, że było ich zbyt wielu. I że ja wtedy nic nie wiedziałem o samoobronie. Jak wszyscy inni.

Popatrzyła na jego muskularną sylwetkę, rezultat wielu godzin ćwiczeń. To nie próżność go napędzała, ale strach. Strach chronionego przed światem chłopca, który nagle zrozumiał, że nie wszyscy ludzie prezentują salonowe maniery.

- I nigdy więcej nie chciałeś czuć się tak bezradny - dopowiedziała.

- Już nigdy nie byłem.

Cała trójka popatrzyła po sobie w milczeniu.

- Czas wreszcie z tym skończyć - powiedziała Bramble. - Po prostu skończyć. Nie jesteśmy ci nic winne. Jesteś tym, kim sam chcesz być. I nie musisz dawać nam w kość, żeby dowieść swojej wartości.

- Wiem - powiedział wreszcie, zwracając się w jej stronę. - Jesteśmy kwita. W końcu. Teddy za pierwszego Merlina.

Zawrócił na pięcie i ruszył do wyjścia.

-Ale jest mi przykro... - Przystanął i zwrócił się do Felicity z twarzą zeszywniałą z wysiłku tych przeprosin. - Nieważne, co zrobiłaś. To, co cię spotkało, było straszne. Przepraszam, że nie zrobiłem nic więcej. - Uśmiechnął się dawnym, czarującym uśmiechem Toby'ego, który widywało się na zdjęciach w rubrykach towarzyskich. - Choć nie sądzę, żeby to teraz miało jakieś większe znaczenie - powiedział i odszedł, a stukot jego wysokich butów odbijał się echem po korytarzu.

Felicity poczuła, że z serca spada jej ogromny kamień.

- Nic ci nie jest? - spytała niespokojnie Bramble.

- Ktoś wreszcie powiedział „przepraszam” - powiedziała Felicity, wydmuchując nos. - Bo właśnie to było

takie straszne... Że nikt, nigdy, nie powiedział, że potraktowano mnie niesprawiedliwie, że nikt nigdy mnie nie przeprosił. Właśnie dlatego czułam się taka bezwartościowa.

- Ale czemu teraz? Jak myślisz? - spytała Bramble. Kroki Toby'ego ucichły w oddali i słyszały tylko, jak śmieje się z którymś z innych uczestników zawodów. - Co go odmieniło? Pozwoliło mu przeprosić?

Felicity spojrzała w głąb korytarza, jakby odpowiedź była wypisana gdzieś u jego krańca.

- Śmierć Lottie - odparła wreszcie. - Ona zmieniła nas wszystkich.

W sobotę Bramble obudziła się o piątej, wciągnęła kalosze i brnąc przez błoto, poszła kolejny raz na trasę crossu, cały czas borykając się z jakimś okropnie złym przeczuciem. Deszcz lał przez całą noc. W głowie Bramble na zmianę kłębiły się myśli o Nacie i Jenny i wszechogarniający lęk przed próbą przełajową. Na powrót Nat i znowu cross... I jeszcze Felicity, która po powrocie do koniowozu nie zjadła kolacji, tylko rzuciła się spać na rozkładaną kanapę, naciągając kołdrę na głowę.

Ale przede wszystkim Bramble wałkowała w myślach trasę crossu, starając się wmówić sobie wiarę, że może ją przejechać nieźle. Za każdym razem, kiedy w głowie słyszała ten małpio natrętny trajkot wpierający jej, że, na przykład, Huntsman's Close, przeszkoda schowana głęboko w cieniu drzew, będzie niesłychanie śliska przy najeździe, zmuszała mózg, żeby wyobraził sobie, jak ona zbiera wodze Kudłatej, wchodząc w ciasny zakręt, i dodaje klaczy pewności siebie przy wjeździe z rozświetlonej trasy w półmrok drzew. Ze to ona, Bramble,

staje się jej oczami i wciąż od nowa zachęca Kudłatą do dalszej jazdy. Udało ci się, tłumaczyła sobie, udało ci się i podziałało.

Nie zapominała też o tych przeszkodach ustawionych na łatwiejszym, choć nie tak szybkim, wariancie trasy. Pamiętała, jak Jez mówił, że można wystartować z założeniem, że przejedzie się cross najszybszą możliwą trasą, ale potem może się okazać konieczny wybór dłuższej drogi, choćby z powodu niespodziewanych utrudnień.

- Sam się raz na tym wyłożyłem - powiedział. - Bo nie chciało mi się popatrzeć na inne możliwe podejścia do przeszkód.

Kudłata była zrywna, szybka i wytrzymała, i na trasie przełaju było kilka miejsc, w których Bramble mogła zdecydować się na dłuższy objazd, a i tak mieć całkiem sporą szansę na nadrobienie czasu szybszą jazdą pomiędzy przeszkodami. Chodziła tak i dumiała, odpychając powracające wspomnienie zagadkowego zachowania Nata, i serce ścisnęło się jej boleśnie. Była zadowolona, że w piątek musiał wracać do pracy, choć obiecał, że w sobotę zdąży na czas, żeby życzyć jej przed startem powodzenia. Bramble miała nadzieję, że w jej spojrzeniu nie dostrzegł nieufności...

Inni zawodnicy też wędrowali trasą crossu, wszyscy w obszernych przeciwdeszczowych płaszczach, szczelnie pozapinanych kurtkach, w kapeluszach z szerokim, chroniącym przed deszczem rondem, z parasolami w dłoniach. Z obawą wpatrywali się w grunt. W osuszenie trasy włożono sporo wysiłku, ale półtorej doby nieustającego deszczu, po wcześniejszym przygotowaniu

toru do suszy, zapowiadało kontuzje - a nawet wypadki śmiertelne - u jeźdźców i u koni. Sytuacja mogła się jeszcze pogorszyć, w miarę jak w ciągu dnia ziemia zostanie zryta kopytami galopujących koni. Z drugiej strony, zmniejszona liczba zawodników - a i tak było ich już znacznie mniej niż zwykle - przekładała się na większą szansę zajęcia punktowanego miejsca. A ono oznaczało zrealizowanie marzenia.

Pozieleniała ze zdenerwowania, Bramble zachodziła w głowę, czy nie powinna się wycofać z zawodów. Może szaleństwem było ryzykowanie życia i zdrowia dla nagrody, która znajdowała się daleko poza zasięgiem jej rąk? Przy każdej przeszkodzie przystawały grupki jeźdźców, omawiające możliwe podejścia do niej i umiejętność radzenia sobie koni w podmokłym terenie. Wciąż był czas, żeby zrezygnować. Felicity, z której oczu znikły wszystkie cienie, wcisnęła jej do ręki kubek z herbatą.

- Co o tym myślisz? - spytała Bramble.

- Ty decydujesz - odparła siostra, znów energiczna i rzeczowa. - Kudłata to porządny hunter, dobry na błoto. Ale grunt jest trudny i może zacząć trochę wariować.

Kudłata w terenie bywała bardzo waleczna i Bramble musiała wykrzesać z siebie całą swoją odwagę, żeby nie założyć jej mocniejszego wędzidla, dającego większą kontrolę nad koniem. Wierzchowiec tak uparty jak Kudłata musiał czuć, że jeździec panuje nad sytuacją. Klacz akceptowała partnerstwo, ale nie dominację.

Na tym podłożu koń, który się wyrwie spod kontroli, może się okazać śmiertelnie niebezpieczny. Zagrożenie powstawało przy samych skokach, ale i wskutek

poślizgnięcia się na błotnistej trasie. Bramble wzięła głęboki oddech i odeгнаła od siebie wszelkie negatywne myśli.

- Pojadę, Felicity.

Koniec końców, wycofało się szesnastu jeźdźców, z których dwóch znajdowało się w rankingu przed Bramble. Awansowała na dwunastą pozycję.

Przejazd pierwszej dwunastki obserwowano na wielkim ekranie. Zdarzyły się dwa upadki. Raz koń odmówił skoku, zrzucając jeźdźca na barierki przeszkody, aż się zatrzęsły, drugi koń zaś źle stąpnął, lądując po skoku, poślizgnął się i przewrócił, o mały włos nie miażdżąc jeźdźcowi nogi. Ludzie szczęśliwie podnieśli się i zeszli z toru o własnych siłach, chociaż na nieco niepewnych nogach.

Bramble dotarła do stajni, gdzie wpadła na Jeza.

- O, cześć. - Zawahała się niezręcznie. Przystanął.

- Jedziesz o wpół do pierwszej?

Pokiwała głową. Chciała go zapytać o tyle rzeczy! Jesteś szczęśliwy? Myślisz o nas czasami, czy byliśmy tylko krótkim przystankiem w drodze po zwycięstwa? I tyle sama chciała mu opowiedzieć! O koniach, o tym, jak się wszystkie miewają, i że już nie obwinia go o załamanie nerwowe Savannah.

- Jeszcze nikomu nie udało zmieścić się w czasie. - W jego głosie zabrzmiała nutka ostrzeżenia. Poszukał wzrokiem jej oczu.

- To ta ulewa - odparła. Słowa padały niczym krople deszczu, znikając na dzielącej ich dwoje ziemi. Pomyślała

o Penny Luckham i tych zaginionych spinkach do mankietów, a potem o Nacie i Jenny. Tyle kłamstw! Kto mówi prawdę?

- Uważaj. Jeśli nie będziesz pewna, jedź łatwiejszą trasą.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale ze zdenerwowania zrobiło jej się niedobrze.

- Ty też - powiedziała tylko. - Ty też.

- Bramble?

- Tak? - Wcale nie chciała wychodzić z otaczającej ich bańki powietrza.

- Miałem rację, prawda? Ty i Kudłata? Pasujecie do siebie. Idealnie.

- Och, Jez! - Uściskała go niespodziewanie, ze śmiechem. - Jesteś niemożliwy. Zawsze musisz mieć rację.

Cofnął się na moment, potem też się roześmiał, a po chwili Bramble poczuła szorstkość jego skóry, kiedy cmoknął ją w policzek.

- Powodzenia - powiedział cicho. - Powodzenia. To był uścisk towarzyszy broni, a nie żaden przelotny,

oficjalny gest kolegi z zawodów czy pełne pożądania przytulenie się kochanków. Coś niezwykłego, szczególnego i ciepłego. Kiedy Bramble pomagała Felicity zakładać Kudłatej ogłowie, z jej twarzy nie schodził uśmiech.

Okolo południa Kudłata, niemogąca już ustać w miejscu z podniecenia, wspinała się na tylne nogi i tańczyła po całym dziedzińcu. Nat pojawił się tuż przed ich wyjazdem ze stajni i Bramble udało się - choć z pewnym trudem - uniknąć rozmowy.

- Powodzenia, kochanie. Dobrze spałaś? Pokręciła głową, dopinając popręg.

- Felicity, masz jeszcze jakąś siatkę na włosy? Ta mi się podarła. - Felicity podała jej siatkę.

- Zdenerwowana? - spytał Nat.

- Nie, skąd. Tylko zaraz będę przejeżdżać najtrudniejszą trasę na świecie, w ulewnym deszczu, mając pod sobą dziko rozbrykaną klacz. Felicity, możesz pomóc mi wsiąść? - Sprawdziła wszystko jeszcze raz: puśliska, popręg, wędzidło, wodze. Nic nie ma prawa pęknąć.

- Coś nie tak? - spytał.

Rękawiczki do crossu! Włożyła je, a Felicity pomogła jej wspiąć się na siodło. Ledwie w nim wylądowała, a Kudłata ze stukotem kopyt ruszyła przez dziedziniec, nie mogąc się doczekać, aż znajdzie się na trasie, płochliwie reagując na widok strażników ochrony i dodając do tego całą serię pobrykiwań. Bramble czuła się, jakby dosiadała raketę. Człowiek naprawdę nie mógł być pewien, czy *wszystko* pójdzie *zgodnie* z planem, czy może zaraz się połamie, lądując na ziemi! Deszcz niemal natychmiast przemoczył jej bryczesy.

Niemal nie odwracając głowy, kątem oka dostrzegła Nata, który został pod łukiem wjazdu do stajni z dłońmi wyciągniętymi w jej stronę.

Zanim dojechała do boksu startowego, zdołała nieco opanować roztańczoną Kudłatą, która nadal jednak usiłowała wybijać kopytami rytmy flamenco. Bramble udało się powoli przekonać ją, że lepszy będzie nieco spokojniejszy walc. Kudłata była inteligentną klaczą i doskonale pojmowała rangę zawodów. Im ważniejsza

okazja, tym silniejsze ogarniało ją podniecenie. Istniało całkiem realne zagrożenie, że będzie zbyt pobudzona, żeby w ogóle porządnie wystartować, i zarobi dyskwalifikację, zanim na dobre znajdą się na trasie.

Kiedy organizator zaczął odliczanie przed startem, Kudłata smyrnęła w bok, a potem znów zaczęła stawać dęba/ale kiedy tylko usłyszały: „Trzy, dwa, jeden... Start!”, wyprysnęła z boks startowego w stronę pierwszej przeszkody, jakby chciała powiedzieć, że szaleństwem było w nią wątpić. Wiedziała, co do niej należy, i rwała się do roboty.

Mogło się okazać, że przejechanie crossu będzie polegało głównie na powstrzymywaniu jej zapędów; przy całym tym błocie mogła się poślizgnąć, zbyt szybko najeżdżając na przeszkodę. Bramble, unosząc się w siodle, żeby przesunąć środek ciężkości, cały czas musiała walczyć o zachowanie kontaktu na wodzach. Deszcz zacinał prosto w twarz i widziała tylko skrawek przestrzeni pomiędzy uszami klaczy - gęste szare chmurzyska, przemoczony, niewyraźny tłum widzów, a potem rosnące w oczach przeszkody.

Pierwszych kilka pozwoliło im odnaleźć równy rytm, a Bramble, skupieniem i panowaniem nad sobą, zasygnalizowała klaczy: „Jesteśmy partnerkami i razem damy sobie radę”. Kudłata posłusznie zwolniła na wyboistym terenie przed Medieval Village, uważnie wybierając drogę i biorąc przeszkody bez wahania, ale Beaufort Staircase - dwa bardzo wysokie, wiodące w dół stopnie - były śliskie od błota i Bramble wyczuła niepewność. Dalej, zasygnalizowała nogami. Dalej!

Kudłata posłuchała. Jeden stopień, drugi, a potem nieco niepewne lądowanie na dole, zarzucające Bramble na przedni łęk siodła. Udało jej się jednak odzyskać równowagę i ruszyć w stronę niewielkiego stosu bali tuż przed nimi. Krok, dwa, trzy, skok. Potem natychmiast przed siebie, bez zwalniania tempa, pędem w stronę następnej przeszkody. Bramble skuliła się nisko przy szyi Kudłatej, popuszczając jej nieco wodze.

Kiedy miały już najeżdżać w stronę obniżenia Sunken Road, przez jej skupienie przedarły się strzępy okrzyków. Bramble usłyszała: „Stać!” i zobaczyła czyjeś ręce, wymachujące, żeby ją zatrzymać. Gdzie sędzia tej przeszkody? Kto sprawdza czas? Ściągnęła wodze Kudłatej z dziko bijącym sercem. Podbiegł któryś z organizatorów. Na trasie, przy Huntsman's Close, doszło do wypadku. Nieznaczone opóźnienie, na pewno nie poważnego.

Bramble jeździła w kółko i usiłowała się koncentrować na czekającej ją reszcie trasy, próbując nie myśleć o tym, co mogło się zdarzyć przy leśnej przeszkodzie. Jednocześnie utrzymywała Kudłatą w ruchu, nie pozwalając klaczy stracić zainteresowania, choć starała się jej zbytnio nie zmęczyć. Nasłuchiwała nowych informacji, żeby się zorientować, od którego miejsca powinny z Kudłatą wystartować dalej, i udawała, że ignoruje rześisty deszcz i wichurę. Zaczynało jej się robić chłodno i poczuła, że sztywnieją jej mięśnie. Martwiła się, że Kudłatej dolega to samo, i skłoniła klacz do przebieżki ostrzejszym kłusem.

Okazało się, że tuż przed nią znów startował Toby, ale przed nimi obojgiem był jeszcze jeden jeździec. Nie

życzyłabym upadku najgorszemu wrogowi, przeleciało jej przez myśl. Toby znany był ze swoich upadków, ale powszechnie uważano, że jest niezniszczalny.

Minęło dwadzieścia minut i Bramble zaczęła się trząść. Skoro ona tak się czuje, to jak musi się czuć Kudłata? Kontynuowanie biegu z tak zeszywniałymi mięśniami było niezawodną receptą na kontuzję. Chmury nad ich głowami były tak ciężkie, że zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

- Czy to Toby? - Bramble spytała sędziego przeszkody. Skinął głową.

- Ale nic mu nie jest.

- Teddy... To znaczy, Be Good Be Clever? - Bramble pomyślała o tym cudownym, szarym wierzchowcu, cierpiącym teraz przez niezdarność jeźdźca.

Sędzia przeszkody znów pokiwał głową.

- Jestem pewien, że jemu też nic nie będzie.

Czy on ją okłamuje? Znów się skupiła na myśli o trasie.

- To było na tym ciasnym skręcie przed Huntsman's Close - dodał sędzia. - Koń poślizgnął się, zupełnie nie tak poszli na przeszkodę i Be Good Be Clever zgubił krok.

- Źle z nim? - Bramble coś ścisnęło za gardło.

- Nie. - Sędzia odwrócił wzrok, jakby chciał zbyć jej pytanie. - Ale niech pani będzie ostrożna.

Jednak Bramble była w niedoczasie. Gdyby teraz zdecydowała się na okrężną drogę, dostałaby punkty karne za przekroczenie limitu.

Gdzieś z przodu wszczął się jakiś ruch i pojawił się ktoś z organizatorów, dając znać, że Bramble może

kontynuować. Kudłata zaczęła się rozpędzać; jej kopyta znów zamigotały nad błotnistą ziemią. Bezbłędnie zjechała w dół, w stronę Sunken Road, a potem wyjechała z rowu na górę. Rozbryzgując wodę, pokonała Lake i wzięła potężny stos bali i wysoki stół jak na anielskich skrzydłach. Kiedy jednak skierowały się w stronę Huntsman's Close, Bramble wyczuła, że Kudłata się waha. Czyżby przekazała wierzchowce swój własny strach? Zagajnik zdawał się ciemnym, groźnym lasem. Pojechać dłuższą drogą i tracić czas, czy zaryzykować kosztem konia? Przecież tyle razy pokonywała w głowie te przeszkody, wmawiając sobie, że może sobie z nimi poradzić! Więc i teraz zakazała sobie lęku i popędziła klacz przez pierwszy wielki stos bali, a potem gwałtownie skręciła w stronę żywopłotów. Przerazenie chwyciło ją za gardło, gdy poczuła, że przesuwa się w siodle i traci kontakt z koniem. Kudłata poślizgnęła się na błocie. Obie z trudem odzyskały jednak równowagę i udało im się utrzymać w pionie, ale w ułamku sekundy Bramble musiała podjąć decyzję i wybrać pomiędzy dłuższym wariantem - łagodnym zakrętem i dwoma niskimi żywopłotami - lub wąskim, niewygodnym skrętem głównej trasy. Wrodzona ostrożność czy pragnienie zwycięstwa?

Z wojowniczym okrzykiem użyła pięt i skierowała Kudłatą w stronę ostrego zakrętu, a potem skoczyły, nieco niepewnie lądując na ziemi, lecz zbierając się szybko i kierując w stronę przeszkody w kształcie bramy. Kolejny szybki wybór przed następną przeszkodą, odbicie, bezpieczny zeskok i dalej, przed siebie!

Zmęczona Kudłata próbowała zwolnić kroku, Bramble zaś z wysiłku piekły uda, od męczącej, na wpeł uniesionej w strzemionach pozycji, jaką utrzymywała już niemal przez cztery mile. Jeszcze tylko dwie przeszkody! Zerknęła na wielki zegarek ze stoperem na swoim nadgarstku. Żeby wyrobić się w czasie, muszą jechać szybciej! Bramble znów dotknęła piętami boków klaczy. Kudłata była dzielna i szybka, taka chętna do działania, z tymi postawionymi do przodu uszami i nogami, które pędziły przez podmokłą darń, ale ostatnie przeszkody wydawały się odległe o setki mil. Musisz próbować, nie wolno ci się poddawać, tętniło w głowie Bramble. Ignorowała protest własnych mięśni i coraz cięższy krok Kudłatej. Musisz jechać dalej, musisz jechać dalej... W dół pochyłości gruntu, spokojnie przez przeszkodę, wstrząs przy lądowaniu i okrzyk ze zduszonych gardeł kilku widzów, kiedy niemal wyszarpnęło ją z siodła. Poprawiła dosiad i wyprostowała nogę, rozpaczliwie usiłując odszukać fruwające zgubione strzemię, a Kudłata wciąż galopowała przed siebie, dopingowana przez kibiców, stojących po obu stronach ostatniego odcinka trasy.

Ostatnia przeszkoda, Mitsubishi Garden - wypełniona kwiatami, zadaszona baryłka - była nietrudna, ale Bramble nigdy jeszcze nie skakała przez przeszkodę tych rozmiarów, mając oparcie tylko na jednym strzemieniu. Przyciskając łydkę do boku Kudłatej, trzymała się z całych sił. Klacz skoczyła, a potem wylądowała na ziemi, potrząsając łbem, i ruszyła ostatnim łagodnym łukiem w stronę areny, przez linię mety, między dopingującym tłumem, aż wreszcie Bramble, w poczuciu zwycięstwa,

uniosła w górę zwiniętą pięść i, zwalniając do stępa, omal nie spadła z siodła.

Felicity wzięła od niej wodze i zaczęła oprowadzać Kudłatą, żeby ochłonęła. Eddie rozsiodłał klacz i zaczął wycierać ją z potu. Bramble, na nogach jak z waty, ruszyła niepewnie w stronę mikrofonu podtykanego jej przez Sally Clark, komentującą wydarzenia z Badmintonu dla BBC.

- Ostatni fragment był nieco trudny - wysapała. - Ale Kudłata nigdy się nie poddaje.

- Udało się pani zmieścić w czasie! To było niesamowite! - powiedziała Sally. - Bardzo dobry wynik na tym podłożu. Jest pani teraz na czwartej pozycji.

Czwarta. Czwarta! To rzeczywiście było niesamowite. Ale, z drugiej strony, niemal połowa stawki miała cross przed sobą. Bramble starała się powstrzymać uniesienie.

- Widzę, że nosi pani odznakę Klubu Kucyka - zwróciła uwagę Sally.

- Należała do Lottie Marsh-Robertson, wspaniałej i utalentowanej amazonki. Tym przejazdem chciałam uczcić jej pamięć - powiedziała Bramble, chwytając wielkie hausty powietrza. - Dla mnie Lottie symbolizuje wszystkie dzieciaki, które nieuchronnie zbliżają się ku dorosłości i potrzebują przy tym wszelkiego wsparcia i zachęty.

Kiedy się odwróciła, uściskała ją Felicity.

- Dobra robota. Kudłata chyba w porządku. Bramble wiedziała, że tego nigdy nie można być

do końca pewnym. Zdjęła toczek i obmacała nogi klaczy.

- Mam nadzieję, że nie rąbnęłam za mocno o jej grzbiet przy tym ostatnim skoku. Tam gdzie miałam tylko

jedno strzemię. - Adrenalina odpływała powoli i nagle Bramble poczuła straszliwe zmęczenie.

A potem znalazł się przy niej Nat, porywając ją w swe potężne ramiona. Niemal zaniósł ją na bok i znalazł jakieś krzesło, na którym mogła przysiąść i schować twarz w dłoniach.

- Teddy? - spytała, unosząc głowę, kiedy wreszcie odzyskała oddech. - Teddy i Toby. Mieli upadek. Czy Teddy'emu nic nie jest?

Nat pokręcił głową i uścisnął jej rękę.

Bramble znów schowała twarz w dłoniach. Kochany Teddy! Taki dobry, dzielny, utalentowany wierzchowiec!

Prowadząc Kudłatą do stajni, minęła Toby'ego, który niósł w rękach siodło, a na ramieniu ogłowie. Twarz miał nieruchomą jak szkło.

Bramble przełknęła łyżę. Zwolniła kroku, dając się wyprzedzić Felicity, Eddiemu i Natowi, którzy poszli przodem z Kudłatą.

- Mogę ci jakoś pomóc? Ponieść coś? Pokręcił głową.

- Teddy to wyłącznie moja odpowiedzialność.

- Tak mi przykro. - Bramble doskonale wiedziała, co to znaczy stracić konia. Zobaczyć, jak weterynarz kręci głową i wydaje polecenie rozstawienia wokół leżącego zwierzęcia zielonego parawanu... Zdejmować siodło i odnosić je, podczas gdy końskie zwłoki zostają załadowane do ambulansu.

Szła obok Toby'ego, równając z nim krok, żeby ostatniej drogi do stajni nie pokonywał samotnie. Publiczność odwracała głowy w ich stronę, wskazując palcami

na siodło, które nie miało już konia. Twarze innych jeźdźców ściągało współczucie. Albo zarzut.

- To była moja wina - powiedział Toby.

- Wszyscy popełniamy błędy - odparła Bramble, żałując, że nie może mu zaoferować niczego poza pustymi frazesami. Przecież to Teddy był ostatnią szansą taty na powrót do zawodów, chociaż raczej w roli trenera niż jeźdźca. Tracąc go, czuła się tak, jakby ponownie żegnała się z ojcem.

Kiedy doszli do stajni, Toby skręcił w stronę swojego koniowozu, gdzie stajenni pakowali już resztę ekwipunku Teddy'ego. Po ich twarzach płynęły łzy.

Koniec końców, jeszcze tylko trzy czyste przejazdy zmieściły się w limicie czasu, w tym Jeza, Betsy Parker, tej Amerykanki, która nadal twardo trzymała się pierwszego miejsca z ogromną przewagą, i jakiegoś jeźdźca, który wynik ujeżdżenia miał mało imponujący. Bramble, ku swojemu zdumieniu, obsunęła się na zaledwie szóstą pozycję, a Jez poprawił wynik. Był czwarty.

Tyle że konkurs skoków zawsze stanowił słaby punkt Kudłatej - od czasu do czasu w ogóle odmawiała wejścia na parkur - a siostry martwiły się stanem jej nóg, nie mając pewności, czy nie przyjdzie zapłacić za trudny przejazd. Bramble, Felicity i Eddie pracowali przy niej cały wieczór. W stajniach panował spory ruch, bo jeźdźcy i ich pomocnicy starali się zastosować wszelkie znane sobie sztuczki, żeby zapewnić koniom przywitanie następnego poranka w dobrym zdrowiu.

Felicity przymocowała okład z lodem na jednej z tylnych nóg Kudłatej, używając do umocowania podróżnego obuwia klaczy.

Ponad drzwiami boksu do środka zajrzał Jez.

- Świetna robota.

Bramble aż podskoczyła.

- No, a ty? Fantastycznie!

- Jak tam Kudłata?

- Chyba w porządku, ale potwornie się poślizgnęła przy Huntsman's Close i martwimy się, że nam przez noc zeszywnieje.

- Mogę?

Bramble pokiwała głową, a Jez przesunął dłońmi po tylnych nogach Kudłatej, w dół, a potem w górę, aż po zad.

- Jeśli coś sobie nadwreżyła, to być może jakiś położony wyżej mięsień. - Zaczął masować ciasnymi, okrężnymi ruchami muskularną sylwetkę klaczy. Kudłata opuściła dolną wargę, a potem lekko nią zatrzęsała. „Mmm, tak. Tutaj. I troszeczkę wyżej...”. Jez się uśmiechnął.

- Pamiętam, że zawsze doceniała odrobinę Shiatsu.

- Jez! - To była Helen, stajenna Penny Luckham, która zajmowała się koniem Penny o trzy boksy dalej. Bramble unikała jej towarzystwa, nie chcąc wysłuchiwać kolejnych obrzydliwości.

Jez się wyprostował.

- Dobra. Będę już leciał. Nic jej nie będzie. Wyszedł z ich boksu, a potem wyściskał Helen i zaczęli rozmawiać, przede wszystkim o jej nadchodzącym

ślubie. Kiedy Jez szedł z powrotem do swojego Fire-flighta, Helen z uśmiechem patrzyła w ślad za nim.

- Wszyscy za nim tęsknimy - zwróciła się do Bramble.

- Hm, jasne. Znaczy, oczywiście. My, hm... też.

- Wiesz, że większość jeźdźców uważa, że stajennym jest wszystko jedno? Myślą, że to wyłącznie oni przejmują się końmi, ale to my poświęcamy im całe dnie pracy, a czasem i noce. Są dla nas tak samo ważne. A Jez nigdy taki nie był. Zawsze wiedział, że dajemy z siebie tyle samo co jeźdźcy.

Bramble gapiła się na nią i milczała.

- Kiepska sprawa... To, jak nas opuścił - dodała Helen. - Okropna, tak w sumie.

- Jak to się właściwie stało? Helen obejrzała się przez ramię.

- Penny groziła, że mnie wywali z roboty, jak będę o tym gadać, ale co mi tam! Za tydzień wychodzę za mąż i przechodzę do innej stajni... Penny i Jez mieli romans, ale on poznał kogoś innego i Penny go wywaliła. Po prostu wystawiła mu walizki przed stajnię i odmówiła wypłaty. Byłam u niej w domu parę dni potem, a on zadzwonił do drzwi, więc mu otworzyłam. Na półce nad kominkiem leżała koperta z gotówką, na jego nazwisko, zostawiona w poprzednią sobotę przez kogoś, dla kogo parę razy objeżdżał konia, więc przyszedł po jej odbiór. Oddałam mu ją i oboje stamtąd poszliśmy. I zaraz potem dowiaduję się, że Penny wezwała policję i oskarżyła go o włamanie i kradzież. Złożyłam zeznania, a policja umorzyła postępowanie, naturalnie, ale ona poprzysięgła sobie, że zamieni mu życie w piekło. Teraz wszystkim

opowiada, jaki z niego złodziej. - Helen westchnęła. - Oczywiście, niektórzy jej nie wierzą, bo nie takie rzeczy wcześniej robiła, ale Jez ma w sobie tyle dumy! Nigdy by nie powiedział niczego przeciwko niej publicznie. Tyle że to się potrafi ciągnąć za człowiekiem. Jak już w sprawę zamieszana jest policja, zawsze znajdą się tacy, którzy odruchowo założą, że jest winien.

- A co z tymi spinkami do mankietów? - spytała Bramble. - Coś słyszałam o jakichś spinkach.

- Nigdy nie istniały.

Drzwi stajni zamykano na noc, żeby konie mogły trochę odpocząć. Bramble posmarowała nogi Kudłatej ostatnią warstwą chłodzącego żelu i pomodliła się żarliwie.

40.

Do niedzieli rano deszcz przestał padać, ale słońce nie wyszło. Jeźdźcy wachali powietrze.

- Nieźle - stwierdziła Betsy Parker. - Ładnie i pochmurnie. Nie będzie deszczu, a słońce nie będzie nas oślepić ani smażyć. Idealnie.

Już niemal trzymała w rękach trofeum Badmintonu. Mogła sobie nawet pozwolić na dwie zrzutki. Ale jeźdźcom takim jak Betsy takie rzeczy się nie zdarzały.

Pięciu wycofało konie jeszcze przed prezentacją, ze względu na kontuzje. Wszystkich pozostałych dręczył niepokój. Czy sędziowie konkurencji dostrzegą niedomaganie, które umknęło ich uwadze? Bramble myślała, że zwariuje ze strachu, ponownie przeprowadzając Kudłatą kłusem przed Badminton House, ale klacz tańczyła na czubkach kopyt i strzygła uszami, jakby nasłuchując oklasków tłumu. Kiedy ogłoszono: „Numer dwadzieścia siedem, Checquerboard Charlotte, dopuszczona”, Bramble omal nie zemdląła z ulgi.

Z osiemdziesięciu sześciu startujących zostało już tylko czterdzieści jeden koni, które miały wziąć udział

w konkursie skoków; dwadzieścia jeden przed południem i dwadzieścia, filmowanych przez telewizję i startujących w odwrotnej kolejności, po południu. Ich jeźdźcy czuli się jak ocalali z katastrofy. Nadal byli maksymalnie skoncentrowani i u szczytu formy, ale dawał im się we znaki przedłużony stres i napięcie, a powietrze nie wibrowało już takim napięciem jak na początku. Bramble, podobnie jak wszyscy, w jednej chwili walczyła ze zmęczeniem, a w następnej zmagająca się z rozpaczliwą chęcią działania.

Popołudnie zdawało się niemożliwie odległe, jak zamorski kraj. Obszedłszy parkur, Bramble spędziła poranek, obserwując zmagania pierwszej grupy, wyłapując co trudniejsze przeszkody i oceniając sukcesy i błędy zawodników. Sporo strąceń zdarzało się przy triplu, szeregu trzech płotów pomalowanych w czerwone i białe pasy, mniej więcej w połowie przejazdu, a wielu jeźdźców zaliczało też zrzutki na ostatniej przeszkodzie, psując w ostatniej chwili czysty przejazd.

O wpół do pierwszej wróciła do koniowozu na krótką drzemkę, mając nadzieję, że pozbędzie się bólu głowy, który dokuczał jej już niemal bez ustanku. Nata zaproszono na lunch do jednego z namiotów dla gości, ale Bramble nie miała ochoty na rozmowy z ludźmi. Wymówiła się i została sama.

Wspięła się na materac nad kabiną szoferki i niemal natychmiast zapadła w mroczny półświat pomiędzy snem a jawą. Wydawało jej się, że słyszy ostrzeżenia Nata i jego nalegania, żeby podpisała papiery. Nat zamienił się w Jeza, a ten z kolei w jej ojca. Nad tyłem koniowozu

zaległ jakiś cień, przypominający tamtą zimną, złą mgłę, i Bramble wiedziała, że musi z nią walczyć. Skłębiony opar skradał się w jej stronę, a droga ucieczki wiodła przez czysto pokonywane przeszkody. Ale była taka zmęczona... Taka zmęczona... Nie mogła bez przerwy skakać, więc nie mogła uciec. W jakimś momencie potknie się i wtedy przepadnie. Czowała pod sobą Kudłatą, która zahaczała nogą o poprzeczkę, potykała i zwałała po drugiej stronie z łomotem, od którego serce zamierało Bramble w piersi.

Zadrzała, usiadła i spojrzała na zegarek. Czas się przebrać.

Ledwie zdążyła zawiązać halsztuk, wewnątrz koniowozu przeciął promień światła. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Nat.

- Kochanie - odezwał się. - Wygląda, jakbyś mnie unikała.

- Nikogo nie unikam. Potrzebuję tylko odrobiny samotności. No dobrze, chodźmy.

Wziął składany stołeczek, rozstawił go, a potem usiadł na nim, zastawiając przejście.

- Może lepiej pogadajmy na miejscu. - Rozsunął palce dłoni i zaczął się im przyglądać, jakby sprawdzał stan paznokci. Bramble nieoczekiwanie pomyślała o ostrzącym pazury kocie.

- Nie teraz. - Popatrzyła na zegarek. - Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę nie mam czasu. Przecież wiesz, że nie mam. Za czterdzieści minut prezentacja koni.

- Nigdy nie masz czasu. Nie proszę o wiele, ale

chciałbym cię prosić o odrobinę uwagi teraz, właśnie w tej chwili. O pięć minut.

Bramble zawsze doskwierało poczucie winy na myśl, że w tym związku to ona jest stroną biorącą, i teraz też złapało ją za gardło.

- Przepraszam. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Możemy porozmawiać później. Dziś wieczorem, obiecuję.

- Och, ileż ja już się tych obietnic nasłuchałem! Zawsze jakieś później, prawda? Zawsze trzeba zajrzeć do konia, ugotować obiad, wypełnić formularz, są inni ludzie, jest Savannah... Gdzie jest czas dla nas, Bramble? Gdzie czas dla nas dwojga?

- Tak, ale dziś to co innego. To najbardziej krytyczna chwila w całej mojej karierze.

- **1** najbardziej krytyczna w mojej - odparł cicho. - Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale interes leci na łeb na szyję. Jak to się mało elegancko mówi.

- Ale, jak to? - Żyłami Bramble popłynął rozpalony do białości łęk; znów zerknęła na zegar.

- Tak to, kochana moja, że jakoś niedługo bank prawdopodobnie zdecyduje się skorzystać z twojej, jakże szczodrej, oferty zabezpieczenia mojego kredytu. - Obserwował ją. - Obawiam się, że możesz stracić całkiem spory kawał swojego spadku. Zdaje się, że kowalstwo to jednak była pomyłka. Jakoś niewielu ludzi w okolicy chce kuć swoje konie. To znaczy, u mnie.

- Co takiego? - Pod Bramble ugięły się kolana. - Dlaczego mówisz mi o tym w tej chwili?

- Bo zawsze mi powtarzasz, że nie powinniśmy

mieć przed sobą sekretów. - Przyglądał się jej uważnie. - A przecież ty rozmawiałaś z Jenny, nieprawdaż? I nie wspomniałaś mi o tym ani słowem? I słuchałaś jej kłamstw, czy nie tak?

- Nie mam teraz czasu na takie dyskusje. Porozmawiam z tobą sensownie później, naprawdę, ale teraz muszę już iść. - Drżącymi dłońmi wzięła toczek. Krew pulsowała jej w skroniach. Łup-łup. Łup-łup. - Pozwól mi przejść. - Łup-łup. Musiała skoncentrować się na czekającej ją próbie, a nie myśleć o setkach tysięcy funtów odbieranych jej przez jakiś anonimowy bank. Nie myśl o tym teraz, powiedziała sobie. Skoncentruj się.

To chyba nie może być prawda? Usiłowała przypomnieć sobie, co konkretnie podpisała.

Nat założył ramiona na piersi i oparł się o drzwi. Bramble otworzyła te drugie, prowadzące do przedziału dla koni.

- Drzwi dla dżokeja są zamknięte od zewnątrz. - Uśmiechnął się. - Tamtędy nie wyjdiesz.

Bramble nie mogła zrozumieć, do czego on zmierza.

- Nie żartuj sobie. Ja muszę iść. Teraz. To wcale nie jest śmieszne.

- Nie, nie jest. Zapewniam cię, że daleki jestem od żartów.

- Tak czy inaczej, Jenny powiedziała mi, że podzieliliście się sumą ze sprzedaży domu. Ze dostałeś połowę. Więc sam możesz spłacić swoje długi.

- Spodziewałem się, że mogła powiedzieć właśnie coś takiego. No cóż, zapewniam cię, że oficjalnie nie posiadam żadnych pieniędzy z tamtego małżeństwa.

Fundusze powiernicze to interesująca instytucja, wiesz? Moja mała kuźnia to firma, którą określa się mianem spółki fasadowej. Jediną osobą odpowiedzialną za moje długi jesteś ty.

Bramble w odruchu rozpaczy spróbowała odepchnąć go od drzwi.

- Puszczaj mnie! O tym porozmawiamy później. - Jego potężna sylwetka nawet nie drgnęła. - Zniszczyłeś Jenny. Nie pozwolę ci zniszczyć siebie.

- Jesteś niezwykle odważna, moja droga. - Zaśmiał się. - No cóż, Jenny to jedna z wielu życiowych ofiar. Zawsze chodziła z napisem „popychadło” wytatuowanym przez środek czoła. To człowiek, który nie umie odmówić, by nie poczuć się winnym. Jak ty, kiedy cię spotkałem. Uwijałaś się, gotowałaś tony żarcia, zajmowałaś się wszystkimi, tylko nie sobą, pozwalałaś tej swojej niby-sławnej siostrze traktować cię jak służącą... No, pomyślałem sobie, oto kobieta z odziedziczonym majątkiem, która właśnie pożegnała ojca i zaraz sama się w tym wszystkim pogubi, a ja jej mogę trochę pomóc.

- Roześmiał się znowu. - Pomóc to wszystko stracić, oczywiście. - Rozplótł ramiona i jedną rękę wyciągnął ku Bramble, owijając sobie wokół palca pasmo jej włosów. Poczula na twarzy jego oddech. - Właśnie tym jesteś

- szepnął. - Nieudacznikiem. Jak reszta twojej rodziny. Tylko starszy pan miał to, co trzeba, a teraz go zabrakło. Nigdy za mną nie przepadał, wiesz?

- Nat, co w ciebie wstąpiło? Ja cię w ogóle nie znam!...

- Bo nie znasz. Ludzie tacy jak ty nie znają się na innych.

- Niby jacy ludzie?

- Ludzie - powtórzył - uprzywilejowani do tego stopnia, że nie mają zielonego pojęcia, jak twardym trzeba być, żeby przetrwać. Właśnie dlatego zawsze myślisz dobrze o innych. Nie wiesz, jak wygląda prawdziwy świat.

Uniosła dłoń, chcąc go spoliczkować, ale złapał ją zręcznym ruchem i wykręcił aż za plecy.

- Daruj sobie, kochanie. Przemoc domowa niczego nie rozwiązuje. Na pewno się ze mną zgodzisz.

Wykręcone ramię bolało. Bramble próbowała nie poddawać się odruchowi, który kazał jej stawiać opór. Nie mogła ryzykować kontuzji przed konkursem skoków.

- Puść mnie! Nie wiem, co chcesz przez to osiągnąć. Powiem wszystkim...

- Co im powiesz? I oni ci niby uwierzą? Jestem tu, bo staram się uspokoić cię przed najważniejszymi zawodami w twoim życiu. Bo wreszcie dopadła cię presja. Wpadłaś w histerię. Napij się trochę, to się uspokoisz.

- Puścił ją i szybkim ruchem wyjął z niewielkiej szafki obok kuchenki butelkę whisky, odkręcił nakrętkę i napełnił do połowy plastikowy kubek.

- Nie chcę pić. - Bramble roztarła ramię i spróbowała sięgnąć do klamki, ale skutecznie uniemożliwiła to ciasnota. Nat mógł sięgnąć do szafki, nie ruszając się od wyjścia.

- Ależ chcesz. - Nat złapał ją z niemal nadludzką siłą i spróbował przytknąć kubek do jej ust. Zacisnęła mocno wargi.

- Denerwujesz się, jesteś przerażona

- szepnął. - Potrzebujesz drinka, żeby ukoić nerwy. No

to jak cię zmusimy, żebyś otworzyła buzię i wypła lekarstwo? O tak, już wiem! Twoja siostra i jej ukochany Ollie. Zachęcam go do picia, wiesz? On chce rzucić alkohol i wrócić do Heleny, ale ja po odwiedzinach u ciebie, w Lorenden, opowiadam mu o facetach, z którymi widuje się Helena, a potem otwieram butelkę... On nie ma siły woli. Kompletnie mu jej brakuje.

- Jak możesz być taki podły! - Bramble nie wytrzymała, a on przechylił kubek i przytrzymał. Whisky zalała jej twarz, białą bluzkę i halsztuk. Wypluła alkohol, krztusząc się, ale poczuła, jak parę kropel palącego płynu spływa jej do gardła.

Odsunął się i niemal cisnął nią przez wnętrze koniowozu. Wylądowała na kanapie, która służyła nocą za posłanie.

- Hm... - Głos Nata brzmiał niemal zupełnie obojętnie. - Takie rzeczy widuje się w filmach, ale w prawdziwym życiu się nie zdarzają. No, nieważne. Może powinienem zmusić cię do opróżnienia tej butelki do dna?

- Popatrzył na whisky. - Oczywiście, może się potłuc i wtedy mogłoby się zrobić niefajnie. Nie lubię niczego, co zostawia blizny. Ludzie mają absurdalną obsesję na punkcie fizycznych śladów. A przy okazji, Helena mnie podrywa. Narzeczonego własnej siostry! - Przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał jakiegoś odgłosu. - Moment.

- Rzucił się na Bramble i zakrył jej usta dłonią.

Usłyszała głos Eddiego i pukanie do drzwi. Ciężar Nata przygniatał ją, niemal pozbawiając tchu, chociaż usiłowała wykrzyknąć coś poprzez jego rękę. Palcami zacisnął jej nos i straciła oddech.

Musiał to mieć starannie wyliczone, bo kiedy płuca rozdarł jej ból i niemal zaczęła tracić świadomość, cofnął dłoń, pozwalając zaczerpnąć Bramble kilka haustów cennego powietrza. Potem znów zasłonił, zanim zdążyła krzyknąć. Na próżno kopała nogami w wyściełaną kanapę - bezgłośnie zresztą - aż osłabła. Usłyszała głos Eddiego jak z ogromnego oddalenia.

- Nikogo tu nie ma. Zapytamy w kantynie stajennych.

- Nat pozwolił jej złapać kolejne dwa urywane oddechy, a potem znów zatkał jej usta ręką i odpuścił powoli, dopiero gdy wszystko ucichło.

Bramble miała wrażenie, że nie jest w stanie złapać dość powietrza. Chwytała oddech, krztusiła się i kasłała. Nat przysiadł na stołeczku i obserwował ją z rozbawieniem.

- Mogłeś mnie zabić - wyrzęziła, opadając na plecy na kanapę i usiłując zebrać siły.

- Och, nie. To nieporozumienie - powiedział.

- Wszystko ci się pomyliło. Ja ci próbuję pomóc. Właśnie to powiem wszystkim, jeśli będziesz próbowała wnosić skargę. Wyjaśnię, że mnie zaatakowałaś. Przecież to ty pierwsza podniosłaś na mnie rękę w gniewie, prawda?

- Proszę. Nat, proszę cię. - Usiadła. - Ja muszę tam iść. To bardzo ważne, tak bardzo, bardzo dla mnie ważne! Jeśli zależało ci na mnie kiedykolwiek, wypuść mnie, żebym mogła wziąć udział w skokach.

- Och, zależało mi. Nawet myślałem, że może nam się ułożyć. Dopóki nie zaczęłaś rozmawiać z Jenny. Sama sobie jesteś winna, że zaczęłaś się z nią ugadywać. Uprzedzałem cię, żebyś tego nie robiła. Mogliśmy sobie

sprawić jakiś ładny mały domek, dałabyś sobie spokój z tymi durnymi zawodami... Z czasem przekonałbym cię, że nie masz cech, które są do tego potrzebne, i jeszcze byłabyś mi za to wdzięczna. Zadowolona, że wreszcie podjęłaś taką decyzję.

Bramble zastanawiała się nad wezwaniem pomocy przez wybite okno, ale szyby w koniowozie były zbyt grube.

- Niby nie? - krzyknął. - Byłabyś wdzięczna za to, że znalazł się ktoś, kto ci powiedział, że masz zapomnieć o mrzonkach i skoncentrować się na prawdziwym życiu! Jeszcze whisky? - Spojrzał na zegarek. - Parada już się zaczyna, nijak nie uda ci się zdążyć. No cóż, Bramble, już przepadło. Bo teraz, kiedy przegapiłaś swoją szansę, wola zwycięstwa osłabnie na nowo, prawda? Zapomnisz, jak było. Znów przestaniesz wierzyć w siebie.

W jego słowach, jak zwykle, kryła się odrobina prawdy. Maleńkie, ostre okruchy bólu, wbijające się pod skórę, gdzie zaogniały się i jątrzyły, zatruwając cały organizm, niemal niemożliwe do odnalezienia i usunięcia. Nic dziwnego, że Jenny się podłamała.

Nat podsunął jej butelkę przerażająco życzliwym gestem.

- Tak przy okazji... Rozumiem, że nasze zaręczyny są odwołane? - Jego głos brzmiał sympatycznie. - To cię i tak nie uchroni przed tą drugą kwestią, finansową. Ale... Czymże, u diabła, jest kasa? To ludzie się liczą, zawsze to powtarzam. - Podał jej kubek ruchem tak naturalnym, że niemal go od niego przyjęła.

Teraz już nie miała po co zachowywać trzeźwości. Na ułamek sekundy pochwyciła w jego oczach wyraz

triumfu i cisnęła butelką o podłogę. W powietrzu unosiły się opary whisky.

- Nat, po co to wszystko? Czego ty naprawdę ode mnie chciałeś?

Popatrzył zdziwiony.

- Połowy twojej części Lorenden, oczywiście. Ty się tam szastałaś i zachowywałaś tak, jakby ci odebrano wszystko, a w sumie jesteś dziedziczką niezłej fortuny, wiesz? A gdybym się z tobą ożenił, a później rozwiódł, to musiałabyś mnie spłacić. Tak jak Jenny. Daj spokój, Bramble, ocknij się. Kobiety robiły mężczyznom coś takiego od wieków. - Górował nad nią jak wielki, rozgniewany niedźwiedź. - A ja przecież tylko chciałem mieć coś swojego - dodał. - Czego nikt nigdy nie mógłby mi odebrać. Dlatego pieniądze z rozwodu z Jenny włożyłem w zupełnie osobną firmę. Taką, o której sąd rozwodowy nie musi się dowiedzieć. Ty nie masz pojęcia, co to znaczy zostać z niczym. Dosłownie. Susan i ja byliśmy małżeństwem przez osiem lat, ale kiedy umarła, zostawiła wszystko Serenie. Córce z pierwszego małżeństwa. Wszystko. A ona wyrzuciła mnie z mojego domu, gdy tylko skończyła osiemnaście lat.

- Czy miała prawo jej to zostawić?

Kwestię praw własności Nat zbył machnięciem ręki.

- Pierwszy mąż Susan musiał ją spłacić i w ten sposób dostał jej się dom. Człowiek tu coś traci, tam coś zyskuje. Tak bywa. Moi rodzice nigdy nie dorobili się domu, więc nie załapałem się na wielki boom na rynku nieruchomości. Ale myślałem, że dom Susan to mój dom. Wydawałem na niego kasę, urządziłem go własną

pracą... I zostałem, w wieku trzydziestu pięciu lat, tak, jak stałem. Bez grosza. Więc ożeniłem się z Jenny, a ona uparła się, że zajdzie w ciążę. Pewnie po to, żeby mnie na zawsze ze sobą związać.

- Nat, ludzie nie dlatego mają dzieci...

- Jesteś taka naiwna! - powiedział, patrząc na nią z niesmakiem. - Niemal głupia, doprawdy.

- Możemy porozmawiać o tym później? - poprosiła Bramble rozpaczliwie, czując, że świat wokół niej wywraca się do góry nogami. - Ja muszę dostać się do stajni.

- Nie. Chcę pogadać o tym teraz. Chcę, żebyś mi powiedziała, co sądzisz o Helenie - drążył złośliwie. - Znaczy, o tym, że mnie podrywała.

/ - Helena wszystkich podrywa. Jest aktorką.

- Było w tym coś więcej - powiedział, drażniąc się z nią, i Bramble poczuła kolejne ukłucie strachu. Czy Helena mogła ją zdradzić w taki sposób? Nie, chyba nie...

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała dzielnie i dodała: - Helena to nie twoja liga. Coś sobie ubrdałeś.

Klepnął się po kolanach i roześmiał głośno.

- Bramble, mała koteczka, dorobiła się pazurków! Kto by pomyślał?

- Zawsze je miałam. Na pogrzebie mojego ojca zobaczyłeś zaganianą, przepracowaną kobietę, która pozwalała, żeby pomiatało nią życie. A ta kobieta nigdy naprawdę nie istniała...

- Urwała. To nie do końca była prawda. Ale nawet jeśli istniała, istniał równoległe do niej ktoś inny. Ta druga Bramble. I to właśnie ona, ta odważna, ta, która chciała pomóc jej się stąd wydostać, przypomniała

sobie, że Nat nie lubi zostawiać fizycznych dowodów. Wystarczy, że stawi mu czoła, a on ją puści.

- Powinieneś być dostrzec - ciągnęła - kogoś, kto był w żałobie i cierpiał, przeżywszy szok, kogoś ciągle zajętego, ale mającego też wokół siebie rodzinę i przyjaciół. Kogoś, kto jest w życiu otoczony wielką miłością. - Nigdy przedtem nie myślała o sobie w ten sposób, ale mówiąc to, poczuła siłę. - Właśnie to chciałeś zniszczyć, prawda?

Popatrzył na nią bacznie.

- I udałoby mi się - stwierdził. - Gdyby nie Felicity.

- Felicity? - zdziwiła się Bramble.

- To przez nią zaczęłaś wszystko postrzegać inaczej.

- Felicity przyjdzie tutaj i mnie znajdzie - powiedziała. - Nie pozwoli, żeby ci to uszło na sucho.

- Koniowóz nadal będzie zamknięty i nikogo nie będzie w środku. Wszyscy pomyślą, że znów straciłaś wiarę w siebie. Nie zdziwią się nawet. W takim stresie?

- Nat, dlaczego ty to robisz? Wiesz przecież, jakie to dla mnie ważne.

- Robię to, bo mogę, moja droga. Bo mogę. Popatrzyli sobie w oczy w milczeniu.

- A tak przy okazji, najdroższa, wiesz? Ten dokument w sprawie Savannah, który podpisałaś niedawno, przed próbą crossu... - Przyjrzał się dyskretnie swoim paznokciom. - Ten, którego nie przeczytałaś, co zresztą z góry założyłem... Przepisałaś na mnie wszelkie prawa do twojego udziału w Lorenden na wypadek swojej śmierci. Aha, i daruj sobie wrzaski, bo wszyscy i tak poszli oglądać skoki.

41.

Felicity założyła ogłowie Kudłatej i zastanowiła się, gdzie podziła się Bramble. Spóźnianie się nie leżało w jej zwyczajach.

- Eddie, mógłbyś skoczyć do koniowozu? I do jadalni stajenych? Weź samochód Heleny, nie ma czasu latać na piechotę.

Eddie wrócił kwadrans później, zadyszany.

- Nikt jej nie widział. A koniowóz jest zamknięty. Pukałem i usiłowałem zaglądać przez zasłonki, ale wydaje mi się, że nikogo tam nie ma.

- Kurwa! - powiedziała Felicity. Konie i jeźdźcy już opuszczali stajnie, kierując się na paradę dwudziestki, która miała brać udział w popołudniowym konkursie skoków. Konie wyjeżdżały, pojedynczo, dwójkami i całymi grupkami, postukując kopytami, w stronę głównego czworoboku, wyczyszczone i lśniące. W swoich kremowych bryczesach i ciemnych żakietach jeźdźcy prezentowali się elegancko.

Tuż obok zatrzymał się Jez, zrelaksowany na swoim wielkim, roztańczonym kasztanie, jak mężczyzna rozparty w ulubionym fotelu.

- Gdzie Bramble?

- Nie wiem - odparła Felicity. - Znikła.

- Nerwy?

Felicity westchnęła.

- Może. Moim zdaniem ona zawsze bardziej bała się wygranej i tego, jak wpłynęłoby to na nią i Savannah, niż jakiegokolwiek klęski.

- Nie, nie zawiodłaby w taki sposób. Coś się musiało stać - powiedział Jez. - Musimy ją znaleźć.

- Ale parada jest za dziesięć minut, Jez. Całe życie na to pracowałeś, nie możesz teraz spieprzyć sprawy, szukając kogoś, kto mógł się zapodziać na własne życzenie. Właściciele Fireflighta już nigdy ci nie zaufają. Ani nikt inny.

- Chrzanić paradę. Eddie, podsadź Felicity na siodło. Pojechali szybkim kłusem przez kwadrat dziedzińca,

mijając innych jeźdźców, przejeżdżając przez park, a potem skróttem przez tor crossu, to przyśpieszając do galopu, to zwalniając do kłusa albo stępa i lawirując między tłumami widzów. Ludzie obracali głowy na widok Jeza i poznawali Kudłatą. Felicity już wiedziała, że musiało się stać coś złego. Bramble na pewno nie poszła spać. Pięć dni zawodów w Badmintonie maksymalnie zżarło jej nerwy. Zresztą obie miały wrażenie, że są tutaj od zawsze. Ze to się nigdy nie skończy.

Podjechali po kolei do wszystkich namiotów, w których odbywały się imprezy towarzyszące, mijając gorączkowo protestujących ochroniarzy, by spojrzeć na głowy gości. Ani śladu Bramble. Ani śladu jej charakterystycznej, cygańskiej fryzury. Wszędzie kręciły się całe tysiące ludzi.

W niektórych miejscach tłum gęstniał tak, że niemal unie-
możliwiał przejście. Jak tu znaleźć pojedynczą osobę?

Zatrzymali się, zrozpaczeni, po czterdziestu minutach.
Felicity spojrzała na zegarek.

- Kto sprawdzał koniowóz?

- Eddie. Powiedział, że nikogo tam nie ma.

- Wchodził do środka?

- Mówił, że było zamknięte. Zaglądał przez okna.

- Jedziemy. -1 Jez popędził Fireflighta przez parking,
rozganiając na boki grupkę ludzi, którzy właśnie otwierali
szampana, i wywołując salwę ujadania wszystkich psów
poprzywiązywanych do drzwi koniowozów. Felicity ruszyła
jego śladem.

Jak mówił Eddie, koniowóz wydawał się pusty. Stukali do
drzwi, szarpali za klamkę i próbowali zaglądać przez okna, ale
wnętrze było ciemne i ciche.

- Klucze - powiedział Jez.

Drzwi do części mieszkalnej nie chciały ustąpić.

- Opuść rampę - rzucił do Felicity, szarpiąc za tylne drzwi
koniowozu i z hałasem wspinając się do środka. Spróbował
otworzyć przejście do przedziału mieszkalnego, ale drzwi nie
ustąpiły.

A potem usłyszeli krzyk Bramble.

Nat poszedł w zaparte.

- Coś sobie uroiłaś, Bram - powiedział swoim najsym-
patyczniejszym, najbardziej rozsądnym głosem, kiedy
otworzył drzwi i zobaczył za nimi Jeza i Felicity. - Sie-
dzieliśmy tu sobie, bo próbowałem cię uspokajać przed
konkurem skoków, nie pamiętasz? Nigdy przedtem nie

była tak blisko zwycięstwa, ma kompletnie zszargane nerwy - zwrócił się do przybyłych. - Może potraficie powiedzieć coś, co ją przekona, że wciąż jeszcze może tam pójść i przejechać parkur w jednym kawałku?

- Mogę zrobić coś więcej - powiedział Jez, biorąc potężny zamach, a potem uderzając Nata w twarz. Nat padł na plecy, z okrzykiem bólu chwytając się za usta, a Jez złapał Bramble za nadgarstek. - Wynosimy się stąd! Mamy skoki do odwalenia!

- Gdzie państwo byli?! - spytał organizator odpowiedzialny za przeliczanie jeźdźców wpuszczanych na główny parkur. - Macie za moment skakać, a nie jesteście rozgrzani!

- Proszę się nie martwić - odparł Jez. - Skakaliśmy po drodze przez zaparkowane samochody, kosze piknikowe i psy na smyczach. Jesteśmy wystarczająco rozgrzani, dziękuję bardzo.

- Jak ja się mogłam tak pomylić co do Nata? - odezwała się Bramble, usiłując zapanować nad roztrzęsionymi kończynami. W tym stanie nie powinna dosiadać Kudłatej. Pod żadnym pozorem.

- Takie gierki - odparł. - Nad Jenny też się znęcał psychicznie, wiecznie jej wmawiając błędy, ciągle dowodząc, że jest nienormalna. Dlatego ją tu przywiozłem. Pomyślałem, że powinnaś ją poznać i sama ocenić sytuację.

- Unieruchomił mnie i zatkał mi usta ręką! Nie mogłam nawet zawołać o pomoc do Eddiego. - Nadal bolały ją usta.

Rozgniewanemu Jezowi nerwowo zadrgał mięsień policzka.

- Powinienem był mu przywalić znacznie mocniej.
- Popatrzył na nią uważnie. - Wyglądasz okropnie.
Bramble właśnie pomyślała, że zaraz zemdleje. Felicity wzięła od niej wodze Kudłatej.
- Zsiadaj. - Jez jednym szybkim ruchem znalazł się na ziemi; Fireflighta przejął od niego stajenny. - Chodź tu. - Ogarnął ją ramionami. - Oddychaj do przepony
- mruknął. - Tutaj, tak. Wdech, wydech. - Zaczął masować jej plecy, jakby była Kudłatą po trudnym dniu polowania, mówiąc słowa, których Bramble prawie nie rozumiała, słowa niosące otuchę i ulgę, rzucające na nią czar, który uspokajał jej rozdygotane kończyny i rozjaśniał myśli. Zewnętrzny świat znikł, została tylko ona i Jez, i coraz wyraźniejsze poczucie spokoju i siły.
- Udawał, że chce mnie zabić - szepnęła.
- Już nigdy, przenigdy cię nie skrzywdzi. Nigdy. Ani mentalnie, ani fizycznie. - Ręce Jeza przesuwwały się płynnym ruchem po jej ramionach, uwalniając ją od lęku i napięcia. - Już. Czas o nim zapomnieć. Jedź tam i skacz.
Spojrzała w szaroniebieskie oczy.
- Nat powiedział, że jego firma upada - odezwała się szybko - i że stracę sporą część pieniędzy, bo podżyrowałam mu kredyt pod zastaw Lorenden...
Jez pogłaskał ją po policzku.
- Nie. Mamy na niego dość, żeby poszedł siedzieć za oszustwa, jeśli tylko spróbuje. Uwierz mi.
Emanowała z niego wiara w siebie.
- No to pomóż mi wsiąść - powiedziała i udało jej się nawet uśmiechnąć.
- Bramble! - zawołał Jez, kiedy już zbierała wodze.

- Miałem ci to powiedzieć już dawno! Nigdy nie straciłaś odwagi! To twój ojciec ją stracił. Nie mógł znieść myśli, że coś mogłoby się stać jego małej córeczce. Nie po tym, co spotkało Dorna. Powiedział mi o tym. Wiedział, że podcina ci skrzydła i że potrzebujesz kogoś innego, kto zawsze będzie ci udzielał sensownych rad. Dlatego poprosił mnie o przyjazd. Ze względu na ciebie.

- Na mnie? - Bramble poczuła nagłe oburzenie.

- Chciał, żebyś to ty mnie uczył? Mam przynajmniej takie samo doświadczenie!

- To dowiedz tego na tej swojej zwariowanej klaczy!

- Roześmiał się i klepnął Kudłatą po zadzie, a ta, oburzona, wyskoczyła w powietrze i pognąła w stronę parkuru.

Nie tak Bramble chciałyby zaczynać przejazd, ale ani ona, ani Kudłata nie miały czasu rozwodzić się teraz nad urażoną dumą.

- Dalej - szepnęła. - Pokażmy Jezzarowi Morganowi, jak może jechać klacz wariatka i stateczna matka w średnim wieku.

Kudłata zastrzygła uszami w jej stronę. „Słucham cię”, odparła.

Skoki przez przeszkody wymagały idealnej precyzji z czworoboku dresażu połączonej z odwagą niezbędną na trasie crossu. Żeby pokonać je czysto, trzeba było rytmu i energii, ale również samokontroli. Kudłata, jeśli tylko chciała, prezentowała wszystkie te cechy, ale koń, który niedawno skakał przez stabilne przeszkody przełaju, zbite z drewnianych bali, łatwo mógł zapomnieć, jak delikatne są idealnie wyważone poprzeczki przeszkód

na parkurze. Kudłata mogła zlekceważyć te, które wydawały jej się mniej trudne.

Pierwsze dwie przeszkody pokonały bez zrzutek, ale przy trzeciej Bramble usłyszała za sobą cichutki grzechot poprzeczki. Nie zobaczyła jednak w górze oznaczającej zrzutkę chorągiewki. Tłum aż wstrzymał oddech, ale szybko wypuścił go w westchnieniu ulgi.

Bramble zebrała Kudłatą i do następnej przeszkody, tym razem triple baru, zaczęła się przymierzać uważniej: skok, krok, drugi skok, jeszcze jeden krok i wreszcie trzeci skok. Zebrani wokół parkuru niemal przestali oddychać; poprzeczki zostały w uchwytach, a Bramble już koncentrowała się na następnej przeszkodzie, tej z umieszczoną pośrodku jaskrawo pomalowaną wstawką, mogącą rozproszyć uwagę konia. Kudłata jednak skoczyła ją bez trudu, a zaraz potem znalazły się przed kolejną, ustawioną na lekkiej pochyłości. Łatwo było na nią najechać zbyt szybko i wpaść na przeszkodę, więc Bramble ponownie zebrała wodze Kudłatej, mając nadzieję, że klacz nadal jej słucha.

Przed tobą wielki podwójny szereg. Tylko się nie pogub, prosiła. Nie pogub się!

Kudłata skoczyła pięknym, równym łukiem: wybicie, lądowanie, krok, kolejne wybicie i lądowanie! Pozostała ostatnia przeszkoda. Ta, na której rano miało zrzutki tylu jeźdźców. Bramble wzięła głęboki oddech.

- Tempo - szepnęła w stronę grzywy. - Równe tempo - powtarzała w myśli jak natrętną piosenkę, ale Kudłata podłapała ten rytm. Raz, dwa, trzy, odskok i lądowanie! I nagle cały parkur zatrzęsł się od oklasków, huczących w uszach Bramble niczym grzmot.

- Jaki piękny przejazd! - zachwycił się komentator. - Urocza amazonka, powracająca do czterogwiazdkowych zawodów po kilku latach przerwy, Bramble Kelly na Checquerboard Charlotte, finiszuje, zachowując swój wynik po dresażu! Czterdzieści dwa i pół punktu. To jedna z niewielu par, którym się dzisiaj udało!

Na tablicy wyników jej nazwisko wyświetliło się na drugiej pozycji. Zaraz za Betsy.

Minęła się z galopującym Jezem przy wjeździe. Spojrzeli sobie w oczy.

- Powodzenia - szepnęła samymi wargami, a potem już jechał, koncentrując się tak, jak tylko on potrafił. Odwróciła się, by nie patrzeć, dziś już dała z siebie wszystko. Reszta zależała od niebios.

Zeskoczyła z Kudłatej i wyściskała ją wyjątkowo serdecznie.

- Tak wypadła klacz, której nikt nie chciał - szepnęła jej do ucha i podała miętówkę. -1 jeździec, o którym wszyscy zdążyli zapomnieć. - Kudłata delikatnie skubnęła ją po karku.

Felicity czym prędzej odprowadziła klacz, żeby trochę ochłonęła, a Bramble usiadła, zamknęła oczy i zatkała uszy palcami.

Mimo to w którymś momencie usłyszała sapnięcie tłumu i długi wydech, rodzaj westchnienia, które zwykle następowało po strąceniu poprzeczki. Zacisnęła powieki i docisnęła palce jeszcze mocniej, ale nie dało się nie usłyszeć oklasków, które rozległy się parę minut później. Uprzejme brawa czy owacja na stojąco? Ciężko było wyczuć. Otworzyła oczy i zobaczyła, że na parkur wjeżdża Klaus Jurgen. Jez kierował się już na rozprężalnię.

Podjechał do niej, za nim dobiegli jego stajenni. Odebrali wodze Fireflighta i zajęli się wielkim kasztanem, oprowadzając go i wycierając z potu.

- No i? - spytała.

- Czysto. - Porwał ją na ręce i okręcił dokoła. Nie mogła się nie roześmiać.

- To znaczy, że zepchnąłeś mnie na trzecie miejsce, draniu! - powiedziała Bramble, zdumiona, że wcale jej to nie obeszło.

- Wybacz - odparł i pocałował ją szybko. W same usta.

Bramble poczuła przyływ niesamowitego szczęścia.

- Nie miałam odwagi patrzeć...

- To popatrz ze mną teraz. Chodź! - Wziął ją za rękę i poprowadził w kierunku parkuru. Objął ją ramieniem przez plecy, a ona jego w talii. Przez cieniutką bawełnę jego koszuli czuła twarde, muskularne ciało. - Wiesz co?

- zastanowił się na głos. - Z pewnego punktu widzenia Nat wyświadczył nam obojgu przysługę. Nie wiedzieliśmy, że wszyscy w naszej grupie zaliczyli zrzutki, więc nie kombinowaliśmy i poszliśmy na całość...

- Żeby teraz wskoczyć na trzecie miejsce, Klaus musi pojechać czysto i zmieścić się w czasie - powiedziała Bramble ostrożnie. - Nie ma zrzutek w zapasie.

- Kochałaś Nata? - spytał nagle Jez, bacznie obserwując Niemca.

- Myślałam, że Nat kocha mnie - odparła po chwili zastanowienia, kiedy już nie spodziewał się odpowiedzi.

- A ja to wzięłam za własne uczucie i zobaczyłam kogoś, kogo chciałam zobaczyć...

Klaus, ze swoim opanowanym, precyzyjnym stylem jazdy, na sadzącym wielkie susy koniu, pierwszych parę przeszkód pokonał, jakby nic nie znaczyły. Tłum zaszemrał z aprobatą, skrócił więc wodze i skupił się na triplu. Wybicie i zeskok. Wybicie i zeskok. Hurgot spadającej poprzeczki. Wybicie i zeskok po raz trzeci, i kolejna poprzeczka. Zebrani jęknęli, Klaus zakończył przejazd, plasując się na czwartym miejscu, tuż poniżej Bramble.

- Myślałam, że Nat to bezpieczny wybór - dodała, z ulgą wypuszczając wstrzymywany oddech i czując, że uniesienie i adrenalina dają jej zaskakujący wgląd we własne uczucia. - Myślałam, że nie zasługuję na nic więcej.

Jez rzucił jej szybki uśmiech.

- Myliłaś się. W obu sprawach.

Następny jeździec, Hamish Woods, gadatliwy, towarzyski Australijczyk, startujący w Badmintonie już po raz ósmy, zaliczył jedną zrzutkę i ostatecznie znalazł się tuż poniżej Jeza, spychając Bramble na czwartą pozycję, a Klause Jurgena na piątą.

- Głupia byłam, prawda? - powiedziała, usiłując ukryć rozczarowanie utratą kolejnego miejsca i faktem wypadnięcia poza pierwszą trójkę. - Myśląc, że on mnie kocha?

- Nie. - Jez nie odrywał wzroku od parkuru. - Dlaczego niby nie miałby się w tobie zakochać? Ja się na przykład zakochałem - powiedział szybko, kątem ust.

Została już tylko Betsy - Betsy, Maszyna Do Czystych Przejazdów - a Bramble tłumaczyła sobie, że czwarte miejsce to niesamowity wynik. Lepszy, niż

przypuszczała w najśmielszych marzeniach. I drugie miejsce Jeza. Usiłowała się pogodzić z myślą o utracie podium z takim skupieniem, że niemal nie dosłyszała tego, co powiedział.

- Kocham cię - powtórzył Jez. - Co dowodzi, że zasługujesz na więcej.

Bramble nadal nie do końca pojmowała, o co mu chodzi. W jakiś sposób skłonna była przyznać, że wszyscy jeźdźcy darzą się wzajemnym uczuciem, wszyscy ci, którzy razem pracują i współzawodniczą ze sobą, i rozumieją życiowe presje lepiej, niż mógł je zrozumieć ktoś inny. Zażenowana, postanowiła obrócić wszystko w żart.

- No i znów zaczynasz, Jez. Zawsze musisz mieć rację! Czy ty nigdy nie miewasz wątpliwości?

- Prawie nigdy - odparł, ponownie uśmiechając się kącikiem ust. Betsy wjechała galopem i okrążyła parkur. Niemal natychmiast rozległ się zbiorowy jęk.

- Cholera - powiedział Jez. - To okrążenie oznacza, że dwukrotnie przejechała linię startu. Jak Bettina Hoy na olimpiadzie w Atenach. Przecież to szkolny błąd! Jak ona mogła to zrobić?

Betsy otrząsnęła się jednak i pierwszych kilka przeszkód wzięła bez błędów, stylowo pokonała tripla i podwójny, szereg. Ale koncentracja zawiodła ją przy ostatnim skoku. Poprzeczka wylądowała na ziemi, a Amerykanka zjechała z parkuru wśród pełnych współczucia, ale dość zdawkowych oklasków.

Jez wpatrywał się w parkur z pobielającą twarzą.

- To znaczy, że wygrałeś? - spytała Bramble, do której wciąż nie w pełni docierało znaczenie błędu Betsy.

- Ona miała tylko jedną zrzutkę, ale przejechała... Jez, co to znaczy?

Pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, ile dostanie punktów karnych. I miała zapas dwóch zrzutek. A my nie pojawiliśmy się na przeglądzie koni. Ja nie wiem, czy to się jakoś liczy.

Sędziowie naradzali się w ciszy. Wokół parkuru rozlegał się szmer spekulacji, na rozprężalni na wszystkich twarzach znać było napięcie. Stajenni Betsy podbiegli, by wziąć od niej wodze. Bramble przez krótką chwilę widziała jej szczupłą sylwetkę, dłoń zakrywającą usta i trzęsące się od płaczu ramiona, a potem pozostali amerykańscy jeźdźcy otoczyli Betsy kołem, chroniąc ją przed ciekawskimi oczami i obiektywami kamer.

Jez obrócił Bramble do siebie i złapał ją za ramiona.

- Powiedziałem, że cię kocham. Wyjdiesz za mnie?

- spytał przez zaciśnięte zęby.

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

- Co?

Jeszcze nigdy nie był tak blady.

- Ty i ja - powiedział. - Miałem rację z Kudłatą. Teraz też mam.

- Jez! - Był strasznie wkurzający. Żartował sobie, i tyle.

- Przepraszam - powiedział. - Powinienem być zaczekać. Przyklęknąć na jedno kolano. Zabrać cię do restauracji.

- Jeszcze nigdy nie usłyszałam od ciebie przeprosin...
-Bramble usiłowała nie myśleć. O życiu z Jeżem. Z kimś, komu zawsze miała tyle do powiedzenia i z kim mogła się podzielić tyloma sprawami. Z kimś, za kim tak strasznie

tęskniła - teraz to zrozumiała - tak bardzo, że nagle minione osiemnaście miesięcy wydało się szare i nudne.

- Felicity - powiedziała, przypominając sobie historyjkę Donny. - Miałeś romans z Felicity.

- Nie miałem. - Popatrzył zdziwiony.

Bramble zastanowiła się przez moment, czy nie pakuje się w kolejny związek, w którym prawdę ogląda się w szeregu przesuwających się luster.

- Donna widziała, jak któregoś ranka Felicity wychodziła od ciebie...

- A, tamto. - Twarz mu się rozjaśniła. - Wiesz, że twoją siostrę męczą koszmary? Wtedy też ją dopadło i przegadaliśmy noc, aż do czwartej rano. Potem zasnęła na kanapie, a ja ją przykryłem kocem i poszedłem do łóżka. - Spojrzał jej w oczy bardzo uważnie. - Wierzysz mi?

W tym momencie ożywił się trzeszczący megafon.

- Podobnie jak Bettina Hoy na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach, Betsy Parker otrzymała czternaście punktów karnych za przekroczenie limitu czasu i dwukrotny przejazd przez linię startu, i zajęła ostatecznie piąte miejsce. Zwycięzcą tegorocznych zawodów w Badmintonie zostaje Jezzar Morgan na koniu Fireflight!

Bramble uniosła w górę zaciśniętą dłoń.

- Udało ci się! - wrzasnęła. - Udało!

Kamera i reporterzy rzucili się w ich stronę, lecz Jez wciąż mocno trzymał ją za rękę, jakby mogła odfrunąć.

- Wierzysz mi? - szepnął.

Gdzieś w tle odczytywano ranking zwycięzców. Hamish Woods na miejscu drugim, Bramble Kelly na trzecim, na czwartym Klaus Jurgen... "

- . - Na trzecim? - Bramble usiłowała się nie rozplakać.
- Nie zasługuję na to, to był łut szczęścia! Tu jest mnóstwo jeźdźców lepszych ode mnie!
- To zawsze jest kwestia szczęścia - powiedział Jez.
- Nikt bez niego nie zdoła wygrać. Teraz twoja kolej. Ale, Bramble, ja muszę to wiedzieć. Czy ty mi wierzysz?
- Nie wygłupiaj się - odparła dziarsko, usiłując ukryć emocje.
- Zawsze ci wierzyłam. Nieważne, co mówili ludzie.
- No to wyjdź za mnie - nalegał. - To wcale nie jest nagła decyzja. To nie tak, że do głowy uderzyła mi wygrana. Tęskniłem za tobą bardziej niż za kimkolwiek, kogo straciłem. Nie było dnia, żebym nie rozmawiał z tobą w myślach albo nie żałował, że cię przy mnie nie ma.

Bramble pomyślała o łąkach w Lorenden, o pasących się na nich koniach i o tym, jak często próbowała spoglądać na nie oczami Jeza i ile razy słyszała w myślach jego głos. Jak przez mgłę zarejestrowała, że za ich plecami parkur jest szykowany do ceremonii wręczania nagród, a psy należące do koła łowieckiego Beaufort Hunt podskakują i przepychają się w drodze na własną prezentację. Napór ludzi gęstniał i rósł, prasa i organizatorzy zaczynali się tłoczyć, zainteresowani wyłącznie Jezem, czekający na jego wystąpienie, na swoje wywiady i zdjęcia. A on nie wypuszczał z ręki dłoni Bramble.

Poszukała wzrokiem jego oczu, sprawdzając, czy Jez na pewno nie stroi sobie żartów; nie zniosłaby, gdyby ktoś zrobił z niej idiotkę po raz drugi. Tak dać się oszukać nadziei, pomylić fikcję z własnymi pragnieniami! Zobaczyła w myślach kpiącą twarz Nata.

- Nie poproszę ponownie - ostrzegł Jez. - Wyjdź za mnie.
Starła się zdobyć na odwagę. Doskonale wiedziała, że Jez dotrzymuje słowa.

- Tak - powiedziała, obnażając przed nim serce, przestraszona, ale i upojona szczęściem. - Jasne, że tak.

- Prosimy - odezwał się ktoś, usiłując ich rozdzielić. - Chcielibyśmy zrobić zdjęcie zwycięzcy...

- Wykluczone - odparł Jez. - Zbyt długo na to czekałem.
I nikt nie był do końca pewien, czy mówi o trofeum w Badmintonie, czy o stojącej u jego boku kobiecie.

Epilog

Siedem lat później

- Wcześniej jeszcze - powiedział Jez. - Moglibyśmy przejechać koło Lorenden, pokazać dzieciakom, gdzie dorastałaś.

Bramble nie była pewna, czy ma na to dość siły, ale upiorom przeszłości trzeba stawiać czoła.

Jez skręcił samochodem w znajomą aleję, nadal obrzeżoną jeżynowymi zaroślami i pełnymi pajęczyn, wysychającymi źdźbłami szczeci. Pojawiły się wprawdzie pośród nich foliowe tunele z wszechobecnymi teraz sezonowymi truskawkami, a za następnym zakrętem zobaczyli stare pastwisko Bena, a za nim sześć nowo zbudowanych domów.

- Całkiem przyjemnie - odezwała się Bramble, patrząc na ich wydłużone, niskie sylwetki i tradycyjne dachówki w stylu hrabstwa. - Projekt się sprawdził. Sprzedałyśmy Lorenden właściwemu człowiekowi. Caz, Tash, patrzcie! Kiedyś na tym pastwisku trzymałam swojego kucyka.

Caspian i Natasha, sześciolatek i czterolatka, zagapili się na pastwisko.

- Przy tych domach? - spytał Caz.

- Nie - odparła Bramble z trudem. - Domów jeszcze nie było. Znaleźli się na początku podjazdu i Jez zgasił silnik. Pomalowana na biało brama z pięciu poprzecznych desek została zastąpiona bramą z kutego żelaza, z połączanymi szpicami u szczytu; w jej kuty wzór została wpleciona nazwa. „Posiadłość Lorenden”. Obok, we wspornik wrót, wstawiono domofon.

- Posiadłość Lorenden, co?

- Kiedy mój prapradziadek kupił to miejsce, nazwał je Farmą Lorenden - powiedziała Bramble. - Potem porzucił słowo „farma”, żeby nazwa brzmiała godniej. Obawiam się, że kiedyś dom przemianują na Pałac Lorenden. No cóż. Swego czasu podjazdem mógł podejść do domu każdy.

- Prosto do kuchni. Tak, pamiętam - powiedział Jez, obejmując ją ramieniem. - Powinienem był się zastanowić, zanim się z tobą ożeniłem. Powinienem był wiedzieć, że nigdy nie zostanę z żoną sam na sam, nawet we własnej kuchni.

- Wcale nie chcesz siedzieć ze mną w kuchni sam na sam. Ty lubisz, jak wszyscy się kręcą po domu.

Jez ją uściskał.

- Lubię to co ty.

Bramble myślała o minionych siedmiu latach, o tym, jak wiele się podczas nich wydarzyło. Sprzedały

Lorenden deweloperowi, Brianowi Borthwickowi, zaledwie parę tygodni po zwycięstwie Jeza w Badmintonie. Brian dokonał przeróbek w głównym domu i odsprzedał go komuś, kogo Helena opisała jako emerytowanego bankiera ożenionego po raz trzeci, z młodą kobietą, i postawił sześć historycznie autentycznych, ekologicznych domków. Te, według doniesień sąsiadów, sprzedawały się szybko, ale aż do tej pory Bramble nie chciała ich oglądać na własne oczy.

Skoncentrowała się na karierze. Poza trzecim miejscem w zawodach w Badmintonie Bramble otrzymała tytuł najlepszej amazonki, a Kudłata, za zajęcie pierwszego miejsca wśród klaczy, została nagrodzona transferem embrionów i zamieniła się w pracującą matkę. Jej pierwsze dwa źrebaki zostały urodzone przez matki zastępcze, podczas gdy ona i Bramble zdobyły dla brytyjskiej ekipy na mistrzostwach Europy złoty medal, a w klasyfikacji indywidualnej dorobiły się srebra. Po dwóch kolejnych, pełnych sukcesów sezonach Bramble pozwoliła Kudłatej przejść na jeździecką emeryturę i przeznaczyła ją do pełnoetatowego rozrodu. Klacz urodziła już pięcioro źrebiąt, które bardzo ładnie się rozwijały, a dwójka nawet bardzo dobrze rokowała na przyszłość, a Jez i Bramble doczekali się Caza i Tash, którzy - jak nieustająco wzajemnie upominali się ich rodzice - być może w przyszłości mieli się zająć jeździectwem. A może nie.

- Nie wolno nam wywierać na nich presji - ciągle powtarzała Bramble. - Musimy pamiętać o Felicity i Savannah.

- I o Eddiem - dodawał Jez. - Nie zapominaj o Eddiem.

Helena tak bardzo chciała, żeby prowadził jakiś udany biznes albo dostał świetną pracę w City...

Jez został jednym z trzech najlepszych jeźdźców w Wielkiej Brytanii i z Eddiem w roli asystenta prowadził stajnię dla mniej więcej dwudziestu koni, zabierając do sześciu na każdą imprezę. Był jednym z niewielu ludzi, którzy utrzymywali się z takiej działalności - miał sponsorów, kontrakty reklamowe, fundusze z loterii, uczył jeźdźców i trenował wierzchowce, ale również handlował końmi, pisał artykuły na kolumny do czasopism i gazet, a nawet od czasu do czasu zajmował się komentowaniem imprez w telewizji. Latem jego dzień pracy trwał nawet piętnaście godzin, a zimą niewiele mniej. Ale on i Bramble wszystkim zajmowali się wspólnie i - mimo rozłąki podczas zawodów - nigdy nie kończyły im się tematy do rozmowy. Chociaż nadal się sprzeczali.

Bramble spojrzała poza bramę z napisem: „Posiadłość Lorenden”.

- Ta róża nadal tam rośnie. Ta, co pięła się po ścianie domu. I dach dobrze wygląda. Chyba wszystko dość starannie odnowiono...

Dom, odmalowany i spokojny, wydawał się niemal niezmienny. Na dachu stajni po staremu tkwił wiatrowskaz w kształcie wyścigowego konia. Podjazd został świeżo wysypany żwirem, a przed domem zaparkowano cztery luksusowe samochody.

A jednak od przeszłości odcinała Bramble kuta brama. Dom nie stanowił już integralnej całości z wiodącą do niego aleją i otaczającymi go polami.

- Moglibyśmy zadzwonić. Zapytać, czy nas wpuszczą.
Pokręciła głową.

- To już nie moje miejsce. - Odwróciła się, żeby ukryć twarz przed dziećmi. Jez ujął maluchy za ręce i odszedł z nimi kawałek dalej aleją, pokazując im polne kwiaty.

Bramble żegnała się z duchami przeszłości.

Cichutko wymawiała ich imiona, oddając hołd każdemu z osobna. Tata. W tym jego płaskim, tweedowym kaszkiecie i długim płaszczu od deszczu... Zdawało się, że przechadza się po podjeździe, zwracając w jej stronę twarz obdarzoną orlim nosem i oczami, którym nic nie mogło umknąć. Napisał testament, pomyślała Bramble, żebyśmy od nowa nauczyły się trzymać razem, w rodzinie. A ona, Helena i Felicity zdołały jakoś powiązać pozrywane nici siostrzanej więzi i na powrót splotły z nich coś pięknego, silnego i cudownego, co nigdy nie zostanie rozerwane. Helena kupiła jedyną nieprzerobioną stodołę w Lorenden i odrestaurowała ją jako zabytek, zdobywając liczne nagrody. Mieszkała tutaj i posyłała Roly'ego i Ruby do miejscowej szkoły. Dziwne, że to akurat ona, spośród całej ich trójki, okazała się ostatnią ze wszystkich jaskółką - tą, która koniec końców wróciła do domu. Bramble, raz opuściwszy Lorenden, z najwyższym trudem zmuszała się do odwiedzin.

Z pewnym wysiłkiem przywołała obraz matki, którą ledwie pamiętała, jej konwaliowy zapach i miękkie objęcia. I Dorna, z jego kręłą sylwetką i serdecznym śmiechem; jego roztańczone oczy odziedziczyła Savannah, a Bramble dostrzegała to za każdym razem, kiedy

spoglądała na córkę. A potem Lottie, szczupłą uczennicę, z jej nieustającą litanią dociekliwych pytań i włosami szczesanymi z czoła w koński ogon, po jeździe odnoszącą do domu siodła i oglądającą się przez ramię z pożegnalnym uśmiechem... Oczyma duszy zobaczyła Alana, niewysokiego, bystrego mężczyznę, którego szczodrość i miłość do żony pozwoliła wydarzyć się tylu rzeczom i który ledwie w parę miesięcy po powrocie Felicity do domu znikł cicho z własnego, zagubionego, chylącego się ku zmierzchowi świata. Pauline, piękna do samego końca, wyszła za mąż za emerytowanego brygadiera i spędziła z nim resztę swoich dni, a zaledwie ostatniej wiosny umarła we śnie, w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Konie. Ben, Teddy i pierwszy Merlin. Bramble wyobraziła sobie je wszystkie biegnące podjazdem - posiwiałego staruszka, kasztana i karego - oglądające się po raz ostatni na dom i znikające wśród drzew.

Mgła wypuściła wszystkich ze swoich objęć i znikła z myśli Bramble na zawsze.

Zza frontowych drzwi Lorenden wybiegło troje dzieci. Dwójka pobiegła za dom, do ogrodu, ale mała dziewczynka ruszyła podjazdem.

- Dzień dobry - powiedziała przez kratę.

- Dzień dobry - odparła Bramble. - Kiedyś tu mieszkałam. Jak byłam w twoim wieku.

Dziewczynka przyjrzała się uważnie.

- Teraz ja tu mieszkam.

- Tak - potwierdziła Bramble z uśmiechem. - Ja mam inny dom.

- Taki ładny jak ten?

- Inny. - Pomyślała o wiejskim domu ze złotawego kamienia na wzgórzach Cotswolds i o nowej, współczesnej stajni, którą postawili za pieniądze ze sprzedaży Lorenden. Felicity kupiła w pobliżu wiejski domek z niewielką ujeżdżalnią, gdzie prowadziła, pod szyldem „Druga Szansa”, program przetrenowywania koni z problemami - przede wszystkim wyścigowych. Odkąd sześć tygodni wcześniej Jez wygrał Burghley, startując tam na pierwszym koniu wyścigowym, jaki trafił do programu Felicity, bardzo zainteresowała się nią prasa. Trzeba było niemal dziesięciu lat, żeby Merlin z rozlewisk Luizjany trafił na sam szczyt jeździeckiego świata.

Mała nie spuszczała z Bramble wzroku.

- Lubi pani ten nowy dom? - spytała znowu.

- Tak, uwielbiam.

- A więc nie chce pani tu wracać? - Dziewczynka chyba się niepokoiła.

- Nie - uśmiechnęła się Bramble. - Nie chcę wracać.

- To dobrze. Bo ja mam kucyka.

- Jak ma na imię?

- Pieniążek. - Mała uśmiechnęła się, pokazując dwie szczyrby po mlecznych zębach. - A kiedy dorosnę, będę najznanijszym jeźdźcem na świecie!

- Przyjadę popatrzeć - obiecała Bramble.

- Niech pani popatrzy, umiem stać na rękach. - Zrobiła na podjeździe gwiazdę, a potem biegiem zawróciła do domu.

Na Bramble też był już czas. Odeszła powoli, żałując, że jej bliscy nie mogą, wszyscy razem, choć na chwilę powrócić do domu. Za każdym tak tęskniła! Jez, trzymając dzieci

za ręce, dokładnie wiedział, o czym myśli żona. Zawsze to wiedział. Wiedział wszystko. Szału od tego dostawała!

- Wcale nie płaczę - powiedziała rozdrażniona, wsiadając do samochodu i chowając przed nim twarz.

Podał jej chusteczkę. Wydmuchała nos i zabrała się za przesadnie staranne poprawianie makijażu. Kiedy uruchomił silnik, zerknęła na zegarek.

- Myślisz, że Ollie naprawdę przestał pić? - spytała.

Jeza nie zdziwiła nagła zmiana tematu; zwykle również jego myśli zmierzały podobnymi, dobrze znajomymi ścieżkami wspomnień i obrazów.

- Hm. Może to dziwne, ale uważam, że świetnie mu zrobiła wiedza o manipulacjach Nata. Chyba dotarło do niego, że sam sobie musi pomóc. No i zawsze chciał wrócić do Heleny.

- Byłam rozczarowana, kiedy się rozwiedli. Mimo wszystko, zawsze myślałam, że im dwojgu nie może się nie udać.

- No cóż. - Jez zaparkował samochód na pustym placu naprzeciwko kościoła. - Jak to mówią: człowiek nigdy do końca nie zrozumie innego małżeństwa, chyba że pójdzie z nimi do łóżka, a potem posiedzi pod ich stołem przy śniadaniu.

Bramble aż się wzdrygnęła.

- Nie ośmieliłabym się! No, idziemy. Zaraz! Cóż, gdzie są twoje buty?

To był mały kościółek, gdzie wszystkie zostały ochrzczone. Tutaj pochowano tatę. Tu pobrali się ona i Jez, tu odbyły się dwa śluby Heleny, chociaż tylko jeden z kościelnym błogosławieństwem.

Helena i Savannah czekały w środku, ubrane w bladuróżowy jedwab, a Poppy, trzyletnia córeczka Savannah i Toma, biegała po kościelnej nawie w bladuróżowej sukieneczce i wianku z maleńkich różyczek. Jej rodzice pobrali się w urzędzie stanu cywilnego, ledwie skończywszy dwudziestkę, wśród okrzyków: „Ależ wy oboje jesteście na to za młodzi!”. Teraz Savannah kończyła weterynarię.

Felicity - dla odmiany prawie punktualna - przepełnęła nawą w malowanym z czerwono-pomarańczowe, zawijasy szyfonowym kaftanie, białych dżinsach i srebrnych sandałkach na wysokim obcasie. Pół kroku za nią dreptał jakiś elegancki mężczyzna po sześćdziesiątce.

- Kto to taki? - syknęła Helena.

- Nie mam pojęcia. A ty? - odszepnęła Bramble.

- Ja tylko wiem, że Felicity pytała, czy może kogoś przyprowadzić. To ty powinnaś wiedzieć, mieszkasz bliżej.

Bramble wzruszyła ramionami.

- Ja nie wiem, czy komuś uda się kiedyś zbliżyć do Felicity... Ona ciągle spotyka się z jakimiś facetami. Nie mam pojęcia, skąd ich bierze!

Helena westchnęła, podając Tash bukiet kwiatów.

- Nic ci nie jest? - Bramble nie umknął niepokój, z jakim jej siostra zerkała na drogę.

- Skądże! Przecież wiesz, co zawsze powtarzam - zaprotestowała Helena z uśmiechem ulgi na widok kolejnego podjeżdżającego samochodu. - Pierwsze małżeństwo to szaleństwo młodości. - Spojrzała groźnie na Toma i Savannah.
- Drugie pozwala znaleźć mężczyznę, który

będzie cię wspierał podczas wychowywania dzieci. - Łypnęła na drugą stronę nawy, gdzie Eddie ze swoją dziewczyną komenderowali nastoletnimi już Ruby i Roly. - A trzecie to czyste hormony. Można je uważać za swoją ostatnią szansę.

Drzwi samochodu otworzyły się i Helena ucałowała Olliego.

- Gdzieś ty się podziewał? Już się niepokoiłam.

- Nie chciałem ci mówić - odparł Ollie, wyciągając coś zza pleców. - A przynajmniej, dopóki sam się nie upewniłem. - Wcisnął jej w rękę wielki, paskudny szklany puchar.

- Co to jest?

- Nagroda - wyjaśnił. - Za mój ostatni scenariusz filmowy. Właśnie przyjechałem z lotniska.

Helena uważniej przyjrzała się trofeum.

- Świetnie, kochanie. Dobra robota. - Odstawiła puchar na ławkę. - Będziemy to trzymać w ubikacji na dole. Każdy w jakimś momencie tam trafi. - Jej usta na moment znalazły się tuż obok jego ust, złożone prawie jak do pocałunku.

- Próbujesz mnie obwąchać i sprawdzić, czy piłem?

Bramble nie raz już widziała tę scenę: podejrzliwa Helena, rozgniewany Ollie. Facet chodzi trzeźwy od siedmiu lat, pomyślała Bramble. Odpuść mu trochę, Heleno. Zaufaj mu odrobinę. Skrzyżowała palce, szykując się na kolejną awanturę. Jeśli Helena powie „tak”, rozpęta się piekło.

-Tak.

Olliemu pociemniała twarz, ale ujął obie ręce Heleny w swoje dłonie.

- Niewiele brakowało. Siedziałem w barze i nawet zamówiłem drinka, żeby to uczcić. Ze teraz, kiedy wszystko tak dobrze się układa, zasłużyłem sobie. Na tego jednego. A potem pomyślałem o tobie, o tym, że na mnie czekasz, i zrozumiałem, że nawet na tego jednego nie mogę sobie pozwolić. I wyszedłem stamtąd, Heleno. Ja nie piłem. Udało się, ale tak będzie wyłącznie wtedy, jeśli będę wiedział, że jesteś i czekasz na mnie. To zawsze będzie się czaić w tle, Heleno. Nigdy nie zniknie.

Helena się uśmiechnęła.

- Ja też nie zniknę. - Ujęła go pod ramię. - Widzisz, właśnie tłumaczyłam Tash i Savannah, czym jest małżeństwo. Najważniejsze jest to, żeby przy czwartym... - Podniosła wzrok na Olliego, a w jej oczach zajaśniała szczerą miłość. - ...pamiętać, że najlepiej jest wyjść po raz kolejny za trzeciego męża - dokończyła z olśniewającym uśmiechem. Z Olliem u boku powoli ruszyła nawą w asyście podążających za nimi Tash, Savannah i Poppy.

Obejrzała się po raz ostatni i mrugnęła zadziornie.

- Przynajmniej człowiek wie, co go czeka.

Podziękowania

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy znaleźli czas, żeby podzielić się ze mną swą fachową wiedzą i doświadczeniem, poczynając od właścicielki konia startującego we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego, Rosie Dickens (obecnie również hodowczynie), która przedstawiła mnie tak wielu osobom i tak wiele mi wyjaśniła, a poza tym robi najlepsze na świecie krokiety z naleśników. Także rodzinie Boucher, w szczególności zaś Fionie i Marguericie, jeźdźcom startującym w WKKW, Williamowi Fox-Pittowi (ze spółki Tom Gittins & Fox-Pitt Eventing Club - www.foxpitteventing.co.uk), Simonowi Lawrence'owi, Jonty'emu Evansowi, Polly Williamson, Jane Lanyon i Jackie Jones-Parry oraz byłej zawodniczce WKKW, Victorii Sinnatt. Pragnę podziękować sędziom przeszkód Sue i Martinowi Sinnattom, słynnym trenerkom Dot Willis i Rose Hart, selekcjonerce krajowej ligi juniorów Sheili Barker i Jane Tuckwell z Burghley Horse Trials, Jane Davies z Mark Davies Injured Riders Fund (fundacji na rzecz jeźdźców

poszkodowanych w wypadkach), Caroline Orme, autorce „Celebrity Jumping Exercises”, stajennej pracującej przy zawodach WKKW i dziennikarce zajmującej się tematami jeździeckimi, Lulu Kyriacou, Hilary Talbot, księciu Jezzarowi Girayowi (który uprzejmie użyczył imienia Jeżowi), Julianowi Seamanowi z Biura Prasowego Bad-mintonu, który pokazał mi zawody od kulis i z niesłychaną cierpliwością odpowiadał na niezliczone pytania, weterynarzom Penny Birchall i Deborah Baker, Moorcroft Racehorse Welfare Centre, Di Arbuthnot z Retraining of Racehorses, Cassandrze Jardine, Cantor Index za uprzejmość, z jaką udzielili gościny pogadankom Żary Phillips i kapitana Marka Phillipsa, doktor Teresie Holland z firmy specjalizującej się w karmie dla koni Dodson & Horrell, rzecznikowi prasowemu policji hrabstwa Kent, straży pożarnej z Faversham za pokaz metod ratowania zwierząt oraz Vicky i Johnowi Clinchom z Syndale Liberty (nieocenione okazały się zwłaszcza ich prezentacje sposobów wprowadzania koni do koniowozów).

Dziękuję także Emmie Danieli, Posy Gentles, Amandzie Mannering, Lizzie Iron, Rosie Turner, Stephanie Wolfe, Ann Netten, Janet Killian, Joy Elvy i Judy Matthews.

Miałam mnóstwo szczęścia, bo trafiły mi się dwie wspaniałe redaktorki: Joanne Dickinson, której przenikliwość, komentarze i zachęta stanowiły dla mnie nieocenioną wprost inspirację, oraz Rosie de Courcy, która wieloletnią fascynację sportem jeździeckim łączy z legendarnymi umiejętnościami edytorskimi. Zoë Gullen sokolim okiem przeczesła całą książkę w poszukiwaniu

błędów; jeśli jakieś pozostały, należy przypisać je mnie. Żadna moja książka nigdy nie powstałaby bez wsparcia mojego agenta, Anthony'ego Goffa, a także bez - oprócz już wymienionej Fiony - Katharine Boucher, księżnej Olgi Romanoff, Rosie Iron i Sonaty, tworzących zespół, który pierwotnie zainspirował mnie do pisania o jeździectwie.

Aby poznać zakulisowe szczegóły powstawania „Dziedzictwa”, odkryć tajniki sportu jeździeckiego, przeczytać informacje przeznaczone dla kół czytelniczych albo dowiedzieć się czegoś więcej o następnych książkach Niny Bell, prosimy zaglądać na stronę www.ninabell.co.uk.